



ANNE  
BISHOP

TIR ALAINN - TOM 1

*Filary Swiata*

ANNE  
BISHOP

*Filary Świata*  
TIR ALAINN – TOM I

TŁUMACZENIE Z JĘZYKA ANGIELSKIEGO

MARTA WERONIKA NAJMAN



KRAKÓW 2019

The Pillars of the World  
Copyright © 2001 by Anne Bishop  
All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka angielskiego: MARTA WERONIKA NAJMAN  
Redakcja i korekta: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA  
Korekta: NATALIA MUSIAŁ

Projekt okładki, skład i łamanie: PATRYK LUBAS  
Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB  
Fotografia użyta na okładce:  
AA1423436 / SHELBY ROBINSON / ARCANGEL

WYDANIE I  
ISBN 978-83-62577-85-9



Wydawnictwo INITIUM  
[www.initium.pl](http://www.initium.pl)  
e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)  
[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)

Skład wersji elektronicznej: MARCIN KAPUSTA

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# SPIS TREŚCI

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

# PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Blair Boone za to, że była pełną entuzjazmu pierwszą czytelniczką; Mari Anderson za udzielenie głosu *Klejnotom miłości*; Deb Coates, Lindzie Antonnsen, Mindy Klasky, Dorannie Durgin, Vondzie McIntire, Deborah Wheeler, Julie Czernedzie oraz Jennifer Roberson za informacje i spostrzeżenia na temat koni i psów; Nadine Fallacaro za przejrzenie kwestii medycznych; Kandrze za jej wysiłek i czas poświęcony stronie internetowej; Michelle Zymowski, Rickowi Kohlerowi, Cortney Heitzman i Halowi Leaderowi za pomoc przy mapie oraz Pat i Billowi Feidnerom za to, że przy mnie byli.

# ROZDZIAŁ 1

Kolejna droga się zamykała. Trochę to potrwa, ale niezbyt długo. Jeszcze przez kilka dni ta droga wiodąca przez Zasłonę oddzielającą Tir Alainn od świata ludzi będzie lśnić, tak jak lśniła, odkąd Fae sięgali pamięcią. Następnie Zasłona zgęstnieje i droga zniknie, a żaden z lordów czy lady Fae, którzy próbowali tą drogą opuścić Tir Alainn, nie wróci już do domu.

Gdy droga zostanie zamknięta, zniknie także ta część Tir Alainn, która do niej przylegała – kolejna część tego, co było najwspanialszym aktem magii Fae, zostanie w tajemniczy sposób pochłonięta.

*Nie pytamy o to, co się dzieje z Fae, którzy mieszkali w tych utraconych miejscach, pomyślała Dianna, wpatrując się w ogród rozciągający się za otwartym oknem. Nie pytamy, czy w jakiś sposób udaje się im przetrwać w domach ich klanów, odciętych od pozostałych z nas, albo czy stają się zagubionymi duszami, które nigdy nie dotrą do Krainy Wiecznego Lata, kiedy ciało ponownie powróci do Matki.*

Gdy odwróciła się od okna, stanęła twarzą w twarz z mężczyzną i kobietą. Cierpliwie czekali, aż zwróci na nich uwagę. Byli piękni w ten zwierzęcy sposób typowy dla Fae. Kobieta miała ciemnoczerwone włosy i leśne oczy – zielone z brązowymi plamkami. Niektórzy Fae uważają, że taki kolor tęczy wywodzi się z domu Gaian, klanu, który zniknął tak dawno temu, że uchodzi za zapomnianą legendę. Niezależnie od tego, czy to prawda, czy tylko myślenie życzeniowe, nikt nie był w stanie przypomnieć sobie, dlaczego dom Gaian był wyjątkowy – ani dlaczego zniknął.

Mężczyzna miał czarne włosy i niebieskie oczy, które zwykle wypełniało rozbawienie. Obecnie jednak widziała w nich gromy – a w oczach kobiety smutek.

– Niczego nie znaleźliście. – Nie trudziła się, by sformułować pytanie, ponieważ ich oczy zdradziły już odpowiedź.

– Niczego nie znaleźliśmy – odpowiedziała Lyrra. – Inspira, Cariden i ja przepytaliśmy każdego bazarza i poetę, którego udało się nam odszukać.

Żaden nie pamiętał niczego, co pomogłoby nam zrozumieć, dlaczego drogi są zamykane albo jak temu zaradzić. – Zawahała się. – Nie wiem, czy to ma jakiś związek z informacjami, których szukasz, ale pewien stary poeta z innego klanu przypomniał sobie, że usłyszał fragment starożytnego poematu mówiącego o Filarach Świata. Był wtedy jednak dzieckiem, więc nie zdołał przywołać szczegółów.

– Filary Świata – powtórzyła Dianna, zmuszając się do zachowania spokoju. – Wiesz, co to oznacza?

Lyrra potrząsnęła głową.

– Zdawałoby się, że kiedyś tak dobrze wiedzieliśmy, czym są, że nie było potrzeby tego wyjaśniać, nie było potrzeby otaczać ich słowami.

Dianna przełknęła gorycz rozczarowania.

– W takim razie to mało prawdopodobne, by miały coś wspólnego z tym, co teraz się z nami dzieje. – Spojrzała na mężczyznę.

– Niczego nie znalazłem – rzekł Aiden bez emocji. – Bardowie dobrze znają pieśni o podróżowaniu drogami i rozkoszach, które możemy napotkać po drugiej stronie Zasłony, ale nie wiedzą o niczym, co mogłoby nam pomóc.

*Skoro Muza i Bard nie byli w stanie niczego znaleźć, kto inny dałby radę?* Dianna się zamyśliła. *Gdzie jeszcze możemy szukać odpowiedzi?*

Żadne z nich nie wspomniało o tym, co mogło być wiadome klanom, które korzystały z lśniących dróg prowadzących do Starych Miejsc w ludzkich krajach, zwanych Arktos i Wolfram – klanom, które znikwały, jeden po drugim, odkąd Dianna była małą dziewczynką.

Obecnie jedyne drogi wiodące przez Zasłonę dochodziły do Sylwalanu – i one też zaczynały się zamykać.

Czy przez tyle lat nikt nie słuchał ostrzeżeń, czy też może nigdy ich nie wysłano? Czy Fae, których terytoria łączyły się ze Starymi Miejscami w tych krajach, z rozmysłem ignorowali zagrożenie, przekonani, że cokolwiek spotkało inny klan, z pewnością nie przydarzy się im – czy też trzymali się kurczowo swoich domów klanowych i terytoriów, ponieważ bali się, że ich również to czeka? A może te klany zawsze trzymały się na uboczu, więc nikt z ich części świata nie poświęcał większej uwagi ich losom?

Teraz zagrożenie nie było już tak odległe, nie dotyczyło tylko innych. Teraz pożerało *ich* klany, a oni nie byli w stanie się dowiedzieć dlaczego – i nie byli w stanie tego powstrzymać.

– Przykro mi, Dianno – powiedziała miękko Lyrra.



– Dziękuję za wasze starania. – Dianna odwróciła się z powrotem do okna. Szelest tkaniny. Ciche, oddalające się kroki.

Kroki tylko jednej osoby.

Zerkając przez ramię, niemalże widziała gniew pęczniejący w Aidenie.

– Coś jeszcze?

Dołączył do niej przy oknie.

– Zanim przybyłem tutaj, do domu klanu, przeszedłem jedną z dróg. – Jego twarz sprawiała wrażenie pozbawionej wyrazu, ale oczy... – Przemierzyłem kilka wiosek w północno-wschodniej części Sylvalanu.

– I niewątpliwie zatrzymywałeś się w tawernach, by posłuchać minstrela czy dwóch – odparła, usiłując posłać mu serdeczny uśmiech, który mógłby poprawić jego samopoczucie.

Nie odwzajemnił go.

– Słuchałem ich – odrzekł mrukliwie. – I nie spodobało mu się to, co usłyszał. – Minstrele śpiewają pieśni o istotach, które nazywają wiccanfae.

Dianna zeszytywniała na myśl o arogancji jakichkolwiek innych stworzeń określających siebie mianem Fae.

– Czyli o czym?

– O złych wrózkach. Wiedźmach. Stworzeniach, które powodowane złośliwością sprawiają, że krowa przestanie dawać mleko, a kobieta straci płodność. Które zakradną się do domu i pożrą duszę noworodka, przez co matka znajdzie dziecko martwe w kołysce, bez żadnych śladów na ciele. Czasami kradną niemowlęta, by poświęcić je swemu panu, Złemu, a on w podzięcie nawiedza je i obdarowuje uciechami cielesnymi. Rzucają uroki miłosne na cnotliwe młode dziewczęta z dobrych domów, przez co opanowuje je taka żądza, że oddają się spółkowaniu z mężczyznami, nie czekając na połączenie węzłem małżeńskim. To także naczynia czarnej magii. – Aiden zrobił pauzę. – I kontrolują Mały Lud, pozbawione duszy istoty pełne szelmowskiej magii. Istoty, które trzeba wypędzić z tych krain, by uczciwi ludzie mogli się cieszyć szczodrością tej ziemi, nie narażając się na krzywdy. Chcesz usłyszeć więcej?

– Nie. – Dianna czuła na twarzy powiew zimowego wiatru, mimo że już wkrótce wiosna miała przejść w lato. Ale to, czego chciała, a to, czego wymagały obowiązki, to dwie różne sprawy. – Myślisz, że te... wiccanfae... są przyczyną zamykania dróg? Może wykorzystują swoją magię, by trzymać nas z dala od świata ludzi?

– Faktem jest, że lśniące drogi zamykają się w świecie ludzi, jeszcze zanim tracimy fragment Tir Alainn.

Dianna ujrzała jakąś zmianę w oczach Aideny.

– Co się wydarzyło w tych tawernach?

– Tak jak Muza może uciszyć język lub otworzyć drzwi wewnątrz osoby, by pozwolić jej słowom płynąć, tak ja mogę obdarzyć kogoś darem muzyki. Albo ów dar odebrać.

Dianna się zawahała. Choć była Panią Księżyca – tytuł ten czynił ją najbardziej wpływową kobietą wśród Fae – wiedziała, że lepiej nie wzbudzać wrogości Barda. Gdyby go sprowokować, nie wahałby się przed stworzeniem pieśni, która uczyniłaby z kogoś głupca.

– Skoro wiemy są naszymi wrogami, czemu nie chcesz, by minstrele śpiewali o nich pieśni?

– Nie jestem w stanie powstrzymać tego, co już istnieje, ale mogę sprawić, że nie powstanie ich więcej.

Położyła dłoń na jego ramieniu i poczuła napięte mięśnie.

– Czemu miałyby nie powstawać? – zapytała, zastanawiając się, ile przed nią zataił.

– Nie trzeba pić z kielicha, by wiedzieć, że jest w nim trucizna – odparł ostro Aiden. – Coś jest nie tak z tymi pieśniami. Muzyka, która nie przepłynęła przez serce w drodze do rąk, oferuje niewiele, a wiele może odebrać. – Uśmiechnął się gorzko. – A ci, którzy grają te pieśni, sprzedali swoje serca za sakiewkę złotych monet.

– Minstrele też muszą jeść – powiedziała ostrożnie Dianna.

– Istnieje ciepłe złoto i zimne złoto, a ja wiem, o które chodzi, gdy przebrzmi pierwsza nuta. Ci minstrele grają pieśni pielęgnujące brzydotę w sercach słuchaczy. Wkładają nowe słowa w stare melodie – melodie stworzone przez nas – które niegdyś z łagodnością opowiadały o magii i jej darach. To zbyt wielka obelga, Dianno, ponieważ wymierzona jest przeciwko nam. Decyzja o tym, by odebrać dar muzyki, należy do mnie – i wyłącznie do mnie.

– Czy Lyrra postanowiła odebrać im także dar Muzy?

Jego oczy ściemniały, przybierając niemal czarną barwę.

*O tak, pomyślała Dianna. Bard usłyszał znacznie więcej, niż mi zdradził.*

– Poprosiłem ją, by odebrała swój dar każdemu minstrelowi, który śpiewał te pieśni – powiedział cicho. – Ale to był jej wybór.

Co oznaczało, że – o ile nie miała ważnego powodu, by się sprzeciwić – Muza uszanowała jego prośbę. Ona i Bard nie byli kochankami na wyłączność, ale mimo wszystko byli kochankami i często dawali – lub odbierali – swoje dary w tandemie.

– Istnieje jeszcze jeden powód, by uciszać muzykę, która oczernia całą magię obmierzłymi czynami wieźm. – Aiden skrzyżował ramiona i oparł się o ścianę obok okna. – Podróżujemy przez Zasłonę i korzystamy z naszych darów, by pomagać lub przeszkadzać ludziom.

– Robimy to, gdyż nas to bawi, a nie dlatego że musimy – stwierdziła Dianna niecierpliwie.

– Robimy to, gdyż nas to bawi – zgodził się Aiden – oraz jest... pobudzające.

Dianna wydała z siebie delikatne prychnięcie. Dobrze wiedziała, co pobudzającego mężczyźni Fae znajdowali w świecie ludzi. Jakoś kobiety Fae rzadko potrzebowały tego rodzaju pobudzenia.

Błękitne oczy Aideny roziskrzyły się, jednoznacznie sugerując, że wie, o czym pomyślała. Gdy blask przygasł, znów wyglądał poważnie.

– Nie to miałem na myśli. Życie w Tir Alainn jest jak dryfowanie po ogrzewanej promieniami słońca tafli stawu. Kontakty z ludźmi i ich światem to raczej utrzymywanie się na falach wartkiej rzeki. Pierwsze sprowadza spokój, drugie burzy krew.

– W spokoju nie ma nic złego – nalegała Dianna. *Zwłaszcza gdy w każdej chwili może zostać ci odebrany*, dodała w myślach.

– Powiedz mi coś, Dianno. Kiedy polujesz ze swoimi ogarami cienia podczas Dzikiego Gonu, galopujesz przez idealne górzyste tereny Tir Alainn czy przez niedoskonałe wyboje świata ludzi?

Nie chciała odpowiadać, nie chciała przyznać, że w jego słowach tkwi ziarno prawdy – że Fae podróżują do świata ludzi, ponieważ spokój i perfekcja Tir Alainn w pewnym momencie stają się nużące. Dlatego nie powiedziała nic.

Po chwili Aiden podjął:

– Zobaczę, czy uda mi się znaleźć jakieś informacje o Filarach Świata. Może to tylko metafora używana przez Bardów na określanie dróg, ale teraz nie wiemy nawet tego.

Przytaknęła, wyrażając zgodę. Nie zostało nic więcej do dodania.

– Dianno. – Aiden skłonił się lekko.

– Aidenie – odpowiedziała.

Gdy wyszedł, pozostała przy oknie. Jeśli nie uda się im znaleźć przyczyny stojącej za zamykaniem się dróg, może nadejść dzień, kiedy wyjrzy przez okno i ujrzy... co? Co widzieli zaginieni Fae, zanim zniknęły ich fragmenty Tir Alainn?

Wiccanfae.

Jej usta bezdźwięcznie wypowiedziały to słowo.

Jeżeli to one były przyczyną powolnej śmierci jej ukochanego Tir Alainn, wkrótce dowiedzą się, jak to jest mieć wroga w Pani Księżycy, zwanej też Łowczynią.

## ROZDZIAŁ 2

Adolfo, Mistrz Inkwizycji, stał obok szerokiego otwartego grobu z rękami opartymi na biodrach. Wiosenny wiatr, zbyt zimny jak na tak późny czas, rozwiewał poły jego długiego brązowego płaszcza, podbitego futrem. Poświęcał wiatrowi równie mało uwagi co stojącemu w pobliżu baronowi Hirstunowi czy pospólstwu, które zebrało się, by obserwować; koncentrował się na mężczyznach ściągających z wozu związaną, opierającą się kobietę.

– Ostrożnie – powiedział cichym, srogim głosem, którego kraje Arktos i Wolfram od dawna się obawiały. – Nie pozwólcie, by jej grzeszność skłoniła was do niehonorowych zachowań. Czas, który jej pozostał, powinna spędzić na przemyśleniach, pokutując za krzywdę, jaką wyrządziła dobrym ludziom z Kylwode, nie zaś na wspomnianiu brutalnego traktowania, jakiego się dopuścicie.

Mężczyźni trzymający kobietę zawahali się, a potem pokiwali głowami. Wrywała się z ich uścisku, przez co nie byli w stanie prowadzić jej do przodu, nie ciągnąc jej.

Adolfo utkwiał w kobiecie spojrzenie brązowych oczu.

– Nie utrudniaj. Pogódź się z losem, jaki sprowadziły na ciebie twoje działania. – Zawiesił głos, a po chwili delikatnie dodał: – Chyba że masz coś do wyznania?

Kobieta zeszywniała, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Chwilę później osunęła się w ręce tych, którzy ją pojмали.

Poprowadzili ją do otwartego grobu, stawiając drobne kroki, gdy kuśtykała między nimi. Kiedy obrócili ją twarzą do barona Hirstuna i Adolfo, jej oczy wypełniała pogarda wobec ludzi, którzy ją skazali. Wyprostowała się – ostatni gest oporu, sprawiający, że wyglądała jak osoba szlachetnie urodzona, a nie przestraszona, przemoczona kobieta, mająca za chwilę umrzeć.

Adolfo poczuł strach pełznący wzdłuż kręgosłupa, poczuł, jak zderza się on z nienawiścią, która kształtowała jego życie, aż wreszcie zmienia się w tępy ból w dole pleców. Wojna, którą toczył w swoim wnętrzu, nie

odbijała się na jego twarzy ani w oczach – te jak zawsze pozostały niewinne, delikatne jak u sarny.

Ale inni mężczyźni poruszyli się niepewnie, widząc wzbierającą w niej moc.

*Wzrasta po raz ostatni, zapewnił samego siebie. I nie pomoże jej teraz. Zadbalem o to.*

– Masz jakieś ostatnie słowa? – zwrócił się do kobiety.

Nie odpowiedziała.

Jeden z trzymających ją mężczyzn zerknął na metalowy mechanizm wokół jej głowy.

– Proszę o wybaczenie, Mistrzu Adolfo, ale nie wydaje mi się, żeby mogła wiele powiedzieć z tym czymś na głowie.

– Przejdź do rzeczy – mruknął Hirstun.

Adolfo zignorował barona i zwrócił się do mężczyzny:

– Rozpoznałbym jej słowa, choćby nie wiem jak wypaczone. Tymczasem metalowy język w wędzidle sekutnicy nie pozwala jej mówić wyraźnie, a więc i rzucić ostatniego zaklęcia, mogącego skrzywdzić tych, którzy wymierzają jej sprawiedliwość.

Jeden strażnik wyszczerzył się do drugiego.

– Sax, powinieś nabyć coś takiego dla swojej Jenny. Miałyś trochę spokoju.

Sax pochylił głowę.

– Jej język faktycznie czasem mi się naprzykrza, nie przeczę, ale nie wyobrażam sobie włożyć czegoś takiego na moją Jenny.

– Wędzidło sekutnicy to narzędzie dobrego mężczyzny – powiedział Adolfo. – Troskliwy mąż i ojciec nie pozwala swoim niewiastom zbłądzić i oddać się nieprzystojnym zachowaniom, nie godzi się również na kłótnie pod swoim dachem. Powszechnie wiadomo, że ostre słowa kobiety mogą splugawić różgę mężczyzny i osłabić jego nasienie, przez co będzie ją wypełniać wyłącznie córkami miast silnymi synami.

Twarz Saxa przybrała barwę jaskrawej czerwieni. Gapił się w ziemię.

– Wydaje się to okrutną karą dla kobiety.

Adolfo uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Metal używany jest jedynie w przypadku wiedźm. W przypadku innych kobiet wędzi dło sekutnicy wykonane jest ze skóry, a mężczyzna zakłada je z równą troską, co ogłowie swojej ulubionej klaczy. Nie czyni ono krzywdy.

Wstyd wynikający z noszenia go jest wystarczający, by nauczyć skromności i właściwego zachowania. Nawet moja ukochana żona musi od czasu do czasu ponosić wędzidło. Początkowo nienawidziła go i wzbraniała się przed dyscypliną. Teraz jest wdzięczna za tę oznakę mojego głębokiego uczucia i troskę o jej dobro. – Odczekał chwilę, po czym dodał: – Ale może tobie nie zależy aż tak na twojej Jenny.

Po dłuższej pauzie Sax wymamrotał:

– Gdzie mógłbym dostać takie wędzidło?

– Mam kilka kopii wzornika – odparł Adolfo. – Dopilnuję, byś dostał jedną, kiedy już wykonamy nasze zadanie. – Patrzył na Saxa, ale obserwował też wiedźmę. Widział, że nie zdołała utrzymać dumnej postawy i ponownie poddała się rezygnacji, niczym głupie zwierzę złapane w pułapkę.

– Zwiąż jej nogi. Zostaw jednak dość skóry na kolce.

Sax zdjął swój pas i przyklęknął. Kiedy sięgnął pod jej sukienkę, Adolfo warknął:

– Obwiąż ją nad sukienką. Nie chcemy, by któryś z dobrych mężczyzn obserwujących zajście stał się ofiarą żądzy, gdy ona zacznie prezentować swoje wdzięki. Kobiety to słabe naczynia, Złemu łatwo je skazić. Ale nawet silny mężczyzna może zostać sprowokowany do lubieżnych czynów przez kobietę, która jest służką Złego.

Sax szybko się uporał z krępowaniem. Odsunął się i wytarł dłonie o szorstki materiał spodni, na wypadek gdyby tak niewielki kontakt z kobietą mógł mu zagrażać.

Adolfo uczynił delikatny gest nad grobem.

– Włóżcie ją tam. Niech któryś z was przyniesie też skrzynię z wozu.

Kiedy Sax i jego przyjaciel wkładali wiedźmę do grobu, ta znów zaczęła walczyć. Z niechęcią sami weszli do dołu, by ułożyć ją na plecach.

– Wbijcie kolce w ziemię i przywiążcie do nich skórę, by unieruchomić jej nogi – poinstruował ich Adolfo. Potem zwrócił się do mężczyzny, który zdjął z wozu skrzynię wykonaną zgodnie z jego instrukcjami: – Umieść skrzynię na jej głowie i barkach. Przymocuj też kolce do pasków.

Kiedy Sax i jego przyjaciel skończyli, trzeci mężczyzna pomógł im wydostać się z grobu.

– Zasyńcie dół – powiedział Adolfo. – Zaczynajcie przy stopach i posuwajcie się w kierunku głowy.

Wraz z baronem obserwował w milczeniu, jak mężczyźni przesypują

łopatami ziemię, wypełniając grób. Kiedy pierwsza porcja ziemi trafiła wreszcie w drewnianą skrzynię, usłyszeli krzyk kobiety.

– Nigdy bym nie pomyślał, że Mistrz Inkwizycji kieruje się współczuciem – powiedział cicho Hirstun. – Co to za różnica, czy suka dostanie ziemią po oczach?

– Ależ kieruję się współczuciem – odparł Adolfo równie cicho. – Gdyby tak nie było, nie podjąłbym się misji uwolnienia dobrych ludzi od tych nikczemnych stworzeń. Skrzynia zatrzyma powietrze na pewien czas po tym, jak grób będzie już zasypyany. To da jej chwilę, by mogła odpokutować za grzechy.

Hirstun przyjrzał mu się z uwagą.

– A skąd ktokolwiek będzie wiedział, czy odpokutowała?

Adolfo uśmiechnął się smutno.

– Prawdziwa pokuta przychodzi na chwilę przed śmiercią. Gdyby ją wówczas oszczędzić, przysięgałaby, że odpokutowała, ale to byłoby kłamstwo. Śmierć to jedyna wolność dla tych stworzeń, baronie, ale nawet ona nie będzie wolnością, jeśli ich działania w tym świecie skazą je na otchłań piekielną, czekającą na wszystkich sługusów Złego.

Milczeli, dopóki ostatnia łopata ziemi nie wypełniła dołu.

– Gotowe – powiedział Hirstun, obserwując, jak jego słudzy rozdają miedziaki mężczyznom, którzy pomagali. – Wracasz ze mną do posiadłości, by... ustalić wszystko?

– Wkrótce do ciebie dołączę – odparł Adolfo. – Chcę jeszcze zostać na straży przez minutę.

– Jesteś bardzo pilny, gdy chodzi o obowiązki.

Hirstun odszedł, a za nim podążyli jego sługa i pospólstwo.

– Zaiste jestem – powiedział Adolfo, gdy już nikt nie mógł go usłyszeć. – Nie zniósłbym tego, gdyby jakaś wiedźma przeżyła.



Leżała w ciemnościach, czując przygniatający ją ciężar. Nie zostało jej wiele powietrza – ani wiele czasu.

Próbowała przyzwać swą moc, poruszyć ziemią, by jakoś uciec. Ale to woda, a nie ziemia, była gałęzią Matki, z której czerpała swoje siły. Jej wysiłki na nic się zdały.



Czemu wszystko się zmieniło? *Czemu?* Od pokoleń kobiety w jej rodzinie i reszta mieszkańców Kylwode żyli i pracowali w pokoju. Ilu wieśniaków i osadników z ziem barona doświadczyło pomocy dzięki prostym sztuczkom jej babki, przez co nie musieli płacić lekarzowi, zainteresowanemu jedynie szlacheckimi i kupieckimi rodzinami z okolicy? Ilu *ona sama* pomogła, pokazując, gdzie wykopać studnie? Więc to tak odwdzięczyli się jej za całą pomoc, jaką otrzymali?

Próbowała oddychać powoli, by tlenu wystarczyło na dłużej. Wiedziała, że nadzieja jest daremna, ale mimo to wciąż liczyła na to, że niektórzy z mężczyzn – ktokolwiek spośród tych, którym jej rodzina pomagała przez lata – sprzeciwią się baronowi Hirstunowi i wrócą, by ją uwolnić.

Dlaczego w Kylwode zaczęły narastać konflikty? Czy dlatego że ludzie spoglądali na mizerne plony, które z trudem płodziła ich wyjałowiona ziemia, a potem przenosili zazdrosne spojrzenie na bogate łąki i lasy – i mieszkającą tam zwierzynę – które należały do kobiet z jej rodziny od chwili, gdy pierwsza czarownica wytyczyła granicę i oznaczyła Stare Miejsce znajdujące się pod jej pieczęcią?

Od jak wielu lat powtarzały ludziom, wciąż i wciąż od nowa, że Matka jest szczodra, ale każdy musi zarówno dawać, jak i brać? Ludzie z Kylwode po prostu nie chcieli słuchać. Matka dawała – i dawała, i dawała. A ostatnio odpowiedzią na wszelkie sugestie, by oddać coś ziemi, były okrzyki „gadanie więdźmy!”, za którymi szły nieprzyjazne, podejrzliwe spojrzenia – oraz sugestie, że owo oddawanie to jakiś krwawy rytuał. A także że plony z jej własnego ogrodu były zapłatą od Złego w zamian za świadczone mu przyjemności cielesne.

Nie słyszała o żadnym Złym, póki Mistrz Adolfo nie zatrzymał się u barona Hirstuna. Ale wiedziała z absolutną pewnością, że istnieją takie stworzenia; że Zły faktycznie chodzi po ziemi.

Był nim Mistrz Inkwizycji Adolfo, Młot na czarownice.

Był istnym tchnieniem Złego, a cicho wypowiedane słowa i delikatny smutek w oczach stanowiły jedynie maskę skrywającą gnijącego ducha.

O tak, traktuj więdźmę delikatnie, aby mogła odpokutować. Nie spoglądaj na jej lędźwie, żeby nie skusiła cię żądza.

Drań o gnijącej duszy nie chciał po prostu, by ci mężczyźni ujrzeni obrzęki, cięcia i oparzenia, które jej zadał, by „pomóc” jej przyznać się do winy. Kajdany na nogach były sprytnym wytłumaczeniem faktu, że nie była

w stanie iść, nie kuśtykając. A on ani trochę nie próbował powstrzymać swojej chuci. Jego różga była takim samym narzędziem tortur jak nagrany pogrzebacz czy zgniatacze kciuków.

Trzykrotnie prowadził ją do biureczka w ciepłym pokoju w piwnicy barona Hirstuna, którą zmienił w komnatę tortur Inkwizytora. Trzykrotnie nalegał, by przyznała się do zbrodni przeciwko dobrym ludziom z Kylwode.

Dwukrotnie odmówiła podpisania zeznania, które przygotował, a za pierwszym razem zażądała nawet informacji, kto oskarża ją o wyrządzone krzywdy. Nie zrobiła niczego, co znalazło się na liście jej zbrodni. Szkodzenie innym było wbrew zasadom, zgodnie z którymi żyła ona i jej rodzina.

Dwukrotnie odmówiła. Ale za trzecim razem pokazał jej inne wędzidło, którego byłby zmuszony użyć, gdyby wciąż przeciwstawiała się odpokutowaniu. Wędzidło to miało tak zwane żądła wiedzy – kolce, które wbijałyby się w jej policzki i język. Pokazał jej też inne rzeczy, które miały przekonać ją do „dobrowolnego” przyznania się do winy.

Kiedy wreszcie podpisała zeznanie, powiedział, że jest jej wdzięczny, gdyż uwolniła go od konieczności kontynuowania tak uciążliwego zadania. Podpisując dokument, sama skazała się na śmierć – on nie musiał już tego robić.

*Drań!*

Łzy wypełniły jej oczy.

Tak trudno oddychać. Tak bardzo trudno.

Cieszyła się, że jej matka i babka były nieobecne, gdy przybyli ludzie barona – i Mistrza Adolfo; udały się akurat do sąsiedniej wioski, by pomóc przy porodzie. Miała nadzieję, że Mały Lud ostrzegł je, gdy wracały do domu, i dzięki temu udało się im uciec.

Nie zostało jej wiele czasu. Jej ciało domagało się powietrza.

Woda była jej siłą i miłością. Ale oni złożyli ją pośrodku suchego pola po drugiej stronie wioski, za daleko od Starego Miejsca, które było jej domem i mogłoby stanowić jakąkolwiek pociechę. Gdyby tylko była w stanie po raz ostatni poczuć strumień wody na dłoni, może zaakceptowałyby...

Ledwo zdołała usłyszeć własny szloch.

Za polem, za szpalerem drzew, strumień wydawał się wahać. Jego koryto było pełne wyrw. Coraz większych. Woda wciskała się w te szczeliny, drążyła sobie drogę między korzeniami drzew, aż dotarła do nowego kanału,

który parł do przodu pod ziemią.

Jej dłoń była mokra. Nie wilgotna od ziemi, ale mokra.

Woda znalazła szczeliny w skrzyni – i strumień zaczął do niej śpiewać, tak jak czynił to po wielokroć.

Zamknęła oczy i zaczęła dryfować wraz z piosenką.

Woda ją otuliła. Nie czuła już swojego ciała, nie czuła bólu. Czuła jedynie wodę, której poziom coraz bardziej się podnosił – i zabierał ją ze sobą.



– Czy to wystarczy? – zapytał Hirstun, wczytując się w zeznanie.

– Wystarczyłoby w zupełności w Arktosie i Wolframie – odparł Adolfo. – Sylvalan ma podobne prawo: każda osoba skazana za haniebne zbrodnie przeciwko lokalnej społeczności traci cały majątek, który najwyższy rangą szlachcic z tejże społeczności rozdysponowuje wedle uznania.

Hirstun dobrze znał to prawo; przynajmniej trzech z jego obecnych dzierżawców było niegdyś posiadaczami ziemskimi, zanim jeden z przodków Hirstuna wykrył „zbrodnie” ich rodzin, które pozwoliły mu skonfiskować te majątki i dołączyć do swoich.

– Istnieje tylko jedna kopia – powiedział Hirstun.

– W moim posiadaniu jest jeszcze jedna – odparł Adolfo. I *ta* kopia zawierała dodatkowo jeszcze jedno wyznanie, o którym wspomniałby jedynie wtedy, gdyby Hirstun sprawiał problemy.

– Spodziewam się, że wkrótce wyjedziesz.

Ten ton, równocześnie odprawiający go i rozkazujący, doprowadzał Adolfo do furii, ale jego głos pozostawał łagodny, gdy mówił:

– O ile w Kylwode nie ma innych osób podejrzanych o czarnoksiężstwo. – Wypowiedział to zdanie tonem niemalże pytającym.

– Te trzy były jedynymi wiedźmami w Kylwode – rzekł zimno Hirstun.

*To nie to samo*, pomyślał Adolfo. *Zupełnie nie to samo*. To był największy błąd, jaki popełniła szlachta w Arktosie i Wolframie, gdy zetknęła się z nim po raz pierwszy. Gdy wypełnił swoje obowiązki i dał im to, czego chcieli, zaczęli traktować go jak sługę. Ale potem przekonali się, tak jak przekona się szlachta w Sylvalanie, z jaką mocą Młot na czarownice może uderzyć w dowolną wioskę, jak dalece może się rozprzestrzenić gorączka oskarżeń, jeśli odpowiednio ją podżegać, tak że nawet szlacheckie rodziny nie są przed

nią chronione.

Hirstun otworzył szufladę w biurku, wyjął mieszczącą się w dłoni sakiewkę pełną złotych monet i położył ją na blacie.

– Gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy o kłopotach w Kylwode, zgodziłeś się zapłacić dwa mieszki złota za moje usługi – powiedział cicho Adolfo.

– Ale ostatecznie musiałeś sobie poradzić tylko z jedną z nich, a nie ze wszystkimi trzema – odparł ostro Hirstun. – Pozostałe dwie tu nie wrócą. Połowa ustalonej sumy za jedną trzecią pracy wydaje się więcej niż uczciwą zapłatą.

Czyli tak to miało wyglądać.

Adolfo rozparł się na krześle i odwrócił głowę na tyle, by wyjrzeć przez okno na dzieci barona, które zebrały się na trawniku wraz z przyjaciółmi.

– Zły jest zwodniczym przeciwnikiem – powiedział. – Czasami ktoś wpada w jego sidła, nie zdając sobie z tego sprawy, póki nie przekona się go do otworzenia duszy i przyznania się. Czasami ktoś zostaje sługą Złego poprzez cielesne zbliżenie. Ból to jedyna droga duchowego oczyszczenia dla tego, kto dał się skusić żądzy wiedzy.

Hirstun też wyjrzał przez okno. Dłuższą chwilę patrzył na najstarszego syna, po czym odwrócił się z powrotem do Adolfo.

– Oskarżasz mojego syna o cielesne obcowanie z wiedźmą?

– A mówiliśmy o twoim synu? – odparł Adolfo łagodnie.

Nagła bladość Hirstuna była wystarczającym potwierdzeniem podobieństwa między jego córką a czarownicą, którą właśnie skazali.

Długa, pełna napięcia cisza zawisła między nimi.

Adolfo czekał cierpliwie, jak robił to wiele razy wcześniej. Był łysiejącym mężczyzną w średnim wieku, o pociągłej twarzy uczonego i silnym ciele prostego robotnika. Jego odzież, choć w nijakim kolorze i o prostym kroju jak u chłopca, została wykonana z najwyższej jakości wełny i lnu. W jego głosie pobrzmiwała zarówno modulacja typowa dla wykształconych szlachciców, jak i chropawość człowieka, którego wychowała ulica. Ludzie tacy jak baron nigdy nie byli pewni, czy był młodszym synem w prominentnej rodzinie, którą dopadły cięższe czasy, czy dzieckiem ulicy, które poświęciło lata, ucząc się naśladować lepiej urodzonych, żeby udawać jednego z nich. Choć brak szacunku doprowadzał go do pasji, doceniał korzyści płynące ze zwodzenia szlachty, której wydawało się, że ma do czynienia z kundlem, by nagle się zorientować, że wilk rzuca im się do

gardła.

Wreszcie, niechętnie, Hirstun wyjął drugi mieszek złota.

– Dziękuję, baronie Hirstunie – powiedział Adolfo. – Robię co muszę, ponieważ takie zlecono mi zadanie, ale wiąże się ono też z pewnymi kosztami.

– Wydajesz się wieść dostatnie życie jako Młot na czarownice. – Hirstun zezował na niewielkie klejnoty całkowicie pokrywające duży medalion, który Adolfo nosił na brązowej wełnianej tunice.

Adolfo potarł palcami medalion.

– Poświęciłem tej pracy ostatnie trzydzieści lat życia. Każdy z tych kamieni reprezentuje wioskę w mojej ojczyźnie, którą oczyściłem z czarownic – i wszelkich innych śladów czarnoksiężstwa.

– Rozumiemy się wystarczająco dobrze – powiedział ostro Hirstun. – Wierzę, że ten stan rzeczy się utrzyma.

– Ja również mam taką nadzieję – rzekł Adolfo, zabierając sakiewki ze złotem. – Proszę o wybaczenie, baronie, ale muszę wysłać wiadomość do moich współpracowników inkwizytorów.

– Dlaczego?

Adolfo uśmiechnął się lekko.

– Praca, którą wykonujemy, pełna jest niebezpieczeństw. Mamy w zwyczaju informować się nawzajem, gdzie jesteśmy oraz dokąd się wybieramy. Dzięki temu, jeśli któremuś z nas coś się stanie, pozostali będą wiedzieli, gdzie rozpocząć poszukiwania Złego.

– Rozumiem – mruknął cierpko Hirstun.

*Zaczynasz rozumieć, pomyślał Adolfo, kłaniając się i opuszczając pokój. Na razie tyle wystarczy.*



W szarym świetle przed wschodem słońca Morag pozwoliła swemu karemu koniowi wybrać drogę przez przesiąknięte pole, kierując się w stronę młodej kobiety siedzącej na niewielkim kopczyku ziemi. Ujrawszy strach i napięcie na jej twarzy, zebrała wodze kilka metrów od niej i pozwoliła, by delikatna cisza stworzyła pomost między nimi.

– Widzisz mnie – powiedziała kobieta.

Usta Morag wygięły się w delikatnym uśmiechu.

– Jestem Zbieraczką. Widzę wszystkie duchy.

Strach i napięcie opuściły kobietę, zastąpiło je coś na kształt nadziei.

– Przybyłaś, by zabrać mnie do Krainy Wiecznego Lata?

Przez chwilę nie odpowiadała, niepewna, co sądzić o człowieku, który wspomina o Krainie Wiecznego Lata. To była jej pierwsza dłuższa podróż do świata ludzi, odkąd mniej niż rok temu została Zbieraczką – a zarazem jej pierwsza podróż w ogóle do północno-wschodniej części Sylvalanu. Do niedawna żadna z osób, którą zebrała, nie pytała o Krainę Wiecznego Lata.

– Mogę cię poprowadzić do Cienistej Zasłony. Znajdujące się za nią miejsce zwano wieloma mianami. Może jest to wiele miejsc. Twój duch zna swój dom. Jeżeli jest nim właśnie Kraina Wiecznego Lata, odnajdziesz go.

Gdy wyciągnęła rękę, poła rękawa jej czarnej szaty rozpostarła się niczym skrzydło kruka.

– Chodź.

Kobieta uniosła się nad ziemię i usiadła za Zbieraczką. Gdy poczuła się pewniej, zapytała łagodnie:

– Myślisz, że pewnego dnia zobaczę w Krainie Wiecznego Lata moją matkę i babkę?

Gdy Morag zawracała karego konia, by wrócić tam, skąd przyjechała, pomyślała o dwóch kobietach, których ciała zostawiono nieopodal drogi prowadzącej do tej wioski; o dwóch kobietach, których duchy zebrała i zaprowadziła do Cienistej Zasłony. Kiedy kopiec i pole zniknęły z zasięgu ich wzroku, odpowiedziała:

– Spotkasz je tam.

## ROZDZIAŁ 3

Ari próbowała nie wzdychać głośno, stawiając ciężki kosz na podłodze sklepu Babci Gwynn. Szczerze liczyła na to, że Odella i pozostałe młode szlachcianki z Ridgeley szybko załatwią swoje interesy.

Dostrzegłszy ruch, Odella rzuciła Ari ostre spojrzenie, a następnie na powrót zwróciła się w stronę drobnej, pomarszczonej kobiety stojącej za drewnianym kontuarem na końcu sklepu.

– Masz to, Babciu?

Babcia Gwynn fuknęła:

– Niegodziwa dziewczyno! Ranisz moje serce, sugerując, że mogłabym zapomnieć o specjałach dla moich pięknych panienek. Oczywiście, że je mam. Poczekajcie tutaj.

Zniknęła za ciężką kotarą oddzielającą składzik od frontu sklepu. Odella i pozostałe dziewczęta zaczęły szeptać i chichotać.

Próbując udawać, że ignoruje je, tak jak one ignorowały ją, Ari czekała. Powinna była wsłuchać się w to dziwne przeczucie dziś rano i zostać w domu. Mogła pracować w ogrodzie albo dokończyć sprzątanie chaty. Mogła wziąć szkicownik i kolorową kredę do lasu i poświęcić dzień na tworzenie szybkich szkiców, które potem zmieniała w tkane gobeliny, co pozwalało jej zarobić na życie. Ale samotność wkradła się w jej sny ubiegłej nocy, przez co zapragnęła towarzystwa. Jakiegokolwiek. Zwinęła więc gobeliny, które zamówiła pani Brigston, a do tego spakowała buteleczki ziołowych naparów, które planowała sprzedać w sklepie Babci. Zapakowała kosze na niewielki ręczny wózek i odbyła trzymilowy spacer do wioski.

Babcia Gwynn pojawiła się ponownie, niosąc w rękach niewielkie pakunki owinięte brązowym papierem.

– Bardzo proszę, piękne panie. Specjały zagwarantują wam dobrą zabawę podczas Letniego Księżycy.

Odella i pozostałe dziewczyny pochyliły się nad ladą, podczas gdy Babcia Gwynn odwijiała jedną z paczuszek. Niektóre wstrzymały oddech, a potem

zachichotały, zasłaniając usta dłońmi.

– Teraz schowajcie je w bezpiecznym miejscu do czasu, aż będą wam potrzebne – powiedziała Babcia Gwynn, podając pakunek każdej z dziewcząt. Zmrużyła oczy. – Gdzie jest ostatnia dziewczyna?

Odella niecierpliwie machnęła dłonią.

– To nie ma znaczenia. Co robimy z tymi specjami? Jak to działa?

– To ma znaczenie, panno Odello – odparła posępnie Babcia Gwynn. – Złożono siedem zamówień. Przygotowałam siedem pakunków. Siedem musicie odebrać.

– W takim razie ja wezmę też ten dodatkowy.

Babcia Gwynn potrząsnęła głową.

– Trudno stwierdzić, co się wydarzy, jeśli jeden pakunek tu zostanie albo jeśli jedna osoba weźmie dwa.

Odella lekko pobladła. Rozejrzała się po sklepie. W jej oczach pojawiły się drapieżne iskierki.

– To oddaj go Ari. – Skinęła dłonią na dziewczynę. – Podejź tu, Ari. To tylko trochę zabawy, by uczcić pierwszy księżyc lata.

Ari przyjrzała się dziewczynom, które teraz wpatrywały się w nią z niesłabnącym zainteresowaniem. Wewnętrzny głos napomniiał: *Uważaj. Uważaj! Nie życzą ci dobrze. Samotność owinęła się ciasno wokół jej serca, szepcząc: To twoja szansa, by należeć do grupy, choćby tylko przez chwilę.*

Podeszła do kontuaru.

– Wyciągnij lewą rękę – nakazała Babcia Gwynn.

Kiedy Ari się zawahała, Babcia chwyciła jej dłoń i wcisnęła w nią zawartość paczuszki.

Ari syknęła, gdy niewielka iskra magii przebiegła przez jej lewe ramię prosto do serca. Chwilę później uczucie zniknęło. Spojrzała na specjały i zalała ją fala niepokoju.

Dwie figurki z brązowego cukru. Jedna w kształcie kobiety. Druga – w kształcie fallusa.

– Owiń je teraz z powrotem – powiedziała Babcia Gwynn, uśmiechając się przebiegle, gdy podawała Ari brązowy papier.

Ari pospiesznie owinęła figurki. Najchętniej zostawiłaby je na ladzie, gdyby nie to, że Babcia obserwowała ją z uwagą, pilnując, by wsunęła paczuszkę do kieszeni spódnicy.

Babcia skrzyżowała ręce nad obwisłym brzuchem.



– Pełnia księżyca za dwa dni. Musicie wyjść na zewnątrz tej nocy. Rozważnie wybierzcie ścieżkę, ponieważ musicie ofiarować swoją kobiecą figurkę pierwszemu samcowi, którego ujrzycie tej nocy, a który nie jest waszym bliskim krewnym, i powiedzieć: „Poprzez ten specjał podarowuję ci afekt mego ciała, od pełni do nowiu księżyca. Przysięgam w obliczu Pana Słońca i Pani Księżyca. Niechaj poskąpią mi po wieki swego światła, jeśli nie dotrzymam tego przyrzeczenia”.

Ari zadrżała. To nie brzmiało jak letnia rozrywka. Nie gdy musi przysięgać w imię tych dwojga.

– Jeżeli samiec przyjmie specjał – kontynuowała Babcia Gwynn – wybór się dokonał. Musicie zjeść męską figurkę w jego obecności, by dopełnić magii, i musicie dać mu tyle afektu, ile sobie zażyczy, aż do nowiu księżyca. – Znów uśmiechnęła się przebiegle. – Nie powinniście mieć z tym problemu.

– A jeśli nie chcemy pierwszego samca, którego zobaczymy? – spytała Bonnie, pulchna blondynka.

Babcia spojrzała na nią z niechęcią.

– Składasz ofertę *pierwszemu*. Jeżeli odmówi, wolno ci poszukać kolejnego. Jeżeli się zgodzi... magia jest wiążąca, panienko. Przeciwwstawiając się jej, zaprzeczając jej, odrzucając ją – robisz to na własną zgubę. Jeśli nie użyjesz specjałów, by przyciągnąć światłość afektu, przyciągniesz do siebie mroczne uczucia.

Dziewczyny poruszyły się nerwowo. Nawet Odella wyglądała na zmartwioną.

Ari poczuła, że jej niedobrze.

Babcia poklepała dłoń Odelli.

– Przez następne dwa dni przed zaśnięciem spędźcie kilka minut, rozmyślając w ciszy, i zastanówcie się, czego oczekujecie od swojego kochanka. Nie próbujcie sobie wyobrazić konkretnego mężczyzny – ostrzegła, unosząc palec. – Jedynie pożądane cechy u samca, który będzie waszym kochankiem od pełni do nowiu księżyca – a może o wiele dłużej, jeśli jesteście sprytne.

– Ale... – Odella zaczęła protestować.

– Mężczyźni z Ridgeley nie są jedynymi, którzy przemierzają drogi w noc Letniego Księżyca – przerwała jej Babcia, uśmiechając się złowieszczo.

– Och... – Odella zadrżała. Następnie posłała Ari złośliwy uśmiezek. –

Jestem pewna, że Royce, mój brat, będzie miał coś do załatwienia tego wieczora.

Gardło Ari zacisnęło się tak mocno, że przełykanie sprawiało jej ból.

– A teraz już idźcie. – Babcia Gwynn wygoniła dziewczęta za drzwi, po czym skinęła na Ari. – Ty chodź za mną.

Ari podniosła kosze pełne naparów i ruszyła za Babcią Gwynn za kotarę.

Gdy tylko ustawiła kosze na stole pośrodku pomieszczenia, Babcia Gwynn kazała jej się odsunąć i zaczęła je rozpakowywać.

– Świetnie. Świetnie. Wczoraj sprzedałam ostatnią buteleczkę. – Komentowała i mamrotała, czytając każdą schludną etykietę. Wreszcie odsunęła się, skrzyżowała ręce na brzuchu i zmrużyła oczy, spoglądając na Ari. – Dam ci półtora miedziaka za każdą butelkę.

Ari wpatrywała się w Babcie przez dłuższą chwilę, zanim udało się jej wydobyć z siebie głos:

– Umawialiśmy się na trzy miedziaki za butelkę.

– To było zanim giermek Kenton kupił napar dla swojej słabującej żony. Może dodałaś jakąś kłótnię, warząc napar? Pani Kenton potwornie się rozchorowała po zaledwie kilku łyżeczkach. Była na tyle chora, że trzeba było zawezwać lekarza. I jak myślisz, na kogo się wściekł giermek i komu groził postawieniem przed obliczem sędziego, o ile wizyta lekarza nie zostanie opłacona?

– W naparze nie było nic, od czego można by zachorować, o ile został odpowiednio podany – broniła się Ari. *Pomijając to, co mogłaś do niego dodać, by twierdzić, że sama go uwarzyłaś*, dodała w myślach. *O ile pani Kenton w ogóle zachorowała.*

Babcia Gwynn poczerwieniała, jakby usłyszała myśli dziewczyny.

– Półtora miedziaka – powtórzyła. – Więcej nie dostaniesz.

Zimny spokój ogarnął Ari, gdy szybko przepakowywała kosze.

– Więc sprzedam je gdzieś indziej.

– Gdzieś indziej? – Babcia podniosła głos. – I jak sądzisz, kto je kupi? Nikt w Ridgeley nie tknie naparu, jeśli będzie musiał przyznać, że pochodził on od *ciebie*.

– Więc sprzedam je w Wellingsfordzie lub w Seahaven.

– Podróż do każdego z tych miejsc to cały dzień drogi powozem tam i z powrotem, a do tego dochodzi czas na handel po domach. Zostawiłabyś swoją chatę bez opieki na tak długo?

Złośliwa nuta w głosie Babci sprawiła, że Ari podniosła głowę.

Zeszłej wiosny uzgodniła z Ahernem, burkliwym staruszką, który był jej najbliższym sąsiadem, że jeden z parobków pracujących w jego stajni będzie doglądał jej krowy i kurczaków, gdy ona pojedzie do Seahaven, by sprzedać kilka gobelinów. Kupiec, któremu zaprezentowała gobeliny, był pod takim wrażeniem jakości jej prac, że wykupił wszystkie – a do tego obiecał przejrzeć pozostałe jej towary, jeśli przywiezie mu je następnym razem. Uradowana i z głową pełną planów, by sprzedać mu wyroby za dobrą cenę, jakiej nigdy nie otrzymałaby od szlachty w Ridgeley, tanecznym krokiem przemierzała drogę po nocy spędzonej na wozie jadącym wzdłuż wybrzeża od Seahaven do Wellingsford, z którego wysiadła na skrzyżowaniu z drogą do Ridgeley – i do Brightwood, jej domu.

I wtedy, w świetle poranka, zobaczyła, jakie powitanie jej zgotowano.

Jej zwierzęta zostały wyrżnięte, poszatowane na kawałki. Głowę krowy i dwa kurczaki wrzucono do przydomowej studni. Część wnętrza rozchlapano na tylnej ścianie jej chaty.

Człowiek Aherna przybył na miejsce wkrótce po niej, rzucił jedno spojrzenie na pobożowisko i pobiegł z powrotem, by powiadomić swojego pana. Po chwili przybył Ahern ze wszystkimi ludźmi. Starzec towarzyszył jej, gdy wchodziła do chaty. Ale zakłęcia ochronne nie pozwoliły intruzom wtargnąć do środka.

Mężczyźni wyczyścili studnię, usunęli truchła zwierząt, a nawet wymyli tylną ścianę domu. Mimo to przez kilka kolejnych tygodni chodziła co rano do najbliższego strumienia, by przynieść stamtąd wodę pitną.

Później tego roku, kiedy Ahern zapytał ją, czy uda się ponownie do Seahaven, by sprzedać gobeliny, odmówiła. Zrozumiała ostrzeżenie. Ludzie w Ridgeley tolerowali fakt, że mieszka poza wioską, na skrawku ziemi, który łaskawie dla niej przeznaczali, ale nie pozwolą jej na zerwanie się ze smyczy, o ile nie zrzeknie się Brightwood, ziemi, która była w posiadaniu jej rodziny, odkąd pierwsza wiedźma przekroczyła granicę.

Nie mogła porzucić ziemi. To było jej dziedzictwo. Oraz jej brzemię.

– W porządku – powiedziała Babcia Gwynn, wyrrywając Ari z zamyślenia. – W porządku. Dwa miedziaki. Więcej i tak nie dostaniesz.

Ari wystawiła dłoń. Twarz Babci pociemniała. Mamrocząc coś pod nosem, kobieta wyciągnęła mieszek z kieszeni spódnicy. Wyglądała, jakby chciała napluć na każdego miedziaka, zanim przekaże go w ręce Ari. Dziewczyna

w milczeniu wsunęła sakiewkę do głębokiej kieszeni spódnicy, a następnie zaczęła ponownie rozpakowywać kosze. Kiedy odsunęła kotarę, Babcia Gwynn rzekła złośliwie:

– Mam nadzieję, że twój specjał da ci wszystko, na co zasługujesz.

*Albo przynajmniej nie wyrządzi mi krzywdy*, pomyślała Ari, opuszczając sklep.

Odella i pozostałe dziewczęta stały razem w pobliżu. Kiedy żadna z nich nie zaszczyciła Ari spojrzaniem, ta odetchnęła z ulgą.

– Zamierzam przejść się jedną z leśnych ścieżek – powiedziała Bonnie. – Jeśli któryś z nich będzie w pobliżu, to na pewno nie na głównej drodze.

Inna dziewczyna wachlowała się koronkową chusteczką. Jej głos drżał z ekscytacji i przerażenia:

– Naprawdę uważasz, że oni przybędą na Letni Księżyc?

– Ty raczej skończysz z Eddisem lub Hestem – odparła Bonnie nieco podle.

– Byle nie z Hestem... On ma pryszczę.

– Cóż – wtrąciła Odella z cynicznym uśmieszkiem – wiesz, co według chłopców jest najlepszym lekarstwem na pryszczę, prawda?

Dziewczęta zachichotały.

Ustawwszy kosze na wózku, Ari oddaliła się najszybciej, jak się dało, bez sprawiania wrażenia, że stąd ucieka. Powinna była mieć baczenie na to dziwne przeczucie wiszące w powietrzu. Pani Brigston próbowała się wykręcić z płacenia za gobelin. Doświadczywszy już na własnej skórze tendencji szlachty do oszukiwania wszystkich niżej sytuowanych, Ari musiała odmówić kobiecie, gdy ta zapragnęła zabrać gobelin do domu, by „sprawdzić kolory” przed uiszczeniem zapłaty. Była też Babcia Gwynn, prosta znachorka, o umiejętnościach magicznych rozwiniętych do tego stopnia, że stanowiła zagrożenie dla każdego, kto ufał jej naporom i zaklęciom, a do tego na tyle chciwa, że handel z nią nigdy nie był uczciwy, jeśli mogła coś na tym ugrać.

Teraz więc Ari wracała do domu z gobelinem, którego nikt nie chciał kupić, kilkoma miedziakami i przemożną ochotą, by uciec, zanim stanie się coś jeszcze.

Nie uciekła jednak dostatecznie szybko.

Royce, dziedzic barona Felstona, czekał na nią poza granicą wioski, tuż za zakrętem głównej drogi.

Większość dziewcząt wzdychała do szczupłej sylwetki Royce'a i jego przystojnej twarzy okolonej złotymi lokami, ale Ari wiedziała, jaki temperament czai się za błękitem jego oczu, znała też podłość jego duszy, której nie mogła osłodzić żadna ilość pochlebstw.

Pozdrowiła go chłodnym, uprzejmym skinięciem, licząc na to, że pozwoli jej przejść.

Royce wyszczerzył się w uśmiechu i zaczął iść obok niej.

– Słyszałem, że dostałaś specjał z okazji Letniego Księżyca. Przyjrzyjmy się mu.

Uniknęła wyciągniętej ku niej dłoni, umieszczając wózek pomiędzy nimi.

– Trzymaj się ode mnie z daleka.

Tak mocno skupiła się na obserwowaniu go, że ledwie odnotowała buzującą w niej moc – siłę ziemi i ciepło ognia.

– Dlaczego miałbym to robić? – zadrwił Royce. – Podnosiłaś już dla mnie spódnice. – Jego wzrok prześlizgnął się po jej ciele. – Byłaś lepsza niż nic, chociaż niewiele. Chłodny numer, niewarty powtórzenia. Ale pomyślałem, że może magia specjału rozgrzeje cię nieco i uczyni sprawy bardziej interesującymi.

Rozgrzeje ją? *Rozgrzeje ją?* Gdyby stała się choć trochę gorętsza, niż jest teraz, stanęłaby w płomieniach.

– Zostaw. Mnie. W spokoju – wycedziła.

– Jak pani sobie życzy – odparł Royce, składając jej kpiący ukłon. Po chwili jego twarz stężała. – Ale w noc pełni będę jechał w stronę nadbrzeżnej drogi i spodziewam się, że cię tam spotkam.

Odwrócił się w stronę wioski, a potem znów w stronę Ari, celując w nią palcem.

– A jeśli się dowiem, że podniosłaś spódnice dla jakiegokolwiek innego mężczyzny, zanim ja się tobą nacieszyłem, pożalujesz.

Odczekała na tyle długo, by upewnić się, że naprawdę odszedł. Następnie chwyciła rączkę wózka i pospieszyła drogą w przeciwną stronę.

Zanim udało się jej ujść pół mili, musiała się zatrzymać. Czuła dreszcze i gorączkę. Zdjęła krótki płaszcz.

– Tylko się nie rozchoruj – mruknęła, składając okrycie i wkładając je do jednego z koszy. – Nie... – Zamilkła gwałtownie. Skoncentrowała się i poczuła uderzenie mocy, czekającej na to, aż ją uwolni. – Głupota – wymamrotała, odsuwając się od wózka. – Głupota, głupota, głupota. Ile razy

Matka ci powtarzała, że nieświadome czerpanie mocy jest równie niebezpieczne dla wiedźmy, co dla świata, który ją otacza?

Zamknęła oczy, czując ból w sercu, jakby potarła siniak, który został na nim po śmierci matki dwie zimy temu. Wzięła kilka głębokich wdechów, by się uspokoić. Powoli, ostrożnie uziemiła swoją moc, którą bezmyślnie przyzywała, oddając ją Wielkiej Matce. Kiedy skończyła, czuła się wyczerpana i niesamowicie spragniona, ale też spokojniejsza.

Były czasy, jak opowiadała jej babka, kiedy wiedźma mogła rozkazywać mocom ze wszystkich czterech gałęzi Matki – ziemi, powietrza, wody i ognia. Ale przez lata coś się zmieniło i siły wiedźm osłabły. Od kilku pokoleń kobiety z jej rodziny były obdarzane darem z jednej głównej gałęzi i śladową ilością mocy z drugiej. Ari była pierwszą od długiego czasu, która dysponowała niemalże równą siłą czerpaną z dwóch gałęzi Matki – ziemi i ognia.

– Ale nawet takie pokłady mocy nie są szczególnie przydatne, jeśli chodzi o zadawanie się z osobniczkami pokroju pani Brigston czy Babci Gwynn – powiedziała miękko, sięgając do kieszeni spódnicy i wyciągając pakunek ze specjałem. Jest w tym dość magii, by nie śmiała jej zignorować. A skoro nie mogła jej zignorować, jakiego kochanka chciałaby do siebie przyciągnąć?

– Mężczyznę, który ma w sobie tak dobroć, jak i siłę – powiedziała do specjału. – Mężczyznę, który potrafiłby mnie zaakceptować taką, jaka jestem. Mężczyznę, który nie pochodzi z Ridgeley. Jak mówię, tak...

Potrząsnęła głową i z powrotem wcisnęła paczuszkę do kieszeni spódnicy. Babcia Gwynn może i jest prostą znachorką z wystarczającą siłą, by posługiwać się szelmowską magią, ale ona, tak jak wszystkie inne kobiety w jej rodzinie, które żyły przed nią, jest prawdziwą wiedźmą, w pełnym rozumieniu tego słowa. A wiedźma nie rzuca swych życzeń na wiatr.

Chwyciła za wózek i ruszyła do domu, zmagając się z gonitwą myśli i wspomnień.

Royce zaczął smalić do niej cholewki wkrótce po jej piętnastych urodzinach. Był pierwszym mężczyzną w Ridgeley, który traktował ją z kurtuazją, a jego słodkie słowa zwiodły ją na tyle, by uwierzyła, że jest w niej równie zakochany, jak ona w nim – aż do nocy, kiedy spotkali się na łące, a on wybłagał u niej uczynienie ich miłości fizyczną unią. Ponieważ wychowano ją w poczuciu, że intymność to dar od Matki, była chętna uczcić w ten sposób ich miłość. Nie zaznała żadnej przyjemności z szybkiego,

ostrego spółkowania, które jemu zdawało się podobać. A później... Później podziękował jej drwiąco za przyniesienie mu ulgi... I za pomoc w wygraniu zakładu, w którym obstawił, że uda mu się ją osiąść w ciągu jednego cyklu księżycy od rozpoczęcia „zalotów”. Zawlekła się do domu, upokorzona i zrozpaczona. Jej matka i babka wykazały się zrozumieniem – i nigdy nie mówiły głośno o smutku, który czuły na myśl o tym, że jej pierwsze miłosne doświadczenia zostawiły po sobie jedynie gorzkie wspomnienia.

Ari wzięła głęboki wdech i otrząsnęła się z tych myśli. Nic dobrego nie wynikało z rozpamiętywania tego, co nastąpiło dwa lata temu – tego, na co nie pozwoliła sobie od tamtej pory. Może właśnie to uczucie w powietrzu sprawiło, że pączkujący letni dzień był równie natarczywy jak nadchodząca zimowa zawierucha. Była w tym jakaś wiadomość; gdyby tylko mogła ją zrozumieć. Ale to ziemia i ogień były tymi gałęziami Matki, z których czerpała siłę, nie potrafiła więc wyczuć, co chcą powiedzieć gałęzie wody i powietrza.

*Pomyśl o czymś innym, nakazała sobie stanowczo. Twoje myśli są twoją wolą, sprowadzasz na siebie to, czego chcesz.*

Samotność sprowadziła na nią wydarzenia dzisiejszego dnia niczym lawinę. Zignoruje ją następnym razem, gdy nawiedzi ją w snach. Była samotna od śmierci matki, która odeszła kilka miesięcy po babce Astrze. Przyzwyczajai się do tego, nie może pozwolić, by to uczucie nią rządziło. Nie miała wyboru – z całej rodziny została już tylko ona.

„Jesteśmy wiedźmami. Nie zaprzeczaj temu”, powiedziała jej kiedyś Astra. „Każda z nas sama musi zdecydować, czy uzna to za dar, czy za brzemię. Ale to tylko słowo, dziecko, i tylko ty możesz zdecydować, co będzie ono oznaczać. Jeśli pozwolisz, by inni określali, kim jesteś, pozwolisz odebrać sobie największą moc ze wszystkich”.

Mądre słowa silnej, mądrej kobiety. Ale nawet Astra nie mogła przewidzieć czasów, kiedy na świecie zostanie tylko jedna z nich – a w dodatku będzie to siedemnastoletnia dziewczyna, która szuka swojej tożsamości, podczas gdy cała wioska usiłuje ją zmienić i osłabić.

Zduszając w sobie chęć płaczu, Ari rozejrzała się i zauważyła jastrzębia przyglądającego się jej z pobliskiego drzewa. Poczwała, że jej nastrój się zmienia, jak zawsze wtedy, gdy widziała jedno z dzikich dzieci Matki, i uśmiechnęła się po raz pierwszy tego dnia. Unosząc rękę w geście pozdrowienia, zawołała:

– Niech cię dzień błogosławi, bracie jastrzębiu.

Jastrząb nie odpowiedział. Ale zauważyła, że za każdym razem, kiedy się odwraca, on na nią patrzy.

*To tylko jastrząb*, pomyślała, znowu czując, jak przygniata ją to dziwne coś w powietrzu. Oczywiście, że to był tylko jastrząb. Z drugiej strony mógł to być lord albo lady Fae z Tir Alainn. Mawiano, że każde z nich ma jakąś drugą formę, którą może przybierać.

Tir Alainn. Kraina Czarów. Kraina po drugiej stronie. Kraina magii – a do tego dom Fae, najpotężniejszych dzieci Matki.

Lepiej było wierzyć, że jastrząb jest tylko jastrzębiem. Pomimo tego, co Odella i inne dziewczyny myślały o romantycznej schadzce na drodze w świetle księżycy z lordem Fae, Fae nie zawsze byli mili, kiedy spotykali człowieka.

Wstrząśnięta nagłym dreszczem, Ari pospieszyła do bezpiecznego domu.

Miała dwa dni, by pojąć magię, jaką Babcia Gwynn zaklęła w specjał; dwa dni na odkrycie, czy istnieje jakiś bezpieczny sposób, by przeciwdziałać zaklęciu. Jeśli jej się nie uda, będzie musiała być posłuszna czarowi i przysięgnąć przed dwoma najpotężniejszymi Fae – Panią Księżycy i Panem Słońca.

Łowczynią... i Światłym.



## ROZDZIAŁ 4

Dianna stała na jednym z tarasów, spoglądając na ogrody domu klanu. Obserwowała swego brata, aż nie zniknął jej z oczu.

– Grasuje w ogrodzie przez cały ranek – powiedziała Lyrra, sadowiąc się na niskim murku okalającym taras. – Z jego spojrzenia można wyczytać, że zły los spotka każdego, kto zaoferuje mu towarzystwo.

– Masz na myśli każdego, kto zaoferuje mu baraszkowanie – odpowiedziała defensywnie Dianna. – Lucian akceptuje zaproszenia wtedy, kiedy ma ochotę, i oddaje się przyjemnościom tam, gdzie chce. – Jej głos ociekał zniecierpliwieniem. – Poza tym mężczyźni wcale nie myślą o tym przez cały czas.

– Czyżby? – rzuciła sucho Lyrra. – Nawet w dniu, kiedy wschodzi pierwszy księżyc lata? – Prychnęła, jednoznacznie dając do zrozumienia, co sądzi na ten temat.

Dianna odwróciła się plecami do ogrodu i usiadła na murku obok Lyrry. Westchnęła. Choć mogła udawać, że nie zna przyczyny niespokojnego zachowania mężczyzny Fae, Lyrra miała rację. Postrzegali noc Letniego Księżyca podobnie jak inni mężczyźni mogli traktować stół bankietowy pełen przeróżnych potraw, których można kosztować. A dania, których smak był najbardziej znajomy, były najmniej atrakcyjne.

*Co nie dotyczy mnie – ani tutaj, ani tam, pomyślała. Dziki Gon także dziś rusza, a każdy, kto stanie nam na drodze, zrobi to na własne ryzyko.*

– Czy Aiden dołączy tej nocy do podróżujących drogą przez Zasłonę?

– Skąd mam wiedzieć? – odrzekła Lyrra, udając obojętność.

*Och, dobrze wiesz.* Dianna dostrzegła, że Lyrra patrzy na ogrody tak, jakby ich nie dostrzegała. *Wiesz o tym i rani cię fakt, jak bez troski bierze sobie kolejne kochanki.*

– Jeśli nasze drogi przetną się dzisiejszej nocy, czy mam ci przywieźć jego serce? – Wypowiedziała te słowa lekko, ale pytanie było całkowicie poważne.

– Jeszcze sobie tego nie uświadomiłaś, Łowczyni? – rzuciła Lyrra z podobną lekkością. – Mężczyźni Fae nie mają serc.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Dianna milczała, póki Lyrra nie wycofała się do domu klanu.

*To nieprawda*, pomyślała, opuszczając taras i przechadzając się po krętych ścieżkach w ogrodzie. Nie dokładnie. W naturze Fae nie leżało bycie... ciepłym w stosunku do siebie nawzajem. Nie w ten sposób. Fizyczne spółkowanie sprawiało przyjemność, ale w założeniu nie dotyczyło serca. Czemu miałoby dotyczyć?

A skoro nie dotyczyło, nie było powodu, dla którego mężczyźni nie mieliby korzystać z uroków kobiet ze świata ludzi. Nie wymagało to od nich wiele wysiłku, a znaczyło jeszcze mniej. Poza tym to garść kobiet z powiększonych rodzin tworzyła dany klan. Kobieta i jej potomstwo. Mężczyźni Fae mieli w zwyczaju składać długie wizyty innym klanom, by uniknąć obsiewania własnego pola. To męscy krewni kobiety, jej bracia i kuzyni, pomagali jej wychować dziecko, a nie jego ojciec. Kobiety Fae rzadko uznawały ludzi za dość interesujących, by brać ich sobie za kochanków, ale jeśli mężczyzna ulżył sobie w ludzkim łożu, jakie to miało znaczenie?

Skowyt skierował jej spojrzenie w lewą stronę. Wygięła wargi w miękkim uśmiechu.

Ogary cienia były jej radością – smukłe i zabójcze, o przepięknej, szarej sierści z czarnymi pręgami. Kiedy biegły, były jak światło księżyca, jak cień w ruchu, i nie było takiej zdobyczy, na czterech czy dwóch nogach, która byłaby dość szybka czy dość sprytna, by umknąć polującym ogarom.

Suka ponownie zawyla, z wahaniem merdając ogonem.

Dianna już prawie wyciągnęła rękę, by ją pogłaskać. Wówczas trzy szczeniaki z ostatniego miotu dołączyły do matki i Dianna przypomniała sobie, dlaczego suka nie jest już jej ulubienicą, dlaczego nie może już pieścić jej ani chwalić, co niegdyś przychodziło jej z taką łatwością.

Dwójka szceniąt była idealna. Ale trzecie... Opalane łapy szpeciły piękną kompilację szarości i czerni, stale przypominając Diannie, że suka wybrała się na inne niż zwykle polowanie, gdy ona pognała stado przez Zasłonę.

Czym innym było zapłodnienie ludzkiej kobiety przez mężczyznę Fae. Bądź co bądź, kobieta otrzymywała lepszego potomka, niż kiedykolwiek mógłby jej dać ludzki mężczyzna, nawet jeśli jej dziecko urodzi się bez

magicznego daru. Czym innym było zaś pozwolenie na to, by pomniejsze stworzenia mieszkały w Tir Alainn.

Powinna była kazać zabić szczenięta w chwili, gdy zobaczyła tego mieszańca. Nie wolno pozwolić im się rozmnażać, ponieważ wpływy ojca mogły równie dobrze dać o sobie znać w kolejnym pokoleniu, nawet u tych szczeniąt, których wygląd nie wykazywał żadnych oznak jego genów. Ale suka była tak opiekuńcza, że nie pozwalała nikomu się zbliżyć do swojego potomstwa, póki Dianna nie pojawiła się w psiarni. Zwierzę tak się cieszyło na jej widok, tak chętnie dzieliło się szczeniętami ze swoją panią... Chwaliła sukę i rozpieszczała ją, kiedy ta tego chciała, nie wydała też rozkazu, żeby zakończyć życie szczeniąt, ale od ich urodzenia nie była w stanie się zmusić do pogłaskania psa.

Teraz też się odwróciła, ignorując nieszczęsny skowyt suki.

Były czasy, gdy kobiety Fae potrafiły znaleźć na tyle pociągających ludzkich mężczyzn, by się nimi cieszyć. Były też czasy, gdy te rozkosze owocowały dzieckiem. Ale żadna kobieta Fae nie trzymałaby takiej istoty w Tir Alainn. Takie dziecko zostawiało się na progu domu ojca, żeby zrobił z nim to, co uważa za stosowne.

Teraz, gdy szczenięta zostały już odstawione od piersi, powinna zrobić z nimi to samo. Zostawić je w świecie ludzi następnym razem, gdy przejdzie przez Zaslone.

Nie, to było nieakceptowalne. Ogary cienia należały do Fae. Jeśli ludzie dostaliby w swoje ręce choćby skundlone szczeniaki, ogary cienia nie należałyby już wyłącznie do Fae. Stałyby się... pomniejszymi, zwyczajnymi stworzeniami. A to byłoby nie do pomyślenia. Co oznacza, że musiała znaleźć inny sposób, by pozbyć się bezwartościowych bękartów.

– Cienie otaczają księżyc, siostrze – powiedział baryton. – Czy to twój umysł podąża mroczną ścieżką czy twoje serce?

Głos sprawił, że Dianna skoncentrowała uwagę na stojącym przed nią mężczyźnie.

– Mogłabym zapytać cię o to samo, Lucianie – odpowiedziała.

Nie mówiąc nic więcej, podsunął jej ramię. Kiedy przechadzali się razem po ogrodach, Dianna przyglądała mu się badawczo kątem oka.

Był jej bliźniakiem, przeciwieństwem, a jednocześnie drugą stroną równania. Ich matka powiedziała kiedyś, że musieli się zamienić miejscami w jej łonie. W pewien sposób było to prawdziwe. Ona, Pani Księżyc, była tą

złotą – jasne włosy i bursztynowe oczy, skóra rozświetlona pocałunkiem słońca – podczas gdy on miał czarne włosy, szare oczy i jasną karnację, której nie imać się słońce. Ale to on był Panem Słońca, Panem Ognia. Światłym.

– Zamierzasz dziś przejść przez Zastonę? – spytała Dianna.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji – odparł opryskliwie Lucian.

*Lyrra miała rację, pomyślała Dianna. Ten ton źle wróży każdemu, kto go zaczepi.*

– Myślę, że powinienes. Nie wydaje mi się, żebyś był zadowolony z ostatniej wizyty złożonej innemu klanowi. Mówi się, że nie okazałeś się zbyt otwartym gościem.

Dlatego też okopała się na pozycji obronnej, kiedy Lyrra wytknęła, że Lucian unika towarzystwa. To było nietypowe dla mężczyzn Fae, by odmawiać zaproszeniu do kobiecego łóża, gdy gościli w domu klanu. W zasadzie uważano to za przejaw złych manier, gdy mężczyzna uparcie odmawiał – o ile nie był już uwikłany w jakąś relację, w której zobowiązał się do utrzymania choć odrobiny wierności. Dlatego też zawołowane narzekania ubrane w kwiecisty słowotok, które do niej docierały, zaniepokoiły ją i sprawiły, że szybko stanęła po jego stronie – jeszcze zanim doszło do jakiegokolwiek sporu. Był jej bratem. W jej naturze leżało branie jego strony w każdej kłótni – wyłączywszy, oczywiście, kłótnie między nimi.

Niemalże odskoczyła, kiedy poczuła, jak jego temperament buzuje. Kosztowało ją dużo wysiłku, by utrzymać swoje ramię lekko splecione z jego, gdy odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Teraz wyraźnie widziała jego oczy.

– Ja się nie wtrącam w to, co ty robisz w łóżku, siostró – powiedział, ledwo się kontrolując. – Co sprawia, że wydaje ci się, iż ty masz prawo wtrącać się w to, co ja robię w swoim?

Dianna przełknęła ostrożnie.

– W mojej naturze w mniejszym stopniu niż w twojej leży szukanie towarzystwa.

Wiedziała, że powiedziała nie to, co powinna, na moment przed tym, zanim się od niej odsunął.

– Lucianie...

– Jakich łask poskapiłem, że ludzie skarżą się mojej siostrze? – prychnął. – Czego takiego, ich zdaniem, nie mogą ode mnie uzyskać szczerą prośbą, że

muszą próbować zaciągnąć mnie do łóżka?

– Nie o to chodzi – zaprotestowała Dianna.

– Nie? – Lucian odszedł od niej na kilka kroków, po czym wrócił. – Kto odrzucił ich zaproszenie, Dianno? Lucian... czy Światły?

– Ty jesteś Światłym, więc jak...

– Który z nich? – zażądał odpowiedzi. – Co powiedzieli, gdy przyszli do ciebie narzekać? Że który z nich wzgardził ich powabem?

Nie odpowiedziała. Nie ośmieliła się. Nie przy jego aktualnym nastroju. Co było nie tak z kobietą, która pragnęła najsilniejszego, najlepszego kochanka i – prawdopodobnie – ojca dla swego dziecka? Kiedy się w nim zrodziło to zgorzknienie? Było zbyt głęboko zakorzenione, by mieć przyczynę wyłącznie w ostatnich odwiedzinach innego klanu. Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegła? I jak mogła kierować swoją furię na cel, który w istocie wcale nim nie był?

– Zwyczaj nakazuje, by obdarzać łaskami w zamian za przyjemność w łóżu – powiedziała ostrożnie. – Tak to już u nas jest.

– A jeśli cena nie jest już warta przyjemności? – odparł miękko, choć jego twarz stężała. – Nie będę tańczyć, jak mi zagrają. Możesz przekazać tę wiadomość klanom.

Tym razem naprawdę odszedł.

Dianna nie ruszyła za nim. Nie miała żadnego argumentu, który mógłby złagodzić jego nastrój. A jeśli miała być szczerą, nie zastanawiała się wcześniej nad rozróżnieniem, którego dokonał. Teraz, gdy wróciła pamięcią do wiadomości, które jej przekazano, zaczęła rozważać, czy nie miał racji. Czy kobiety z innego klanu były rozczarowane tym, że nie doznały uciech od Luciana, jako kochanka, czy może tym, że nie mogły zażądać przysługi od Światłego, który zarządzał wszystkim i wszystkimi w Tir Alainn, wyłączywszy Panią Księżycę?

Ruszyła z powrotem w kierunku domu klanu, spragniona odosobnienia własnych komnat. Miała nadzieję, że Lucian jednak wybierze się dziś za Zasłonę, ale też współczuła komuś – lub czemuś – kto stanie mu na drodze.

Usłyszawszy harfę Aidena, Lucian skręcił w przeciwnym kierunku. Nie miał ochoty na rozmowę z kimkolwiek, a z pewnością nie był też zainteresowany wysłuchiowaniem upstrzonych docinkami przemów Barda. Ruszył więc w stronę jednego miejsca w ogrodzie, którego unikał przez cały ranek.

Zawahał się przez moment, a potem zszedł schodami pod kamiennym łukiem. Dookoła niego wznosiły się kamienie. Nad jego głową drzewa tworzyły baldachim, przez który przebijały jedynie cętki promieni słonecznych. Wciąż mógł dosłyszeć harfę Aideny, ale teraz jej dźwięk mieszał się z szelestem liści, pieśnią natury oferującą komfort.

*Podobnie jak to miejsce*, pomyślał, idąc ścieżką i przesuając palcami po kamieniu. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego to miejsce tak się różni od reszty zakątków w ogrodzie, ale tutaj cisza była bogatsza, zakorzeniona w pokoju, który był w stanie wydrenować serce ze wszelakich smutków. Może jego złość nie była w porządku. Kilka dróg wiodących z Tir Alainn do Sylvalanu zamknęło się, a z wielu spośród tych, które wciąż pozostawały otwarte, trudniej było korzystać. Fae nie byli w stanie powstrzymać dróg przed zamykaniem się, nie potrafili też tworzyć nowych przejść. Byli najpotężniejszymi dziećmi Matki, ale ta część magii nie była im znana. Nawet podróżowanie między terytoriami klanów stawało się coraz trudniejsze. Były one wyspami lądów, połączonymi ze sobą mostami ciągnącymi się nad mgłą. Czasami, nawet gdy droga się nie zamykała, mgła pochłaniała most, niszcząc połączenie między dwoma klanami.

Mógł więc zrozumieć, dlaczego kobiety z klanów chętnie wykorzystwałyby każdego mężczyznę, który nie był ich krewnym, póki wciąż miały do niego dostęp. Ale ogień był zbyt mocno zakorzeniony w jego naturze i nie podobało mu się wyrachowanie wkradające się do alkowy. W ciągu ostatnich dwóch lat, odkąd został Światłym, blask w oczach kobiet Fae, które zapraszały go do swoich łóżek, częściej wydawał się wynikiem kalkulacji niż lubieżności – przebiegłości niż pożądania.

Może to oziębłość zakradła się ostatnio do jego łóżka. A może zwyczajna nuda. Wiedział, czego się spodziewać, wiedział, co się daje, a co bierze, znał to wszystko na tyle dobrze, że wartość zaczęła maleć wraz z czasem. Jedyne, czego nie wiedział, to dlaczego tak się czuje.

Miał dwadzieścia cztery lata. To zdecydowanie za mało, by się znudzić seksem. Może to liczba kobiet, które zapewniły mu przyjemność podczas pierwszego roku bycia Panem Słońca, była przyczyną jego słabnącego zainteresowania. A może jego temperament zapadł w drzemkę jak zimowe słońce i jeszcze się nie przebudził. Czuł narastanie i zanikanie sił bardziej niż wtedy, gdy był tylko kolejnym młodym Panem Ognia.

Narastanie i zanikanie. Niczym słońce na przestrzeni pór roku. Niczym

księżyc w swoim cyklu. Niczym Fae, którzy byli zwierzchnikami poszczególnych darów.

Wydawało się, że co drugi klan ma Pana Ognia, ale tylko jeden mógł czuć nabrzmiewającą moc w Przeddzień Żniw, stojąc przed mężczyzną, do którego należał już ten tytuł. Tylko jeden mógł przyćmić słabnącą moc starego Pana i stać się tym Panem Ognia, Panem Słońca, Światłym. I choć wyzwanie nie odbywało się co roku, młodzi Panowie Ognia wciąż zbierali się podczas tej nocy, niezależnie od tego, czy Światły decydował się porównać swoją moc z ich mocą. A niekiedy niecierpliwy głupiec próbował wyrwać tytuł temu, do kogo obecnie należał, zanim moc Pana wystarczająco osłabła. Głupiec mógł się wówczas przekonać, że porażka bywa brutalna – albo nawet śmiertelna. Ale gdy pora – jak i konkurent – była odpowiednia, wyzwanie stanowiło zaledwie formalność, rytuał, który pozwalał staremu ukorzyć się przed nowym.

Tak było w przypadku wszystkich Fae. Nie spotykali się w tym samym miejscu czy czasie, ale w przypadku każdego magicznego daru, którym mógł władać Fae, jeden z nich zawsze przewodził pozostałym, którzy dzielili dany dar. A wszyscy ci, którzy przewodzili innym, podlegali Panu Słońca i Pani Księżycy. Nie było więc nic dziwnego w tym, że Fae lgnęli do niego częściej niż kiedykolwiek wcześniej, ale zaskoczyło go, jak silnie jednocześnie odczuwał samotność.

Potrząsnął głową. Znowu dał się ponieść myślom. A jeśliby wrócił do domu klanu, nie otrząsnąwszy się z tego nastroju, Aiden pociągnąłby kwestię rządzących, co kłółoby i żądliło jego ego. Ostry umysł i jeszcze ostrzejszy język Barda nie prosiły o łaskę i rzadko jej udzielały, nawet tym, z którymi łączyło ich pokrewieństwo.

Poza tym były lepsze tematy do rozmyślań.

Aiden i Lyrra wysłali potajemnie wiadomości do Bardów i bazarzy wśród Fae. Nikt z bazarzy nie słyszał o wiccanfae, a jedyne pieśni o wiedźmach, które wysłano do Aidena, były tymi, które już słyszał. Jeżeli bazarze i Bardowie nie wiedzieli niemalże nic o swoim potencjalnym wrogu, to pozostali Fae z pewnością tym bardziej nie słyszeli o wiccanfae.

Na łaskę Matki! Jak mogliby chronić Tir Alainn, kiedy nie wiedzieli nawet, skąd się wzięły te stworzenia? Czy przyszły z za gór, które stanowiły wschodnią granicę Arktosu i Wolframu? Czy to dlatego klany, których terytoria łączyły się ze Starymi Miejskami w tych ludzkich krajach, zniknęły

jako pierwsze? Czy to może być tak proste, a zarazem brzydkie rozwiązanie, jak walka o ziemię? Czy wiedźmy mogły zniszczyć drogi wiodące przez Zasłonę, by zagarnąć Stare Miejsca dla siebie?

Pytania wewnątrz pytań, ale ani on, ani Aiden, ani Lyrra, ani Dianna nie mieli żadnych odpowiedzi. Jedyni Bardowie, którzy słyszeli pieśni o wiedźmach, podróżowali przez wschodnie części Sylvalanu. Podróżujący przez środkową część krainy nie słyszeli o niczym takim, z kolei ci z zachodnich klanów... Oni w ogóle nie mieli za wiele do czynienia z pozostałymi Fae. Trzeba ich było zapraszać na wyzwania, chociaż – na całe szczęście – zazwyczaj nikt z nich się na nich nie zjawiał. A kiedy jednak przybywali... Wstydem było uznawać ich za Fae. Cechowało ich takie nieokrzesianie, że żadne fasadowe maniery nie były w stanie tego zatuszować. Przebywanie wśród nich było dla pozostałych co najmniej niekomfortowe.

Potrząsając głową, Lucian opuścił swój prywatny zakątek w ogrodach. Dopóki nie zdobyli odpowiedzi, nie mógł nic zrobić. Wybierze się drogą przez Zasłonę dziś w nocy, ale nie z tego powodu, który miała na myśli Dianna. Obierze długi, trudny szlak w świetle pełni księżyca i będzie czerpał rozkosz dzięki zupełnie innej kochance. Wielkiej Matce. Ziemi w świetle ludzi. W przeciwieństwie do innych znanych mu kobiet ona wciąż pozostawała intrygująca.



## ROZDZIAŁ 5

Adolfo zabezpieczył zatrask okna, a następnie zaciągnął draperie, odcinając się od nadchodzącej nocy. Posiłek, który wcześniej zamówił, stał już na stole, stygnąc.

Nalał sobie do szklanki wino, ale się nie napił.

Dziś był Letni Księżyc, noc magii i swobody obyczajowej, noc, kiedy każdy przyzwoity mężczyzna zostawał w domu od wschodu księżyca, bezpieczny za potężnymi murami i wytrzymałymi zamkami.

Dlaczego jeden z koni przy jego powozie musiał akurat stracić podkowę późnym popołudniem, zmuszając go do zatrzymania się w tej gospodzie i uniemożliwiając przybycie do domu giermka Westuna w Bainbrydge, tak jak to zaplanował? I dlaczego stangret, który pracował dla niego przez ostatnie dwa lata, nagle zasugerował, że mogliby kontynuować jazdę po podkuciu konia, że księżyc w pełni oświetli drogę prawie tak samo dobrze jak słońce? Dlaczego mężczyzna, który powinien lepiej znać swojego chlebowcę, miałby sugerować, że będą bezpieczni, jeśli kupią kilka wrózkowych ciasteczek i kilka butelek wina, by zadowolić każdego, kogo mogliby spotkać po drodze?

Zwykły pech czy niecna intryga? Czy miał szczęście, znajdując gospodę kilka kilometrów dalej? Czy może koń zgubił podkowę dokładnie tak, jak zaplanowano, przez co on został zmuszony do spędzenia tu nocy?

Nie wyczuwał magii w okolicy tego miejsca, a był na nią równie mocno wyczulony, co błotniak na zapach królika. Ale sam fakt, że nie wyczuwał magii, nie oznaczał jeszcze, że magia nie stała za tym wszystkim. Klątwy nie były zaklęciami o natychmiastowym działaniu; karmiły się słabością, przekształcając ją w nieszczęśliwe zdarzenia, małe lub duże.

Czy oczy jego stangreta nie błyszczały zbyt jasno, zbyt żarliwie, gdy mężczyzna zasugerował podróżowanie po zmroku? Wrózkowe ciasteczka i wino. Czy ten głupiec naprawdę wierzył, że to zapewniłoby im ochronę przed Fae?

O to właśnie chodziło. Stangret liczył na to, że spotka istotę, którą znał tylko z opowieści, liczył na podszyte niebezpieczeństwem spotkanie z jednym z Fae.

Przekłęty głupiec. Fae nie byli tak niebezpieczni, jak wynikałoby z tych historii – już nie – ale nie wolno było ich lekceważyć. Dysponowali magią, a magia oznacza moc kontrolowania świata, nawet jeśli chodzi tylko o jego fragment, reagujący na konkretny jej rodzaj. Wszyscy Fae dysponowali magią perswazji, umiejętnością otumanienia słabszego umysłu, by skłonić daną osobę do posłuszeństwa, a do tego posługiwali się urokiem, który skrywał ich prawdziwe oblicza, sprawiając, że wyglądali jak ludzie. Poza tym ich magia była powiązana z konkretną umiejętnością lub elementem świata. To mogło czynić ich niebezpiecznymi zależnie od tego, na co oddziaływała ich magia. Wciąż jednak byli tylko gośćmi, którzy lśniącymi drogami podróżowali z krainy po drugiej stronie, by zabawić się w świecie ludzi – uwodzić głupie młódki czy wabić równie głupich gołowąsów na ich zgubę. Podobnie jak Mały Lud unikali skupisk cywilizacji – miast, większych miasteczek czy wiosek. Miejsc, w których rządzą ludzie. Z Małym Ludem łączyło ich także to, że gdy dana kraina została poskromiona i oczyszczona z magii, odchodzili. W Wolframie wciąż rodziły się nowe historie o spotkaniach z Małym Ludem w najgłębszej części lasu, ale minęło wiele lat, odkąd ktokolwiek widział Fae.

Adolfo podniósł pokrywkę z talerza, a następnie usiadł, by skosztować posiłek.

Trzeba będzie się zająć stangretem. Najwyraźniej przebywanie w kraju, który cuchnie magią, choćby przez kilka tygodni, wpłynęło na tego mężczyznę tak, że nie był już godny zaufania. A zbyt dużo próżniaczego czasu spędzanego na plotkowaniu z sylwalańskimi woźnicami i stajennymi sprawiało, że wstręt stopniowo zamieniał się w romantyczne zainteresowanie.

Odchylił się na krzesło; jedzenie pozostawało nietknięte.

Mężczyznom – ludzkim mężczyznom – pisane jest władanie światem, ale ziemia była jak kapryśna kochanka, szczodra jednego dnia, a kolejnego wstrzemięźliwa ze swoimi skarbami. Trzeba ją było zdobyć, ujarzmić, obdrzeć z dzikości.

Tak jak kobiety. Żaden mężczyzna, który dał się omamić wdziękowi piersi i ud, nie mógł się nazywać swoim własnym panem – przynajmniej do momentu, aż odarł kobietę ze wszystkiego, z czego powinien był ją odrzeć,

by mogła mu się poddać jako posłuszna żona. Wtedy, tak jak w przypadku ziemi, mógł się cieszyć jej szczodrością, tak jak to mężczyźni należne. Ani ziemia, ani kobieta nie były już tak pociągające po oswojeniu, ale za to znacznie bardziej przydatne.

Dwadzieścia lat temu w Wolframie, jego ojczyźnie, mężczyźni dojrżeli do zmian, a on wręczył im klucz, który pomógł im zmienić porządek rzeczy w kraju. Mężczyźni byli teraz zdobywcami, władcami trzymającymi w garści ziemię i kobiece życie.

Szlachta w Sylvalanie również była już gotowa na zmiany. Ich ziemia z roku na rok rodziła coraz mniej plonów, a wielu z nienawiścią spoglądało na bogactwa, których nie mogli tknąć – żyzne gleby będące własnością kobiet, których magia stała mężczyznom na drodze.

Da im więc ten sam klucz i pomocników, których pieczołowicie szkolił przez lata w Wolframie... i w Arktosie. Miał swoje powody, by karmić szlachtę chciwością, tak by przerodziła się ona w chęć eksterminacji wszystkiego, czego nie da się poskromić, ale w ostatecznym rozrachunku zarówno on, jak i baronowie osiągnęli swoje cele. Oni zyskiwali ziemię, na które patrzyli wcześniej zazdrosnym wzrokiem, zyskiwali dominację nad wszystkim w zasięgu ich rąk – a on niszczył czarownice.



Morag przyglądała się słabemu migotaniu w sercu starego drzewa. Kiedy wcześniej jechała tą drogą w ciemnościach, w przeciwną stronę, blask był mocny i wyraźny. To prawda, Zasłona między tym światem a Krainą Czarów wydawała się nieco grubsza i przejście przez nią wymagało więcej czasu, ale nie zastanawiała się nad tym. Wiele dróg było nieprzejezdnych w tych dniach.

Kary koń poruszył się niespokojnie, a następnie zbliżył się o krok do światła.

– Nie. – Morag położyła dłoń na szyi konia, by go uspokoić. – Nie dostaniemy się do domu tą drogą.

*Już nie.*

Koń tupnął nogą i zrobił kolejny krok.

– Nie – powiedziała Morag bardziej stanowczo. Zbierając wodze, odwróciła zwierzę od źródła światła – a zarazem pokusy. To był koń Fae

i potrafił wyczuwać drogi przez Zaslone równie dobrze jak ona, ale nie był w stanie stwierdzić, że magia, która wołała do niego „dom”, nie była już na tyle silna, by bezpiecznie ich tam doprowadzić.

*Co się zmieniło przez czas, który upłynął między nowiem księżyca a pełnią?*, zastanawiała się, kiedy kary koń wybierał drogę po leśnych ścieżkach, zatrzymując się od czasu do czasu, ponieważ jechali w kierunku przeciwnym do tego, w którym chciał się udać. *Co się zmieniło? I dlaczego?*

Była zmęczona i zaniepokojona liczbą kobiecych duchów, które ostatnio zebrała i poprowadziła do miejsca znajdującego się za Cienistą Zaslone. Zbyt wiele było wśród nich młodych niewiast, które zginęły ciężką śmiercią.

Ponieważ była zmęczona, nie zwróciła uwagi, że przekroczyła granicę Starego Miejsca, koncentrowała się jedynie na dotarciu do drogi wiodącej przez Zaslone i na powrocie do Tir Alainn, gdzie chciała odpocząć. Głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła. Miało nieco kwaśny posmak. Zawsze takie było w świecie ludzi – wyłączając Stare Miejsca. One przypominały Tir Alainn, oczywiście na tyle, na ile to możliwe w przypadku świata ludzi. Ale to miejsce traciło już swoją słodycz. Dlaczego?

Otworzyła się na magię wypełniającą tę krainę, musiała wtłoczyć trochę tej mocy w siebie. Kilka uderzeń serca później odcięła się od niej i skuliła w siodle, przyciskając jedną pięść do klatki piersiowej.

Wodnista zupa zamiast pożywnej pieczeni. Tak smakowała ta magia. Co gorsza, nie tylko nie była w stanie dodać sobie sił, lecz kraina ta próbowała wysać z niej magię, jakby chciała w ten sposób załatać w sobie jakąś ziejącą dziurę.

Kiedy Morag dotarła do przesieki, gdzie stała chata, wyprostowała się w siodle. Choć była zmęczona, potrafiła utrzymać maskujący urok jeszcze wystarczająco długo, by poprosić o jedzenie i picie. Nie było trudno ukryć spiczaste uszy i zwierzęcy wygląd za ludzką maską. Wielu Fae nie kłopotowało się takimi szczegółami, a już na pewno nie ona, kiedy wypełniała zadania Zbieraczki. Ale Fae dysponowali magią i budzili strach. Rozsądniej było więc zbliżyć się do siedziby ludzkiej, wyglądając jak człowiek, by nie przerazić mieszkańców, gotowych zabarykadować przed nią drzwi.

Na środku polany zdjęła urok; nie był już potrzebny. Gdy księżyc był w nowiu, a ona mijala tę przesiekę w drodze do świata ludzi, wyczuła zapach dymu z paleniska, dostrzegła łuny lamp w oknach. Teraz chata ziała ciemnością i pustką. I nie była to chwilowa pustka miejsca, z którego ludzie

odeszli, lecz zamierzali powrócić, ale ciężka, gęsta pustka porzucenia. Dookoła chaty Morag wyczuła wysychającą głęboką studnię magii, więdnącą niczym drzewo, którego korzenie zostały uszkodzone. Odwróciła się i poprowadziła konia na skraj polany. Wyczuwała obecność Małego Ludu; wiedziała, że jej się przyglądają, ale nikt z nich się nie pokazał, by powitać panią z Tir Alainn. To też było niezmiennie w ostatnich latach.

Ale to dźwięk wzbierający pod szelestem liści i wodą rozbryzgującą się na kamieniach sprawił, że zmusiła konia do cwału. Zwolniła tempo dopiero kilka minut później, gdy dotarła do ludzkiej drogi. Potem ściągnęła wodze i zaczęła nasłuchiwać.

To były tylko leśne nimfy i wodne duszki. Wiedziała o tym. Ale i tak brzmiało jak szloch strumienia i drzew, jakby sama ziemia opłakiwała stratę... czegoś.

Kto mieszkał w tej chacie? Dlaczego stąd odszedł? I dlaczego zniknięcie tej osoby tak znacząco odmieniło Stare Miejsce w tak krótkim czasie? Czy to magia wyciekająca z tej krainy powodowała, że droga przez Zasłonę nie była już dość wytrzymała, by zabrać ją do domu?

– Znajdziemy miejsce, żeby odpocząć – powiedziała Morag, gładząc szyję konia. *Ale nie tutaj.*

Drżąc ze zmęczenia w nocnym powietrzu, które nagle wydawało się chłodniejsze, przyjrzała się drodze. Wcześniej podróżowała powoli, choć w stałym tempie, udając się na południe od Sylvalanu, aż dotarła do tego Starego Miejsca i skorzystała z drogi przez Zasłonę, by powrócić do Tir Alainn na krótki odpoczynek. Kiedy księżyc wszedł w nów, a ona wróciła lśniąca drogą, trzymała się obrzeży pobliskich wiosek, zanim zatoczyła koło i powróciła tutaj. Nie pragnęła wracać do żadnego z tych miejsc, nie pragnęła sprawdzać, co mogło się stać z innymi kobietami z tych wiosek.

Zawróciła konia i wznowiła podróż na południe.

## ROZDZIAŁ 6

Ari w pośpiechu wrzuciła do niewielkiej torby ser, jabłka i dwa wrózkowe ciasteczka, które upiekła, by uczcić Letni Księżyc. W odpowiednich miejscach przytroczyła do torby dwa bukłaki wody, a potem się rozejrzała. Miło byłoby mieć koc, ale nie chciała, by nadmierne obciążenie ją spowalniało. Płaszcz będzie musiał jej wystarczyć za przykrycie. Przy dzisiejszym świetle księżyca niepotrzebna byłaby latarnia, nawet gdyby ośmieliła się użyć czegoś, co mogłoby pomóc w szybszym jej zlokalizowaniu.

Wytarła dłoń w spodnie, gapiąc się w niewielki pakunek leżący na stole, i zwalczyła mdłości, które narastały w niej przez cały dzień. Następnie zacisnęła zęby i wcisnęła specjał do lewej kieszeni. Składany nóż powędrował do prawej. Chwytając ciemny płaszcz, rozejrzała się po chacie po raz ostatni. Pozwoliła, żeby ogień na głównym palenisku wygasł, i przysypała ten pod piecem. Okna były zatrzęsnięte. Już wcześniej nałożyła na chatę wszystkie zaklęcia ochronne, jakie знаła. Jedno z nich rozszerzyła nawet na obszar obory z krową i ogródek. Nie miała nic więcej do zrobienia.

Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, a później wymknęła się z chaty. Za progiem zatrzymała się, nasłuchując.

Cisza. Nie było słycać nawet typowych odgłosów nocy.

Czy Łowczyni wyruszy dziś ze swoim stadem ogarów, przemierzy te ziemie, podczas gdy jej księżyc pozbawi schronienia ofiary skrywające się zwykle w mrokach nocy?

*Głuptas*, pomyślała Ari, zamykając drzwi.

Nie tylko Łowczyni miała grasować po tych terenach dzisiejszej nocy. A tak po prawdzie, jeśli miała wybierać między Royce'em a Dzikim Gonem, wolałaby już stanąć oko w oko z ogarami. Wtedy przynajmniej czekałby ją szybki kres.

Przycisnęła dłoń do drzwi w geście pożegnania, a potem ruszyła w stronę morza.

Szybki spacer zamienił się w bieg, póki klucie w boku nie zmusiło jej do przystąpienia. Wtedy chata była już poza zasięgiem jej wzroku.

Royce nie szukałby jej na tej plaży. Na pewno nie. Nawet gdyby pamiętał o jej istnieniu.

Dokładnie to przeanalizowała. Praktycznie nie myślała o niczym innym przez ostatnie dwa dni. Jeśli kobiety z rodziny Gwynn miały jakikolwiek magiczny dar, to koncentrował się on na umiejętności warzenia eliksirów miłosnych, dlatego też nie mogła lekceważyć ostrzeżenia Babci Gwynn o możliwych magicznych reperkusjach, gdyby rytuał nie został w odpowiedni sposób dopełniony. Co oznaczało, że nie mogła po prostu się skryć w swojej chacie. Gdyby Royce przyszedł pod drzwi, musiałyby zaoferować mu specjał – i siebie, jako że z pewnością by go przyjął. Ale gdyby tej nocy nikogo nie spotkała, nie odrzucałaby czaru zaklętego w specjale, a jako że tylko dziś można składać tę propozycję, magia powinna ulecieć, nie czyniąc jej krzywdy.

Taką miała nadzieję.

Przeszła kolejny kilometr, aż dotarła do kamienistej ścieżki wiodącej na plażę i dalej, do płytkiej jaskini w ścianie klifu. Jej matka uwielbiała tu przychodzić, sama, w letnie noce. Dziś to miejsce miało zapewnić jej schronienie od wiatru i – co ważniejsze – wzroku każdego, kto spojrzałby w dół z klifu.

Chmury przysłoniły tarczę księżyca, odcinając światło; w tej samej chwili Ari poczuła, że nie jest już sama.

Gdy się odwracała, jej serce przyspieszyło. Wielka Matko, czy Royce odwiedził już jej chatę? Czy odgadnął jej plany? Czy podążył tu za nią?

Droga pozostawała pusta, ale coś się zbliżało. Czuła to, mimo że niczego nie słyszała. Wiatr przegonił chmury.

Światło księżyca powróciło, dość jasne, by rzucać cień.

Ari zapomniała o oddychaniu, kiedy ujrzała karego konia galopującego po tej ziemi. Łączył w sobie wdzięk z siłą, a jego zwierzęce piękno sprawiało, że najlepszy z wierzchowców Royce'a wyglądał przy nim jak szkapa do pług.

Zwierzę przed niczym nie uciekało, stwierdziła, obserwując, jak skręca w stronę starej drogi morskiej, biegnącej wzdłuż linii brzegowej. Po prostu galopowało dla czystej radości, jakby cieszyło się życiem.

Stała w miejscu, aż koń nie zniknął jej z oczu.

*Skąd się wziął?*, zastanawiała się, podążając w stronę morza. Z farmy

starego Aherna? Co prawda hodował wspaniałe konie, ale nawet on nie miał w swych stajniach okazu, który mógłby się równać z tym, którego właśnie zobaczyła. O ile nie był to jeden z jego „specjalnych” koni, których nigdy nie widziała.

A może przybył z samego Tir Alainn? Wyobrażała sobie, że Łowczyni mogłaby podróżować na tak doskonałym wierzchowcu.

Pomna tego, że sama wciąż może być ścigana, wyrwała do przodu. Zatrzymała się dopiero na nadmorskim klifie. Choć wiedziała, czego szukać, znalezienie wyrwy w klifie zajęło jej kilka minut. Starabaniła się na dół po stromej ścieżce tak szybko, jak mogła, w pośpiechu ślizgając się kilkakrotnie, aż wreszcie dotarła na pustą plażę.

Przez lata jej matka zebrała dość niewielkich głazów i fragmentów drewna wyrzuconego przez morze, by zbudować dwie niskie ściany i wykorzystać klif w charakterze trzeciej, tworząc coś na kształt pokoju pod otwartym niebem. Kilkakrotnie, na specjalne okazje, Meredith zapraszała Ari do przenocowania w tym miejscu, ale najczęściej była to prywatna samotnia jej matki. Ari nigdy nie była na tej plaży bez niej; w ogóle nie była tu od śmierci Meredith. Dzięki temu niemalże mogła udawać, że matka po prostu poszła na spacer po plaży i wkrótce wróci. Kiedy jednak jej dłoń natrafiła w kieszeni na specjał, nawet te pozory musiały runąć, pozostawiając ją z dojmującą samotnością i przypominając, że przyszła tu po to, by się ukryć, a nie cieszyć letnim wieczorem nad morzem.

Po upewnieniu się, że płytki jaskinia jest pusta, Ari wepchnęła do środka swój tobołek. Na tyłach jaskini leżał zapas suchego drewna. Gdyby się ośmieliła, mogłaby rozpałcić ogień. Ale nie musiała. Dolna ściana w dużej mierze osłoniła ją przed wiatrem, a noc była dość ciepła jak na początek lata. Kiedy otuli się płaszczem, będzie jej dostatecznie wygodnie.

Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich oddechów, pozwalając, by rytm morza i cichy szum fal uspokoił jej łomoczące serce.

Nikt nie widział, że tu idzie. Nikt jej tu nie znajdzie.

Otworzyła oczy i zobaczyła karego konia. Galopował brzegiem morza.

*Musiał znaleźć inne zejście na plażę*, pomyślała, obserwując go. Ale czy to nie dziwne, że koń sam z siebie chciałby szukać zejścia z klifu? Nie mógł pić morskiej wody, a na plaży nie było nic do jedzenia. Może po prostu lubił czuć piasek pod kopytami i morską pianę wokół pęcin? Musi spytać o to Aherna przy najbliższej okazji. Jego „specjalne” konie miały w zwyczaju



zachowywać się nieco inaczej niż pozostałe zwierzęta.

Nie wiedziała, czy koń ją dostrzegł, czy może złapał jej zapach w powiewie wiatru, ale w jednej chwili galopował w morskiej pianie, a w kolejnej cwałował przez plażę prosto na nią.

Cofnęła się, gotowa szukać schronienia w jaskini.

Koń zatrzymał się o krok od ściany i stanął dęba.

Fala ciepła przelała się przez ciało Ari, zostawiając po sobie dziwne uczucie soczystości połączone z możliwością unoszenia się.

Koń położył uszy po sobie i zarył kopytem w piasku.

– Mam takie samo prawo tu być jak ty – powiedziała Ari.

Koń znowu stanął dęba, rzucając jej wyzwanie. Najwyraźniej nie podobało mu się dzielenie z kimś plaży. Wielka szkoda. Mógł po prostu wrócić na farmę Aherna – czy skądkolwiek przybył. Poza tym za bardzo hałasował, co mogło ściągnąć czyjąś uwagę.

Ari wzięła się pod boki.

– Posłuchaj uważnie, przystojniaku – powiedziała stanowczo. – Prezentowanie piątej nogi mogło kusić twoje czworonożne przyjaciółki, ale na mnie nie robi wrażenia.

Wstrząsnęła nią fala paniki. Dlaczego to powiedziała? Czy to była część magii specjału – sprawianie, że kobieta zaczyna tak bezwstydnie się odzywać?

Przednie nogi ogiera opadły na piach. Prychnął oburzony.

Ari się zaśmiała.

– Nie ma potrzeby, byś pielęgnował zranione ego. Jestem pewna, że twoje panny bardzo doceniają twoją... – Machnęła ręką, wskazując jego sylwetkę.

Znowu parsknął.

Ari poczuła napięcie w piersi. Jako że zakłęcie już ją spowijało, nie mogła zwalczyć magii specjału, zwróciłoby się to przeciwko niej. Musiała znaleźć jakiś niegroźny sposób, by ją z siebie wyprowadzić. Ale, na Pana i Panią, jej ciało stawało się obce i nie mogła mu ufać, a myśli błądziły nieznanymi ścieżkami. Nawet gdy tkwiła w głupim przekonaniu, że kocha Royce'a, nie czuła czegoś podobnego.

Ogier znów zarył kopytem w piasku.

Ari wyciągnęła dłoń i zrobiła kilka kroków w kierunku konia.

– Jesteś przystojnym chłopcem, czyż nie? – powiedziała miękko.

Przyglądał się jej przez chwilę. W końcu podszedł bliżej i obwąchał jej

dłoń.

Pozostawała nieruchoma, gdy zwierzę polizało jej rękę, ale gdy spróbowało wziąć do pyska jej długie, ciemne włosy, odsunęła się.

– To nie jest siano!

Zwierzę prychnęło delikatnie, jakby z rozbawieniem.

Podczas gdy ogier wepchnął pysk pod jej płaszcz i powąchał biodro, Ari uświadomiła sobie, że nigdy wcześniej nie widziała konia o szarych oczach. W świetle księżycyca przywodziły jej na myśl cynową wazę babci, stojącą na gzymsie nad kominkiem.

Koń szturchnął pyskiem jej lewą kieszeń. Zesztywniał, wydał z siebie nerwowy dźwięk, a potem odskoczył. Położył uszy po sobie i znów zaczął ryc kopytem w piasku, nie odrywając od niej wzroku.

Zdezorientowana Ari powoli sięgnęła do lewej kieszeni. Wyjęła swój specjał, owinięty w brązowy papier pakowy. Przelykając uczucie niesmaku, odwinęła go i ułożyła na dłoni dwie cukrowe figurki.

– To tylko specjał, cukierek z brązowego cukru ze szczyptą miłosnej magii – powiedziała cicho, przyglądając się zwierzęciu. – Sprawdziłam go każdą możliwą cząstką mojej magii i nie znalazłam w nim nic, co mogłoby wyrządzić krzywdę. Pomijając samą miłosną magię, której nie wolno odrzucać, ale wiąże ona samicę, a nie samca. Ciebie nie skrzywdzi.

Ogier zastrzygł uszami. Nie zbliżył się do niej, ale też się nie odsunął.

*Nie skrzywdzi cię.*

Myśl zapuściła korzenie, przez co Ari zakręciło się w głowie.

– Nie wiedziałam, co to jest, gdy Babcia Gwynn wcisnęła mi paczuszkę do ręki. Wtedy było już za późno, bo gdy tylko jej dotknęłam, zostałam związana magią. Ale Babcia Gwynn powiedziała, że chodzi o pierwszego *samca*, którego spotkam w noc pełni księżycyca, a nie o pierwszego *mężczyznę*. Oczywiście chodziło jej o pierwszego mężczyznę, ale nie to powiedziała.

To był właśnie problem z zaklęciami Babci Gwynn. Zawsze były sformułowane w taki sposób, że coś mogło pójść nie tak. Dzisiaj mogło to zadziałać na korzyść Ari. Gdyby udało się jej użyć specjału w oparciu o to, co Babcia Gwynn powiedziała, a nie o to, co miała na myśli...

– Cukier nie jest chyba szczególnie zdrowy dla koni, ale stary Ahern okazjonalnie rozpieszcza swoje wierzchowce cukrem w kostkach, a to nie jest o wiele większe – myślała głośno.

Nie zastanawiając się dłużej, wepchnęła papier z powrotem do kieszeni.

W lewej dłoni trzymała figurkę w kształcie fallusa, a w prawej – w kształcie kobiety. Oblizwała wargi i wzięła głęboki wdech.

– Poprzez ten specjał podarowuję ci afekt mego ciała, od pełni do nowiu księżyca. Przysięgam w obliczu Pana Słońca i Pani Księżyca. Niechaj poskąpią mi po wieki swego światła, jeśli nie spełnię tego przyrzeczenia.

Ogier zamarł.

Ari czekała. Powietrze zdawało się być gęstsze, przez co trudniej było jej oddychać i zachować jasność myśli. To nie był zwykły koń. Coś było nie tak, ale... Miał takie piękne, szare oczy. Był duży i silny. Czy pozwoliłby jej się pogłaskać, poczuć napięte mięśnie pod ciepłą skórą?

Czuła się dziwnie. Dlaczego czuła się tak dziwnie? Czy to magia specjału tak na nią wpływała?

Koń podszedł do niej z wahaniem. Przez kilka długich sekund wahał specjał, zanim go zjadł.

Ari wsunęła drugą figurkę do ust, starając się nie zadławić.

To był tylko cukrowy smakołyk, nieważne w jakim kształcie. Ale przypomniał jej o złości Royce'a, kiedy odmówiła wzięcia go do ust w ramach preludium do ich spółkowania. Przypomniał jej o sposobie, w jaki ją wyśmiał, gdy było po wszystkim, oraz o okrutnych inwektywach, jakimi ją obrzucił, odchodząc.

Cukierek rozpuszczający się na języku przyprawiał ją o mdłości, więc przeżuła go kilka razy i przełknęła. Przyciskając rękę do brzucha, wdychała powietrze i czekała, aż mdłości ustaną.

– Stało się – westchnęła minutę później. – I to o wiele lepszy układ, niż mogłabym zawrzeć z dowolnym mężczyzną z Ridgeley. Zatem, mój przystojny towarzyszu, jeśli podczas swych wędrówek trafisz kiedyś do mej chaty, będziesz mile widziany. Nie będziesz musiał długo iść, ponieważ to chata położona najbliżej farmy Aherna. – Zachichotała z ulgą. – Kiedy wejdiesz, w izbach może ci być trochę ciasno, nie mam też bladego pojęcia, jak te twoje długie nogi miałyby się zmieścić w moim łóżku, gdzie powinnam ci podarować swój afekt, ale obietnica to obietnica. Nie żebys mógł być nią szczególnie zainteresowany.

Gdy ogier parsknął delikatnie, Ari pogłaskała go po pysku.

– Ale to tylko jeden z rodzajów afektu, prawda? – zapytała miękko, gdy jej dłoń powędrowała wzdłuż jego szyi. Przeczesała palcami długą grzywę zwierzęcia. – Istnieją też inne rodzaje, czyż nie? Jak przyjaźń. Tę darowuję ci

z największą ochotą.

O tak, lubiła go głaskać. Lubiała czuć jego ciepło pod palcami. Lubiała dotyk czarnej grzywy na swojej skórze.

– Dziwnie się czuję – wyszeptała.

Koń wydał z siebie dźwięk, który mógł oznaczać zgodę lub zrozumienie.

Przycisnęła obie dłonie do jego pyska, a on polizał ją po podbródku. Przez moment nie mogła oderwać wzroku od tych dziwnych, szarych oczu. Potem przycisnęła usta do jego pyska.

– Gotowe. Pocałunek, by przypieczętować naszą umowę.

Nagle zrobiła się nieśmiała. Wróciła do jaskini i wyciągnęła plecak.

– Skoro zostaliśmy przyjaciółmi, podzielę się z tobą moim posiłkiem. Ser pewnie cię nie interesuje, ale konie chyba lubią jabłka, prawda?

Ogier przytaknął żywo.

Ari przyjrzała mu się badawczo.

– Bo jesteś koniem, prawda?

Odwrócił głowę, tak jakby musiał sprawdzić, jak jego ciało wygląda z tyłu. Zamachał ogonem, a potem spojrzał na nią zdziwiony.

Roześmiała się.

– W porządku. Zadałam głupie pytanie. Ale nie chciałabym urazić jednego z Fae, oferując mu tak mizerną strawę.

Potrząsnął głową.

To nic takiego, przekonywała się Ari, krojąc jabłka składanym nożem. To tylko księżycowe zwidy i za dużo opowieści babci o Fae i ich umiejętnościach przybierania innej postaci. Koń był przyzwyczajony do towarzystwa ludzi. A „specjalne” konie Aherna zwykle zachowywały się tak, jakby rozumiały, co się do nich mówi, więc może zwierzę po prostu reagowało na ton jej głosu, na jakiś znak, z którego nie zdawała sobie sprawy, przez co wydawało się, jakby naprawdę jej odpowiadał. To był tylko koń, który z jakiegoś powodu był jej na tyle ciekawy, że postanowił zostać.

Tak jak się spodziewała, nie był zainteresowany serem, za to ochoczo spałaszował swoją porcję jabłek. Jako że wydawał się zdeterminowany, by zawałczyć także o sprawiedliwy podział wrózkowych ciasteczek, Ari oddała mu jedno, mając nadzieję, że zwierzę się od tego nie pochoruje. W pobliżu nie było bieżącej wody, przelewała więc niewielkie porcje z bukłaka na dłoń, aby koń zaspokoił pragnienie.

Po ugaszeniu własnego na powrót wcisnęła swój bagaż do jaskini

i dołączyła do rumaka na plaży. Wygiął szyję i zaczął brykać dookoła niej.

– Nie sądzisz, że to już pora, byś wracał do domu? – zapytała Ari.

Zatrzymał się i potrząsnął głową. Tupnął jedną z przednich nóg, wzbijając piasek w powietrze.

– Będziesz musiał jaśniej wyrażać swoje życzenia, chłopcze – powiedziała, siląc się na oficjalny ton.

Tak też zrobił – gdy tylko się odwróciła, podszedł do niej od tyłu i trącił pyskiem.

– Czy dręczysz tak wszystkie swoje przyjaciółki? – spytała Ari stanowczo.

Nie kłopotał się odpowiedzią. Po prostu szturchnął ją, popychając w stronę skalnej ściany. Kilka razy próbowała umknąć w bok, ale był większy, szybszy i bardziej doświadczony w zaganianiu niż ona w robieniu uników.

– Już dobrze, dobrze – wymamrotała minutę później. – Prawie stoję na ścianie. Zadowolony?

Ogier potrząsnął głową. Przysuwając się bliżej ściany, odsłonił lewy bok. Wystarczająco jasne zaproszenie.

– Jeździłam konno zaledwie kilka razy w życiu, jako mała dziewczynka. – Ari się zawahała. – Nie jestem pewna, czy pamiętam jeszcze, jak to się robi. – Ale chciała go dotrzeć. Dziś w nocy. Tutaj. Teraz. Och, jak bardzo chciała!

Obrócił głowę i spojrzał na nią.

Zdjęła płaszcz, złożyła go i przewiesiła przez skalną półkę. Następnie chwyciła jego grzywę i przełożyła jedną nogę przez koński grzbiet, ciesząc się, że założyła luźne spodnie i długą tunikę; zwykle je nosi – poza dniami, gdy wybiera się do Ridgeley.

Koń powoli odsunął się od ściany, dając jej czas, by przyzwyczaiła się do rytmu jego chodu.

Dziwne uczucie, trzymać nogi rozpostarte w ten sposób, czuć ciepło jego ciała w miejscu, gdzie styka się z jego grzbietem.

Ruszyli brzegiem morza. Jedynym otaczającym ich dźwiękiem były delikatne muśnięcia fal całujących wybrzeże. Ari oddychała głęboko, pozbywając się napięcia z ciała. Koń przeszedł w galop tak płynnie, że nie miała czasu napiąć mięśni. Wiatr na twarzy miał posmak morza. Wiedziała, że poruszają się o wiele wolniej niż podczas jego cwału po plaży, ale i tak czuła, jakby frunęła. Zniknęły problemy, zniknęły nieszczęścia. Liczyły się tylko morze i wiatr, i piasek... i silne ciało poruszające się pod jej ciałem.

Rumak zatoczył koło. Zbliżał się teraz do jaskini jej matki, ale minął ją i pomknął dalej plażą. Kiedy znów zawracał, Ari zerknęła w górę na skraj klifu. Jej mięśnie mimowolnie napięły się, przez co straciła równowagę. Koń natychmiast zwolnił do stępa, strzygąc uszami w przód i w tył.

– Już wystarczy – powiedziała cicho, ciągle dyskretnie obserwując klif. – Wystarczy.

Koń parsknął delikatnie, z rozczarowaniem, ale ruszył w stronę jaskini jej matki.

Nie mogąc się oprzeć, Ari obejrzała się przez ramię i przez moment uważnie studiowała klif. Czy był tam wcześniej mężczyzna, kucający na samym skraju, obserwujący ją? A może to tylko kamień w świetle księżyca? To bez znaczenia. Wystraszył ją na tyle, by przypomnieć jej, dlaczego powinna była pozostać poza zasięgiem wzroku. Ona tymczasem jeździła konno po plaży.

Kiedy zbliżyli się do kamiennych murków, zsunęła się z końskiego grzbietu, nie czekając, aż wierzchowiec się zatrzyma.

– Cicho – wyszeptała stanowczo, zanim koń zdołał wyartykułować swoją opinię na temat konieczności użerania się z nieobliczalnym jeźdźcem.

Pomknęła do kryjówki w ścianie klifu. Niemal nie miała odwagi oddychać, póki nie była bezpiecznie ukryta.

Koń zawahał się przez moment, a potem ruszył za nią.

Ari pogładziła jego szyję.

– Dziękuję za przejażdżkę – wyszeptała – ale musisz już iść. Ktoś może cię zauważyć i zejść na dół, żeby sprawdzić, co tu robi samotny koń. Nie mogę ryzykować. Dziś w nocy jest tu zbyt wielu łowców. – Zadrzała.

Szare oczy przyglądały się jej badawczo, o wiele za długo. Potem koń odwrócił się i pomknął plażą w kierunku, z którego przybył.

Chwyciła płaszcz i owinęła się nim. To nie powstrzymało drżenia. Siedząc oparta plecami o ścianę, przyciągnęła kolana do brody i oparła o nie czoło.

*Proszę, o Pani. Nie pozwól, by ktokolwiek znalazł mnie tej nocy.*

Ari nie była pewna, czy kieruje błagania do Matki Wszechrzeczy czy do Pani Księżycy. Do Wielkiej Matki, zdecydowała, podnosząc głowę, by spojrzeć na nocne niebo. Czuła lekkie rozczarowanie, że ze swojego miejsca nie jest w stanie dojrzeć tarczy księżyca w pełni. Pani Księżycy przybierze inną twarz tej nocy – i nie będzie to łagodne oblicze.

W końcu przestała się trząść. Oparła się o ścianę i pozwoliła, by

niekończąca się pieśń morza ukołysała ją do snu.

Śniła, że zaintrygowany, szarooki koń cicho powrócił, by jej pilnować.



Neall oparł się o drzewo na skraju lasu, który graniczył z łąką za domem Ari.

*Gdybyś użył tego mózgu, z którym się urodziłeś, zostałbyś dziś w swoim pokoju... z drzwiami zabitymi gwoźdźmi. Niektórzy mężczyźni mogą żartować, że Letni Księżyc to w istocie Łózkowy Księżyc, ale ci, którzy poszli do łóżka z kobietą, jakiej nie wybraliby na żonę, zwą tę noc raczej Księżycem Zastawiania Sideł. I mają ku temu dobry powód.*

Jego serce nie słuchało jednak rozumu. Wiedział, że Royce przyjdzie tu dziś w nocy, i to właśnie z tego powodu wymknął się z domu swego wujka i pojechał do Brightwood. Ale gdy wychodził, jego kuzyn wciąż siedział przy stole, żłopiając piwo, więc nie pozostało mu wiele czasu, by zdecydować, co robić.

Doskonale wiedział, jak zareagowałyby Royce, gdyby to jemu Ari zaoferowała swój specjał – uczyniłby jego życie jeszcze większym koszmarem, niż było nim do tej pory. Ari jednak warta była wszelkich nieszczęść, jakie mogły z tego wyniknąć – nawet jeśli zdawała się go w ogóle nie zauważać.

Był więc tutaj, by się upewnić, że to on będzie pierwszym mężczyzną, którego zobaczy. Odkąd usłyszał szept o specjałach, które Odella i kilka innych dziewcząt nabyły od Babci Gwynn, powtarzał sobie wciąż i wciąż, że jest po prostu dobrym przyjacielem. Mężczyzna mógł zaakceptować specjał, nie wykorzystując idącej za tym przyjemności cielesnej. Albo, być może, mógł ją przyjąć jedynie raz, by przypieczętować umowę – i zapewnić dziewczynę o jej atrakcyjności.

Powtarzał sobie, że byłby wstrzemięźliwy, tak aby Ari uświadomiła sobie, że nie jest taki jak Royce, że znaczy dla niego zbyt wiele, by mógł nadużyć miłosnej magii, nie pozostawiając jej wyboru. A gdyby tego nie dostrzegła, gdyby po prostu tolerowała go w swoim łóżku, ponieważ musiała...

*Gdyby podarowała ci specjał, spędziłbyś w jej łóżku tyle czasu, ile byś mógł, zanim magia ustanie. A gdyby w następstwie tych działań jej brzuch spuchł od twojego dziecka w środku...*

Neall zamknął oczy. Nawet gdyby uczynił ją brzemienną, ona wcale nie musiałaby się zgodzić, by w Letnie Przesilenie złożyć przysięgę, która uczyni ich mężem i żoną. A gdyby się nie zgodziła, miesiące ciąży i następujące po nich narodziny przeżyłaby całkiem sama. Nie mógłby jej tego zrobić. Ale nie mógł też stać beczynnym i nie wykorzystać takiej przewagi, która mogłaby ją z nim związać.

– Ofiara zwykle nie jest tak posłuszna, by stać i czekać na strzałę prosto w serce – powiedział cicho starszy głos.

Neall zeszywniał. Otworzył oczy i powoli obrócił głowę w kierunku, z którego dobiegał głos.

Przysadzisty mężczyzna, nie wyższy niż długość ramienia Nealla, był ubrany w brązowo-szare odzienie, które w lesie czyniło go niewidzialnym. Strzała spoczywała luźno na cięciwie łuku, który trzymał w dłoniach.

– Niech ci Matka błogosławi – powiedział cicho Neall, ale mężczyzna nie odpowiedział na jego pozdrowienie.

Neall poczuł napięcie w klatce piersiowej. Zawsze był uprzejmy i ostrożny, by nie urazić niczym Małego Ludu, gdy ich drogi się przecinały. Nie mieli oni takiej mocy jak Fae, ale ich szelmowska magia mogła uprzykrzyć komuś życie; gdyby zaś wystarczająco mocno ich zirytować, mogli być śmiertelnie niebezpieczni. Znał jednak tego osobnika, rozmawiał z nim kilkakrotnie, więc nie rozumiał tężejącego między nimi gniewu.

– Co cię sprowadza do Brightwood tej nocy, paniczu? – zapytał mały mężczyzna.

Ach, czyli o to chodzi.

– To samo, co ciebie – odparł Neall, wywołując lekki uśmiech na twarzy rozmówcy.

– Nie wydaje mi się.

Neall spoważniał.

– To, co tu robię, to nie twój interes – powiedział, a po chwili dodał gniewnie: – Nie tylko ty się troszczysz o Brightwood i mieszkające tu czarownice.

– Czarownicę – poprawił go mały mężczyzna gorzkim tonem. – Została już tylko jedna, czyż nie?

Zanim Neall zdołał odpowiedzieć, usłyszeli konia cwałującego po tracie. Neall się schylił i skupił wzrok na fragmencie drogi prowadzącej do nieoświetlonej chaty, który dostrzegł z tego miejsca.



Royce zebrał wodze tak gwałtownie, że koń przysiadł na zadzie. Przyglądał się chacie dłuższą chwilę, zanim zsiadł z wierzchowca i ruszył w stronę frontowych drzwi.

– Nie ma świateł – powiedział mały mężczyzna, stając obok Nealla. – Nie ma dymu z paleniska. Nie ma powodu, by ktokolwiek mógł pomyśleć, że ona jest w domu.

To właśnie martwiło Nealla. Od chwili, gdy tu przybył, nie dostrzegł migotania świecy czy lampy, żadnego znaku obecności Ari. Ale ona musi wiedzieć, że nie jest w stanie w ten sposób unicestwić magii specjału. Gdzie indziej mogłaby być?

– Jeżeli zabiła gwoździami drzwi... – zaczął mały mężczyzna.

– Magia miłosna nie działa w ten sposób! – Neall przerwał mu gniewnie. – Jeśli spróbuje ją zlekceważyć, obróci się to przeciwko niej.

– Wygodne zakłęcie – odparł mały mężczyzna śmiertelnie poważnie.

Usłyszeli, jak Royce dobija się do frontowych drzwi; obserwowali, jak obchodzi chatę i wali w drzwi kuchenne. Dobiegały do nich jego głośne przekleństwa.

Ale światło nie zamigotało w żadnym oknie, żadna z zasłon się nie poruszyła.

– Ty suko! – wykrzyknął Royce. Rzucił się z całym impetem na drzwi raz po raz, aż wyłamał zamek i skrzydło ustąpiło. – Dasz mi to, po co przyszedłem, w ten czy inny sposób! – Podniósł nogę, by zrobić krok do przodu, ale zamiast tego dał krok do tyłu. Spróbował jeszcze kilka razy, ale nie był w stanie przestąpić przez próg. – Suka!

Obrócił się. Każdy mięsień jego ciała wrzał od chęci wyładowania gniewu.

*Podsuń mu jakiś inny cel*, pomyślał Neall. Wyprostował się, patrząc na wciąż zaciemnioną chatę. *Przeżyjesz, jeśli cię pobije*. Kiedy zaczął się odsuwać od drzewa, mały mężczyzna chwycił go za nadgarstek i zatrzymał.

– Nie czujesz tego? – wyszeptał ostro, pociągając Nealla w dół, by znów przykucnął.

– Czuję co...

Magia przetoczyła się przez okolicę. Chwilę później skowyt wypełnił powietrze.

– Na łaskę Matki – wyszeptał Neall.

– Najlepiej zostać w ukryciu i w ciszy, paniczu – przykazał mały mężczyzna. – Dziki Gon pędzi przez Brightwood.

Neall zadrżał. Zobaczył, że Royce sztywnieje, a potem biegnie pod frontowe drzwi chaty, gdzie zostawił swojego konia. Ujrzał jeszcze tylko, jak Royce smaga konia biczem, by zmusić go do galopu, po czym wierzchowiec i jeździec zniknęli za horyzontem.

Obrócił się, by rzucić okiem na swojego wałacha, który nawet się nie poruszył.

– Pył snu – powiedział miękko mały mężczyzna. – Pośpi trochę dłużej. Może nawet wystarczająco długo – dodał pod nosem.

Stado ogarów cienia wypadło z lasu otaczającego tył łąki i pobiegło bezgłośnie w stronę drogi.

Neall zastygł w strachu i zachwycie. Przecinające łąkę ogary przypominały widma, a nie żywe istoty. Kiedy przemykały obok jego kryjówki, nie śmiał się poruszyć. Wędrowni minstrele i bajarze znali mnóstwo historii o ludziach, których zaproszono do udziału w Dzikim Gonie – w charakterze zwierzyny łownej. Faktem jest, że wszyscy mężczyźni z opowieści byli łotrami, a Gon był zasłużoną sprawiedliwością spotykającą ich za występki. Inaczej jednak słuchało się tych opowieści, siedząc bezpiecznie przy palenisku, a inaczej wspominało je w lesie, patrząc na biegnące obok ogary.

Dopiero gdy mały mężczyzna wbił palce w nadgarstek Nealla, chłopak oprzytomniał i oderwał wzrok od ogarów – w samą porę, by ujrzeć Łowczynię cwałującą na bladej klaczy po łące. Kiedy znalazła się tuż obok jego kryjówki, ściągnęła wodze. Dłuższą chwilę wpatrywała się w chatę Ari z wyważonymi kuchennymi drzwiami. Potem obróciła głowę; zdawała się patrzeć prosto na niego.

Uścisk małego mężczyzny na nadgarstku Nealla nasilił się, stał się bolesny. Spojrzenie Łowczyni sprawiało mu ból w zupełnie inny sposób.

*Ona jest jak lód, pomyślał Neall. Trzeba być głupcem, żeby oddać swoje życie w jej ręce.*

Jeden z ogarów cienia powrócił, jak gdyby się zastanawiał, czemu ich pani przestała podążać za stadem. Spojrzała na ogara, zawahała się i ruszyła dalej.

Kiedy odjechała wystarczająco daleko, by stracić go z zasięgu wzroku, Neall odważył się obrócić głowę w stronę drogi. Stado zebrało się, obwąchując ślady. Niektóre z ogarów skierowały spojrzenie w kierunku prowadzącym do Ridgeley – kierunku, który obrał Royce.

Łowczyni także się tam zatrzymała, a potem przejechała na drugą stronę drogi. Pospieszyła klacz do galopu i ruszyła w stronę farmy starego Aherna;

ogary mknęły po obu jej bokach.

– Lepiej się zmywaj, zanim wróci. – Mały mężczyzna wreszcie puścił nadgarstek Nealla.

– Czemu twoim zdaniem miałyby wrócić? – Neall wyprostował się powoli.

– Wróci.

Neall podszedł do Darcy’ego i położył dłoń na jego szyi. Nagle obudzone zwierzę odsunęło się gwałtownie, ale po chwili zwróciło do niego głowę, jakby szukając otuchy w znajomym dotyku i zapachu.

– Lepiej już jedź, paniczu, zanim wzbudzisz u niej za duże zainteresowanie – nalegał mały mężczyzna.

– A czym tu się interesować? – spytał zaniepokojony Neall, rozwiązując Darcy’ego. – Poza tym jestem tylko ubogim krewnym barona Felstona, żaden ze mnie panicz.

– Nie mówiłem o takich jak on – odparł zirytowany mały mężczyzna. Z ponurym wyrazem twarzy przyjrzał się uważnie Neallowi. – Sądysz, że Mały Lud rozmawia z każdym chłopaczyną, który nas szuka? Obserwujemy ich w ten sam sposób, w jaki wypatrujemy szczurów, pilnując, by nie skrzywdziły naszych młodych. Jedyna różnica między większością ludzi a szczurami jest taka, że szczury są bardziej szczerze. Ale swój swego rozpozna, nawet jeśli krew już przeredła – a twoja nie jest wcale tak rzadka, jak próbujesz udawać. Dlatego Mały Lud z tobą rozmawia, i dlatego Łowczyni będzie się tobą interesować.

Neall wpatrywał się w swojego rozmówcę.

– Mylisz się – rzucił.

– Czyżby? Czyżby, paniczu?

Wzruszył ramionami.

– Jak tam chcesz. Ale chłopiec, którym byłeś, stał się mężczyzną, a kłamstwa, które uchodziły na sucho chłopcu, nie są równie łatwe do przełknięcia, gdy wypowiada je mężczyzna. Pamiętaj o tym.

Neall nie dostrzegł żadnego ruchu, ale małego mężczyzny już nie było.

– Wracajmy do domu, zanim coś jeszcze się wydarzy – wymamrotał do Darcy’ego.

Jechał lasem tak długo, jak się dało, omijając farmy dzierżawców pozostające pod kontrolą jego wuja, aż dotarł do posiadłości Felstonów. Pospiesznie oporządzając wałacha, zauważył, że wierzchowca Royce’a nie ma jeszcze w stajni, co prawdopodobnie oznaczało, że jego kuzyn zatrzymał

się w tawernie w Ridgeley. Wyobrażał sobie, że dzisiejszej nocy będą tłoczyć się tam młodzi mężczyźni żądni rzeszy świadków w chwili, gdyby jakaś dziewczyna wskazała ich palcem. Nie miało znaczenia, czy mężczyzna wyszedł wcześniej czy przyszedł późno. Chronili się wzajemnie, by nikt ich nie złapał.

Wymknąwszy się ze stajni, Neall ruszył na tyły domu. Kuchenne drzwi nie były zamknięte na zasuwę, nikt nie spał przy palenisku. Nawet służącym należały się rozkosze – i niebezpieczeństwa – jakie niosła dzisiejsza noc. Potrafił sobie wyobrazić, co spotkałoby młodego sługę, który miał to nieszczęście okazać się pierwszym mężczyzną spostrzeżonym przez szlachetnie urodzoną pannę – zwłaszcza jeśli byłaby nią Odella.

Korzystając ze schodów dla służby, dotarł do swojego pokoju i z poczuciem ulgi zabił drzwi. Po ciemku szybko się rozebrał, wpełzł do łóżka i wydał z siebie głębokie westchnienie.

Nie żeby którakolwiek ze szlachcianek chciała złożyć propozycję akurat jemu. Nie miał im więcej do zaoferowania niż służący. A przynajmniej nic, do czego już teraz byłby gotów się przyznać sam przed sobą. Kilka tygodni temu skończył dwadzieścia jeden lat. Mógł być właścicielem ziemskim we własnym imieniu, a „wuj” Felston nie musiał dłużej sprawować kontroli nad jego majątkiem jako opiekun. Mógł opuścić Ridgeley i wreszcie powrócić do miejsca, które pamiętał jedynie mgliście, a które było jego domem w dzieciństwie. Do domu jego matki. Na ziemię jego matki.

– Czemu muszę z nimi jechać? – zapytał Neall. Łzy wypełniły mu oczy, choć starał się nie rozpląkać, kiedy patrzył na Ashk. Spokojnie wypełniała walizkę jego ubraniami i drewnianymi zabawkami, które wykonał dla niego ojciec. – Nie znam ich. – Jego młody głos przeszedł w jęk.

Ashk obróciła się, by na niego spojrzeć. Jej zielone oczy wypełniał żal.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Gdyby wciąż żył, nauczyłyby cię wszystkiego, co powinieneś wiedzieć o świecie. Ale nie ma go z nami, więc musisz nauczyć się tego od jego ludzi, jego rodziny.

– Ale ja ich nie znam! Czemu nie mogę się tego nauczyć od ciebie? Czemu nie mogę zostać z tobą?

Uklęknęła przed nim i przeczesła palcami jego włosy.

– Najpierw musisz się nauczyć wszystkiego, co mogą ci przekazać ludzie ojca. Potem, gdy już dorośniesz i wrócisz tutaj, ja nauczę cię innych rzeczy o świecie.

Neall pociągnął nosem, wpatrując się w oczy najbliższej przyjaciółki jego matki – oczy, które przypominały mu oczy kobiety, która go urodziła.

– Mogę tu wrócić?

– Ten dom i ta ziemia będą na ciebie czekać. To mogę ci obiecać. – Zawahała się. – Ale nie wolno ci powiedzieć ludziom ojca o tej ziemi. Należy do córek i nikt inny nie ma do niej praw.

Przez te wszystkie lata utrzymał istnienie tej ziemi w sekrecie przed baronem Felstonem. Był to jeden z wielu sekretów, które uważał, że zatrzymał dla siebie, od chwili gdy został przywieziony do domu barona jako mały chłopiec, zrozpaczony po stracie rodziców.

Teraz, gdy dorósł i nie był już podopiecznym Felstona, tylko jedno powstrzymywało go przed osiodłaniem konia i wyruszeniem do zachodniej części Sylvalanu – Ari. Chciał, by pojechała wraz z nim, ale nie sądził, żeby postanowiła kiedykolwiek opuścić Brightwood. A wiedział – mimo marzeń, by zostać jej kochankiem i mężem – że bycie z nią tutaj nie skończyłoby się dobrze dla żadnego z nich. Nawet gdyby wzięli ślub, tak długo, jak zostałyby w okolicy Ridgeley, uważano by go wyłącznie za ubogiego krewnego barona Felstona. A Felston, powołując się na „rodzinne” koneksje, spojrzełby jak zawsze chciwymi oczyma na bogactwa Brightwood.

Ari wciąż była młoda, ledwie przestała być dziewczynką. Teraz, kiedy jej matka i babka nie żyły, może zgodziłyby się opuścić Brightwood i porzucić okrutny los, który spotykał ją za każdym razem, gdy udawała się do Ridgeley. Mogłaby zacząć nowe życie gdzieś indziej. Z nim.

Poczekaliby jeszcze rok... i spędził kolejny rok, pracując od świtu do zmierzchu jako nieoficjalny steward barona, nosząc stare ubrania Royce'a, podczas gdy Royce, Odella i baron z baronową wydawaliby całe zyski, które udało się im wydusić ze swoich ziemskich włości, cały czas narzekając, że nie stara się bardziej, by wycisnąć coś jeszcze z tych wyżętych do sucha ziem.

Poczekaj jeszcze rok. Potem, z nią czy bez niej, wróci do domu i odda serce swojej własnej ziemi.

Włożył splecione ręce pod głowę i wpatrzył się w sufit.

Czy gdyby Ashk rozumiała, z czym się wiąże bycie biednym krewnym w szlacheckiej rodzinie, odesłałaby go, by mieszkał z ludźmi ojca? Czy uznałaby, że lekcje, które chciała, by odebrał, są warte cierpienia wiążącego się ze świadomością, że jest niechciany i niekochany?

Przez ostatnie piętnaście lat po wielokroć dawano mu do zrozumienia, że jego ojciec był... kompromitacją, rysą na drzewie genealogicznym barona – tym, o którym cała rodzina z radością zapomniała, gdy tylko był na tyle dorosły, by móc zacząć życie na własną rękę. Był dzieckiem poczętym podczas Letniego Księżyca, a jego matka, babka Nealla, odmówiła wskazania ojca wśród mężczyzn w wiosce, upierając się, że to lord Fae spłodził jej syna. Była to dość powszechna wymówka, do której uciekały się młode kobiety brzemiennie po Letnim Księżycu, które albo nie chciały wychodzić za mężczyznę, który za to odpowiadał, albo znalazły się w sytuacji, kiedy ów mężczyzna odmówił poniesienia odpowiedzialności.

A czasami była to prawda.

Rozmyślając o słowach małego mężczyzny, zastanawiał się, czy Ari spojrzałaby na niego inaczej, gdyby знаła prawdę o jego pochodzeniu; gdyby wiedziała, że jego dziadek od strony ojca faktycznie był lordem Fae, a matka – czarownicą.

## ROZDZIAŁ 7

– Czuj się ostrzeżona – powiedziała Lyrra, nalewając kolejny kubek herbaty, gdy Dianna dosiadła się do niej przy stole zastawionym owocami i ciastami. – Nastroje są raczej minorowe tego ranka. – Zerknęła w stronę okna, przy którym stał Lucian, odwrócony tyłem do pokoju. – Albo ponure.

Dianna swobodnie rozejrzała się po dużym pomieszczeniu. W domu klanu znajdowało się kilka takich miejsc spotkań. Kobiety wyglądały na znudzone, ale podejrzewała, że to tylko maska, za którą skrywają rozgoryczenie spowodowane ubiegłą nocą, gdy brakowało im kochanków. Mężczyźni wydawali się rozczarowani i potakiwali, słuchając Falcona. Aiden cicho grał na harfie, nie była to melodia, raczej współgrające ze sobą nuty – ostatnio brzdękał tak zawsze, gdy pochłaniały go rozmyślenia. A Lucian...

– Co u ciebie? – zapytała Lyrra. – Udał się Dziki Gon?

– Z jakiego powodu Falco się dziś nadyma? – Dianna nagle zmieniła temat. Nie chciała rozmawiać o ubiegłej nocy ani o chacie z wyłamanymi drzwiami, ani o obcej, choć jednocześnie znanej magii, którą wyczuła na skraju lasu.

Lyrra rzuciła jej przeciągłe spojrzenie, upiła łyk herbaty i wzruszyła ramionami.

– Sama posłuchaj.

Dianna przesiadła się na skraj obitych poduszkami ław, gdzie siedzieli Fae słuchający Pana Jastrzębi.

– To, co mówisz, jest prawdą, Falco – stwierdził pewien mężczyzna, potrząsając głową ze smutkiem. – Pamiętam opowieści o soczystych kobietach sprawiających radość mężczyznom. Nie dostrzegłem niczego soczystego w samicach przebywających w okolicy ubiegłej nocy.

– Drapieżniki, ot co – powiedział Falco. – Jak samice owadów pożerające samców zaraz po spółkowaniu. – Wzdrygnął się. – Nic dziwnego, że samce się pochowały.

– Nie wszystkie samce się chowają – odparł Aiden z uśmiechem, po czym

szarpnął za strunę i zaśpiewał: – „Gdy przychodzi wiosna, panny rozkwitają. Nadejścia Letniego Księżyca już dojrzałe czekają”. – Przycisnął dłonie do strun harfy, by je uciszyć. – Od pokoleń Letni Księżyc był punktem kulminacyjnym – uśmiechnął się znacząco – dla Letnich Umizgów w Sylvalanie. To noc, gdy kobieta może swobodnie wyrażać moc swej seksualności. Bardzo często to ona wybiera wtedy partnera. Czasami tylko kogoś na ten jeden raz, a czasem kandydata na męża. Dla wielu z nich spółkowanie tej nocy jest po prostu przypieczętowaniem transakcji już dokonanej przez ich serce, a ślubowanie w noc Letniego Przesilenia to formalne przyrzeczenie przed świadkami.

– Gdyby mężczyźni byli tak chętni, jak opisujesz, nie nazywano by tej nocy Księżycem Zastawiania Sideł – zaprotestował Falco.

Wesołość w błękitnych oczach Aideny przygasła.

– Mężczyzna ma prawo powiedzieć „tak” lub „nie”. Zgadząc się, wie, jakie ryzyko podejmuje. Jeżeli z tej nocy nie wyniknie nic więcej poza spółkowaniem, każde z nich idzie w swoją stronę i zachowuje wspomnienia o przyjemnościach, których doznali. Jeżeli pojawia się dziecko, mężczyzna zyskuje żonę. To też część ich tradycji.

– Chyba że mężczyzna jest Fae – dodał, nieco złośliwie, inny mężczyzna.

– To kolejny problem – przyznał Falco. – Każdorazowo, gdy pojawia się dziecko, a nie dochodzi do małżeństwa, my jesteśmy posądzani o ojcostwo.

– Oczywiście to bezpodstawne oskarżenia, czyż nie? – zapytała Lyrra. Słodycz w jej głosie kontrastowała z chłodem w jej oczach. – Bądź co bądź nie mogłoby dojść do takiej sytuacji, prawda?

Kątem oka Dianna zauważyła, jak Lucian sztywnieje, a potem jego ramiona opadają. Wiedziała, że nie uczynił żadnej ludzkiej kobiety brzemienną. Wiedziała o tym. Więc dlaczego zareagował w ten sposób?

– Sądzę – zaczął Aiden, ostrożnie odkładając harfę – że to zwyczaj obdarowywania odebrał urok tym spotkaniom...

– Całkowicie się zgadzam – wszedł mu w słowo Falco. – W chwili, gdy podchodzisz do kobiety, słyszysz tylko: daj mi złoto, daj mi srebro, daj mi klejnoty, daj mi urodę, daj, daj, daj. I nie byłoby to takie straszne, gdyby w zamian oferowały coś, co jest warte tej ceny.

– Czyli bierzesz, co chcesz, a w zamian dajesz tylko swoją różgę? – zapytała łagodnie Dianna, czując, jak jej złość słabnie. – Jestem zaskoczona, że potrafisz skusić taką ofertą jakąkolwiek kobietę.



Oczy Falcona się rozszerzyły. Spojrzał na Łowczynię i Muzę.

– Nie miałem na myśli kobiet Fae!

Aiden się skrzywił.

*Przynajmniej jeden z obecnych tu mężczyzn nie będzie się zastanawiać, skąd te chłodne powitania,* pomyślała Dianna.

– Jak mówiłem – Aiden rzucił Falconowi ostrzegawcze spojrzenie – w dawnych czasach mężczyzna zostawiał coś po spędzeniu nocy z kobietą: drobny upominek, mający sprawić jej przyjemność. To był zwyczaj praktykowany przez mężczyzn, nie zaś wymóg stawiany przez kobiety. Dostrzegasz różnicę? – Poczekał, aż Lyrra przytaknie. – Być może to wina Barda; dawno temu ułożył pieśń o klejnotach, które kochanek przynosi swojej damie, gdyż ta nie zaakceptuje go bez takiego daru. Dziś pieśń nie wystarczy, jeśli nie towarzyszy jej sakwa złota. A kiedy jesteś z tą kobietą, widzisz, że myśli już o tym, jak wyda to złoto, a jeśli w ogóle pomyśli o tobie, to tylko wtedy, gdy zastanawia się, jak długo to jeszcze potrwa. – Sięgnął po harfę. – To nie usprawiedliwia naszych porażek, ale być może tłumaczy, dlaczego tak często rozczarowujemy – oraz sami jesteśmy rozczarowani.

Niezręczną ciszę, która zapadła, przerwał dopiero Falco:

– Nie to miałem na myśli. To sposób, w jaki ludzie podchodzą do Fae mnie obraża. Po części sami jesteśmy temu winni. – Machnął ręką, by objąć wszystkich obecnych w pokoju. – Tolerowaliśmy te... stworzenia zdecydowanie zbyt długo. One nie proszą o naszą pomoc, one jej *żądadą* – jak gdyby miały jakiegokolwiek prawo do magii, która jest w naszym posiadaniu. Już nie traktują nas z szacunkiem. Zachowują się tak, jakby były nam równe. W ich żalonym życiu potrzeba nieco strachu. Tego właśnie im potrzeba. Wyobraźcie sobie, że raptem przed kilkoma dniami jedna z tych samic, które mieszkają w chacie niedaleko morza, powitała mnie słowami: „Niech cię dzień błogosławi, bracie jastrzębiu”.

– Jeśli byłeś tam w swojej drugiej formie, nie mogła wiedzieć, jak inaczej powinna cię powitać – powiedziała sucho Lyrra.

Falco zbył jej komentarz machnięciem dłoni.

– Gdyby przynajmniej nie podejrzewała, kim jestem, nie powitałaby mnie w ogóle. Ludzie nigdy nie rozpoznają innych dzieci Matki.

– Skoro cię pozdrowiła, musiała mówić szczerze – wtrącił Lucian spod okna.

Dianna spojrzała na swojego brata. To był pierwszy raz, kiedy Lucian przemówił, pierwszy dowód na to, że przez cały czas przysłuchiwał się rozmowie.

– To było bezczelne i pozbawione szacunku... – Falco zawiesił głos, a potem dodał ponuro: – Mam zamiar wrócić do tej chaty i rozorać szponami twarzyczkę tej istoty.

Lucian odwrócił się i spojrzał na Falcona.

– Zostaw ją w spokoju.

Cisza.

*Nie bądź głupcem, Falco, pomyślała Dianna. Pamiętaj, z kim rozmawiasz... i nie narażaj się.*

Falco odwrócił wzrok.

– Proszę o wybaczenie, Lucianie. To tylko takie gadanie. Nie miałem nic złego na myśli.

Nikt się nie poruszył, póki Lucian nie odwrócił się z powrotem do okna. Następnie wszyscy, wyłączwszy Dianę, wyszli z pokoju.

Odstawiła filiżankę na najbliższy stolik i ostrożnie zbliżyła się do brata.

– Wiesz, jaki bywa Falco. A jeśli ta kobieta naprawdę...

– Nie miała nic złego na myśli – warknął.

Dianna przyjrzała się jego twarzy. Nie rozumiała złości i frustracji, które dostrzegła, ale to smutek w oczach brata ją martwił.

– Spotkałeś ją?

– Ubiegłej nocy.

To było oczywiste, że coś przed nią ukrywa. Równie oczywiste, przynajmniej dla niej, było to, że chce – potrzebuje – z kimś porozmawiać.

– Co się stało?

*Poza tym, czego oczekiwałaś po Letnim Księżycu.*

– Podarowała mi specjał: cukrową figurkę z dodatkiem miłosnej magii.

Dianna zacisnęła zęby. Może Falco jednak miał rację.

– Po zapewnieniu mnie, że magia nie jest dla mnie wiążąca, ofiarowała mi afekt swego ciała od pełni do nowiu księżyca, zaklinając się na Pana Słońca i Panią Księżycy. – Uśmiechnął się smutno. – Byłem w mojej drugiej postaci, gdy składała przysięgę.

Dianna otworzyła usta.

– Ofiarowała się... koniowi?

Żal w jego oczach stał się jeszcze głębszy.

– Złożyła obietnicę koniowi, ponieważ nie chciała składać jej żadnemu mężczyźnie.

– Ale... Ale złożyła ją tobie.

Obserwując go, nagle zrozumiała jego smutek i postanowiła mocniej go przycisnąć. W innym wypadku zniechęcałaby go do okazywania jakiegokolwiek zainteresowania ludzkiej kobiecie, ale nie teraz. Nie było pewności, czy doczekają kolejnego Letniego Księżyca, czemu więc nie czerpać pełnymi garściami z przyjemności, jakie przynosił im każdy dzień?

– Więc oddała ci się, Lucianie, niezależnie od tego, w jakiej byłeś postaci.

– Oddała się koniowi.

– Złożyła obietnicę tobie – nalegała Dianna. – A jeżeli chciałbyś... – Zacięła się na chwilę. Jakim cudem Lucian mógłby chcieć jakiejś kobiety na tyle, by go to dręczyło? – Jeśli chcesz, żeby przyrzeczeniu stało się zadość, masz do tego prawo.

– Co się stało z całym kobiecym gniewem skierowanym przeciwko mężczyznom, którzy nie oferują niczego poza swoją różgą?

To co innego. Wtedy nie rozmawiali o jej bracie. Ale teraz Dianna rozumiała, czemu rozmowa wywołała u niego takie wzburzenie.

– Skoro była w to zamieszana magia miłosna, jakiś mężczyzna musiał ją wykorzystać, to chcesz powiedzieć? – Gdy zobaczyła, jak się wzdryga, pożałowała tych słów, ale nie przestała naciskać: – Więc czemu nie miałbyś to być ty?

Czuła, że narasta w nim złość. Nauczona doświadczeniem, wiedziała, że jeśli brat się uprze, to z niczym się nie zdradzi.

– Czemu odmawiasz sobie tej przyjemności? – domagała się odpowiedzi.

– Bo ona nie ma wyboru! – wykrzyczał.

– Nie możesz jej go dać?! – Ona również podniosła głos.

Lucian popatrzył na nią.

– Nie możesz dać jej wyboru? – spytała ponownie, tym razem cicho. Posłała mu szelmowski uśmiech. – Być może uznałaby mężczyznę za nie mniej interesującego od konia, gdyby dostała taką szansę. A jeśli nie... Jeśli faktycznie nie zechciałaby kochanka, mógłbyś po prostu odejść, czyż nie?

– Ja... – Rozluźnił się nieco. – Tak, mógłbym. Ale nie mogę po prostu zapukać do drzwi...

*Dokładnie to chciałbyś zrobić.*

– Wędrowcowi potrzebującemu schronienia każdy okazałby gościnność.

I nikt nie twierdzi, że musiałbyś przychodzić z pustymi rękami.

Oczy Luciana się zwęziły.

– Przed czym miałbym potrzebować schronienia?

– Przed deszczem, oczywiście.

– Zamierzam zmoknąć?

Dianna uśmiechnęła się słodko.

– Będiesz przemoczony do suchej nitki. Sugeruję, żebyś spakował do juków dodatkowy komplet ubrań.

Jego uśmiech wypływał na twarz powoli, ale był ciepły, prawdziwy.

Lucian pocałował siostrę w policzek i wyszedł.

Gdy Dianna została sama, podeszła ponownie do stołu zastawionego przysmakami, ale nie miała na nic ochoty. Coraz więcej dróg przez Zastonę się zamykało. Coraz więcej klanów znikało przez to, co pożerało Tir Alainn. A oni nie byli nawet o krok bliżej znalezienia sposobu, by to powstrzymać. Żadne nowe wieści dotyczące wiccanfae i ich czarnej magii nie zostały przekazane Lyrze czy Aidenowi, a jedyne strzępki informacji dotyczące Filarów Świata, które jeden z Bardów niedawno podsunął Aidenowi, wskazywały na to, że w jakimś momencie były one w jakiś sposób powiązane z domem Gaian. Co w niczym im nie pomogło, jako że dom Gaian zniknął dawno temu i ani Lyrra, ani Aiden nie mieli pojęcia, czym były Filary Świata, a co dopiero gdzie ich szukać.

W tej chwili nie mogła nic zrobić dla Tir Alainn, ale mogła zrobić coś dla swojego brata, by pomóc mu w osiągnięciu przyjemności, której poszukiwał.

Wyszła z pokoju. Fae już dawno temu stracili zdolność kontrolowania żywiołów, ale przy pewnym wysiłku powinni być w stanie wywołać przelotny deszcz w okolicy pewnej chaty.

## ROZDZIAŁ 8

Ari wzdrygnęła się, gdy głośny grzmot rozbrzmiał nad chatką i pierwsze ciężkie krople deszczu uderzyły w okna. Pospieszyła do sypialni, zamknęła na zasuwę wewnętrzne okiennice i zasłoniła je zimowymi kotarami. Zazwyczaj lubiła patrzeć na burzę nadciągającą od strony morza, ale ta wydawała się jej złowieszcza.

– Durniejesz, Ari – wymamrotała, zdejmując ubrania i przywdziewając najgrubszą koszulę nocną. – Najpierw rozmawiasz z koniem, a teraz zakładasz, że burza ma jakiś nastrój.

Ale burze miały nastroje – a ta sprawiała, że dziewczyna czuła się nieswojo. Podmuch wiatru wstrząsnął chatą na tyle mocno, że szyby w oknach zagrzechotały. Ari zamarła na moment. Potrząsnęła głową. Tylko głupiec wybrałby się w podróż w taką noc.

Włożyła czyste skarpety i wcisnęła stopy w kaptcie. Dodatkowo zarzuciła na ramiona miękką, wełnianą narzutkę; pogładziła ją dłonią i uśmiechnęła się smutno. Narzutka była pomysłem jej matki. Mając dość szali, które nigdy nie pozostawały na swoim miejscu, Meredith wzięła jeden z nich i zszyła boki, by móc zakładać go na szyję i ramiona. Ari doszyła zapięcie, które pozwalało zapinać go na guzik. W rezultacie otrzymała skrzyżowanie szala i peleryny. Meredith śmiała się podczas przymierzania tego efektu ich wspólnych starań i stwierdziła, że zapewni im ciepło i otuli je nawet podczas najstraszliwszej wichury.

Kolejny podmuch wiatru skłonił Ari do przeniesienia się do głównej izby. Stała przed paleniskiem i próbowała uspokoić oddech, koncentrując spojrzenie na kawałkach drewna. Moc ognia narastała w niej, przez co prawa dłoń zaczęła lekko dygotać. Zatrzymała ją delikatnie. Uniosła dłoń i przekazała resztę mocy polanom. Z podpałki uniosła się smużka dymu. Potem pojawił się niewielki płomień, rozniósł się na większą część chrustu i przybrał na sile. Wciąż podsycala to zarzewie, póki ostatnia kłoda nie zaczęła się palić.

Wchodząc do kuchni, poczuła zapach potrawy z królika. Przycisnęła dłoń do burczącego brzucha. Zaczęła się uśmiechać, ale jej uśmiech spełzył, gdy spojrzała na kuchenne drzwi wyposażone w nowe, błyszczące zasuwki i zamki. Skąd stary Ahern wiedział, że jej drzwi kuchenne zostały wyłamane ubiegłej nocy? Przecież to nie on kręcił się tu po zmroku w czasie Letniego Księżyca? Na pewno nie. Nigdy *tak* na nią nie patrzył. Ale na swój burkliwy sposób zawsze był dla niej miły.

Zapytany, odparł, że szukał siwego rumaka. Ari wiedziała, że koń przychodzi do niej wieczorami od czasu do czasu, by poskubać łąkę – robił tak, odkąd sięgała pamięcią. Ale nigdy wcześniej Ahern nie przychodził go szukać. Ba, gdy jednego razu zapytała go, czy koń się nie zgubił, w jego oczach pojawił smutek. Odpowiedział, że siwek potrafił się zabłąkać w młodych latach, ale te czasy dawno minęły i nie musi się o niego martwić. Potem obrzucił ją badawczym spojrzeniem i zapytał, czy obecność konia sprawiała jej kłopot. Nie sprawiała, tak właśnie mu odpowiedziała. Dlaczego więc Ahern przyszedł szukać tu siwka ubiegłej nocy?

– Nie zamartwiasz się na próżno – napomniała się stanowczo, nakładając potrawkę do miski. – Był tu szukać konia, a dzięki temu, że tu był, zauważył wyłamane drzwi, więc wrócił rano, by je naprawić. Jeśli dalej będziesz się zadrećczać, nabawisz się bólu głowy, a może nawet skrętu kiszek.

Wycięła z koła dwie trójkątne porcje aromatycznego sera, a potem odkroiła grubą pajdę chleba z bochenka, który upiekła tego ranka. Postanawiając sobie dogodzić, szczerze posmarowała kromkę masłem.

Zaniosła jedzenie do stołu w głównej izbie i zapaliła kilka świec. Zadowolona z efektu swych starań, pospieszyła do kuchni, nastawiła imbryk, a potem napełniła szklanek wodą, by mieć czym popić posiłek.

Wróciwszy do stołu, podziękowała Matce za jej dary, a potem wgrzyła się w chleb. Niemalże jęknęła z rozkoszy. Żuła powoli, rozglądając się po pokoju. Po kolacji mogłaby przynieść swoje krosno z drugiej izby, usiąść przy ogniu i poświęcić trochę czasu na tkanie. Albo usiąść w fotelu na biegunach, który wiele lat temu ktoś podarował jej babce, i po prostu porozmyślać, ogrzewając się przy palenisku. Albo zagrzebać się w łóżku i wyspać – właśnie tego potrzebowała, by poradzić sobie z tym, co może przynieść jutro.

*Czyli z tymi wszystkimi szkodami, jakie burza wyrządzi zapewne młodej sałacie i nasionom, które zasadziłaś w ostatnich kilku dniach. Albo*

*z zalaniem ziemianki, ponieważ wciąż nie udało ci się poprawnie rzucić zaklęcia chroniącego przed wodą.*

Potrząsnęła głową i chwyciła łyżkę. Znowu niepotrzebnie się zamartwia. Póki żyła matka, Ari nie przejmowała się zaklęciami tego rodzaju, ponieważ siłą Meredith zawsze była woda. Gdy rozkazywała, woda była posłuszna. Ale magia wody nie działa w przypadku czarownic, których siłą są ziemia i ogień, więc Ari musiała się nauczyć zaklęć opartych na magii ziemi, by utrzymywać wodę z dala od miejsc, w których nie powinno jej być. Albo, co bliższe prawdy, wciąż pracowała nad znalezieniem odpowiedniego zaklęcia, a dotychczasowe wysiłki nie zakończyły się sukcesem. Oczywiście ochrona przed taką burzą jak ta stanowiłaby wyzwanie nawet dla jej matki.

Ostrożnie skosztowała kęs i stwierdziła, że potrawka ostygła wystarczająco. Zatopiła łyżkę w misce i już miała się zabrać za jedzenie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

Łyżka wyślizgnęła się z jej dłoni.

Na łaskę Matki! Royce!

Ari wpatrywała się w drzwi, jej serce biło jak szalone.

Kolejne pukanie, tym razem bardziej niecierpliwe.

Nie przyszło jej to bez wysiłku, ale odzyskała nad sobą kontrolę w takim stopniu, by zacząć myśleć, zamiast panikować. Nawet jeśli to był Royce, czary ochronne nie pozwolą mu wejść do środka, o ile sama go nie zaprosi. A ona nie miała zamiaru zezwolić mu na przekroczenie tej granicy. Ale co jeśli to był Ahern? Może przyszedł poprosić o napar, ponieważ jeden z jego pracowników zachorował?

– Nie dowiesz się tego, stojąc tutaj – wymamrotała i ruszyła w stronę drzwi.

Trzecie stuknięcie sprawiło, że zamarła, wpatrując się w zasuwę. Dzięki temu, że osoba przy drzwiach, kimkolwiek była, nie próbowała siłą wtargnąć do środka, nabrała odwagi, by je otworzyć.

To nie był Royce. Ani Ahern. Przed nią stał dobrze ubrany, choć całkowicie przemoczony obcy mężczyzna, skulony pod dachem.

– Dobry wieczór – powitała go Ari.

Piorun uderzył. Błyskawica rozświetliła mrok. Przybysz popatrzył złowieszczo w niebo, a potem posłał jej delikatny, rozpaczliwy uśmiech.

– Czyżby?

Coś w tej postaci sprawiło, że Ari się wahała. Pomimo deszczu

i chłodnego wiatru na jego widok zrobiło się jej gorąco. Zbyt gorąco.

*Nie możesz go zostawić na deszczu. Widać, że to szlachcic, więc nie wybaczy ci, jeśli zaproponujesz mu schronienie w oborze, pośród krów.*

– Wejdz i rozgość się – powiedziała Ari, a jej słowa uciszyły zaklęcia ochronne. Odsunęła się, by mógł wejść do środka.

Zawahał się na progu. Zastanawiała się, czy mógł wyczuć, jak czary ochrony rozchylają się niczym kotara, która ponownie zablokuje przejście, gdy tylko znajdzie się w pomieszczeniu. Wszedł i odsunął się na bok, umożliwiając Ari zamknięcie drzwi.

– Jestem... wdzięczny za schronienie, panienko – powiedział, odgarniając z twarzy czarne włosy. – Paskudna noc.

Zdołała wyczuć, że wdzięczność nie była dla niego powszechnym uczuciem. Niezbyt zaskakujące. W jej ocenie nie była to powszechna emocja dla żadnego przedstawiciela szlachty. Przynajmniej odebrał na tyle dobre wychowanie, by wypowiedzieć te słowa, a to i tak więcej, niż powiedziałyby ktokolwiek z Ridgeley.

Zauważywszy juki, które trzymał w dłoni, zapytała:

– Gdzie twój koń?

Zaskoczenie – i przebłysk rozbawienia – wypełniło jego szare oczy.

– Mój koń?

– Zostawiłeś go w oborze? – Ari, zmartwiona, przygryzła dolną wargę. – Może ułożyć się na słomie, ale nie trzymam tam siana ani paszy.

– Koniowi jest dobrze tam, gdzie jest – powiedział mężczyzna nieco dziwnym głosem.

Wydawał się bardzo spięty. Jego szybkie spojrzenie na stół zdradziło jednak wystarczająco wiele.

*Jest głodny.* Zadrżała na tę myśl. Nie chciała przebywać z nim w jednym pokoju – nawet przez kilka minut.

– Powinieneś zdjąć te mokre ubrania – powiedziała, a potem zacisnęła usta. Nie miała w domu nic, co mogłaby mu zaoferować do przebrania, a nie sądziła, by rozsądnym było siedzieć tu z nagim mężczyzną, okrytym jedynie kocem i bielizną – o ile i ta nie była mokra.

– Mam odzież na zmianę. – Uniósł nieco juki i spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

Nie miała dużego wyboru. Skrzyżowała ramiona i wskazała mu uchylone drzwi do sypialni.



– Tam możesz się przebrać.

Lekko skinął głową, a potem wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Przycisnęła nerwowo dłonie do brzucha i spojrzała w dół. Cicho jęknęła, a potem wzruszyła ramionami w geście rezygnacji. Jej nocna koszula, długa do kostek, dobrze ją osłaniała, a narzutka sięgała ud. W jej stroju nie było nic nieskromnego, a jeśli szlachcic zakładał, że wprośnienie się do domu kobiety ubranej w strój nocny jest tożsame z zaproszeniem do czegoś więcej, to może sobie wracać na deszcz.

Chwyciła swoją miskę z potrawką i pospieszyła do kuchni. Z powrotem ustawiła imbryk oraz garnek z kolacją na piecu, dorzuciła do niego zawartość swojej miski i zamieszała. Dokroiła więcej chleba, posmarowała kromki masłem i podała więcej sera. Potem mocno chwyciła dłońmi blat stołu i zamknęła oczy.

Gdzie powinna go przenocować? Pokoje na górze nie zostały wysprzątane od ubiegłego lata. Nawet tam nie zmiatała. Nie korzystała z tych pomieszczeń, a zawsze miała zbyt wiele innych, pilniejszych obowiązków, by się nimi zająć. Nawet gdyby pościeliła tam łóżko, trzeba by rozpalić ogień, aby nieco ogrzać wychłodzony pokój, a nie miała dość drewna, aby podtrzymać płomień w dwóch kominkach do rana. Będzie musiała oddać mu swoje łóżko, a sobie ułożyć posłanie z koców przy ogniu w głównej izbie.

Gdy zaczęła nakładać do misek dwie hojne porcje potrawki, znów się zawahała. Miała nadzieję, że nieznajomy nie był zbyt głodny. Liczyła na to, że potrawka wyżywi ją przez kolejne kilka dni. Miedziaki, które zarobiła na wywarach sprzedanych Babci Gwynn, nie wystarczą na długo, jeśli przyjdzie jej uzupełniać zapasy w Ridgeley. Zerknęła na leżącą na stole chałkę, owiniętą w ręcznik. Upiekła ją, by podziękować Ahernowi za naprawienie drzwi, ale może mogłaby dostać w zamian za nią też kilka jajek?

Potrząsając głową, zniosła posiłek do stołu w izbie.

*Cokolwiek robisz, wraca do ciebie po trzykroć.* To była część credo więdmy. Dajesz dar, otrzymujesz dar; a najszczerzej obdarowuje cię Matka.

Podzieli się dziś jedzeniem i schronieniem z lekkim sercem, pozwalając, by jutro życie potoczyło się swoim torem.

Stawiała miski z potrawką na stole, kiedy wyszedł z sypialni – odziany jedynie w ciemne spodnie i białą koszulę. W jednej ręce trzymał butelkę, w drugiej małą sakwę.

– Mogę zaoferować małe co nieco na stół – powiedział, podając jej torbę.

Położyła sakwę na stole i wyjęła z niej niewielki garnek z pokrywką oraz wyplatane pudełko. Otworzyła jedno i drugie, po czym dłuższą chwilę wpatrywała się w zawartość, zanim oceniła, że musi to być jakiś rodzaj ciastek oraz twarożek.

Gdy podniosła wzrok, by mu podziękować, zauważyła, że marszczy brwi na widok tego, co przyniósł, jak gdyby dopiero teraz uświadomił sobie, że to rodzaj prowiantu, jaki pakuje się przed popołudniową przejażdżką... albo jeśli się wie, że nie jedzie się daleko. Mógł kupić te rzeczy w dowolnej gospodzie, w której zatrzymał się na posiłek w środku dnia, ale nie sądziła, by tak było. Zaczęła się zastanawiać, skąd dokładnie przyjechał. Mógł być szlachcicem z innej części Sylwalanu, który przybył obejrzyć konie Aherna wystawione na sprzedaż. Ale farma Aherna nie leżała daleko od jej chaty, więc czemu by tam nie wrócił?

– Otworzyć wino? – zapytał, obserwując ją z pewną rezerwą.

Ari przytaknęła i poszła do kuchni po kieliszki.

Każdy, kto przeszedłby na drugą stronę drogi i wspiał się na pierwsze wzniesienie, które napotka, zobaczyłby stamtąd dom Aherna. A każdy, kogo złapała burza, dostałby się do niego wystarczająco łatwo. Chyba że zgubił drogę w ciemności i burzy albo szukał schronienia tylko do czasu roz pogodzenia się, by później wrócić na farmę. Albo pojechać dalej do Ridgeley. Być może był jednym z gości barona Felstona – lub przyjacielem Royce’a.

Wzdrygnęła się. Aż za dobrze wiedziała, co powiedzieliby ludzie z Ridgeley, gdyby się dowiedzieli, że obcy człowiek zatrzymał się u niej na noc. W ich opinii słowo „wiedźma” było jednym z wielu synonimów słowa „dziwka”. Była przekonana, że jeżeli nieznajomy wspomni komukolwiek, gdzie spędził noc, pod jej drzwiami zaczęną się ustawiać mężczyźni z Ridgeley, żonaci czy nie, spodziewając się podobnej gościnności.

Po przetrząśnięciu kredensu znalazła dwa ostatnie kieliszki, które niegdyś należały do jej prababki. Ostatnim razem były w użyciu, gdy ona i jej matka usiadły przy kominku i wypily butelkę wina, którą podarował im Ahern z okazji Zimowego Przesilenia. Meredith zmarła wkrótce potem.

Ari wytarła kieliszki z kurzu i wróciła do głównej izby.

Wino stało na stole, otwarte. Mężczyzna zaś stał obok jednego z krzeseł.

– Proszę o wybaczenie, panienko. – Brzmiał tak, jakby wcześniej ćwiczył

tę formułkę. – Powinienem być wcześniej się przedstawić. Jestem... Lucian.

Na dźwięk tego imienia przeszedł ją dreszcz. Już wiedziała, jak musi się czuć pstrąg, który walczy z haczykiem, ale i tak zostaje pochwycony.

– Jestem Ari – odparła niechętnie. Imiona miały swoją moc, dlatego nie chciała zdradzać swojego. Niestety nie zostawił jej większego wyboru, przedstawiając się pierwszy.

*Głupia, pomyślała, stawiając kieliszki i zajmując miejsce przy stole. On cię nie zna. Mogłaś mu podać jakiegokolwiek imię. Skąd wiesz, czy on sam właśnie tak nie postąpił?*

Teraz, gdy o tym pomyślała, przypomniała sobie moment wahania w jego głosie, zanim podał swoje imię – jak gdyby zwykle się tak nie przedstawiał.

Zerknęła na niego. Jego palce spoczywały delikatnie na łyżce, a on sam spoglądał na nią wyczekująco. Chwilę jej zajęło, zanim pojęła, że czeka, aż ona zacznie jeść, by i on mógł to zrobić. Tłumiąc westchnięcie, podniosła swoją łyżkę. Kolejny z wymysłów szlachty, o którym nie wiedziała. Z drugiej strony stary Ahern nie był szlachcicem, a gdy kilkakrotnie piła z nim herbatę, każdorazowo czekał na nią w ten sam sposób.

Potrawka była dla niej za gorąca, ułamała więc kawałek sera, by coś przegryźć. Gdy tylko wgrzyzła się w ser, Lucian zaczął pałaszować swój posiłek. Nim zdążyła ostrzec go, że potrawka jest gorąca, miał już pełne usta. Jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu, ale nie chwycił za wino, by ochłodzić pałace gardła. Przeżuł, połknął i uśmiechnął się do niej.

– Przepyszne.

Przez następne kilka minut nic więcej nie powiedział.

Pochłonął pół miski potrawki, większość sera i kilka kromek posmarowanego masłem chleba, zanim ona zdążyła zjeść pierwszą łyżkę dania. Odgryzła kawałek ziemniaka, a potem nabrała powietrze, by podmuchem schłodzić gorący środek. Sądziła, że robi to cicho, ale on natychmiast podniósł głowę, by na nią spojrzeć. Gdy udało się jej przełknąć, zapytała:

– Jak udało ci się zjeść i się nie poparzyć?

– Lubię ogień – odpowiedział.

Chwyciła swój kieliszek i upiła duży łyk wina. Spojrzała na trzymane w ręce naczynie, by upewnić się, że omyłkowo nie podniosła szklanki z wodą.

– Ja też lubię ogień, ale nie przepadam za poparzonym językiem.

– Taka jest natura ognia. Parzy.

– Ogrzewa – odparła ostro. Nie chciała, by jej ton zabrzmiał wyzywająco, ale coś w sposobie, w jaki powiedział słowo „parzy”, ją zaniepokoiło.

– Nie uważasz, że ogień może niszczyć? – zapytał łagodnie.

Po sposobie, w jaki jego palce zacisnęły się na kieliszku z winem, mogła stwierdzić, że nie nawykł do sytuacji, gdy ktoś się z nim nie zgadza. I z pewnością mu się to nie podobało. Nie spieszyła się jednak z odpowiedzią. Ogień był tą gałęzią Matki, która stanowiła jej część. Znała jego naturę, ciemne i jasne strony. Ale jak wyjaśnić obcemu coś, czego nigdy dotąd nie musiała ubierać w słowa?

– Tak, ogień może niszczyć – przyznała ostrożnie. – Ale to także żar, który piecze chleb, ciepło, które przynosi ulgę w chłodną, zimową noc, światło, które oświetla w ciemnościach drogę do domu. – Bawiła się łyżką. – To musi brzmieć dla ciebie bardzo prostacko.

– Brzmi... delikatnie – odpowiedział Lucian, odwracając wzrok. – I znacznie rozważniej niż moja uwaga.

Upił łyk wina i zmarszczył brwi.

– Proszę o wybaczenie, panienko. Wino nie podkreśla odpowiednio smaku tego posiłku.

– Jest delikatne – odparła Ari.

Po prawdzie mimo koloru głębokiej czerwieni wino było prawie bez smaku, jak gdyby miało w sobie jedynie wspomnienie po dawnym bukicie. Rozsmarowała nieco twarożku na biszkopcie i ugryzła. Musiała powstrzymać westchnięcie. Ser i biszkopty smakowały nie lepiej niż wino. Nie sądziła, że szlachta preferuje jedzenie, które ma tak mdły smak.

Posiłek dokończyli w pełnej napięcia ciszy.

Ari spojrzała na swoją miskę, w której zostało jeszcze pół porcji potrawy, i poddała się. Jej apetyt uleciał, a brzuch był zbyt wypełniony rosnącym przekonaniem, że gość na coś czeka.

– Dokąd zmierzasz, panie? – zapytała, licząc na to, że odpowiednio podkreśliła dzielący ich dystans, dzięki czemu on wkrótce postanowi udać się na spoczynek, by wcześniej rano wyruszyć w drogę.

– W żadne konkretne miejsce – odrzekł wymijająco ze wzrokiem utkwionym w kieliszku i niespokojnie zaciśniętą na nim dłonią.

Ari popatrzyła na niego. Skoro nie jechał do żadnego celu, co robił na dworze w taką noc?

– Podobała ci się przejażdżka po plaży ubiegłej nocy? – zapytał nagle, wciąż na nią nie patrząc.

Ciało Ari jednocześnie przeszło ciepło i zimno, poczuła dreszcze jak w chorobie... a do tego furję.

– Jeśli po to tu przybyłeś, panie, spóźniłeś się. Letni Księżyc był ubiegłej nocy.

– Wiem – odparł cicho. Teraz jego szare oczy przeszły ją na wylot. – Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

– I nie odpowiem – warknęła Ari. – To nie twój interes.

Była tak zirytowana, że zaczęła się rozglądać za czymś, czym mogłaby rzucić, ale wiedziała, że nie powinna marnować jedzenia ani zastawy.

– Wydawało mi się, że ktoś obserwował mnie z klifu.

– Naprawdę? – Ostrość w jego głosie sprawiła, że na niego spojrzała.

– Tak. To byłeś ty. W przeciwnym razie skąd miałbyś o tym wiedzieć?

Głos Luciana złagodniał.

– Byłem na plaży.

Ari potrząsnęła głową.

– Na plaży nie było nikogo oprócz...

– Nakarmiłaś mnie jabłkami i jakimś ciastkiem – a także specjałem.

Ari wciąż tylko kręciła głową.

– Pocałowałaś mnie i złożyłaś obietnicę.

– Wcale nie... – wyszeptała. Gdy wpatrywała się w niego, jego twarz nagle się zmieniła, nabrała dzikich rysów, a uszy przybrały nieco szpiczasty kształt.

Fae.

Gwałtownie odskoczyła od stołu, przewracając przy tym krzesło. On wciąż siedział spokojnie, wpatrując się w nią z mieszaniną nieufności i głodu w szarych oczach.

– Je... Jesteś Fae... – Jej głos drżał.

Nieznacznie skinął głową.

– Ale... powiedziałaś, że jesteś koniem. Zapytałam cię o to, a ty powiedziałaś, że jesteś koniem.

Do nieufności i głodu w jego oczach dołączył ślad rozbawienia.

– Kiedy mnie o to zapytałaś, byłem koniem.

Ari zamknęła oczy. Na łaskę Matki. Podarowała specjał lordowi Fae w jego drugiej postaci. Cóż, może to nie było takie straszne. Bądź co bądź,

udało się jej uniknąć wszystkich mężczyzn z Ridgeley. A może był on tylko pomniejszym panem, na przykład Panem Drobiu lub kimś podobnym? Czy w ogóle istniał Pan Drobiu? I czy w takim przypadku jego drugą postacią nie powinien być raczej ptak? Kogut, poprawiła się szybko Ari, gdy przed jej oczami stanął obraz penisa na dwóch nogach, biegającego po podwórzu. Przycisnęła dłoń do ust, by nie zachichotać, pewna, że gdyby zaczęła się śmiać, skończyłoby się to historycznym wybuchem.

Wzięła kilka głębokich wdechów, by się uspokoić, splotła ciasno palce obu dłoni i dopiero wtedy otworzyła oczy.

– Którym z nich jesteś? – zapytała.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Światłym.

Bez słowa uciekła do kuchni. Pochyliwszy się nad zlewem, poczuła wdzięczność, że zjadła tak mało, ponieważ czekałoby ją mniej sprzątnia, gdyby teraz zwymiotowała.

*Ogień parzy.*

O tak, on z pewnością zna się na ogniu. Zdecydowanie tak.

Pan Słońca. Pan Ognia.

*Matko nas wszystkich, proszę, pomóż mi.*

Usłyszała dźwięk nalewania wina do kieliszka, a potem szurnięcie odsuwanej krzesła. Spięta, czekała, aż wejdzie do kuchni i przedstawi jej swoje żądania. Ale zamiast tego jej uszu doleciało jedynie rytmiczne skrzypienie fotela na biegunach.

Zebrawszy się na odwagę, wychynęła z kuchni. Trzeba było posprzątać stół i odpowiednio zabezpieczyć resztki jedzenia. To były bezpieczne i znane jej obowiązki. Rzuciła okiem w jego stronę, ale on zdawał się nie zauważać jej obecności; wpatrywał się w ogień na palenisku. Zabrała tyle naczyń, ile zdołała, i wyniosła je do kuchni. Gdy obróciła po raz drugi, powiedział cicho:

– Nie przyszedłem tu, by cię skrzywdzić.

Zaskoczyło ją napięcie w jego głosie. Nie ufając własnemu głosowi, po prostu kiwnęła głową i wróciła do kuchni. Postawiła naczynia na blacie obok zlewu i ścisnęła drżące dłonie.

*Cokolwiek robisz, wraca do ciebie...*

*Uważaj, czego sobie życzysz...*

*Jak mówię, tak...*

Czy mogła, choć po części, ponosić za to odpowiedzialność? Nie chciała

się oddać mężczyźnie z Ridgeley, zwłaszcza Royce'owi. Nie rzuciła zaklęcia, by tego uniknąć, ale w swoich myślach i uczuciach skupiała się właśnie na uniknięciu tego. Czy to mogło wystarczyć, by przyciągnąć go do niej na plaży ubiegłej nocy? Jako że sam jest obdarzony magią, mógł być bardziej wyczulony na jej wezwanie, czyż nie? Poza tym złożyła przysięgę, a jako że był tym, kim był, gdy zaklinała się na Pana Słońca i Panią Księżycę, jej obietnica miała dla niego jeszcze większą wagę niż w innych okolicznościach.

I wydawał się taki... samotny.

Przerazona tą myślą, zmusiła się do podjęcia przyziemnych obowiązków w kuchni. Dzięki zmywaniu naczyń i chowaniu jedzenia czuła się spokojniejsza i mogła znów jasno myśleć.

Mógł zmienić formę zaraz po tym, jak podarowała mu specjał, i zażądać zaspokojenia już ubiegłej nocy. Ale tego nie zrobił. Mógł jej powiedzieć, kim jest i po co przyszedł, gdy tylko przekroczył próg jej domu. Ale tego nie zrobił. Podał jej imię, które miało jej nie przerazić, a potem pozwolił jej porozmawiać z nim i przyzwyczaić się do jego obecności, zanim wspomniał o plaży i specjale.

Wszystko to miało znaczenie. Pozostawała jeszcze jedna sprawa: jej jedyne, jak dotąd, doświadczenie z mężczyzną było bolesne i rozczarowujące. Czy w przypadku Luciana mogłoby być zupełnie inaczej? Czy jeśli nie skorzysta z okazji teraz, kiedykolwiek jeszcze będzie miała taką szansę? Nawet jeśli nie będzie jej lepiej niż z Royce'em, to chyba nie może być gorzej?

*Poza tym on jest samotny. Nie wiem, czemu tak jest, ale jest samotny. Zupełnie jak ja.*

Kiedy nie zostało jej nic więcej do zrobienia w kuchni, wzięła głęboki oddech i powoli wróciła do pokoju.

*Odwagi, Ari. Zawierz mądrości Matki. Czasami pewne rzeczy są nam pisane.*

Podeszła do paleniska i stała tam, niepewna, aż wreszcie na nią spojrział.

– Musisz coś zrozumieć, panie – powiedziała, czując, jak rumieńce wstępują na jej twarz. – Robiłam to dotąd tylko raz.

– Robiłaś co? Ofiarowałaś specjał?

– Nie – odparła pospiesznie. – Tego nie robiłam nigdy wcześniej. Miałam na myśli... kolejny etap.

Przez moment wyglądał na zakłopotanego. A potem nagle jego twarz się rozpuściła.

– Raz?

Przełknęła z trudem i przytaknęła.

Przyglądał się jej z uwagą.

– I nie było to przyjemne?

Potrząsnęła głową.

Opróżnił kieliszek i postawił go obok fotela na bieżących.

– To musi być twoja decyzja, Ari.

– Zdecydowałam w chwili, gdy ofiarowałam ci specjał.

– Nie wiedziałas, komu go ofiarujesz.

– Dotrzymuję moich obietnic, panie.

*Jak każda wiedźma.*

Wstał i powoli się do niej zbliżył. Jego dłonie objęły jej twarz.

– Musisz być pewna.

– Jestem pewna, panie.

Musnął ustami jej usta.

– Lucianie – wymamrotał.

– Lucianie – odparła posłusznie.

Przygotowała się na gwałtowny pocałunek i natarczywy język, ale jego usta i dłonie pozostawały subtelne, wywołując w jej wnętrzu uczucie podniecenia, jakby muskały ją delikatne skrzydła. Miękki. Taki miękki.

Oderwał dłonie od jej twarzy i przeniósł na jej plecy, obejmując ją tak lekko, że ledwie czuła ten dotyk przez narzutkę i koszulę nocną. Jego usta błędziły po jej twarzy i szyi. Jego ręce wślizgnęły się pod narzutkę. Podniecenie narastało, choć koszula nocna wciąż sprawiała, że nie czuła w pełni jego dotyku i łaknęła więcej. Chciała podnieść ręce i dotknąć jego ciała, ale miała wrażenie, że są zbyt ciężkie, by mogła je unieść. Zresztą nie była w stanie skoncentrować się na niczym poza jego dłońmi wędrującymi po jej ciele. Czuła się jak wosk nadtapiany płomieniem.

– Chodź – szepnął, prowadząc ją do sypialni.

Kiedy dotarli do drzwi, świeca przy łóżku zapłonęła żywym ogniem.

Lucian przesunął kołdrę, a potem zdjął narzutkę z ramion Ari. Nie mogąc się oprzeć lekkiemu naciskowi jego dłoni, usiadła na łóżku, on zaś zdjął jej kapcie i skarpetki.

– Wejdz pod kołdrę – powiedział. – Noc jest zimna.



Drżąc lekko, wykonała polecenie. Zanim na dobre się ułożyła, on zdjął już swoje odzienie i mościł się obok niej. Jego dłonie objęły jej nadgarstki, gdy przenosił jej ręce za głowę. Był taki ciepły. Tak cudownie ciepły.

– Nie powinnam...?

Musnął ustami jej usta, by ją uciszyć.

– Cii...

Gdziekolwiek ją dotknął, topniała. Gdy zachęcił ją, by zdjęła koszulę nocną, nie była już w stanie sama się podnieść bez jego pomocy.

Ciepły. Taki ciepły.

– Ari.

Tak trudno było otworzyć oczy. Jej ciało odpowiadało na jego polecenia znacznie lepiej, niż odpowiadało na jej.

– Ari.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, jego twarz była dokładnie nad jej twarzą. Przyglądał się jej przez chwilę, a potem się uśmiechnął. Poczula, jak zmienia pozycję, poczuła nacisk jego nogi rozsuwający jej uda. Wszedł w nią powoli; wydawał się zadowolony, pozostając nieruchomo i całując ją.

Dopiero dotyk jego jąder zmienił uczucie roztapiania się w coś ostrzejszego i wygłodniałego. Czula, jak opierają się o nią, jak muskają jej wrażliwą skórę za każdym razem, gdy jego mięśnie się napinały. Ich dotyk sprawił, że poczuła napięcie.

– Lucianie – jęknęła, próbując znaleźć sposób, by ulżyć swojej udęce. Jej palce zacisnęły się na jego pośladkach, zachęcając go do ruchu. – Lucianie...

Jego usta wygięły się w uśmiechu tuż przy jej policzku. Poruszał się, a z każdym pchnięciem podsycał ogień pożądania. Aż w końcu Ari zapłonęła.



Lucian wyszedł z łóżka Ari. Tak cicho, jak potrafił, odsłonił zasłony i otworzył okiennice. Szare światło zwiastujące rychły wschód słońca zapewniało wystarczającą widoczność, założył więc elementy odzienia, które był w stanie odszukać, a potem wymknął się z sypialni.

Odsunął rygiel i otworzył frontowe drzwi. Burza dawno minęła. Tak naprawdę trwała jedynie podczas ich posiłku, ale wątpił, by Ari sobie to uświadomiła.

Gdzie położył pozostałe ubrania? Zastanawiał się nad tym, zamykając drzwi i wracając do chaty. Omiótł wzrokiem czystą kuchnię. I gdzie schowała resztę jedzenia?

Kiedy szybkie przeszukanie szafek nie ujawniło obecności miski z potrawką czy sera, otworzył duży drewniany kontener stojący na blacie. Znalazł w nim chleb oraz biszkopty, które przyniósł. Podniósł jedno ciastko i wgryzł się w nie, wykrzywiając usta. Z jakiegoś powodu tutaj nie smakowało tak dobrze jak w Tir Alainn. Pogrzebał jeszcze trochę w kontenerze, licząc, że znajdzie coś jeszcze, na przykład trochę tych ciastek, które Ari przyniosła na plażę.

Mógł ją obudzić. Wtedy zechciałaby się napić herbaty, prawda? A gdyby już wstała, pewnie podałaby mu coś do jedzenia.

Kiedy stał przed progiem sypialni, uświadomił sobie, że wciąż pozostaje do spełnienia jeszcze jeden zwyczaj związany z wręczaniem podarunku. Usatysfakcjonowana kochanka może mieć ochotę na coś zupełnie innego niż zaspana, niezadowolona kobieta, po której oczekiwano przygotowania śniadania. Lepiej byłoby najpierw coś jej ofiarować, zanim wspomni się o jedzeniu.

Zakładał, że zasady dotyczące specjału dają mu wszelkie prawo, by ignorować zwyczaj wręczania podarunku, ale zaznał z Ari znacznie więcej przyjemności, niż się spodziewał, a prezent sprawiłby, że chętniej wyczekiwałaby jego powrotu. Ponieważ miał zamiar wrócić. Była jego od pełni do nowiu księżyca i zamierzał się nią cieszyć tak długo, jak mógł.

I chciał dostać śniadanie.

Wszedł do sypialni i usiadł na łóżku. Ari wciąż spała, otulona kołdrą. Wyciągnął dłoń, by dotknąć jej ramienia i potrząsnąć nią lekko, ale jego ręka powędrowała wyżej i zaczął gładzić ją po włosach.

– Mmm – mruknęła zaspana. – Czy ptaszki powiedziały ci, że już czas?

Czas na co?

– Ptaszki?

Potakując, wcisnęła twarz głębiej w poduszki. Zastanawiał się, czy zapadła w głęboki sen, zanim zdołał z nią porozmawiać.

– Ptaszki zawsze wiedzą, kiedy przychodzi czas – odezwała się po kilku minutach ciszy. – Gdy tylko światło zacznie się zmieniać, usłyszysz cichy trel, jak gdyby zachęcały słońce do wstania. – Westchnęła. – A może zachęcają ciebie?

– Nie potrzebuję pomocy ptaków, by wstać – odparł sucho Lucian.

Pokusa, by wskoczyć z powrotem do jej łóżka i zademonstrować jej inny rodzaj pobudki, była zbyt wielka. Ale to, co powiedziała, zaniepokoiło go. Chyba nie sądziła, że...

– Wiesz o tym, że tak naprawdę nie podnoszę słońca ponad linię horyzontu, prawda? Świetnie radzi sobie samo.

– To dobrze – wymamrotała Ari. – Zawsze się zastanawiałam, co by się stało, gdybyś zasnął. Ale ptaszki by cię obudziły.

Przyglądał się jej przez moment, a potem potrząsnął głową. Albo ona była zbyt śpiąca, albo on zbyt przytomny, by ta rozmowa miała sens.

– Ari?

– Mmm...

– Do dobrych zwyczajów należy, by mężczyzna zadowolony z towarzystwa kobiety wręczał jej podarek, okazując swoją wdzięczność.

– Podarek? – Zmarszczyła brwi, a potem się uśmiechnęła. – Prezent?

– Tak. – Lucian powoli tracił cierpliwość. – Prezent.

Ponownie westchnęła.

– Odkąd moja matka zmarła, nikt nie dał mi prezentu.

Odsunął się, niepewny, co robić. Planował zasugerować kilka drobiazgów z klanowej skrzyni z błyskotkami, co nie wymagało od niego dodatkowych wysiłków. Dotychczas nie spotkał ludzkiej kobiety kuszącej na tyle, by poddać się jej urokowi, ale z tego, co mówili inni mężczyźni Fae, wynikało, że są trochę jak sroki – lubią świecidełka. A że złoto, srebro i biżuteria trafiały w końcu do klanowej skrzyni, nawet jeśli nie była to już ta sama skrzynia, nie było w niej nic, co nie zostałoby już kiedyś подарowane.

Wiedział, że zeszłej nocy nie było w chacie nikogo innego, ale założył, że po prostu przebywali w innym miejscu. Jednak nie uświadomił sobie wcześniej, iż ona była tu naprawdę samotna. Wiedząc o tym – i wiedząc, jak bardzo w tym momencie podarek może ją uradować bądź rozczarować, czuł się zobowiązany, by dać jej cokolwiek, o co poprosi, niezależnie od tego, jak zachłanna mogłaby się okazać.

Przysuwając się bliżej, zapytał:

– Jaki prezent chciałabyś otrzymać?

– Mogę wybierać?

– Tak, możesz wybierać.

Uśmiechnęła się.

– Promienie słońca.

Wpatrywał się w nią w zdumieniu. Czy to była zawołana prośba o naszyjnik z bursztynu albo cytrynu? A może ze złota?

– Promienie słońca? – powtórzył.

Pokiwała głową.

– Muszę dziś popracować w ogrodzie. Miło by było robić to w blasku słońca. – Zmarszczyła brwi. – Ale żeby nie było za gorąco.

Pocałował ją w policzek.

– Słońce, które ogrzewa, ale nie parzy.

Ponownie przytaknęła.

– Co jeszcze?

– Jeszcze? – zdziwiła się. A po długiej pauzie dodała: – Smoka.

Lucian westchnął cicho. Smoka? Nawet gdyby takie stworzenia istniały i udałoby mu się złapać jedno z nich, co niby ona miałyby z nim robić?

– Smoka – powiedział ciężko.

Zachichotała.

– Smoka z chmur ścigającego puchate owce z chmur.

Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, ile ona ma lat. Oczywiście było, że jest młoda, ale ubiegłej nocy rozkoszował się ciałem kobiety, nie dziewczyny. Nieważne. Skoro nie był jej pierwszym, najwyraźniej była dość dorosła.

Ponownie złożył pocałunek na jej policzku.

– Muszę już iść. Ale wrócę dziś wieczorem.

– Wieczorem – wymamrotała.

Poruszając się cicho, opuścił sypialnię. Jego juki spoczywały na jednym z krzeseł przy stole, ale wciąż nie miał pojęcia, gdzie położyła resztę jego ubrań – oraz jego buty. Wzruszył ramionami. W tej chwili ich nie potrzebował. A przecież i tak wróci tu wieczorem.

Mężczyzna otworzył kuchenne drzwi i wyszedł z chaty. Ale to kary koń pogalopował w stronę lśniącej drogi prowadzącej do Tir Alainn.



*Ćwir-ćwir, ćwir-ćwir, ćwir-ćwir.*

Ptaki z entuzjazmem celebrowały nowy dzień.

*Ze zbyt dużym entuzjazmem, pomyślała Ari, zagrzebując się w pościeli, by*

uniknąć promieni słońca wpadających przez okno sypialni.

Słońca?

Wynurzyła głowę i niechętnie otworzyła oczy. Zasłony były rozsunięte, a okiennice otwarte. Dwa wróble i zięba wpatrywały się w nią zza szyby.

*Ćwir-ćwir, ćwir-ćwir, ćwir-ćwir.*

Obudź się, obudź się, obudź się i powitaj dzień.

– Dobrze, już dobrze. Wstaję – odburknęła, nie podejmując jednak żadnych starań. Minęła już godzina, o której zwykle wstawała, ale wiedziała, że jeśli odda się codziennym obowiązkom, ubiegła noc stanie się przeszłością – a ona chciała się rozkoszować tymi odczuciami jeszcze chwilę dłużej i rozmyślać o wspaniałym śnie, który nawiedził ją o poranku. Lucian zaoferował jej prezent, a ona wymieniła same głupie rzeczy, które tylko lord Fae mógłby komuś podarować.

To wszystko, rzecz jasna, było bzdurą, sztuczką jej umysłu przywołaną po to, by ją zabawić, gdy jej ciało wciąż spało. Ponieważ gdyby naprawdę zaoferował jej podarek w zamian za seks, ubiegła noc nie byłaby już połączeniem się dwojga ludzi dla ich obopólnej przyjemności; byłaby raczej transakcją.

Niezadowolona z kierunku, w jakim zmierzają jej myśli, Ari wygramoliła się z łóżka. Wcisnęła stopy w kapcie i powlekła się do głównej izby. Gdy odsuwała zasłony i otwierała okiennice, wróble i zięba przenosiły się za nią z okna na okno.

*Ćwir-ćwir, ćwir-ćwir, ćwir-ćwir.*

– Nie powinnyście łapać robaków czy innych pełzających stworzeń? – mruknęła.

*Ćwir-ćwir.*

– Cóż, grunt, żebyście się trzymały z dala od mojej sałaty. Macie wiele innych rzeczy do jedzenia, nie muszą to być moje uprawy.

*Ćwir-ćwir!*

Uśmiechając się, Ari potrząsnęła głową, a potem odwróciła się w stronę paleniska. Ogień wygasł. To nieistotne. Wiedziała, że lekki chłód, który pozostał w chacie po ubiegłej nocy, zniknie, gdy tylko otworzy kilka okien i górną część kuchennych drzwi.

Kiedy ruszyła w stronę kuchni, zauważyła juki wciąż spoczywające na krześle, tam gdzie je zostawiła. Wiedziała, że Lucian odszedł. Wyczułaby jego obecność, gdyby wciąż był w pobliżu. Czemu więc zostawił swoje

rzeczy? W co zapakował drugi komplet ubrań?

W pełni obudzona, pospieszyła wąskim korytarzem wiodącym do spizarni i umywalni. Zebrała mokre ubrania i rozwiesiła je, kiedy wstała w nocy, by skorzystać z nocnika. Jego odzież wisiała rozwieszona w umywalni dokładnie tam, gdzie ją zostawiła. Zaniepokojona, otworzyła małe okno w pomieszczeniu, by wpuścić do środka świeże powietrze, a potem wróciła do kuchni, by zagrzać wodę na poranną herbatę.

Ręczna pompa wydawała się nieco zastała i dobiegał z niej piszczący dźwięk, gdy pompowała wodę, by napełnić czajnik. Prawdopodobnie trzeba ją naoliwić. Nie pamiętała, kiedy robiono to ostatnim razem. Westchnęła. Kolejna rzecz, z którą musi sobie poradzić i która wypełni jej dzień. Kolejna rzecz, którą zajmowały się jej matka lub babka, kiedy dzieliły pracę między swoją trójkę.

Ale nie pamiętała, by którakolwiek z nich zajmowała się akurat tym obowiązkiem, więc musiały prosić kogoś o pomoc. Do kogo zwróciłyby się rodzina wieżm? Na pewno nie do mieszkańca Ridgeley. Może do Aherna? Ale on już naprawił jej drzwi. Nie mogła prosić go o kolejne przysługi, nie będąc w stanie niczym mu się odwdzięczyć. To może Neall? Zwykle był chętny, by pomagać im w drobnych sprawach, w chwilach gdy baron Felston nie wypełniał jego dni tak wieloma obowiązkami, że chłopak ledwo miał czas złapać oddech. Ale Neall... Miała powody, by niechętnie prosić go o pomoc.

Dołożywszy polan do węgla, Ari nastawiła czajnik na piecu, by podgrzać wodę. Otworzyła kredens i wyjęła kubek. Jej ręka zatrzymała się na chwilę przed słojami stojącymi obok kubków, zanim zdecydowała się na ten zawierający specjalną mieszankę ziół. Była w stanie dokładnie określać swoje dni płodne na podstawie subtelnych zmian w ciele. Na dzień przed Letnim Księżycem przypadał ostatni z nich, ale wolała nie ryzykować. Picie kubka herbaty zaparzonej z tych ziół przez kolejne kilka dni było rozsądnym środkiem ostrożności – środkiem, który stosowała co miesiąc, odkąd zmarła jej matka. To nie strach przed tym, że jakiś mężczyzna może ją do czegoś zmusić, powodował, że przestrzegała dni picia herbaty, choć sposób, w jaki Royce i niektórzy z jego przyjaciół przyglądali się jej ostatnio, sprawiał, że czuła się nieswojo. To samej siebie się bała; tego, że może się poddać uczuciu samotności albo romantycznym zapędom ciała w dniu, kiedy konsekwencje mogłyby wykraczać poza kilka minut przyjemności.

Były czasy, gdy sądziła, że wspaniale byłoby mieć córkę, by kochać ją

i dzielić się z nią światem. Ale więcej było dni, zwłaszcza ostatnio, kiedy cieszyła się, że możliwość sprowadzenia przez nią dziecka na świat jest raczej niewielka. Jej córka byłaby w Ridgeley takim samym wyrzutkiem jak ona, równie niemile widziana. Radość z opiekowania się Brightwood nie mogła zatuszować samotności, a bywały czasy, gdy nawet radość wydawała się brzemieniem. Ta ziemia była jej dziedzictwem i obowiązkiem, ale ktoś poza jej córką, która nigdy się nie narodzi, będzie musiał przejąć pałeczkę po jej śmierci.

Dlatego rozsądne było picie ziołowej herbaty przez kolejne kilka dni, by mieć największą możliwą pewność, że dziecka nie będzie.

Ale... Może Lucian chciał mieć dziecko?

Potrząsając głową, Ari zaparzyła herbatę. Zostawiwszy ją na blacie, by napar naciągnął, zaniósła dzbanek z wodą i czajnik do umywalni, napełniła miednicę i szybko się umyła.

Dziecko było kuszącą wizją. Ale nie dość kuszącą. Och, Lucian był wspaniałym kochankiem i udowodnił jej ponad wszelką wątpliwość, że nie wszyscy mężczyźni są jak Royce. Sama myśl o tym, co robiły jego dłonie i usta, sprawiła, że poczuła dreszcz podniecenia. Ale to nie oznaczało, że z radością powitałby dziecko zrodzone z wiedźmą. Poza tym on zniknie wraz z nowim księżycem – albo nawet prędzej, gdyż wcześniej mógł zacząć się jej cykl.

– Równie dobrze może już mieć żonę i dzieci – wymamrotała, wracając do kuchni, by wypić herbatę. Żonaci mężczyźni nie powinni akceptować zaproszenia otrzymanego podczas Letniego Księżyca, ale wielu z nich to robiło. Dlaczego Fae mieliby być inni?

– Ponieważ nie chcesz, by był równie... pospolity, podobny do Royce'a, barona Felstona czy dowolnego szlachcica w Ridgeley. Chcesz, by jego serce trzymało jego lędźwie na wodzy.

Odkroiła kromkę chleba i posmarowała ją dżemem.

Nawet jeśli ma żonę, przyjęcie specjału i przyjęcie tu ubiegłej nocy było jego wyborem. Ale odkrycie, że jednak ma żonę, wobec której powinien być lojalny, byłoby dla niej gorzkie. Neall na pewno nie pochwałaby tego, że zaprosiła do łóżka żonatego mężczyznę, nieważne, czy był to Fae kierujący się inną moralnością.

Wzdychając, Ari wypiła herbatę. Zostawiła chleb na blacie i poszła do sypialni, by się ubrać.

W pewnym seansie Neall był takim samym wyrzutkiem w Ridgeley jak ona. Może dlatego w dzieciństwie zostali przyjaciółmi. Wciąż nimi byli, choć teraz nie widywała go zbyt często. Wydawał się... ostrożniejszy, przebywając w jej towarzystwie.

– Tym bardziej to nie jego sprawa – mruknęła stanowczo. – Nie ma prawa mówić ci, co możesz robić ze swoim życiem ani czyim towarzystwem możesz lub nie możesz się cieszyć.

Ari zacisnęła zęby. Mogła zaprzeczać, ile chciała, ale to, co myślał Neall, miało znaczenie. Tak samo jak to, co myślał Ahern. Może dlatego że były to jedyne osoby, które w ogóle obchodziła. Nie było jednak prawdopodobne, by w ciągu kilku najbliższych dni któryś z nich odkrył, że ma Fae za kochankę, niepotrzebnie więc martwiła się na zapas, jak zwykła mawiać jej babcia.

Założyła stare spodnie i tunikę, a potem zręcznie zaplotła włosy. Nie było sensu się stroić, skoro planowała pracować przez cały dzień. Jediną osobą, która miała ją zobaczyć, był Ahern, a jedyne, co zauważy, to słodki chleb, który mu przyniesie. Szybko przejdzie się na jego farmę, a resztę dnia poświęci na pracę w ogrodzie.

I nie pozwoli – *nie pozwoli* – sobie na odczuwanie mniejszej satysfakcji z pracy w ziemi z powodu rozmyślań o mężczyznach. Po prostu przestanie o nich myśleć. Nie będzie myśleć o Neallu czy Ahernie. A przede wszystkim nie będzie myśleć o Światłym – ani zastanawiać się nad tym, czy wróci tej nocy.



## ROZDZIAŁ 9

Choć Dianna wyczuła, że Lyrra i Aiden woleliby zostać tylko w swoim towarzystwie, ociągała się przy porannym posiłku, który wspólnie spożywali w jednym ze wspólnych pokoi domu klanu. Lucian wrócił wcześniej tego ranka. Planowała wpaść na niego niby przypadkiem, by nie nabrał podejrzeń, że wyczekiwała jego powrotu, i wypytać go o wydarzenia ubiegłej nocy.

Lyrra oparła stopy o tapicerowaną ławę i objęła kolana ramionami.

– Może dzisiaj wyszeptam coś komuś do ucha i zainspiruję go do stworzenia wspaniałego eposu – powiedziała z uśmiechem.

– Jeśli tak będzie, wybierz kogoś, kto ma choć odrobinę pisarskiego talentu. – Aiden rozparł się na krześle. Jego głos był jałowy, ale w oczach błyskały iskierki.

Lyrra opuściła stopy na podłogę i usiadła, sztywno wyprostowana.

– Nie powiesz mi chyba, że każdy, kogo ty natchnąłeś, miał złote palce bądź srebrny głos. Słyszałam te ośle ryki mające uchodzić za śpiew.

– Nie będę zaprzeczał, ale zła pieśń nie przetrwa długo, podczas gdy zły poemat... – Aiden teatralnie wzruszył ramionami.

– Już widzę, co przyniesie ten dzień – powiedziała Dianna. – Ktoś napisze bardzo długi, bardzo kiepski epos, który potem zostanie wzbogacony o muzykę. Dzieło będzie nosić tytuł *Walka Barda i Muzy*. Muzyk będzie fałszował i grał w złym tempie. Słowa, pisane jako proza, zostaną upchnięte w melodię bez żadnego poszanowania dla rytmu. Każdemu wykonaniu utworu towarzyszyć będzie szloch, niemający nic wspólnego z opowiadaną historią.

Popatrzyli na nią.

– Może to Pani Księżycy powinna być tematem eposu – powiedziała chłodno Lyrra po dłuższej chwili.

– Może – zgodził się cicho Aiden.

W jego oczach nie było już błysku, a w oczach Lyrry nie było sympatii. Najwyraźniej z Muzy i Barda mogli bezkarnie żartować tylko oni sami.

– Proszę o wyrozumiałość – dodała Dianna, zirytowana koniecznością wypowiedzenia tych słów. Zwłaszcza do Lyrry. Muza pochodziła z klanu leżącego nieco bardziej na północ, ale na tyle blisko, że ich klany odwiedzały się stosunkowo często, więc obie kobiety przyjaźniły się ze sobą od kilku lat. Aiden pochodził z klanu położonego centralnie, a póki nie zatrzymał się w domu jej klanu, by pomóc w szukaniu sposobu mającego powstrzymać niszczenie Tir Alainn, spotkała go zaledwie kilka razy, mimo że byli dalekimi krewnymi. Wystarczyło jednak, że przez kilka tygodni mieszkał z jej klanem, by zaczęła ostrożnie podchodzić do jego ostrego umysłu i jeszcze ostrzejszego języka. – Chciałam tylko zażartować, tak jak wy to robiliście. Chyba jednak brak mi do tego talentu. A... moje myśli są w tym momencie zbyt skupione na czymś innym.

– Mianowicie? – podchwyciła Lyrra.

Zanim Dianna zdążyła zdecydować, ile im zdradzić, do pokoju wszedł Falco.

– Widziałaś dziś Luciana? – zapytał ostrym tonem, ruszając ku nim.

– Jeszcze nie – odparła Dianna. – Czemu pytasz?

– Dziwnie się zachowuje. I nie uwierzysz, o co poprosił Siostry Chmury.

Dianna zauważyła prędkie, zaniepokojone spojrzenie, jakie rzuciła jej Lyrra, ale pozostawała skoncentrowana na Panu Jastrzębi.

– O co?

Falco potrząsnął głową.

– Musisz z nim pomówić, Dianno. Musisz się dowiedzieć, czemu zachowuje się tak... inaczej.

Dianna poczuła niepokój. Sama zachęcała Luciana, by poszedł do tej chaty ubiegłej nocy. Jeśli z tego powodu coś było z nim nie tak... Ale co mogłoby go odmienić? Jaką istotą była ta kobieta?

– Może jest zakochany – rzucił bezbarwnie Aiden.

Dianna gwałtownie obróciła głowę, by spojrzeć na Barda. Czy wiedział, dokąd Lucian udał się wczoraj wieczorem? Czy wiedział, że właśnie zasugerował, iż mężczyzna Fae mógłby się zakochać w ludzkiej kobiecie? To nie miało znaczenia. Docinek już trafił w jej czuły punkt.

Tak, niektórzy Fae zatracali się w ludzkich kobietach do tego stopnia, że nie tylko tracili rozum i poczucie przyzwoitości, ale wręcz rozwijali uczucia wobec tych istot. Żaden z nich jednak nie był Lucianem, żaden z nich nie był Świątym. Żeby on się zakochał...

– Dianno? – odezwała się łagodnie Lyrra.

Wysilając się na udawany spokój, Dianna delikatnie skinęła głową Falconowi.

– Wyrazy wdzięczności za zwrócenie na to mojej uwagi, Falconie. Pomówię z bratem.

– Radzę, żebyś zrobiła to jak najszybciej. Jego dziwne zachowanie zakłóca spokój całego klanu.

Nikt się nie odezwał, póki Falco nie wyszedł z pokoju.

– Dzisiejszego ranka widziałem Luciana przez chwilę – powiedział Aiden.

– I? – naciskała Dianna. – Jakie sprawiał wrażenie?

– Zadowolonego... – Aiden zawiesił głos. – Nie było go tu w nocy.

– Nie było.

– Nie odwiedził też innego klanu.

Dianna z wolna pokręciła głową.

– Ale to, gdzie był, nie powinno obchodzić nikogo poza...

– Nie należę do tego klanu, ale Lucian i ja wciąż jesteśmy spokrewnieni ze strony naszych ojców – przerwał jej ostro. Zmrużył oczy, patrząc na nią uważnie. – Podobnie jak ty i ja, również jesteśmy krewnymi. Teraz ja powinienem prosić o wybaczenie. Nie powinienem był obruszać się tak na twoje drwiny.

– Krewnych obowiązują inne zasady? – Dianna zmusiła się do uśmiechu.

– Owszem. – Aiden go nie odwzajemnił. – Porozmawiasz z nim?

*I co mu powiem?*

– Jeszcze nie teraz. – Uniosła dłoń, by powstrzymać protesty, które Lyrra i Aiden mogliby wnieść. – Najpierw muszę coś zrobić.

– Nie zwlekaj z tym zbyt długo – napomniał ją Aiden, po czym zanucił kilka taktów *Lamentu kochanka*.

Dianna zrozumiała ostrzeżenie. Wstała.

– Wrócimy do rozmowy wieczorem.

– Pomyślnych łowów – szepnęła Lyrra.

Dianna skłoniła głowę i wyszła z pokoju.

*Pomyślnych łowów*, pomyślała, spiesząc do swych komnat. Tak. Nie chodziło o zwyczajne polowanie, ale niewątpliwie był to jakiś jego rodzaj. Póki na własne oczy nie zobaczy tej samicy, miała przy sobie jedynie pusty kołczan zamiast ostrych argumentów celnie trafiających do celu.

A jeśli Lucian faktycznie zachowuje się tak dziwnie, jak twierdzi Falco,

będzie potrzebowała argumentów na tyle ostrych, by przeszyć serce.



Neall nie musiał widzieć kamiennych słupów milowych, by wiedzieć, że znajduje się na tej części drogi, która przecina Brightwood. Potrafił poczuć subtelną zmianę w powietrzu, skutkującą polepszeniem jego nastroju. Nawet wałach, urodzony i wychowany na farmie Aherna, był w stanie wyczuć, że przekroczyli granice ziemi Ari – i wyczuwał to aż za dobrze.

Skracając wodze na tyle, by zwrócić uwagę Darcy’ego, Neall rzekł:

– Zbliżymy się dystyngowanym kłusem, zamiast wycwałować na podwórze niczym nieokrzesane źrebięta.

Darcy prychnął, a potem przetestował szczerą intencję Nealla, przechodząc ze spokojnego kłusu w bardziej żywy.

– Nie, tak nie robimy – ostrzegł Neall. Jego głos nie brzmiał tak poważnie, jak powinien, ale chwyt był pewny.

Rezultat był taki, jak się spodziewał – kompromis w kwestii prędkości, wynikający z posłuszeństwa wobec jego dłoni, ale i z uważnego wsłuchiwania się w ton jego głosu.

No cóż, najwyżej dotrą do chaty nieco szybciej. Ta myśl nie była mu niemiła.

Wczorajszy dzień był okropny. Przy śniadaniu wystarczył mu jeden rzut oka na twarz Odelli, by wiedzieć, że mężczyzna, którego spotkała podczas Letniego Księżyca, nie przypadł jej do gustu, a jego łóżkowe umiejętności – czy raczej ich brak – czyniły go jeszcze mniej pociągającym. Fakt, że nie mogła go odtrącić, póki księżyc nie wejdzie w nów, tak żeby magia specjału nie zwróciła się przeciwko niej, czynił sytuację jeszcze gorszą. Jedna noc z rozczarującym mężczyzną była wystarczająco złą perspektywą, ale znoszenie go znowu i znowu...

Nieszczęście malujące się na twarzy kuzynki sprawiło, że Neall poczuł więcej sympatii do Odelli, ale i tak nie było jej dużo i nie była ona silna. Odella nie tylko sama to na siebie sprowadziła, kupując magię miłosną od Babci Gwynn, ale w dodatku wciągnęła w to Ari. I bynajmniej nie kierowała się dobrymi intencjami.

Royce cierpiał po nocy spędzonej w towarzystwie butelki. Prawdopodobnie liczył na to, że jeśli sobie pofolguje, znieczuli się na lęk po

spotkaniu z Dzikim Gonem; w związku z tym było go jeszcze trudniej znieść niż zwykle.

Potem baron Felston zaczął wygłaszać sarkastyczne komentarze o tym, jak to on, Neall, pewnikiem spędził Letni Księżyc we własnym, pełnym cnoty łóżku, zamiast rozgrzać mięśnie jak każdy młody mężczyzna. Wiedząc, że zostałyby zrugany z góry na dół, gdyby faktycznie rozgrzał mięśnie – nie mówiąc o tym, że kilka tygodni później jakaś młoda kobieta mogłaby go oskarżyć o uczynienie jej brzemienną – nie przejął się ani trochę uwagami barona. Wbrew słowom barona Neall był spragniony przyjemności, jakie może dać kobiecie ciało, tak jak każdy inny młody mężczyzna. Wiedział jednak, że Felston nie zawahałby się zmusić go do małżeństwa, które uwięziłoby go w pułapce, dlatego też musiał jeszcze bardziej uważać na propozycje wysuwane przez kobiety szukające nie tylko męża, ale i gospodarstwa. Przelotna przyjemność nie mogła się równać z potrzebą powrotu do domu, na ziemię jego matki. Poza tym tak dawno oddał swoje serce Ari, że nie pamiętał już czasów, gdy jej nie kochał.

Aby uczynić jego zły dzień jeszcze gorszym, Royce postanowił pojechać z nim na kontrolę dzierżawionych farm, żeby sprawdzić, co jest do zrobienia. Spodziewał się, że Royce znudzi się zabawą w pana na włościach i wróci do domu albo uda się do Ridgeley, by spotkać się z przyjaciółmi w tawernie. Ale on, ze swoim ustawicznym narzekaniem i ciętymi uwagami, dotrzymywał Neallowi towarzystwa przez cały dzień.

Z tego powodu nie zawitał wczoraj do Brightwood, a do tego unikał farm dzierżawców graniczących z ziemią Ari – zwłaszcza od momentu, gdy Royce po raz drugi zasugerował, by się tam wybrali. Zastanawiał się, czemu tak naciska na wizytę w chacie w jego towarzystwie, czemu po prostu nie pojedzie tam sam. Dopiero gdy wrócili do domu i Royce wreszcie się zrelaksował, Neall zrozumiał – kuzyn chciał odwiedzić Brightwood, by dowiedzieć się, gdzie Ari spędziła Letni Księżyc, ale bał się pojechać tam sam, nie chcąc natrafić na Łowczynię i jej ogary. Tak naprawdę bał się gdziekolwiek jechać sam, ale równocześnie nie miał ochoty zostać w domu, narażając się na krytyczne spojrzenie barona Felstona. Neall spędził więc dzień, w milczeniu przejmując się wyłamanymi drzwiami kuchennymi w chacie Ari oraz faktem, że nie może tam pojechać i ich naprawić tak długo, jak Royce z nim jest.

Ale to było wczoraj. Dziś natomiast chata znajdowała się w zasięgu

wzroku, a on miał wolną godzinę, którą mógł przeznaczyć na odwiedziny.

Kiedy mijał dom, żeby przywiązać Darcy'ego przy nieużywanej oborze, coś zwróciło jego uwagę. Ściągnął wodze na tyle mocno, by usadzić wałacha na zadzie, a potem wymamrotał przeprosiny do zwierzęcia, wpatrując się we frontowe drzwi chaty.

Były otwarte. Nie na oścież, nie było tego widać z daleka. Nawet by nie zauważył, gdyby delikatny powiew wiatru nie poruszył drzwiami na tyle, by zwrócić jego uwagę. Nikt inny w ogóle by się nad tym nie zastanawiał. Tyle że on odwiedzał Brightwood od dzieciństwa i wiedział, że frontowe drzwi są rzadko używane i nigdy nie zostawiano ich niedomkniętych, o ile ktoś nie pracował przed chatą.

Zaniepokojony zsiadł z wierzchowca i poprowadził go do obory tak cicho, jak to możliwe. Potem wrócił przed chatę i przyjrzał się drzwiom. Ari mogła je otworzyć rano z jakiegoś powodu, a potem po prostu nie zauważyła, że rygiel nie chwycił, gdy je zamykała. Może chciała obejrzeć rabatki, nie stąpając po mokrej ziemi. Ziemia, podobnie jak droga, szybko wysychała po wczorajszej ulewie, ale Ari zapewne wstała wraz ze słońcem, kiedy gleba wciąż była bardzo mokra. W szarym świetle łatwo mogła przegapić fakt, że nie zamknęła prawidłowo drzwi.

Albo coś było nie tak.

Pchnął drzwi, jednak pozostał na progu. Zaklęcia ochronne sprawiły, że przeszedł go dreszcz.

– Ari? – zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Zamknął oczy i poczuł, jak buzuje w nim moc. Astra, babcia Ari, rozpoznała w nim moc. Nie była tak wyrafinowana, jak magia wiedźm – ani tak silna, ale pozwalała mu wyczuwać rzeczy niezauważalne dla innych, dawała mu instynktowną wiedzę o leśnych stworzeniach i magii użytej w jego pobliżu. Gdyby żyła jego matka, mogłaby nauczyć go korzystania z tego daru. Albo może jego ojciec, w połowie Fae, mógłby nauczyć go tego jeszcze lepiej, jako że, pamiętał to jak przez mgłę, ojciec dysponował podobnie nikłymi zdolnościami magicznymi. Życie jednak ułożyło się inaczej i swoją niewielką wiedzę na temat mocy, która była jego dziedzictwem, nabył w sposób pasywny, przebywając z wiedźmami z Brightwood oraz pracując nad nią samodzielnie.

To nieistotne. Wiedział dość, by poradzić sobie w tej sytuacji.

Uniósł prawą dłoń i przycisnął ją do niewidzialnej magicznej bariery, która nie pozwalała wejść do środka osobom niezaproszonym przez gospodynię.

– Znasz mnie – powiedział miękko. Czuł naciskającą na niego magię ochronną, gdy zbierał w dłoni własną moc. – Znasz mnie. Byłem już gościem w tym domu. Wpuść mnie. Jak mówię, tak niechaj będzie.

Magia zaklęcia ochronnego nie odsłoniła się niczym zasłona, tak jak wtedy, gdy Ari zapraszała go do środka, ale osłabła – przypominała teraz już nie kamienny mur, ale raczej grubą pajęczynę.

Neall przestąpił przez próg, wzdrygając się, gdy strzępy omiotły jego rękę i twarz. Otrząsnął się z tego uczucia.

Ktoś był tu wcześniej. Ktoś nowy, inny, nieznan. Wyczuwał wciąż żywą obecność, przeplatającą się ze znajomym zapachem chatki Ari.

Ari nie było w środku. To też potrafił wyczuć. Mimo to rzucił okiem na jej sypialnię, a potem zajrzał do warsztatu, pełnego krosien, kołowrotek i koszów z przędzą, których Ari używała do tkania gobelinów.

Gdy szedł do kuchni, rzucił okiem na krzesło nieco odsunięte od stołu... i zamarł. Nie był pewien, jak długo wpatrywał się w spoczywające tam juki, zanim usłyszał głos Ari:

– Neall?

Stała w otwartych drzwiach. Wyglądała na zakłopotaną. Miała na sobie stare ubrania, te, które zakładała tylko do pracy w ogrodzie, a w jednej ręce trzymała mały pusty koszyk. Jej policzki były zaróżowione, a ciemne rozpuszczone włosy wyglądały, jakby właśnie odbyły taniec z wiatrem. Cierpiał, patrząc na nią, taką dziką i piękną. Zwłaszcza w tej chwili.

Przekroczyła próg i spojrzała na drzwi, a potem znów na niego.

– Były otwarte, zaniepokoiłem się – powiedział, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie.

Zmarszczyła brwi, przenosząc wzrok na drzwi, ale jej rozluźniona postawa powiedziała mu, że prawdopodobnie wie, czemu były otwarte.

– Ale... Jak wszedłeś do środka? – Ponownie spojrzała na niego.

Pewnego dnia opowie jej o swoich rodzicach i mocy. Ale nie dziś. Nie teraz.

Próbował się uśmiechnąć.

– Przez lata wielokrotnie zapraszałaś mnie do środka, Ari. Zaklęcie ochronne chyba mnie rozpoznało. – Jego uśmiech zbladł. Juki wciąż leżały na krześle między nimi. – A może to zaklęcie przepuściło mnie, dlatego że

się martwiłem. Poza tym nie wydawało się takie samo jak wtedy, gdy ty jesteś w środku.

Przechyliła lekko głowę i popatrzyła na niego wnikliwie.

– A jakie się wydawało?

– Miałem wrażenie, że przedzieram się przez grubą pajęczynę.

Zamyśliła się i potarła dłonią policzek, jakby sama mogła wyczuć pajęczynę.

– Wyszłaś wcześniej – powiedział Neall.

*Do kogo należą te rzeczy, Ari?*

Postawiła koszyk na stole.

– Zaniósłam bochenek słodkiego chleba Ahernowi w ramach podziękowania za naprawienie moich drzwi kuchennych.

Nawet tego nie był w stanie dla niej zrobić.

Poczuł ukłucie w klatce piersiowej. Czy piosenki i opowieści właśnie to nazywały bólem serca?

– Masz towarzystwo. – Zerknął na juki.

– Nie – odparła Ari szybko. – To...

Odwróciła wzrok.

– Poznałaś go podczas Letniego Księżyca?

Cofnęła ramiona i wysunęła podbródek. Dumna postawa obronna. Znał ją aż za dobrze.

– A jeśli tak, to co? – spytała wyzywająco.

– Podarowałaś mu specjał?

Gdy popatrzyła na niego nieufnie, ból ustąpił miejsca narastającej złości.

– Royce nie był dyskretny, Ari. Wiedziałem, że się tu wybiera. I wiedziałem po co.

– To nie był Royce.

– A więc kto?

Oparła się o stół. Wyglądała na zmęczoną.

– Nikt, kogo znasz. On nie jest... Nie jest stąd.

Neall na chwilę zamknął oczy. W pewnym sensie poczuł ulgę. Przynajmniej nie będzie spoglądał na każdego mężczyznę z Ridgeley oraz okolicznych posiadłości i farm, zastanawiając się, czy to właśnie on wykorzystał Ari.

– Powiedz mi jedno: czy był... – Nie potrafił zadać tego pytania. Nie potrafił go nie zadać. – Czy był miły?



Rozluźniła się nieco, ale nie przestawała badawczo go lustrować.

– Tak, był miły.

– To dobrze. To dobrze.

Czuł zbyt wiele emocji – zazdrość i ból... oraz ulgę, że Ari nie obawiała się powrotu tego nieznajomego. Bo on powróci. Juki, które zostawił, jasno na to wskazywały. Jeśli będzie tu wracać aż do nowiu księżyca...

Przełknął, by osłabić ucisk w klatce piersiowej.

– Ari, jeśli będziesz brzemienna...

Szybko potrząsnęła głową.

– Jeśli będziesz brzemienna – powtórzył uparcie – a on cię opuści, ja będę przy tobie.

Wpatrywała się w niego, jakby widziała go pierwszy raz. Albo jakby coś znajomego zmieniło się nagle w coś obcego.

– Zrobiłbyś to? Złożyłbyś przysięgę małżeńską dla dziecka innego mężczyzny?

– Dla twojego dziecka – powiedział z wściekłością. – Twojego. A gdybym wychowywał je razem z tobą, byłoby też moim dzieckiem, niezależnie od tego, kto je spłodził.

– Neall... – wyszeptała.

– Nie odpowiadaj od razu. Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że będę przy tobie. Nie zostaniesz z tym sama.

Ruszył w kierunku drzwi, szykując się do ucieczki.

– Neall. – Ari podeszła do niego i pocałowała go w policzek. Przyjacielski pocałunek. Zabolalo go to, ponieważ chciałby czegoś znacznie poważniejszego. – Niech cię dzień błogosławi, Neallu.

Jego ramiona otoczyły ją i mocno przytuliły. *Ari, Ari, serce moje, życie moje.* Czy naprawdę mógłby opuścić Ridgeley bez niej? A może zostawi przy tym tak dużą część siebie, że zostanie z niego ledwie duch?

Nie mógł o tym myśleć. Nie teraz.

Puścił ją, odsunął się.

– Niech cię dzień błogosławi, Ari.

Nie było to łatwe, ale udało mu się utrzymać prosty i równy krok, gdy szedł do miejsca, w którym uwiązał Darcy'ego. Jego pozorny spokój mógł zmylić Ari, ale nie zmylił wałacha. Darcy poruszył się zdenerwowany. Neall ruszył stępem i pomachał Ari, która wciąż stała przy frontowych drzwiach, a potem połuźnił wodze na tyle, by pozwolić Darcy'emu przejść w kłus.

Gdy znalazł się poza zasięgiem jej wzroku, zawrócił Darcy'ego i ruszył z powrotem w stronę, z której przyjechał. Ale nie do Brightwood. Potrzebował innego powodu, by jechać tą drogą, na wypadek gdyby kogoś minął, a ta osoba wspomniałaby o spotkaniu baronowi. Nie czuł się na tyle dobrze, by poradzić sobie ze spotkaniem z dzierżawcami, których miał odwiedzić tego ranka, ale było jedno miejsce, do którego mógł się udać. Miejsce, gdzie uczucia, których nie potrafił ukryć, zostaną zauważone, ale nikt ich nie skomentuje.

Pognał Darcy'ego galopem przez pole w stronę farmy Aherna.

## ROZDZIAŁ 10

Śmierć ją wzywała.

Morag zawahała się, a potem niechętnie zatrzymała konia. Nie chciała odpowiadać. Przez dwa dni, które minęły od Letniego Księżyca, cały czas podróżowała na południe przez wschodnią część Sylwalanu, mimo że nie była już pewna, czy chce kontynuować tę podróż. Przez te dwa dni doprowadziła zbyt wiele dusz do Cienistej Zasłony, dzięki czemu mogły trafić do Krainy Wiecznego Lata. To nie zaraza zabiła tak wielu w wioskach, które mijala. Bynajmniej nie zaraza atakująca ciało. Coś jednak wkrađło się do tych wiosek, pozwalając Śmierci zebrać gorzkie żniwo. Ciężkie zgony. Okrutne. Spalenia. Powieszenia. Utonięcia. A ta młoda dziewczyna, dziecko jeszcze, która została...

Morag przygryzła wargę, próbując odgrodzić to wspomnienie mentalną barierą.

W tych miejscach doszło też do innych śmierci. Wiewiórki i wróble. Sowa. Lis. Gnijące, częściowo pożarte truchła otaczały martwe drzewa. Nawet w ciepłym świetle dnia coś w wyglądzie tych drzew sprawiało, że przechodził ją dreszcz.

Rozpoczęła swoją podróż, żeby poznać tę część świata ludzi i zrozumieć, choć po części, jej mieszkańców. Zobaczyła już więcej, niż kiedykolwiek sobie życzyła. Zobaczyła za dużo. Teraz potrzebowała cichego miejsca, by odpocząć i nabrać sił.

Ale tu nie czekał na nią odpoczynek, na jaki liczyła. To było jedno ze Starych Miejs. Mogła wyczuć różnicę w ziemi i wiedziała, że to tutaj. Ale czuła też ogarniającą serce rozpacz, podobną do tego, co wyczuwała w ludziach zebranych dookoła pokoju chorego, gdy bliska im osoba cierpiała w ostatnich godzinach życia.

Śmierć ją wzywała.

Morag zamknęła oczy i otworzyła się na wiadomość od niej.

To nie było łagodne umieranie. To nie była dusza zamknięta w ciele, które

przeżyło długie lata i było gotowe na powrót do Wielkiej Matki. Napływały do niej rozpacz i ból. Oraz strach.

Popędziła karego konia przez cienie starych drzew.

*Zabieraj swoich rodaków, Morag. Zostaw świat ludzi w spokoju.*

*Jeśli nikt z nas, kto ma ten dar, nie pokaże im drogi do Cienistej Zastony, to jak ludzie ją znajdą?*

*Nie znajdą jej.*

*Twierdzisz, że ludzie nie mają duszy?*

*Ależ mają. Kaleką, zmurszałą, twardą jak kamień. Złamiesz własne serce, jeśli będziesz próbowała im pomóc. Ale wciąż jesteś młoda i nie wierzysz, że tak się stanie. Czułam się kiedyś tak, jak ty się czujesz teraz. I złamałam serce na kamieniu. Ciebie też to czeka. Widzę to w twoich oczach. Ale cieszę się, że pokażesz mi drogę do Krainy Wiecznego Lata, zanim ten dzień nadejdzie.*

*Nie stanie się to prędko.*

*Stanie. Śmierć mnie wzywa niczym stęskniony kochanek. Nie doczekam kolejnej zmiany pór roku, a gdy wydam z siebie ostatnie tchnienie, staniesz się Zbieraczką, zajmiesz moje miejsce. Jesteś najsilniejszą spośród Fae, które są Służkami Śmierci, więc tytuł i moc przysługują tobie. Zostaniesz Kochanką Śmierci. Inne dysponujące tym darem mogą oderwać ducha od żyjącego ciała. Ty będziesz miała moc zabijania.*

Cienie pod drzewami zgęstniały. Morag zadrżała.

Niektóre miejsca w świecie ludzi roily się od duchów w takim stopniu, że ziemia zawsze była zimna. Istniały też opowieści o ludzkich polach walki śpiewane przez Bardów Fae.

Szczególnie jedna, którą usłyszała jako dziecko, wciąż ją nawiedzała.

Według Bardów dwie wielkie potęgi ludzkie starły się na polu bitwy. Minstrele nigdy nie wspomnieli, dlaczego musiało dojść do walki. To nie miało znaczenia. Armie przybyły do tego miejsca, a gdy walka się rozpoczęła, ta, która w tych dawnych czasach była Zbieraczką, poczuła wezwanie Śmierci. Przybrawszy formę kruka, latała nad polem bitwy, zbierając dusze tych, którzy nie przeżyją po odniesionych ranach i krzyczą w agonii. Ale dowódcy po obu stronach wiedzieli, kim była, i obaj zdecydowali, że jeśli Zbieraczka nie będzie w stanie zabrać dusz ich ludzi, Śmierć ich ominie, a oni odniosą zwycięstwo nad wrogiem. Gdy przelatywała nad ich głowami, dowódcy wezwali najlepszych łuczników, by szyli w niebo swymi strzałami. Kilka strzał jej dosięgło. Gdy spadała,

umierając, dusze, które zebrała w skrzydła, spadły wraz z nią i stały się duchami na polu bitwy. Jej własny duch, w formie kruka, odleciał do Krainy Wiecznego Lata. Dowódcy, teraz już pewni, że oszukali Śmierć, rzucili wszystkich swoich ludzi do bitwy. Rzeź była zażarta, a ziemia zabarwiła się na czerwono od rozlanej krwi.

Według słów pieśni żaden mężczyzna nie odszedł z tego pola bitwy, a żadna Fae, która otrzymała dar Służki Śmierci, nigdy nie powróciła do tego miejsca, by zebrać ich dusze. Bardowie mówili także, że duchy tych mężczyzn wciąż walczą w tej bitwie, wciąż i wciąż, i wciąż, a jeśli ktokolwiek postawi stopę na tej ziemi, usłyszy szcęk mieczy i wojenne okrzyki, rżenie koni i desperackie błagania umierających. Wciąż i wciąż. I to już nigdy się nie skończy.

*Czemu teraz myślę o tej historii?*, zastanawiała się Morag. Ściągnęła wodze i przyjrzała się łące za linią drzew. Nie było tam żadnych zacienionych miejsc, które mogłyby wskazywać na obecność Śmierci na zewnątrz kręgu początków i końców Wielkiej Matki. Ale...

Czuła zbliżający się w jej stronę gniew. Jakaś moc kierująca tym gniewem, niczym psy pasterskie pędzące stado owiec, napędzała go do spełnienia. Ta moc przypominała moc Fae, ale nie była nią. Nie należała też do Małego Ludu. To nie była czysta magia.

A jednak zdawała się znajoma. To właśnie tę moc wyczuwała w wioskach, przez które ostatnio przejeżdżała.

Śmierć ją wzywała.

Popędziła karego konia w chwili, gdy zza drzew po drugiej stronie łąki wybiegła kobieta. Biegła najszybciej, jak umiała, kierując się prosto na drugą stronę przesieki, do drzew, które stanowiły granicę Starego Miejsca. Coś jednak było nie tak z jej nogami, coś nie pozwoliło jej stawiać pełnych kroków.

Chwilę później grupa mężczyzn wystrzeliła zza tych samych drzew; na ich twarzach malowały się tak paskudne emocje, że wyglądali, jakby nosili zdeformowane, obsceniczne maski. Większość była uzbrojona w pałki. Niektórzy jedynie dzierżyli w dłoni kamień. Za nimi jechał młody mężczyzna ubrany w dobrej jakości czarny płaszcz. Jego twarz błyszczała od niezmiętej rozkoszy.

Gdy tylko Morag go ujrzała, wiedziała, że to on jest źródłem tej innej mocy. Kojarzył się jej z zakażoną raną pełną ropy. Gnijącą raną.

Zanim kobieta przebiegła przez łąkę, mężczyźni chwycili ją i powalili na ziemię.

Konie Fae podkuwano niewydającymi dźwięku podkawkami, więc żaden hałas nie tłumił krzyków kobiety ani głuchych uderzeń kamieni i drewna o jej kości.

Morag nie użyła uroku, by zatuszować swój wygląd. Gdy ruszyła ku nim, jeden z mężczyzn podniósł na nią wzrok. Upuścił swoją pałkę i spróbował się odsunąć, popychając innych.

– To jedna z Fae! – krzyknął.

– To bez znaczenia! – zawołał młodzieniec w czarnym płaszczu. – Nie może nam nic zrobić!

*Na pewno?*, pomyślała Morag, podjeżdżając jeszcze bliżej. Poczwała falę wściekłości, narastającą do momentu, aż stała się jej jedyną myślą, jedynym uczuciem.

Jej własna moc nabrzmiała, uderzając w młodego mężczyznę w czarnym płaszczu. Zabrała jego duszę – trzymała ją przez chwilę, a potem wypuściła. Chwila trwała jednak wystarczająco długo, by uszkodzić połączenie między ciałem a duszą. Obserwowała, jak jego ciało spada z konia. Jego duch przystanął tuż obok, zbyt skupiony na próbie zapanowania nad mężczyznami, by to zauważyć.

Na widok ducha mężczyzna krzyknął:

– To Zbieraczka!

Wszyscy upuścili pałki i kamienie i pobiegli w kierunku drzew.

Morag ich nie ścigała. Zsiadła z konia i uklękła przy nieruchomym ciele. Kobieta miała na sobie jedynie porwaną, pozbawioną rękawów halkę, która zsunęła się jej do kolan. Morag patrzyła na nią i zastanawiała się, co sprawiło, że nogi kobiety wyglądają w ten sposób – oraz ile odwagi wymagała od niej próba chodzenia, a co dopiero biegania, na takich nogach. Widziała oparzenia na jej ramionach. Widziała spuchniętą lewą dłoń z połamanymi kośćmi. Widziała dziury w twarzy kobiety, w miejscach, gdzie ktoś przekłuł jej policzki. Wyczuła rany, które zadano kobiecie wewnątrz – rany, które nigdy nie zagoiłyby się na tyle, by jej życie było czymkolwiek innym niż więzieniem.

Kobieta otworzyła pełne bólu oczy. Próbowwała coś powiedzieć, ale jej język był zbyt spuchnięty, by mogła formułować wyrazy. Czy on też został przekłuty?

– Kto? – Zabrzmiało to bardziej jak świst niż słowo.

Zanim Morag zdołała odpowiedzieć, przemówił duch młodego mężczyzny:

– Oni może uciekli, ale ja nie boję się ciebie. Twój czas na tym świecie dobiegł końca. Po tym, jak zdołamy wyrugować jej rodzaj z tego świata, pozbedziemy się też takich jak ty. A wtedy mężczyźni będą władać, tak jak było im to pisane. Nie możesz zrobić nic, żeby nas powstrzymać.

– Nic? – zapytała Morag łagodnie.

Gdy się uśmiechnął, miała już niezachwianą pewność, że stoi przed nią człowiek znajdujący rozkosz w zadawaniu bólu. Człowiek, który uważał kontrolę i manipulowanie innymi za najbardziej intensywną formę uwodzenia.

– Nic – odparł.

Jej jedyną odpowiedzią było spojrzenie na ziemię tuż za nim.

Jego uśmiech spelzł. Zerknął w dół, a potem krzyknął, sięgając do swojego ciała. Jego dłoń przeszła przez nie na wylot.

– Ty suko! – krzyknął. – Co mi zrobiłaś?

Zignorowała go. Jej wściekłość przychodziła i odchodziła z prędkością gwałtownej burzy, pozostawiając ją wyziębioną i zmęczoną. Ale wciąż miała dużo do zrobienia. Spojrzała na umierającą kobietę.

– Zbie... raczka?

– Tak – powiedziała Morag, delikatnie dotykając głowy kobiety. – Jestem Zbieraczką.

– Wieczne... Lato... Proszę – wymamrotała z trudem nieszczęśnica. Wysilek, jaki musiała w to włożyć, przeraził Morag.

– Zabiorę cię do Cienistej Zasłony.

Jej moc znów nabrzmiała. Cicho zebrała duszę kobiety. Kiedy rozpruło się połączenie między duszą a ciałem, kobieta westchnęła z ulgą. To był jej ostatni dźwięk, ostatni ruch.

Gdy Morag wstała, duch kobiety stał obok niej.

Dziwnie się czuła, zadając jej pytanie, którego nigdy nikomu nie zadała:

– Czy twoje ciało należałoby dokądś zabrać?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Mały Lud zanieś je do domu i odda Matce.

– Do domu?

Kobieta spojrzała na drzewa, między którymi jeździła Morag, zanim

Śmierć ją wezwała.

– Stare Miejsce jest... było moim domem.

Morag poczuła, jak ziemia ciemnieje, jakby gruba warstwa chmur zasnuła słońce całunem.

– Chodź. – Odwróciła się w stronę karego konia, ale nie dosiadła go. Nie patrząc na kobietę, spytała: – Czemu ci to zrobili?

Smutek wypełnił oczy ducha.

– Ponieważ jestem wiedźmą.

Wiedźmą.

Słowo odbijało się echem po łące.

*Ile spośród młodych kobiet, które zaprowadziłam do Cienistej Zasłony, udzieliłoby mi tej samej odpowiedzi, gdybym zapytała?*

– Chodź – powtórzyła Morag, wsiadając na konia.

Duch kobiety uniósł się, by jechać za nią.

– Poczekaj! – wykrzyknął nagle duch młodego mężczyzny. – A co ze mną? Nie możesz mnie tu zostawić!

Morag spojrzała na niego.

– Ależ mogę. – Po czym zachęciła konia do jazdy.

Przekłusował przez łąkę, nie w stronę Starego Miejsca, ale do przesieki między drzewami. W przeciwieństwie do dróg, które przecinały Zasłonę i prowadziły do Tir Alainn, drogi do Cienistej Zasłony otwierały się w dowolnym miejscu, gdy wezwała je Zbieraczka. Mogła otworzyć drogę na łące, ale nie chciała, by duch młodzieńca był w stanie dotrzeć do niej, nim przejście znów się zamknie. Zostawiła więc łąkę za sobą i jechała dalej, aż zniknęła z zasięgu wzroku. Duchy były przywiązane do miejsca, w którym się pojawiły, o ile nie poprowadził ich ktoś, kto miał wystarczającą moc, by skierować je na drogę duszy. Jako że on poległ na łące, będzie mógł wędrować po niej, ale nigdy jej nie opuści.

A ona nigdy tam nie wróci. Zabierze wiedźmę do Cienistej Zasłony, a potem skieruje się na zachód, w głąb Sylvalanu. Wróci do Midlands, do tej części Tir Alainn, w której mieszkał jej klan, i tam wreszcie zazna krótkiego odpoczynku.

*Złamiesz własne serce, jeśli będziesz próbowała im pomóc.*

Jej poprzedniczka miała rację. *Pozwól ludziom, by sami się o siebie troszczyli, jeśli potrafią. Ale wiedźmy... Ach, wiedźmy. Nad tym trzeba się zastanowić.*



Gdy wróci do domu, zapyta Barda jej klanu, co wie o wiedźmach. A potem zapyta, gdzie przebywa sam Bard. Jeśli ktokolwiek ma odpowiedzi, których ona szuka, to jest to Aiden.

## ROZDZIAŁ 11

Po zjechaniu z drogi prowadzącej przez Zastonę Dianna okrążyła Brightwood. Trzymała się śladów zwierzyny, by zminimalizować szanse, że ktokolwiek ją zauważy. Łatwiej byłoby po prostu przejść na przełaj przez łąkę i dojść do chaty, ale musiała najpierw gdzieś się zatrzymać, by jej plan zadziałał. Jej klacz zbyt rzucała się w oczy, a urok, który maskował wygląd Fae, dzięki czemu mogła uchodzić za człowieka, nie do końca działał w przypadku koni. Potrzebowała wierzchowca o przeciętnym wyglądzie – i wiedziała, kto jej takiego da. A przynajmniej na to liczyła.

Poczuła napięcie na myśl o poproszeniu go o przysługę.

Przekroczywszy drogę, kazała klaczy zwolnić, jadąc przez te same pola, które przemierzała podczas Letniego Księżyca.

Nie rozumiała klanów Fae w zachodnim Sylvalanie, które spędzały tyle samo czasu w świecie ludzi, co w Tir Alainn. Było coś... niekomfortowego w przebywaniu wśród członków tych klanów. Byli bardziej zwierzęcy i mieli mroczniejsze intencje niż reszta Fae.

Nie, nie rozumiała ich. A jeszcze mniej rozumiała mężczyznę Fae, który na dobre opuścił Tir Alainn, by wieść życie wśród ludzi. Jeśli chciał udawać człowieka, powinien przynajmniej zrzec się tytułu, który dzierżył od trzech pokoleń, aby ktoś inny mógł zająć jego miejsce. Tak, przez lata przyjmował każde rzucane mu wyzwanie do walki o tytuł. I zawsze wygrywał – a pretendenci nie zawsze uchodzili z życiem.

Najbardziej niepokoiło ją, że nie była pewna, na ile może wymagać od niego szacunku. Nie była nawet pewna, czy ktokolwiek mógłby od niego czegokolwiek żądać. A z racji tego, czym zarządzał, mógł być niebezpiecznym wrogiem zarówno dla ludzi, jak i dla Fae.

Naprawdę nie miała innego wyboru. Martwiła się o Luciana, a udawanie ludzkiej szlachcianki było w istocie najprostszym sposobem, by dowiedzieć się wszystkiego, co musiała wiedzieć. Co oznaczało, że musi pożyczyć konia. Co oznaczało, że musi się skontaktować z Panem Koni.

Ściągając wodze, by klacz przeszła do spokojnego kłusu, Dianna otuliła się urokiem, mimo że wciąż była na tyle daleko od farmy, że nikt nie byłby w stanie dostrzec jej twarzy skrytej za ludzką maską. Rozmyślnie założyła myśliczek – strój jeździecki, który w dużym stopniu przypominał odzienie noszone przez ludzkie szlachcianki podczas jazdy konnej. Urok jedynie dopełniał iluzji.

Kilka chwil po wjechaniu na podwórze uświadomiła sobie, że jej urok nie zwiedzie tu nikogo.

Młody mężczyzna, który zauważył ją pierwszy, spojrzał na nią ostro; jeszcze dłuższe i ostrzejsze spojrzenie rzucił jej klaczy. Po chwilowym wahaniu dotknął palcami runda kapelusza w pozdrowieniu, po czym ruszył szybkim krokiem w stronę padoków najbliższej stajni, gdzie kilku innych mężczyzn zebrało się, by obserwować trening młodych koni.

Dianna poczuła niesmak – dość naturalna reakcja na człowieka, który miał w sobie na tyle dużo krwi Fae, by jego wzrok pozostawał jasny, niezmacony urokiem. Powinna była wpaść na to, że dzieci spłodzone przez mężczyzn Fae poszukiwały miejsca takiego jak to, gdzie ich mieszane pochodzenie jest tolerowane, a może nawet akceptowane.

Odepchnęła tę myśl, gdy potężnie zbudowany siwowłosy mężczyzna odwrócił się od padoków i podszedł do niej. W jego ciemnych oczach nie dostrzegła gościnności, a w jego manierach nie znalazła ani grama pokory.

– Lordzie Ahernie – powitała go uprzejmie.

– Łowczyni – odparł mrukliwie.

Wiedział, kim jest. Nie tylko że jest Fae, ale kim dokładnie jest. I nie miało to dla niego znaczenia.

– Przychodzę poprosić o przysługę – powiedziała, obdarzając go uśmiechem, po którym inni mężczyźni ochoczo obiecywali spełnić każde jej życzenie.

– Możesz prosić.

Nie spodziewała się, że jej uśmiech faktycznie zadziała, ale poczułaby się lepiej, gdyby choć trochę go zmiękczył.

– Potrzebuję pożyczyć konia.

Przyglądał się jej klaczy przez dłuższą chwilę.

– Dlaczego? Co z nią nie tak?

Dianna zacisnęła zęby. Musiała się wysilić, by rozluźnić szczękę i udzielić kulturalnej odpowiedzi.

– Wszystko z nią w porządku. Po prostu potrzebuję konia, który nie będzie zwracał na siebie uwagi.

– Dlaczego?

– To chyba oczywiste.

– Wybierasz się do Ridgeley?

Mimo że otaczające ją ziemie to właśnie ta okolica, którą najczęściej przemierzała, gdy sprowadzała Dziki Gon do świata ludzi, wciąż potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, że Ridgeley jest nazwą pobliskiej wioski.

– Nie, chcę jedynie pojeździć po okolicy.

– Gdzie?

– A co to za różnica?

Przyglądał się jej zbyt długo; w jego oczach tańczyły iskierki gniewu, które w każdej chwili mogły się zmienić w brzydki wybuch agresji.

– Uważaj na to, gdzie jeździsz, Łowczyni – powiedział cicho. – Uważaj na to, co tu robisz. Jeśli zaszкодzisz mieszkańcom Brightwood, kolejny raz poczujesz pod sobą cztery nogi dopiero wtedy, gdy przemienisz się w swoją drugą formę.

Usta Dianny otworzyły się szeroko.

– Grozisz mi?

– Odbieraj to, jak chcesz. – Ahern odwrócił się od niej. – O ile o tym nie zapomnisz. Chodź. Mam konia, którego mogłabyś wziąć.

Kilka minut później Dianna odjeżdżała z farmy Aherna, ciesząc się, że już po wszystkim. Podpalana klacz miała białą strzałkę na pysku i białe skarpetki, ale nie zwracała na siebie uwagi.

*To nie jest koń Fae*, pomyślała Dianna, wzdrygając się nieco na donośny stukot kopyt o drogę. Nie był to nawet jeden z tych koni, które Ahern hodował, łącząc w pary zwierzęta z krainy Fae i z krainy ludzi. Ale był to porządny wierzchowiec. Oczywiście jak na ludzkie standardy.

Ostrzeżenie Aherna wciąż pobrzmiwało jej w uszach, więc gdy tylko chata pojawiła się w zasięgu jej wzroku, zebrała wodze klaczy, by zwolniła do stępa. Z daleka chatka wydawała się całkiem przyjemna. Solidna. Pomijając wyłamane drzwi kuchenne, tamtej nocy nie zwróciła na nią większej uwagi. Tak jak żadnej innej nocy, gdy ona i jej ogary okrążyły łąkę, jadąc w stronę wsi. Teraz dokładnie przyglądała się chacie, próbując stwierdzić, co takiego mężczyźni Fae mogli uznawać za atrakcyjne.

Czy mogło chodzić tylko o to, że chatę zbudowano w jednym ze Starych Miejsc, a moc Matki zbierała się wokół niej, tak bogata i dojrzała, że nęciła mężczyzn Fae niczym pyłek nęcił pszczoły? A może to ta kobieta była tak intrygująca? Jeśli to była ta kobieta, co takiego w niej sprawiało, że Pan Koni stawał się nadopiekuńczy i zaborczy, a Światły... się zadurzył?

Obok chaty znajdowała się duża połać ziemi otoczona sięgającym pasa kamiennym murem. Pracująca na niej kobieta była zbyt skupiona na swoich obowiązkach, by usłyszeć tętent kopyt. Albo, być może, nie zwracała uwagi na podróźnych. Ponieważ kobieta jej nie zauważyła, Dianna napotkała pierwszą trudność. Czy szlachcianka odezwałaby się do służącej?

Oczywiście, że by się odezwała. Choćby po to, by poznać właścicielkę chaty.

– Dobrego dnia! – zawołała Dianna, prowadząc klacz bliżej muru.

Kobieta odwróciła głowę. Jej spojrzenie, zanim przeszło w zwykłą ostrożność, przypominało Diannie oczy ofiary wyczuwającej myśliwego.

*Czy to możliwe, że kobieta uświadomiła sobie, że zwraca się do niej jedna z Fae?, zastanawiała się.*

Kobieta odwróciła się i zaczęła majstrować przy wiązaniu tuniki. Potem wstała, wytarła ręce o uda, nie przejmując się, że brudzi materiał ziemią, po czym podeszła do muru.

Dianna powoli wypuściła powietrze. *Nie, zdecydowała. Ta istota próbuje po prostu jakoś się zaprezentować, a cokolwiek sprawiło, że obawia się niezapowiedzianych gości, nie ma nic wspólnego z Fae. Poza tym nie wyczuwam tu żadnej magii poza tą, która napływa od Matki.*

– Niech cię dzień błogosławi, pani.

– Powiadom, proszę, swoją panią o moim przybyciu.

I po wszystkim. Z pewnością okazała jej więcej grzeczności, niż służąca zwykle doświadcza.

Kobieta zmarszczyła brwi, wydawała się zakłopotana.

– Nie ma tu nikogo innego, pani.

Dianna zacisnęła zęby, zanim zmusiła się do uśmiechu. Nie pozwoli, by wszystkie jej wysiłki poszły na marne.

– W takim razie poczekam tu na nią.

Zmieszanie kobiety tylko się pogłębiło.

– Chodziło mi o to, że nikt inny tu nie mieszka. To moja chata.

Dianna wytrzeszczyła oczy. Przez ostatnie kilka miesięcy Lucian odrzucał

zaproszenia wszystkich dam Fae, by teraz spółkować z tą parszywą kreaturą?

– Jestem Ari – dodała kobieta z godnością, choć wciąż była ostrożna. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić, pani?

Co miałyby teraz powiedzieć? Dianna spojrzała w niebo i pozwoliła, by jej westchnienie zamieniło się w uśmiech. Czyli to porabiał Lucian.

– Pani?

Dianna wskazała na puszyste obłoki przybierające kształt owiec ściganych przez smoka.

– Komuś tu zachciało się figli. – Rzuciła Ari spojrzenie z ukosa, by sprawdzić jej reakcję na dar Luciana. Zaskoczyło ją, że kobieta śmiertelnie zbladła i skuliła się przy ścianie.

– Nie – odparła. – O, nie.

– O co chodzi? – zapytała ostro Dianna. Wyjęła nogi ze strzemion i zsunęła się z grzbietu klaczy.

– Nie wiedziałam... – wyszeptała Ari, wpatrując się w chmury. – Myślałam, że to tylko gra albo sen. Nie miałam pojęcia.

– Pojęcia o czym? – Dianna sięgnęła ponad murem i chwyciła Ari za ramiona. Co było nie tak z tą dziewczyną? Znów spojrzała w niebo. Chmury straciły swój kształt. Za kilka sekund nie będzie po niczym śladu. – Co jest nie tak z pewną dozą frywolności?

– Nic – odrzekła Ari zrozpaczona.

– To nie wygląda na nic – odparowała Dianna.

– To zapłata. – Duma i gniew rozpały na moment jej oczy, po czym znów przygasły. – Nie prosiłam o zapłatę. Nie chciałam zapłaty. Sądziłam, że to tylko gra. Nie pomyślałabym, że on naprawdę... – Spojrzała w niebo, a potem chwyciła Dianę za ręce, zostawiając ślady ziemi na jej rękawach. – Czy w innych miejscach słońce też jest takie?

*O jakie inne miejsca jej chodzi?*

Chociaż teraz, gdy Dianna się nad tym zastanowiła...

– Tutaj jest nieco łagodniej, nie tak gorąco.

Ari jęknęła cicho.

– Nie jęcz tak żałośnie. – Dianna musiała nią potrząsnąć.

– Nie rozumiesz!

– Więc wejdźmy do środka, usiądźmy i wytłumaczysz mi.

– Nie potrafię.

– Dasz radę. – Prawie przeciągnęła Ari przez mur. Chwyciła wodze

i poprowadziła konia i dziewczynę w stronę drzwi frontowych.

– Są zamknięte. Musimy wejść kuchennymi.

Zatrzymały się jedynie po to, by przywiązać klacz do słupka najbliższej stodoły. Potem ruszyły prosto do chaty. Gdy przechodziły przez próg, dziewczyna wymamrotała:

– Wejdz i rozgość się. – Po czym poprowadziła gościa do głównej izby.

– Siadaj – zarządziła Dianna, popychając Ari na krzesło.

Sama poszła do kuchni, rozejrzała się i zmarszczyła brwi. Przydałoby się wino, ale woda też się nada. Jednak nawet wody nigdzie nie dostrzegła.

– Gdzie trzymasz wodę? – zawołała.

– Pompa – wymamrotała Ari w odpowiedzi.

*Pompa.* Na łaskę Matki, pomyślała Dianna. Była Panią Księżyca. Co mogła wiedzieć o pompie... czymkolwiek jest pompa. Nawet w Tir Alainn nigdy nie musiała się troszczyć o jedzenie czy napoje. To był obowiązek innych.

Odwróciła się na dźwięk szurających kroków. Ari pojawiła się w progu. Diannie nie spodobało się pełne współczucia rozbawienie, które dojrzała w jej oczach, ale wołała je znieść niż radzić sobie z biadolącą, mazgającą się kobietą.

– Pompa. – Ari stanęła obok Dianny, chwyciła za rączkę dziwnie wyglądającego metalowego przedmiotu i poruszyła nią kilka razy w górę i w dół. Z kranika wytrysnęła struga wody. Ari podniosła jeden z kubków stojących obok pompy, napełniła go wodą i podała Diannie. Kiedy napełniła też drugi, spróbowała się uśmiechnąć.

– Pewnie nie widzisz zbyt często swojej kuchni.

– Nie widuję.

Uśmiech zniknął.

Ari powlekła się z powrotem do głównej izby. Usiadła w fotelu na biegunach przed zimnym paleniskiem. Gościowi wskazała krzesło.

– Dłaczego się martwisz? – spytała Dianna.

– Nie rozumiałabyś – powiedziała Ari ze wzrokiem utkwionym w swoim kubku.

Dianna sądziła, że rozumie przynajmniej część problemu. Ale jak powiedzieć dość, by skłonić dziewczynę do zwierzeń, jednocześnie nie mówiąc za dużo?

– Mogę być w stanie pomóc. Zadawałam się... swego czasu... z Fae.

O, to wzbudziło jej zainteresowanie.

– Dlaczego sądzisz, że to ma coś wspólnego z Fae? – zapytała Ari ostrożnie.

*No właśnie, dlaczego?*

– Ponieważ po ujrzeniu chmur w kształcie owiec i smoka zaczęłaś się zachowywać jak szlachcianka, która słabuje na samą myśl o kontakcie z czymkolwiek nietypowym. – Nie wiedziała z pierwszej ręki, czy szlachcianki faktycznie tak się zachowują, ale krążyło mnóstwo pieśni i opowieści, które komplikowały się w chwili, gdy ludzka kobieta zaczynała przeżywać wszystko i nic. – Z tego, co zrozumiałam, jesteś zła, ponieważ wierzysz, że ktoś zrobił to specjalnie dla ciebie. A jedynym, który mógłby to zrobić, jest Fae.

Ari uważnie przyjrzała się Diannie. Następnie, z oporem, na zmianę blednąc i pąsowiejąc, opowiedziała o Letnim Księżycu i oferowaniu specjału pierwszemu samcowi, którego spotkała.

Dianna była pewna, że dziewczyna wiele przemilczała, ale najbardziej uderzające było to, że choć Ari przyznała się wreszcie, iż ten, któremu wręczyła specjał, był lordem Fae, nie pochwaliła się, że to Światły przyszedł do jej łóżka ostatniej nocy.

– Podarunek to typowy zwyczaj wśród Fae – powiedziała Dianna.

– Złożyłam obietnicę – odparła cicho Ari. – Nie spodziewałam się niczego w zamian.

*Nie spodziewałaś się też, że zaznasz przyjemności.* Co prawdopodobnie wyjaśniało, dlaczego Lucian nie poszedł po linii najmniejszego oporu i nie wręczył Ari małego świecidełka w charakterze prezentu. Pewnie nosił jedną czy dwie błyskotki w kieszeni płaszcza. Jak wszyscy mężczyźni Fae.

– Złożyłaś przyrzeczenie, to dla ciebie ważne. – Dianna poczekała, aż Ari przytaknie. – A on uczynił zadość zwyczajowi wręczania podarunku, co jest ważne dla niego.

– Ale...

Dianna niecierpliwie machnęła ręką.

– Zapytał, czego byś chciała, prawda? Więc co jest nie tak z tym, że i on dotrzymał obietnicy?

– Nic, kiedy tak to ujmujesz, ale...

– Podarował ci idealną pogodę, byś mogła się cieszyć pracą w ogrodzie. Co w tym złego? To było w zasięgu jego możliwości. A co do drugiego daru:



pomyśl o dzieciach, które spojrzały w niebo podczas tych kilku chwil; musiały być zachwycone. – Jako że Ari wciąż wydawała się skora do kłótni, Dianna nie dała jej dojść do głosu: – Złożyłaś obietnicę i dotrzymałabyś jej niezależnie od tego, jaki byłby ten mężczyzna. Może... – O ile znała Luciana, wiedziała, że nie ma tu żadnego „może”. – Może chciał ci uprzyjemnić ten obowiązek, aby był tu mile widziany, gdy powróci.

Ari przygryzła dolną wargę.

– Chcesz powiedzieć, że będzie tak robił za każdym razem... O ile zdecyduje się wrócić?

Dianna wyczuwała kłopoty.

– To lord Fae – odparła ostrożnie. – Będzie postępować zgodnie ze znanymi mu zwyczajami, Ari... podobnie jak ty będziesz postępować zgodnie ze swoimi. Uradujesz go, akceptując podarki, którymi cię obdarza. – Dianna wstała. – Cieszę się, że mogliśmy się poznać.

Ari odprowadziła ją do drzwi kuchennych.

– Dziękuję za wysłuchanie. I za poradę.

Dianna tylko się uśmiechnęła.

– Niech cię dzień błogosławi, pani – dodała Ari.

*Dziwne pożegnanie*, pomyślała Dianna, wracając na farmę Aherna. Dziwna młoda kobieta. Może dlatego Lucian zwrócił na nią uwagę. Nie mówiła do niego tego, co inne kobiety Fae, nie robiła tego, co one. Na pewno nie chciała go skrzywdzić, a czyż nie to było kwestią, którą chciała zbadać?

Chatę otaczała moc, silna moc. Ale pochodziła ze Starego Miejsca, od Wielkiej Matki. Nie wyczuła magii w dziewczynie – nie wyczuła nic, co mogłoby wyrządzać krzywdę albo wydawać się niepokojące.

Mimo to gdyby Lucian postanowił odwiedzać chatę i dziewczynę przez cały czas, na jaki pozwalał mu na to specjał, nie zaszkodziłoby, gdyby ona sama ponownie tu zawitała.



Zachód słońca.

Ari otworzyła górną część drzwi kuchennych i spojrzała na łąkę, łagodnie płożącą się aż do linii drzew wyznaczających granicę z lasem Brightwood.

Przejechała dłonią po swojej najlepszej tunice i spódnicy, wygładzając nieistniejące fałdy.

*Czy przyjdzie? Czy chcę, by przyszedł?*

Myśl o nim – i o tym, co robił z nią w łóżku zeszłej nocy – sprawiła, że poczuła mrowienie w podbrzuszu i miękki ból między nogami. Chciała przeżyć to wszystko jeszcze raz, chciała znów go poczuć. Ale... Czy to wystarczało?

Oczywiście, że tak. Czego więcej mogłaby chcieć albo oczekiwać po mężczyźnie, który tak nagle pojawił się w jej życiu – i zniknie z niego za kilka dni?

Ale co miała robić przez te kilka dni?

Spoglądając przez ramię na potrawkę bulgoczącą na piecu, wzdrygnęła się.

Czym zamierzała go karmić w kolejne wieczory? Potrawki wystarczy ledwie na dzisiejszy posiłek, a na jutro? Mogła przejść przez łąkę i czekać na niego w lesie. Gdyby tam zaspokoił swoją żądzę, nie oczekiwałby od niej gościnności, prawda? Może zadowoliliby się przez godzinę i sobie poszedł?

Mogłoby tak być. Opowieści, które jej matka i babka snuły przy ogniu, równocześnie przędąc wełnę, były przyjemnym sposobem zaznajamiania dzieci ze sposobami radzenia sobie z Fae, ale nigdy nie poruszały bardziej... przyziemnych tematów. Czy gdyby wciąż żyły, usiadłyby przy ogniu ubiegłej zimy i podzieliły się z Ari historiami, które teraz mogłyby jej pomóc? Być może.

Ale nie byłaby w stanie otworzyć drzwi i udać się na łąkę. Nie byłaby w stanie podnieść spódnicy, gdyby on kładł ją na ziemi. To za bardzo przypominałoby doświadczenie z Royce'em.

– Nie możesz zmienić kolejności pór roku – powiedziała cicho. – Nie możesz dzielić skóry na niedźwiedziu, skoro jeszcze go nie upolowałaś. Zaoferuj tyle, ile jesteś w stanie, i niech to wystarczy.

Odwróciła się od drzwi i zamieszała potrawkę. Gdy znów się odwróciła, by wyrzucić na zewnątrz, zobaczyła go – karego konia galopującego po cichu przez łąkę.

Zwolnił do kłusu i skręcił w stronę stodoły.

Ari została przy drzwiach i czekała.

Kilka chwil później Lucian wyłonił się zza węgła ze zmierzwionymi włosami i nieskromnie rozchełstana koszulą rozpiętą aż do pasa.

– Wróciłeś – powiedziała Ari. – Wejdz i rozgość się.

Sięgnął przez otwartą połowę drzwi, ujął jej twarz w dłonie i pocałował, długo i namiętnie. Kiedy wreszcie się odsunął, odparł:

– Tak, wróciłem.



Opierając się na łokciu, Lucian obserwował śpiącą Ari. Nie była tak urzeczona jego darem, jak oczekiwał. Wydukała podziękowania, ale wydawała się nieco... zmieszana. Rozczarowanie smakowało znajomo. Czy to nie z jego powodu z taką łatwością praktykował abstynencję przez długi czas?

Być może jednak oczekiwała tradycyjnego podarunku. Miał jeden przy sobie – niewielki jadeitowy wisiołek, który byłby odpowiednim pierwszym lub drugim darem. Położył go na nocnym stoliku, zanim rano opuścił jej dom. Nie była dość obłudna, by owijać swoje podziękowania w piękne kłamstwa, a on nie chciał, by chłodny entuzjazm kobiety z powodu daru psuł jego przyjemność w łóżku.

Nawet tam... Och, była wystarczająco ciepła, wystarczająco chętna i wystarczająco zdesperowana, by postanowił ją dosiąść. Nie był dla niej na tyle miły, na ile powinien być wobec kobiety o tak niewielkim doświadczeniu, ale zdenerwowało go, że chciała mieszać w garnku na piecu, zamiast zabrać go prosto do łóżka. Co za różnica, czy się przypali? Mogli zjeść coś innego. Ale nie. Ociągała się na tyle, że zaczął wrzeć od innego rodzaju gorąca – i pozwolił, by jego temperament wyzwolił się wraz z żądzą. Nie na tyle, by ją skrzywdzić, ale w wystarczającym stopniu, by następnym razem nie potraktowała go tak obojętnie.

*Nie powinienem był wpuszczać złości do łóżka.* Odepchnął tę myśl wraz z okruciami winy, które pojawiły się wraz z nią. Nie miał powodu czuć się winny. Przecież mu się oddawała, czyż nie? Była człowiekiem; on Świątym. Powinna się czuć zaszczycona, mając go w swoim łóżku.

Obudziła się i spojrzała na niego nieco przerażonym wzrokiem.

– Jesteś głodny? – zapytała z wahaniem.

Jej strach go ranił, dodał kolejną warstwę winy, ale nie pokonał żądzy w jego lędźwiach.

Wszedł na nią, zatopił się w niej, całował ją w sposób, który miał rozpalić ciepło i ugasić strach.

– Tak, jestem głodny.

## ROZDZIAŁ 12

Adolfo popatrzył na Harro, Asystującego Inkwizytora swojego bratanka Konrada. Brązowe oczy Mistrza Inkwizycji niczego nie zdradzały, choć w jego wnętrzu narastała fala gniewu zatrzymywana przez ścianę szoku. Ale zaporę nie wytrzyma długo. Czuł, jak gniew napiera, szukając słabego punktu w ścianie, dzięki któremu mógłby się wyrwać na wolność.

Z całą stanowczością Adolfo zamknął uczucie szoku w więzieniu samokontroli. Może i miałyby na kim rozładować ten gniew, ale nie tutaj, nie teraz.

– Gdzie to się stało? – zapytał głosem wyzutym z emocji. – Jak to się stało?

– To była moja wina... – zaczął Harro. Łzy wypełniły jego oczy.

*Tak. I zapłacisz za nią.*

– ...ale byłem jego Asystentem i słuchałem jego rozkazów. – Harro się zawahał. – Był młody, Mistrzu Adolfo, i... czasami zbyt zaangażowany.

Innymi słowy, Konrad za bardzo się zapomniał podczas ostatniej spowiedzi. Co za głupiec! Ile razy mu powtarzał, że zwierzę, które wydaje się bezbronne, ugryzie, gdy zapędzić je w kozie róg?

– Co się stało? – zapytał Adolfo, utrzymując głos na wodzy i nieruchomą postawę.

– Była tam tylko jedna wiedźma, jak nam powiedziano, ale okazała się silniejsza niż pozostałe, na które się natknęliśmy, wykonując nasze ważne zadanie w Sylvalanie.

*Znam te frazesy, staruszk, pomyślał niecierpliwie Adolfo. Jestem ich autorem.*

– Potrafiła czerpać moc z ziemi, ognia i wody. Więc Konrad uznał, że w jej przypadku musi być bardziej przekonujący. Ale... Wiem, że ból to jedyna droga, by oczyścić czarownice z tego, kim są, ale widziałem, że tej nie potrafił złamać, wręcz napędniał ją kolejnymi siłami, by mogła się opierać. Gdy próbowałem powiedzieć Konradowi, co zobaczyłem w jej oczach,

zezłościł się. Nakazał mi ruszyć do Norville i poinformować barona, że przybędzie za dzień lub dwa. – Oczy Harro przybrały błagalny wyraz. – Nie mogłem okazać nieposłuszeństwa.

Adolfo po prostu czekał.

– Ona uciekła. Nie wiem jak, ale uciekła mu. Zebrał mężczyzn z wioski i dzierżawców okolicznych farm, po czym ruszyli za nią.

*Przynajmniej Konrad miał na tyle rozumu, by nie polować samotnie na wiedźmę, która prawdopodobnie przestała już się przejmować zasadami wiążącymi większość jej pokroju.*

– Mężczyźni dopadli ją na łące graniczącej ze Starym Miejscem – kontynuował Harro łamiącym się głosem. – Gdy ją zaatakowali, zza drzew wyjechała kobieta na karym koniu.

Adolfo zmarszczył brwi.

– Kolejna wiedźma?

Harro potrząsnął głową.

– Wieśniacy powiedzieli, że to Kochanka Śmierci. Nazywali ją Zbieraczką.

Miejsce na jego plecach, które zawsze przeszywał dreszcz, gdy strach podnosił łeb, zrobiło się lodowato zimne.

– Jedna z Fae – powiedział ledwo słyszalnie. – Nie wspomniano mi wcześniej o Fae odwiedzających Stare Miejsce.

– Przychodzą tam od czasu do czasu, ale wieśniacy przysięgali, że Fae rzadko się wtrącają w ludzkie sprawy.

– Ta się wtrąciła – odparował Adolfo. Na ścianie kontroli pojawiły się pęknięcia, a porcja gniewu wydostała się na wolność.

Harro wykręcił dłonie.

– To była Zbieraczka, Mistrzu Adolfo. – Zamknął oczy. – Zabiła Konrada, a inni mężczyźni uciekli...

Młodzi głupcy. Fae nie byli już tak silni, jak sądziła większość ludzi; łatwo byłoby popsuć szyki jednej z nich, gdyby wiedzieć, jakim darem magii dysponuje. Ale tej, którą zwą Zbieraczką, należało unikać z uwagi na jej dar...

– Zabiła go za to, co zrobił wiedźmie – stwierdził ponuro Adolfo.

Harro otworzył oczy. Wypełniały je łzy.

– Tak.

– I pewnie zabrała jego ducha na męki, które czekają wszystkie ludzkie dusze w otchłani piekielnej Złego.

Harro potrząsnął głową.

– Nie mam wiele z Daru Inkwizytora, ale nawet wieśniacy, którzy w ogóle go nie mają, byli w stanie dostrzec... – Urwał.

– Dostrzec co? – Adolfo zażądał odpowiedzi. Miejsce na jego plecach było coraz bardziej lodowate.

– Ducha Konrada... – wyszeptał Harro. – Zostawiła go tam, na łące.

Adolfo rozparł się na krześle. Buzująca w nim wściekłość toczyła bój z samokontrolą.

– Wieśniacy wrócili, chcąc odzyskać ciało i zapewnić Konradowi godny pochówek. Ale gdy zobaczyli ducha, przerażili się, że pójdzie za nimi i będzie nawiedzać wioskę, więc... – Harro przełknął z wysiłkiem. – Pogrzebali go na łące, by tam go uwięzić.

Adolfo zakrył twarz dłońmi.

– Przykro mi, Mistrzu Adolfo – wychrypiał Harro. – Konrad był dobrym człowiekiem i wykwalifikowanym Inkwizytorem. Będzie nam go brakować.

Gdy Adolfo opuścił dłonie i wstał z krzesła, nabrzmiała w nim moc, podsycana wściekłością przebijającą się przez samokontrolę. Na szczęście sposób na wyładowanie wzrastającego napięcia – i uratowanie tej katastrofy – stał wprost przed nim.

Położył dłonie na ramionach Harro. Moc, która przepływała przez jego ręce, zalała słabszego mężczyznę tak szybko, że ledwie zdołał sobie uświadomić, co się z nim dzieje.

– Wrócisz do wioski – powiedział Adolfo miękkim głosem, gdy jego siła perswazji otumaniała Harro, pozostawiając go podatnym, i posłusznym, na wszystko, co słyszał. – Zatrzymasz się w gospodzie, nie w posiadłości barona. Powiesz wieśniakom, że to nie Kochanka Śmierci, tylko Zły w przebraniu zaatakował mężczyzn, gdy próbowali wyrwać swoją wioskę spod uroku niegodziwej wiedźmy. To Zły zabił Konrada.

– Zły – wymamrotał Harro.

– Powiesz im, że wierzysz, iż Zły wciąż jest w pobliżu i czeka na sposobność, aby pożreć kolejnego dobrego człowieka, tak jak pożarł Konrada. Dlatego powróciłeś i będziesz trzymać straż, póki ja, Mistrz Inkwizycji, nie przybędę ich uwolnić.

Oczy Harro zrobiły się puste i szkliste. Idealnie.

– Drugiej nocy, którą spędzisz w gospodzie, udasz się do swojego pokoju od razu po wieczerzy i usiądziesz przy kominku. Będziesz uważnie się

wpatrywał w ogień. Gdy się wypali, weźmiesz jeden z rozżarzonych węgli wielkości twojego kciuka, od czubka do pierwszego stawu. Umieścisz węgielek na języku. Nie wydasz z siebie żadnego dźwięku, ani jednego. Kiedy węgielek się wypali, wyplujesz go na palenisko i weźmiesz kolejny, mniejszy. Połkniesz go. Nie wydasz z siebie żadnego dźwięku, ani jednego. Będziesz połykać kolejne bryły węgla tak długo, jak dasz radę. Rozumiesz?

– Ro... zu... niem.

– Przypomnisz sobie wtedy, jak składałeś mi raport o śmierci Konrada. Przypomnisz sobie, jak wyznałeś, że go zawiodłeś, a gdy poprosiłeś o moje przebaczenie, otrzymałeś je. Przypomnisz sobie, że razem rozpaczaliśmy po stracie dobrego, młodego mężczyzny. Tylko to będziesz pamiętać, ale postąpisz zgodnie z moimi instrukcjami, co do joty.

– Postąpię... zgodnie...

– Dobrze. Dobrze.

Adolfo odsunął się i usiadł z powrotem na krześle. Ostrożnie uwalniał większość mocy, która otumaniła Harro, zostawiając jedynie dość, by upewnić się, że jego woli stanie się zadość, a jednocześnie na tyle niewiele, że Harro tego nie zauważy.

Począł, aż Harro zamruga, weźmie głęboki oddech i rozejrzy się, nieco oszołomiony. Wtedy powiedział cicho:

– Dziękuję ci, Harro, że osobiście dostarczyłeś mi tę wiadomość. Zostaw mnie teraz. Muszę pobyć sam na sam ze swoimi myślami – a ty musisz się przygotować do podróży.

– Podróży? – Twarz Harro przybrała wyraz głębokiej zadumy. Po chwili mężczyzna się rozpogodził. – Tak, podróży! Muszę wrócić do wioski i trzymać straż. Nawet w czasie żałoby trzeba wykonywać ważną pracę.

– Tak, trzeba.

Adolfo nie poruszył się, póki Harro nie wyszedł z pokoju. Dopiero wtedy wstał i podszedł do paleniska. Wpatrywał się w ogień przez minutę, zanim wypuścił ostatnie, niewielkie tchnienie mocy. Ogień ryknął, płomienie buchnęły w górę, dwukrotnie większe niż jeszcze przed chwilą. Po dziesięciu sekundach z powrotem wróciły do normalnych rozmiarów.

Adolfo wciąż wpatrywał się w ogień.

Być może tak będzie najlepiej. Nawet przed przybyciem do Sylwalanu Konrad zaczął wykazywać zbyt podobieństwo do swojej babki. W końcu nadszedłby dzień, gdy Konrad przestałby widzieć w nim wuja, który

prowadził go i uczył, a zaczął widzieć rywala do tytułu Mistrza Inkwizycji.

Lubił swojego bratanka. Bądź co bądź chłopak był jedyną bliską rodziną, jaka mu została. Ale nie tolerowałby w nim rywala. Nie tolerowałby nikogo wydającego mu rozkazy. Już nie. Więc może dobrze się stało, że Konrad zginął w ten sposób. Ale i tak wieśniacy muszą zapłacić za to, że pozwolili Zbieraczce zabić Inkwizytora.

Ostatni z rodziny. Tak, miał innych krewnych – jego ojciec miał dwóch starszych braci – ale minęło tak wiele czasu, odkąd ich widział, że nie traktował ich już jak rodziny. Nie myślał też w ten sposób o swojej żonie. Stanowiła tylko wadliwe naczynie, które nie było w stanie wyhodować jego nasienia. Kobiety nie należały do rodziny. Były jak krowy, które dają mleko, albo jak kury, które znoszą jajka. Były nieodłączną częścią życia mężczyzny dla jego wygody i dobrobytu, ale nie należało ich traktować lepiej niż cennej krowy czy kury. Ich celem było rozkładać nogi dla przyjemności mężczyzny i rodzić dzieci, które byłyby jego dziedzicami.

Gdyby jego ojciec to zrozumiał, może wciąż by żył.

Ojciec Adolfo był młodszym synem, który nie odziedziczyłby majątku, a jego matka – piękną kobietą, która była w posiadaniu znacznego kawałka ziemi. Podejrzewał, że ojciec ożenił się w tym samym stopniu dla ziemi, co dla zaspokojenia żądzy, i musiał być okrutnie rozczarowany, gdy ziemia nie została przepisana na niego, a pozostała pod kontrolą żony. Ona jednak zrobiła to, co mu obiecała. Cała połać lasu została ścięta, a drewno sprzedane. Dziewicze łąki po raz pierwszy poczuły ugryzienia pługą, a dzierzawiący działki farmerzy wysiali zboże. Zebrane plony znacznie prześcigały zbiory reszty rodziny, był więc zadowolony.

Ale jego ojciec nigdy nie zapomniał, że ziemia pozostawała zapisana na jej nazwisko. Nigdy nie zapomniał też, że jego własna przyjemność była zależna od tego, ile przyjemności ona zaznała od niego.

Mimo to byli szczęśliwą parą – aż do dnia, gdy matka zaczęła narzekać, że w jej izbie jest zimno, a on, ich pierworodny syn, mający wówczas zaledwie sześć lat, zaprezentował nowo poznaną sztuczkę i rozпалиł dla niej ogień. Wyraźnie pamiętał puste spojrzenie, jakim go obdarzyła, i jej nagłą bladość.

Po tym wydarzeniu nastąpiły zażarte kłótnie. Oskarżenia i zaprzeczenia. Ojciec okłamał matkę, zatajając coś; nie wspomniał o tym, że kiedyś w jego rodzie doszło do zakazanego związku człowieka i Fae. Syn musiał odziedziczyć te obmierzłe moce po nim, ponieważ jej linia krwi była czysta.



*Przepraszam, przepraszam. Nie wiedziałem, że to coś złego.*

*Nie będziesz przynosić mi wstydu sztuczkami, przez które twoja matka we mnie wątpi. Nie stanę się znów młodszym synem bez grosza przy duszy przez takich jak ty. Jeśli będę musiał wybić ci z głowy te wybryki, to dokładnie to zrobię.*

Tak, jej linia krwi była czysta – była czarownicą pochodzącą z długiej linii czarownic, sięgającej tak daleko, jak jej rodzina zdołała spamiętać. Ale o tym nigdy nie wspomniała, kiedy pozwalała, by zalecał się do niej – i zdobył ją – młodszy syn. Nigdy o tym nie wspomniała.

Adolfo uświadomił sobie to wszystko dopiero wiele lat później, gdy został wydziedziczony na rzecz młodszego brata, który nie wykazywał oznak nieczystej krwi, a potem uciekł i z czasem nauczył się używać mocy, która zniszczyła jego dzieciństwo.

Ten pierwszy popis magicznych umiejętności zapoczątkował nienawiść matki wobec niego, a owa nienawiść zmieniła ciepły, szczęśliwy dom w istny koszmar dla dziecka, które nie było w stanie zrozumieć, co zrobiło źle, a do tego nie miało samokontroli, by wyrugować z siebie coś, co wydawało się takie naturalne.

Musiał znosić bicie i ponizenie. Nauczył się wiele od chodzącego zła, którym stał się jego ojciec, by udobruchać ziejącą nienawiścią żonę.

Gdy miał czternaście lat, uciekł z domu. Ledwo wiązał koniec z końcem, póki nie odnalazł swojego powołania. Miało to miejsce w wiosce, którą prześladował pech. Mleko kwaśniało w ciągu kilku godzin od wydojenia krowy. Na niektórych farmach rodziły się dwugłowe kurczęta. Koła w wozach łamały się w drodze na rynek. Zboża zaczynały rosnać, po czym plony usychały, gdy było zbyt późno, by zasiać po raz kolejny.

Na początku magia wydała mu się czymś tak znajomym, jak i przerażającym. Po kilku dniach spędzonych w wiosce na podejmowaniu się różnorakich prac, byle tylko zarobić na posiłek, dostrzegł kobietę. Dostrzegł, z jaką łatwością wita innych mieszkańców i rozmawia z nimi. Dostrzegł nieufność w oczach pewnego przystojnego mężczyzny. I dostrzegł jej spojrzenie, gdy tenże mężczyzna spotkał się przed sklepem z inną młodą kobietą.

Kilka dni później, gdy wspomniana młoda kobieta jechała wraz z grupą jeźdźców przez bezdroża, jej koń potknął się bez żadnego wyraźnego powodu i upadł. Upadek okaleczył kobietę w takim stopniu, że każdy

młodzieniec byłby skłonny rozglądać się za inną żoną.

To wtedy uświadomił sobie, co było nie tak z kobietą, która budziła w nim niepokój.

Kojarzyła mu się z matką. Miała równie zacięty wyraz oczu, jak jego matka, gdy komuś przytrafiło się coś pechowego.

Udał się do rodziny młodej kobiety i powiedział, że jego zdaniem wypadek spowodowała mieszkająca w okolicy wiedźma. Powiedział też, że ma już pewne doświadczenie w wydobywaniu zeznań od takich istot.

Wątpili w jego profesjonalizm, co było uzasadnione; nie wierzyli też w jego zapewnienia, że kobieta, którą znali, faktycznie była czarownicą. Ale mieli kalekę córkę i cierpieli.

Konfrontacja odbyła się na głównej ulicy wioski. Nie było to mądre i niemalże kosztowało go życie. Stał tam i rzucał w jej stronę oskarżenia, wymieniając wszystkie krzywdy, jakie wyrządziła wieśniakom. Jej jedyną odpowiedzią był drwiący uśmiech – aż do chwili, gdy głośno oznajmił, że żaden przyzwoity mężczyzna nie ożenił się z nią, dlatego że spółkowała ze Złym, a smród tego ohydneho związku jej nie opuszczał.

Uderzyła w niego magią ziemi, rozstępując grunt pod jego stopami. Odskoczył od głębokiej wyrwy, upadając z taką siłą, że całe powietrze opuściło jego płuca. Sekundę później dół zapełnił się glebą. Gdyby wpadł do środka, pogrzebałaby go żywcem.

Jeden z wieśniaków uderzył ją w głowę laską, zanim zdołała ponownie zaatakować. Potem wszyscy spojrzeli na niego, by powiedział, co mają z nią zrobić. Miał już przygotowaną odpowiedź. Spalić ją.

Z jego pomocą płomienie wykonały zadanie.

Spędził dwa dni w tamtejszej gospodzie, a jego wyżywienie i zakwaterowanie opłaciła rodzina okaleczonej dziewczyny. Gdy był gotów do dalszej podróży, jeden z farmerów wspomniał mu o kuzynie, który ma kłopoty; zapytał, czy jeśli Mistrz Adolfo jechałby w tamtą stronę, mógłby go odwiedzić i sprawdzić, czy to nie wiedźma jest zarzewiem problemów.

Oczywiście, że mógł pojechać w tamtą stronę. Oczywiście, że znalazł wiedźmę. Nie miało znaczenia, że tym razem kłopoty wywoływane były jedynie kapryсами natury – w wiosce faktycznie mieszkała wiedźma. Ona także spłonęła.

W każdym miejscu, w którym się pojawiał, zawsze spotykał kogoś, kto znał kogoś, kto miał kłopoty, które mogła wywołać magia. Nawet jeżeli

trafiał do wioski, gdzie kłopotów nie było, nietrudno było je wywołać. Nie miał w sobie żadnej ziemskiej magii poza darem ognia, ale posiadał dar perswazji, przez co zaczął podejrzewać, że jego matka miała w sobie nie tylko krew wiedźm, lecz także Fae – ponieważ tylko Fae posiadli umiejętność otwierania magicznych drzwi do cudzego umysłu. Nie było więc trudno przemknąć przez granicę jednego ze Starych Miejs, by skłonić umysły kilku przedstawicieli Starego Ludu do używania szelmowskiej magii. Odjeżdżał i wracał miesiąc później, gdy wieśniacy mieli już dość i pragnęli, by ktoś zapłacił za ich krzywdy. I zawsze znajdował się ktoś, kto nadawał się na kozła ofiarnego, niezależnie czy faktycznie była to wiedźma czy nie.

Z czasem opłaty wzrosły; prócz strawy, pokoju i części garderoby zaczął otrzymywać pieniądze. A gdy po raz pierwszy baron Wolframu potrzebował pomocy, by skonfiskować ziemię, której pragnął, opłata wyniosła więcej niż kilka monet.

Dekadę później był już znany jako Młot na czarownicy – Inkwizytor, przed którym żadna wiedźma nie jest w stanie się ukryć. W ciągu tej dekady odwiedził kilka uniwersytetów w Wolframie, by porozmawiać z uczonymi badającymi opowieści o Fae i Małym Ludzie. Wraz z innymi mężczyznami pochylał się nad niejasnymi odniesieniami do czegoś zwanego domem Gaian, który pojawił się w kilku najstarszych historiach. Czymkolwiek jednak był dom Gaian, zniknął z opowieści mniej więcej w tym czasie, gdy po raz pierwszy pojawiło się w nich Tir Alainn, uznał więc, że to zbyt zamierzchła przeszłość, by ta wiedza mogła mu się przydać.

W tym samym czasie zaczął zbierać innych mężczyzn i szkolić ich na swoich Inkwizytorów. Wszyscy byli tacy jak niegdyś on – młodzi wyrzutkowie, dalsi potomkowie Fae. Nazywał ich magię Darem Inkwizytora i uczył, jak z niej korzystać, by łapać wiedźmy, których istnienie stawało mężczyznom na przeszkodzie w rządzeniu daną ziemią.

W ciągu tego dziesięciolecia udało mu się też wpłynąć na kształt opowieści przekazywanych przez bazarzy i bardów w kolejnych wioskach, aż wiedzą powszechną stało się, że wiedźmy są dziwkami Złego i ofiarowują swoje ciała prawym mężczyznom, by ich oszukać i uczynić sługusami Złego.

Po kolejnych pięciu latach odwiedził rodzinną wioskę. Przekonanie słabszego umysłu, by uwierzył w to, w co chciał, żeby uwierzył, nie kosztowało go wiele wysiłku. Nikt, kto był świadkiem jego przybycia do gospody, nie rozpoznał w nim Adolfo, wydziedziczonego syna, który uciekł

z domu.

Bez trudu dowiedział się, że jego ojciec od lat regularnie odwiedza pobliskie miasto. Bez trudu przekonał pokojówkę, która przysłała posprzątać pokój, że te wizyty prowadziły go prosto do łóżka kochanki. Zasiał też kilka innych ziaren, a później pozostawił sprawy własnemu biegowi.

To był trudny rok dla rodziny, która się od niego odwróciła. Gdy jego matka usłyszała plotki o niewierności męża, pewnej nocy zabrała do łóżka nóż i wycięła jego cudzołożne serce. Została powieszona, a potem spalona.

Kilka tygodni później jego młodszy brat, wciąż rozbity po śmierci rodziców, zmusił konia do wykonania niemożliwego dla zwierzęcia skoku. Zmarł w wyniku odniesionych obrażeń. Jego ładna żona, ciężarna z drugim dzieckiem, oszalała z rozpacz i rzuciła się do niewielkiego jeziora przy domu. Utonęła.

Miesiąc później Adolfo powrócił do wioski jako dobrze prosperujący mężczyzna, który chciał wreszcie się pogodzić z rodziną. Smutek szlachty, która była świadkiem jego żałoby, był niemalże wzruszający. Gdy tydzień później wyjeżdżał, zabierał ze sobą młodego bratanka i jego niańkę.

Adolfo wciąż wpatrywał się w ogień.

– Nienawidziłaś mnie, ponieważ ujawniłem twój sekret. Ponieważ nie potrafiłem ukryć, co po tobie odziedziczyłem. Pozwoliłaś, by mój ojciec robił mi przerażające rzeczy, próbując odzyskać twoją miłość – i zatrzymać majątek, który zapewniałaś rodzinie. Wykorzystałem wszystko, czego mnie nauczyłaś, matko. Przekształciłem te okrutne lekcje w coś bardziej wyszukanego. A teraz używam tego, czego się nauczyłem, przeciwko takim jak ty. Mogłaś mnie kochać. Ale wybrałaś nienawiść. Dlatego nie pozwolę, by jakakolwiek wiedźma pozostała przy życiu. Przysięgam, że się nie poddam, póki ani jedna z was nie pozostanie wśród żywych.

## ROZDZIAŁ 13

*Nie oszukuję go*, zapewniła samą siebie Dianna, gdy wraz z pożyczoną klaczą opuszczała farmę Aherna i kłusowała w stronę Brightwood. Nie widziała powodu, by mówić Lucianowi o tym, że poznała Ari – i że postanowiła dziś ponownie odwiedzić jej chatę. Nie miało to nic wspólnego z jego conocnymi wizytami w łóżku Ari, ale on założyłby inaczej; wtedy pokłóciliby się o to, on nie chciałby słuchać, ona zaś nie chciała się sprzeczać z bliźniakiem o jakiegoś... człowieka.

Poza tym dlaczego Lucian, jako jedyny, miałby szukać czegoś, co odwróci jego uwagę w tych czasach? Aiden poinstruował każdego Barda w Tir Alainn, że chce otrzymywać wszelkie informacje o wiedźmach i wiccanfae, jakie do nich dotrą. Przekazano mu jedynie piosenki, które już znał, ale i on nie powiedział Fae nic poza tym, że w świecie ludzi mają wroga zdolnego zniszczyć Krainę Czarów.

Na przestrzeni ostatnich kilku dni stracili kolejne klany. Kolejne połączenia ziemi nagle zniknęły. I wciąż nie było odpowiedzi.

*Jestem Łowczynią i jestem bezsilna*, wściekała się w duchu Dianna. *Jak mamy walczyć z czymś, skoro nawet nie wiemy, co to jest? Jak mielibyśmy odnaleźć te wiccanfae, skoro nie wiemy, kim są i gdzie ich szukać? To jak próba walki z cieniem, który wysysa życie ze wszystkiego, czego dotknie.*

Dlaczego więc nie miałyby spędzić kilku chwil, zaspokajając ciekawość innego rodzaju. Była ciekawa Ari. I zastanawiała się, dlaczego Luciana tak niepokoił fakt, że czerpie przyjemność z wizyt w jej łóżku.

Gdy minęła słup milowy, klacz zastrzygła uszami i przyspieszyła. Dianna nie kazała jej zwolnić. Było przed południem. Już dość dużo czasu pochłonęło czekanie, aż Lucian powróci do Tir Alainn, żeby nie pytał, dokąd się wybiera – i dlaczego – a następnie zbaczanie z drogi, jechanie na farmę Aherna i z powrotem do Brightwood.

Ari pracowała w ogrodzie otoczonym niskim murkiem, w tych samych znoszonych ubraniach, co ostatnio. Podniosła wzrok, słysząc konia, a potem

uśmiechnęła się i uniosła dłoń na powitanie.

– Mieszkasz na zewnątrz? – spytała Dianna, prowadząc klacz do muru.

– O tej porze roku tak – odparła Ari. Pogłaskała klacz po pysku. – To czas siania, a ja wciąż mam wiele nasion i sadzonek do umieszczenia w glebie.

Dianna spojrzała na wciąż pustą część grządek.

– Skoro to wymaga tyle pracy, czemu aż tyle siejesz?

Ari wyglądała na zaskoczoną.

– By mieć dość jedzenia na całą zimę.

– Ale... – To, co wcześniej wydawało się Diannie sporą połacią ziemi, nagle zmalało w jej oczach. – Czy dasz radę wyhodować tu tyle, ile potrzebujesz?

Uśmiech Ari był delikatnie podszyty smutkiem.

– Zazwyczaj mi się udaje. Niektóre lata są lepsze niż inne. Zbieram też jabłka, truskawki i maliny. I niektóre jagody, ale nie przepadam za nimi, więc zostawiam większość ptakom i Małemu Ludowi. Mam też ul, a pszczoły dzielą się ze mną miodem. Wymieniam niektóre wypieki i trochę miodu z Ahernem za jaja i mleko... i trochę mięsa. To mi wystarcza do przeżycia.

*Wszystko to, a nawet więcej, jest bez trudu dostępne w Tir Alainn,* pomyślała Dianna. Fae nie zastanawiali się, czy im wystarczy. Zawsze mieli więcej, niż potrzebowali.

– Miło z twojej strony, że zatrzymałaś się u mnie podczas swojej przejażdżki – powiedziała Ari. Jej uśmiech wydawał się nieco wymuszony. I nieco niecierpliwy.

*I to by było na tyle, jeśli chodzi o moje założenia, że dziewczyna będzie zachwycona zabawianiem szlachcianki przybywającej z wizytą,* skwitowała Dianna w duchu. *Grzeczność nie pozwala jej mnie wyprosić, ale jej oczy mówią: Idź sobie i daj mi w spokoju pracować. Za chwilę jednak nawet grzeczność jej nie powstrzyma. Wyrazi się w uprzejmy sposób, ale powie, bym stąd poszła. Tak będzie. Nie zadawałam się ze zbyt wieloma ludźmi, nigdy nie miałam na to ochoty, ale miałam z nimi styczność na tyle często, by wiedzieć, że ona się od nich różni. Czemu tak jest?*

– Pomogę ci siać w ogrodzie – zaproponowała impulsywnie.

Ari ze zdziwienia aż otworzyła usta.

– Ty... Pomożesz mi siać? Chcesz grzebać w ziemi?

– A czemu nie? Ty to robisz i nie wygląda, żeby ci szkodziło.

– Ale... ale... ty jesteś damą.

Była już zmęczona udawaniem szlachcianki. Z radością pozbyła się tej maski.

– Może i jestem damą, ale jestem też kobietą. – Uśmiechnęła się, choć wiedziała, że w jej oczach można dostrzec błysk Łowczyni. – Nie jestem tak słaba, jak mogłoby ci się wydawać.

– Wcale nie uważam cię za słabą. Po prostu... – Ari przygryzła dolną wargę. – Cóż, praca pójdzie szybciej dzięki dodatkowej parze rąk.

– To dobrze. Ja...

*...znajdę jakiś sposób, by się wydostać z tego diabelskiego siodła, nie spadając na twarz i nie robiąc z siebie głupka.*

Ari wydawała się rozpatrywać ten sam problem.

– W jaki sposób damy zsiadają z konia, gdy w pobliżu nie ma dżentelmena, który mógłby im pomóc?

*Bez uroku i gracji*, pomyślała gorzko Dianna, nagle rozumiejąc złośliwe rozbawienie Aherna, gdy siodłał dla niej klacz tego ranka. Podczas poprzedniej wizyty po prostu zgramoliła się z siodła, by dojść do Ari, zanim dziewczyna ją ujrzała. Dzisiaj nie pójdzie jej tak łatwo.

– Może wykorzystasz murek? – rzuciła Ari z wahaniem. – Albo pień do rąbania drewna, jest na tyłach chaty.

Dianna zmarszczyła brwi, patrząc na mur. Był dość wysoki, by mogła na nim stanąć – o ile klacz będzie chętna do współpracy. Podprowadziła do niego zwierzę i poleciła:

– Przytrzymaj jej łeb.

Gdy Ari pewnie chwyciła wodze, Dianna ostrożnie wysunęła stopy ze strzemion i postawiła je na murku. Na wpół odwrócona, trzymając jedną dłoń siodło dla zachowania równowagi, zakolebała się, żałując, że okrągłe, nierówne kamienie nie zapewniają lepszej równowagi. Przesunęła jedną stopę, przydeptując zgrabny myśliczku, straciła równowagę i z cichym piskiem upadła na grzbiet klaczy.

Koń odsunął zad od muru, zabierając Dianę ze sobą.

– O rety... – mruknęła Ari.

Przeklinając w duchu Aherna, Dianna zsunęła się z końskiego grzbietu, a potem spojrzała na dziewczynę.

– Nie waż się zaśmiać.

– Nie śmiałabym, pani. Naprawdę nie... – Ari przycisnęła dłoń do ust, w jej oczach zatańczyła tłumiona radość.

– Żadna tam pani, wystarczy Dianna. – Dianna wytarła ręce o spódnicę i przełożyła wodze do drugiej dłoni. – Pani to dama, która musi zachować godność i być uprzejma nawet w takich okolicznościach. Dianna taka nie jest. W tej chwili nie czuję się ani godna, ani uprzejma...

– Tak – odchrząknęła Ari. – Rozumiem. Może zaprowadzimy klacz na łąkę z drugiej strony domu, by się pasła. – Przyjrzała się strojowi Dianny. – Powinnyśmy też znaleźć ci coś na zmianę, żebyś nie ubrudziła swojego stroju.

– Dobrze. – Dianna spojrzała na swoje odzienie, jakby to miało jakieś znaczenie. Potem wyszeptała do ucha klaczy: – Jeśli nie zaczniesz się porządnie zachowywać, rzucę cię na pożarcie ogarom cienia.

Przywiązawszy klacz na zewnątrz stodoły, podążyła za Ari do sypialni łączącej się z główną izbą.

– Czy umiejscowienie sypialni w tej części domu nie jest nietypowe? – spytała, rozglądając się. W domu klanu żadne z prywatnych pomieszczeń nie graniczyło z salami wspólnymi. Być może ludzkie chaty buduje się inaczej, ponieważ są o wiele mniejsze?

– To pokój staruchy – odparła Ari. – Przynajmniej wtedy, gdy są wszystkie trzy – dokończyła cicho, po czym pospieszyła do kolejnej izby.

Gdy Ari przeszukiwała pomieszczenie, Dianna przyglądała się sypialni. Szybko ominęła wzrokiem łóżko.

*Nawiąź więź i baw się nią*, przeszło przez myśl Diannie. Bycie siostrą Luciana nie pozbawiało jej kobiecości, a każda kobieta warta tego miana byłaby ciekawa, co się działo w tym łóżku, zwłaszcza gdyby wiedziała, że mężczyzną w to zamieszany był Światły. Zwłaszcza po tym, jak spostrzegła filigranowy złoty naszyjnik wysadzany ametystami, spoczywający na toalecie. Takie świecidełko uchodziło za odpowiedni podarek pożegnalny wieńczący krótki, przyjemny romans. Nie sądziła, by Lucian był już gotów się pożegnać – do nowiu księżyca pozostało kilka dni. Czyżby szykował sobie grunt pod kontynuowanie tej relacji, gdy minie czas jej przyrzeczenia?

– To powinno się nadać... tak sądzę. – Ari wróciła do pokoju ze stertą ubrań.

Dianna odwróciła się od toaletki – i od myśli, które sprawiały, że czuła się nieswojo. Bardowie znali dość historii i pieśni o mężczyznach Fae, którzy zakochali się w ludzkich kobietach. Morał płynący z tych opowieści, zawsze kończących się tragicznie, był prosty: czerpać przyjemność i ruszać dalej –



i nie oglądać się za siebie. Jeśli utknie się w takiej relacji na zbyt długi czas, można ugrzęznąć w uczuciach, których lepiej nie poczuć, dać się zwieść niepotrzebnym pragnieniom.

Tłumiąc chęć powrotu do Tir Alainn i zażądania, by Lucian zdradził jej swoje zamiary – co z pewnością sprawiłoby, że odmówiłby rozmowy na ten temat – Dianna wzięła ubrania od Ari.

– Należały do mojej matki – powiedziała dziewczyna. – Była ode mnie wyższa, więc powinny na ciebie pasować. Przebierz się, a ja sprawdzę, jak się miewa klacz.

Gdy Dianna zmieniała myśliczek na luźną tunikę i spodnie, klacz, uwiązana na długim postronku, zadowolona pasła się na łące.

– Twoja matka i ja może byłyśmy tego samego wzrostu, ale jej figura była... pełniejsza – powiedziała Dianna, gdy ponownie spotkały się w ogrodzie.

– Była matką w tej trójce. – Smutek na moment zasnuł wzrok Ari. – Wyglądała... dojrzałe.

Dianna zmrużyła oczy. To już drugi raz, gdy Ari wspomina jakąś trójkę. A coś w sposobie, w jaki o tym mówiła, sprawiało, że Dianna nabierała pewności, iż nie jest to fraza bez znaczenia.

– Kto był trzeci?

– Panna. – Ari skoncentrowała się na kopaniu dołka. – Zawsze były we trzy. Teraz została tylko panna.

Dianna wiedziała, że rozdrapuje strup, o ile nie otwartą ranę, ale nie przestała dopytywać:

– Co się stało z matką i staruchą?

– Umarły.

Rozejrzała się, czując, że krajobraz w pewien sposób się zmienił. Chata nie była posiadłością, ale była znacznie większa niż pozostałe chatki rozrzucone po okolicznych wioskach.

– Skoro ty pielęgnujesz ogród, kto się zajmuje domem i resztą prac?

– Ja. – Ari zasiała nasiono w wykopanym dołku. – Chociaż chata jest bardziej zadbane zimą niż latem.

– Czyli jesteś tu sama. Naprawdę sama.

Ari usiadła na piętach.

– Wielka Matka jest zawsze przy mnie. Podobnie jak te, które żyły przede mną. Nie mamy w zwyczaju stawiać nagrobków, ale gdy przechadzam się po

Brightwood, jestem w stanie powiedzieć, kiedy mijam miejsce, w którym jedna z nas została pochowana.

– Ale... – Widywała już miejsca pochówku ludzi. Oczywiście były tam nagrobki, a do tego znajdowały się one na wyznaczonej połaci ziemi. – Czyli część Brightwood to poświęcona ziemia?

– Brightwood to jedno ze Starych Miejsz – wyjaśniła łagodnie Ari. – Cała ta ziemia jest święta. Przynajmniej dla niektórych. – Wzięła głęboki wdech, a potem głośno wypuściła powietrze i zapytała: – Chciałabyś zasiać kilka sadzonek?

*Co za dziwna dziewczyna, pomyślała Dianna kilka minut później, postępując zgodnie z instrukcjami Ari w kwestii sadzenia groszku. Mówi o trójce i świętej ziemi – i twierdzi, że potrafi wskazać miejsca spoczynku mimo braku nagrobków. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by ktoś mówił w ten sposób. Będę musiała spytać Lyrre, czy kiedykolwiek słyszała o czymś podobnym. Spędza więcej czasu wśród ludzi z uwagi na swój dar Muzy. Trójka. Czemu to ma znaczenie?*

– Sadzisz je zbyt blisko siebie. Przez to nie urosną.

Dianna zerknęła na Ari, a potem odwróciła wzrok, by ukryć narastającą złość. Jakim cudem ta dziewczyna śmie ją upominać – ja! – skoro sama wyraziła chęć pomocy? No to kilka nie wyrosnie. Co za różnica?

*A jeśli będzie głodować tej zimy, ponieważ igras z jej losem? Czy wtedy też powiem „co za różnica”?*

– Przepraszam – odparła. Naprawdę było jej przykro. Ale nie miała pewności, czy przeprosza za swoje niedbalstwo podczas sadzenia, czy raczej przejęła się wpływem swoich działań na losy Ari. Wykopała groszek i przysiadła na piętach. – Zamyśliłam się i przestałam zwracać uwagę na to, co robię.

– Nie trudno o to – przyznała Ari z uśmiechem. – Sama często odpływam, gdy pracuję w ogrodzie. – Zawahała się. – Możesz zasadzić tę grządkę jeszcze raz. Nic się nie stało.

Dianna zmieniła pozycję na wygodniejszą. Potrząsnęła głową.

– Po prostu przez chwilę dotrzymam ci towarzystwa.

Obserwowanie Ari przez kilka minut przyniosło jej ukojenie. Dziewczyna się nie spieszyła, ale jej ruchy miały pewien rytm, który pozwolił jej zrobić w krótkim czasie więcej, niż byłaby w stanie zrobić Dianna.

W końcu Dianna zaczęła się nudzić. Poruszyła się niespokojnie. Nie była

już chętna do pomocy, ponieważ nie chciała się czuć odpowiedzialna za kiepskie zbiory, ale nie chciała też siedzieć bezczynnie. Powinna odejść – i zrobiłaby to już dawno, gdyby tylko zdobyła informacje, po które tu przybyła.

– Chciałabyś zasadzić kwiaty? – spytała nagle Ari.

– Kwiaty? – Nuda zniknęła. Kwiaty były jedynie ładną ozdobą, czyż nie? Nie były ważne. Mogła je zasadzić, a gdyby niektóre z nich nie wyrosły, nie miałyby to znaczenia.

– Sadzę kwiaty dookoła chaty, ale nie dam rady się tym zająć, póki się nie uporam z ogrodem warzywnym.

Dianna się zawahała.

– Jeśli niektóre z nich nie wyrosną, nie uczyni to twojej zimy trudniejszą, prawda?

Ari potrząsnęła głową i uśmiechnęła się.

– Niektórych z nich używam do farbowania wełny, ale zawsze mam ich aż nadto. Chodź, pokażę ci.

Dianna ruszyła za Ari przez bramę ogrodu do przygotowanych grządek okalających chatę. Na przednim rogu dojrzała rośliny, które już tam rosły.

– To byliny – wyjaśniła Ari. – Rosną rok po roku. Ale z tej strony chaty rokrocznie sadzę nowe kwiaty.

– Dlaczego?

Ari wzruszyła ramionami; wyglądała na lekko zakłopotaną.

– Byliny symbolizują ciągłość i przyjemność obserwowania czegoś znanego, co samo się odradza. Ta rabata symbolizuje ekscytację i potencjał w związku z czymś nowym i nieznanym. – Podniosła niewielki koszyk stojący obok klombu i potarła palcami o umieszczone wewnątrz zwitki tkanin. – To różne nasiona, które zebrałam ostatniej jesieni. Weź garść i rozsyp nasiona na rabatce. Niekiedy rozrzucam je w konkretnych grupach, przez co jeden gatunek kwiatu rośnie w jednej części klombu, a niekiedy je mieszam i rozrzucam wszystkie nasiona równocześnie, przez co kwiaty mieszają się ze sobą.

– Który sposób mam wybrać?

– Który wolisz. Istnieją jednak trzy wyjątki.

*Oczywiście*, pomyślała Dianna z lekkim przekąsem. *Nie może być za łatwo.* Ari uniosła jedno z zawiniątek.

– Nagietki trzeba sadzić z przodu, ponieważ rosną nisko. – Odłożyła

paczuszkę do koszyka i podniosła dwie kolejne. Jedna była przewiązana białą wstążką, druga żółtą. – Te trzeba zasadzić z tyłu klombu, ponieważ muszą się piąć. Najlepiej od nich zacząć.

Dianna spojrzała na treliąż biegnący wzdłuż ścian chatki.

– A co to za rośliny? – spytała, biorąc w ręce nasiona.

– Wilec, czyli kwiat księżyca, i powój, czyli radość poranka. – Ari się zawahała, po czym wymamrotała: – Sadzę kwiaty księżyca, by uczcić Panią Księżycę.

– Naprawdę? – Zachwycona Dianna przyjrzała się paczuszkom z większym zainteresowaniem. – Chyba nigdy ich nie widziałam. – Zerknęła podejrzliwie na Ari i spytała zaczepnie: – Skoro kwiaty księżyca są dla Pani Księżyca, to czy radość poranka jest dla Świątłego?

Ari się zaczerwieniła. Szybko wymamrotała instrukcję, jak głęboko i daleko od siebie sadzić kwiaty, a potem wycofała się do ogródka warzywnego.

Rozbawiona jej reakcją, Dianna skupiła uwagę na sadzeniu wilców. Po kilku minutach zastanawiania się, czy obsiać pół ściany wilcami, a pół ściany powojami, czy może przemieszać je ze sobą, zdecydowała się na drugą opcję. Dzięki temu cała ściana będzie pełna kwiatów wieczoru i poranka. Będzie to też adekwatne oddanie stosunków jej i Luciana. Jedno z nich rządziło dniem, drugie nocą, ale ich losy splatały się ze sobą, gdyż byli bliźniętami.

– Coś cię trapi? – zawołała Ari.

– Planuję – odparła Dianna.

Ari uśmiechnęła się i wróciła do pracy.

Zasadziwszy ostrożnie nasiona wilców i powojów, Dianna spędziła kilka minut na uważnym przyglądaniu się reszcie rabaty, próbując wyobrazić sobie, jak powinna wyglądać. Z frustracją odkryła, że nasiona w innych paczuszkach nie zdradzają jej w żaden sposób, jakie kwiaty z nich wyrosną, a Ari, która prawdopodobnie była z nimi świetnie zaznajomiona, nie podpisała ich.

Skupiska, zdecydowała ostatecznie, i zabrała się do pracy.

Kończyła siał grządkę nagietków z przodu rabaty, kiedy zauważyła, że Ari, oparta o murek w ogrodzie, uśmiecha się do niej.

– Poprowadzę kłacz kawałek dalej, by mogła się paść na świeżej łąki. Potem poszukam dla nas czegoś do jedzenia. Obawiam się, że będzie to prosty posiłek. Nie poświęcałam czasu na gotowanie w ostatnich dniach.

– Coś prostego brzmi wspaniale. – Dianna wstała. Zauważywszy złoty łańcuszek ukryty pod tuniką Ari, uświadomiła sobie, że to dobra pora na zadanie kilku pytań.

– Czy twój lord Fae powrócił?

Ari się zarumieniła.

– Tak, złożył mi kolejną wizytę.

– Jako że to Fae, te wizyty muszą być bardzo interesujące.

– T-tak. Tak, to prawda. Zajmę się kłaczą. – Rumieńce i jąkanie były urocze, ale nieszczęście w oczach dziewczyny za bardzo przypominało Diannie zatroskany wzrok Luciana, by mogła tak po prostu odpuścić. Czy Ari wciąż się zamartwiała zwyczajem wręczania podarunku? Jeśli chodziło tylko o to, może była w stanie coś na to zaradzić.

Dianna wyciągnęła rękę i zahaczyła palcem o złoty łańcuszek w miejscu, gdzie naszyjnik zniknął pod tuniką.

– Nosisz jeden z jego podarków? Mogę zobaczyć?

Zanim Ari zdołała odpowiedzieć, Dianna przebiegła palcami wzdłuż łańcuszka i wyciągnęła zawieszkę. Pięcioramienna gwiazdka wpisana w okrąg. Dianna nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego, była więc pewna, że nie jest to dar od Luciana. Dlaczego Ari nosiła ten naszyjnik zamiast podarunku od kochanka?

– Co to jest?

– Pentagram – powiedziała cicho Ari.

Dianna poczuła, że dziewczyną wstrząsnął dreszcz. Zerknęła na twarz Ari. Była blada jak smok z chmur.

– Symbol wiedźm – dodała Ari.

Dianna puściła wisiołek i odsunęła się o krok, nieświadoma, że to robi.

– Ty... Jesteś wiedźmą?

– Tak.

Zakręciło się jej w głowie, ale nie była pewna, czy to przez strach, czy przez złość.

– Jesteś jedną z wiccanfae?

– To stare określenie na wiedźmy. Nie używa się go od dłuższego czasu.

*Używa się go teraz*, pomyślała gorzko Dianna. Ale...

Ari była wiedźmą. Jakim sposobem ta dziewczyna mogła być jedną z istot, które niszczą Tir Alainn?

Dianna oblizwała wargi, które nagle stały się wyjątkowo suche.

– Władasz magią.

– To prawda.

Przyjrzała się rozmówcy. Ari nie była już zarumienioną, jękającą się dziewczyną. Była młodą kobietą, otuloną płaszczem cichej dumy i godności.

– Chcesz, żebym osiodłała twojego konia? – spytała Ari.

*Spodziewa się, że odjadę; spodziewa się, że ucieknę. A ja nie mogę tego zrobić.*

– Co to oznacza? – Dianna skinęła głową na zawieszkę.

– Dolne cztery ramiona symbolizują cztery gałęzie Matki: ziemię, powietrze, wodę i ogień. Piąte ramię gwiazdy oznacza ducha. – Ari przerwała na chwilę. – Moje dary pochodzą z gałęzi ziemi i ognia.

– Twoje dary? – zapytała z wolna Dianna.

– Moja... magia.

– Co możesz zrobić dzięki niej?

– Cóż, mogę rozpalić ogień, nie używając hubki i krzesiwa; mogę przygotować ziemię do zasiewu, nie używając pługa.

Dianna oparła się o murek.

– Wybacz, ale to nie brzmi szczególnie imponująco.

Ari wygięła usta w lekkim uśmiechu.

– Przydaje się, jeśli nie masz akurat pod ręką hubki i krzesiwa. Albo gdy nie posiadasz pługa.

Fakt, ale to nadal nie wyjaśniało tego, co się dzieje w Tir Alainn. Dianna zmarszczyła brwi, myśląc o nasionach, które przed chwilą zasiała.

– Dlaczego sadzisz kwiaty dla Pani Księżycy?

– Ponieważ to Królowa Wiedźm.

– Co takiego?

– Śledzimy cykl księżyca i zmianę pór roku. Księżyc jest naszym przewodnikiem. Jest stały, a jednocześnie zmienny. To mądrzejsza córka matki, a zarazem nasza starsza siostra.

*Nie jestem o tyle starsza od ciebie,* pomyślała Dianna ze złością.

– Nie zawsze jest nazywana Panią Księżycyca.

Ari przytaknęła.

– Ma też drugie oblicze. Kiedy wybiera się na polowanie jako Łowczyni, nie zawsze jest miła. Ale ma za zadanie nas chronić; to ją wzywamy na pomoc. – Zgorzknienie sprawiło, że jej twarz zaczęła wyglądać starzej. – Teraz jednak nie obchodzi jej ochrona nikogo ani niczego.

*Łowczynie naprawdę chciałyby coś chronić, pomyślała bojowo Dianna. I zrobię, co będzie trzeba, by uratować Tir Alainn.*

Musi teraz stąd odejść, musi pomyśleć. Albo stała obok niebezpiecznego wroga, albo obok kogoś, kto byłby w stanie pomóc Fae ochronić Tir Alainn.

– Muszę już iść. Przedemną długa droga.

Uśmiech Ari był uprzejmy... i zdystansowany.

– Oczywiście, rozumiem. Osiodłam klacz.

Dianna pospieszyła do chaty, by się przebrać. Gdy zdejmowała odzież, którą otrzymała od Ari, ponownie zauważyła ametystowy naszyjnik. Dreszcz wgrzył się w jej ciało niczym zimowy wiatr. Czy Lucian wiedział, że Ari jest wiedźmą? Nie mógł. Powiedziałby coś. Wiedział, o jaką stawkę toczy się gra. Nie mógłby milczeć. Czy groziło mu takie samo niebezpieczeństwo jak Tir Alainn? Dlaczego zainteresował się właśnie tą kobietą? Czy to naprawdę był jego świadomy wybór, czy może został zwabiony w pułapkę, mającą zamrozić Świątłego? I jak mogłaby go o to zapytać, aby nie zamknął się w sobie? Z pewnością... z pewnością nie pozwoliłby, by żądza zaćmiła jego umysł do tego stopnia.

*Gdyby sprawy biegły swoim zwykłym torem, nigdy nie pozwoliłby na to, pomyślała Dianna, przywdziewając myśliczek. Ale jeśli został spętany żądzą, nad którą nie miał kontroli, to wyjaśniałoby, dlaczego ostatnio wydawał się taki udręczony.*

Opuściła sypialnię, nie mogąc się doczekać powrotu do Tir Alainn. Odpowiedzi, których poszukiwali, mogły być właśnie tutaj – o ile tylko Fae odważą się zadawać pytania.



*Coś tu nie gra, pomyślał Neall, pospieszając Darcy'ego do cwału, gdy tylko zobaczył Ari. Znał ją na tyle dobrze, by rozpoznać, nawet z daleka, że coś ją martwi. Sposób, w jaki jej twarz rozpromieniła się na jego widok, ocieplił jego serce, ale też sprawił, że poczuł niepokój.*

Tyle że teraz, gdy był bliżej, wcale nie wyglądała na zmartwioną. Sprawiała raczej wrażenie, jakby z trudem powstrzymywała śmiech – tak głośny, że można by ją usłyszeć w Ridgeley.

Nie mógł teraz o tym myśleć. Darcy zbierał się do skoku przez niski mur i Neall musiał uważać, by wałach nie wylądował wielkimi kopytami

w środku świeżych grządek. To nie zaskarbiłoby sympatii Ari żadnemu z nich – niezależnie od tego, jak bardzo cieszyła się na ich widok.

Dlaczego była taka zadowolona?

Mocno ściągnął wodze, by dać zwierzęciu znać, że nie żartuje. Wałach zareagował tak szybko, że chłopak prawie przeleciał nad jego łbem. Po chwili Darcy stał już przed Ari – z głową przerzuconą przez mur – w oczekiwaniu na pieszczoty.

*Mój koń i ja zakochaliśmy się w tej samej samicy, pomyślał gorzko Neall, stając na nieco chwiejnych nogach. Z tym że on nie ma nawet jaj, by się tym ekscytować, co jest prawdziwym błogosławieństwem. Zastanawiam się, jak Ari zareagowałyby na końskie zaloty. Matko, łaski...*

– Neall, cieszę się, że cię widzę – powiedziała Ari, głaszcząc wałacha.

– Co się stało? – Poczul irytację, widząc, że Ari wcale nic nie jest.

Zawahala się.

– Za chatą...

– Co? Wąż? Wilk?

*Royce? A może ten tajemniczy kochanek, który wciąż ma do niej prawo?*

– Nie, to...

Głos innej kobiety niósł się wyraźnie w powietrzu.

– Stój spokojnie, ty czworonożna pokrako!

Neall z uwagą przyjrzał się Ari.

– To szlachcianka – wyjaśniła.

*Przynajmniej brzmi tak, jakby było jej przykro, pomyślał Neall, domyślając się, co się wydarzy za chwilę. Przez pokrewieństwo z Odellą miał dość doświadczeń ze szlachetnie urodzonymi dziewczętami, by wiedzieć, że potrafią być najpodlejszymi z żyjących istot, a ta brzmiała na wyjątkowo zdenerwowaną.*

– Przyjechała z wizytą i...

Ich uszu doleciało ostre przekleństwo.

– ...ma kłopot, by dosiąść wierzchowca.

– Przyjechała na damskim siodle? – zdziwił się. – Tutaj?

W oczach Ari błyskało rozbawienie; mocno zacisnęła usta i kiwnęła głową.

– Wolałbym stanąć oko w oko z wężem. Wielkim, jadowitym wężem. Albo z wilkiem.

– To dość rozsądne z twojej strony. Byłoby rozsądne nawet wtedy, gdyby



te stworzenia w ogóle żyły w tej części Sylvalanu. Ale to nie pomoże pani Diannie dosiąść konia – a próbuje już dłuższą chwilę. Klacz jest nieco nadąsana z powodu osiodłania i najwyraźniej postanowiła unikać pieńka, który Dianna wykorzystuje, by na nią wsiąść.

– Czemu nie zaproponowałaś, że ją podsadzisz?

– Proponowałam, ale powiedziała, że nie mam dość siły, by ją utrzymać.

Neall prychnął. Kobieta najwyraźniej nie znała możliwości Ari.

– Mam więc do niej pójść, ponieważ...?

– Ponieważ jesteś mężczyzną, a przez to jesteś silniejszy i odważniejszy ode mnie – odparła słodko.

Neall rzucił jej wymowne spojrzenie.

– Będiesz moją dłużniczką.

– Potrzymam twojego konia.

– Jakby się dokądś wybierał – wymamrotał, obierając najdłuższą możliwą drogę na drugą stronę chaty. – Gdybyś głaskała mnie, tak jak głaszczesz jego, też bym się nie ruszał – dodał z nadzieją, że nadejdzie taki dzień, kiedy to zrobi. I to już wkrótce.

Gdy skręcił za róg chaty, ujrzał klacz – odsunęła się od pieńka w tej samej chwili, gdy kobieta spróbowała umieścić lewą stopę w strzemieniu. Jako że kobieta trzymała się siodła, nie upadła na twarz, a jedynie została ściągnięta z pieńka.

– Nakarmię tobą psy – warknęła.

Neall się wzdrygnął. Rozpoznał jedną z klaczy Aherna, a dobrze wiedział, jak starszy mężczyzna podchodzi do osób grożących jego zwierzętom. Klacz nie była co prawda jednym ze specjalnych koni Aherna, ale wszystkie spośród jego zwierząt były wierzchowcami najwyższej klasy.

Kobieta była odwrócona do niego plecami, więc nie widział jej twarzy, ale wiedział, że nie pochodzi z żadnej z lokalnych rodzin. Nie słyszał też o żadnej damie o imieniu Dianna wizytującej mieszkającą w okolicy szlachtę. Jeśli któraś ze znajomych Odelli przyjmowałaby gościa, ta wpadłaby już z wizytą, by ocenić gust i powiązania rodzinne przybyłej. Czyli prawdopodobnie nie miał do czynienia ze szlachcianką, choć Ari tak twierdziła. Ale jej koń faktycznie pochodził ze stadniny Aherna, co oznaczało, że mężczyzna jej ufał – przynajmniej do pewnego stopnia.

– Podsadzić cię? – spytał Neall.

Obróciła się, by na niego spojrzeć.

Obraz przed oczami Nealla się zamglił. Nie wszystko. Nie wszędzie. Jedynie jej twarz była jak za mgłą, jakby widział dwie twarze, jedną pod drugą, takie same, a jednak nieco inne.

To się działo za każdym razem, gdy był mały, a Ashk, przyjaciółka jego matki, przychodziła z wizytą. Ale odkąd mieszkał u barona Felstona, rzadko mu się to przytrafiało. Cóż, zdarzyło się raz, kiedy wędrowny minstrel zatrzymał się w Ridgeley, a baron zabrał jego i Royce'a do tawerny, by posłuchali gry mężczyzny. Poza tym przytrafiało mu się to okazjonalnie, gdy bywał na farmie Aherna, ale tylko wtedy, gdy był tak zmęczony, że nie myślał jasno. Zatłoczony, zadymiony pokój lub przytłumione światło pod koniec wyczerpującego dnia łatwo tłumaczyły chwile zamglonego widzenia. Ale żadna z tych wymówek nie wyjaśniała, czemu doświadczał tego teraz.

– Gapisz się na mnie – powiedziała kobieta. – Bawi cię to?

Jej głos miał w sobie chłodną arogancję, typową dla szlachcianki przyłapanej w niekomfortowej sytuacji, ale pobrzmiewały w nim też niebezpieczne nuty, przez które nabrał pewności, że jeśli ją poważnie sprowokuje, nie wyjdzie z tego bez szwanku.

Drżąc, potarł oczy, a potem mrugnął kilka razy. Gdy ponownie skupił na niej wzrok, ujrzał atrakcyjną kobietę. Nie znał jej, ale jednocześnie był pewien, że widział ją już wcześniej – w innym miejscu i w innych okolicznościach, które sprawiały, że teraz wydawała mu się obca. Jakby pokojówka damy przebrała się w jedną ze starych sukien swojej pani i próbowała udawać szlachciankę. Czy to właśnie o to chodziło? Pokojówka damy, która potrafiła dość dobrze udawać, choć wciąż nie wychodziło jej to idealnie?

– Bawi cię to? – Jej głos stał się jeszcze chłodniejszy.

Neall potrząsnął głową, a potem podszedł do kobiety, próbując wyrzucić z siebie uczucie niezręczności, które narastało z każdym krokiem, jaki robił w jej stronę. *Zabierz ją stąd, z dala od Ari, a potem to przemyśl.*

– Proszę o wybaczenie, pani. Przez moment zakręciło mi się w głowie. Proszę, pozwól, że pomogę ci wsiąść.

Zgiął nieco plecy i splótł palce dłoni, by mogła postawić na nich stopę.

Gdy nie odpowiedziała, podniósł wzrok. Wpatrywała się w niego, jakby i on wydawał się jej znajomy, ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd go kojarzy.

Zaakceptowawszy wreszcie jego pomoc, udało się jej dosiąść konia, nim

kłacz zdecydowała się na kolejne psoty.

– Jeśli zamierzasz jechać sama, powinnaś się wsiąść w siodle okrakiem – powiedział, upewniając się, że jej stopa spoczywa w strzemieniu.

– To niegodne damy – odparła chłodno.

– Nawet szlachcianki są na tyle praktyczne, by nie używać siodła damskiego, gdy nie podąża z nimi eskorta, która pomoże im zsiadać i wsiadać.

– To prawda. – Zmarszczyła lekko brwi, jakby trawiła jego słowa.

Nie jest pokojówką damy, zdecydował Neall. Wyższa stopniem służąca wiedziałaby, że damie wypada jeździć konno okrakiem, choćby z tego powodu, by znać różnicę między odzieniem, jakie należy przygotować na taką przejażdżkę. Ale też nie była szlachcianką. Tego był pewien. Kim więc była? I co robiła w Brightwood?

Neall odsunął się od kłaczy.

– Niech cię dzień błogosławi, pani.

Nie był pewien, czemu wypowiedział typowe pozdrowienie swojej matki – i Ari. Może tylko po to, by zobaczyć, czy odczyta w nim zwyczaj wiedźm.

Jej piwne oczy się zwęziły. Spojrzenie, które mu posłała, było rozważne – i nieco zmieszane. Schyliła uprzejmie głowę, a potem nakazała kłaczy ruszyć stępem.

Obserwował ją, poruszając się na tyle, by mieć ją w zasięgu wzroku, gdy przecinała drogę i jechała przez pola w stronę farmy Aherna.

*Ashk, czemu twoja twarz wyglądała niewyraźnie, gdy pierwszy raz przybyłaś do naszego domu?*

Wpatrywała się w niego na tyle długo i w taki sposób, że po raz pierwszy poczuł strach, będąc z nią sam na sam. „Potrafisz przejrzeć przez obrok?”, zapytała. Później zapytał ojca, czym jest ten obrok. Gdy dowiedział się, że to inne określenie na paszę dla koni, zastanowił się, jakim cudem miałby umieć przejrzeć przez obrok. Ostatecznie uznał, że Ashk z niego zakpiła. Jako że przydarzało mu się to tylko w jej towarzystwie, nigdy więcej o tym nie wspomniał.

Cóż takiego było więc w tej obcej, która interesowała się Ari, że po tylu latach zaczął myśleć o Ashkce?



Zbyt nabuzowana, by usiedzieć na miejscu, Dianna krążyła po jednym z mniejszych pokoi w domu klanu, póki Lyrra i Aiden nie dołączyli do niej.

– Widzieliście Luciana? – spytała.

– Jestem zaskoczony, że nie minęliście się, przechodząc przez Zasłonę – powiedział Aiden. – Zgaduję, że był tak podniecony, iż postanowił nie czekać do zachodu słońca.

Dianna się zatrzymała. Teraz w ogóle nie była w stanie się poruszyć.

– Już go nie ma? Wyjechał? Tak po prostu?

– Robi tak cały czas od Letniego Księżyca – powiedziała zmieszana Lyrra. – Wiem, że miałaś obawy, by nie stał się zbyt... przywiązany do tej kobiety, ale jestem pewna, że nie kieruje nim nic prócz chęci zaspokojenia cielesnych żądz. Poza tym za kilka dni księżyc znajdzie się w nowiu i romans się zakończy.

– Niepokoi mnie właśnie to, co się stanie później.

– Dlaczego? – zapytał ostro Aiden.

Dianna wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

– Ponieważ kobieta, która mieszka w tej chacie, kobieta, którą Lucian wziął sobie na kochankę, jest jedną z wiccanfae. Jest wiedźmą.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Aiden potrząsnął głową i zaczął przeklinać, cicho i wściekle.

– Jak... Jesteś tego pewna, Dianno? – spytała Lyrra, siadając na najbliższej ławce.

– Sama mi o tym powiedziała. Gdy złożyłam jej dziś wizytę, ujrzałam wisiołek, który nosi na szyi. Pentagram. Symbol wiedźmy.

– Lucian nic nie powiedział – rzucił gwałtownie Aiden. – Nic!

– Nie sądzę, by o tym wiedział – odparła Dianna. – Jestem wręcz pewna, że nie wie.

– To nie polepsza sprawy, prawda?

– Czemu wiccanfae miałyby chcieć nas skrzywdzić? – spytała Lyrra.

– A ty nie chciałaś nigdy skrzywdzić kochanka, który się tobą znudził? – spytał Aiden z taką goryczą, że Dianna i Lyrra zwróciły wzrok w jego stronę. – Jak lepiej skrzywdzić kochanka Fae, niż niszcząc część Tir Alainn i mieszkających tam Fae.

– Nie wiemy, czy klany, które zniknęły, zostały zniszczone – zaprotestowała Lyrra.

– Nic o nich nie wiemy. Nie mamy od nich żadnych wieści ani żadnych

sposobów, by się z nimi skontaktować. – Aiden nerwowo chodził po pokoju. – Wielu mężczyzn Fae folguje sobie w świecie ludzi, a jeśli naszymi to jedyny sposób, by odróżnić wiedźmę od zwykłej, ludzkiej kobiety, nie zorientowaliby się. Co jeśli to, co się dzieje z Tir Alainn, to po prostu zemsta wzgardzonych kochanek?

– Dość tego! – ucięła stanowczo Dianna. – Nasze jedyne informacje o wiedźmach pochodzą z pieśni lub bająn.

– I żadne z nich nie są dobre – dodał Aiden.

– Pamiętam, że uznawałeś te pieśni za tak obraźliwe, iż korzystałeś ze swojego daru Barda, by pozbawić umiejętności muzycznych każdego, kto je wykonywał.

Aiden spojrział na nią, ale nie odezwał się.

– Zgadza się, że wiedźmy mogą dysponować takim rodzajem magii, który byłby w stanie zamykać drogi wiodące przez Zasłonę, i że być może to one zagrażają Tir Alainn. – Dianna usiadła na ławce obok Lyrry. – Od Letniego Księżyca straciliśmy kolejne klany i nie jesteśmy ani o krok bliżej odkrycia przyczyny tego zjawiska. Teraz mamy szansę, by poznać jakieś odpowiedzi.

– Od wiedźmy? – spytała Lyrra sceptycznie.

– Tak, od wiedźmy – odparła Dianna, ignorując związane komentarze Aideny. – Jest sama i jest młoda... wydaje mi się, że jest też samotna. Gdybyśmy się z nią zaprzyjaźnili, nie miałyby powodu, by nas skrzywdzić, a może nawet zechciałyby nam pomóc.

– Jeśli się z nią zaprzyjaźnimy, a potem okaże się, że to jednak ona zagraża Tir Alainn, co wtedy zrobimy, Łowczyni? – spytał Aiden.

Dianna poczuła, jak jej gardło się zaciska. Wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekuje od niej Aiden. Wiedziała, co powinna powiedzieć, co powiedziałyby bez chwili wahania jeszcze wczoraj... zanim usłyszała, że jest nazywana Królową Wiedźm i uważana za tę, która je ochroni.

*To niczego nie zmienia. Nie może.*

– Jeśli się okaże, że nam zagraża – zaczęła cicho – wówczas Łowczyni zajmie się tym. I wyeliminuje zagrożenie.

## ROZDZIAŁ 14

Adolfo przywiązał zmęczonego wierzchowca do drzewa, a potem ruszył w głąb Starego Miejsca. Byłoby lepiej, gdyby mógł podprowadzić konia bliżej i pozwolić mu paść się na łące graniczącej ze Starym Miejscem, ale duch jego bratanka przywoływał go z drugiej strony łąki. Był przekonany, że duch nie może opuścić łąki, ponieważ tam pochowano jego ciało, ale nie miał pewności, po jak dużym obszarze może się poruszać widmo – nie miał też pewności, ile mocy ma w sobie duch Konrada. Zwierzę będzie więc musiało zaczekać, aż skończy z tym, po co tu przyjechał.

Wiedźma, która tu mieszkała, była martwa – Konradowi udało się osiągnąć chociaż tyle – i Adolfo był w stanie wyczuć magię wyciekającą ze Starego Miejsca. Ale moc wciąż pobrzmiwała w tej ziemi, w drzewach, w każdej cząstce powietrza otaczającego ten teren. Ocierała się o jego kości i przepelniała go euforią.

Idąc, pocierał palcami o drzewa, aż dotykając jednego z nich, poczuł mrowienie w palcach – wrzask złości driady. Uśmiechnął się. Zanim udało się jej zebrać niewielką moc, by w niego uderzyć, przycisnął rękę do drzewa i wlał w nie swoją moc, więżąc ją wewnątrz pnia. Odsunął się od drzewa i osunął na kolana. Mocno przycisnął dłonie do ziemi i użył magii wiedźm, dziedzictwa jego matki, by nawiązać połączenie ze Starym Miejscem. Potem zaczął pobierać moc z ziemi, napełniając się nią, aż jego serce zabiło mocniej, a ciało wypełnił ból. Wciąż jednak nabierał jej więcej i więcej, jednocześnie mamrocząc słowa, które zmieniają łagodną energię w coś złowieszczego.

Gdy poczuł, że zbliża się wybuch, wypuścił całą energię, pozwalając, by opuściła jego ciało i rozlała się na okoliczne wioski i farmy.

Usłyszał krzyk driady, gdy jedna z macek energii uderzyła w jej drzewo i pożarła ją.

Poczuł, jak ziemia drży; pochłaniał kolejne porcje jej magii i wypuszczał ją, odmienioną.

Gdy nie był już w stanie przyjąć kolejnej porcji, zerwał połączenie ze Starym Miejscem i padł na ziemię, dygocząc z wyczerpania.

Moc nie pobrzmiwała już w tym miejscu. Chociaż wciąż w nim była. Nic nie jest w stanie doszczętnie zniszczyć jej w Starym Miejscu. Ale była zaledwie bladym cieniem siebie sprzed godziny i już nigdy więcej nie stanie się niczym innym – chyba że przyjdzie tu zamieszkać kolejna wiedźma. Albo Fae. To jednak nie nastąpi. Fae jedynie zabawiali się w tym świecie, a potem wracali do swojej najdroższej Krainy Czarów. A gdy on skończy to, co zamierza, żadna kobieta nie będzie w stanie postawić stopy na tej ziemi, nie wydając na siebie jednocześnie wyroku śmierci – niezależnie od tego, czy faktycznie dysponowała magią, czy nie.

– Żaden mężczyzna nie pozwoli żyć wiedźmie – wyszeptał, przewracając się na plecy. – Żaden mężczyzna nie będzie zdany na łaskę kobiecej magii. To my będziemy panami, władcami, a jeśli nawet postanowimy obdarzyć kogoś niewielką mocą, będziemy mogli mu ją w każdej chwili odebrać. Tak właśnie będzie.

Z wysiłkiem stanął na nogi i powoli powrócił do konia. Otworzył juki i wyciągnął flaszkę brandy, z której upił solidny łyk. Przegryzł kawałem chleba i sera. Jego siły wracały, jednak znacznie wolniej niż kiedyś. Ale teraz był starszy i odebranie magii ziemi kosztowało go znacznie więcej.

Skończył jeść chleb i ser, popił wodą z bukłaka, a potem nalał trochę na zgiętą dłoń dla konia.

– Wystarczy – powiedział, strząsając ostatnie krople wody i przywiązując bukłak do siodła.

Potem wyprowadził konia z lasu.

Duch jego bratanka stał teraz w połowie drogi między swoim grobem a granicą Starego Miejsca. Adolfo stłumił dreszcz, zaszarpnięcie się kontrolując, tak aby jego twarz nie wyrażała żadnej emocji. Porcja wypuszczonej magicznej energii musiała uderzyć w ducha, zamieniając go w koszmarne widmo, jeszcze bardziej przerażające, ponieważ wciąż dało się w nim rozpoznać rysy młodego człowieka, którym do niedawna było. Po pewnym czasie wieśniacy pewnie przyzwyczailiby się do ducha nawiedzającego łąkę. Ale na to stworzenie nikt nie będzie w stanie spojrzeć bez strachu.

– Zapłacą za twoją śmierć – powiedział Adolfo. – To mogę ci obiecać.

Odwrócił się, świadom, że Konrad za nim podąża. Dopiero gdy znalazł się z dala od łąki i duch nie mógł już dłużej go śledzić, odetchnął z ulgą. Dosiadł

konia i popędził go w lekki kłus. Wyczerpał siły wierzchowca już wcześniej, by dotrzeć w to miejsce na czas. Teraz planował się zatrzymać w pierwszej gospodzie, na jaką natrafi. Zarówno jemu, jak i zwierzęciu należał się odpoczynek.

Nie potrafił kontrolować tego, co uczynią wypuszczone macki magii. Nigdy nie był w stanie kontrolować mocy do tego stopnia. Po prostu wypuszczał ją i pozwalał, by każda macka znalazła swój cel. Przez kolejne kilka dni wieśniacy będą doświadczać niewytłumaczalnych kłopotów. Studnie będą się zawałać, krowy przestaną dawać mleko, kury przestaną się nieść, pies stanie się agresywny wobec dzieci, a zdrowa kobieta zacznie rodzić przedwcześnie i umrze w męczarniach, wydając na świat zwłoki.

Wszystkie te macki magii były przyczyną transformacji, zabierały coś z naturalnego porządku świata i zmieniały w coś innego. W ten sposób powstawali nocni łupieżcy. Kilku z nich zawsze się pojawiało, gdy on lub inny Inkwizytor wysysali magię ze Starego Miejsca. Nie kłopotowało go to, ponieważ nocni łupieżcy polowali głównie na Mały Lud – albo ludzi na tyle głupich, by zapuszczali się w środku nocy w ciemny las.

Wieśniacy będą musieli się otrząsnąć po makabrycznej śmierci Harro, która nastąpi tak prędko po stracie Konrada. Do tego przyjdzie im się uporać z innymi kłopotami, które nagle na nich spadną, pozbawiając ich resztek wątpliwości co do istnienia Złego. Wówczas znajdą się na jego łasce, a on nauczy ich wszystkiego, czego im trzeba.

Tak, będzie ich nauczał. W ciągu kilku dni do wioski przybędą inni Inkwizytorzy, których zawezwał, jak również kilku minstreli, których sakiewki są odpowiednio pękate, odkąd grali jego melodię. Sam tu powróci jako Mistrz Inkwizycji, Młot na czarownice, a w chwili, gdy skończy oczyszczać tę społeczność ze wszystkich sług Złego, ci, którzy przeżyją, zaczną szerzyć opowieści o tym, jak Zły pożera ludzkie istnienia w każdym miejscu, w którym umiera Inkwizytor.



## ROZDZIAŁ 15

Droga przez Zaslone lsnila w zapadajacym zmierzchu.

Morag sie zawahala. Wydawala sie bezpieczna; *wydawala* sie silna. To byla pierwsza lsniaca droga, jaka znalazla w ciagu kilku dni, ktore uplynely od zabicia mlodego mezczyzny w czarnym plaszczu i zabrania czarownicy do Cienistej Zaslony. A mimo to...

Kary kon tupnal noga i prychnal zniecierpliwiony.

– Nadchodzi burza – powiedziala cicho Morag. – Niebo jest bezchmurne, wiatr nie wieje, ale to miejsce wydaje sie zbyt ciche, przywodzi na mysl chwile, gdy wszystko szuka schronienia przed tym, co ma sie wydarzyc.

Wyostrzyła zmysly i skupila magie, ktora byla jej darem. Smierc nie szepkala do niej, nie zaczepiala jej. Prawie tak, jakby i ona czekala.

Morag rozejrzala sie, wciaz czujac sie nieswojo.

Droga przez Zaslone ja wabila.

– Chodźmy do Krainy Czarow – powiedziala.

Kary kon nie potrzebował dalszej zachety.

Pogalopowali lsniaca droga otoczona przez mgle.

Drobne kosmyki mgly przecinaly droge.

Nigdy wczesniej nie widziala czegoś takiego.

Czy dotarcie do Zaslony oddzielajacej swiat ludzi od Tir Alainn trwało dłużej niż zwykle? Czy nie powinna już być na miejscu?

Nadchodziła burza. Czula to.

Mgla przecinala droge.

Gdzie jest Zaslona?

Tutaj!

Spojrzala na prędko przyblizajaca sie szara sciane mgly i zebrała wodze. Nie mogła dojrzec, co jest po drugiej stronie. Coś tu nie grało. Zaslona byla zwykle polprzezroczysta, nie zaś nieprzenikniona. Co jeśli już taka była, gdy przez nią przejeżdżali? Czy jej kon będzie w stanie pozostać na drodze, której nie widać? Jeżeli poniesie ją w sciane mgly po jednej ze stron drogi, nigdy

nie trafią celu. Nikomu się to nie udało.

Kary koń się zawahał. Morag pochyliła się i wbiła wzrok w Zasłonę.

– Jedź – nakazała.

Wyrwał do przodu. Otoczyła ich gęsta mgła.

*Nikt nie zbiera dusz tych, którzy przepadli we mgle, pomyślała Morag, walcząc z narastającym strachem. Nikt nie zbiera dusz... ponieważ nikt nie jest w stanie ich odnaleźć. Jeśli się tu zagubię, czy będę w stanie odszukać innych zagubionych, ale nie zdołam poprowadzić ich do drogi wiodącej do Cienistej Zasłony? A może nie znajdę tej drogi niezależnie od tego, gdzie będę?*

Kary koń prychnął, zbierając siły.

W końcu wylecieli z mgły. Z drogą graniczył teraz łagodnie opadający teren. Przed sobą Morag ujrzała dom klanu wyrastający z równiny. W przeciwieństwie do wielkich domów wznoszonych przez ludzi, pudełkowatych i przewidywalnych, domy klanów składały się z wielu budynków o różnych kształtach i rozmiarach połączonych ogrodami i podwórzami, przestrzeniami życia rodzin, które tworzyły klan.

Morag oddychała z większą łatwością, ale poczuła nagłe zmęczenie. Ściągnęła wodze i koń przeszedł do spokojnego galopu. Minutę później dojechali na pierwszy większy dziedziniec, przy którym znajdowały się stajnie.

Zeskoczyła na ziemię i powiodła wzrokiem wokół. Dlaczego nikt ze stajni nie wyszedł jej na spotkanie? Drzwi były otwarte, więc ktoś musiał usłyszeć, że przybyła. Gdzie byli wszyscy Fae?

*Nadchodzi burza.*

Drżąc, choć był ciepły, letni wieczór, Morag poprowadziła konia do otwartych drzwi stajni.

– Zakładam, że chcesz, by go wyczyścić i nakarmić – usłyszała stanowczy głos dobiegający z zacienionego wnętrza budynku.

– Tak, chcę, by go wyczyścić i nakarmić – odparła Morag.

Ze stajni wyszedł mężczyzna Fae. Obrzucił ją niechętnym spojrzeniem.

– Jest czas kolacji, a mnie stygnie smaczny posiłek.

– Im szybciej się uporasz ze swoimi obowiązkami, tym szybciej wrócisz do jedzenia.

– Koń nie może czekać – powiedział. – To nieuprzejme, by przybywać przez Zasłonę, gdy stygnie smaczny posiłek.

– Zapamiętam.

Mężczyzna wreszcie spojrzął na konia. Jego oczy się rozszerzyły.

– To kary koń. – Nie mówił tylko o jego umaszczeniu.

– Tak.

Znów na nią zerknął; kolory odpłynęły z jego twarzy.

– Jesteś... Zbieraczką. – Wpatrywał się w nią przez chwilę, blednąc coraz bardziej. – Dobrze się nim zajmę – wyszeptał.

– Wiem, że tak będzie. To nie tylko koń, to przyjaciel.

Morag odwróciła się od mężczyzny, odwiązała sakwy i zdjęła je z końskiego grzbietu. Nie było w nich wiele – ubrania na zmianę, kilka złotych monet, grzebień i szczotka, których nie użyła od wielu dni.

Poklepała karego konia po szyi.

– Wypocznij.

Odwrócił głowę i złapał ją zębami za rękaw.

Odsunęła się o krok, ale zaczęła, aż mężczyzna Fae podejdzie bliżej i poprowadzi konia do stajni. Uśmiechnęła się; wiedziała, że gdyby zauważył ten uśmiech, byłby przerażony zgorzknieniem i furją, jakie się pod nim kryły.

*Z takimi manierami mógłbyś być człowiekiem*, pomyślała, idąc w kierunku schodów prowadzących do pierwszego poziomu domu klanu. Znajdowało się tam kolejne podwórze, tym razem upstrzone kwiatami.

Co by zrobiła, gdyby matrony klanu powitały ją w ten sam sposób, zapominając o kurtuazji, ponieważ przeszkodziła im w spożywaniu posiłku? Narastał w niej gniew, aż wezbrał na tyle, by móc zmieść wszystko, co stanęłoby jej na drodze.

Postąpiła w stronę drzwi prowadzących do domu klanu. Głos pełen słodczy powstrzymał ją przed postawieniem kolejnego kroku:

– Morag! Co za wspaniałe spotkanie, siostró!

– Morphia! – Morag upuściła juki i podbiegła do siostry. Objęły się z mniejszą wstrzeźliwością niż ta, która zwykle cechowała publiczne gesty Fae.

Odsunęły się od siebie w tym samym momencie. Morag spojrzała na siostrę, młodszą o dwa lata. Takie same czarne włosy i ciemne oczy, prawie ten sam wzrost. Ale twarz Morphii była delikatniejsza, pełniejsza, podobnie jak jej ciało – bardziej zaokrąglona i wyraźnie bardziej kobieca.

*Wygląda na osobę, którą jest*, pomyślała Morag. *Śpiąca Siostra, Pani Snów*. Czy gdybym ją poprosiła, obdarzyłaby mnie spokojnym snem tej

nocy?

– Dobrze cię widzieć, Morphio.

Morphia zmrużyła oczy i zmarszczyła nos.

– Potrzebujesz kąpieli.

– Nie tylko jej – odparła znużona Morag.

Błysk w oczach Morphii zniknął tak szybko, jakby w ogóle go nie było. Rozejrzała się.

– Morag, jesteś Fae, a więc jesteś tu mile widziana. Ale ostatnimi czasy każdy, kto nas odwiedzał, przywoził jedynie niepokojące wieści i kłopoty.

– W takim razie nie powiem nic, bo nie mam do zaoferowania nic lepszego. Zresztą jak zawsze.

– Nie zazdrozczę ci twojego daru, Morag – szepnęła Morphia i wzięła siostrę za rękę. – Chodź. Zakwaterujemy cię w pokoju gościnnym i przygotujemy kąpiel. Potem zjemy kolację. Cullan będzie musiał spędzić ten wieczór beze mnie. – Błysk powrócił do jej oczu, nieco przytłumiony, ale wciąż dostrzegalny.

– Cullan? – Morag chwyciła swoje juki, gdy ona i Morphia przechodziły obok nich.

*Jesteś w domu. Może to nie jest dom twojego klanu czy twoja rodzina, ale jesteś z powrotem w Tir Alainn. Porzuć na moment swoje brzemię. Z wysiłkiem zrzuciła z siebie uczucie niepokoju, które chciało ją przygnieść swoim ciężarem. Jej głos stał się weselszy i nieco kpiący.*

– Czyli przyjechałaś tu w konkretnym celu? Kim jest Cullan?

– To Pan Lasów. Nie jest Łowcą, choć może się poszczycić okazałą posturą, zarówno jako jelen, jak i jako mężczyzna. – Głos Morphii był zbyt beztrocki.

*Kusisz mnie, chcesz, bym się śmiała. Niech cię Matka błogosławi, siostró.*

– Odwiedził nasz klan kilka miesięcy temu, więc postanowiłam złożyć mu rewizytę.

– To miłe z twojej strony. A może on naprawdę jest tak dobrze zbudowany?

– Sama to ocenisz. Jutro. Po tym, jak się wykąpiesz.

Śmiejąc się, Morag podążyła za Morphią do domu klanu.



– Dobrze spałaś? – spytała Morphia kolejnego ranka, gdy przechadzały się po ogrodzie.

Morag spojrzała z ukosa na siostrę.

– Zadbałaś o to, by tak było.

Śmiejąc się, Morphia wzięła siostrę pod ramię.

– Chociaż tyle mogłam zrobić dla mojej ulubionej siostry.

– Twojej jedynej siostry.

– Dlatego ulubionej.

Zadowolone z wzajemnego towarzystwa, przechadzały się w milczeniu przez kilka minut.

– Twój Cullan wydaje się porządnym mężczyzną.

– Jest nim. – W głosie Morphii zabrzmiała nuta niepokoju.

Wyłapując tę zmianę nastroju, Morag kontynuowała:

– Wydaje się też nie pasować tutaj, nie jest do końca częścią swojego klanu. – Pożałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała. – Przepraszam. Nie mam prawa oceniać mężczyzny, którego spotkałam zaledwie godzinę temu.

– Ale masz rację. Twoje osądy o ludziach zwykle są trafne.

– Nie osądzam...

– Ależ robisz to. – Morphia patrzyła prosto przed siebie. – Ale to nie jest osąd w rozumieniu większości osób. To sposób, w jaki patrzysz komuś w oczy, nawet jeśli już zasnęła je śmierć, i potrafisz dostrzec, kim ta osoba jest naprawdę, co tkwi w jej wnętrzu. Zastanawiam się, czy to dlatego lubisz się trzymać na dystans od większości ludzi. Zastanawiam się też, czasami, czy nie widzisz zbyt wiele.

Morag nie odpowiedziała. Co miałyby powiedzieć? Morphia była Śpiącą Siostrą, jej dar był mile widziany. Ale obecność Zbieraczki zwykle przypominała ludziom o ich śmiertelności. Tylko ci, którzy byli gotowi na podróż do Krainy Wiecznego Lata, witali ją z radością. Morphia miała rację: czasami Morag faktycznie dostrzegała zbyt wiele z tego, co czało się pod cielesną powłoką.

– Cullan rozważa powrót ze mną do mojego klanu.

– Na dłuższą wizytę? – spytała Morag, zastanawiając się jednocześnie, czy Morphia chce mieć dziecko z tym kochankiem. Czy to dlatego pragnie, by z nią pojechał?

Morphia potrząsnęła głową.

– Na zawsze. To Pan Lasów. Tutaj nie ma dla niego miejsca.

Gdy Morag zmarszczyła brwi, sfrustrowana Morphia westchnęła głęboko.

– Tir Alainn to Kraina Czarów, piękna i idealna. Ale nie mamy tu lasów. Dlaczego nie mamy lasów, Morag? Zastanawiałaś się kiedyś nad tym?

– Nie, nie zastanawiałam się. Lasy rzucają cienie. Życie i Śmierć chodzą tam za rękę. Są piękne, ale nie są idealne. Są zbyt żywe, by być idealne.

– Wszyscy inni członkowie tego klanu mają tu wszystko, czego potrzebują. – Morphia spojrzała na bujny ogród i roztaczający się za nim zielony pagórkowaty teren. – Mogą używać swoich darów wśród swego ludu albo podczas odwiedzin w pobliskich klanach. Nie muszą przechodzić przez Zastonę i mieć styczności ze światem ludzi. Ale Cullan nie może wykorzystywać swoich darów nigdzie poza Starym Miejscem, a za każdym razem, gdy udaje się do świata ludzi, po powrocie tutaj czuje się coraz mniej mile widziany.

*Odwiedzająca, która przybyła zza Zastony, także nie ucieszyła Fae, pomyślała Morag. Czy boją się, że w jakiś sposób jestem nieczysta po kontaktach z ludźmi? Że nie jestem już w pełni Fae?*

– W naszym klanie wiele osób odwiedza świat ludzi. Wykorzystujemy swoje dary, tak jak potrafimy, więc Cullan mógłby spędzać czas w lasach w Starym Miejscu, do którego zakotwiczona jest lśniąca droga, a po powrocie do Tir Alainn nie czułby się jak wyrzutek. – Morphia uśmiechnęła się smutno. – Chyba zbyt swobodnie podchodziliśmy do wyboru partnerów z zachodnich klanów Sylvalanu i przez to jesteśmy nieco skażeni.

Morag wpatrywała się w siostrę przez długą chwilę.

– Mam nadzieję – odezwała się wreszcie najłagodniej jak umiała – że nikt nie będzie potrzebował pomocy Zbieraczki podczas mojego pobytu tutaj.

– Och, Morag, nie... – odparła zmartwiona Morphia. – Nie bierz tych słów do siebie.

– Dlaczego, skoro właśnie to mają na myśli? – wypaliła Morag. – Co daje im prawo osądzania, z kim spośród Fae powinniśmy się wiązać? Jeśli uważają inne klany za pośredniejsze, to z kim kojarzą się w pary członkowie tego klanu? Między sobą?

– Porozmawiajmy o czymś innym – poprosiła Morphia. – Nie psujmy tego poranka, proszę.

Przechadzały się w milczeniu, ale tym razem nie było to ani łatwe, ani przyjemne.

– Zmieniłaś się – powiedziała cicho Morphia.

– Zbyt wiele razy byłam ostatnio Kochanką Śmierci. Zbyt wiele śmierci. Zbyt wiele bólu. Zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Ci głupcy, ze swoimi przyklejonymi uśmiechami, osądzają, kto jest, a kto nie jest Fae według ich rygorystycznych standardów, podczas gdy samo Tir Alainn... – Morag umilkła, zamknęła oczy, a potem je otworzyła. Powoli nabrała powietrza, by się uspokoić, by utrzymać z dala od siebie krążący wokół niej niepokój. – Spoglądałaś kiedyś na staw lub niewielkie jezioro, kiedy woda była idealnie nieruchoma, a w jej tafli odbijał się krajobraz? – spytała. – Czasami to odbicie jest tak wyraźne i idealne, że nie potrafisz dostrzec różnicy między nim a rzeczywistym obrazem. W innych momentach odbicie jest nieco rozmazane, linie są miękkie, rozmyte. Nie w takim stopniu, by dało się to dostrzec bez uważnego przyglądania się, ale wystarczająco, byś wiedziała, że to, co widzisz, nie jest prawdziwe.

– Tak właśnie postrzegasz świat ludzi? – spytała zakłopotana Morphia.

– Nie. – Morag bała się, że jej serce bije zbyt mocno, zbyt szybko. – Tak postrzegam ten świat.

Spanikowana Morphia rozejrzała się po ogrodzie.

– Mylisz się, Morag. Wygląda dokładnie jak to, czym jest.

Morag potrząsnęła głową.

– Wcale nie. Krawędzie stają się rozmazane, rozmyte.

– Ja tego nie widzę.

– I nie zobaczysz. Jesteś tu już od dłuższego czasu. Widzisz to, co spodziewasz się ujrzeć. Nie masz powodu, by uważniej się przyglądać. Podobnie jak wszyscy inni, którzy tu mieszkają. Ale minęło trochę czasu, odkąd ja byłam w Tir Alainn, nigdy wcześniej nie odwiedzałam też tego klanu, więc patrzę bez żadnych oczekiwań względem tego, co miałabym zobaczyć.

– Głupie gadanie – warknęła Morphia.

– Naprawdę? Ile lat minęło, odkąd ktokolwiek dostał jakieś wieści od kogokolwiek z tych klanów, które niegdyś korzystały z lśniących dróg w Arktosie i Wolframie? Teraz zamykają się także drogi do Sylvalanu. A jeśli to ostrzeżenie, Morphio? A jeśli od tego się zaczyna?

– Matrony twierdzą, że zniknęły klany, które wchodziły w nadmierny kontakt ze światem ludzi, że sprowadzały ze sobą coś, co osłabiało ich magię, i że dlatego drogi się zamknęły, a ich klany zostały odcięte od reszty Tir

Alainn. – Morphia westchnęła. – Jesteś zmęczona, Morag. Zbyt długo przebywałaś w świecie ludzi. Dlatego tak mówisz.

*Być może. Ale nadchodzi burza. Czuję to. Śmierć czeka.*

– Wiesz, gdzie teraz przebywa Bard?

Wciąż zakłopotana i nieco zła, Morphia odpowiedziała ostrożnie:

– Słyszałam, że zatrzymał się w klanie Łowczyni.

– To na południe stąd, wzdłuż wybrzeża, prawda?

– Tak... To także klan Światłego.

*Nawet Łowczyni i Światły nie śmieliby wypędzić Zbieraczki. Bądź co bądź nadejdzie dzień, kiedy wyciągnę do nich rękę.*

– Jedziesz tam, prawda? – spytała Morphia.

– Tak. Porozmawiam z nimi i z Bardem.

– Jesteś zmęczona, Morag. – Morphia była wyraźnie zmartwiona. – Może zostaniesz kilka dni dłużej, odpoczniesz?

Dreszcz czegoś, czego nie chciała nazywać, przebiegł w dół kręgosłupa Morag, gdy cień padł na twarz jej siostry. Dobrze znała ten cień. Nie był tak mroczny, by mogła mieć pewność, ale wciąż stanowił ostrzeżenie, którego nie mogła ignorować.

– Tak, zostanę jeszcze przez kilka dni.

Morphia ścisnęła ramię siostry.

– Poczujesz się lepiej, gdy wypoczniesz.

Nikt i nic nie mogło jej zmusić do wyjazdu, gdy widziała ten cień na twarzy Morphii. Być może będąc tu, da radę sprawić, by ostrzeżenie nie stało się rzeczywistością. Dlatego postanowiła zostać. Wątpiła jednak, czy zazna spokoju.

– Jeśli masz ochotę, możemy odszukać Cullana i porozmawiać z nim – zaproponowała Morphia. – Wydaje mi się, że wysłuchał więcej opowieści podróżnych niż ktokolwiek inny. Może będzie w stanie powiedzieć ci coś istotnego.

– Dziękuję – odrzekła Morag.

Wysłucha wszystkiego, co Cullan mógłby jej mieć do powiedzenia, ale nabierała coraz większej pewności, że odpowiedzi, których potrzebowali Fae, nie da się odnaleźć w Tir Alainn.



## ROZDZIAŁ 16

Ari siedziała na ławce przy kuchennych drzwiach, oparta plecami o ścianę chaty. Obok niej stygła herbata. Kilka stóp dalej fruwały ptaki, wyrywając sobie okruszki chleba, które im rzucała, by polecieć z nimi do gniazda.

Musi dziś upiec chleb. Ogród wymaga podlania. Trzeba też zmienić pościel i zrobić pranie. Rankiem nie było wiatru, żaden podmuch powietrza nie napływał od morza, by osłabić promienie gorąca, które już czuła na skórze. Najlepiej zająć się obowiązkami z samego rana. Zwłaszcza dzisiaj.

Popijała herbatę, obserwując ptaki.

Nie będzie dziecka. Nie chciała go i miała nadzieję, że zostanie jej to oszczędzone. Mimo to zaskoczył ją ogrom ulgi, jaką poczuła, odkrywszy, że jej miesięczne krwawienie nadeszło o czasie. Być może gdyby jej matka i babka wciąż żyły, z radością przyjęłaby dziecko Luciana. Sprawiał, że jej ciało łaknęło przyjemności, której spodziewała się przy każdym jego dotyku; że skwierczało z niecierpliwości, gdy przygotowywał ją na szczytowanie. Czyż nie tak właśnie powinna się czuć kobieta, przyjmując nasienie kochanka i przekształcając je w życie? A kto mógłby być bardziej imponującym ojcem niż sam Światły?

Mimo to poczuła ulgę, że jego nasienie nie zapaściło w niej korzeni. Lucian był wspaiałym kochankiem, ale...

– Gdy ogień się nie pali, nie daje ciepła – powiedziała do śmiałego wróbla, który przyfrunął na ławkę w poszukiwaniu chleba. – Jedyne czasu, jaki spędza ze mną poza łóżkiem, jest wtedy, gdy przygotowuję jedzenie. Jest uprzejmy, muszę to przyznać. Pytał o ogród, o gobelin, który ujrzał na krośnie, ale słuchał tylko na tyle, na ile wymaga tego grzeczność. Nie jest naprawdę zainteresowany moim życiem, nigdy też nie opowiada o swoim. Jeżeli w powtarzanych historiach tkwi jakieś ziarno prawdy, mieszka w klanie z innymi Fae. Ale o nich też nie wspomina. Jedyne elementem jego życia, którym chce się ze mną dzielić, jest ten, który mogę objąć dłonią.

Pociągnęła łyk herbaty. Wróbel poddał się i odleciał poszukać śniadania

gdzie indziej.

– Wręcza mi podarunki zamiast części siebie. Drogie świecidełka, które nic dla niego nie znaczą, dlatego mi je daje. Być może wszyscy mężczyźni Fae postępują tak wobec kobiet, które nie należą do ich gatunku. Albo tylko tyle są w stanie komukolwiek zaoferować.

Przełknąwszy ostatni łyk, wstała, by zająć się swoimi obowiązkami.

Poranek mijał jej na pracy, ale dwie myśli nie chciały jej opuścić: w jaki sposób kobiety informują mężczyzn o swoim miesięcznym krwawieniu... i czy Lucian będzie miał ochotę po prostu spędzić z nią czas, być z nią, gdy nie może jej zabrać do łóżka?

*To nie jest dla mnie najlepszy czas*, pomyślała Ari późnym popołudniem, siedząc na ławce i szcztokując włosy, wciąż wilgotne po chłodnej kąpieli. Każdy obowiązek zajął jej dwukrotnie więcej czasu niż zwykle; upał wydrenował ją z energii do tego stopnia, że chciało się jej płakać, a żadna z ziołowych herbat, które zaparzyła, nie ukoїła bólu brzucha. Poza tym miała ogromny apetyt na mięso, a na kolację zostały jedynie zupa warzywna i chleb. Nie, to zdecydowanie nie był jeden z jej lepszych dni.

I oto Lucian nadjeżdżał od strony lasu, a ona wciąż nie miała pojęcia, w jaki sposób kobieta powinna powiedzieć swojemu kochankowi o kwestiach intymnych. Jej serce zaczęło bić nieco szybciej, gdy się zbliżył, ale ciało nie ożyło zniecierpliwione, czekając tylko na to, aż znajdzie się pod nim. Mimo to uśmiechnęła się z wysiłkiem i wstała, by go powitać, gdy tylko zeskoczył z konia.

– To przyjaciel? – zapytała, wskazując głową wierzchowca.

Jej pytanie sprawiło, że przystanął zdumiony.

– Przyjaciel? – spytał, po czym zerknął na zwierzę i się roześmiał. – Nie, to zwykły koń. Potrzebował nieco ruchu.

Gdy wyciągnął do niej ręce, zrobiła krok do tyłu.

– Lucianie...

– Później.

Otoczył ją ramionami i zaczął całować w ten namiętny, wygłodniały sposób, który zwykle sprawiał, że nie potrafiła myśleć o niczym innym, tylko o nim. Ale tym razem jego język wydawał się zimny i obcy, a dłonie błądzące po jej ciele sprawiały wrażenie samolubnych i chciwych.

Odepchnęła go, przerywając pocałunek.

– Lucianie, przestań.

– Dlaczego? – Z powrotem przyciągnął ją do siebie, ona jednak odwróciła głowę, by uniknąć kolejnego pocałunku.

– Nie!

Jego dłonie zacisnęły się na jej talii na tyle mocno, że mógłby ją skrzywdzić.

– Dlaczego nie?

W jego szarych oczach nie płonęła namiętność, a gniew.

– Dzisiaj nie mogę.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, przypominał jej Royce’a – mężczyznę zainteresowanego wyłącznie tym, czego on chciał.

– Dlaczego nie? – domagał się odpowiedzi.

– Ja... – Czując, że się czerwieni, Ari zacisnęła usta. – Nie wiem, jak ci to delikatnie powiedzieć. Nigdy wcześniej nie musiałam wyjaś...

– Po prostu to powiedz – warknął.

W jego głosie pobrzmiwały niebezpieczne, zwierzęce nuty, których zaczynała się obawiać. Czy naprawdę zażąda dostępu do jej ciała, nawet jeśli zaznaczyła, że nie ma na to ochoty? A jeśli to zrobi i odkryje...

– To czas mojego miesięcznego krwawienia – wypaliła.

Zamilkł. A potem wypuścił ją z objęć i odsunął się o krok.

Ari otoczyła się ramionami; obserwowała Luciana, nie mając pewności, co może teraz zrobić.

– Rozumiem – powiedział cicho. Jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

Dotknięta równie mocno jego obojętnością, co wcześniejszym wybuchem gniewu, Ari wymamrotała:

– To się zaczęło dziś rano.

– Rozumiem.

Czy na jego twarzy malowało się rozczarowanie? Możliwe...

– Mam zupę warzywną i świeży chleb. Możesz zostać, jeśli masz ochotę.

Zawahał się, ale potrząsnął głową.

– Dziękuję. Nie chciałbym ci przeszkadzać w takim czasie. – Odchrząknął nieznacznie. – Przepraszam, jeśli moje zachowanie w jakiś sposób cię uraziło.

– Lucianie...

Za dwa dni księżyc będzie w nowiu. Obietnica, którą złożyła podczas Letniego Księżyca, się dopełni. Co miałaby mu powiedzieć? Że to była miła znajomość? Że ma nadzieję, iż jeszcze kiedyś ją odwiedzi? Pierwsze

zabrzmiałoby lekceważąco, jakby go zbywała; drugie mógłby odebrać jak zaproszenie do czegoś więcej niż to, co miała na myśli. Czy faktycznie przyjęłaby go ponownie na kochankę? Jeszcze godzinę temu powiedziałyby, że tak. Teraz nie była tego pewna.

Wzdrygnęła się, kiedy zobaczyła, jak sięga do kieszeni. Kolejne świecidełko. Zwyczaj Fae i kolejny obowiązek spełniony. Cóż, na ten nie zasłużyła, prawda?

Jednakże gdy wyjął rękę z kieszeni, była pusta. Położył dłoń na jej policzku, nachylił się i delikatnie ją pocałował. Także w tym geście nie było emocji.

– Bądź zdrowa, Ari – powiedział łagodnie.

– Niech cię Matka błogosławi, Lucianie.

Odwrócił się, wsiadł na konia i pogalopował przez łąkę, nie odwracając się ani razu.

Wróciła do swojej sypialni i popatrzyła na łóżko. Czyli już po wszystkim. Przyjechał tu, by zaznać przyjemności cielesnych, których była zobowiązana mu dostarczyć, ale nie znalazł tego, czego oczekiwał.

*To lord Fae. Co innego miałoby go tu interesować?, pomyślała. Ale to niesprawiedliwe, że odjechał, nie oglądając się za siebie, a jednocześnie zdążył na tyle mocno ścisnąć moje serce, że zostały na nim bolesne ślady. Zależy mi na nim. Nigdy nie podzielił się ze mną niczym poza swoim ciałem, ale jest w nim coś, co sprawia, że zaczęło mi na nim zależeć. To niesprawiedliwe.*

Wyciągnąwszy się na łóżku obłożonym w czystą pościel, która nie miała na sobie jego zapachu, Ari zaczęła płakać.



Lucian oparł się o kamienny mur i spojrzał w górę na baldachim z liści, który rozciągał się ponad jego ulubionym prywatnym zakątkiem ogrodu.

Już po wszystkim, a on nie był przygotowany na to zakończenie. Za dwa dni czas obietnicy i tak dobiegłby końca, ale sądził, że spędzi je z nią, zatapiając się w przyjemności. Sądził, że będzie miał czas, by delikatnie przekonać ją, by pozostała jego kochanką – pomimo tego, co Aiden powiedział mu tego ranka.

I wtedy zepsuł to wszystko, nie zwracając uwagi na jej nastrój. Nie, to nie

była prawda. Widział, że coś ją gryzie. Dostrzegł to w jej twarzy. Nie chciał o tym słuchać, więc miał nadzieję, że cokolwiek to jest, uleci, jeśli tylko uda mu się zająć jej myśli seksem. Przeliczył się, i to srogo.

Kobiety Fae izolowały się podczas czasu krwawienia, wybierając odpoczynek w ciszy i spokoju, by zajmować się sprawami, do których nie dopuszczały mężczyźn. Mężczyźni Fae szanowali tę potrzebę prywatności i nie wtrącali się. Tak to działało w ich świecie, postąpił więc właściwie, wyjeżdżając.

Ale ona zaproponowała mu, by został – i prawie się zgodził. Nie miał pojęcia, czy naprawdę ucieszyłaby się z jego towarzystwa, czy może zaproszenie wynikało jedynie z obowiązku, a jego obecność nie byłaby dla niej komfortowa. Ta wątpliwość, jak również zwyczaj Fae skłoniły go do odejścia.

Nie znał jej zwyczajów. Pytanie o nie wydawało mu się nieistotne. Ale to było wtedy, gdy sądził, że jest tylko ludzką kobietą, jedynie nieco bardziej atrakcyjną niż pozostałe z jej rodzaju. To było zanim Aiden powiedział mu tego ranka o symbolu noszonym przez wiccanfae.

Nigdy nie zapytał ją o wisiołek, który zawsze nosiła. Irytowało go, że woli inny naszyjnik od podarków, które otrzymywała od niego, ale nigdy nie spytał, czy ma on jakieś znaczenie. Kolejny błąd.

Ale choć dowiedział się, że jest wiedźmą i prawdopodobnie stanowi zagrożenie dla Tir Alainn, pojechał do niej jako kochanek.

Nie wręczył jej pożegnalnego prezentu. To, co ze sobą zabrał, nie było odpowiednie w charakterze pożegnalnego daru. Nie powiedział żadnego z pięknych słów, które powinny zostać wypowiedziane. Jego pożądanie i wewnętrzny lęk sprawiły, że nagle poczuł się zagrożony, ponieważ nie była już zainteresowana nim jako kochankiem. Pozwolił, by ta wojna uczuć rozgorzała w nim gniewem, a potem pozwolił, by ten gniew znalazł ujście. Kolejny błąd. Popełnił ich tak wiele tego popołudnia.

Ale to nie powinno się dziś zakończyć. Nie był na to gotowy.

A teraz musiał się zastanawiać, czy przez własną niezdarność nie stworzył wroga, który mógłby skrzywdzić jego klan i Tir Alainn.



Powitalny uśmiech Dianny zbladł, gdy Lyrra chwyciła ją za rękę

i pociągnęła na taras, z dala od innych Fae zbierających się na wieczorny posiłek.

– Aiden właśnie mi powiedział, że Lucian powrócił.

Dianna zmarszczyła brwi.

– Co masz na myśli? Do tej pory wracał najwcześniej o świcie... – Jej gardło się zacisnęło.

– Wiem. – Lyrra pilnowała się, by mówić cicho. – Ale wrócił, a potem poszedł do tego dzikiego zakątka, w którym się zaszywa, ilekroć musi nad czymś podumać.

*Na łaskę Matki...*

– Powiedział coś Aidenowi?

Lyrra potrząsnęła głową.

– Aiden powiedział mu rano o wisiorcu. Jeśli Lucian go zauważył, wie, że Ari jest wiedźmą. Być może w związku z tym zmienił zdanie i postanowił wrócić.

*Albo coś poszło mocno nie tak, pomyślała Dianna. Nie jest głupcem. Nie zarzuciłby jej bycia wiccanfae, póki nie mamy pojęcia, jakie może stanowić zagrożenie. I czy w ogóle jest zagrożeniem.*

– Może to nic takiego. Może po prostu nie zastał jej w domu.

– Bo była gdzie?

Spojrzały na siebie, żadna z nich nie chciała odpowiadać na to pytanie.

## ROZDZIAŁ 17

Jego ośmiu Inkwizytorów stało na jednym brzegu, obserwując dwóch pozostałych w łodzi wiosłowej dryfującej na środku stawu. Obok niego wioskowy sędzia wzdrygnął się, gdy kobieta ponownie została wyciągnięta spod wody. Próbowwała łapczywie złapać oddech, ostry dźwięk rozbrzmiewał w nieruchomym porannym powietrzu.

– Czy przyznajesz się do winy i jesteś gotowa wypowiadać się z występków wyrządzonych swoim sąsiadom? – spytał donośnym głosem Inkwizytor trzymający linę.

– Nie! – krzyknęła kobieta. – Nie! Ja...

Inkwizytor pozwolił, by lina wyślizgnęła się z jego obleczonych w rękawiczki dłoni. Kobieta zniknęła pod powierzchnią wody. Ponownie.

*Spędziła w stawie już prawie godzinę, a mimo to wciąż walczy, pomyślał Adolfo, z niezadowoleniem obserwując, jak łódź się kołysze. Ale nie wytrzyma wiele dłużej. Wkrótce zrozumie, że istnieje tylko jeden sposób, by jej kara dobiegła końca. I wtedy będziemy mogli opuścić to miejsce.*

– Mistrzu Adolfo – powiedział sędzia, rzucając zaniepokojone spojrzenie innym mieszkańcom wioski, którzy tego ranka zebrali się wokół stawu. – Mistrzu, kuzynka mojej żony jest dobrą kobietą. Nie mogłaby zrobić wszystkich tych straszliwych rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie, którzy uważają cię za zwierzchnika tej społeczności, to kłamcy? – spytał cicho Adolfo. – Chcesz powiedzieć, że kobiety, które z własnej woli przyznały się, by wyzwolić swoje dusze, nie były w stanie wskazać innych, które wpadły w potworne sidła magii wiedźm i same zostały czarownicami?

– Czarownicami? – Sędzia zaczął się pocić. – Nie, nie, Mistrzu Adolfo. One nie były wiedźmami.

Adolfo patrzył na mężczyznę tak długo, aż strach dopełnił dzieła.

– Jestem Młotem na czarownice – powiedział. – Spędziłem życie, poznając te niegodziwe stworzenia, te dziwki Złego. Rozpoznaję ich smród.

Zaprzeczasz, że twoją wioskę nękały kłopoty? Zaprzeczasz, że moich dwóch Inkwizytorów zginęło tu w ciągu dwóch dni? Dwóch mężczyzn wyszkolonych do walki ze sługami Złego poległo, przebywając tutaj. Takie wydarzenia mogły mieć miejsce jedynie wtedy, gdy Zły znalazł naczynia pozwalające mu zapuścić tu korzenie; naczynia, które ukrywały się wśród dobrych ludzi tworzących tę społeczność.

Zrobił dłuższą pauzę, by dać sygnał Inkwizytorom na łódce. Ten trzymający linę ponownie wyciągnął kobietę na powierzchnię.

– Być może – podjął łagodnie Adolfo – sprzeciwiasz się wyrugowaniu zła, ponieważ boisz się, co może wyjść na jaw podczas spowiedzi. Być może doświadczyłeś lubieżnych myśli o kuzynce twojej żony. Jest piękną kobietą, odważnie wyraża swoje zdanie. Być może jesteś o krok od bycia zniewolonym przez Złego jako jego sługa. Być może. Nie zawsze można to łatwo ocenić w przypadku mężczyzn, kiedy władza Złego nad nimi wciąż jest słaba. Jednym ze sposobów na wykrycie tego jest osłabienie ciała. Ale ty i ja nie rozmawialiśmy o tym na osobności, prawda?

Sędzia pobałdł i zachwiał się.

– Ja nie... Ja nigdy... Ale... nie możesz po prostu pozwolić jej umrzeć?

Adolfo niemalże czuł zapach strachu targającego tym człowiekiem. To bez znaczenia, czy sędzia miał na sumieniu jedynie nieczyste myśli, czy może naprawdę pozwolił sobie na cudzołóstwo z kuzynką swej żony. Teraz zależało mu po prostu na uciszeniu tej kobiety, zanim Mistrz Inkwizycji znajdzie powód, by przyjrzeć mu się bliżej.

– Musi dostać szansę, by odkupić swoją duszę – odparł delikatnie Adolfo. – W przeciwnym razie Zły będzie ją miał w swojej mocy po śmierci, tak jak i miał za życia, a ona będzie cierpieć niewypowiedzianą udrękę w otchłani piekielnej.

Inkwizytor na łódce pozwolił, by kobieta znów osunęła się do wody, po czym szybko ją wyciągnął. Po kilku kolejnych podtopieniach, gdy nie dawał jej dość czasu, by nabrała powietrza, wyciągnął ją znów, pozwolił przez chwilę odetchnąć, po czym zaczął:

– Czy przy...

– Tak! – krzyknęła kobieta. – Tak! Przyznaję się. Zrobiłam wszystko, co mi zarzucacie. Przyznaję się!

Adolfo pokiwał głową.

Inkwizytor wypuścił linę i kobieta opadła na dno stawu, ciągnięta przez



worek kamieni przywiązany do jej nóg pod sukienką.

Wszyscy czekali. Wreszcie Inkwizytorzy chwycili za wiosła i zaczęli wiosłować w stronę brzegu.

Adolfo podniósł głos na tyle, by usłyszał go milczący tłum. Magia perswazji przepływała przez niego, zamieniając jego słowa w haczyki, które pochwycą tych ludzi i nigdy w pełni ich nie uwolnią.

– Dokonało się! Słudzy Złego zostali wypłenieni z tej wioski. Niegodziwa magia, którą szkodzili swoim sąsiadom, może być wyczuwalna jeszcze przez pewien czas. Nie jesteśmy w stanie nic zrobić, by temu zapobiec. Ale magia ustanie, a wtedy będziecie od niej wolni – o ile mężczyźni zachowają czujność. Rozejrzyjcie się uważnie i zapamiętajcie inne uczciwe osoby, które były świadkami tego zła – i pamiętajcie, kto mu się nie poddał. Pilnujcie kobiet, które są z wami powiązane. Nie zaniedbujcie obowiązku dyscyplinowania ich. Jeśli nie zaczniecie się posługiwać pasem z wystarczającą siłą, by pozostawały skromne i cnotliwe, będziecie ponosić winę za pchnięcie ich w ramiona Złego. Strzeżcie się pyskatych kobiet oraz tych, które śmiało wyrażają swoje zdanie. Osłabiają mężczyzn. Strzeżcie się kobiet, którym zanadto podoba się spełnianie cielesnych obowiązków małżeńskich. Zbyt łatwo dadzą się skusić przystojnemu nieznanemu, a twarz Złego jest zawsze przystojna, gdy uwodzi kobiety. Gdy któraś z nich odda ciało takiemu złu, stanie się naczyniem zdolnym opętać i ciebie. Bądźcie więc czujni, wypełniajcie swoje obowiązki, a Zły nigdy więcej nie tknie waszych rodzin.

Wieśniacy z niepokojem zaszurali stopami. W oczach kobiet pojawił się strach, co Adolfo dostrzegł z satysfakcją.

Odszedł od stawu, a jego Inkwizytorzy ruszyli za nim. Zatrzymał się dopiero przy gospodarze. Jego powóz już tam czekał, załadowany walizkami. Strażnik, który został jego nowym stangretem, kiwnął głową, by wskazać, że wszystko jest gotowe na wyjazd Mistrza Inkwizycji. Adolfo uważał tego nieuprzejmego, unikającego rozmów mężczyznę za odpowiedniego następcę poprzedniego stangreta. Głupiec, który próbował podstępnie nakłonić go do pozostania na drodze podczas Letniego Księżyca, już nie żył. Doszło do jednego z tych niefortunnych wypadków, które mogą się wydarzyć jedynie na nieznannej drodze w obcym kraju – zwłaszcza gdy wypadek zostanie zaaranżowany.

– Dobrze będzie opuścić to miejsce – szepnął jeden z młodszych

Inkwizytorów, zerkając na staw.

– W rzeczy samej – odparł Adolfo.

Młody mężczyzna popatrzył na niego z zakłopotaniem.

– Mistrzu, w ostatnich dniach straciliśmy czterech naszych braci, a inni zostali na tyle ciężko ranni, że porzucili nasze wielkie dzieło. – Zawahał się, po czym pospiesznie wypluł z siebie resztę słów: – To nie jest nasz kraj. To nie są nasi ludzie, nasze rodziny. Dlaczego musimy tu zostać?

Adolfo zastanawiał się, kiedy padnie to pytanie.

– Jesteśmy tutaj z uwagi na nasz kraj, naszych ludzi, nasze rodziny. Jeśli nie wyplenimy z Sylwalanu niegodziwej wiedźmiej magii, przepelźnię przez granicę i ponownie zapanuję korzenie w Wolframie. Już można podejrzewać, że czystka w Arktosie nie była tak dokładna, jak nam się wydawało. Widzieliście, że moc tutaj jest silniejsza niż wszystko to, z czym mierzyliśmy się wcześniej. Zły ma tu wielu sługusów.

Przyjrzał się swoim ludziom. Byli zmęczeni, przestraszeni. Mały Lud nie dysponował niczym więcej poza szelmowską magią, ale nawet ten jej rodzaj mógł stanowić niebezpieczeństwo, gdyby Mały Lud zebrał się razem. Jego członkowie nie byli w stanie powstrzymać czystki wiedźm w Starych Miejskach jedynie dlatego, że nie uświadamiali sobie, co się dzieje. A jednak w Sylwalanie stanowili siłę, z którą należy się liczyć. Również obecność Fae była tu silniejsza. Adolfo nie miał wątpliwości, że z tej krainy da się wyrugować magię, która powstrzymywała mężczyzn przed zajęciem należnych im miejsc jako panów i władców, ale praca tu faktycznie stanowiła większe zagrożenie.

– Bezpieczeństwo Wolframu spoczywa na naszych barkach. Nie możemy porzucić wyznaczonego nam zadania. Jednakże od tej pory musicie pracować w parach, aby pilnować się nawzajem. Będziecie kontynuować poszukiwanie czarownic. Ale tylko czarownic. Nie zajmujcie się kobietami, które wzorem wiedźm nie prowadzą się godnie. Nie dysponują one prawdziwą magią i możemy zająć się nimi później. Wykorzystujcie moc Daru Inkwizytora, by odnajdywać prawdziwe wiedźmy. Szybko niszczone ich magię i ruszajcie dalej, nim ktokolwiek zdąży się obrócić przeciwko wam. Gdy lato dobiegnie końca, wszyscy spotkamy się w Rivercross – a potem udamy się do domu, by tam przetrzymać. Odpoczniemy i nabierzemy sił na naszą wielką bitwę przeciwko Złemu i jego dziwkom.

Dostrzegając determinację w oczach swoich Inkwizytorów, Adolfo

wiedział, że odpowiednio dobrał słowa. Wyczyszczą wschodnią granicę Sylvalanu, by Wolfram – ich ojczyzna – pozostał bezpieczny. Potem wrócą do domu. A on nigdy im nie powie, że to nie rozwaga czy troska o ich dobro zaważyły na jego decyzji; przekonała go kobieta na karym koniu, która wyjechała z lasu i wyciągnęła duszę jego bratanka z ciała. Znał historie o Fae zwanych Służkami Śmierci. Potrafiły prowadzić duchy, które opuściły już martwe ciała, ale nie były w stanie ich zabrać, gdy ciało wciąż żyło. Tylko jedna z nich, Kochanka Śmierci, mogła przejechać przez wioskę i zostawić za sobą zwłoki. Czym innym była obecność Służek Śmierci na polu bitwy, rozdziobujących ciała niczym kruki, a czym innym mierzenie się ze Zbieraczką, której zainteresowanie wzbudziły zgony w okolicach Starych Miejsc.

A więc jego ludzie będą wykonywali swoją pracę aż do zmiany pór roku, a potem wrócą do domu – krainy, gdzie magia została zduszona zaledwie do szeptu. Miał nadzieję, że gdy powrócą tu na wiosnę, Zbieraczka będzie już w innej części Sylvalanu.

## ROZDZIAŁ 18

– To nie tak, że nie jestem wdzięczna za to, że mam do jedzenia zupę i chleb – wymamrotała Ari, mieszając bez entuzjazmu w misce. – Ale od wczoraj nie jadłam nic innego.

To nie miało znaczenia. Nie miała dość mąki, by upiec nowy bochenek chleba. Jutro ta wodnista zupa, ugotowana z coraz szczuplejszego zapasu warzyw, które zapuszkowała po ostatnich zbiorach, będzie jedynym, co poda na stół. Miała dość zieleniny w ogrodzie, by móc skosztować coś świeżego, ale niewystarczająco, by wypełnić pusty żołądek. Rok temu, gdy po raz pierwszy musiała wykonać wszystkie prace sama, dała z siebie wszystko. W tym roku musi po prostu postarać się jeszcze bardziej.

To był ostatni wieczór, nim księżyc wejdzie w nów, ostatni wieczór, kiedy pozostawała związana obietnicą złożoną podczas Letniego Księżyca. To jednak nie miało znaczenia. Wiedziała, że Lucian nie przyjdzie z wizytą. No i dobrze. Jej serce było już dość poranione. Nie potrzebowała po raz kolejny się przekonać, że mężczyźni uważają ją za interesującą jedynie wtedy, gdy mogą liczyć na seks.

– Hej tam! – usłyszała czyjś głos.

Pospieszyła do na wpół otwartych drzwi kuchennych, by wyrzeć na zewnątrz. Skrzywiła się, ujrawszy Nealla. Gdy zwolnił na widok jej bielizny wciąż schnącej na jednym ze sznurów, poczuła, że się rumieni; miała nadzieję, że przynajmniej nie wiedział, do czego służą długie prostokątne pasy tkaniny.

– Jak się czujesz? – zapytał, podchodząc bliżej.

Czyli jednak wiedział.

– W porządku. A ty?

– Ja również. – Spojrzał ponad jej ramieniem. – Jesteś sama?

Poczuła ukłucie dumy.

– Nie, nie jestem... – Zaciśnęła zęby. Nie było powodu, by wyładowywać się na Neallu. Albo pozwolić, by duma skłoniła ją do nieszczerości. – Tak,

jestem sama. – Zawahała się, a potem dodała cicho: – Nie czekam na nikogo.

Posłał jej słodki, niemalże tęskny uśmiech.

– Przydałoby ci się towarzystwo? Oto moja wspaniała osoba... no i ta głupia bestia. – Neall wyciągnął rękę w stronę Darcy'ego, który właśnie próbował się obok niego przepchnąć. – Poczekaj! Pogłaszczę cię, kiedy będzie miała na to ochotę.

Walach cofnął się kilka kroków, wydając z siebie dźwięki przypominające mamrotanie.

Neall teatralnie wypuścił powietrze.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdyby dolna połowa tych drzwi nie była zamknięta na zasuwę, on już byłby z tobą w kuchni – zwrócił się do Ari.

Przygryzła wargę, by powstrzymać śmiech.

– Poza naszym wspaniałym towarzystwem – ponowił Neall, spoglądając na wierzchowca spode łba – przyniosłem też to. – Uniósł sznurek i zaprezentował jej dwa łososie.

Serce Ari zabiło szybciej. Jej dłonie nagle pokrył pot.

– Neall... – powiedziała słabym głosem. – Wiem, że jesteś krewnym barona Felstona, ale kłusownictwo to poważny występki. Sam mi mówiłeś, że baron nie pozwala nikomu łowić w strumieniach przecinających jego ziemię. Gdybyś stanął przed obliczem sędziego...

– Zamierzasz wezwać sędziego?

Ari zmarszczyła brwi. Neall był jej przyjacielem. Jak mógł sądzić, że byłaby w stanie go zdradzić?

– Złowiłem je w strumieniu na twoich ziemiach – wyjaśnił. – A skoro wręczam je tobie, trudno potraktować to jako kłusownictwo, czyż nie?

Silny uchwyt, który poczuła na sercu, rozluźnił się.

– Och... – westchnęła z ulgą. – Och, w takim przypadku... – zawiesiła głos. – Ale Neall, czy nie powinieneś się zajmować swoimi obowiązkami, zamiast wędkować w moim strumieniu? Czy baron nie będzie się złościł?

– Praca nie ucieknie. Może poczekać jeden dzień. Poza tym złowienie ich nie zabrało mi dużo czasu. Ale nie będą wiele warte, jeśli zaraz nie włożysz ich do jakiegoś naczynia z wodą.

– Tak, oczywiście. – Ari otworzyła dolną część drzwi. – Wejdz i rozgość się.

Neall wsunął się do środka i zamknął za sobą drzwi na tyle szybko, by Darcy nie zdołał do nich dołączyć.

– Widzisz, co miałem na myśli – wymamrotał.

Napełnił wodą z pompy dużą owalną misę służącą za kuchenny zlew, po czym umieścił w niej łososie. Gdy Ari na nie spojrzała, poczuła przyływ głodu.

– Neall, są wspaniałe! Nie jadłam łososia, odkąd moja mama złapała ostatniego.

– Dlaczego?

– Żeby móc go zjeść, trzeba go najpierw złowić. Woda nie jest moją gałęzią Wielkiej Matki.

W oczach Nealla błysnęło zakłopotanie.

– Wiesz, co z nimi zrobić? – upewnił się.

Ari uznała, że głupotą byłoby pozwolić, by duma zrujnowała dobry posiłek.

– Nie – przyznała. – Rybę zawsze przyrządzała matka.

– Więc zawrzyjmy układ: jeśli jesteś gotowa podzielić się tą mniejszą, oporządzę je i ugotuję.

Tak szybko wyciągnęła dłoń, by przypieczętować umowę, że aż podskoczył. Gdy chwycił jej rękę, trzymał ją przez kilka sekund. Jego uścisk był ciepły i silny, a skóra bardziej zgrubiała niż to przyjęte u dżentelmena, ale Neall nigdy nie wzbraniał się przed pracą, którą należało wykonać.

Czując zawroty głowy i nagłe uderzenie gorąca, Ari się odwróciła.

– Ja... My możemy zjeść do tego resztkę chleba z odrobiną miodu lub dżemu.

– Brzmi nieźle.

– Mam też pierwsze warzywa, które można zerwać. – Przygryzła dolną wargę. – Ale nie ma czym ich przyprawić. Nie mam też masła do usmażenia ryb.

Neall milczał.

Czy za chwilę znajdzie jakąś wymówkę, by sobie pójść? Ari nie miała pojęcia. Zebrała się na odwagę i odwróciła twarzą do niego. Z uwagą wpatrywał się w łososia.

– Rybę trudno przechować. Jak tam twoja piwniczka?

– Mam dość lodu, by większość zapasów się nie psuła, ale nie sądzę, by ryba wytrzymała dłużej niż dzień.

Pokiwał głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Wymienimy się – stwierdził. – Ahern lubi łososia i często narzeka, że

strumienie na jego ziemiach nie obfitują w ryby na tyle dobre, by warto było podejmować wysiłek ich łapania. Możemy owinąć tę większą w słomę i tkaninę, dobrze namoczyć, a ja pojedę na jego farmę i zobaczę, na co zgodzi się ją wymienić.

– W porządku – Ari się zawahała. Ile może być warta ryba? – Może poprosisz o trochę masła i szczyptę soli?

Neall się pochylił i pocałował ją w policzek.

– Targowanie się zostaw mnie.

Kilka minut później łośoś był już zawinięty. Ari wpatrywała się w drugą rybę. Teraz, gdy miała więcej miejsca do pływania, nieco ożyła. Za bardzo ożyła.

Neall wyszedł na zewnątrz i zamknął dolną połowę kuchennych drzwi.

– Ari – zawołał łagodnie. Nie podobał się jej sposób, w jaki się uśmiechał. – Jeśli ryba wyskoczy z miski, nie zostawiaj jej trzepoczącej się na podłodze. Złap ją i wrzuć z powrotem do wody.

– Wyskoczy? – Gwałtownie obróciła głowę, by przyjrzeć się rybie. Wiedziała, że łososie potrafią skakać. Oczywiście, że to wiedziała. Widziała, jak ryby skaczą, by ominąć niewielkie uskoki w strumieniu, ale... – Będzie skakać po mojej kuchni?

Rzuciła się w stronę kuchennych drzwi w samą porę, by zobaczyć, jak Neall, szczerząc się radośnie, uderza piętami w boki Darcy’ego. Już po chwili skręcił za róg chaty.

– Neall! – zawołała za nim.

Przebiegła przez dom i zaczęła szarpać frontowe drzwi, by odblokować zasuwę. Ale Neall przecinał już wzniesienie po drugiej stronie drogi.

– Neall!

Gdy zniknął za wzniesieniem, Ari zasunęła zasuwę i wróciła do kuchni. Z haczyka na ścianie zdjęła małą patelnię i ostrożnie zbliżyła się do zlewu.

– Jeśli podskoczysz, dostaniesz po głowie. – Uniosła patelnię, by pokazać rybie, że nie żartuje.

Łosoś machnął ogonem, opryskując twarz Ari wodą.

Powoli odłożyła patelnię. Zebrała słoiki miodu i dżemu, a potem pokroiła resztkę chleba.

– Wiedział, że do tego dojdzie. Wiedział. Prawdopodobnie przykro mu tylko dlatego, że tego nie zobaczy. – Zerknęła na łososia. – Jeśli Neall nie będzie się spieszył z powrotem od Aherna, nie tylko ty poczujesz, jak ciężka

jest ta patelnia.



Neall uśmiechał się, galopując na Darcym w stronę farmy Aherna.

Kochanek Ari był głupcem. Wspaniałym głupcem. On sam nie wyobrażał sobie, jak można się brzydzić czegoś tak naturalnego. Mężczyzna mógł się cieszyć spędzaniem czasu z Ari, mógł się cieszyć samym przebywaniem w jej towarzystwie. Ale odszedł, ponieważ nie mógł jej zabrać do łóżka. Jutro księżyc wejdzie w nów i Ari nie będzie już zobowiązana gościć w swoich progach – i ramionach – obcego, którego poznała gdzieś podczas Letniego Księżyca.

Niech Wielka Matka błogosławi temu mężczyźnie do końca jego życia za bycie wspaniałym, wspaniałym głupcem.

Uśmiech Nealla stał się jeszcze szerszy.

I niech błogosławi Ari. Neall wiedział, że jest jej trudno i nie ma dość pieniędzy, by często kupować mięso. Ale nie uświadamiał sobie, że nie korzystała z tego, co miała pod ręką, aż do chwili, gdy przyznała mu się, kiedy ostatnio jadła świeżą rybę.

To, co jej powiedział, było prawdą. Nie poświęcił wiele czasu na złowienie łososi. Po prostu podszedł do strumienia i cicho stanął przy brzegu. Kiedy kilka wodnych duszków zamieszkujących rzeczkę spytało, dlaczego młody Pan Lasów tam stoi, powiedział im, że potrzebuje łososia dla Ari. Duszki zniknęły pod wodą i kilka minut później zagoniły mu dwie ryby. Podziękował wodnym duszkom i zabrał łososie. Takie to było proste.

Kilkukrotnie próbował wytłumaczyć Małemu Ludowi, że nie jest Panem Lasów. Oczywiście, jego rozumienie drzew i mieszkających tam stworzeń zawsze było ponadprzeciętne – i mogło pochodzić od mężczyzny, który spłodził jego ojca. Nie dało się zaprzeczyć, że niekiedy, gdy bardzo potrzebował mięsa, królik czy młody kozioł same się pchały pod jego łuk. Ale obecność w rodzinie dziadka Fae nie czyniła z niego Fae. Nie powstrzymywało go to jednak przed przyjmowaniem lenna, które oferowano mu w potrzebie.

Walach odmówił zwolnienia kroku, gdy dotarli na podwórze Aherna, przez co kilku pracujących tam mężczyzn musiało odskoczyć na bok, by uniknąć zderzenia. Kilka jardów od starszego mężczyzny koń przysiadł na zadzie,



zatrzymując się tak gwałtownie, że Neall nieomal zleciał z jego grzbietu.

– Będziemy musieli o tym porozmawiać – wymamrotał. Przerzucił nogę przez szyję Darcy’ego i zeskoczył na ziemię, ściskając w dłoni mokrą torbę.

– Przyszedłem pohandlować.

Niechęć w oczach Aherna się nie zmniejszyła.

– Wjeżdżasz tu, jakby po piętach deptało ci stado ogarów cienia, żeby pohandlować? – Potrząsnął głową. – Nie mam nic do zaoferowania baronowi... – Utkwił spojrzenie ponad ramieniem Nealla.

Neall odwrócił się, by zobaczyć, co przykuło uwagę Aherna. Wałach, zwrócony teraz w stronę, z której przyjechali, nadstawiał uszu. Postąpił dwa kroki do przodu.

– Poczekaj na mnie – ostrzegł go Neall.

Darcy zrobił krok do tyłu i prychnął.

Ahern spojrzał na konia, a potem na jego właściciela.

– Nie przyszedłeś, by handlować w imieniu barona – powiedział.

– Nie, sir.

Wskazał głową sakwę.

– Co masz na wymianę?

Neall się uśmiechnął.

– Łososia. Dużego, pięknego i tak świeżego, że wciąż smaga ogonem.

– Wejź do środka. Porozmawiamy.

– Okradłeś go – powiedziała Ari, zbyt zrelaksowana, by okazywać zdenerwowanie.

– Umiejętnie się targowałem – poprawił ją Neall.

Siedzieli na ławce przed jej chatą, ciesząc się ciepłym wieczorem.

– Wyczyściłeś Ahernowi spiżarnię.

– Wcale nie. Zabrałem tylko tyle, ile mi się zmieściło do juków. – Nie chciał, by zbyt długo się tym zamartwiała, dodał więc: – Najadłaś się?

W odpowiedzi stęknęła zabawnie.

Neall się uśmiechnął i wziął ją za rękę. Gdy nie cofnęła dłoni, oparł się o ścianę chaty i zamknął oczy zadowolony.

Negocjacje były zażarte i musiał wykorzystać wszystkie argumenty, by przekonać Aherna, że może wziąć w zamian za rybę jedynie tyle, by Ari się nie zastanawiała, czy była to uczciwa wymiana czy jałmużna. Wzmianka o jałmużnie tak rozzłościła Aherna, że Neall sądził, iż starszy mężczyzna go uderzy. Ale obaj znali Ari, obaj wiedzieli, że jej upór potrafi być wręcz ośli

i że tylko duma pozwala jej stawać przed mieszkańcami Ridgeley. Targowali się więc i kłócili, póki Neall nie obiecał, że za kilka dni przywiezie kolejną rybę lub dwie i odbierze resztę zapasów, które, jak naciskał Ahern, Ari musi otrzymać.

– Czy baron nie będzie zły, że ignorujesz swoją pracę? – spytała Ari. – Czy nie będzie się zastanawiał, gdzie jesteś?

– Nie dba o to, gdzie jestem. Nie interesuje go to, póki czegoś nie chce. A jeśli chodzi o pracę, Royce się tym zajmuje. Bądź co bądź posiadłość i farmy dzierżawców będą kiedyś należały do niego.

Poczuł, jak Ari obraca się w jego stronę. Nie otworzył jednak oczu.

– Co zrobisz, gdy ten dzień nadejdzie? – spytała cicho. – Będziesz pracować dla Royce’a i zadowolisz się ochłapami, które od niego otrzymasz?

Neall się zawahał. *Zasiej teraz nasienie, pomyślał. Daj mu czas, by zapuściło korzenie.*

– Mam własną ziemię. Na zachodzie. Jakiś dzień drogi od wybrzeża. Należała do mojej matki. Kiedy moi rodzice zmarli, odziedziczyłem ją. Teraz, gdy jestem pełnoletni, pora wrócić do domu.

Poczuł drżenie jej dłoni w swojej.

– Dlaczego... – Ari wzięła głęboki oddech, po czym powoli wypuściła powietrze. – Dlaczego nigdy o tym nie wspomniałeś?

– Ponieważ moi szlachetnie urodzeni krewni są chciwi. Baron jeszcze bardziej uprzykrzyłby mi życie, gdyby wiedział, że istnieje coś, co należy tylko do mnie, czego nie może wykorzystać, mając mnie pod swym dachem. Poza tym nie jestem właścicielem ziemskim w jego rozumieniu. – Przerwał na chwilę. – Powiedziałem twojej babce o ziemi. Stwierdziła, że to będzie nasz sekret, aż będę gotów powiedzieć o tym komuś jeszcze. Wspomniała też, że dzięki temu, iż byłem rozważny i nikomu o tym nie powiedziałem, sprawa się nie wydała.

– A teraz powiedziałeś mnie – stwierdziła miękko Ari. – Dziękuję.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Wydawała się z trudem powstrzymywać emocje. To dawało mu nadzieję.

– Chciałem, żebyś wiedziała, że gdzieś leży ziemia czekająca na dzień, gdy znów przyniesie komuś radość. Że gdzieś znajduje się miejsce, do którego można uciec.

– Rocznicą dnia twoich narodzin miała miejsce kilka tygodni temu. Powinieneś wtedy wyjechać, by mieć czas obsiać swoją ziemię.

– Miałem powód, by zostać.

Ari zacisnęła usta.

– Kiedy więc wyjeżdżasz?

– To zależy od ciebie.

Obserwował, jak jej oczy się rozszerzają. Delikatnie ścisnął jej dłoń.

– Jeśli w głębi serca czujesz, że nigdy nie będę dla ciebie nikim więcej niż przyjacielem, mam nadzieję, że zdobędziesz się na szczerść i mi to powiesz. Wtedy pojedę sam. Ale jeżeli istnieje cień szansy, że mogłabyś być moją żoną i kochanką, poczekam na ciebie, Ari.

– Neall...

Potrząsnął głową.

– Nie odpowiadaj teraz.

Spojrzała na łąkę i dalej, na rozciągający się za nią las.

– Zależy mi na tobie, Neall. Naprawdę. Ale moja rodzina opiekowała się Brightwood od pokoleń. Moim obowiązkiem jest zostać tutaj.

– Być może nadeszła pora, by kto inny zajął się Brightwood – podsunął cicho. – Być może nadeszła pora, by rozpocząć nowe życie w innym miejscu. Przemyśl to, Ari. Proszę.

Puścił jej dłoń i wstał.

– Muszę już iść. Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

Ari potrząsnęła głową.

– W takim razie pozostało mi już tylko przekonać mojego czworonożnego przyjaciela, że pora się zbierać.

Przeszedł kilka kroków w stronę łąki, gdzie wałach skubał trawę, gdy usłyszał wołanie Ari. Obrócił się. Wykręcała dłonie i wyglądała na zaniepokojoną. Natychmiast pożałował, że zaburzył jej spokój.

– Neall... Nawet gdybym mogła opuścić Brightwood, nie mamy w zwyczaju brać ślubu.

– Czasami macie – powiedział pospiesznie. – Moja matka poślubiła mojego ojca. I żyli szczęśliwie.

Spojrzała na niego zmieszana.

*Nie chciałem tego powiedzieć, pomyślał. Nie chciałem jej tego wyznawać – przynajmniej jeszcze nie – ale teraz muszę się przyznać do wszystkiego. Może to zaważy na jej odpowiedzi.*

– Gałęzią mojej matki była ziemia – dodał. – Czego się nie dotknęła, rozkwitało.

Ari wciąż się w niego wpatrywała.

– Twoja matka była wiedźmą?

– Tak. A mój ojciec był w połowie Fae. – Uśmiechnął się gorzko. – Z tego, co mówił baron, domyśliłem się, że rodzina wstydziła się uznać dziecko spłodzone przez Fae. Z radością zapomniała więc o moim ojcu, kiedy osiągnął pełnoletność i pojechał na zachód, by zdobyć majątek. O mojej matce rodzina wiedziała tylko tyle, że ją poślubił.

– Czemu mi o tym mówisz?

– Ponieważ nie chcę, byśmy mieli przed sobą jakiegokolwiek sekrety. I ponieważ chcę, byś wiedziała, skąd się wywodzę. – Pochylił się i pocałował ją w policzek. – A teraz muszę iść. Niech cię dzień błogosławi, Ari.

– Niech cię dzień błogosławi, Neall – wyszeptała.

Przez całą drogę powrotną do posiadłości barona zastanawiał się, czy postąpił słusznie – czy powinien był mówić jej o swoich rodzicach i ziemi. Ale jako że nie mógł już cofnąć tych słów, miał nadzieję, że dokonał właściwego wyboru.

## ROZDZIAŁ 19

– Trzeba coś z tym zrobić.

Dianna chodziła w tę i z powrotem po tarasie, który wychodził na jej ulubiony ogród.

– Co możemy zrobić? – spytała Lyrra. – Księżyc wszedł już w nów. A Lucian nie przemierzał drogi przez Zasłonę od dnia, gdy powrócił przedwcześnie.

– Czy mówił coś Aidenowi o tym, dlaczego wrócił wcześniej tej nocy?

Lyrra potrząsnęła głową.

– Wciąż jest wściekły, a jego wzrok przypomina, że mamy do czynienia z Panem Ognia.

– Nie możemy siedzieć z założonymi rękoma. – Dianna zatrzymała się i splotła ramiona. – Jest jeden sposób, by się dowiedzieć, czy Ari stała się naszym wrogiem.

Lyrra lekko pobladła.

– Wybierasz się do chaty?

– Nie wie, że jestem Fae. Mogę złożyć jej wizytę, nie wzbudzając podejrzeń.

– Bądź ostrożna, Dianno.

– Gdy stawką jest Tir Alainn, możesz mieć pewność, że będę ostrożna.

Dianna wróciła do swojego apartamentu i wyciągnęła z szafy myśliczek. Zaczęła się zastanawiać. Jeśli mężczyzna, który pojawił się u Ari ostatnim razem, gdy była u niej w odwiedzinach, mówił prawdę, mogła oszczędzić sobie kłopotliwej jazdy w damskim siodle. Poza tym nie zamierzała pojawiać się tam, gdzie mogłaby spotkać ludzkich szlachciców.

Rzuciła myśliczek na łóżko i wybrała swój zwyczajny strój do jazdy konnej – spódnicę lekką niby pajęczyna, którą naciągnęła na obcisłe spodnie, a do tego prostą lnianą bluzkę. To powinno się nadać.

Kilka minut później, gdy szła w stronę stajni, usłyszała cichy skowyt.

Jej niegdyś ulubiona suka podeszła z wahaniem, ciemne oczy błagały

o przebaczenie, choć nie wiedziała, czym zasłużyła na niechęć swojej pani. Pod ścianą spoczywała trójka szczeniąt – dwa, które nie wykazywały obcych cech po niepożądanym ojcu, oraz trzecie, na które Dianna nie była w stanie patrzeć.

Odwróciła się od nich, ale nagle zmieniła zdanie. Podeszła i chwyciła bękarta. Zaskowyczał, jakby wiedział, że trzymająca go osoba gardzi jego istnieniem.

Suka zawyła.

– Otrzyma dobrą opiekę – mruknęła Dianna.

A potem pospieszyła do stajni, by nie zmienić decyzji.

Chcąc uniknąć składania wizyty na farmie Aherna i zakładając, że Ari nie zna się na koniach na tyle, by zaalarmował ją widok „szlachcianki” jadącej na koniu Fae, kazała stajennym osiodłać jej bladą klacz. Owinęła szczenię kocem, by jej się nie wyrwało. Trzymając psiaka w jednej ręce, Dianna pogalopowała drogą prowadzącą przez Zasłonę.

Gdy dotarła do Brightwood, wybrała leśną ścieżkę, która doprowadziła ją do drogi biegnącej w stronę chaty Ari. Nadjechała od tej samej strony co wcześniej.

Ari, rzecz jasna, pracowała w ogrodzie.

– Dianna! – W jej głosie brzmiało zaskoczenie, ale i sympatia.

*Nie spodziewała się, że wrócę tu po ostatniej rozmowie.*

– Niech cię dzień błogosławi – dodała Ari.

– Niech cię dzień błogosławi – odparła Dianna, choć lekko się zająknęła, wypowiadając wiedźmie powitanie.

*Uważają cię za Królową Wiedźm. Wypowiadanie ich słów nie spali ci języka.*

– Widzę, że porzuciłaś szlacheckie wdzianka na rzecz bardziej praktycznego stroju – droczyła się Ari.

Zsiadłszy z konia, Dianna posłała jej chłodne spojrzenie.

– Wolę zostać uznana za wieśniaczkę, niż użerać się z bezczelnym mężczyzną.

– Och... – Ari wyraźnie zastanawiała się nad ciętą ripostą, ale ostatecznie wzruszyła ramionami i powiedziała tylko: – Neall może się wydawać bardzo pewny siebie.

Neall. Imię wypowiedziane tonem sugerującym zażyłą relację.

– Dobrze go znasz?

– Przyjaźnimy się.

*Mówisz tak, jakbyś nie była tego całkiem pewna. Ciekawe, czy Lucian jest świadomy istnienia rywala...*

Szczenię pisnęło.

– Co to było? – spytała czujnie Ari.

– Coś ci przyniosłam. – Dianna odwinęła szczeniaka i wyciągnęła rękę.

Z błyskiem w oku Ari sięgnęła po pieska. Podniosła go do twarzy, tak że zetknęli się nosami.

– Jesteś przeuroczy!

Roześmiała się, gdy szczenię polizało ją po nosie.

Radość Ari sprawiła, że Dianna też się uśmiechnęła.

– Chyba to samo myśli o tobie.

Ari przytuliła pieska.

– Jest cudowny, Dianno, ale nie mogę go przyjąć. Widać, że to cenne zwierzę, a ja...

Dianna zbyła ją gestem dłoni.

– Jest bezwartościowy. Zdeformowany... – Widząc gniewne spojrzenie dziewczyny i sposób, w jaki jej ramiona zacieśniły uścisk, by chronić zwierzę, Dianna ugryzła się w język. Czemu miałyby dawać jej coś, a potem twierdzić, że jest bezwartościowe? – Masz rację, suka jest bardzo cennym zwierzęciem, ale jakoś psa... pozostawia wiele do życzenia. Umaszczenie nie jest odpowiednie.

Ari spojrzała na szczenię.

– Nieodpowiednie? Przecież to piękne umaszczenie merle.

Dianna znów ugryzła się w język, by nie powiedzieć czegoś, co jeszcze bardziej zdeprecjonowałoby wartość psa – albo zasugerowałoby Ari, że pochodzi on od ogara cienia.

– To prawda, ale hodowca bardzo surowo podchodzi do koloru sierści, więc to szczenię nie jest dla niego wartościowe. Ale nic mu nie dolega, a ja pomyślałam, że u ciebie będzie mu dobrze.

Ari wciąż się wahała. Dianna zdusiła w sobie poczucie frustracji. Widać, że dziewczynie spodobał się piesek. Czemu nie może go po prostu przyjąć?

– Zakładam... że je mięso.

– To pies. Oczywiście, że je... – Dianna urwała. Nagle przypomniała sobie, że Ari nie poczęstowała jej mięsem podczas posiłku, który spożywały ostatnio. – Ty nie jesz mięsa?

– Jem. Kiedy mnie na nie stać.

Dianna odwróciła wzrok. Gdzie nie spojrzeć, kolejna przeszkoda.

Ari pogłaskała szczeniaka.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie – wyszeptała.

Dianna zmrużyła oczy, spoglądając na las.

– Nie polujesz?

Ari uśmiechnęła się smutno.

– Neall nauczył mnie strzelać z łuku i potrafię trafić do celu, ale nie jestem w stanie zastrzelić czegoś, co na mnie patrzy.

Znów Neall. Może ten Neall udowodni swoją przydatność i zapewni jej mięso.

– Dziękuję, Dianno. Pies będzie dobrym przyjacielem.

Mimo faktu, że wdzięczność Ari była dokładnie tym, co chciała osiągnąć, przynosząc tu szczeniaka, Dianna nie czuła się komfortowo. Zrobiła kilka kroków w stronę chaty, ale zatrzymała się, dostrzegając jej gołe ściany.

– Kwiaty nie zakwitły?

– Zakwitły? – Ari parsknęła śmiechem. – Nasiona wykiełkowały i rośliny rosną, ale to nie dzieje się tak szybko. Wypuszczą kwiaty do Przesilenia.

Przesilenia? Tyle to trwa? W Tir Alainn rośliny byłyby już w pełnym rozkwicie. Dianna przyjrzała się ogrodowi warzywnemu. Niewielkie zielone pędy pokrywały ziemię między ścieżkami wyłożonymi płaskimi kamieniami, ale nic nie było gotowe do zerwania i podania na stół.

– Jak długo musisz czekać?

– Pora zbiorów zacznie się za kilka miesięcy.

Dianna nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Wciąż siejesz?

– Nie, ten etap już skończony. Zanim dzień stał się zbyt gorący, zajmowałam się odchwaszczaniem i podlewaniem.

– Pomogę ci. – Dostrzegając lękliwe spojrzenie Ari, dodała nieco bardziej arogancko: – Może nie potrafię siać, ale jestem w stanie podołać podlewaniu.

Ari przechyliła głowę, jakby się zastanawiała.

– Dlaczego chcesz mi pomagać?

– Ponieważ w swoim domu nie mogę pracować w ogrodzie – odparła Dianna bez namysłu.

– Martwi cię coś, prawda?

*Wiele rzeczy, o których nie mogę mówić. Nie z tobą.*



– Mam kilka problemów.

Ari pokiwała głową.

– Praca w ziemi nie rozwiąże twoich problemów, ale może przynieść pewną ulgę. Ubrania, które nosiłaś podczas poprzedniej wizyty, znajdują się w skrzyni w ubieralni.

– Znajdę je.

– Zaopiekuję się koniem... – Oczy Ari rozszerzyły się z przerażenia, gdy wreszcie przyjrzała się bladej klaczy.

Dianna stężała. Czy magia Fae może wpłynąć na umysł wiedźmy?

– Powinnaś poznać starego Aherna – powiedziała Ari. – On też ma piękne wierzchowce.

– Znamy się – mruknęła Dianna.

– No proszę. Rozpływał się nad klaczą zanadto czy niewystarczająco? – Kiedy Dianna nie odpowiedziała, Ari dodała: – Zastanawiam się nad tym, ponieważ ma w swoich stajniach szarego ogiera, którego mógłby chcieć skrzyżować z twoją klaczą.

Dianna aż się zakrztusiła. Nie. Dziewczyna nie mogła wiedzieć, że szary rumak jest drugą postacią Pana Koni. Chociaż... Krążyły pewne niesmaczne legendy, wedle których tak właśnie powstały konie Fae.

– Pójdę się przebrać.

Zostawiwszy Ari, by zajęła się psem i klaczą, Dianna pospieszyła w stronę kuchennych drzwi.

– Wejdz i się rozgość – zawołała za nią Ari.

Dianna uznała, że to ciągłe witanie musi być jakimś wiedzim zwyczajem. Czy dziewczyna musi wypowiadać te słowa za każdym razem, gdy jej gość wyszedł z chaty i chce wejść do niej ponownie? Jeśli tak, to jest to bardzo uciążliwy zwyczaj. Będzie musiała ją o to zapytać, skoro już wie, że Ari jest wiedźmą. Fae muszą się dowiedzieć najwięcej jak się da.

W ubieralni stała tylko jedna skrzynia, a wyprane i równo złożone tunika i spodnie spoczywały na wierzchu stosiku ubrań. Dianna wyjęła odzienie, zamknęła skrzynię i rozejrzała się. Po jednej stronie pokoju znajdowała się drewniana komoda z szufladami oraz dwa rzędy kołków, na których, jak podejrzewała, mieściły się wszystkie ubrania Ari. Drugą stronę pomieszczenia zajmowały małe biurko, wysiedziane krzesło, które wciąż wyglądało na wygodne, a także stół z kagankiem. W pokoju stała także biblioteczka ze szklanymi drzwiczkami w ołowianych okuciach.

Biblioteczka była najporządniejszym meblem w chacie, znakiem czasów, kiedy rodzina Ari musiała być znacznie zamożniejsza. Zerkając przez szybę, Dianna zmarszczyła brwi. Znajdujące się w środku książki nie wyglądały imponująco. Wszystkie zbliżonej wielkości i grubości, obite skórą, przypominały raczej dzienniki, które chętnie prowadziły szlachcianki, nie zaś wartościowe tomy. Otworzyła drzwiczki, wyjęła ostatnią w rzędzie książkę i otworzyła na pierwszej stronie.

„Jestem Astra, teraz starucha tej rodziny. Ze smutkiem przeczytałam dzienniki tych, które żyły przede mną. Nosiliśmy na swoich barkach brzemię, a potem o nas zapomniano – albo potraktowano jak nędzarki, które powinny zebrać o resztki uczuć. Zostałyśmy tu, ponieważ kochałyśmy tę ziemię, zostałyśmy też z poczucia obowiązku. Ale obowiązek nie jest serdecznym towarzyszem i nie powinien być wystarczającym powodem, by trzymać nas na tej ziemi. Nie sądzę, by moja córka wzięła to pod uwagę, ale mam nadzieję, że znajdę słowa, by uświadomić Ari...”.

– Co ty robisz?

Dianna drgnęła, zaskoczona nagłym pojawieniem się Ari, jak również gniewem w jej głosie.

– Zobaczyłam książki i chciałam sprawdzić...

– To prywatne dzienniki mojej rodziny. Nie zostały napisane jako rozrywka dla szlachty.

– Ja...

Słowa przeprosin wyparowały, gdy Ari wyrwała dziennik z rąk Dianny, ostrożnie odłożyła go na regał i zamknęła szklane drzwiczki. Wciąż odwrócona plecami, rzuciła:

– Nawet przyjaciel powinien szanować cudzą prywatność.

– Nie miałam złych zamiarów, Ari. Naprawdę. Sądziłam, że to tylko książki, i byłam ciekawa.

Dianna przerwała, zastanawiając się, jak bardzo może urazić Ari kolejnym pytaniem.

– Czytałaś je?

Ari potrząsnęła głową.

– Tylko starucha ma dość lat i doświadczeń, by je czytać, i tylko ona dopisuje kolejny rozdział naszej historii. – Zwróciła się twarzą do Dianny. – Nie spieszy mi się do lektury. Myślę, że znajdę tam naprawdę okropne opowieści.

– Co okropnego możesz znaleźć?

– Nie wiem. Ale gdy moja babka weszła w wiek staruchy, czytała dzienniki całą zimę. Moja matka i ja patrzyłyśmy, jak starzeje się w oczach, jak gdyby ciężkie brzemie obciążało jej serce. Nie dożyła kolejnej zimy. Dlatego też nie spieszy mi się, by się dowiedzieć, co było w stanie doszczętnie złamać silną kobietę.

– Przepraszam.

Dianna spojrzała na tunikę i spodnie i poczuła ukłucie żalu na myśl o tym, że nie poczuje ziemi w dłoniach.

– Być może będzie lepiej, jeśli nie zostanę tu dzisiaj – powiedziała, licząc na to, że Ari uprzejmię zaoponuje.

Ona jednak odparła:

– Myślę, że tak będzie najlepiej.

Dianna podeszła do drzwi, po czym obejrzała się przez ramię.

– Nie chciałam ci sprawić przykrości. Mam nadzieję, że innego dnia znów będziemy przyjaciółkami. – *Gdy twój gniew opadnie albo będziesz na tyle samotna, by przymknąć oko na tę, było nie było, pomyłkę.*

– Innego dnia – zgodziła się Ari.

Klacz wciąż była osiodłana. Obok niej stało wiaderko z wodą, wciąż chłodną. Ari musiała nabierać wodę ze studni, kiedy sobie uświadomiła, że wysłała obcą do pokoju pełnego najcenniejszego dobytku jej rodziny.

Kiedy Dianna wsiadła na konia, szczeniak zaczął na nią ujadać, jakby nie musiał już się obawiać tego, co sobie o nim pomyśli.

*Mam nadzieję, że przynajmniej w tym względzie postąpiłam właściwie, pomyślała, rozpoczynając dłuższą podróż do prowadzącej przez Zastonę lśniącą drogi. I mam nadzieję, że innego dnia powita mnie jak przyjaciółkę – nie tylko dlatego że musimy zrozumieć takie jak ona, ale także dlatego że naprawdę ją polubiłam.*



– Falco! – Spiesząc w stronę swojej zdobyczy, Dianna ignorowała zaskoczone spojrzenia innych mężczyzn otaczających Pana Jastrzębi. Zignorowała też protesty Falcona, gdy chwyciła go za ramię i wyciągnęła z pokoju.

– Dianno! Czy coś się stało?

– Tak. Nie. Nie do końca. – Myślała nad tym przez całą drogę do domu. Cieszyłaby się bardziej ze swojego daru, gdyby istniał sposób, by go wykorzystać, i gdyby ona była w stanie coś na to zaradzić. – Chcę, byś złapał królika.

Falco zająknął się dwa razy, zanim wreszcie powtórzył:

– Chcesz, żebym złapał królika.

Zareagował tak, jakby to była dziwna prośba – i oczywiście była dziwna, ale to nie miało znaczenia.

– Tak.

Uśmiechnął się z wahaniem, jak gdyby miał ochotę pośmiać się z tego żartu, nawet własnym kosztem, gdyby tylko powiedziała mu, o co chodzi.

– Chcę, żebyś się udał do świata ludzi, przybrał swoją drugą postać, złapał królika i zaniósł go do chaty przy morzu. – Gdy spostrzegła jego wahanie, wypaliła: – Czemu to takie trudne? Przecież lubisz polować na króliki. Sam tak mówiłeś.

– To chata wiedźmy – odparł Falco ostrożnie. – Światły kazał mi się trzymać od niej z daleka.

– A teraz ja, Łowczyni, wydaję ci nowe polecenie.

– Dlaczego? – W głosie Falcona pobrzmiwał strach. – Jeśli mam ryzykować, że spadnie na mnie jego gniew, zdradź mi chociaż powód.

Dianna się skrzywiła. Miała nadzieję, że nie będzie musiała ujawniać aż tyle.

– Podarowałam jej szczeniaka.

– Dałaś... – Falco otworzył szeroko usta. – Dałaś wiedźmie ogara cienia?

– To jeden z kundli, bezwartościowy dla nas – odparła cierpko Dianna. – Nie jest prawdziwym ogarem cienia.

– Ale...

Trzymając nerwy na wodzy, oparła dłonie na barkach Falcona. Chciała go w ten sposób wesprzeć, ale też powstrzymać przed wybuchem, który najpewniej skierowałby w stronę Luciana.

– Falco, Aiden ma pewność, że wiedźmy są w jakimś stopniu powiązane z tym, co się dzieje w Tir Alainn. Ta jest młoda, nie jest nastawiona przeciwko nam. – Przynajmniej na to liczyła. – Jeśli będziemy jej przyjaciółmi, nie skrzywdzi nas. Może nawet będzie w stanie pomóc nam zrozumieć, co się dzieje, może będzie w stanie pomóc nam to powstrzymać. Szczeniaka trzeba czymś karmić, dlatego potrzebuje dodatkowego mięsa. –

Dopiero gdy spojrzała w oczy Falcona, zrozumiała, że gniew Luciana nie był jedynym powodem, dla którego nie zbliżał się do chaty. – Nie musisz się tam zatrzymywać. Po prostu zostaw królika w miejscu, w którym łatwo go znaleźć.

– W porządku. – Falco się odsunął i uklonił na znak, że była to formalna rozmowa, po czym szybko odszedł.

– Falco! – zawołała Dianna, nim skręcił za róg. – Najlepiej będzie, jeśli na razie nikomu o tym nie wspomnisz.

Spojrzał na nią jak mężczyzna, któremu kazano się rzucić do z góry przegranej bitwy.

– Łowczyni, nie ma tu nikogo, komu chciałbym o tym wspomnieć.

*Hau. Hau hau hau!*

Ari spojrzała na oborę z poczuciem winy. Nigdy wcześniej nie miała szczeniaka, ale ten potrzebował zaledwie kilku minut, by przekonać ją, że psy i świeże grządki nie są dobrym połączeniem. Jako że nie chciała puszczać go samopas, póki nie przyzwyczai się do nowego domu, spędziła kilka minut, biegając z nim po łące, by go zmęczyć, a potem zamknęła go w oborze razem z miską chłodnej wody. Będzie musiała spytać Nealla, jak nauczyć szczeniaka, by nie wchodził do domu.

*Hau. Hau hau hau!*

Dokończy jeszcze kilka obowiązków, a potem go wypuści i znajdzie coś na obiad dla ich dwójki...

– Aaiieeee!

Na ten dziwny dźwięk popędziła do obory. Rozwarła drzwi i stanęła jak wryta. Nie miała pewności, kto poczuje się bardziej urażony, jeśli się roześmieje – szczeniak czy mały mężczyzna trzymający się kurczowo górnej barierki zagrody.

– Nie stój tak! – krzyknął. – Bierz siekierę i się broń!

O rety.

Ari pochwyciła nasrożony kłęb futra i przytuliła do piersi. Młode stworzenie miało w sobie mnóstwo wigoru.

– Już w porządku – powiedziała Ari.

*Hau hau. Grrr...*

– W porządku? – pisnął mały mężczyzna. – Przyszedłem tu, by trochę odpocząć, natknąłem się na tę wielką bestię gotową rozedrzeć mnie na strzępy, a ty mówisz, że w porządku?

– Cicho! – Ari zganiła szczenię.

Po jeszcze jednym szczeknięciu szczeniak w końcu zamilkł. Mężczyzna spiorunował go wzrokiem.

– To tylko szczeniak – powiedziała Ari spokojnym tonem. – Prawdopodobnie wystraszyłeś go równie mocno jak on ciebie.

– Nie sądzę. On ma znacznie ostrzejsze zęby.

– To szczeniak.

Mały mężczyzna usadowił się wygodniej na barierce.

– Szczeniak – powiedział złowieszczo. – Chcesz powiedzieć, że ta olbrzymia bestia będzie jeszcze większa? O ile większa?

– Nie wiem. Ale na pewno jeszcze urośnie.

Mały mężczyzna spojrzał na psa, mrużąc oczy.

– To przybłąda znaleziona w lesie?

– Nie... dała mi go... przyjaciółka.

– Przyjaciółka.

– Tak, ona...

Nagły pisk jastrzębia przestraszył Ari. Odwróciła się w stronę drzwi, słysząc, jak mały mężczyzna gramoli się w dół po barierce. Poczwała, jak ociera się o jej nogi i ostrożnie wygląda na zewnątrz.

– Masz towarzystwo – powiedział niepokojącym tonem.

Jastrząb stał na pieńku do rąbania drewna, w szponach jednej nogi trzymał królika. Sposób, w jaki ich obserwował, wzbudził w Ari trwogę.

– Myślisz, że szlachta poluje, a jeden z ich jastrzębi zabłądził i dotarł do Brightwood?

– Nie ma pęt sokolniczych – zauważył mały mężczyzna. – Ten ptak nie należy do nikogo poza sobą.

– Czemu dziki jastrząb miałby przynosić swoją zdobycz tak blisko chaty?

– Jego o to zapytaj... Najlepiej zostawić tu twoją tycią bestyjkę. Nie ma sensu, by psiak został zabity, zanim zdążyłaś się nim znudzić.

– Ale... – Ari spojrzała na jastrzębia. – Z pewnością ptak po prostu by odleciał, gdyby szczeniak za nim pobiegł.

– Gdyby był to tylko jastrząb, faktycznie mogłoby się tak skończyć.

Ari przeszedł dreszcz. Wzmógł się, gdy zobaczyła, że mały mężczyzna wyciąga z kieszeni procę i kilka kamieni. Mały Lud równie zręcznie polował za pomocą procy, co za pomocą łuku.

– Lepiej wyjdź i sprawdź, czego chce lord Fae. Im szybciej załatwi to, po

co tu przybył, tym szybciej odejdzie.

– Fae? Skoro on... Jeśli on wie... Z pewnością nie chce zrobić mi krzywdy. W końcu lord Fae, którego poznałam, był przyjaźnie nastawiony.

A nawet więcej niż przyjaźnie. Samo wspomnienie pocałunków Luciana sprawiło, że ugięły się pod nią kolana. A może nastąpiło to na wspomnienie jego gniewu podczas ich ostatniego spotkania.

– Och, oni zawsze są przyjaźni, póki dostają to, czego chcą. Dopiero gdy im tego nie dajesz, musisz zacząć uważać. Magiczny Lud ma w sobie część podłości. To ich cecha wspólna z ludźmi. – Uśmiechał się ponuro i złośliwie. – Idź do niego. Zadbam o to, by nic ci się nie stało.

Ari postawiła szczeniaka.

– Zostań – wydała komendę z nadzieją, że zrozumie, a potem wytarła spoczone dłonie o tunikę i powoli podeszła do pieńka. – Niech cię dzień błogosławi, bracie jastrzębiu.

Ptak popatrzył na nią, potem na królika, potem znów na nią.

– Widzę, że masz pięknego królika – dodała.

Jastrząb zaszeleścił piórami.

*Na co on czeka?, zastanawiała się Ari. Jeśli jest lordem Fae, czego ode mnie oczekuje? Nie mógłby... Och, na łaskę Matki, chyba nie wydaje mu się, że witam z otwartymi ramionami każdego Fae, tylko dlatego że Lucian był moim kochankiem. A może jednak?*

Po dłuższej chwili jastrząb wypuścił królika. Nadal czekał.

– Przyniosłeś dla mnie królika? – spytała Ari.

Czemu miałyby to robić? Nie żeby mięso było niemile widziane, zwłaszcza odkąd przygarnęła szczeniaka.

Poruszając się powoli i wyciągając ręce do przodu, by trzymać twarz jak najdalej od dzioba i szponów, Ari chwyciła królika. Odsunęła się, wciąż trzymając truchełko w wyciągniętych rękach, gotowa upuścić je, gdyby zeżłościła jastrzębia.

Ptak przez chwilę jedynie na nią patrzył, a później rozłożył skrzydła.

– Wykonałeś całą pracę, więc powinieneś zatrzymać dla siebie część łupu – powiedziała Ari. – Poczekaj chwilę, jeśli możesz.

Pospieszyła do kuchni i wyciągnęła z drewnianego bloczku największy nóż, jaki miała. Włożyła królika do zlewu i odcięła mu tylną łapę. Podłożyła ręcznik, by zebrał krew, po czym wyszła na zewnątrz i ułożyła kończynę na pieńku. Przez chwilę jej się zdawało, że widzi zaskoczenie w oczach

jastrzębia.

– Dziękuję za królika – powiedziała.

Dopiero po dłuższej chwili jastrząb zatopił szpony w króliczej łapie i odleciał.

Ari osunęła się na ziemię; nagle jej nogi zrobiły się zbyt miękkie, by ją utrzymać. Dopiero wtedy szczeniak wyskoczył z obory, wściekle ujadając. Spojrzała na małego mężczyznę idącego w jej stronę i zaczęła się zastanawiać, jakiej magii użył, by uciszyć psa i zatrzymać w oborze.

– Dobrze postąpiłaś, panienko Ari.

– To mógł być zwyczajny jastrząb.

– A ja mogę być olbrzymem. – Mały mężczyzna uśmiechnął się ponuro. – Ta przyjaciółka, która podarowała ci szczeniaka... Jak wygląda?

– Ma jasne włosy, jasnobrązowe oczy i – Ari spróbowała się uśmiechnąć – jest dość bezużyteczna w ogrodzie. Sądziłam, że nawet szlachcianki wiedzą o tym, iż rośliny nie zakwitają w ciągu kilku dni. Ale ma kilka wspaniałych wierzchowców. Zwłaszcza szara klacz, na której przybyła dziś rano, zasługuje na uznanie.

– Jeździ na bladej klaczy.

Ari zdziwiły te słowa.

– Tak. Przynajmniej dzisiaj na niej przybyła. Znasz ją?

– Widziałem ją. – Nie wydawał się zadowolony z tego powodu.

Szczenie zaskowyczało i wspięło się na kolana Ari, tak jakby rozumiało, o kim mowa.

– Lepiej już pójdę. Muszę się zająć się swoimi sprawami – powiedział mały mężczyzna. – Pomyślności, panienko Ari.

Patrzyła, jak przemierza łąkę. I choć śledziła go wzrokiem, zniknął na długo przed tym, zanim dotarł do lasu. Ale tak to już było z Małym Ludem. Byli widzialni jedynie wtedy, gdy sami tego chcieli.

Czy miał rację w kwestii jastrzębia? Czy to był lord Fae? Ale dlaczego jakikolwiek Fae miały się jej teraz pokazywać? Nigdy wcześniej tego nie robili. A przynajmniej nie przypominała sobie takiej sytuacji. Czy była to wyłącznie ciekawość spowodowana jej relacją z Lucianem, a jego wizyty tutaj zostały odebrane przez innych za milczące przyzwolenie, by uświadomić ją o swojej obecności? A może chodziło o coś więcej? A jeżeli tak, to czego nagle od niej chcieli?

I czego nie powiedział jej mały mężczyzna na temat szczeniaka i Dianny?



Wzdychając, Ari potarła nosem o łebek pieska.

– Chodź. Czeka na nas królik. Gulasz dla mnie i kawałek surowizny dla ciebie. A gdy potrawka będzie się gotować, przed nami ważne zadanie: trzeba ci wybrać odpowiednie imię.



Neall nabrał w złożone dłonie miarkę wody i wypił. Kolejną porcją ochlapał twarz.

Przydałby się chłodny ulewny deszcz. Strumienie i potoki miały już niski poziom, a plony nie wzrastały tak bujne, jak powinny. Co gorsza, dzierżawcy postanowili wybrać akurat wczorajszy dzień, który spędził z Ari, by przedstawić rządcy barona Felstona swoje skargi i obawy. Rządca z kolei zwrócił się z nimi do barona. A Felston o mniej obsianych akrów i brak deszczów mogących wspomóc wzrost sadzonek obwiniął „gnuśność” Nealla.

Po wielokroć powtarzał baronowi, że ludzie nie głodowaliby przez zimę, gdyby owoce ich ciężkiej wiosennej pracy w ziemi nie były im odbierane jako dziesięcina. Po raz ostatni zamierzał znieść obwinianie go winą za problemy mające u źródła chciwość Felstona. Dziś, gdy objeżdżał dzierżawione farmy, by zweryfikować zasadność skarg – jakby musiał po raz kolejny robić to, co robił ciągle od ostatniej wiosny – próbował zdecydować, czy od razu pojedzie na zachód na ziemię matki, a potem wróci po Ari, czy może spróbuje znaleźć jakieś miejsce w okolicy, gdzie mógłby się zatrzymać i pracować, podczas gdy ona będzie się zastanawiać, czy pojechać z nim czy zostać w Brightwood.

Napełnił bukłak i odsunął się od strumienia.

– Chodź – rzucił do Darcy’ego. – Skończmy to.

Okrągły kamień uderzył w jego but na tyle mocno, by go zabolalo.

Omiótł wzrokiem skrawek lasu, który oddzielał od siebie pola. Niczego jednak nie zobaczył.

– Dobrze będzie odwiedzić Brightwood, paniczku – rozległ się burkliwy głos.

Nic więcej. Nie było sensu szukać. Niczego nie zobaczy, nikogo nie znajdzie.

Neall błyskawicznie dosiadł konia. Mały Lud nie ostrzegał nikogo nadaremno. A więc wydarzyło się coś, o czym ich zdaniem powinien

wiedzieć.

– Brightwood – powiedział, pozwalając wałachowi samodzielnie wybrać tempo.

Jeśli Felston ukarze go za zaniedbywanie obowiązków, niech i tak będzie. Ari była najważniejsza.

Gdy on i Darcy dotarli do chaty, obaj byli mocno zmachani po ciężkim, szybkim cwale.

– Ari! – Neall szybko wysunął stopy ze strzemion i zeskoczył z siodła.

Co tu się mogło stać? Czy coś nie tak z Ari? Jediną bronią, jaką miał przy sobie, był roboczy nóż, ale on na niewiele się zda. Wyciągnął go z pochwy schowanej w cholewce buta i obiecał sobie, że nigdy więcej nie wyjdzie z domu, nie zabierając przynajmniej łuku i kołczanu.

– Neall? – Jej głos brzmiał słabo.

Odwrócił się, próbując ustalić, z którego kierunku dobiega. Wałach domyślił się szybciej i pokłusował w stronę wychodka oddalonego o kilka stóp od obory.

Neall podbiegł tam i sięgnął ręką do drzwi. Wciąż jednak miał w sobie dość rozsądku, by się zawahać.

– Ari?

– Neall? – pisnęła.

– Tak, to ja, Neall.

– Odejdź stąd.

– Cholera, nie odejdę! – Ponownie sięgnął do drzwi.

– Neall... poczekał przy studni przez minutę czy dwie. Proszę.

Zaczynał się czuć głupio, ale odwrócił się i podszedł do studni.

– Chodź – ponaglił Darcy'ego. – No, dalej, przejdź się po łące, żeby ochłonać. Potem napijesz się wody.

Koń prychnął i spojrział na wychodek, ale w końcu rozpoczął wolny spacer po łące.

Neall patrzył za nim przez kilka sekund, by się upewnić, że zwierzę będzie chodzić i nie zacznie się paść. Niech Matka błogosławi Ahernowi. Nie miał pojęcia, jak mężczyźnie udaje się hodować konie mądrzejsze od innych, ale był mu wdzięczny za tego wałacha.

Napełnił wiadro wodą ze studni, ściągnął przepoconą koszulę, a potem użył wiszącej na haku chochli, by oblać się wodą.

Nieco złośliwości? Tym właśnie było ostrzeżenie?

Darcy przez chwilę niuchał w trawie, a potem – spłoszony – zaczął się przesuwać w stronę Nealla. Kiedy Neall ujrzał szary tułów podnoszący się z trawy, poczuł, jak jego serce przyspiesza.

*Hau. Hau hau hau!*

Szczeniak ruszył prosto na niego. Neall z ulgą wypuścił wstrzymywane powietrze na widok podpalanego umaszczenia przednich łap. Kilka stóp od niego szczeniak potknął się i przekoziółkował kilka razy, lądując z nosem przy jego butach. Zaczął zażarcie obszczekiwać jego stopy, aż Darcy, zaintrygowany, zaszedł psa od tyłu i prychnął.

Skowycząc, szczeniak podkulił ogon i uciekł w stronę wychodka.

Ari wyszła na podwórko, podniosła psa i ruszyła w kierunku studni. Wyglądała na sfrustrowaną i poirytowaną – póki nie zobaczyła zmęczonego wierzchowca. Wtedy troska wypełniła jej spojrzenie.

– Co się stało? – spytała.

Czując zbyt wiele negatywnych emocji, Neall ochlapał twarz wodą, zanim się odezwał:

– Ty mi powiedz.

– No tak – odparła Ari po dłuższej chwili. – Aż tak go to zaniepokoiło.

Neall otarł wodę z twarzy.

– Kogo?

Zawahała się.

– Jednego przedstawiciela Małego Ludu, który był tutaj, gdy przyleciał jastrząb. Przyniósł mi królika, a on – zaakcentowała to słowo, dając do zrozumienia, że mówi o małym mężczyźnie – stwierdził, że jastrząb musiał być lordem Fae.

Neall poczuł ucisk w piersi.

– Lord Fae podarował ci królika. Powiedział dlaczego?

– Był w postaci jastrzębia, Neall. Nie prowadziliśmy konwersacji.

– To nie tłumaczy...

Przeszedł go dreszcz, ale miał nadzieję, że się nie myli. Wiedział, że mężczyzna, który przyjął ofertę Ari podczas Letniego Księżyca, nie należał do miejscowej szlachty, ale do tej pory rozważał raczej, czy nie był to zamożny kupiec, który zatrzymał się na pewien czas w okolicy. Teraz musiał wziąć pod uwagę także tę ewentualność, że mężczyzna mógł być Fae. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, że takie spotkania i związki są możliwe.

– Ten... dżentelmen... któremu podarowałaś specjał. Czy to mógł być on?

– Nie.

– Ari, jeśli nie powiedział ci, że jest Fae...

– To nie był on. To nie była jego druga postać.

Neall oparł się o studnię zupełnie oniemiały. Czyli wiedziała, że jej kochanek jest lordem Fae. Nie był to mężczyzna, który przybył w te rejony jedynie na pewien czas, ale ktoś, kto wciąż mógł być w pobliżu – i wciąż mógł być zainteresowany Ari.

– W okolicy musi mieszkać jakiś klan – powiedział cicho. – Drogi przez Zasłonę zawsze łączą się ze Starymi Miejskami. Czyli jedna z dróg musi prowadzić do Brightwood.

– Skąd wiesz, że te drogi łączą się ze Starymi Miejskami? Żadna z opowieści nie określa tak dokładnie położenia lśniących dróg. A jeśli to prawda, czemu nikt z okolicy nie widział ich tutaj aż do teraz?

*Ponieważ nie chcieli być widziani.* Neall potrząsnął głową. To nie była pora, by powiedzieć Ari, że widział Dziki Gon wyjeżdżający z lasu otaczającego łąkę. Ale mógł jej zdradzić drugie źródło swojej wiedzy.

– Przyjaciółka mojej matki powiedziała mi o tym, gdy byłem dzieckiem... – Zawahał się. Cały czas myślał o tym, czy stracił ją, jeszcze zanim spróbował ją zdobyć. – Wiesz, kim on był? Ten, który... – Nie był w stanie dokończyć zdania.

Nie odpowiadała przez dłuższy czas. Wreszcie odrzekła:

– Światłym.

– Na łaskę Matki...

– Był dla mnie miły, Neall. Zresztą to i tak skończone.

– Jesteś pewna?

Czym się różnił królik od łososia, gdy chodziło o dar podczas umizgów?

Zanim przytaknęła, jego serce zamarło. Czyli tak się sprawy mają. Wciąż ją ciągnie do Pana Ognia. Czy na tyle mocno, by ponownie przyjęła go w swoim łóżku?

Neall obciągnął koszulę, strząsając z siebie uczucia, które próbowały go okaleczyć. *Nie przegrałem, póki nie powiedziała mi, żebym jechał bez niej.* Ale nie było mowy, by ruszył na zachód i po nią wrócił. Nie, gdy jego rywalem był lord Fae – zwłaszcza ten konkretny lord Fae.

– Więc – wyciągnął dłoń, by szczeniak mógł ją obwąchać – nie zamierzasz nadać mu kompromitującego imienia, prawda? Kobiety zawsze nazywają psy tak, że mężczyźni aż się wzdrygają.

Ari zmrużyła oczy.

– Nie tylko kobiety potrafią wybrać zwierzakowi dziwne imię. Nazwałeś swojego wałacha Dar Sił, a teraz wołasz go Darcy.

– Tak jakoś brzmi, gdy szybko to wymawiam – wymamrotał Neall. Postanowił nie kontynuować dyskusji. Zamiast tego przyjrzał się szczenięciu.

– Skąd go masz?

Ari fuknęła na tę nagłą zmianę tematu, ale zaraz jej twarz rozjaśnił uśmiech. Postawiła psa na ziemi.

– Dianna mi go podarowała. Planowałam nazwać go Chyży.

Szczeniak zauważył motyla. Gonił go, aż splątały mu się łapy i fiknął koziółka.

– Potem pomyślałam, by nazwać go Łowczy.

Psiak zauważył swój ogon i zaczął go gonić.

– Jaką decyzję podjęłaś ostatecznie? – spytał poważnie Neall.

– Merle.

Neall pokiwał głową.

– Dobry wybór. Przynajmniej to imię zawsze będzie do niego pasować.

Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem.



Dianna przekleła pod nosem, widząc, że Lyrre i Aiden idą w jej stronę. Prawdopodobnie chcieli się dowiedzieć, co się wydarzyło dziś w chacie – a ona nie miała ochoty, by w tej chwili to z nimi omawiać. Falco dotarł do niej pierwszy; nie zdążyli jednak pomówić, gdy zjawilo się niechciane towarzystwo.

Rzuciła Aidenowi chłodne spojrzenie, wiedząc, że dawanie subtelnych znaków Lyrre jest bezcelowe. Bądź co bądź była kobietą – a do tego Mużę. Zauważyłaby znak, zrozumiała go, a potem zignorowała, gdyby tak właśnie postanowiła.

Aiden jednak zwolnił krok i złapał Lyrre za ramię, zmuszając ją, by dopasowała się do jego tempa.

– Więc? – Dianna zwróciła się do Falcona. Martwiła się o niego, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

Poruszył się niespokojnie.

– Podarowała mi tylną łapę.

Dianna żywiłowo potrząsnęła głową, jakby się przesłyszała.

– Co takiego?

– Łapę królika. Zabrała łup do chaty, odcięła tylną łapę i wręczyła mi w nagrodę za upolowanie go.

Dianna zmrużyła oczy.

– Czemu wtedy wciąż tam byłeś? – rzuciła gniewnie. – Kazałam ci zostawić królika i odlecieć.

Oblał się rumieńcem.

– Chciałem zobaczyć wiedźmę. Oczywiście, widziałem ją już wcześniej, ale wtedy nie wiedziałem, że jest jedną z nich. Więc... – Skulił ramiona. – Wiedziała, że jestem Fae.

Dianna wciągnęła powietrze ze świstem.

– Skąd wiedziała? Chyba się jej nie ujawniłeś?

– Skądże! – odparł pospiesznie. Za głośno. Rozejrzał się, by zobaczyć, czy ktoś zwrócił na to uwagę, a potem ściszył głos: – Jeden z członków Małego Ludu był z nią, a oni zawsze potrafią nas rozpoznać, niezależnie od tego, w której jesteśmy postaci.

– Co tam robił jeden z tych szelm? – wymamrotała tak, że Falco się wzdrygnął.

Czy gdyby Mały Lud zaczął sprawiać kłopoty, Ari mogłaby pomyśleć życzliwiej o innym ludzie, który posługiwał się magią?

– Nie wydawała się przejmować jego obecnością. Poza tym... – Wyglądał na zmieszanego. – Bała się mnie. Jeśli te wiccanfae są tak potężne, dlaczego miałyby bać się mnie? Co mógłby jej zrobić Pan Jastrzębi?

– Może nie wszystkie są potężne – powiedziała Dianna z rozwagą. – Może są podobne do nas, jedne silniejsze, inne słabsze. – Gdyby tak było, Ari mogłaby nie mieć dość mocy, by ich skrzywdzić, a przy tym potrafiłaby im pomóc zrozumieć, co się dzieje z Tir Alainn. Zauważywszy, że Aiden i Lyrra znajdują się raptem kilka kroków od niej, Dianna uśmiechnęła się do Falcona. – Dziękuję. Dobrze się spisałeś.

Przyjrzał się jej uważnie.

– Jeden królik nie wystarczy na długo, zwłaszcza gdy musi wykarmić rosnącego szczeniaka. Mogę przynieść jej kolejnego za dzień lub dwa.

– Zastanowię się nad tym.

Falco powitał Aidenę i Lyrrę, pożegnał Dianę i odszedł.

– Co dzisiaj wymyślił Falco? – zapytała Lyrra, gdy tylko znalazł się tak

daleko, by jej nie usłyszeć.

– Mam nadzieję, że nic głupiego – powiedział Aiden.

– Oddał mi drobną przysługę – odparła Dianna wymijająco. – Aidenie, zagrasz dla nas dziś wieczorem na harfie, prawda?

Lyrra miała ochotę się zbuntować na tę nagłą zmianę tematu, ale kiedy Aiden niespodziewanie się poddał, Muza postanowiła pójść w jego ślady i się nie spierać.

Dianna wiedziała, że nie powinna ich odpychać. Oboje byli świadomi niebezpieczeństw czyhających na Tir Alainn, a jako że nie mogła porozmawiać z Lucianem, nie przyznając mu się, że odwiedzała Ari, ta dwójka była jej najlepszymi sojusznikami.

Ale dziś nie mogła powiedzieć im wszystkiego. Jeszcze nie. Za kilka dni powróci do Brightwood i sprawdzi, czy szczeniak ucieszył Ari na tyle, by wybaczyła jej naruszenie swojej prywatności.

Wtedy, miejmy nadzieję, będzie im miała coś do powiedzenia.



Lucian stał na skraju tarasu i obserwował, jak w domu klanu jedno okno po drugim rozbłyska światłem, podczas gdy światło dnia ustępuje zmierzchowi. Wewnątrz znajdowało się jedzenie i towarzystwo. Miał ochotę na jedno i drugie, ale nie potrafił znieść żadnego z nich.

Tęsknił za nią. Próbował przekonać samego siebie, że pragnie jedynie jej ciała, ale prawda była taka, że tęsknił za nią. Tęsknił za brzmieniem jej głosu, mimo że zwykle nudziło go to, co mówiła. Tęsknił za wodzeniem za nią wzrokiem, gdy poruszała się po kuchni, by zaspokoić jego głód po tym, jak zaspokoila go w inny sposób. Tęsknił za jej milczącą siłą i zastanawiał się, jaka by była, gdyby pozwoliła tej sile w pełni rozkwitnąć. Tęsknił za dotykaniem jej... i za byciem dotykanym.

Nie powinien tęsknić za żadną z tych rzeczy. Nie chciał za nimi tęsknić. Powinien być w stanie zrezygnować z tego i nie oglądać się za siebie. Ale nie czuł, że to zamknięta sprawa. Dlatego wciąż o niej myślał, pragnął jej. Nie wręczył jej pożegnalnego prezentu, więc nie miał wrażenia, że się pożegnali. Gdyby nacieszył się nią jeszcze przez dwa ostatnie dni, wszystko byłoby skończone; on byłby kochankiem, który nauczył ją, jaką przyjemność można znaleźć w łóżku, a ona stałaby się dla niego miłym wspomnieniem – i niczym

więcej.

Zamiast tego myślał o niej i zastanawiał się, czy wszystko u niej dobrze i czy jej ogród rozkwita, jako że był dla niej tak istotny. Zastanawiał się też, czy gdyby złożył jej wizytę, przywitałaby go z otwartymi ramionami i znów zabrała do swojej sypialni.

Serce Luciana zaczęło bić nieco szybciej.

Nie było powodu, by Ari miała go nie przyjąć. Był szczodrym kochankiem, w łóżku i poza nim. Nie było powodu, by odwróciła się od mężczyzny, który budził w niej ekscytację. A budził. Wiedział o tym. Mógł pojechać do jej chaty jutro wieczorem i...

Nie. Nie wieczorem. Wtedy zasugeruje jej, że chodzi mu tylko o jedno. Jutro rano. Po prostu spędzi z nią czas, pobędzie z nią. Może dzięki temu uda mu się lepiej ją zrozumieć. A gdy będzie odjeżdżał, nie sięgnie po nic prócz jej pocałunku, żeby wiedziała, że pragnie nie tylko jej ciała.

Nabrał powietrza, pewien, że to pierwszy głęboki wdech, jaki zrobił od wielu dni. Uśmiechnął się, usłyszawszy pierwsze nuty utworu, i dołączył do swoich pobratymców.



Było jeszcze dość widno, by zatrzymać się przy kolejnej farmie przed powrotem do domu Felstona.

*To już nie jest dom*, pomyślał Neall. Pozostawił Darcy'emu dbanie o bezpieczeństwo na drodze, podczas gdy jego umysł odtwarzał wszystkie fragmenty tego dnia. *To nigdy nie był prawdziwy dom*.

Każdy dzień, który tam spędził, sprawiał mu więcej bólu niż poprzedni. Nie był już dzieckiem, zmuszanym do wdzięczności wobec osoby z rodziny jego ojca, która go przygarnęła. Był mężczyzną, przed którym otwierała się przyszłość – i nadeszła najwyższa pora, by po nią sięgnąć.

Czy Ari postanowi z nim jechać? A może obecność Światłego skusi ją do pozostania w Brightwood? Ale jak długo *on* był gotów czekać? I co się stanie z Ari, gdy lord Fae znuży się tym romanssem i zniknie?

„Dianna mi go podarowała”.

Szczeniak wystraszył Nealla – dopóki nie dostrzegł podpalanego umaszczenia jego łap, sądził, że to ogar cienia.

Kim była Dianna? Miała w sobie dość arogancji, by pochodzić ze szlachty,



ale tak nie było. Mógł się o to założyć, stawiając na szali skromne uposażenie, jakie niechętnie wypłacał mu Felston. Więc kim...

„Potrafisz przejrzeć przez obrok?”

Czując nagłe zawroty głowy, Neall wypuścił z rąk wodze i zachwiał się w siodle. Wałach robił co mógł, by utrzymać jeźdźca na grzbiecie, więc ostatecznie Neall zamiast runąć z całą mocą, jedynie osunął się na ziemię.

Ashk.

Wtedy udał się do lasu, by znaleźć lisią norę, którą ojciec pokazał mu kilka dni wcześniej. Chciał sprawdzić, czy lisica urodziła już młode. Ojciec był zajęty, poszedł więc do lasu sam, chociaż nie było mu wolno. Gdy ostrożnie zbliżył się do nory, ujrzał Ashk siedzącą na pobliskiej kłodzie. Nie uświadomiła sobie jego obecności aż do chwili, gdy znalazł się niemalże obok niej, a wtedy... Jej twarz była jedynym, co wyłapał z rozmycia – twarz ukryta pod tą, którą zwykle dostrzegało oko. Nie uważał, by spiczaste uszy były czymś dziwnym albo by należało się obawiać jej zwierzęcych rysów. To była Ashk, najbliższa przyjaciółka jego matki, przyjaciółka, która czasem się nim opiekowała, gdy jego rodzice mieli do wykonania pilną pracę. Wpatrywała się w niego przez dłuższy czas, aż zaczął się zastanawiać, czy złaża go za to, że sam chodzi po lesie. Ale ona zaproponowała, by usiadł koło niej, gdyż zbliżała się pora narodzin. Niczego nie usłyszał – w przeciwieństwie do niej. Po jej uśmiechu i uścisku dłoni domyślił się, że lisica urodziła młode i wszystkie mają się dobrze. Potem odprowadziła go do domu. Jeszcze tylko raz widział, by jej twarz skrywała się za rozmyciem – w dniu, gdy zabrała go do wioski, by poznał obcego nazwiskiem Felston, mężczyznę, który zgodził się wypełnić rodzinny obowiązek.

Neall opuścił głowę i oparł ją o ugięte kolana. Darcy obwąchał go z troską, niewątpliwie zdziwiony, czemu mężczyzna siedzi przy drodze.

Ashk, przyjaciółka jego matki, była Fae.

„Potrafisz przejrzeć przez obrok?”

Spytał ojca, co to jest obrok, ale nigdy nie wyjaśnił, czemu chciał to wiedzieć. Dlatego odpowiedź była dla niego niezrozumiała. Ale nie to powiedziała Ashk. Powiedziała „urok” – i miała na myśli magię, której używają Fae, by zmylić wzrok i przybrać ludzki wygląd.

A on potrafił przez niego przejrzeć. Dlatego to, co widział, czasami zachodziło mgłą. Przez moment spoglądał przez maskę, zanim jego oczy poddały się magii.

„Dianna mi go podarowała”.

Widział ją już wcześniej... w noc Letniego Księżyca, gdy jechała na bladej klaczy za swoim stadem ogarów cienia.

Na łaskę Matki, dlaczego Łowczyni spędzała czas w Brightwood, podszywając się pod człowieka?

Darcy trącił go łbem. Neall położył dłoń na pysku wałacha – i znów poczuł, że kręci mu się w głowie.

Ahern, który hodował najlepsze konie w tej części Sylwalanu – być może nawet w całym Sylwalanie. Ahern, którego twarz czasem zachodziła mgłą na kilka sekund, gdy Neall na nią spoglądał. Ahern, burkliwy starzec, który wydawał się nadmiernie interesować kobietami zamieszkującymi Brightwood – i dziewczyną, która wciąż tam przebywała.

Ahern także był Fae.

Neall podniósł się i oparł o Darcy’ego na kilka chwil, by odzyskać równowagę, zanim siądzie w siodle. Kusiło go, by zawrócić i pojechać na farmę Aherna, ale potrzebował czasu, by pomyśleć, nabrać dystansu.

Fae cały czas byli tu obecni. Ale dlaczego tylu z nich zjawiało się właśnie teraz? I dlaczego Światły oraz Łowczyni – ta dwójka, która kierowała pozostałymi – nagle zainteresowali się Ari?

## ROZDZIAŁ 20

Morag wybudziła się z niespokojnego snu. Na początku myślała, że blade światło oznacza wczesną godzinę po wschodzie słońca. Potem usłyszała głosy bawiących się na zewnątrz dzieci i zrozumiała, że pora jest późniejsza.

*Nadchodzi burza.*

Trzęsąc się z zimna, szybko wciągnęła na siebie czarne spodnie i czarną tunikę. Jej własne ubrania. Przez ostatnie kilka dni nosiła rzeczy pożyczone od innych kobiet z klanu, podczas gdy jej „trupie odzienie” było czyszczone i cerowane. Te słowa miały być tylko elementem przekomarzanek, ale niosły za sobą coś jeszcze. W ich klanie nie było żadnej Służki Śmierci, a we własnych ubraniach Morag aż za bardzo przypominała osobę, którą jest. Dla dobra Morphii ukrywała swoją naturę. Ale już dość.

Podniosła szczotkę i odwróciła się w stronę lustra, by wyczesać kołtuny z włosów. Nagle szczotka wysunęła się jej z ręki i uderzyła w stolik stojący pod lustrem. Na twarzy Morag pojawiły się cienie. Takie same, jakie od kilku dni widziała na twarzy Morphii.

Szybko spakowała swoje juki i wyszła z pokoju. Zbiegła po schodach, ledwo unikając potknięcia i przeklinając starszyznę klanu, która ulokowała ją na innym piętrze niż jej siostrę. Pobiegnęła korytarzem i zatrzymała się dopiero przed drzwiami pokoju Morphii. Spróbowała otworzyć drzwi, ale były zamknięte, więc załomotała w nie pięścią.

Na twarzy Cullana, gdy w końcu otworzył, odmalowała się irytacja – były na niej także cienie. Morphia po prostu spojrzała na nią z mieszaniną rozbawienia i rezygnacji, gdy Morag minęła Cullana i wparowała do pokoju.

– Właśnie mieliśmy schodzić na poranny posiłek – powiedziała Morphia, idąc w stronę drzwi. – Dołączysz do nas? – Potem się uśmiechnęła i dodała: – Powiedziałam Cullanowi, że nie będziesz w stanie zbyt długo znosić strojów, w których przypominasz bukiet wiosennych kwiatów. Muszę jednak przyznać, że dobrze ci było w kolorach.

*W czerni jest mi jeszcze lepiej,* pomyślała Morag, chwytając siostrę za

ramię, by zatrzymać ją w pokoju.

– Morag! – zaprotestowała Morphia. – Puść mnie!

*Nie, jeśli mogę temu zapobiec.*

Cullan przyglądał się im, zaciskając usta w wyrazie dezaprobaty. Czy teraz, gdy poznał już siostrę Morphii, rozważał zmianę decyzji o wyjechaniu stąd razem z nią? Czymś innym była sama wiedza o tym, że Zbieraczka jest blisko spokrewniona ze Śpiącą Siostrą, a czymś innym zobaczenie ich razem i uświadomienie sobie, że nie różnią się wcale tak bardzo, jak mogłoby się wydawać.

– Zaczekam na was na dole. – Głos Cullana brzmiał nieco zbyt ponuro jak na gust Morag.

Gdy tylko za mężczyzną zamknęły się drzwi, Morphia naskoczyła na siostrę:

– Co się z tobą dzieje?

– Trzymaj się dzisiaj blisko mnie – powiedziała stanowczo Morag.

Morphia westchnęła z oburzeniem.

– Dość tego. Wysłuchiwałam twoich enigmatycznych narzekania, ponieważ widziałam, że coś cię trapi. Ale nawet ja mam swoje granice.

– To je poszerz i posłuchaj mnie jeszcze chwilę dłużej. Jeśli mnie kochasz, obiecay, że będziesz się dziś trzymać blisko mnie!

Morphia przyjrzała się Morag. Potem pobladła.

– Czy prosi mnie o to moja siostra czy Zbieraczka? – Potrząsnęła głową. – Nie odpowiadaj. Co mam zrobić?

– Spakuj co możesz w swoje juki. Jeśli miałas więcej rzeczy, zostaw je tutaj. Spróbuj spakować też coś do jedzenia i picia. A potem spotkaj się ze mną w stajniach. Zadbam o to, by osiodłano konie.

– Konie! Dokąd jedziemy?

– Drogą prowadzącą przez Zasłonę. Opuszczamy to miejsce. Teraz.

Morphia potrząsnęła głową.

– Nie. To nie jest zwyczajny romans. Zależy mi na Cullanie i...

– To weź go ze sobą. Ale nie mitręż, siostro.

Morag ruszyła w stronę drzwi.

– Mówisz dość, by mnie wystraszyć, ale nie dość, by mnie oświecić – warknęła Morphia. – Co twoim zdaniem ma się wydarzyć?

Morag obróciła się, by spojrzeć na obleczoną cieniem twarz siostry.

– Nie wiem. Ale nie wydaje mi się, by zostało nam wiele czasu.

Opuściła dom klanu i pospieszyła w stronę stajni, po drodze mijając trójkę dzieci – chłopca i dziewczynkę na skraju dojrzałości oraz drugą, młodszą dziewczynkę.

– Za ogrodami mgła jest tak gęsta, że gdy wyciągniesz przed siebie rękę, nie dojrzysz dłoni – powiedział chłopiec.

Morag zatrzymała się i popatrzyła na dzieci. Ich twarze otaczał cień. Śmierci nie da się oszukać, ale bywa, że na chwilę odwraca wzrok.

– Nie wierzę ci – powiedziała dziewczynka. – Moim zdaniem zmyślasz.

Młodsza dziewczynka pociągnęła starszą za rękaw i pokazała coś palcem.

– Spójrz! Ta część domu klanu jest otulona białym woalem.

Morag zerknęła we wskazanym kierunku i zadrzała. Faktycznie – jedna część domu klanu wyglądała tak, jakby otoczono ją gazą, przez co kamienie nabrały bledszych barw.

– Chodź ze mną – powiedziała Morag, biorąc za rękę małą dziewczynkę. – Wszyscy chodźcie ze mną.

Nie czekała, by sprawdzić, czy pozostała dwójka ruszyła za nią. Kiedy najmłodsze dziecko stanęło jak wryte, podniosła je i wznowiła marsz w kierunku stajni, tak szybkim tempem, że gdy postawiła dziewczynkę przy stajennej bramie, nie mogła złapać oddechu.

– Zostań tutaj – rozkazała.

Dziewczynka spojrzała na nią oczami szeroko otwartymi ze strachu.

Morag pospieszyła do stajni.

– Osiodłajcie konie – rzuciła do mężczyzn, którzy na jej widok przerwali wykonywanie swoich obowiązków.

– Nie zostały jeszcze nakarmione – zaprotestował jeden z nich.

– Nieważne. Siodłajcie je. No już!

Kary koń przerzucił łeb przez dolną część drzwi do boksu i obserwował ją.

Otworzyła dolną część drzwi, przerzuciła przez nie juki, a potem ruszyła po swoje siodło.

– Wychodź stamtąd – rzuciła przez ramię. – Musimy iść.

Kiedy wyszła z siodlarni z siodłem i ogłowiem, spostrzegła, że mężczyźni wciąż stoją bezczynnie.

– Siodłajcie te konie, albo będzie to ostatnia rzecz, którą zaniedbacie – warknęła.

Zrozumieli.

Osiodłała karego konia, a potem zawahała się, gdy wierzcholec opuścił

głowę, by dać sobie nałożyć ogłowie. Wcisnęła ogłowie w juki, przytroczyła je do siodła i szybko wyszła ze stajni. Wiedziała, że zwierzę podąży za nią.

Mgła igrała z tą częścią domu klanu, która była otoczona woalem kilka minut temu, przysłaniając ją na moment, a potem rozwiewając się na tyle, by znów ją odsłonić. Ale za każdym razem na ścianach zostawało więcej całunu.

Morag podniosła małą dziewczynkę i posadziła ją na grzbiecie karego konia.

– Moja siostra... – chlipało dziecko.

– Zostań tutaj – powiedziała Morag. – Ja znajdę twoją siostrę.

*I swoją.*

Gdy biegła do domu klanu, mgła ustąpiła, ale po chwili znów otuliła krajobraz. Najdalsza część domu klanu zniknęła – i już się nie pojawiła.

– Na łaskę Matki... – wyszeptała Morag. – Morphia.

Cienka warstwa mgły zakryła połowę domu klanu.

Morag przyspieszyła bieg.

Gdy dotarła na taras, zatrzymała się ze ślizgiem. Nie była w stanie przejrzeć przez ścianę uformowaną z mgły, odcinającą ją od domu. Zawahała się, po czym wsunęła rękę we mgłę. Chłopiec miał rację. Ledwie była w stanie dostrzec swoją dłoń.

– Morphia!

Wydawało się jej, że usłyszała zduszony dźwięk, gdzieś w pobliżu. Gdy przesunęła rękę w tę stronę, uderzyła w coś. Chwyciła to i pociągnęła.

Chłopiec wypadł z mgły, ciągnąc za sobą dziewczynkę. Oboje spojrzeli na Morag przerażeni.

– Ni... nic tam nie widać – wyjąkała dziewczynka. – Niczego nie widać!

– Biegnijcie do stajni. – Morag popchnęła ich lekko. – Szybko!

Ponownie wsunęła rękę we mgłę – przeszła całą długość tarasu, chwytając każdego, kogo udało się jej wymacać.

– Morphia! Morphia!

Dwukrotnie przeszła przez cały taras, ale musiała zawrócić, gdy jej noga zderzyła się ze ścianą tarasu.

– Morphia!

Morphia wyszłaby wtedy – o ile nie zawróciła, by znaleźć Cullana i przekonać go do wyruszenia razem z nimi.

– Morphia!

– Morag?

Mgła zaczęła ją otulać. Ledwie dostrzegła swój czarny rękaw – ale dłoni nie widziała już wcale. Trzymając nogę przyciśniętą do ściany tarasu, odwróciła się, by zobaczyć, co ma za plecami. Niczego nie zobaczyła.

– Morag!

– Morphia!

Jedną dłonią chwyciła ścianę i wyciągnęła się najdalej, jak mogła, nawołując siostrę. Gdy już prawie straciła nadzieję, jej wyciągnięta dłoń znalazła dłoń kogoś innego. Odetchnęła z ulgą.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedziała, przesuając dłoń cal po calu wzdłuż ściany.

– Obiecałam ci to, czyż nie? – odparła Morphia, ale jej głos brzmiał tak, jakby płakała.

W jednej chwili Morag czuła pod dłonią kamienną ścianę. W kolejnej – nie czuła nic. Przesunęła rękę w tył i trafiła na kamień.

– Musimy się znajdować na schodach wiodących na taras – powiedziała, szurając stopą i zastanawiając się, czy znajdzie dla niej oparcie, gdy postawi kolejny krok.

– Widzisz coś? – spytała Morphia.

– Nie, ale... – Stopa Morag osunęła się nieco, zmuszając ją do postawienia kolejnego kroku. – Znalazłam schody. – Nie było jednak poręczy, na której mogłaby oprzeć dłoń. – Zejdziemy na dół i ruszymy przed siebie.

Pociągnęła za sobą Morphię, która z całej siły ścisnęła dłoń siostry, i ostrożnie ruszyły po stopniach.

– To chyba ostatni schodek, tak mi się wydaje – powiedziała w pewnym momencie Morphia. – Przed nami jest trawa, a dalej ogród z fontanną.

– W takim razie ruszajmy w tę stronę. – Morag liczyła kroki. Dziesięć. Dwadzieścia. Trzydzieści. Daleko jeszcze? Ile czasu spędziła, szukając Morphii? Czy było już za późno na ucieczkę?

Nagle mgła rozrzedziła się wystarczająco, by dało się rozpoznać kształty. Po lewej stronie usłyszały szum fontanny.

– Znam drogę przez ten ogród – powiedziała Morphia. – Ja poprowadzę.

Ruszyła przodem, wskazując Morag kierunek. W połowie drogi przez ogród wyszły z mgły i zaczęły biec ścieżką, aż dotarły do kolejnego tarasu. Morphia obejrzała się do tyłu.

– Na łaskę Matki.

Morag pociągnęła ją za ramię.

– Musimy dotrzeć do stajni. Musimy się przedostać drogą przez Zaslone, póki to możliwe.

Morphia się wyrwała. Niektóre części domu klanu wciąż pozostawały widoczne, ale otaczającą ją ziemię otulała gęsta mgła.

– Cullan wciąż jest w środku.

– Nie wiesz tego. Jeśli nie postradał zmysłów, uciekł.

Morphia pokręciła głową.

– Zależy mu na mnie, Morag. Gdy uświadomił sobie niebezpieczeństwo, z pewnością zaczął mnie szukać. Nie mogę go zostawić...

– Obiecałaś mi.

– Morphia! – rozległ się głos.

Podniosły wzrok. Z okna wieży wychylał się Cullan.

– Cullan!

– Uciekaj! – krzyknął. – Uciekaj stąd! Dogonię cię!

Morphia się zawahała. Spojrzała na mgłę.

Morag znów chwyciła siostrę za ramię.

– Nie możesz tam wrócić.

– Dogonię cię! – Cullan gestem nakazał im biec.

Mgła zatańczyła wokół ich stóp.

– Przejedziemy przez Zaslone! – krzyknęła do niego Morag.

Zanim Morphia zdołała zaprotestować bądź zrobić coś głupiego, siostra pociągnęła ją w stronę stajni. Po kilku krokach zaczęły biec.

– Zostawiłam gdzieś tutaj juki i zapasy jedzenia – wydyszała Morphia, opierając się dłonią o ścianę, gdy wreszcie dotarły do stajni.

– To teraz bez znaczenia – odpowiedziała Morag, rozglądając się. Kary koń stał przed stajnią. Na jego grzbiecie siedziała mała dziewczynka, a dwoje starszych dzieci, które wyciągnęła z mgły, stało tuż obok.

Nie było innych koni.

Wpadła do stajni. Raptem kilka wierzchowców zostało osiodłanych.

– Co wyście robili?

Mężczyźni zmierzyli ją niechętnym spojrzeniem.

– Skąd ten pośpiech? – spytał jeden z nich. – Świat się kończy?

– Tak – rzuciła Morag. – Właśnie świat się kończy.

Otworzyli usta w zdumieniu. Jeden pospieszył na zewnątrz, kolejni ruszyli za nim.

Morag klepnęła w zad pierwszego osiodłanego konia.



– Na zewnątrz. Już!

Nie czekając, aż koń jej posłucha, zaczęła podbiegać do pozostałych boksów, otwierać drzwi i krzyczeć:

– Na zewnątrz! Już!

Na samym końcu stajni zarżał ostatni koń. Podbiegła do boksu i zajrzała do środka. Rumak uderzał kopytem w pokrytą słomą ziemię. Był to słoneczny rumak, nazywany tak z uwagi na swoje umaszczenie – złotą sierść oraz białą grzywę i ogon.

– Musimy przejechać drogą prowadzącą przez Zasłonę, nim będzie za późno – powiedziała Morag. Otworzyła drzwi i odsunęła się.

Rumak przeszedł obok niej. Za nim podążyły pozostałe konie.

Wybiegła na zewnątrz. Dom klanu zniknął całkowicie. Kilku Fae biegło jeszcze w stronę stajni, ale niewiele.

Dziewczynka siedziała teraz na karym koniu za swoją młodszą siostrą. Chłopiec dosiadł innego wierzchowca. Morphia pomagała kolejnym dzieciom wsiadać na osiodłane konie. Stajenni po prostu wpatrywali się w mgłę z niedowierzaniem.

Morag odwróciła się tyłem do domu klanu. Próbowwała wcześniej rozmawiać ze starszyzną, próbowała rozmawiać z kimkolwiek, kto by jej posłuchał. Teraz nie miała już nic do dodania – nie było też czasu, by robić coś poza ratowaniem tych, których jeszcze dało się uratować.

Podeszła do karego konia i przycisnęła dłoń do jego pyska.

– Chcę, żebyś pojechał drogą prowadzącą przez Zasłonę. Chcę, żebyś poprowadził pozostałych. Znasz drogę lepiej niż ktokolwiek inny. Zabierz ich wszystkich do świata ludzi.

Położył uszy po sobie i zarył kopytem w ziemi.

– Prowadź ich – dodała. – Ja będę jechać za tobą. Obiecuję.

Poczuła, że koń nieco się rozluźnia. Wiedziała, że gdyby on dotarł do świata ludzi, a ona nie zjawiłaby się tam chwilę później, zawróciłby i znalazł ją. Miała tylko nadzieję, że gdyby nie udało się jej dotrzymać obietnicy, droga zamknie się na tyle szybko, by nie opuścił już świata ludzi.

– Biegnij – wyszeptała i odsunęła się.

Ruszył szybkim stępem. Jedynym koniem, który za nim podążył, był ten, na którym siedział chłopiec.

– Biegnijcie! – krzyknęła.

Zwierzęta drobiły w miejscu, aż w końcu słoneczny rumak uszczypnął

jednego z nich, posyłając go za karym koniem. Uszczypnął kolejnego i on też ruszył.

Podczas gdy rumak wyprawiał swoje klacze i wałachy, Morag i Morphia pomagały komu tylko były w stanie wsiadać na pozostałe konie. W większości były to dzieci, zbyt małe lub zbyt przestraszone, by dyskutować. Dorośli nie posłuchałyby jej.

Morag chwyciła jednego z młodszych stajennych, a Morphia w tym czasie usadowiła małego chłopca na nieosiodłanym grzbiecie klaczy.

– Jest za mały, by mógł jechać sam – Morag zwróciła się do stajennego. – Siadaj za nim i zabierz go przez Zaslone.

Spojrzał na nią z przerażeniem.

– Nigdy nie jechałem drogą. Nie potrafię.

– Kary koń zna drogę. Pozostałe ruszą za nim. Jedź!

W końcu usiadł za chłopcem i pogalopował za resztą wierzchowców.

Został już tylko słoneczny rumak. Postąpił w ich stronę. Morag potrząsnęła głową. Ona i Morphia zmieniły postać w tej samej chwili. Wierzchowiec obrócił się i pognął za ostatnim koniem, podczas gdy kruk i sowa leciały nad nim.

Gdy dotarły do początku drogi, usłyszały za sobą krzyki, przerażone wrzaski. Za późno. Fae wreszcie zrozumieli, jakie niebezpieczeństwo na nich czyha – i zaczęły uciekać.

*Wielka Matko, niech skrzydła niosą mnie prosto do celu.*

Morag ledwie była w stanie dostrzec drogę, jej pole widzenia skurczyło się do wąskiego korytarza. Jedno złe stąpienie kopytem i ktoś mógł przepaść na zawsze.

Nagle zorientowała się, że Morphia nie leci już u jej boku.

– Morphia! – Jej krzyk był teraz krakaniem.

Odpowiedziało jej pohukiwanie sowy gdzieś z tyłu.

Gdy dotarły do Zaslony, nie widziała już nic, nawet słonecznej sierści rumaka. Leciała, zastanawiając się, czy pod nią wciąż znajduje się droga czy może straciła ją z oczu na tyle, że będzie już wiecznie przemierzać tę mgłę. Gdzieś przed nią koń rżał raz po raz. Podążyła za tym dźwiękiem. Mgła się przerzedziła. Morag zobaczyła pod sobą słonecznego rumaka, a przed sobą ciemny kształt.

*Zostań tutaj, pomyślała intensywnie. Zostań tutaj.*

Słoneczny rumak zniknął. Kolejne machnięcie skrzydłami, i jeszcze jedno.

Przeleciała nad głową karego konia, na tyle blisko, że jej skrzydła musnęły jego uszy. Szybowała jeszcze przez kilka stóp, nim wylądowała i zmieniła kształt.

Droga znikwała.

Morag podbiegła do niej i rzuciła się na ziemię. Położyła prawą dłoń na drodze, a palce lewej wbiła w glebę. Czuła moc, wystarczającą porcję magii, by utrzymać otwartą drogę jeszcze przez chwilę. Ale nie potrafiła znaleźć klucza, by uwolnić tę magię, więc przelała resztkę swojej mocy w drogę. Pożerało to jej siły, wysuszało ją do cna.

– Cullan! – wrzasnęła Morphia, wyłoniwszy się z mgły. Idąc za przykładem siostry, rzuciła się na drugą stronę drogi.

Morag usłyszała krzyk kilku Fae, którzy wciąż uciekali. Minął ją jastrząb. Potem łabędź. Kątem oka dostrzegła jelenia wskakującego do świata ludzi. Usłyszała też krzyk Morphii.

Wtedy coś ścisnęło ją za prawe ramię i odciągnęło jej dłoń od drogi, odcinając ją od mocy. Poczowała skurcz w klatce piersiowej. Skuliła się z bólu, walcząc o każdy oddech. Skurcz się nasilił, więc przetoczyła się na plecy, zmuszając mięśnie do pracy. Zabolało, ale przynajmniej mogła oddychać.

Otworzyła oczy – i ujrzała pysk pochylonego nad nią karego konia.

– Nic mi nie jest – powiedziała słabym głosem.

Kary koń uniósł łeb i prychnął.

– Morphia... – Morag odwróciła głowę.

Morphia kuśtykała w stronę Cullana, który wpatrywał się w drogę szeroko otwartymi oczami. Otoczyła go ramionami i mocno przytuliła. On też ją objął, ale z niewielką siłą.

Morag z trudem usiadła i obejrzała się za siebie.

Droga była niczym więcej, jak tylko iskrą w powietrzu, a nawet ona już bladła.

– Och, Cullanie – powiedziała Morphia. – Nie powinieneś był szukać mnie tak długi czas. Mogłeś ugrzęznąć tam na dobre.

– Ja...

Gdy Morphia przytuliła twarz do piersi Cullana, Morag spojrzała mu w oczy.

*To Śpiąca Siostra, pomyślała ze smutkiem. Pani Snów. Ale niektóre sny znajduje się w sercu, nie we śnie, a są na nie podatni także niektórzy Fae. On cię nie szukał, Morphio. Czekał, ponieważ nie chciał uwierzyć, że to, co*

*spotkało inne klany, przydarza się i jego klanowi. Planował opuścić swój klan i wyjechać wraz z tobą ze swoich osobistych powodów. Tak, troszczy się o ciebie na tyle, by kazać ci jechać, ale nie zaryzykowałby własnym życiem. Gdybyś przepadła, wkrótce znalazłby nową kochankę i nie myślałby o przeszłości. Tak postępuje nasz lud.*

Zastanawiała się, czemu prawda smakuje tak gorzko.

Cullan się rozejrzył.

– Czy... to już wszyscy? Tylko tyłu ocalało?

– To wszyscy, którzy przeszli przez Zaslone. – Morag powoli stanęła na nogi. Przytrzymała się siodła karego konia, by nie upaść.

– Czemu to się dzieje? Czemu nas to spotyka?

– Nie wiem. Ale odpowiedzi są tutaj.

Droga się kończyła, przechodząc w polanę. Morag omiotła wzrokiem otaczające ją drzewa, czerpiąc ze swoich osłabionych mocy, by znaleźć nową iskrę magii. Wyczuła jedną w drzewie rosnącym nieco dalej od innych.

– Wydaje mi się, że w tym drzewie żyje driada. Może ona coś wie.

Przy drzewach znajdował się kopczyk jałowej ziemi. Przycupnął na nim duch kobiety trzymającej ducha noworodka, obserwujący otoczenie ze smutkiem.

Uczucie zimna przepełniło Morag, gdy spojrzała na grób. Nie była pewna, czy chce poznać odpowiedzi na swoje pytania, ale podeszła do drzewa, wciąż trzymając się jedną ręką siodła dla utrzymania równowagi. Inni Fae ruszyli za nią.

– Jestem Zbieraczką – powiedziała, dotarłszy do drzewa. – Chcę z tobą pomówić. Proszę.

Nic się nie wydarzyło.

Cullan wystąpił do przodu i rzekł rozkazującym tonem:

– Jestem Panem Lasów. Masz mi służyć. Przemów.

Cisza.

Driada wyłoniła się zza drzewa. W jej uśmiechu czaiła się nienawiść.

– Pan każe nam służyć i przemówić – powiedziała. – Jakże jesteśmy wdzięczni, że Pan w ogóle nas zauważa.

Cullan wskazał na miejsce, gdzie wcześniej była droga.

– Droga wiodąca przez Zaslone zamknęła się. Czy wiesz dlaczego?

– Wiem – kpiła driada. – Każdy z Małego Ludu wie. Czy tylko potężni Fae tego nie wiedzą?

– Pamiętaj, z kim rozmawiasz. I odpowiadaj z szacunkiem na zadawane ci pytania – upomniał ją Cullan.

– Uważaj, paniczyku. Zabiłam jednego człowieka, mogę zabić i kolejnego. – Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, kontynuowała: – Dlaczego mielibyśmy cokolwiek wam powiedzieć? Nigdy nas nie słuchacie. Tylko one nas słuchały. One dbały o kogokolwiek i cokolwiek poza nimi samymi. A teraz już ich nie ma. – Cofnęła się o krok. – Oto twoja odpowiedź, paniczyku. Nie mamy ci nic więcej do powiedzenia.

– To porozmawiaj ze mną – wtrąciła cicho Morag. – Powiedz mi, co się stało z wiedźmami.

Za sobą usłyszała ciche westchnięcie Morphii i szepty kilku innych Fae.

Driada przyjrzała się jej.

– Nie pochodzisz z tego klanu.

– W istocie, nie pochodzę.

– Naprawdę jesteś Zbieraczką?

– Jestem Zbieraczką.

Wahanie.

– Jeśli odpowiem na twoje pytania, czy obiecasz, że pokażesz im drogę do Krainy Wiecznego Lata?

– Nie. – Morag dostrzegła, jak nienawiść ponownie wypełnia oczy driady. – Nie wykorzystam dusz jako karty przetargowej w naszej umowie. Doprowadzę je do Cienistej Zasłony niezależnie od tego, czy zechcesz ze mną rozmawiać, czy nie. Ale ostatnio prowadziłam tam wiele wiedźm i chciałabym wiedzieć dlaczego.

Driada pochyliła głowę. Gdy ją podniosła, jej oczy wypełniały łzy.

– Przybyły Czarne Płaszczce. Ci... Inkwizytorzy. Zabójcy wiedźm. To ich jedyne zajęcie. Usłyszeliśmy ostrzeżenia niesione wiatrem i kazaliśmy wszystkim wiedźmom uciekać. I zamierzały to zrobić, ale... – Spojrzała na grób. – Jej czas przyszedł za wcześnie. Czekwały, aż urodzi. Pozostałe dwie, Starucha i Matka, nie mogły jej zostawić. Czarne Płaszczce przybyły wraz z innymi mężczyznami, gdy rodziła. – Zamknęła oczy i zadrżała. – Spalili Matkę. Ją wyciągnęli z łóżka i zagrzebali żywcem, uprzednio związując jej nogi. Słyszeliśmy jej krzyki, ale Mały Lud nie mógł nic zrobić, by jej pomóc. Nie możemy się mierzyć z tyloma ludźmi.

– A Starucha? – spytała łagodnie Morag. – Co jej zrobili?

– Oni... – Driada zacisnęła usta i potrząsnęła głową. – Po dłuższej

przerwie odparła: – Nie byliśmy w stanie uratować wiedźm, ale upewniliśmy się, że te Czarne Płaszczki nikogo więcej nie skrzywdzą. – Podniosła wzrok. – Jeden z nich stanął pod moim drzewem po tym, jak spalili wiedźmę. Poprosiłam drzewo o poświęcenie, a ono zgodziło się bez wahania. Widzisz miejsca, z których wyrastały gałęzie? Drzewo było duże... i ciężkie. Poświęciło swoje gałęzie tak szybko, że mężczyzna nie miał nawet czasu spojrzeć w górę, nim spadły i roztrzaskały mu głowę.

– A co z pozostałymi?

Driada się uśmiechnęła.

– Strumienie są niebezpieczne. Łatwo się poślizgnąć, uderzyć głową o kamienie i utonąć. Zwłaszcza gdy kamień wystrzeliwuje z procy z wystarczającą siłą, by pozbawić człowieka przytomności, a wodne duszki trzymają ciało pod wodą. Są całkiem silne, jak na swoje rozmiary.

– Współczujemy ci straty przyjaciół – powiedziała Morphia. – Ale co to ma wspólnego z zamykaniem się dróg?

Morag zacisnęła zęby, żałując, że Morphia się odezwała. Mały Lud nie przepadał za Fae.

Nienawistny uśmieszek powrócił.

– Wszystko – odparła driada. Ćwierkot dochodzący z pobliskiego martwego drzewa przykuł jej uwagę. – Czarne Płaszczki również władają magią. Mają moc, by tworzyć to.

Coś czarnego rozłożyło skrzydła i podleciało w ich stronę. Morag zadrżała z obrzydzeniem. Stworzenie wyglądało jak potworna krzyżówka wiewiórki i nietoperza. Kiedy otworzyło pysk, ujrzała ostre jak igły zęby.

Driada uniosła dłoń i syknęła. Stworzenie zaskrzeczało, po czym wróciło na swoje drzewo.

– Co to jest? – spytała Morphia.

– Nazywamy ich nocnymi łowcami – odparła driada, przyglądając się martwemu drzewu. – To drzewo było żywe jeszcze kilka dni temu. Ale nocni łowcy wysysają życie ze wszystkiego. I pożerają dusze. – Spojrzała na Morag i uśmiechnęła się. – To musi boleć, gdy twoja dusza jest rozdzierana na kawałki i przeżuwana. Duch jednego z Czarnych Płaszczki pozostał blisko mojego drzewa – i znalazły go. Jego krzyki też słyszeliśmy.

– Czy można unicestwić te istoty?

– Mogą umrzeć, jak wszystko.

Zrozumiawszy przekaz – że Fae też mogą umrzeć – Morag pomyślała, że

najlepiej będzie wrócić do tematu, który nie wzbudzał w driadzie takiej nienawiści.

– Czyli więdźmy znają klucz do korzystania z mocy tej krainy, mocy, która zakotwicza w tym świecie drogi.

– Więdźmy są kluczem. – Driada wyglądała na zamyślöną. – Fae teź mogą zakotwiczać drogi – dodała niechętnie – ale potrzeba wielu z was, by dokonać tego, co potrafi jedna z nich. Może i jesteście Dziećmi Matki, ale to one są Córkami. – Wyglądała teraz nieswojo, tak jakby powiedziała za duzo. – Nie chcę dłużej z wami rozmawiać.

Przycisnęła dłoń do drzewa i zniknęła.

– Niewiele nam to mówi – stwierdził Cullan.

– Czyżby? – mruknęła Morag. – Wiele kwestii pozostaje niejasnych, ale wiemy jedno: drogi się zamykają, ponieważ giną więdźmy.

– Na potwierdzenie tej teorii masz tylko słowa driady.

Morphia rzuciła Cullanowi zaniepokojone spojrzenie. Potem odwróciła się i przytuliła Morag.

– Wiem, że nie ociągał się ze względu na mnie, choć przez moment na to liczyłam – szepnęła jej do ucha. – Wiem teź, kto został, żeby mnie znaleźć. – Odsunęła się. – To co robimy?

– Zabierz te dzieci do naszego klanu. Znajdź najbliższą drogę, która wygląda bezpiecznie, i dotrzyj nią do Tir Alainn. Nie trać czasu na wizyty w pobliskich klanach. Jeśli ci Inkwizytorzy poruszają się z miejsca na miejsce, wkrótce mogą się zamknąć kolejne drogi. Ale ostrzeź wszystkie klany o mgłę. Gdy tylko ją zauważą, mają ruszyć drogą najszybciej jak mogą. A jeżeli spotkają więdźmy wciąż żyjące w Starych Miejscach, które utrzymują daną drogę, mają zrobić, co w ich mocy, by je ochronić.

Morphia spojrzała na siostrę. Obie wiedziały, że Fae mogą posłuchać ostrzeżenia o mgłę, zwłaszcza gdy otrzymają je od kogoś, kto widział ją na własne oczy, ale nie będą spędzać czasu w świecie ludzi, poświęcając się ochranianiu więdźm. Nie, póki nie nakaże im tego ktoś taki jak Łowczyjni lub Światły.

– A ty co zamierzasz?

– Zabiorę więdźmy do Cienistej Zasłony, żeby mogły się dostać do Krainy Wiecznego Lata. Później odszukam Barda, by dowiedzieć się, czy rozumie coś z tych zagadek.

– Dołączę do ciebie tak szybko, jak zdołam.

Morag nie spytała Morphii, czy Cullan będzie jej towarzyszył. Siostra nie pyta o takie rzeczy – zwłaszcza gdy jest niemal pewna odpowiedzi.

Obserwowała, jak podliczają ludzi i konie. Jednych i drugich zostało niewiele. Nie wiedziała, czy pozostali są martwi czy zagubieni we mgle – żywi, ale uwięzieni. Jeśli wciąż żyli, jak długo jeszcze to potrwa?

Gdy grupa opuszczała polanę, słoneczny rumak i kilka kłaczy wciąż skubało trawę. Widziała, że Morphia się obejrzała, ale nikt z pozostałych tego nie zrobił.

– Chce ci się pić? – Morag usłyszała cichy głos. Głowa driady wychyłała z pnia drzewa. – Niedaleko stąd płynie strumień. Woda w nim wciąż jest czysta.

– Tak, chcę. Dziękuję.

Driada opuściła drzewo.

– Pokażę ci.

Morag rzuciła okiem na sąsiednie martwe drzewo.

– Nie boisz się zostawiać swojego drzewa bez opieki?

– Tylko na chwilę.

Gdy driada ruszyła w głąb lasu, Morag i jej kary koń podążyli za nią.

Gdy dotarli do potoku, Morag pozwoliła wierzchowcowi wypić słuszną porcję, nim sama uklękała przy brzegu i zaspokoila pragnienie. Przysiadła na piętach.

– Co się stanie ze Starym Miejscem, gdy zabraknie wiedźm? – zapytała.

Driada uśmiechnęła się smutno.

– To samo, co stało się z innymi Starymi Miejscami. Mały Lud nie jest dość silny, by je utrzymać, więc cała magia tego miejsca zginie.



## ROZDZIAŁ 21

– Witaj, Ari.

Ranek jeszcze nie minął, a ona już była spocona i przemoczona. Lubił ją w tym stanie, kiedy byli razem w łóżku, ale gdy odpowiadała za to praca, dziewczyna traciła na atrakcyjności.

– Niech cię dzień błogosławi, Lucianie. – Ari wynurzyła się z obory. Odstawiła na ziemię dwa puste wiadra w geście wskazującym na to, że odrywa się od ważnych obowiązków, by zabawić gościa. W jej oczach czaiła się niepewność, a nawet lekka niechęć. A tak liczył na ciepłe powitanie. – Co cię tu sprowadza? – spytała.

– Przyszedłem cię zobaczyć. – Ponieważ wydawała się bardziej zaniepokojona niż ucieszona, dodał z sugestywnym uśmiechem: – Pomyślałem, że możemy się wybrać na przejażdżkę.

Zaczerwieniła się, a on zaczął się zastanawiać, czy wspomina tamtą noc, kiedy przybrał formę konia, czy może jedną z tych, gdy przybył do niej w ludzkiej postaci. Sam miał na myśli przejażdżkę na koniu, która później mogłaby się przerodzić w ten drugi rodzaj ujeżdżania. Obiecywał sobie, że będzie bardziej powściągliwy, ale teraz, gdy znów był przy niej, nie było to takie proste.

– To ty przysłałeś do mnie lorda Fae? – spytała nagle Ari.

Uniósł brwi.

– Lorda Fae?

– Jastrzębia, który przyniósł mi królika.

Pozwolił sobie na chwilę przyjemnych rozmyślań, w których ogień trawił skrzydła, ale postanowił, że najpierw pozwoli Falconowi się wytłumaczyć. Nie mogło bowiem chodzić o żadnego innego członka klanu. Nie w tej formie. Ale ponieważ nic nie stało na przeszkodzie, by myślała, że odegrał w tym jakąś rolę, wzruszył ramionami i rzucił niedbale:

– To nic takiego. – Nagle przyszło mu na myśl, że może za jej ostrożnym i niezbyt entuzjastycznym powitaniem kryje się coś więcej. – Zdenerwował

cię?

– Wystraszył mnie nieco. Ale królik był więcej niż mile widziany. – Ari się uśmiechnęła, radość rozbłysła w jej oczach. – Zwłaszcza że Merle nie je warzyw.

– Merle. – Równocześnie zapłonęły w nim zazdrość i pożądanie.

Ari wskazała na ławkę stojącą z tyłu chaty.

Potrzebował chwili, by zauważyć śpiącego pod nią szczeniaka. Zwierzę nie było schowane, ale zdawało się być tak bardzo na miejscu, że oczy Luciana minęły je obojętnie, jak gdyby zawsze tam leżało. Widział tego małego kundla w Tir Alainn zaledwie kilka dni wcześniej i nie miał cienia wątpliwości, jak szczenię znalazło się u Ari. Nie wiedział tylko dlaczego.

Z Falconem poradzi sobie bez trudu. W przypadku konfrontacji z siostrą będzie musiał bardziej uważać. Obie te dyskusje mogły jednak poczekać.

Podszedł do Ari i ujął jej twarz w dłoń.

– Tęskniłem za tobą.

Planował jedynie cmoknąć ją po przyjacielsku, ale głód przejął kontrolę nad rozsądkiem i pocałunek stał się zaborczy, pożądliwy, gorący. Poczuł, jak jej opór słabnie. Nagle zrobiła krok w tył, potykając się.

– Nie – powiedziała.

– Dlaczego nie? – zażądał odpowiedzi. Ogień w jego lędźwiach tylko podsycił gniew. – Pragniesz mnie. Nie możesz temu zaprzeczyć. A ja pragnę ciebie. Czemu więc mielibyśmy odmawiać sobie przyjemności, którą możemy sobie dać?

Nie zaprzeczyła, ale i nie odpuściła. Po prostu uważnie mu się przyglądała.

Targany frustracją, przeczesał palcami włosy.

– Mężczyźni wpadają w złość, gdy się im odmawia.

– Fae także wpadają w złość, gdy się im odmawia. Czy to oznacza, że odmawianie mężczyźnie Fae jest dwukrotnie bardziej niebezpieczne?

Poruszył się, gotów do niej podejść, ale napięła mięśnie, szykując się do ucieczki. Zszokowało go to na tyle, że cofnął się o krok. Odzyskał panowanie nad sobą – przynajmniej w takim stopniu, by przypomnieć sobie, że Ari nie ma dużego doświadczenia w grach damsko-męskich.

– Jeśli zamierzasz mnie odrzucić, przynajmniej podaj mi powód.

– Sytuacja się zmieniła, Lucianie, a ja...

– Nie gościłaś mnie w swoim łóżku wyłącznie z poczucia obowiązku – rzucił. – Podobało ci się to, co tam robiliśmy, w takim samym stopniu jak

mnie.

– Nie zaprzeczę, ale muszę brać pod uwagę także inne kwestie.

– Jakie inne kwestie? – zapytał, choć już podejrzewał. – Chcesz powiedzieć, że musisz brać pod uwagę jeszcze kogoś. Kim on jest?

Potrząsnęła głową.

– Chodzi o to, że nie byłoby uczciwie z mojej strony, gdybym zabawiała się z tobą, podczas gdy on czeka na odpowiedź.

Zabawiała. *Zabawiała*. On mógł podchodzić do tego jak do niewinnej igraszki. Ale nie wypadało, by ona tak to nazywała – zwłaszcza gdy rywal już czekał, by zająć jego miejsce.

– Rozważasz rozpoczęcie z nim romansu?

– Rozważam poślubienie go.

Gdyby go uderzyła, nie byłby bardziej oszołomiony.

– Naprawdę oddałabyś się jednemu z tych... ludzi... zamiast być ze mną? – Tak nie może być. Po prostu nie. – Ari, pomyśl o tym, co chcesz zrobić. Pomyśl o tym, co odrzucasz. – Ponieważ nie wydawała się przekonana, dodał: – Zależy mi na tobie. – Wiedział, że to najostrożniejsza broń, którą może zranić kobiece serce.

– Mnie... Mnie na tobie też, Lucianie, ale... – Wydawała się zmartwiona, rozdarta. – Muszę wracać do pracy.

Pospiesznie ruszyła w stronę frontu chaty i po chwili zniknęła za rogiem.

Lucian podszedł do studni i oparł się o nią. Kiedy kilka chwil temu przechodził drogą prowadzącą przez Zasłonę, miał zamiar przekonać Ari, by jeszcze przez pewien czas kontynuowali ten przyjemny romans. Teraz, gdy wiedział, że inny mężczyzna chce zawłaszczyć ją w sposób, który całkowicie usunąłby ją z jego życia, chciał czegoś więcej.

Ale o ile więcej? Nie pragnął małżeństwa. Fae nie nakładali takich kajdan na kobiety ani na mężczyzn. Owszem, niektórzy pozostawali z tymi samymi partnerami przez wiele lat, ale nigdy nie obiecywali, że nie będą się zgadzać na przyjemności oferowane przez innych. Czemu mieliby? Musiał poważnie się zastanowić nad tym, czego chciał – i co był gotów zaoferować. Teraz jednak musiał przede wszystkim przewyciężyć w Ari niechęć, jaką mogła do niego żywić.

Ruszył, by ją odnaleźć. Gdy skręcił za róg chaty, usłyszał, jak z kimś rozmawia. Zatrzymał się, by pozostać niezauważonym.

– Musisz wiedzieć, jak sobie z tym radzić – powiedziała kobieta,

podnosząc głos.

– Przykro mi, Odello – odparła Ari – ale nie znam zaklęcia ani eliksiru, który mógłby ci pomóc.

– Musisz znać. Twój rodzaj zna się na takich sprawach.

– Być może niektóre wiedźmy potrafią dokonać takiego oczyszczenia, ale ja nie. – Ari się zawahała. – Może Babcia Gwynn będzie coś wiedzieć?

– Ona... – Kobieta wydała się zarazem wściekła i przestraszona. – Bonnie otrzymała od niej dekolt, który miał załatwić sprawę, i teraz wciąż leży chora w łóżku. Mówi się, że może zostanie przez to bezpłodna. Mnie nie może się to przytrafić. I ty mi pomożesz.

– Nie umiem. – Ari była sfrustrowana. – Nie mam wiedzy, która pozwoliłaby mi pomóc ci w tej kwestii. Poza tym – dodała szybko – może tylko ci się spóźnia.

– Nigdy mi się nie spóźnia. – Głos był coraz bardziej złowieszczy. – Gdyby chodziło o ciebie, szybko znalazłabyś remedium.

Zirytowany tym obmierzłym tonem, Lucian wyszedł z za rogu. Kobieta unosiła już bat, gotowa uderzyć Ari. Dostrzegłszy ruch, spojrzała na niego. Jej oczy się rozszerzyły. Usta rozwarły. Opuściła bat, wpatrując się w Luciana.

Zapomniał o uroku. Nie kłopotał się tworzeniem magicznej ludzkiej maski po tej pierwszej nocy, kiedy przyszedł do chaty. Ari wiedziała kim – i czym – jest, nie widział więc powodu, by udawać człowieka.

Kobieta szybko otrząsnęła się z szoku. Posłała mu kokieteryjny uśmiezek, który budził w nim obrzydzenie, i powiedziała:

– Dzień dobry, panie.

– Panienko – odparł zwięźle.

Zauważył panikę w oczach Ari, która uświadomiła sobie, że jej gość widzi Fae. Zrobi, co tylko będzie konieczne, by ją udobruchać, gdy tylko ta... kreatura... stąd pójdzie. Chciał, żeby poszła. Nie wiedział, co w jej osobie tak go odrzuca, ale jej obecność była w istocie odrzucająca.

Kobieta posłała Ari wyszczerzony uśmiech.

– Nie przedstawiś nas sobie, Ari?

– Nie, nie przedstawi – odparł Lucian, zanim Ari zdążyła się odezwać.

Zakłopotanie i nienawiść wypłynęły na twarz nieznanym. Rzuciła Ari ostatnie spojrzenie.

– Pożalujesz tego.

Zawróciła konia i pogalopowała drogą.

Lucian przesunął się do miejsca, w którym stała Ari, wciąż obserwując drogę. Po chwili gwałtownie chwycił ją za ramiona i obrócił w swoją stronę. Natychmiast złagodził swój dotyk.

Wyglądała na zmartwioną... i przerażoną.

– Kim ona jest? – spytał. – Czego tu chciała?

– To prywatne sprawy kobiet – odparła, próbując się odsunąć.

Jej słowa niemal zniechęciły go do dalszego zgłębiania tematu, ale jako że nie chodziło o prywatne sprawy Ari, uprzejmość przegrała z troską.

– Czego chciała? – powtórzył.

Poruszyła się niespokojnie.

– Wydaje mi się, że nie chce brać ślubu podczas Letniego Przesilenia.

Lucian zmarszczył brwi.

– Nie chce, to niech nie bierze. – *Zresztą jaki mężczyzna chciałby ją za żonę?* – Ale po co tu przyszła?

– Jej rodzina oczekuje, że weźmie ślub podczas Letniego Przesilenia, jeśli nosi w sobie dziecko będące owocem Letniego Księżyca.

– Między jednym a drugim dniem nie upływa dość czasu, by można było mieć pewność.

– Racja. Ale można mieć podejrzenia. Wystarczało to wielu udanym małżeństwom, zwłaszcza gdy pary używały tego argumentu, by przekonać rodziny do zaakceptowania ich życiowego wybranka.

*Życiowego wybranka.* Lucian zdusił dreszcz. Powoli zaczynał rozumieć dowcipy o kajdanach i uwiązywaniu do małżeńskiego pługą, które według Aideny często powtarzali ludzcy mężczyźni, gdy pozostawali bezpieczni poza zasięgiem kobiecego słuchu. To nie do pomyślenia, by mężczyzna miał trwać z jedną kobietą, znosić wszystkie jej humory, wyłącznie dlatego, że spłodził z nią dziecko. Nie żeby nie musiał znosić humorów kobiet z nim spokrewnionych, ale w przypadku kochanek sprawy miały się inaczej. Kochanki bywały mściwe.

– Mogłaś jej jakoś pomóc?

Ari potrząsnęła głową.

– Naprawdę nie mam wiedzy, która mogłaby coś na to zaradzić.

– To czemu się martwisz?

Zawahała się.

– Jej rodzina jest bardzo wpływowa. Mogliby zacząć... utrudniać mi życie.

Lucian przyciągnął ją do siebie i objął. Gdy rozluźniła się i oparła o jego pierś, rozejrzał się dookoła – ale nie znalazł pocieszenia w tym, co widział. Kiedy odwiedzał chatę wieczorami, doceniał jej odosobnione położenie. Teraz jednak dostrzegł, jak bardzo Ari jest tu samotna, i nie podobało mu się to. Gdyby ktoś faktycznie chciał narobić jej kłopotów, w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. Będzie musiał o tym pomyśleć.

Odsunął się nieco.

– Powinienem pozwolić ci wrócić do pracy.

– Dziękuję za wizytę, Lucianie. – Wydawała się nieobecna, zbyt nieobecna, by uświadomić sobie, że właśnie bez wahania go odprawiła, tak jakby był nic nieznaczącym ludzkim mężczyzną.

Pocałował ją w policzek i obszedł chatę. Przybrał swoją drugą formę i pogalopował po łące w stronę leśnej ścieżki, która miała doprowadzić go do drogi przez Zastonę. Na skraju łąki zatrzymał się i obejrzał. Z tego miejsca nie mógł jej dojrzeć. Czy obserwowała go? Czy w ogóle zauważyła, że odjechał?

Kłusował leśnym traktem, aż dostrzegł lśniąca drogę wiodącą do Tir Alainn.

Nic nie było takie proste, jak być powinno, gdy dotyczyło tej dziewczyny. Nawet nie chodziło o samo wyzwanie związane z uwodzeniem jej, które dodałoby nieco pieprzu do tej frustracji.

Zabolało go, że wołała odmówić jemu, by nie zranić uczuć ludzkiego mężczyzny.

Niepokoilo go także to, że zależało mu na niej na tyle, by wplątywał się w te sfery jej życia, które nie miały nic wspólnego z dawaniem sobie przyjemności. Wnikanie w zawilosci świata ludzi stanowiło dla Fae niebezpieczeństwo.

Ale nawet gdyby od teraz trzymał dystans, wciąż mógłby wiedzieć, co się dzieje w Brightwood.

Po prostu wysłał tam Falcona, by złapał kolejnego królika.



Ari przyniosła wiadra, które wcześniej zostawiła przed oborą, i napełniła je wodą ze studni. Trzeba było podlać ogród i wykonać mnóstwo innych prac. Zawsze było coś do zrobienia. A wraz z każdym mijającym dniem czerpała

z tego coraz mniejszą przyjemność.

Zmęczona, przyjrzała się chacie, łące, drzewom. Urodziła się tutaj, dorastała tu, podobnie jak jej matka, babka i wcześniejsze pokolenia czarownic. Dlaczego jej rodzina trzymała się Brightwood? By zapewnić dom Małemu Ludowi? By doglądać Starego Miejsca, pielęgnować je? Czy wiedźmy były równe szlachcie, jako posiadaczki ziemskie, czy może zaledwie pełniły rolę darmowych parobków? I kto w takim wypadku faktycznie miałby prawo do Starych Miejsc?

Neall miał rację – nie miała szans na życie tutaj. Nie mogła dalej sprzedawać swoich gobelinów w Ridgeley za ułamek ich wartości. Ostatnim razem, gdy wybrała się do wioski po zapasy, jedyną sklepikarką, która chciała jej cokolwiek sprzedać, była Babcia Gwynn, a i ona usiłowała podbić swoje ceny, tak że ostatecznie Ari zostawiła zakupy na ladzie i wyszła – to właśnie dlatego jej spizarka była tak pusta, brakowało w niej nawet cukru i mąki, nim Neall udał się do Aherna z łososiem na wymianę.

Jej ziemia była tak żyzna, ponieważ zawsze o nią dbano. Mimo to miała wrażenie, że jej egzystencja ogranicza się do próby przetrwania. A gdyby Neall wyjechał, stałoby się to jeszcze trudniejsze.

Neall.

Wkrótce będzie musiała dać mu odpowiedź. Po Przesileniu. Dość czasu, by mogła wsłuchać się w to, co ma do powiedzenia jej serce.

Podjąwszy decyzję, podniosła wiadra i ruszyła podlać ogród.

– Niech cię dzień błogosławi, Ari.

Ari uniosła wzrok znad rabatki kwiatów, którą pielili.

– Jeśli błogosławieństwem tego dnia są goście, wolałabym mniej błogosławieństw.

Zaskoczona tymi słowami i kryjącym się za nimi gniewem, Dianna nie była pewna, jak powinna zareagować. Pożałowała swojej niecierpliwości. Mogła odczekać jeszcze kilka dni przed powrotem do chaty.

– Ja... Ja chciałam tylko sprawdzić, czy dogadujesz się z psem.

Ari przysiadła na piętach i westchnęła.

– Jestem nieuprzejma. Przepraszam, Dianno. Merle ma się dobrze.

Choć Dianna wciąż nie była pewna, czy jest tu mile widziana, zsiadła z konia.

– Dobre imię.

W tym momencie psiak wybiegł zza chaty. Gdy tylko zobaczył Dianę,

zaczął ujadać.

– Cicho, Merle – skarciła go Ari. Uśmiech, który posłała Diannie, był znacznie serdeczniejszy niż początkowe powitanie. – To mój obrońca – wyjaśniła. – Chroni mnie przed motylami, robakami, gałęziami, liśćmi i wszystkim, co się porusza – o ile tylko jest od niego mniejsze. Albo w zbliżonym rozmiarze.

– A jeśli jest większe?

Śmiejąc się, Ari wstała i otrzepała spodnie z ziemi.

– Wtedy odważnie staje za mną i próbuje odstraszyć intruza.

*Za kilka miesięcy nie będzie już stawał za tobą, pomyślała Dianna, przyglądając się szczeniakowi. I każdy intruz przekona się, jak niebezpieczne potrafi być zwierzę, które choćby w części jest ogarem cienia.*

– Cieszę się, że się porozumieliście – powiedziała. – Nie będę cię odrywać od pracy.

Odwróciła się, by dosiąść bladą klacz, gdy usłyszała głos Ari:

– Dianno...

Obejrzała się przez ramię.

– Naprawdę żałuję, że byłam nieuprzejma. Przyda mi się chwila wytchnienia, jeśli zechciałabyś zostać, mogę ci zaproponować... – Nabrała powietrza. – A więc mam wodę. Albo herbatę, jeśli masz ochotę na coś ciepłego.

– Chętnie napiję się wody.

Dianna ruszyła za Ari na tył chaty. Tam zatrzymała się i zdjęła klaczy ogłowie, by mogła poskubać trawę. Obserwowała, jak Ari napełnia wiadro wodą i stawia obok studni, by klacz mogła się napić, a potem wchodzi do chaty. Po chwili wyłoniła się z niej, niosąc dwa puste kubki. Napełniła kolejne wiadro, naląła wodę do kubków, a resztę wylała z powrotem do studni.

– O tej porze roku woda prosto ze studni jest chłodniejsza niż ta z kuchennej pompy – wyjaśniła, podając gościowi kubek.

Dianna przysiadła na ławce. Obserwowała Ari, która wciąż stała i patrzyła na łąkę.

– Co cię gryzie?

– Ten dzień wyczerpał mój limit spotkań z dręczycielami.

– W takim razie kto cię kłopotczy? – spytała Łowczyni.

– Co sprawia, że mężczyznom się wydaje, iż mogą wykorzystywać swój



gniew do zastraszania innych, aby uzyskać to, czego pragną? – spytała zadziornie Ari, obracając się. – Jakim cudem „tak” miałyby cokolwiek znaczyć, skoro boisz się powiedzieć „nie”?

– Czego chciał?

– Seksu. Czego innego mógł chcieć? – Ari już prawie krzyczała. – A potem zjawia się Odella i chce zaklęcia albo mikstury, ponieważ obawia się, że może być w ciąży, a najwyraźniej nie jest na tyle zadowolona z kochanka, z którym wylądowała w łóżku podczas Letniego Księżyca, by rozważyć poślubienie go. A kiedy mówię, że nie potrafię jej pomóc, zaczyna mi grozić.

Incydent z Odellą Dianna uznała za mało znaczący. Ale ten mężczyzna... Jak on miał na imię? Ach, Neall.

– Czyli ten... Neall... groził ci, ponieważ odmówiłaś mu seksu? Jakim prawem wymaga od ciebie czegoś takiego?

– To nie był Neall! – rzuciła gniewnie Ari. – Tylko Lucian.

Dianna się zakrztusiła.

– Jakiś F... – próbowała powiedzieć.

– Napij się wody. – Ari podeszła, by poklepać ją w plecy.

Dianna upiła łyk z kubka, ale źle przełknęła i znów zaczęła się krztusić. Kaszłała tak, że oczy zaszyły jej łzami. Gdy Ari ponownie uderzyła ją w plecy, w końcu zaczerpnęła tchu i zapytała:

– Jakiś Fae groził ci, ponieważ mu odmówiłaś?

Ari spojrzała na nią podejrzliwie.

– Skąd wiesz, że to Fae?

– Nie wspominasz o wielu mężczyznach – odparła cierpko Dianna. – Skoro nie chodziło o Nealla, łatwo się domyślić, że mowa o lordzie Fae.

– Tak, to był on.

Ari zaczęła chodzić nerwowo w tę i z powrotem.

*Lucianie, idioto, co ty narobiłeś?*, pomyślała Dianna.

– Mężczyźni bywają głupcami – powiedziała, żeby ukoić ból zranionego kobiecego ego.

– Wypiję za to. – Ari uniosła swój kubek w geście toastu, nie przerywając nerwowego marszu.

Dianna obawiała się, że dziewczyna mogła zrozumieć jej słowa opacznie, ale uśmiechnęła się na zgodę i upiła wodę. To nie było dziecko, którym mogłaby sterować, tylko młoda kobieta, szalejąca z gniewu.

– Może źle cię zrozumiał? – podsunęła nieśmiało.

– Powitał mnie, a ja odwzajemniłam powitanie. Jeśli tyle wystarczy, by zostać źle zrozumianą, następnym razem w ogóle się do niego nie odezwę.

Dianna wciąż nie wiedziała, co powiedzieć, więc wyrzuciła z siebie pierwsze słowa, które przyszły jej do głowy:

– Jestem zaskoczona, że nie przemieniłaś go w kamień czy coś w tym stylu.

– Nie mogłabym tego zrobić, nawet gdybym chciała – odparła Ari. – Moja magia nie działa w ten sposób... – Przerwała i zmrużyła oczy. – Chociaż perspektywa wepchnięcia go do wychodka jest bardzo kusząca.

Dianna otworzyła szeroko usta. *Na łaskę Matki.* Przyjrzała się Ari z większą uwagą. Wyczuwała w niej mnóstwo gniewu, za który winę ponosił Lucian, ale nie wszystkiemu był winien. On po prostu skupił całą złość na sobie. I to nie było dobre.

– Być może gdybyś opowiedziała mi wszystko od początku...

Te słowa poruszyły kamień, który wywołał lawinę.

Kiedy Ari wylewała nagromadzony gniew, frustrację i wątpliwości związane z mieszkańcami Ridgeley, mężczyznami w ogóle i Lucianem w szczególności, Dianna wciąż myślała o jednym: *Ona nie jest taka jak my. Może nie jest taka jak inni ludzie, ale nie jest też taka jak my. Nawet Światłemu nie wolno o tym zapominać.*



Dianna krążyła po swoim saloniku, czekając, aż Lyrra i Aiden przybędą na jej wezwanie. Gafa popełniona przez Luciana nie była tak straszna, jak mogło się wydawać, ale wiedziała, że choć Ari wiele jej wyjawiała, pewne fakty zataiła. Było jasne, że dziewczyna odmówiła Lucianowi z uwagi na sprawy związane z Neallem, ale Ari nie powiedziała dokładnie, dlaczego tak postąpiła. Mimo to jej opowieść podsunęła Diannie pewien pomysł, jak ukoić Ari i sprawić, że zaczną patrzeć na Fae bardziej przychylnie.

Krótkie puknięcie w drzwi było jedynie ostrzeżeniem poprzedzającym wkroczenie do pokoju Lyrry i Aiden.

– Wybacz pośpiech – powiedziała Lyrra – ale Lucian szedł właśnie do swojego apartamentu, a uznaliśmy, że nie chciałabyś, by ktokolwiek wiedział, że się tu z tobą spotykamy.

– Oboje macie już plany na Letnie Przesilenie – powiedziała gwałtownie Dianna.

Spojrzeni na siebie nawzajem, a potem na nią.

– Muza i Bard zazwyczaj mają plany na ten czas – powiedział rozbawiony Aiden. – To jeden z dni, kiedy świętujemy.

– W tym roku będziecie nieobecni na uczcie w Tir Alainn. Nasza trójka będzie świętować Letnie Przesilenie w chacie.

– Z wiedźmą. – Rozbawienie uleciało z Aideny.

– Z Ari – odparła Dianna.

– Która jest wiedźmą – wtrąciła Lyrra.

Widząc ich ponure miny, Dianna zastanawiała się, jak wyjaśnić im sytuację, tak naprawdę jej nie wyjaśniając.

– Ludzie także świętują Letnie Przesilenie. Odbywają się uczty, tańce, gra muzyka. Ale Ari nie jest mile widziana wśród lokalnej społeczności i będzie sama. Pomyślałam... – Zawiesiła głos.

– Pomyślałaś, że przyprowadzenie pary muzyków i urządzenie małej uczty sprawi, iż odrzucenie ze strony innych będzie dla niej mniej bolesne – dokończyła za nią Lyrra.

– Tak.

Lyrra i Aiden spojrzeli po sobie.

– Czy ona wie, że jesteś Fae? – spytał Aiden.

Dianna potrząsnęła głową.

– Ale uważam, że powinnam wkrótce jej o tym powiedzieć, żeby nie czuła się oszukiwana.

– Oboje nawykliśmy do pojawiania się jako ludzie, więc utrzymanie uroku przez wieczór nie będzie problemem – stwierdził Aiden. – Większe wyzwanie stanowi niepostrzeżone wymknięcie się z Tir Alainn.

Dianna się uśmiechnęła.

– Na to znajdziemy sposób. Poza tym tak naprawdę musimy unikać tylko Luciana.

– Aidenie.



Luciana zastanowiło, czemu Bard tak się spiął, kiedy zatrzymał go na schodach, żeby z nim porozmawiać, ale szybko wyparł tę myśl. Spędził

większość popołudnia, chodząc po ogrodach i zastanawiając się nad tym, jak załagodzić gniew Ari. Musiał zaoferować jej coś, co ucieszyłoby ją bardziej od innych podarków, które jej wręczał. Rozwiązaniem problemu był Aiden.

– Będę cię potrzebował w dniu Letniego Przesilenia.

Aiden pobladł.

– Lucianie... bardzo mi przykro, ale Łowczyni poprosiła już o moje usługi podczas specjalnego występu tego wieczora.

Rozczarowanie.

– Rozumiem. W takim razie może Muza...

Aiden potrząsnął głową.

– Ona również jest zaangażowana w planowanie tego wieczoru. – Zawahał się. – Jest tu kilku innych bardów. Być może jeden z nich mógłby...

– Nie.

Lucian szybko ruszył w dół po schodach. Przypomniawszy sobie o uprzejmości, odwrócił się i spojrzał na wciąż bladego Aiden.

– Dziękuję ci za sugestię, ale chciałem najlepszego Barda.

– Może innej nocy? – dodał słabo Aiden.

– Może.

Lucian aż do zmroku chodził po ogrodach. Gdy wreszcie poczuł się zmęczony na tyle, by móc się położyć, wrócił do domu klanu. Nie miał głosu odpowiedniego do śpiewania ani nie posiadał umiejętności grania na instrumencie, nie będzie więc muzyki. Nie miał też daru Muzy. Ale potrafił dość dobrze snuć opowieści. Na tyle, by umieć rozbawić i dostarczyć nieco przyjemności.

To nie będzie rozrywka, jakiej zawsze pragnął, ale przynajmniej Ari nie spędzi Letniego Przesilenia samotnie.

## ROZDZIAŁ 22

Adolfo zanurzył pióro w kałamarzu i postawił kolejny znak X na mapie rozłożonej na biurku. Dwie kolejne czarownice nie zatruwały już świata swoją magią. Zerknął na swojego kuriera, by upewnić się, że młodzieniec wciąż jest zajęty pałaszowaniem posiłku, który mu zaoferowano, po czym z uśmiechem przyjrzał się mapie.

Teraz, gdy jego Inkwizytorzy nie musieli już poświęcać czasu na przekonywanie pospólstwa o tym, że czarownice są złe, i mogli po prostu zajmować się eliminowaniem tych niegodziwych kreatur, dokonywali spektakularnych postępów w tej części Sylwalanu. Baronowie wspierali tę czystkę, ponieważ ziemie wiedźm przechodziły w ich władanie. Na razie ich wsparcie wystarczało. Minstrelowie, których zatrudnił, by podróżowali przez wioski i śpiewali pieśni o złych uczynkach wiedźm, mieli przygotować grunt pod pomysły, które zasieje tam po tym, jak przedstawiciele Małego Ludu i Fae zostaną wypędzeni z krainy na skutek śmierci magii. Po tym, jak już będzie można zatrzymać się bezpiecznie na dłużej w jednym miejscu, by uczyć mężczyzn, jak mają być panami swojego życia.

Jego Inkwizytorzy zgłosili także, iż kilka Starych Miejsc zostało ostatnio porzuconych, a w każdym z nich znajdowano dowody na to, że zamieszkujące je kobiety uciekły w pośpiechu. Opuszczały też Wolfram i Arktos. Nie wyszło im to na dobre. Koniec końców i tak je znalazł.

Przeczytał kolejny list – i zmarszczył brwi. Szybko przejrzał pozostałe, a potem spojrzął na kuriera. Młody mężczyzna, który również w tym momencie podniósł na niego wzrok, porzucił swój posiłek i pospieszył do biurka.

– Dlaczego wszyscy moi Inkwizytorzy proszą o uzupełnienie ich sakiewek? – spytał łagodnie Adolfo. – Dałem każdemu z was dość monet, by pokryć codzienne wydatki. – Wciąż wpatrywał się w kuriera i dopiero teraz przyszło mu na myśl, że mężczyzna miał większy apetyt, niż gdyby nie jadł tylko przez jeden dzień drogi. – Czy twoja sakiewka również jest pusta?

Kurier oblizał suche wargi i spojrzał na biurko.

– Tak, Mistrzu Adolfo – wyszeptał.

– Co zrobiłeś z pieniędzmi? Przepuściłeś na hazard? Przepiłeś? – Adolfo zawiesił głos, a potem dodał z precyzją wbijanego ostrza: – Wydałeś na dziwki?

– N-nie, Mistrzu – zająknął się kurier. – Po prostu... – Przygryzł wargę tak mocno, że Adolfo spodziewał się ujrzeć na niej krople krwi. – Szlachta odmówiła płacenia za nasz wikt i opierunek – wymamrotał w końcu. – Powiedzieli, że nas do siebie nie zapraszali i nie zrobiliśmy nic, by udowodnić naszą wartość, nie ma więc powodu, by to oni płacili za nasz pobyt w gospodzie.

– Czy ktoś z was wyjaśnił im, że taki jest zwyczaj – oraz że to honorowe, by dbać o Inkwizytorów, podczas gdy przebywają w danej wiosce?

– Powiedzieli, że to nie jest ich zwyczaj! – Kurier wydawał się oburzony i zszokowany.

Adolfo rozsiadł się na krześle. Tak, większość mężczyzn, których ze sobą przyprowadził, byłoby zszokowanych takim brakiem szacunku. Nawykli do poważania podszytego strachem, z którym spotykali się w Wolframie i Arktosie. Byli zbyt młodzi, by pamiętać czasy, kiedy sytuacja wyglądała inaczej. On sam spał w wielu stodołach i wielokrotnie cierpiał głód, kiedy rozpoczął swoją misję unicestwienia wszystkich wiedźm.

– Mistrzu... – Kurier się zawahał. – Czy tutejsze wiedźmy mogą się różnić od tych mieszkających w Wolframie i Arktosie? Czy mogą być... dobrymi wiedźmami, i to dlatego wieśniacy nie chcą, byśmy je złapali?

*Taki młody, pomyślał smutno Adolfo, i na tyle słaby, by słuchać obcych i pozwolić sobie na wątpliwości. A kiedy Inkwizytor raz zacznie wątpić w słuszność tego, co robimy, ta niepewność może się rozprzestrzenić niczym zaraza na kolejnych. Trzeba coś z tym zrobić. Ale jeszcze nie teraz. Ma dość sił, by wykonywać pracę kuriera, i będzie mi potrzebny jeszcze przez chwilę.*

– Nie istnieją wiedźmy, które nie byłyby naczyniem dla zła – odparł. – Istnieją tylko głupcy, którzy wierzą w to, że mogą one być czymś innym.

– Tak, mistrzu.

– W mojej ubieralni znajdziesz łóżko polowe. Możesz spędzić tam noc. Połóż się już. Jutro czeka cię kolejna długa podróż.

– Tak, mistrzu. Dobrej nocy.

Adolfo poczekał, aż kurier się oddali, nim wziął do ręki ostatni list. Drogi

papier. Rodowy herb odciśnięty w laku. Otworzył go, prześledził wzrokiem enigmatyczną treść i zaczął czytać między wierszami.

Baron Prescott zawarł umowę na sprzedaż dobrej jakości drewna; umowę, która pozwoliłaby mu uzupełnić uszczuplony majątek rodu. Ale ziemia, na której rosły drzewa, nie należała do barona. Jednakże mężczyzna o umiejętnościach Adolfo z pewnością będzie w stanie szybko temu zaradzić.

*Tak, pomyślał Adolfo, składając list, mogę temu szybko zaradzić w zamian za dwie sakwy złota płatne z góry.* Baron będzie protestować na taką wycenę, ale w końcu się ugnie. Oni nigdy nie protestują długo. Zwykle wystarczy im wyjaśnić, czym było dziecko podrzutek i w jaki sposób wiedźmy podmieniały własne potomstwo na dzieci szlachetnie urodzone – niekiedy z zemsty, niekiedy po to, by ich potomstwo wychowywało się w luksusach. Delikatna sugestia, że powinno się przebadać dzieci, by stwierdzić, czy nie doszło do tego w danej rodzinie, potrafiła przekonać każdego dżentelmena.

Tak więc on otrzyma złoto, które pokryje jego wydatki, baron otrzyma drewno, dzięki któremu zarobi więcej, niż wyniesie cena usługi, a wiedźma, która obecnie jest w posiadaniu tej ziemi...

Kiedy przyjdzie czas, z łatwością zdecyduje, na jaki rodzaj śmierci zasłużyła wiedźma.

## ROZDZIAŁ 23

Słyszając żalosne rżenie klaczy, Morag ściągnęła wodze karego wierzchowca. Zwierzę potrząsnęło łbem, ale zwolniło, jakby czekało na decyzję, czy powinno się całkiem zatrzymać. Zebrała mocniej wodze i obróciła się w siodle, by spojrzeć za siebie. Pozostałe klacze minęły ją, ale nie uszły daleko. Słoneczny rumak obrócił się, blokując przejazd. Ostatnia klacz wciąż szła w ich stronę. Pociła się mocno z wysiłku, próbując nadażyć. Zmartwiła skóra dookoła ugryzień nocnych łupieżców łuszczyła się, zostawiając coraz większe jątrzące się rany, w które wlatywały muchy. Gdyby nie niezłomność klaczy, Morag przyzwałaby Śmierć, by zakończyła jej cierpienie. Ale stworzenie, które tak zażarcie walczyło o życie, powinno dostać szansę, by toczyć tę walkę dopóty, dopóki pozostawał cień nadziei – a klacz nie wiedziała, że nie ma już nadziei.

Klacz stanęła, zanim znalazła się w bliskim sąsiedztwie słonecznego rumaka, który mógł ją zaatakować.

Morag obróciła się do przodu i przycisnęła kolana do boków karego konia.

– Ruszajmy.

Wciąż nie rozumiała, dlaczego słoneczny rumak i jego klacze podążają za nią. Po tym, jak odprowadziła duchy wiedźm do Cienistej Zastony, powróciła na łąkę, by sprawdzić, jak się mają konie, które zostawili tam Morphie i inni. Potem wyruszyła w swoją podróż, ponieważ nic nie mogła dla nich zrobić. Była bardzo zdziwiona, widząc, że słoneczny rumak zebrał swoje klacze i ruszył za nią. Być może konie czuły pewną pociechę, przebywając blisko Fae; być może rozpoznały w niej i jej karym koniu jedyne przyjazne dusze w tym obcym świecie. Była pewna jednego: podróżuje teraz z ogierem, pięcioma klaczami i ze swoim karym wierzchowcem.

Kary koń prychnął, zatrzymał się i spojrzał w stronę lasu rozciągającego się za przydrożnym polem.

– Woda? – Morag zauważyła, że wszystkim koniom zadrzały nozdrza i spojrzały w tym samym kierunku. Cokolwiek wyczuły, nie bały się tego.



Kary koń zarył kopytem w ziemię.

Woda.

Ale czy bezpiecznie byłoby wjechać między te drzewa, by do niej dotrzeć?

Morag uważnie studiowała krajobraz, szukając znaków.

Po prawej stronie lasu znajdowało się skupisko martwych drzew.

Pozwoliła, by jej moc przetoczyła się przez krainę; wyczuwała, nasłuchiwała.

Śmierć szeptała.

*Śmierć zacznie szeptać głośniej, jeśli wkrótce nie znajdziemy wody,* pomyślała. Popędzając karego konia w stronę lasu, powiedziała cicho:

– Zachowaj czujność. Uważaj. Te... stworzenia są w pobliżu.

Kary koń prychnął delikatnie. Podobnie jak słoneczny rumak, który został w tyle, by pilnować poranionej klaczy. Gdy zbliżali się do lasu, Morag przyglądała się drzewom. Żadnych ptaków, żadnych wiewiórek. Małe zwierzęta uciekły – kolejny znak, że tę ziemię przejęli we władanie nocni łupieżcy.

*Na łaskę Matki, te stworzenia rosły i rozmnażały się nienaturalnie szybko. A gdy się pożywiały, pożerały krew i magię, a do tego także część duszy żywiciela.*

Straciła rachubę upływających dni od chwili rozstania z Morphią, wymieniwszy się z nią wcześniej ostrzeżeniami. Podróżowała powoli, ponieważ zatrzymywała się przy każdym Starym Miejscu. Nie spotkała żadnej wiedźmy. Czasami dana ziemia wydawała się opuszczona; czasem miała wrażenie, że wycieka z niej magia. Rozważała przedostanie się lśniącymi drogami przez Zasłonę, by ostrzec inne klany, że ich drogi wkrótce się zamkną, ale nawet kary koń nie chciał się do nich zbliżyć, jakby wyczuwał, co się wkrótce wydarzy. I tak po prawdzie nie chciała zmieniać swojej postaci i samotnie podróżować drogami, ponieważ nie wiedziała, jak szybko mogą się zamknąć. Raz miała szczęście, że udało się jej uciec lśniącą drogą w ostatniej chwili. Nie mogła ponownie liczyć na łut szczęścia.

Poza tym Śmierć przyzywała ją do każdego z tych miejsc.

Mały Lud cierpiał z powodu ataków nocnych łupieżców, a w każdym Starym Miejscu znajdowało się kilka osób, które prosiły, by zaprowadzić je do Cienistej Zasłony. Początkowo się opierała, ponieważ nie wyglądali na bardzo chorych. Później Mały Lud wyjaśnił jej, że nikt z ugryzionych nie wrócił do zdrowia. Ci, którzy prosili o pomoc, bardziej bali się tego, że ich

duża zostanie pożarta, zanim dotrze do nich kolejna Służka Śmierci, niż tego, że przedwcześnie zrezygnują z życia.

Zbierała ich więc delikatnie i prowadziła do Cienistej Doliny, aby mogli przez nią przejść do Krainy Wiecznego Lata.

Choć była Zbieraczką, odczuwała, że zbyt często towarzyszy ostatnio Śmierci.

Gdy dotarli do strumienia, klacze pospieszyły, by ugasić pragnienie. Potem przyszła kolej na słonecznego rumaka – pił szybko, podczas gdy kary koń trzymał wartość.

Morag odwiązała bukłak od siodła i zsunęła się na ziemię.

– No dalej, pij – powiedziała do karego wierzchowca. Obserwowała drzewa, wypatrując jakiegoś ruchu. Słoneczny rumak strzegł klaczy.

Kiedy kary koń skończył, Morag napełniła bukłak. Przełykała hausty wody o nieco gorzkawym smaku. Kolejny znak obecności nocnych łupieżców – albo utraty magii na tych ziemiach.

Kiedy się pochyliła, by ponownie napełnić bukłak, słoneczny rumak zarżał, stanął dęba i uderzył kopytami w bok klaczy. Klacz runęła na pole, a od jej boku odpadło niewielkie czarne ciało. Nocny łupieżca rozpostarł skrzydła i rzucił się w stronę słonecznego rumaka, próbując zatopić ostre zęby w podeszwie jego uniesionego kopyta. Słoneczny rumak skręcił się i zęby nocnego łupieżcy zarysowały bok kopyta. Zanim stwór zdążył ponownie zaatakować, kary koń wystrzelił do przodu i powalił go na ziemię. Kopytami zaczął rozbijać jego ciało na miazgę.

Po chwili rozległ się przerażający dźwięk trzepotu skrzydeł nocnych łupieżców.

– Uciekajcie! – krzyknęła Morag. Wiedziała, że konie muszą stąd odbiec, nim ona będzie mogła zaatakować.

Klacz natychmiast posłuchały i zaczęły biec w kierunku pola. Ogiery stanęły po obu bokach Morag, gotowe do walki.

Sfrustrowana i przestraszona, zamachnęła się trzymanym za pasek bukłakiem i uderzyła słonecznego rumaka w zad. Położył uszy po sobie i wyszczerzył zęby. Ponownie machnęła bukłakiem, uderzając jednego z nocnych łupieżców, nim ten zatopił zęby w szyi karego konia.

– Uciekajcie, żebym ja mogła walczyć!

W końcu zrozumiały. Pobiegły przed siebie i przez moment była sama. Czowała się równie bezbronna jak każda inna istota, która musi się zmierzyć

z tymi tworamii wypaczonej magii.

Zebrała swoją moc i wypuściła ją w skoncentrowanym uderzeniu z nadzieją, że konie są już na tyle daleko, że impet ich nie dosięgnie. Nocni łupieżcy padli na ziemię, ogłuszeni. Ale ten stan nie potrwa długo.

Morag pobiegła.

Pozostałe uciekły przez pole i zebrały się przy drodze, ale kary koń czekał na nią kilka jardów od lasu.

– Zostałeś za blisko – rzuciła gniewnie Morag.

Kary koń prychnął i ustawił się bokiem do niej.

Ledwie zdążyła umieścić stopy w strzemionach, gdy obrócił się i pogalopował przez pole, by dołączyć do pozostałych.

Jej moc nie była w stanie zabić nocnych łupieżców. Przekonała się o tym tej nocy, gdy klacz została zaatakowana. Były ciałami bez ducha, nie miała więc czego zebrać. Ale jej moc *pozwalala* posłać je bezwładnie na ziemię na kilka minut. Nie były wówczas kompletnie bezbronne – wciąż mogły ugryźć i podrapać – ale dawało się je zabić zwykłymi metodami.

Kiedy dotarli do innych koni, Morag zsiadła i upadła na kolana, cała roztrzęsiona. Targana dreszczami, wbijała palce we włosy, jakby się spodziewała, że wyciągnie z kołtunów nocnego łupieżcę. Po mniej więcej minucie stanęła na nogi i zaczęła oglądać konie. Bok jednej klaczy krwawił nieco w miejscu, gdzie kopnął ją słoneczny rumak, ale żaden inny koń nie był ranny. Kopyto słonecznego rumaka, które zadrapały zęby nocnego łupieżcy, też nie było poważnie uszkodzone. Mimo to resztką wody z bukłaka polała kopyto rumaka i bok klaczy, by je oczyścić.

Spojrzała na drzewa. Niewątpliwie nocni łupieżcy doszli już do siebie i teraz lecą przez las, by dotrzeć jak najbliżej tej części pola. Ale wciąż było widno, a między drzewami i w miejscu, w którym stała, było wystarczająco dużo otwartego terenu. Nocni łupieżcy trzymają się leśnej gęstwiny i cieni – nie przedostaną się przez taką połąć otwartego terenu w dziennym świetle. Ale gdy słońce zajdzie...

Była gotowa zostać tu chwilę dłużej, by dać koniom szansę na poskubanie trawy. Żaden jednak nie próbował jeść, tylko wachały.

– Chodźmy – powiedziała więc, ruszając w stronę karego konia. – Znajdziemy inne miejsce na popas.

Śmierć szepnęła.

Morag obróciła się powoli, nasłuchując powodu tego szeptu.

Słoneczny rumak i kary koń obserwowali drogę. Klacze stanęły w zbitej gromadzie.

Kilka chwil później w zasięgu jej wzroku pojawił się młody mężczyzna na koniu. Na ich widok przycisnął ostrogi do boków wierzchowca; zwierzę przeszło w ciężki kłus, a potem zwolniło do stępa i zwiesiło głowę.

Morag nie dostrzegła w młodzieńcu niczego wyjątkowego. Wyglądał przeciętnie – ze swoimi brązowymi włosami, w czarnych spodniach i czarnym płaszczu, z czego jedno i drugie było przykurzone. Ale jego widok ją obrzydzał.

Zsiadł z siodła, szybko zdjął ogłowie swojego konia i podszedł do niej, wpatrując się chciwym wzrokiem w ogary, a potem w klacze.

– Potrzebuję jednego z twoich koni – powiedział, podchodząc do klaczy.

Fakt, że pomyślał, iż może wziąć to, na co tylko ma ochotę, nie wyjaśniając niczego więcej, niesłychanie ją zirytował.

– Nie są na sprzedaż – odparła chłodno.

Obdarzył ją krótkim, przenikliwym spojrzeniem, jakby się zastanawiał, czy ją też miałby ochotę dosiąść, ale potem ponownie zwrócił uwagę na konie.

Klaczę odsuwały się od niego – poza tą, która została pogryziona przez nocnych łupieżców. Położyła uszy po sobie, ale nie ruszyła się z miejsca. Gdy mężczyzna przyglądał się jej ranom, Morag ujrzała w jego spojrzeniu uznanie – a także satysfakcję. Zmrużyła oczy, wpatrując się w niego z uwagą.

– Jesteś jednym z Czarnych Płaszczy – powiedziała, a widząc, że się zmieszał, dodała: – Jesteś... Inkwizytorem.

– Tak – odparł niecierpliwie. – Jestem osobistym kurierem Mistrza Inkwizycji. Mój koń jest zajeżdżony. Potrzebuję jednego z tych.

– Abyś mógł dostarczyć rozkazy twojego Mistrza, by zabić więcej więdźm? – Utkwiła wzrok w płaskiej skórzanej sakwie zawieszanej na jego biodrze.

– Oczywiście. – Był dumny, arogancki. – On jest Młotem na czarownice.

– A ja – odezwała się łagodnie Morag – jestem Zbieraczką.

Jego twarz pobladła. Dopiero wtedy naprawdę – naprawdę – na nią spojrział.

– To ty zabiłaś Konrada – wyszeptał.

– Nie zapytałam go o imię.

Gdy rzucił się do ucieczki, ranna klacz uniosła jedną z nóg i kopnęła go w pierś. Morag usłyszała dźwięk łamanej kości.

Nocni łupieżcy fruwali wśród drzew na skraju lasu. Niektórzy odważyli się wlecieć na kilka jardów w światło dnia, ale po chwili wrócili do cienia. Świeże truchło ośmieliłoby ich na tyle, że zignorowaliby światło słoneczne, byle tylko pożywić się przed innymi stworzeniami.

– Ruszajcie drogą – powiedziała Morag do karego konia.

On i słoneczny rumak posłuchały polecenia. Za nimi podążyły klacze.

Morag zbliżyła się do młodego mężczyzny, ale nie na tyle, by mógł jej dotknąć. Krwawa piana wykwitła na jego ustach. Mogła wyczuć krew buzującą w jego wnętrzu, wypełniającą go.

– Pomóż mi – jęknął, wyciągając do niej rękę.

Uśmiechnęła się.

– Chcesz, żebym cię zebrała?

Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, gdy próbował złapać oddech.

– Nie! Wyślesz moją duszę do otchłani piekielnej, do leża Złego!

Morag przechyliła głowę, przyglądając mu się badawczo.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam o piekielnej otchłani, ale brzmi jak miejsce odpowiednie dla takich jak ty. Być może twój Mistrz Inkwizycji wskaże ci drogę.

Spojrzała w stronę lasu. Nocni łupieżcy stawali się coraz odważniejsi, ale nie dość odważni – jeszcze.

– Albo zajmą się tobą inni z jego sług.

Mężczyzna z trudem obrócił głowę i ujrzał czarne kształty wystrzeliwujące spomiędzy drzew.

– Nie możesz mnie tu z nimi zostawić – wysapał. Krew wytrysnęła z jego ust. – Nie możesz mnie zostawić...

– Ty i inni Inkwizytorzy stworzyliście je, czyż nie? Nie było ich tu, póki wasza banda nie zbrukała tej ziemi.

Jego oczy się zaszklily. Ostatni raz na próżno spróbował dosięgnąć Morag.

– Proszę. Nie możesz mnie zostawić.

Nocni łupieżcy wychynęli z cieni. Morag obserwowała, jak lecą przez pole.

– Ależ mogę.

Biegając w stronę karego konia, wykonała gwałtowny ruch ręką.

– Ruszajcie!

Klaczki pocwałowały drogą, za nimi kolumny pilnował słoneczny rumak, a na końcu kłusował koń kuriera. Morag dosiadła karego konia i spojrzała na

wierzchowca kuriera. Jeśli będzie próbował za nimi nadążyć, wkrótce padnie. Możliwe, że i tak umrze.

*Spróbujmy dać mu szansę, by za nami nadążył*, pomyślała, spowalniając karego konia do kłusu. *Nie chciałabym, by jakiegokolwiek stworzenie umarło w pobliżu tego pola. Może z jednym wyjątkiem*, poprawiła się, słysząc zawroźnienie ducha kuriera.



Wyczerpana Morag wtuliła się w słomę, by było jej nieco wygodniej. Choć letnie dni były długie, nie udało się im pokonać takiego dystansu, na jaki liczyła. Ale dotarli na tę farmę. Jeden z niewielkich mieszkań pełnych srebra, które znalazła w jukach kuriera, gdy zatrzymała się, by zdjąć siodło z jego konia, wystarczył, by kupić ziarno dla wierzchowców, posiłek dla niej oraz miejsce w stodole dla niej i karego konia. Słoneczny rumak i klacze pasły się nieopodal. Tej nocy wszyscy będą bezpieczni.

Farmer miał nadzieję, że przy odpowiedniej opiece koń kuriera wydobrzeje, oddała mu więc zwierzę na przechowanie. Pozwoliła mu je sprzedać; ona nie mogła zabrać go ze sobą. Konie Fae miały więcej siły i wytrzymałości od zwykłych. Prędzej czy później biedna bestia zostałaby w tyle, pozostawiona sama sobie, o ile wcześniej nie umarłaby ze zmęczenia.

Jutro dzień Letniego Przesilenia. Nie wiedziała o tym, zanim jej nie uświadomiono; straciła rachubę czasu. Farmer i jego żona zaprosili ją, by świętowała ten dzień z nimi, ale odmówiła. Tego roku Letnie Przesilenie oznaczało dla niej tylko tyle, że dłuższy czas może podróżować w dziennym świetle, kiedy było bezpiecznie. A to miało szczególne znaczenie, ponieważ wreszcie znalazła swój cel w świecie ludzi.

Ridgeley.

Wy tłumaczenie gospodarzom, że pragnie odszukać wioskę na południowym wybrzeżu Sylvalanu, ale nie zna jej nazwy, wymagało trochę wysiłku. Tak naprawdę nie interesowała jej konkretna wioska; potrzebowała jedynie znacznika w świecie ludzi, który pozwoli jej przedostać się do południowych klanów tak szybko, jak to możliwe. Zwrócili uwagę na jej konie i powiedzieli, że miejsce, którego szuka, to wioska Ridgeley. W jej pobliżu mieszka starszy mężczyzna, Ahern – hodowca najlepszych koni w okolicy. Kiedy kary koń nadstawił uszu na dźwięk imienia Aherna, zaczęła

podejrzewać, kogo tam zastanie. Ale nawet jeśli Pan Koni jej nie pomoże, na pewno będzie umiał jej wskazać, gdzie znaleźć Światłego lub Łowczynię.

Jeszcze trzy dni, góra cztery – zależy, jak szybko będzie w stanie podróżować. A potem...

Nie. To nie czas na rozmyślanie o tym, co może się wydarzyć. Wkrótce sama się przekona, co czeka na nią w Ridgeley.

## ROZDZIAŁ 24

– Dziś dzień Letniego Przesilenia – powiedziała Ari do Merle, szczotkując jego futro. – Najdłuższy dzień roku. Dzień hucznie obchodzony. A także jedyny dzień lata, gdy można porzucić pracę i po prostu cieszyć się dobrodziejstwami tej pory roku. Cóż, my jednak musimy trochę popracować, w przeciwnym razie nie zasłużymy na wieczorną ucztę.

Położyła szczotkę na ławce obok siebie i oparła się o ścianę chaty. Wyszczrzyła zęby do psiaka, który zamerdzał ogonem.

– Niech Matka błogosławi Ahernowi – westchnęła. – Wołowina. Wspaniały kawałek wołowiny, z którego powstanie wspaniała pieczeń. Nie żeby królik nie był mile widziany, ale to nie to samo, prawda?

Wstała i przeciągnęła się.

– Chodź. Przejdziemy się po naszych ziemiach. Nie obejdziemy całego terenu, Brightwood jest na to za duże, ale pokażę ci kilka moich ulubionych zakątków. Na przykład wzgórze, które ukochała moja babcia. Twierdziła, że to najlepsze miejsce, by usiąść i słuchać wiadomości, które przynosi jej wiatr. A także staw, który ukochała moja matka.

Zasmuciła się. Merle, wyczuwając zmianę, zawył cicho.

– To także dzień odwiedzania zmarłych – powiedziała miękko Ari. – Ponieważ to może być ostatnie Przesilenie, kiedy wybiorę się na ten spacer. Moja babka zmarła na tamtym wzgórzu. Zasnęła w promieniach jesiennego słońca... i już nigdy się nie obudziła. A matka... Jej ciało spoczęło wraz z Wielką Matką nieopodal stawu. Nie byłam pewna, czy chciałaby tam być po tym, jak... Ale chyba nie było innego miejsca, które by wolała, może poza tym miejscem na plaży, które często odwiedzała. Ono jednak nie nadawało się na pochówek.

Otrząsnęła się z przygnębienia, zanim zdążyło na dobre zapuścić korzenie w jej sercu.

– Czeka nas długa wędrówka. Po niej zacznę przygotowywać naszą ucztę. A potem długa, dokładna kąpiel.



Roześmiała się, gdy Merle odskoczył. Szczeniak miał problem ze zrozumieniem słowa „nie”, ale najwyraźniej dość szybko przyswoił słowo „kąpiel”.

– Kąpiel dla mnie. Ty swoją już miałeś. Nie wiem, w czym się wytarzałeś, ale teraz na pewno pachniesz lepiej.

Merle kichnął.

Wciąż się śmiejąc, Ari ruszyła w drogę, nasłuchując, czy nie ma dla niej jakichś wiadomości. Merle podskakiwał przy jej nogach.



– Jesteśmy gotowi? – spytała cicho Dianna.

– Jeśli tylne nogi naszych koni nie zapadną się w ziemię pod ciężarem tych juków, to jesteśmy gotowi – zadrwił Aiden. – Nie byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że nie zostawiliśmy choćby okrucha na ucztę dla naszego klanu.

– Wcale nie zabraliśmy aż tak dużo – wymamrotała Dianna.

– Łatwo ci mówić – burknęła Lyrra, ale w jej oczach tańczyło rozbawienie. – To nie ty podbierałaś kolejne smakołyki przeznaczone na ucztę. Nie ty podkradałaś słoiki, by mieć gdzie schować jedzenie. I nie ty prosiłaś o nieprzyprawionego pieczonego kurczaka. – Szeroko otworzyła oczy i zadrżała. – „Nieprzyprawionego kurczaka”? – zawołała piskliwie, przedrzeźniając Panią Paleniska, która rządziła w kuchni domu klanu. – „Łowczyni nie może chcieć nieprzyprawionego kurczaka”.

Dianna niepewnie spojrzała na Lyrrę.

– Mamy nieprzyprawionego kurczaka...?

Lyrra wyniośle pokręciła głową.

– Będzie podlany masłem miodowym. To i tak niewielki dodatek. No wyobraź sobie. *Nieprzyprawiony* kurczak. Bez farszu. Bez sosów. – Pociągnęła nosem. – Czyli tak: mamy mnóstwo pieczonego kurczaka, a ja jestem pewna, że przez to wszystko już na zawsze mogę zapomnieć o smacznych kąskach z kuchni, niezależnie od tego, ile zabawnych historii opowiem.

– Och... – sapnęła Dianna. Cieszyła się, że to nie ona plądrowała kuchnię. Pani Paleniska poczułaby się wtedy podwójnie dotknięta. Prośba o nieprzyprawionego kurczaka w przypadku Lyrry, choć niecodzienna, nie wydawała się szczególnie szokująca. Muza była znana ze swoich kapryśków.

– Jesteś pewna, że nie możemy zabrać ze sobą jucznego wierzchowca? – spytał Aiden płaczącym tonem.

– Za bardzo rzucalibyśmy się w oczy – odparła sucho Dianna. Spojrzała na harfę Aideną i przygryzła dolną wargę. – No, chyba że ty jednego potrzebujesz.

Dopiero gdy się uśmiechnął, pojęła, że dała się złapać na przynętę.

– Zabieram najmniejszą z moich harf – powiedział Aiden. – Nie ma aż tylu gam co inne, ale na ten wieczór wystarczy. A Lyrra może zabrać swój bębenek. To nie taka długa podróż.

– Ruszajmy więc, póki wszyscy inni są zajęci strojeniem się na wieczorną ucztę.

Ale wcale nie wszyscy byli zajęci. Zanim dotarli do stajni, stanął przed nimi Falco.

– Zabierzcie mnie ze sobą – powiedział.

– To prywatna uroczystość. – Dianna posłała mu najlepsze spojrzenie Łowczyni.

– Wybieracie się do chaty, czyż nie? To o tym szeptaliście przez ostatnie kilka dni. Mam rację?

– To nie twoja sprawa.

– Zabierasz ze sobą Aideną i Lyrrę, a oni nigdy wcześniej tam nie byli. – Spojrzał na nią chytrze. – A ja byłem tam kilkakrotnie.

– I nie byłbyś w stanie zachować tego dla siebie – warknęła Dianna. – Ona już wie, że jastrząb jest lordem Fae, ale nie ma pojęcia, że i ja jestem Fae. I na razie się nie dowie. Ty zaś całym sobą przywodziś na myśl króliki i jastrzębie; musiałyby być głucha i ślepa, by się nie zorientować. A gdybyś przyszedł z nami, zaczęłyby się zastanawiać, kim my jesteśmy.

Falco się nadąsał.

– Jeśli nie mogę jechać z wami, będę musiał spędzić wieczór z Lucianem.

Słyszając tę groźbę, Dianna aż się zapowietrzyła. Lucian dowiedziałby się o tym wieczorze wcześniej czy później, wołała jednak, by nastąpiło to później. Znacznie później.

– Skoro tak bardzo pragnie z nami jechać, to może mu pozwólmy – wtrącił chłodno Aiden. – Przynajmniej będziemy mieć go na oku. Ale niech Pan Jastrzębi lepiej sobie zapamięta, jak łatwo Bard potrafi zamieniać słowa w broń.

– Zwłaszcza gdy może zainspirować go Muza – dodała Lyrra.

Falco wydawał się zdenerwowany, ale się nie wycofał.

– Będę się pilnował. Chcę tylko zobaczyć, jak więdźmy celebryją Letnie Przesilenie

*Wszyscy chcemy zobaczyć*, pomyślała Dianna, zastanawiając się, co zastaną w Brightwood.



Ari założyła długą kamizelkę w morskim kolorze, po czym przyjrzała się sobie. Jej brązowa spódnica będzie symbolizować ziemię. Tunika w odcieniu kości słoniowej, która należała do jej babki, będzie symbolizować powietrze. A kamizelka jej matki będzie symbolizować wodę.

– Nie sędę, by ktokolwiek uznał mój strój za modny, ale przynajmniej w pewnym sensie wszystkie trzy będziemy wspólnie świętować ten dzień. Poza tym nie zobaczy mnie nikt prócz Merle, a jemu wszystko jedno, jak wyglądam. Zresztą nie dbam o to, co ktokolwiek pomyślałby o moim ubraniu. No, może z wyjątkiem Nealla. – Przerwała na chwilę, po czym dodała łagodnie: – Ale on zrozumiałby, że nasza trójka władała czterema gałęziami Matki, a to jedyny sposób, w jaki mogę to wyrazić – jak mogę oddać hołd wodzie i powietrzu. Potrzebuję jeszcze tylko czegoś symbolizującego ogień.

Otworzyła szufladę w toaletce i wyjęła z niej szkatułkę z biżuterią babci.

– Babcia nosiła broszę z granatami jako symbol ognia. To byłoby...

Uchyliła wieczko szkatułki i zmarszczyła brwi. Podarki od Luciana przykrywały biżuterię zbieraną przez kobiety w jej rodzinie od pokoleń.

Wyjęła rubinowy wisior i uniosła go w stronę światła.

– Tego dnia dzięki składamy Światłemu, Panu Słońca, za okres pełen światła i ciepła, w którym wszystko może wzrastać.

Nie sądziła, że po tym wszystkim będzie w stanie wypowiedzieć te słowa. Było inaczej, kiedy był dla niej bezosobową, bezcielesną istotą. Kiedy zdawało się, że naprawdę włada mocą słońca. Kiedy sądziła, że różni się nieco od pozostałych Fae, którzy zdawali się używać swoich darów jedynie wtedy, gdy mogli coś na tym zyskać. Ale on wcale się od nich nie różnił. W istocie miał wiele wspólnego ze szlachcicami ze świata ludzi – poza tym, że potrafił przybierać postać konia.

Nie, to Matka odpowiadała za zmianę pór roku i sprawiała, że wszystko

rosło. Światły mógł być jednym z jej potężniejszych sług, ale nie był nikim więcej – nawet jeśli sam przed sobą nie przyznawał się do tego.

*Czy kiedykolwiek podarowałbyś mi coś, co ma dla ciebie wartość, Lucianie? Czy wręczyłbyś podarek, gdyby było to dla ciebie niedogodnością?*

Nie miało znaczenia, co on zrobił lub czego nie zrobił. Spełniła złożoną mu obietnicę. A teraz musiała myśleć o Neallu, który cierpliwie czekał na odpowiedź. Ale w jeden sposób mogła uhonorować Światłego i to, co reprezentował.

Zapięła na szyi rubinowy wisior. Spoczął nad pentagramem, jakby znalazł się na swoim miejscu. Po raz pierwszy miała na sobie jakiś element biżuterii, który jej podarował. Jako że był tym, kim był, wisior stanowił odpowiedni symbol ognia.



Dianna nie była pewna, czy to szok, czy tylko zaskoczenie wypełniły twarz Ari, gdy wyjrzała przez otwarte do połowy kuchenne drzwi i ujrzała ich wszystkich.

– Nie chciałam, żebyś musiała świętować Letnie Przesilenie sama, więc postanowiłam do ciebie dołączyć. – Dianna zawahała się, nie mając pewności, czy to był dobry pomysł. Ari była wyraźnie zakłopotana. – Przyprowadziłam też kilku przyjaciół... – dokończyła niepewnie.

– Niech was dzień błogosławi – powiedziała Ari.

O *rety*, pomyślała Dianna, gdy Ari nie otworzyła drugiej połowy drzwi. *Może wcale nie jest sama. Może ten Neall jest u niej i dlatego nie jest chętna, by nas ugościć. Jeśli to prawda, mamy jeszcze więcej powodów, by zostać. Chciałabym lepiej się przyjrzeć rywalowi Luciana.*

– To Aiden, Lyrra i Falco – przedstawiła swoich towarzyszy. – Aiden jest minstrelem, a Lyrra czasem mu akompaniuje.

– Jestem jego inspiracją – powiedziała Lyrra, obdarzając Ari uśmiechem.

Bardziej zrezygnowana niż zadowolona, Ari otworzyła kuchenne drzwi.

– Wejdźcie i rozgośćcie się.

Po raz pierwszy Dianna widziała, że Ari nosi pentagram na wierzchu. Po raz pierwszy też zobaczyła ją w biżuterii od Luciana. Rozpoznała wisior i zaczęła się zastanawiać – oraz martwić – faktem, że Ari postanowiła założyć go akurat dzisiaj.

Kątem oka dostrzegła grymas Falcona, który taksował wzrokiem strój dziewczyny. Ari oblała się rumieńcem; wyglądała coraz bardziej nieswojo.

Zanim Dianna zdążyła zdecydować, co powiedzieć albo jak nadepnąć na stopę Falcona, nie zwracając na siebie uwagi, Lyrra wystąpiła do przodu.

– To tradycyjny kostium na Letnie Przesilenie? – spytała krytycznie. – Przypomina miejsca, gdzie spotykają się ląd i woda. – Zaśmiała się cicho. – Nie przejmuj się mną. Wszyscy mówią, że czasami zachowuję się dziwnie.

– Właściwie masz rację – odparła Ari. – Wybrałam ten strój, by symbolizował ziemię, wodę, powietrze i ogień – cztery gałęzie Matki.

Dianna stłumiła westchnięcie. Czy Ari w ogóle myślała o Lucianie, podejmując decyzję o założeniu tego naszyjnika, czy może zdecydowała się na rubin wyłącznie z uwagi na barwę kamienia?

– Nie przybyliśmy z pustymi rękami – powiedziała pogodnie Dianna.

Ari wciąż się wahała.

– Dianno, czy możemy przez chwilę porozmawiać na osobności? – Obróciła się i weszła do głównej izby w chacie.

Zerknąwszy niepewnie na swoich towarzyszy, Dianna ruszyła za nią.

– Doceniam to, że o mnie pomyślałaś – powiedziała Ari cicho, tak aby pozostali nie usłyszeli. – Ale Letnie Przesilenie... Czy oni wiedzą, czym jestem?

– Wiedzą – odparła Dianna.

– I zaakceptowali to?

– Nie przybyliby ze mną, gdyby było inaczej. Czy musisz zrobić tego wieczoru coś, w czym przeszkadzałyby ci nasza obecność?

– Muszę wykonać pewien rytuał – przyznała Ari. – Ale inni mogą się temu przyglądać.

– Chciałam po prostu zapewnić ci trochę towarzystwa i muzyki. Jeśli nie czerpiesz z tego przyjemności, pójdziemy sobie.

– Nie – szybko zapewniła Ari. Wreszcie obdarzyła Dianę ciepłym uśmiechem. – Nie, nie idźcie. Świątowanie z wami sprawi mi przyjemność.

– W takim razie rozpakujmy produkty na ucztę.

Nagle rozległo się ciche skomlenie.

– Merle? – Ari podeszła do bujanego fotela stojącego przed paleniskiem. Uklękła i zmarszczyła brwi, patrząc na przerażonego psiaka. – Nie ma czego się bać, Merle. To przyjaciele.

*Nie jego przyjaciele*, pomyślała Dianna, patrząc na psa. *I on o tym wie*.  
Ari wstała.

– Chyba jest przytłoczony obecnością tylu osób. Nie nawykł do tego.

*Tak, to wystarczająco dobre wyjaśnienie*.

Nie dając Ari więcej czasu na analizowanie zachowania szczeniaka, Dianna wzięła ją pod rękę i zaprowadziła z powrotem do kuchni.

Lyrra rozpakowywała już juki, które wnieśli Aiden i Falco. Różnorakie garnki i słoiki zapełniały blat obok zlewu. Najwyraźniej nie wątpili, że uda się im przekonać Ari do ugoszczenia ich.

– Przytrzymaj torbę – wymamrotała Lyrra do Aidena. – Ten się zaklinował.

Kiedy wreszcie udało się jej wypakować zawinięte danie, wszyscy popatrzyli na obwiązane wokół pakunku kolorowe wstążki.

– Spodziewałaś się, że odleci? – spytał Aiden.

– Nie chciałam, by pokrywka spadła – burknęła Lyrra. Minutę później, gdy węzły wciąż nie dały się rozsupłać, burczenie zmieniło się w warkot: – Masz nóż?

Tylko Matka wiedziała, o czym myślała Ari, przecinając wstążki. Dianna też nie była pewna, co powinna myśleć. Przynajmniej Aiden zręcznie otworzył i nalał wino, a Falco rozłożył na stole odpowiednią liczbę talerzy i sztućców, choć i tak wyglądały, jakby zostały przypadkowo rozrzucone, a nie ustawione z rozmysłem.

Gdy wszystko było gotowe, Falco zaczął kroić kurczaka, Aiden tymczasem porcjował pieczeń wołową. Ari położyła miseczkę z wołowiną i kurczakiem obok fotela na biegunach – dla Merle. Zasmuciła się, gdy nawet to nie wystarczyło, by ośmielić wystraszonego psa.

Ledwo zasiedli do stołu, ktoś zapukał do kuchennych drzwi.

– Przepraszam – powiedziała Ari i wstała, by otworzyć.

Dianna odprowadziła ją wzrokiem. Nikt z nich nawet nie udawał, że je – byli zbyt zajęci próbą podsłuchania rozmowy, zwłaszcza że głos rozmówcy Ari był na tyle niski, iż mógł należeć do mężczyzny.

To ten Neall. Kto inny pokazywałby się tu w taki wieczór? A on z pewnością nie został uwzględniony w planach Dianny.

Tyle że to nie był Neall.

Kilka chwil później Ari wróciła. Wyglądała na zdenerwowaną.

Lucian przeciwnie – nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego, a to, co

płonęło w jego oczach, nie było zaskoczeniem.

– Co za miła niespodzianka – powiedział łagodnie.

– Niech cię dzień błogosławi – rzekła Lyrra, uśmiechając się. Jej uśmiech zbladł, gdy Dianna i Lucian jednocześnie na nią spojrzeli. – Przepraszam. To nie jest odpowiednie powitanie?

– Jest pod tym dachem – odparła Ari. Przedstawiła wszystkich, po czym dodała: – Przyniosę dla ciebie krzesło, Lucianie.

– Ja pójdę po krzesło – powiedział Aiden. – Ari, usiądź obok swojego gościa. Falco, przesun się i usiądź obok Dianny.

Kiedy Ari i tak wyszła – do kuchni po dodatkowe nakrycie, Falco przesunął swoje krzesło, a Aiden znalazł kolejne. Na początku Dianna żałowała, że to nie ona zasugerowała zmianę miejsc; wiedziała, że siedzenie obok Luciana podczas posiłku raczej nie będzie komfortowe. Kiedy Aiden ustawił swoje krzesło przy drugim końcu stołu, ucieszyła się, że to jednak nie ona zasugerowała zmianę miejsc. Przynajmniej nie będzie co chwila gromiona wzrokiem przez Luciana – jeśli ktokolwiek był w stanie pojedynkować się z nim na zdeterminowane spojrzenia, to tylko Bard.

– Za spotkanie. – Uniosła szklanę.

– Za spotkanie – powtórzył jak echo Lucian, idąc za jej przykładem.

– Niech przyjaźń ogrzewa wszystkie dni naszego życia – dodała Ari z uśmiechem.

Po tych słowach Diannie coraz trudniej było przełknąć oszustwo, którego dopuszczała się przez ostatnie tygodnie.



Oszustwo może było trudne do przełknięcia, ale – Dianna przekonywała samą siebie – szczerść byłaby trudniejsza, a na tym etapie kolejne kłamstwa już nie zaszkodzą. Odciągnęła Ari na stronę, gdy tylko posiłek się skończył, i wyszeptwała:

– To o nim mówiłaś?

– Tak – odparła Ari.

– Urody nie można mu odmówić.

– Racja. – W głosie Ari zabrzmiała nutka rozdrażnienia: – Zwykle jednak jest bardziej uprzejmy.

Dianna posłała jej porozumiewawczy uśmiech, jaki zwykły wymieniać

kobiety w takich sytuacjach.

– Zakładam, że liczył na to, iż spędzicie dziś czas sam na sam.

Ari chwyciła ją za dłoń i ścisnęła lekko. Po chwili puściła.

– Cieszę się, że mnie dziś odwiedziłaś – powiedziała. Po czym zakasała rękawy i napełniła miskę wodą, by pozmywać naczynia.

Dianna nie wiedziała, jak potraktować to wyznanie, ale była pewna, że nie wróży ono nic dobrego. Bez słowa pospieszyła do głównej izby, by pomóc Ari w sprzątaniu stołu.

– Kolację jakoś przetrwaliśmy – powiedziała cicho Lyrra. – Aiden poradził sobie z Lucianem, ale Falco wygląda tak, jakby w każdej chwili mógł zmienić postać i odlecieć.

– Dlaczego nie wyjdiesz na zewnątrz razem z mężczyznami i nie spróbujesz ich uspokoić? – spytała Dianna.

– Wolę zostać w środku i pomóc Ari w pracach domowych. Może ty wyjdiesz?

– Ja poznałam ją pierwsza. Ja zostaję w środku. Poza tym Lucian nie jest zły na ciebie.

– Och, wydaje mi się, że Lucian jest na tyle wkurzony, by obdzielić nas wszystkich po równo. Ale nic się nie wydarzy, póki nie wrócimy do Tir Alainn. – Lyrra zebrała ze stołu kieliszki. – Muszę przyznać, że wcale nie wyglądałam powrotu do domu.

*Ja też nie,* pomyślała Dianna. *Chyba że Lucian zostałby tu na noc. Ale nie sądzę, by do tego doszło.*

– Co powiecie na odrobinę muzyki? – spytał Aiden, wyjmując harfę z futerału, gdy wszyscy, razem z krzesłami, przenieśli się przed chałupę.

– Muzyka do tańca! – zawołała radośnie Dianna. – Mamy tu dwóch miłych dżentelmenów, którzy poświęcą swoje stopy na rzecz przyjemnej rozrywki. – Nie dopuszczając do głosu Luciana, zwróciła się do Ari: – No chodź.

– Och, ja... ja nie umiem tańczyć – odparła szybko Ari.

– Nie tańczysz? – Lyrra wydawała się oburzona.

– Nie... nie takie tańce.

Dianna czuła, że ciekawość pęcznieje i wypełnia powietrze dookoła nich, ale nikt nie miał na tyle śmiałości, by spytać, jakie tańce tańczą wiedźmy.

– W takim razie najwyższa pora, żebyś się nauczyła – skwitowała. – To prosty lokalny taniec. Kroki nie są trudne. Pokażę ci.

Chwyciła Ari za ramię i pociągnęła, tak by dziewczyna stanęła obok niej.



Potem spojrzała z wyczekiwaniem na Luciana i Falcona.

Falco rzucił Ari spojrzenie pełne nadziei, po czym rozsądnie zajął miejsce naprzeciwko Dianny. Lucian podchodził powoli, uważnie się rozglądając.

– To naprawdę nie jest trudne – powiedział miękko.

Lyrra wystukiwała rytm na bębenu.

*Dobrze*, pomyślała Dianna, kiedy Aiden i Lyrra zaczęli śpiewać. Taniec miał proste, powtarzalne kroki. Mimo to Ari była zbyt przejęta, by się zrelaksować, wczuć w muzykę i poczuć rytm. A może była zbyt świadoma obecności Luciana. W tańcu wyglądał wspaniale. Gdyby tylko to było jedynym powodem, przez który przegapiła muzyczne wskazówki co do kolejnych ruchów...

Kolejny taniec poszedł jej nieco lepiej, chociaż nikt z nich go nie znał.

Postanawiając posłać Falconowi ostrzeżenie, że zaczyna za bardzo błaznować, Dianna nadepnęła mu na stopę. Falco, bezwstydnie przesadzając, jął skakać w kółko na jednej nodze. Ari pomyślała że to kolejny krok, i zaczęła go naśladować. Lucian i Dianna nie mieli innego wyjścia, jak pójść w ich ślady. Lyrra dała sobie spokój ze słowami piosenki. Kiedy melodia wybrzmiała do końca, Ari pękała ze śmiechu, a Lucian sprawiał wrażenie, jakby wybaczył im wtargnięcie do Brightwood.

– Już wystarczy... – wysapała Ari, osuwając się na krzesło. Wachlowała dłonią zarumienioną z wysiłku twarz.

Opadając na miejsce obok niej, Dianna wymieniła spojrzenia z Lyrrą, która wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Tak, wieczór jak na razie był udany – pomimo niespodzianek.

– Może zagraasz dla nas piosenkę, Aidenie? – zaproponował Lucian.

– *Lament Kochanka* – podsunęła Dianna.

Chwilę później, dostrzegając szeroko otwarte oczy Lyrry, uświadomiła sobie, że może to nie był najlepszy wybór. Z drugiej strony, a nuż pomoże Ari zrozumieć uczucia mężczyzny dotyczące zwyczaju wręczania podarunku.

Po lekkim wahaniu Aiden zaczął grać przygrywkę. Zerknął na Lyrrę. Przytaknęła. Będzie śpiewała partie kobiety, która odpowiada swojemu kochankowi.

*Wręczyłem ukochanej pereł sznur,  
Tak piękny, jak tylko się da.  
Oddała mi ten pereł sznur.*

*„Złe klejnoty dla kogoś takiego jak ja”.*  
*Wręczyłem ukochanej szafirowy szlif,*  
*Tak niebieski, jak tylko się da.*  
*Oddała mi ten szafirowy szlif.*  
*„Zły klejnot dla kogoś takiego jak ja”.*  
*Wręczyłem ukochanej diament najrzadszy,*  
*Tak wspaniały, jak tylko się da.*  
*Oddała mi ten diament najrzadszy.*  
*„Zły klejnot dla kogoś takiego jak ja.*  
*Zły klejnot dla kogoś takiego jak ja”.*

Dianna spojrzała kątem oka na Ari. Dziewczyna nie wydawała się przeżywać smutków kochanka, którego podarki okazywały się niewystarczające, na jej twarzy malowało się raczej zmieszanie.

– Nie podobało ci się? – spytał Aiden.

– Piękny utwór – odparła. – A wy wspaniale śpiewacie. Ale... – Przez moment się wahała. – Zastanawiam się, czemu nie zaśpiewaliście ostatnich dwóch zwrotek. W waszym wykonaniu pieśń ma smutny wydźwięk.

Dianna zeszytywniała. Spojrzała z niepokojem na Aiden, którego oczy stały się przenikliwie niebieskie.

– Znasz kolejne zwrotki? – spytał groźnie.

*Aidencie, ona nie jest twoją uczennicą. Nie powinieneś mówić do niej tym tonem.*

– Uhm... cóż... tak... – wyjąkała Ari, po czym dodała pospiesznie: – Ale może zwykle się ich nie śpiewa. Może tylko mnie tak uczono.

– Czyli potrafisz je zaśpiewać?

W odpowiedzi na ostry ton Aiden Lucian wyprostował się na krześle.

– Aidencie – Lyrra delikatnie szturchnęła Barda – czasami pozwalasz, by twój zapał do pieśni stawał się ważniejszy od twoich manier. – Posłała Ari swój najlepszy uśmiech. – Nie zwracaj na niego uwagi. Ja chętnie usłyszę pozostałe zwrotki.

– Och... Nie śpiewam zbyt dobrze.

– To bez znaczenia – rzekł Aiden. Prychnął, bo kolejny kuksaniec od Lyrry nie był już tak delikatny. – Proszę, zaśpiewaj. Zaczynaj od ostatniej zwrotki śpiewanej przez nas i kontynuuj.

Zaczął grać melodię, jednak Ari milczała. Przygryzła dolną wargę

i zgarbiła się na krześle.

Aiden westchnął głęboko.

– O co chodzi?

– Cóż, tak naprawdę to nie są dwie zwrotki. Jedna z nich to... to... tak jakby przejście.

– Most.

Ari przytaknęła.

– Most, a potem ostatnia zwrotka.

– Sądzę, że dam radę akompaniować – odparł sucho Aiden.

Znów zaczął grać, ale ona nadal milczała.

– Coś jeszcze?

– Wersja, którą znam, nie jest grana w tak żalobnym tonie.

Aiden zagrał zwrotkę w szybszym tempie, patrząc na Ari. Gdy przytaknęła, Dianna odetchnęła z ulgą.

*Wręczyłem ukochanej diament najrzadszy,*

*Tak wspaniały, jak tylko się da.*

*Oddała mi ten diament najrzadszy.*

*„Zły klejnot dla kogoś takiego jak ja”.*

*Błądziłem dniami i nocami,*

*Aż wreszcie przyszło olśnienie,*

*Jakie klejnoty mej pani*

*Zaspokoją najskrytsze pragnienie.*

*Uprzejmość i kurtuazję,*

*Szacunek i lojalność jej dam.*

*Złączę je moją miłością.*

*„Oto klejnoty dla kogoś takiego jak ja.*

*Oto klejnoty dla kogoś takiego jak ja”.*

Aiden zakończył pieśń powtórzeniem przygrywki. Gdy odłożył instrument, zapadła cisza. Niekomfortowa, niemalże bolesna cisza. Żadne z nich nie odważyło się spojrzeć na Luciana.

*Och Lucianie, pomyślała Dianna. Jeśli ona właśnie tego oczekuje od kochanka, jest większą romantyczką niż jakikolwiek człowiek, którego poznałam. Nie dziwota, że twoje podarki tak niewiele dla niej znacząły.*

– To było piękne, Ari – powiedziała Lyrra.

Ari wymamrotała podziękowanie i spojrzała na łąkę.

Rytm wystukiwany na bębenku. Przerwa.

Wszyscy odwrócili się w stronę dźwięku.

Sześcioro Małych Ludzi stało nieopodal. Trzech mężczyzn i trzy kobiety. Wszyscy z nieuprzejmymi, podejrzliwymi minami. Dwóch mężczyzn trzymało bębenki.

– Niech was dzień błogosławi – powiedziała Ari, uśmiechając się. – Wejdźcie i rozgoście się.

Jeden z mężczyzn wystąpił do przodu.

– Przyszliśmy na taniec – burknął, zerkając na Dianę. – Zawsze przychodzimy na taniec. Taki jest zwyczaj.

– Taniec? – spytała cicho Dianna, nachylając się w stronę Ari.

– Tak, taniec – powiedziała Ari. Ponownie spojrzała na łąkę, oblaną miękkim światłem dnia. – Już pora.

Dianna stężała, gdy Ari podeszła do miejsca na łące nieopodal rozpalonego paleniska. Kiedy po kolacji wyszli na zewnątrz, zauważyła niewielki okrąg ułożony z kamieni dookoła źródła ognia, ale nie poświęciła mu szczególnej uwagi.

Przez pełną minutę Ari po prostu tam stała. Kiedy postawiła pierwszy krok, mały mężczyzna zaczął wystukiwać rytm na bębenku. Drugi bębniarz dołączył do niego. Po kilku krokach Ari obróciła się twarzą do paleniska. Uniosła ramiona i zacisnęła dłonie, tak jakby trzymała za ręce dwóch innych tancerzy po obu swoich bokach. Krzyżak, krzyżak, twarzą do przodu, krok pierwszy, drugi, trzeci, znów twarzą do środka okręgu. Krzyżak, krzyżak, twarzą do przodu, krok pierwszy, drugi, trzeci, znów twarzą do środka okręgu.

*Nie po okręgu*, stwierdziła Dianna, kiedy Ari dotarła do punktu, w którym zaczęła. *To spiralny taniec, który zakończy się dokładnie przy palenisku. I co wtedy się stanie?*

Poczuła mrowienie w stopach. Najpierw je zignorowała, jednak gdy zobaczyła, jak Lyrra zaczyna dreptać w miejscu, oderwała wzrok od Ari i przyjrzała się pozostałym Fae. Lucian pobrał, zaciskał pięści. Aiden ścisnął harfę tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Falco wyglądał na przerażonego. A Lyrra wciąż wierciła się na krześle, jakby nie mogła usiedzieć nieruchomo.

Mrowienie się wzmogło, tak jakby trzymała stopy w jakiejś dziwnej rzece.

*To jest rzeka*, pomyślała, koncentrując się na spiralnym tańcu, który zbliżał

się ku końcowi. *Rzeka magii. Ona czerpie magię z Brightwood i wplata ją w tę spiralę.*

Było bezwietrznie, ale powietrze zdawało się falować – i mogłaby przysiąc, że coś w nim iskrzy, zbliżając się w stronę tańca.

Zerknęła na Mały Lud. Nie byli zaalarmowani tym, co się działo podczas tańca Ari.

Kiedy Ari w końcu stanęła w milczeniu przy palenisku, wszystko inne zdawało się poruszać. Wskazała na okrąg. Niewielki ogień wybuchł płomieniem.

– Dziękujemy za gałąź ognia – powiedziała. – To serce Matki i podobnie jak wszelkie emocje może ogrzewać, a może parzyć.

Podniosła czarę stojącą obok ognia i powoli wylała z niej wodę na ziemię.

– Dziękujemy za gałąź wody. To łzy Matki, ronione ze śmiechu i z bólu.

Uniosła ręce, formując łuk nad głową.

– Dziękujemy za gałąź powietrza. To oddech Matki.

Zbliżyła ręce bliżej, stykając opuszki palców obu dłoni.

– Dziękujemy za gałąź ziemi. To ciało Matki, które daje nam życie. Niech spłyną na nas jej błogosławieństwa.

Gdy rozpostarła ręce, Dianna poczuła uderzenie wyzwolonej mocy. Moc wzniosła się wysoko w powietrze, zatoczyła łuk i rozlała się okręgami, które rozszerzały się, rozszerzały i rozszerzały, aż dotknęły każdego kamienia, każdego drzewa, każdej cząstki w obrębie Brightwood.

Bębnienie ustało.

Mali ludzie się uśmiechali.

Ari, wyraźnie zmęczona, ale i zadowolona, odwzajemniła ich uśmiech.

– Niech Matka pobłogosławi wasze dni – powiedziała.

– I twoje, panienko Ari – odparł jeden z mężczyzn.

Rzuciwszy Fae ostrożne spojrzenie, on i pozostali przecięli łąkę i zniknęli w lesie.

Dianna wciąż siedziała na swoim miejscu. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć – coś odpowiedniego – kiedy Ari do nich wróci. Nie miała jednak pojęcia co. Tylko jedna myśl krążyła w jej głowie: wcześniej nie była świadoma, jak potężne w istocie są wiedźmy, jak potężna jest Ari. Gdyby dziewczyna zebrała tyle magii i wypuściła ją w stronę jakiegoś celu...

Czy to właśnie spotkało drogi wiodące przez Zasłonę? Taki ogrom mocy z pewnością oderwałby je od tego, co zakotwiczało je w świecie ludzi,

czymkolwiek to było. Wiedzieli, że wiedźmy są w jakiś sposób powiązane z utratą fragmentów Tir Alainn. Ale ona wydawała się niegroźna, nieskuteczna.

Nie była niegroźna. Teraz mieli dowód potęgi wiedźmy. Czy Lucian wiedział o tym wcześniej?

Dianna zerknęła z ukosa na brata.

Nie, on też nie wiedział.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek musieli się upewnić, że Ari jest przyjaciółką Fae – albo że nie może ich skrzywdzić.

Nie chciała o tym myśleć. Nie w tej chwili.

Kiedy Ari osunęła się na krzesło obok niej, Dianna wciąż nie wiedziała, co powiedzieć.

– Prawdopodobnie chcecie już wracać, póki jest widno – powiedziała Ari, nie patrząc na żadnego z gości.

– Tak – odparła słabo Dianna. – Tak byłoby najlepiej.

– Osiodłam konie – powiedział Falco.

– Pomogę mu, jeśli zapakujesz moją harfę. – Aiden rzucił okiem na Lyrrę, która przytaknęła.

Jako że juki zostały już wcześniej przepakowane, przygotowania do drogi nie zabrały im wiele czasu.

– To był wspaniały wieczór, Ari – powiedziała Lyrra. – Dziękujemy, że mogliśmy w nim uczestniczyć.

– Niech was dzień błogosławi – odpowiedziała cicho Ari.

Dianna chwyciła jej dłoń i lekko uścisnęła.

– Wkrótce się zobaczymy – szepnęła.

– Dobrze.

Dołączyła do Lyrry, Aideny i Falcona stojących przy koniach. Obejrzała się jeszcze, by ujrzeć, jak Lucian całuje dłoń Ari. Czy jego dystans wynikał z obecności publiki, czy może nie ośmielał się na więcej?

Rzuciwszy dziewczynie jeszcze jedno namiętne spojrzenie, Lucian zmienił postać i pogalopował na przełaj przez łąkę. Jako że pozostali wciąż udawali, iż pochodzą ze świata ludzi, musieli nadłożyć drogi już poza zasięgiem wzroku Ari. Lucian z pewnością powróci do Tir Alainn szybciej niż ich grupa.

*Dobrze się złożyło*, pomyślała Dianna, licząc, że uda się jej przekraść niepostrzeżenie i uniknąć dyskusji aż do kolejnego poranka.

Kiedy odjeżdżali, Lyrra spytała cicho:

– Czy pomogliśmy sobie dziś wieczorem, czy raczej zaszkodziliśmy?

– Chciałabym to wiedzieć – odparła Dianna.



Ari naląła sobie resztkę mdłego wina, które przyniósł Lucian, opróżniła kieliszek dwoma łykami, a potem usiadła na ławce. Wtedy zza otwartych kuchennych drzwi doleciało ciche zawodzenie.

– Już dobrze, już ich nie ma – powiedziała.

Merle wygramolił się z chaty. Przywarł do jej nogi, drżąc na całym ciele. Ari podniosła go i posadziła sobie na kolanach.

– Oni nie wiedzą nic o wiedźmach – powiedziała. – Gdyby wiedzieli, zdawaliby sobie sprawę z tego, że ich urok nie będzie działał podczas tańca. Muszą się wszyscy znać, może nawet pochodzą z tego samego klanu, a mimo to udawali, że Lucian jest obcy. Może i jestem młoda, ale nie jestem ślepa.

Roześmiała się gorzko.

– Cóż, Dianna sama mi powiedziała, że zadaje się z Fae. Zapomniała tylko wspomnieć, że jest jedną z nich. Ciekawe którą. – Potarła nos o miękkie futro Merle. – Być może lepiej, jeśli nigdy się tego nie dowiem.

Przyjrzała się umaszczeniu szczeniaka.

– Jesteś ogarem cienia, prawda? Ale twoja matka sparowała się z niepożądanym samcem, dlatego dla nich jesteś bezwartościowy. Nic dziwnego, że tak się ich boisz. Nic dziwnego, że ich rozpoznajesz. Ale skoro cię nie chcą, gdyż nie jesteś czystej krwi, to kim to czyni mnie? Ja nie mam nawet tak mizernych powiązań z ich światem. Czego ode mnie chcą? Bo teraz jestem już pewna, że czegoś chcą. Ale ukrywają to, tak jak i swoje prawdziwe twarze.

Postawiła psiaka na ziemi i podeszła do pieńka do rąbania drewna.

– Ze swojego ukrycia nie widziałeś, jak często Falco spozierał na ten pieńek, próbując powstrzymać uśmiech. Zastanawiam się, czy po dzisiejszym wieczorze dostaniemy jeszcze jakiegoś królika.

Podeszła do paleniska i usiadła. Ogień szybko wygasł, ale zostało jeszcze kilka żarzących się węgielków. Nigdy nie gasiły tego ognia. Zawsze po cichu wypalał się sam. To było suche lato, posiedzi więc chwilę, by się upewnić, że żaden podmuch wiatru nie przeniesie iskry na łąkę.

Nie, Fae nie wiedzieli nic o wiedźmach, nie zrozumieli jej tańca. Wraz z upływem czasu dochodziło do powstawania kieszeni i sadzawek magii. Jedną z nich była chata, ponieważ tam mieszkała. Ale także inne miejsca w Brightwood przyciągały do siebie magię, przez co Małemu Ludowi, który nie mieszkał w pobliżu żadnej takiej kieszeni czy sadzawki, trudno było utrzymać w równowadze własną magię. A niekiedy takie miejsca stawały się na tyle potężne, że mogły uwięzić w sobie istotę, która nie miała dość magii. Taniec wysysał całą tę magię, która pochodziła z gałęzi Matki, i kumulował ją w jednym miejscu, tak aby przepływała przez czarownice i równomiernie pokrywała Stare Miejsce.

Czerpała magię, która pochodziła z gałęzi Matki. Ale żadnej innej. Dlatego Mały Lud zawsze jawił się jej wtedy niczym jasne punkty magii stojące na tle bladego świata. Spodziewała się, że postać Luciana również będzie jasno się żarzyć. Nie spodziewała się jednak, że rozbłyśnie także reszta jej gości.

– W pewien sposób wyświadczyli mi przysługę – powiedziała do Merle, który położył się przy jej stopach. – Teraz już wiem, co odpowiedzieć Neallowi, gdy znów go zobaczę.



Lucian już na nią czekał, gdy weszła do swoich pokoi w domu klanu.

– Jak żyję, Dianno, coś ty sobie myślała?! – ryknął.

Dianna, już i tak zmartwiona, postanowiła nie poskramiać swojego temperamentu. Trzasnęła drzwiami i odkrzyknęła:

– Mogę to samo powiedzieć o tobie!

– Ja nie wiedziałem, że ona jest wiedźmą, kiedy akceptowałem jej przyrzeczenie podczas Letniego Księżyca. A jeśli dobrze pamiętam, to ty mnie do tego zachęcałaś.

– I wciąż byś nie wiedział, kim jest, gdybym jej nie odwiedzała i nie domyśliła się wszystkiego.

Głos Luciana przybrał cichszy, bardziej złowieszczy ton:

– Ale wiedziałas przed dzisiejszym wieczorem. Wiedziałaś wcześniej niż ktokolwiek z nas. Och, tak, domyśliłem się, skąd Aiden zdobył swoje informacje na temat pentagramu. Więc powiedz mi, siostrze, dlaczego odwiedzałaś Ari?

– Ponieważ martwiłam się o ciebie... – Dianna zamilkła. Przeszła kilka



kroków, próbując powściągnąć swój gniew. – Nigdy wcześniej nie interesowałeś się w takim stopniu żadną ludzką kobietą. Chciałam się dowiedzieć, co to za osoba.

– To tłumaczy, dlaczego poszłaś tam po raz pierwszy. Ale nie wyjaśnia kolejnych wizyt.

– Jakich kolejnych wizyt? – warknęła, czując narastający niepokój.

– Wracałaś tam raz po raz. – Lucian zacisnął dłonie w pięści. – Dlaczego? I po co dałaś jej bezużytecznego szczeniaka? Sądziłaś, że nie rozpoznam małego kundla? Zwłaszcza że widziałem go wcześniej tutaj, w naszych ogrodach?

– Dla nas jest bezwartościowy, ale nie dla niej! – Dianna zacisnęła usta.

– Łatwo oddać coś, co nic dla ciebie nie znaczy, prawda?

*I kto to mówi*, pomyślała z furją. A potem uświadomiła sobie, że dokładnie z tego wynikał gniew Luciana, przynajmniej w części.

– Nie zrobiłam nic złego.

– Nie? – Lucian popatrzył na nią. – Nie zrobiłaś nic złego? Ona jest wiedźmą! Czowałaś i widziałaś, jak czerpie magię z ziemi. Gdyby nie wypuściła jej z powrotem, czy wciąż mielibyśmy dom, do którego moglibyśmy wrócić?

– Nie możesz zrzucić tego brzemienia na mnie, Lucianie. Nie możesz.

– Dlaczego poszłaś tam dzisiaj? – zaryczał.

– Ponieważ ją lubię! – Próbowała się powstrzymać... ale nie zdołała. Łzy wypełniły jej oczy, spłynęły po policzkach. – Lubię ją. Nie chciałam tego, nigdy nie zamierzałam jechać tam więcej niż raz. Za pierwszym razem moja wizyta wynikała z troski o ciebie. Za drugim wróciłam, ponieważ byłam jej ciekawa. A potem jeździłam do niej, ponieważ ją polubiłam. – Otarła łzy. – Dziś chciałam zapewnić jej trochę rozrywki. Powiedziała mi, że w wiosce odbywają się obchody Letniego Przesilenia, z muzyką i tańcami, ale ona nie jest tam mile widziana, ponieważ jest wiedźmą. My świętowalibyśmy tutaj, z muzyką, tańcami i ucztą, a ona byłaby tam całkiem sama. Nie chciałam, by była sama.

Lucian przysiadł na parapecie. Zgarbił się. Westchnął.

– Wiem. Dlatego i ja udałem się dziś do Brightwood. – Uśmiechnął się słabo. – Biedny Aiden. Nic dziwnego, że był taki spięty, gdy mówił mi, że zaangażowałaś jego i Lyrre na specjalny występ z okazji Przesilenia.

Mając nadzieję, że szalejąca między nimi burza już się skończyła, Dianna podeszła kilka kroków bliżej brata.

– Aiden nie był nawet w połowie tak zły jak Falco. Zagroził, że powie ci o naszej wizycie w Brightwood, o ile nie weźmiemy go ze sobą. A potem zjawiliś się ty.

Lucian parsknął śmiechem.

– Dobrze mu tak.

Gdy rozbawienie i złość uleciały, ujrzała na twarzy brata cierpienie, zagubienie.

– Zależy ci na niej, prawda?

Nie patrzył na nią.

– Tak. Nie chcę, żeby tak było. Przynajmniej nie w takim stopniu. Ale zależy mi. – Zawahał się. – Miałem jeszcze jeden powód, by tam dziś pojechać.

– Jeden, ten oczywisty, przychodzi mi na myśl – odparła szorstko Dianna.

Potrząsnął głową.

– Jeden z tych wioskowych gamoni poprosił Ari o rękę, a ona rozważa, czy się nie zgodzić. Nie widzę powodu, by miała to zrobić, chyba że nie może już znieść tej samotności. Pomyślałem więc... – Przeczesał palcami włosy. – Odwiedziłem większość klanów w Sylvalanie – a przynajmniej te położone na wschodzie i w centrum. Odwiedziłem też kilka klanów w Arktosie, zanim zniknęły. A kiedy się uczyłem, jak się poruszać po świecie ludzi, zwiedziłem też sporą część Sylvalanu. Ona nie podróżowała dalej niż do miasta na wybrzeżu oddalonego o dzień drogi od Brightwood. Nie zna wielu opowieści ani muzyki. Poza tkaniem, ogrodnictwem i magią właściwie niewiele wie o czymkolwiek. Mogłem dzielić się z nią opowieściami i muzyką, rozmawiać z nią o innych rzeczach.

– Być jej mentorem i kochankiem? – spytała łagodnie Dianna.

– A co w tym złego? Dlaczego miałyby się ustatkować z jakimś napalonym człowiekiem, który przywali ją swoim ciężarem, popchnie biodrami kilka razy, a potem stoczy się na bok, kiedy ja jestem w stanie sprawić jej prawdziwą przyjemność? Dlaczego miałyby się tak szybko postarzyć od tej ciągłej pracy, skoro wciąż jest tak młoda?

Dianna zmarszczyła brwi.

– W takim razie dlaczego nie poszedłś tam dziś wieczór jako jej kochanek?

Lucian zerwał się z miejsca.

– Ponieważ nie będzie ze mną, póki nie zdecyduje, co zrobić z nim.

Jedynie psa powinna obowiązywać taka lojalność. – Jego słowa zawisły w powietrzu.

– Jeśli wybierze ciebie, jak długo potrwa ten układ? – spytała ostrożnie Dianna.

– Dopóki nam obojgu będzie sprawiał przyjemność.

– A jeżeli ona będzie chciała mieć dzieci?

Wzruszył ramionami.

Dianna odetchnęła z ulgą.

– Moje dzieci, kiedy postanowię je mieć, będą Fae – odparł cicho. – Jestem Światłym. Nie zgodzę się na nic pośledniego. – Nabrał głęboko powietrze, po czym wypuścił je powoli. – Chcę z nią być, ponieważ mi na niej zależy. Ale musimy też strzec Ari przed tymi, którzy mogą zwrócić ją przeciwko nam.

– Zgoda. Musimy ją chronić. Zarówno dla jej dobra, jak i dla naszego.

Dianna знаła już imię gamonia, który chciał poślubić Ari. Ale nie podzieli się nim z Lucianem, dopóki nie pozna decyzji Ari.

## ROZDZIAŁ 25

Po przygotowaniu Darcy'ego do snu Neall został dłużej w stajni.

Czy istniało większe osamotnienie niż to, gdy przebywa się wśród ludzi? Gdyby mógł, pojechałby do Brightwood, żeby świętować Letnie Przesilenie z Ari, zobaczyć taniec, który jak przez mgłę pamiętał w wykonaniu swej matki, poczuć magię przepływającą przez wszystkie żywe stworzenia, a potem znów rozlewającą się na okoliczne ziemie.

Rozważnie było pojechać wraz z baronem Felstonem i pozostałymi do wioski na ucztę z okazji Przesilenia; jutro pogalopuje do Brightwood, by sprawdzić, czy Ari podjęła już decyzję. I zależnie od tego, co usłyszy, będzie musiał zacząć snuć własne plany.

Wytrzyma jeszcze trochę, zapewniał samego siebie, idąc w stronę domu. Nigdy więcej nie będzie musiał świętować Letniego Przesilenia w Ridgeley. Uczta z tej okazji była czasem radości, obietnicą nowego początku dla młodych par, które zdecydowały się pobrać w ten dzień. Dla młodych mężczyzn i kobiet, którzy ochoczo łączyli swoje dłonie i przysięgali sobie nawzajem, wciąż były to wspaniałe chwile. Gdy widział, jak na siebie patrzą, czuł przejmujący ból i miał ochotę chwycić Ari w ramiona. Ale zauważył, że żaden z przedstawicieli szlachty nie patrzył na swego życiowego partnera z taką radością i niecierpliwością. Podejrzewał, że dla nich dni pomiędzy pełnią a nowiem księżycy wystarczą, by zmęczyć się sobą nawzajem. Ci, którzy składali przysięgę małżeńską, robili to tylko dlatego, że dziecko – owoc Letniego Księżyca – było już w drodze, ale tak naprawdę to kwestie związane ze statusem i majątkiem były głównymi bodźcami wikłania się w „jarzmo”. Lepiej poślubić dziedzica niż drugiego syna, którego naprawdę kochasz. Lepiej poślubić córkę dżentelmena, nawet jeśli nie czuje do ciebie nic prócz pogardy, ponieważ twój status społeczny jest nieco niższy od jej pozycji, niż córkę kupca, która cię podziwia.

Neall otworzył frontowe drzwi i wkroczył do holu. Przez ostatnie kilka dni Odella była nie do zniesienia, ale przynajmniej oszczędzono im...

– Ty dziwko! – z gabinetu barona Felstona dobiegł krzyk Royce’a.

Neall się nie wahał. Pobiegnął do gabinetu i pchnął drzwi.

Baron Felston i Royce stali naprzeciwko krzesła, na którym siedziała Odella; była skulona, lecz wciąż udawało się jej wyglądać godnie. Z boku stała żona Felstona, spoglądając na córkę z nieukrywaną pogardą.

– Przynosisz hańbę rodzinie, ponieważ wydaje ci się, że możesz ignorować zwyczaje i tradycje? – zaryczał Felston. – Miałaś szansę, by postąpić właściwie. Nawet jeszcze dziś rano dało się wszystko załatwić. Dziecko, które przychodzi na świat nieco wcześniej, w przypadku małżeństwa zawieranego podczas Letniego Przesilenia nie jest uznawane za przedwczesne. Nikt nie liczy miesięcy na palcach i nie uśmiecha się krzywo. Żadna z rodzin nie traci reputacji ani pozycji w społeczności. Ale jeśli małżeństwo odbędzie się choćby tydzień później – to już zupełnie inna sprawa.

Wargi Odelli zadrżały, ale jej głos pozostawał ostry, gdy przemówiła:

– Powiedziałam ci. Nie mogę go poślubić.

– Zadarłaś spódnicę dla żonatego mężczyzny? – wykrzyknął Royce. – Czy zatraciłaś już wszelką przyzwoitość? Co się z tobą stanie? Zostaniesz luksusową dziwką Ridgeley?

– Royce! – krzyknęła baronowa. – Nie będziesz tak mówić.

– Dlaczego nie? – Royce zuchwale zwrócił się do matki. – Skoro tym się stała, powinna przynajmniej dostawać zapłatę.

– On nie jest żonaty! – Odella wyprostowała się na krześle.

– To kim jest? – spytał baron. – Rozłożyłaś nogi przed jakimś źle urodzonym kmieciem, który sprząta w stajniach?

– Nie jest źle urodzony, nie jest kmieciem i nie jest żonaty! – krzyknęła Odella. Zrobiła pauzę, po czym dodała dramatycznie: – Jest lordem Fae.

Cisza.

Neall słyszał, jak zegar w holu wybija kwadrans.

– Lord Fae – powiedział z trudem baron Felston. Potarł kark. – Mówisz prawdę, dziewczyno? To nie jest czcze gadanie?

– Widziałam jego twarz. Jego prawdziwą twarz.

– To gdzie są podarunki? – spytał Royce. – Zgodnie z opowieściami Fae zawsze wręczają podarki kobiecie, z którą idą do łóżka. Pokaż je nam.

– Nie dostałam żadnych podarunków. Powiedział, że podarunki nie dotyczą nocy Letniego Księżyca, ale że przyniesie mi dar kolejnej nocy.

– Więc gdzie jest?

– Nie mam go. Nigdy nie wrócił.

Royce prychnął.

– Okazałaś się aż takim rozczarowaniem?

Odella wstała z furją.

– Nie wrócił, ponieważ rzucono na niego urok. Nie wrócił, ponieważ ujrzała go Ari i zapragnęła go. Więc zapomniał o mnie i zaczął zostawiać swoje prezenty w jej szufladach.

– Kłamczucha! – Royce uniósł pięść.

– Sądzisz, że skoro odmówiła tobie, nie podnosi spódnicy dla kogoś innego?

– Nie ośmieliłaby się.

Odella się roześmiała. To był paskudny dźwięk.

– Och, ośmieliła się, uwierz mi! Widziałam go tam pewnego ranka, zuchwałego i bezczelnego. Mojego kochanka. Tego, który obiecał mi skrzynie pełne złota i klejnotów. – Nastrój Odelli się zmienił. Jej twarz wykrzywił smutek. – Kiedy go powitałam, po prostu mnie wyśmiał. Wyśmiał. Dobierał się do jej spódnicy, jeszcze zanim zniknęłam mu z oczu.

– Co za suka – warknął Royce. – Ostrzegałem ją, co się stanie, jeśli odda się innemu.

– Kiedy to było? – spytał Neall. Wiedział, że Światły był kochankiem Ari, ale w jakiś sposób wizyta lorda Fae w jej chacie za dnia wydała mu się znacznie bardziej intymna i groźna niż nocą. Wtedy był to tylko seks, spełnienie obietnicy wymuszonej tym przeklętym specjałem. Ale w ciągu dnia... to było *życie*. Zbiór drobnych detali, z których składał się wspólnie spędzony dzień, wzbogacał to, co się działo w łóżku w ciągu nocy.

Kiedy wszyscy się obrócili, by na niego spojrzeć, zrozumiał, że powinien być siedzieć cicho, powinien był się wycofać z pokoju, nim ktokolwiek z nich go zauważył.

– Nie tak dawno temu – odparła Odella. Jej oczy wypełniła zawiść. – Na długo po nowiu księżyca, więc na pewno nie było to spotkanie mające jedynie wypełnić złożone przyrzeczenie.

Neall zamknął oczy, jakby miało to złagodzić przyjmowany cios. Czyli tak. To się nie skończyło. Czy to dlatego Ari wciąż nie dała mu odpowiedzi?

Chwila. *Chwila*. Coś tu nie grało. Co powiedziała Odella o tym poranku, kiedy zobaczyła lorda Fae? Że dobierał się do...

Neall spojrział na Odellę.

– Kłamiesz. Może i widziałaś lorda Fae tego ranka, ale nie mogłaś widzieć, jak dobiera się Ari do spódnicy. – Uśmiechnął się gorzko. – Ona zakłada spódnicę tylko wtedy, kiedy musi przyjechać do Ridgeley. W Brightwood zawsze ma na sobie luźne spodnie, ponieważ łatwiej pracować w takim stroju. – Zrobił krok do przodu. – W jakiej jeszcze kwestii kłamiesz, Odello?

– Nie kłamię – wycedziła. – Był mój! To ja powinnam otrzymać złoto i biżuterię, którymi obdarował ją!

Neall potrząsnął głową. Wypełniła go pewna beztroska, przez którą zatracił wszelką ostrożność.

– Nie mogłaś go spotkać podczas Letniego Księżyca. Nie twierdzę, że nie spotkałaś jakiegoś lorda Fae. To możliwe. Ale to nie był on. Co oznacza, że Ari ci go nie ukradła.

– Przecież mówię, że to zrobiła!

Beztroska zmieniła się w gniew.

– Jeśli nie chcesz przyznać, kto naprawdę jest ojcem dziecka, żeby uniknąć niefortunnego małżeństwa, w porządku. Jeśli chcesz twierdzić, że to lord Fae, to również w porządku. To wystarczająca wymówka, ponieważ wszyscy wiedzą, że mężczyźni Fae nie żenią się z ludzkimi kobietami. Ale nie oskarżaj Ari o coś, czego nie zrobiła. Może ty ukradłabyś mężczyznę innej kobiecie wyłącznie dlatego, że masz na to ochotę, i nie dbałabyś o to, co to dla niej znaczy. Użyłabyś nawet jednego z eliksirów Babci Gwynn, gdybyś nie potrafiła go skusić w inny sposób. Ale Ari nigdy by tak nie postąpiła. Nigdy.

– Jak śmiesz? – ryknął baron Felston. – Jak śmiesz odzywać się tak do mojej córki? Jak śmiesz brać stronę wiedzmy, zamiast swojej rodziny? Zapomniałeś już, kto cię karmił, ubierał, dawał dach nad głową przez te wszystkie lata?

– O niczym nie zapomniałem – wypalił Neall. – Nie zapomniałem, że żałowaliście mi najmniejszej porcji jedzenia i najgorszego łachmana.

– Łożyłem na ciebie, ponieważ twój ojciec był dzentelmenem, choćby tylko z tytułu, ale...

– Mój ojciec był dzentelmenem w większym stopniu, niż ty kiedykolwiek będziesz.

Twarz barona przybrała brzydką, buraczkową barwę.

– Wynoś się z mojego domu. Wynoś się i nie wracaj. Jeśli jeszcze

kiedykolwiek postawisz stopę na moich ziemiach, każę cię wybatożyć.

– Wyniosę się stąd z największą przyjemnością.

Neall obrócił się i wyszedł z pokoju. Kiedy dotarł do schodów, obejrzał się jeszcze, by sprawdzić, czy któreś z nich go nie obserwuje. Potem pognął do swojego pokoju. Niech służący myślą sobie co chcą; musi się stąd wynieść, zanim Felston – czy, co bardziej prawdopodobne, Royce – pomyśli o odebraniu mu jedynej rzeczy, którą naprawdę cenił: Darcy’ego. Cena, jaką za niego zapłacił Ahernowi, nie była nawet połową faktycznej wartości wałacha, ale uiścił ją z własnych pieniędzy, skrupulatnie odkładanych z lichych zarobków, które niechętnie wypłacał mu Felston za pracę na włościach.

W ciągu kilku minut wypchał juki kilkoma ubraniami na zmianę i przyrządami higienicznymi. Zabrał łuk i kołczan ze strzałami, a potem rozejrzał się, by sprawdzić, czy w pokoju znajduje się cokolwiek, czego mogłoby mu brakować. Ostatecznie z haka na ścianie zdjął znoszony zimowy płaszcz i wyszedł.

W dół po schodach dla służby i przez kuchenne drzwi. Biegiem do stajni, tak cicho, jak potrafił. Uchylił drzwi, by wpuścić do środka światło księżyca, a potem sam się tam wślizgnął i ruszył szerokim przejściem między boksami.

Łeb Darcy’ego pojawił się nad drzwiami boksu.

– Cii – syknął cicho Neall, zanim koń zdążył go powitać. Na poddaszu zawsze spał jeden chłopak stajenny, na wypadek gdyby był potrzebny. Neall usłyszał przytłumione chrapanie. Dobrze.

Położywszy swoje rzeczy obok boksu Darcy’ego, otworzył drzwi i nakazał zwierzęciu zostać w środku. Poruszając się najciszej, jak zdołał, przyniósł z siodlarni swoje siodło i ogłowie.

Darcy nawet nie drgnął, kiedy Neall go siodłał i mocował na grzbiecie juki oraz resztę swojego dobytku.

– Ruszajmy – wyszeptał i wyprowadził wałacha ze stajni.

Kiedy się obrócił, by zamknąć drzwi, Darcy prychnął ostrzegawczo. Neall zdążył wskoczyć w siodło, zanim Royce ruszył w stronę stajni, krzyząc:

– Złodziej! Złodziej! Kradnie naszego konia!

Darcy wystrzelił prosto w jego kierunku, zanim Neall chwycił wodze. W świetle księżyca Neall ujrzał oczy Royce’a rozszerzające się z przerażenia, kiedy ze ślizgiem, w ostatniej chwili, usuwał się wałachowi z drogi.

Darcy pognął wzdłuż podjazdu prowadzącego do posiadłości. Kiedy



dotarli na jego koniec, Neall spróbował zahamować, ale zwierzę nie posłuchało. Pognali drogą pełną cieni i światła księżyca – i nagle Neall uświadomił sobie, że nie uciekają już z posiadłości barona Felstona; podążali w konkretnym kierunku.

– Nie możemy tam jechać – powiedział stanowczo. Powstrzymanie przed czymś Darcy’ego nie było łatwym zadaniem, ale miał dość czasu, by zdecydować, co robić dalej. – Nie dzisiaj.

Gdyby dziś w nocy pojawił się przy chacie Ari, pozwoliłaby mu zostać. Nie mógł tego zrobić. Sama musiała dokonać wyboru, czy chce z nim jechać. Nie mógł jej do tego zmuszać. Jutro do niej pojedzie.

– Tędy – powiedział, kierując konia w kierunku przeciwnym do Brightwood. – Jutro odwiedzimy Ari.

Darcy raz jeszcze spróbował skrócić w drogę, którą wybrał, ale ostatecznie ruszył drogą ciężkim kłusem, który zmuszał Nealla do zaciskania zębów, jeśli nie chciał przygryźć sobie języka.

Na farmie Aherna wciąż jarzyło się światło. Między domem a stajniami płonęło nawet małe ognisko.

*Ahern i jego pracownicy wciąż świętują Letnie Przesilenie*, pomyślał Neall z ponurym rozbawieniem.

Kiedy pojawił się w kręgu światła, rozmowy i śmiech wokół ogniska ucichły.

– Późna pora na wycieczki – powiedział Ahern, występując do przodu, by go powitać.

Neall zeskoczył z siodła. Czując napięcie w mięśniach Darcy’ego, mocno ścisnął wodze. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była ucieczka wałacha do Brightwood.

Bystry wzrok Aherna wychwycił wypchane juki, łuk i kołczan, a także zimowy płaszcz przywiązany za siodłem.

– Wybierasz się w podróż?

– Wkrótce. Jeszcze nie dzisiaj. – Neall się zawahał. – Baron wyrzucił mnie dziś ze swojego domu. Zastanawiałem się, czy mógłbym się zatrzymać tutaj na kilka dni. Odpracuję koszt swojego pobytu.

Po raz pierwszy, odkąd Neall sięgał pamięcią, Ahern wyglądał na zmieszanego.

– Dzisiaj mogę cię przenocować, ale lepiej będzie, jeśli rano przeniesiesz się gdzieś indziej.

– Dlaczego? – spytał cicho Neall. – Ponieważ jesteś Fae?

Był świadom tego, że pozostali mężczyźni idą w jego stronę. Był świadom tego, że niektórzy z nich trzymają rozpalone polana, bynajmniej nie dlatego że chcieli rozświetlić okolicę. Ale on nie odrywał wzroku od twarzy Aherna, zastanawiając się, czy nie ocenił mężczyzny źle.

– Czemu uważasz, że jestem Fae? – spytał wreszcie Ahern.

– W moich żyłach również płynie krew Fae. Potrafię przejrzeć przez urok. Długa cisza.

– Weź swoje rzeczy. Zaniesiemy je do domu, a potem porozmawiamy.

Gdy tylko Neall wypuścił wodze, by zdjąć juki, Darcy obalił go na ziemię i stanął dęba.

– Ty! – zawołał stanowczo Ahern.

Kopyta opadły.

– Wracaj tutaj i się zachowuj.

Koń obrócił się z wyraźną niechęcią. Gdy Neall zdejmował swój dobytek, stał już spokojnie.

Ahern spojrzał na dwóch swoich ludzi.

– Przyszykujcie mu posłanie.

Patrzył, jak mężczyźni odprowadzają wałacha do stajni. Potem, potrząsając głową, zaprowadził Nealla do domu.

– Kiedy był źrebięciem, ona głaskała go za każdym razem, gdy tu przychodziła. Doszło do tego, że musieliśmy zacząć go zamykać, by nie pobiegł za nią do domu. Sądziłem, że już o tym zapomniał.

– Wciąż go głaszcze, więc raczej nie zapomni – odparł sucho Neall. – Ale to tłumaczy, dlaczego staje się taki uparty, kiedy jesteśmy w pobliżu i nie zatrzymujemy się w Brightwood.

– Nigdy nie polubiła jeździectwa. Zadbałem o to, by potrafiła się utrzymać na końskim grzbiecie, ale nigdy nie chciała własnego wierzchowca. Gdyby chciała, w życiu nie dostałbyś tego.

Nie odezwali się więcej, póki Neall nie zostawił swoich rzeczy w niewielkim pokoju gościnnym. Wtedy wyszli na zewnątrz i ruszyli w stronę jednego z padoków.

Ahern oparł ręce o górny szczebel barierki.

– Od jak dawna wiesz?

– Widziałem to, odkąd cię poznałem – powiedział Neall. – Ale dopiero niedawno zrozumiałem, co widzę.

Zawahał się, ale doszedł do wniosku, że jeśli nie zada tego pytania, nigdy nie pozna odpowiedzi.

– Którym z nich jesteś?

Ahern wydał z siebie dźwięk, który mógł uchodzić za śmiech.

– Nie potrafisz odgadnąć?

– Którymś z Panów Koni – powiedział Neall. Kiedy Ahern na niego spojrzał, poczuł dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. – Najważniejszym.

Ahern przytaknął.

– Panem Koni. Ja rozkazuję, one są posłuszne.

– Dlaczego mieszkasz tutaj? Dlaczego nie jesteś w Tir Alainn, jak pozostali, i nie przychodzisz tu tylko wtedy, gdy masz ochotę na zabawę?

– Jest w twoich słowach wiele goryczy, młodzieńcze.

– Może mam powód, by czuć zgorzknienie. Albo przynajmniej by się martwić. Fae wykazują ostatnio wzmożone zainteresowanie Brightwood. I Ari.

Ahern popatrzył w dal.

– Wracasz na ziemię matki, prawda? To właśnie tam się udasz, skoro osiągnąłeś pełnoletność, a Felston już w żaden sposób tobą nie kieruje. I zabierasz ze sobą Ari, czyż nie?

Neall tylko na niego spojrzał.

– W takim razie – kontynuował Ahern – to bez znaczenia, czy Fae się nią interesują. Prawda?

– Skąd... Skąd wiesz o mojej ziemi?

– Astra, babka Ari, opowiedziała mi o tobie. – Mężczyzna parsknął. – Oczywiście nie wspomniała o wielu rzeczach. Ale powiedziała mi, że powrócisz na ziemię matki po osiągnięciu odpowiedniego wieku. Ostrzegła też, bym nie wchodził ci w drogę, jeżeli postanowisz przekonać Ari, by wyruszyła z tobą.

Neall przyglądał się uważnie starszemu mężczyźnie; dostrzegał, jak próbuje okiełznać targające nim emocje.

– Czemu miałyby to mieć dla ciebie znaczenie?

Ahern milczał przez dłuższą chwilę. Potem zaczął opowiadać:

– Gdy byłem młodym mężczyzną, robiłem dokładnie to, co powiedziałeś – przybywałem do świata ludzi, szukając odmiany i rozrywek wszelkiej maści. Młodzi dżentelmeni w świecie ludzi nazywają to miejskimi wypadami. Fae nie mają na to określenia, ale wiedzą, w czym rzecz. W próbowaniu.

W doświadczeniu. Byłem młodym, rączym ogierem. I dobrze się bawiłem. Aż pewnego dnia spotkałem młodą kobietę, która nie przypominała żadnej dotychczas mi znanej. Była bezpośrednia i bystra – i nie robił na niej wrażenia fakt, że lord Fae uznaje ją za interesującą. Cóż za wyzwanie dla zapatrzonoego w siebie młodzika! Robiłem więc co w mojej mocy, by ją uwieść. I udało mi się aż za dobrze. Ona się zakochała. Mnie na niej zależało. Widzisz różnicę?

– Tak – szepnął Neall.

Ahern potaknął.

– Tak myślałem. Przez kilka miesięcy gościłem w klanie położonym najbliżej miejsca jej zamieszkania, ale większość nocy spędzałem z nią. Aż pewnego dnia zapragnąłem... nowych doświadczeń. Wtedy odszedłem. Podróżowałem. Rozwijałem swoją moc i zostałem najważniejszym Panem Koni. Ale nigdy o niej nie zapomniałem, wciąż porównywałem do niej inne kobiety. Postanowiłem więc wrócić, pewien, że powita mnie z otwartymi ramionami. W końcu ja byłem lordem Fae, a ona zaledwie ludzką kobietą. Tyle że nie była zwykłą kobietą. Była wiedźmą. Wiedziałem o tym. Jak wspominałem, była bardzo bezpośrednia. Nie wiedziałem jednak, co to tak naprawdę oznacza. Kiedy podszedłem pod jej chatę jednego wieczoru, ujrzałem dziecko, małą dziewczynkę, bawiącą się na zewnątrz. Trzymała w rękach miskę i sprawiała, że wypełniająca ją woda podnosiła się i opadała. Miała moje ciemne włosy i brązowozielone oczy swojej matki.

Ahern zamilkł.

– Co się stało później? – spytał Neall.

– Nie zostałem powitany. I to zabolalo. Wciąż mi na niej zależało, ale ona już mnie nie kochała. Odrzuciłem ją jak klejnot, kiedy wciąż był nowy i świecący. I nigdy go nie odzyskałem. Choć później znów zostaliśmy kochankami na pewien czas, nigdy nie odzyskałem jej miłości. Jej też już tylko zależało. Ale to była mizerna emocja w porównaniu do tego, czym kiedyś mnie obdarzyła. Nie mogłem żyć z jej rodziną, ale nie mogłem też wrócić do wcześniejszego życia, choć próbowałem. Zawarłem więc umowę z matroną rodu, by wydzierżawić kawałek ziemi. Zbudowałem dom i przyprowadziłem ze sobą kilka wierzchowców Fae. Kupiłem ogiera i parę klaczy z tego świata i rozpocząłem hodowlę. Obserwowałem, jak dziewczynka wyrasta na wspaniałą młodą kobietę. I jak ta kobieta zakochuje się w mężczyźnie selkie, Panu Morza. A później sprowadza na ten świat

córkę, dziewczynkę obdarzoną darem ziemi i ognia. Obserwowałem z oddali to, co mogło być moim życiem.

Neall chwycił barierkę obiema dłońmi.

– Czy Ari wie, że jesteś jej dziadkiem?

Ahern potrząsnął głową.

– Nie. Nie wie też, że jej ojciec był selkie, myśli, że po prostu jej matka kochała morze... – Zawiesił na chwilę głos. – Powiedz mi jedno. Twoje dziedzictwo Fae musi pochodzić od ojca. Wiesz cokolwiek o nim?

– Śmiał się cicho – odparł Neall. – Kiedy chodziliśmy na spacer, opowiadał mi historie. Wtedy nie byłem świadomy tego, że przekazuje mi w ten sposób wiedzę o lasach. Pamiętam też, jak on i moja matka wymieniali spojrzenia i uśmiechali się do siebie.

Ahern dziwnie na niego popatrzył.

– Żył z wami. Ona była wiedźmą, a on żył w jej domu.

– Tak.

Neall spostrzegł, jak twarz Pana Koni tężeje pod wpływem silnej emocji.

– Chcę żyć z Ari, tak jak moja matka żyła z moim ojcem. Chcę kochać... i być kochanym.

– Pojedziesz jutro do Brightwood?

– Tak. Sprawdzę, czy Ari podjęła decyzję.

– Możesz tu zostać, póki się nie zdecyduje. – Ahern zamknął oczy. – Znajdź odpowiednie słowa, które ją przekonają, młodzieńcze. Znajdź odpowiednie słowa.

## ROZDZIAŁ 26

Kiedy następnego ranka Ari ujrzała Aiden jadącego drogą, odstawiła wiadra z wodą przy ogrodowym murze i czekała. Zastanawiała się, czy Fae używają uroków i jeżdżą ludzkimi drogami, ponieważ nie chcą wzbudzać podejrzeń u ludzi, na których mogą się natknąć? A może chodzi raczej o podstęp, który ułatwia im zdobywanie tego, czego chcą; podstęp, który mogą zdemaskować jedynie oni sami, kiedy mają ochotę?

– Dzień dobry, panienko Ari – powiedział Aiden.

– Musiałeś wstać o świcie, by tak wcześnie dotrzeć do Brightwood – zauważyła Ari. – Z tego, co mówiła Dianna, zrozumiałam, że musicie dość długo jechać do miejsca... w którym się zatrzymaliście.

Ujrzała zmieszanie i ostrożność malujące się na jego twarzy. Nie pozdrowiła go w oczekiwany sposób. W ogóle nie odpowiedziała na jego pozdrowienie.

– Wybacz – powiedział Aiden. – Przeszkadzam ci.

Ari ustąpiła. Nie wiedziała, dlaczego Aiden przybył tu z Dianną zeszłego wieczoru, ale zajmował się jedynie dostarczaniem przyjemnej muzyki.

– Czajnik wciąż jest gorący. Masz ochotę na filiżankę herbaty?

– Dziękuję.

Kiedy zsiadł z konia, zauważył wiadra stojące przy murze.

– Czy mogę ci pomóc i gdzieś je zanieść?

Ari się uśmiechnęła.

– Dziękuję, ale są dokładnie tam, gdzie powinny być. – Po chwili namysłu dodała: – Może jednak zanieziesz jedno na tyły chaty. Twój koń może chcieć się napić, a mam tylko dwa wiadra.

Aiden podniósł jedno z wiader i poszedł za Ari. Kiedy stawiał wodę w cieniu i zdejmował koniowi ogłowie, aby zwierzę mogło poskubać trawę, Ari zaparzyła herbatę i wyłożyła na talerz kilka ciasteczek, które zostały jej z wczorajszej uczy. Poczowała rozbawienie, kiedy Aiden spojrzał na talerz i szybko ukrył swoje rozczarowanie – przemknęło jej wówczas przez myśl,

czy nie powinna była zaoferować mu własnego chleba. Zauważyła, że wszyscy goście woleli sięgać po jej jedzenie niż po potrawy, które sami przynieśli. Nie mogła ich za to winić. Pieczeń wołowa smakowała wspaniale, podczas gdy kurczak i reszta dań przypominały raczej twarde powietrze – zęby miały co żuć, ale język nie czuł smaku.

– Przybyłem tu rano z samolubnych pobudek – wyznał Aiden, siadając obok Ari na ławce. Między nimi leżał talerz z ciastkami.

*Oczywiście, że tak*, pomyślała Ari. *Czy którekolwiek z was kieruje się jakimikolwiek innymi pobudkami?*

– A jakie to względy? – spytała.

– Piosenka. To był cios dla mojej dumy. – Uśmiechnął się. – Mam świetną pamięć i znam większość pieśni, które kiedykolwiek śpiewano. Nigdy wcześniej nie słyszałem jednak tych zwrotek *Lamentu kochanka*.

– Jak wspomniałam, może tę wersję utworu śpiewa się wyłącznie w tej okolicy.

– Nie – odparł z rozważą. – Nie sądzę, by tak było. Mam wrażenie, że śpiewa się ją znacznie częściej.

– Być może. Tutaj piosenka jest znana pod tytułem *Klejnoty miłości*. Może ta rozbieżność jest przyczyną zamętu.

– O takim tytule również nigdy nie słyszałem.

Ari nie wiedziała, jak na to zareagować, więc milczała.

Wreszcie Aiden podjął:

– Uświadomiłem sobie, że może znasz jeszcze jakieś piosenki, które wszędzie indziej zostały zapomniane. Szczególnie zależałoby mi na jednym utworze, którego bezowocnie szukam od dłuższego czasu.

– Odpowiem na twoje pytanie, jeśli ty odpowiesz na moje.

– Dobrze.

Ari obróciła się na ławce, tak by siedzieć twarzą do Aidena.

– Którym z nich jesteś?

– Jestem Aiden – odparł powoli. – Minstrel.

Ari odwróciła się z powrotem i prychnęła.

– Jeśli jesteś zaledwie minstrelem, to ja jestem najwspanialszą szlachcianką w Sylvalanie. Jesteś lordem Fae. Chcę jednak wiedzieć którym.

– Czemu myślisz, że jestem Fae? – Nie zrezygnował z otaczającego go uroku, ale ponura mina sprawiła, że ludzka maska zaczęła bardziej przypominać jego prawdziwą twarz.

– Magia łśni, lordzie Aidenie. Zwłaszcza podczas tańca. Powinieneś o tym pamiętać, kiedy następnym razem spróbujesz oszukać wiedźmę.

– To nie miało być oszustwo – zaprotestował.

– Nie jest to też szczerłość – powiedziała ostro Ari. – Przyjaźnie budowane na kłamstwach nie są przyjaźniami.

– Uczucia mogą być prawdziwe, nawet jeśli na powierzchni nie znajduje się to, co nazywasz szczerością – odparł Aiden równie ostrym tonem.

– A czy w tym przypadku w ogóle może być mowa o uczuciach? – Gniew Ari nagle zmienił się w smutek.

– Nie mogę się wypowiadać za kogoś innego. – Dłuższy czas wpatrywał się w łąkę. Potem westchnął. – Jestem Bardem.

Ari chciała zapytać o pozostałych, ale potem zmieniła zdanie, instynktownie zdając sobie sprawę z tego, że Aiden będzie chronił prywatność innych.

– Co chcesz wiedzieć? – spytała.

Zawahał się.

– Czy znasz jakieś pieśni o Filarach Świata?

Zastanowiła się przez moment, ale w końcu potrząsnęła głową.

Aiden westchnął.

*Filary Świata... Czemu ta nazwa brzmi znajomo?*

– Pamiętam – powiedziała nagle, zanim zdążyła się ugryźć w język.

Powietrze wokół Aideny wypełniło napięcie, co z kolei wzbudziło u Ari ostrożność. Musiała mu coś powiedzieć – ale niekoniecznie wszystko. Przynajmniej póki się nie dowie, czemu Fae zainteresowali się Brightwood. Bo nie chodziło tylko o to, że Lucian przez kilka dni był jej kochankiem. Tego była pewna.

– W dniu, w którym moja babka zmarła, udała się na spacer na swoje ulubione wzgórze. Zanim wyszła z domu, powiedziała: „Filary Świata zostały zapomniane. Pora, by i one zapomniały”.

– Czy powiedziała coś jeszcze?

Ari potrząsnęła głową. Nie odważyła się spojrzeć na Aideny, by nie wyczuł kłamstwa.

– Kiedy... Gdy zapadł zmierzch, a ona wciąż nie wróciła, poszliśmy jej szukać. Znalazliśmy ją na wzgórzu. Zasnęła tam... Umarła.

– Przykro mi.

– Mnie również. Tęsknię za nią. – Wstała. – Musisz mi wybaczyć,



Aidenie, chciałabym podlać ogród, nim słońce stanie w zenicie.

– Tak, oczywiście. – Zagwizdał na swojego konia. – Dziękuję ci za poświęcony czas.

Gdy już siedział na grzbiecie wierzchowca, Ari powiedziała:

– Niech cię dzień błogosławi, Aidenie.

Zastanawiała się, czemu odetchnął z ulgą, gdy usłyszał te słowa.

– I ciebie, panienko Ari.

– Dlaczego nie oszczędzisz sobie trochę czasu, jadąc na przełaj przez łąkę? – zaproponowała Ari. – Tędy zawsze podążał Lucian, więc zakładam, że to najkrótsza droga do Tir Alainn.

W odpowiedzi Aiden jedynie zawrócił konia i odjechał.

Ari obserwowała go, póki nie zniknął w lesie. Potem wróciła do podlewania ogrodu. W nadchodzących tygodniach czeka ją dużo pracy – i jeszcze więcej, gdy rozpoczną się żniwa.

Miała nadzieję, że nie zdradziła Aidenowi zbyt dużo. Ale jeśli ktokolwiek będzie w stanie złożyć cały obraz z fragmentów, to tylko Bard. Podejrzewała, że zdoła się domyślić tego, czego nie wie. Nie miała powodu, by nie mówić mu wszystkiego, co wiedziała, to było jedynie instynktowne wahanie.

„Filary Świata zostały zapomniane. Pora, by i one zapomniały. Pora, by posmakowały bogactwa uczuć, miast karmić się skrawkami rzucanymi im przez ludzi, którzy nie pamiętają już nawet, czemu te skrawki rzucają”.

„To brzmi jak smutny sposób na życie. Kim są te Filary Świata, babciu?”.

„My nimi jesteśmy”.



*Hau, hau, hau.*

Ari obróciła się w tej samej chwili, gdy Merle, straciwszy zainteresowanie brzegiem rzeki, ruszył prosto na Nealla. Ten przykucnął, by powitać szczeniaka.

– Uważaj! – zawołała Ari. – Jego łapy są...

Merle zrobił o jeden krok za dużo. Jego łapy trafiły w cel.

– ...ubłocone – dokończyła.

Krzywiąc się nieco, Neall wstał.

– Zdążył urosnąć. – Spojrzał na Merle. – Będziesz musiał się oduczyć tego skakania. Robisz się na to za duży.

Merle intensywnie machał ogonem na powitanie, patrząc na gościa.

– Wszystko w porządku? – spytała Ari. – Mam spróbować wyczyścić to błoto?

– Niech stwardnieje – powiedział Neall i natychmiast się zaczerwienił. – Błoto. Niech błoto stwardnieje. – Zamknął oczy i wymamrotał: – Na łaskę Matki.

Gdy Ari wybuchnęła śmiechem, posłał jej zirytowane spojrzenie.

– Bawi cię to?

– Przepraszam, ale masz odcisnięte dwa ślady łap...

– Wiem, w którym miejscu – odparł sucho.

– No tak. Racja. Wiesz.

Skoncentrowała się na drzewie, by jej wzrok nie uciekał na błotne ślady. Neall był zawstydzony, co uważała za urocze. Wyobrażała sobie, że będzie drwić z tego przez kolejne miesiące.

– Ari...

Kiedy na niego spojrzała, troska wyparła rozbawienie. Wyglądał na mężczyznę, który spodziewa się, że zostanie zraniony.

– Miałaś teraz czas na rozmowę? – spytał cicho.

– Tak.

Wyciągnęła do niego rękę, a on ją ujął. Zaskoczyło ją drzenie jego dłoni. Dziwnie się czuła, mając wrażenie, że nagle to ona jest tą starszą, silniejszą, mądrzejszą. Ale to ona znała odpowiedzi. Jemu pozostały jedynie pytania.

– Nie mieszkam już w posiadłości barona Felstona – powiedział. – Kazano mi się wyprowadzić. – W prychnięciu, które z siebie wydał, było zarówno zgorzknienie, jak i rozbawienie. – Tak po prawdzie zostałem wyrzucony.

– Dlaczego?

Potrząsnął głową.

– To bez znaczenia. Każdy powód był dobry. Czuję ulgę, będąc z dala od nich.

– To się wydarzyło tego ranka?

– Ostatniej nocy. Chwilowo zatrzymałem się u Aherna.

– Nie chciałeś się zatrzymać tutaj?

Spróbowała cofnąć dłoń, ale jego palce zacisnęły się, nie chciał jej puścić.

– Oczywiście, że chciałem. Na łaskę Matki, oczywiście, że chciałem. Ale to nie byłoby fair. – Wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze. – Ari, próbowałem czekać, próbowałem być cierpliwy, ale teraz

już muszę wiedzieć. Chciałbym wkrótce wyjechać. Czy będę wyjeżdżał sam?

– Neall, dlaczego nigdy mnie nie pocałowałaś?

– Ponieważ bałam się, że będę chciał o wiele więcej, a ty nie pragniesz tego samego.

– A teraz? – Dostrzegła jego wahanie, zdenerwowanie.

– To jakiś test? – spytał gniewnie. – Czy moja przyszłość zależy od tego, jak dobrze całuję?

– Nie.

– To może powiesz mi chociaż, czy ten pocałunek miałby być pierwszym czy ostatnim?

Dobroć, uprzejmość, szacunek, lojalność. Miłość. Czym były świece od Luciana w porównaniu do takich klejnotów? Myślała o tym ubiegłej nocy. Gdyby nigdy więcej nie spotkała Luciana, wspominałaby go ciepło i niczego nie żałowała. Gdyby nigdy więcej nie spotkała Nealla...

– Pierwszym – powiedziała i uśmiechnęła się. – Stworzymy razem dobre życie.

Jego twarz rozświetliła radość. Objął ją i pocałował. W pocałunku tym była szczerść. Oraz całe jego serce. Nie sprawił, że straciła grunt pod nogami, ale wpuścił do jej wnętrza ciepło, które zaczynało narastać, aż wypełniło ją całą. Nie paliło jej jednak gwałtownie na popiół. W przypadku Nealla ogień palił się długo, powoli i słodko.

Przerwał pocałunek i wtulił twarz w jej włosy.

– Ile czasu potrzebujesz, by spakować wszystko, co chcesz zabrać? Jestem pewien, że Ahern pożyczy nam wóz. Może nawet wyśle wraz z nami kilku mężczyzn, by odwieźli wóz z powrotem.

– Czy Ahern pozwoliłby ci zostać u siebie do czasu żniw?

Gwałtownie podniósł głowę.

– Żniw? – zapytał przez ściśnięte gardło.

– Bądź rozsądny, Neall. Kiedy dotrzemy na twoją ziemię, nie będzie już czasu, by zasiać i zebrać zapasy na zimę. Nie będziemy mieć ziaren na kolejną wiosnę. Jeśli poczekamy do końca żniw, zbiorę z mojego ogrodu tyle plonów, ile zdołam, i zabierzemy je ze sobą.

– Ale... Żniwa?

Brzmiał tak naiwnie, że musiała powstrzymać uśmiech.

– Nie ze wszystkim musimy czekać do żniw.

Pożądanie wypełniło jego oczy. Potem potrząsnął głową.

– Poczekamy. Gdybyś zaszła w ciążę, mogłabyś nie czuć się dość dobrze, by cieszyć się podróżą.

Już niemal odpowiedziała mu, że teraz jest bezpieczny czas, a ona wie, jak nie dopuścić do poczęcia dziecka, jednak, w prześlasku zrozumienia, uświadomiła sobie, że on nie chce z nią być w tym samym łóżku, w którym jeszcze do niedawna bywał Lucian. Nie chciał, by porównywała obu kochanków i doszła do wniosku, że jemu czegoś brakuje.

– W porządku. – Teraz i ona się uśmiechnęła. – Chodź. Czeka nas sporo pracy.

– Co to oznacza? – Dianna przeniosła spojrzenie z Aidena na Lyrrę, a potem z powrotem na Aidena. – W jaki sposób filar może zapomnieć?

– Wiem tylko tyle, ile mi powiedziano. – Aiden przeczesał włosy palcami. – Ale ona wie więcej, niż powiedziała. Jestem tego pewien.

– Filary Świata zostały zapomniane... – powiedziała cicho Lyrra. – Filary Świata. Gałęzie Matki.

Aiden pokiwał głową.

– O tym samym pomyślałem.

– O czym? – spytała Dianna niecierpliwie.

Lyrra westchnęła.

– Co jeśli te dwie rzeczy są w jakiś sposób ze sobą połączone? Co jeśli to magia wiedźm zakotwicza drogi prowadzące przez Zasłonę w świecie ludzi, nawet jeśli one nie zdają sobie z tego sprawy?

Dianna zerwała się z miejsca, zbyt nabuzowana, by móc usiedzieć.

– Dlaczego miałyby? To Fae stworzyli Tir Alainn.

– Wszystkie drogi przez Zasłonę prowadzą do Starych Miejsc – powiedział Aiden. – Nigdy tego nie sprawdziliśmy, ale nietrudno byłoby potwierdzić, czy w każdym z nich mieszkają wiedźmy. A jeśli w istocie mieszkają w Starych Miejscach i to one powstrzymują zamykanie się dróg, być może nie niszczą Tir Alainn celowo.

– Wystarczyłoby, by opuściły Stare Miejsce. Gdy ich magia wyparowuje z danego terenu...

– Droga się zamyka – dokończyła Dianna. – Jeśli to prawda, musimy jedynie się upewnić, że wiedźmy nie będą opuszczać Starych Miejsc.

– Niech cię dzień błogosławi, Ahernie – powiedziała Ari. – Znowu szukasz swojego szarego rumaka?

Ahern prychnął.

– Nie. Nie szukam też tego twojego upartego kucyka. – Ari wyglądała na zmieszaną, więc się uśmiechnęła. – Chłopak powiedział, że zarobi na swój pobyt tutaj, więc przydzieliłem mu zadania.

Ari poczuła ciepło wstępujące na policzki.

– Powiedział ci o wszystkim.

– Powiedział. To znaczy w sumie nie powiedział, ale gdy wrócił, uśmiechał się jak głupiec. – Gdy rozległo się skomlenie, Ahern odwrócił się w stronę źródła dźwięku. Jego twarz nabrała ponurego wyrazu. – Kiedy sprawiłaś sobie szczeniaka?

– Kilka dni temu. – Ari popatrzyła, jak Ahern idzie w stronę ławki, pod którą skrywał się psiak, kuca i wyciąga dłoń. Nie. To niemożliwe. – On się boi Fae – ostrzegła.

– To dobrze świadczy o jego rozumie. Boi się też koni? Pewnie wyczuwa ode mnie ich zapach.

– Niespecjalnie. Wałach Nealla lubi się do niego podkradać i prychać mu w ogon.

Ahern się zaśmiał.

– No tak. Jego ojcem był kary koń.

– Kary koń?

Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, Ahern wyglądał na stropionego.

– Kary koń to właściwie oddzielna rasa. Mają rozum i odwagę... i potrafią okazywać niezmaconą lojalność.

– Czy to właśnie te wyjątkowe konie rozmnażasz? To te, którymi nie handlujesz?

Ahern przytaknął powoli.

– Wyjątkowe konie dla wyjątkowych ludzi. Kiedy zjawi się odpowiedni człowiek, koń za nim podąży.

Merle wysunął się z kryjówki na tyle, by powąchać dłoń Aherna. Najwyraźniej podobał mu się jej zapach. Kiedy zaczął podskakiwać, Ahern położył rękę na głowie szczeniaka i usadził go na ziemi. Psiak się skulił.

– Dbaj o siebie, maluchu – powiedział mężczyzna, głaszcząc szczeniaka po brzuchu. – Nie rozbij sobie głowy, póki nie jesteś dość dorosły, by zacząć jej używać.

Gdy Ahern wstał, Merle otrząsnął się i pobiegł w podskokach w stronę łąki.

– Wyrośnie na wspaniałe zwierzę.

– Już jest wspaniałym zwierzęciem – Ari stanęła w obronie pupila.  
Ahern uśmiechnął się z aprobatą.

– Przyjmiesz prezent pożegnalny?  
– Nie musisz nam niczego dawać. Neall powiedział, że zaoferowałeś już pożyczkę wozu.  
– To nie jest prezent dla was obojga. Jedynie dla ciebie.  
– Ja... – Co miała na to odpowiedzieć? Jak miała interpretować jego spojrzenie?  
– To koń. Wiem, że wcześniej żadnego nie chciałaś i chyba rozumiem, z czego to wynikało...  
– Sama nie wiem. Ja...  
– Neall był małym chłopcem, kiedy zamieszkał w tych stronach. Nie pamięta, jaka odległość dzieli jego ziemię od najbliższej wioski. Przyda ci się twój własny koń. A ja chcę mieć pewność, że będziesz miała pod sobą dobre zwierzę.  
– Nie jestem pewna.  
– Ari. – Dwoma palcami ujął jej podbródek, po czym podniósł jej głowę, by na niego spojrziała. – Pozwól mi zrobić to dla ciebie. To dla mnie ważne. Objęła go za szyję i mocno przytuliła.  
– Będę za Tobą tęsknić.  
Poklepał ją niepewnie po plecach, po czym się odsunął.  
– Ahernie, czy twoim zdaniem podjęłam dobrą decyzję?  
– Masz wątpliwości w kwestii chłopca?  
Ari potrząsnęła głową.  
– Nie. Nie chodzi o Nealla.  
– Więc wyjedź z nim i nie oglądaj się za siebie. – Odczekał chwilę. – Twoja babka miała nadzieję, że pewnego dnia z nim pojedziesz. Powiedziała mi o tym.  
Ari otarła oczy, zanim łzy spłynęły po jej twarzy. Pociągnęła nosem, a potem wytarła go w rękaw.  
– Znasz ulubione wzgórze babci? – zapytała.  
– Znam.  
– Czasami, kiedy ziemia wciąż jest wilgotna po deszczu, widuję tam ślady końskich kopyt. Wydaje mi się, że to tam oddała się twój szary rumak, kiedy postanawia wędrować po okolicy.  
Ahern przez dłuższy czas patrzył w dal. A potem ledwo słyszalnym

szeptem odpowiedział:

– Wiem, że tak robi.



Merle zanurkował pod ławką, zrzucając koszyk pełen przędzy.

– Pewnie co najmniej kilka razy dziennie plujesz sobie w brodę, że go przyjął. – Dianna podeszła do ławki, na której siedziała Ari. Nie była zaskoczona chłodem w oczach dziewczyny, ale była zaskoczona tym, jak ją to zabolalo.

– Nie żałuję, że go mam. – Ari poprawiła koszyk i wróciła do swojej pracy.

– Co robisz?

– Sortuję przędzę. Nie dam rady zabrać całej, więc muszę się upewnić, że zabrałam tę, której potrzebuję do zaplanowanych gobelinów.

– Zabrać? – Serce Dianny przyspieszyło. – Dokąd się wybierasz?

– Opuzczam Brightwood.

– Nie możesz!

– Nie jestem częścią tej ziemi, Dianno. Nie muszę wiecznie tu tkwić.

– Ale nie możesz odejść. – Dianna zaczęła krążyć między studnią a ławką. – To przez tego... tego Nealla, prawda?

– Tak. Pobieramy się.

– To nie powód, byś wyjeżdżała. Niech ten gamoń zamieszka tutaj, skoro uparłaś się, by z nim być.

Ari gwałtownie wstała.

– To żaden gamoń. A to, co robię, to nie twój interes.

– Och, ależ to jest mój interes – odparła ostro Dianna. – Nic nie rozumiesz. – Wzięła głęboki oddech, by nieco uspokoić swój temperament. – Ari, Tir Alaiinn znika, kawałek po kawałku. Uważamy, że to dlatego iż wiemy opuszczają Stare Miejsca. W jakiś sposób wasza magia zakotwicza drogi prowadzące przez Zaslone.

– Przykro mi, Dianno, ale będziesz musiała znaleźć kogoś innego, by utrzymał twoją drogę. Ja wyjeżdżam.

– Jak możesz być taka samolubna?! Jeśli stąd odejdziesz, mój dom przestanie istnieć, cały mój klan umrze. Chcesz mieć na sumieniu śmierć tych wszystkich ludzi?

– Nie możesz mnie tym obarczać! – Ari również krzyczała. – Nie mam nic wspólnego z Tir Alainn i z Fae. Jestem wiedźmą. Moja rodzina opiekowała się tą ziemią od pokoleń. Pora, by zajął się nią ktoś inny. Niech Fae przejmą ten obowiązek.

– Sądziłam, że się przyjaźnimy.

Ari spojrzała na Dianę.

– To bardzo wygodne, że postanawiasz akurat teraz się ze mną przyjaźnić. Gdzie byłaś wcześniej? Gdzie byłaś przez wszystkie te lata?

– Nie wiedzieliśmy...

– Dokładnie! Nie wiedzieliście! Nie wiedzieliście, że ktokolwiek oprócz was może być istotny, może mieć swoje pragnienia, potrzeby, marzenia. Będę wieść własne życie – i będę je wieść u boku Nealla.

– Dlaczego miałybyś chcieć kogoś takiego jak on, skoro mogłabyś mieć mężczyznę takiego jak Lucian?

– Ponieważ nie zależy mi na bezwartościowych świecidełkach! Chcę, żeby moja córka miała ojca. A ja pragnę kochanka, który będzie także moim partnerem.

– Ari...

– Przejrzałam dzisiaj rodzinną szkatułkę z biżuterią. I wiesz, co tam zobaczyłam, Dianno? Świecidełka. Mnóstwo świecidełek. Tylko tyle byłyśmy dla kogokolwiek warte. Cóż, mnie nie wystarczą świecidełka.

– Nie możesz stąd odejść.

– Nie możesz mnie powstrzymać.

*Ależ mogę*, pomyślała Dianna, jednak tak naprawdę nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby w tej chwili zrobić. Dlatego odeszła.



## ROZDZIAŁ 27

Adolfo ostrożnie złożył list.

Baron Prescott zdobył ziemię i drewno, których pożył, bez większych trudności. Zbyt łatwo. Wiedźma, do której należały te tereny, była stara i słaba. Ledwie skończył pierwszą serię tortur oczyszczających, a już się złamała.

Jako że tak szybko przyznała się do bycia winną bolączek trawiących wioskę, baron nie okazał mu należytej wdzięczności. Otrzymana nowa prośba o pomoc była zatem więcej niż mile widziana – z dwóch powodów.

Jego kurier zniknął, a wraz z nim zniknęły wszystkie srebrniki, które mężczyzna miał dostarczyć innym Inkwizytorom. Dwóch jego ludzi, którzy pojechali do kolejnej wyznaczonej im wioski, znalazło konia kuriera na farmie. Farmer przysięgał, że otrzymał konia od kobiety ubranej w dziwną czarną szatę, dosiadającej karego wierzchowca.

Wyjechała kolejnego ranka i udała się na południe.

Zadrzał na samo wspomnienie. Nie był w stanie stwierdzić, czy to strach czy wściekłość skłaniały go do działania, a to doprowadzało go do furii.

Przyjmie więc zaproszenie barona Felstona, uwolni cnotliwych ludzi barona od plugawego smrodu wiedźmy i napełni własną kiesę.

A podczas podróży do Ridgeley zdąży się zastanowić, jak sobie poradzić ze Zbieraczką i jaka kara powinna ją spotkać za obrabowanie Mistrza Inkwizycji.

## ROZDZIAŁ 28

Kary koń stanął i prychnął zaskoczony.

Morag otrząsnęła się z płytkiej drzemki. Odgarnęła splątane włosy z twarzy i skrzywiła się, próbując zmusić ciało do wyprostowania się w siodle.

Coś popędzało ją przez ostatnie dwa dni; dziwne przeczucie, że jeśli się nie pospieszy, nie zdąży. Na co – tego nie potrafiła stwierdzić. Ale to uczucie było na tyle silne, by zmuszać ją do ciągłej podróży, przerywanej jedynie na kilka godzin każdej nocy, by konie mogły wypocząć.

Sama nie mogła zaznać odpoczynku podczas tych godzin. Ten sam koszmar przerywał jej niespokojny sen, wciąż i wciąż. Stała przed kimś jako Zbieraczka. Nie potrafiła dostrzec, kto to jest, ponieważ zarówno ją, jak i tę drugą postać otaczała mgła. Wyciągnęła rękę – licząc na to, że ów ktoś jej nie przyjmie. Nie chciała zbierać tej duszy, ale to nie do niej należała decyzja. Musi ją podjąć osoba stojąca przed nią. I wtedy z mgły powoli zaczęła się wyłaniać czyjaś ręka próbująca ją dosięgnąć... Wtedy się budziła, cała rozedrgana.

Ponownie wyrwana ze snu – zastanawiała się przez chwilę, czy to nie Morphia próbuje przesłać jej jakąś wiadomość w jego trakcie – osiodłała karego konia i wznowiła podróż, choć słońce ledwo pokazało się nad horyzontem. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje ani jaki odcinek drogi wciąż jest przed nią, wiedziała tylko, że musi się posuwać do przodu, aż...

Przed nią znajdowała się chata. Spoglądała na nią, tak naprawdę jej nie dostrzegając. Ale uwaga wszystkich koni, nawet rannej klaczy, koncentrowała się na tym miejscu.

Stare Miejsce.

– Sprawdźmy, czy ktoś jest w domu.

Kary koń zastrzygł uszami i ruszył do przodu stępem. Zanim dotarła do niskiego muru okalającego ogród, kazała wierzchowcowi opuścić ścieżkę i przez łąkę podjechać na tył chaty.

Młoda kobieta stała przy studni, obserwując ją z uwagą.

*Powinnam była rzucić na siebie urok, żeby nie przeraziła się Fae.*

Kobieta jednak już ją dostrzegła, więc Morag porzuciła tę myśl. Poza tym nie miała w zwyczaju ukrywać swojej tożsamości.

– Niech cię dzień błogosławi – powiedziała kobieta.

– I ciebie – odparła Morag. Była taka zmęczona. Tak okropnie zmęczona. – Czy mogłabyś napić moje konie?

– Oczywiście. – Kobieta odwróciła się, by napełnić wiadra stojące obok studni. – Kim jesteś?

Morag zsiadła z konia z cichym jękiem.

– Jestem Morag. – Po chwili uświadomiła sobie, że kobieta nie pytała o jej imię. – Jestem Zbieraczką.

– Och. – Gospodyni napełniła wiadra i postawiła je kilka kroków od studni. Dwie klacze podeszły się napić. – Jestem Ari.

Teraz, gdy Morag nie musiała już jechać dalej, nie pragnęła niczego więcej, jak tylko położyć się na łące i pozwolić, by moc tej krainy przepływała przez jej zmęczone ciało.

*Nie musiała już jechać dalej.* Spojrzała na chatę, na łąkę, a wreszcie na Ari.

– Jesteś wiedźmą.

– Zgadza się.

– Ja...

*Nigdy wcześniej nie spotkałam żadnej żywej wiedźmy.* Morag zadrżała i chwyciła się siodła, by nie upaść.

Ari pospieszyła do niej.

– Może usiądziesz i odpoczniesz? – Objęła Morag w talii i poprowadziła ją do ławki. – Chciałabyś się napić wody?

– Tak, poproszę.

Morag oparła się plecami o ścianę chaty i zamknęła oczy. Jakiś czas później – mogły minąć sekundy, minuty, godziny, nie potrafiła tego stwierdzić – Ari wcisnęła jej w dłoń kubek i powiedziała:

– Proszę.

Nie otwierając oczu, Morag uniosła naczynie do ust i napiła się. W wodzie była moc, w powietrzu była moc, w ziemi była moc. Moc żywa i intensywna. Na łaskę Matki, od tak dawna tego nie czuła.

Po ponownym napełnieniu wiader dla kolejnych dwóch koni Ari stanęła

przed ławką, nerwowo splatając palce.

– Czy zdążę się pożegnać z najbliższymi i znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się Merle?

Morag otworzyła oczy i przyjrzała się jej.

– Nie dostrzegam cienia na twojej twarzy – odparła cicho, a widząc zdezorientowaną minę Ari, dodała: – Nie przyszedłem tu, by zbierać. Zatrzymałam się, by poprosić o wodę. I o wskazanie drogi.

Ari wciąż była zmieszana.

– Nie sądziłam, że Zbieraczka może potrzebować wskazówek, by... zbierać.

Morag się uśmiechnęła.

– W przypadku pracy faktycznie nie potrzebuję, dobrze słyszę wołanie. Ale kiedy nie w tym celu kogoś szukam, potrzebuję mapy lub wskazania kierunku, jak każdy inny.

– Och... – Ari odwzajemniła uśmiech. Kiedy słoneczny rumak zażądał swojego przydziału wody, przewróciła oczami. – Już idę.

Ruszyła napełnić wiadra, ale jej wzrok zatrzymał się na rannej klaczy.

– Co jej się stało?

– Nocni łupieżcy – odparła Morag znużonym głosem. – Pożerają życie.

Ari wciąż patrzyła na klacz.

– Biedactwo. Nie możemy dla niej nic zrobić?

– Nie wiem. To jedna z rzeczy, o które chcę spytać Aherna, gdy już go znajdę. Muszę też odszukać Barda.

– Cóż – w głosie Ari wyraźnie zabrzmiała cierpka nuta – żadnego z nich nie będzie trudno znaleźć. By dotrzeć na farmę Aherna, musisz przeciąć drogę i przejść przez pola. Z kolei droga wiodąca przez Zasłonę znajduje się w lesie, tuż za łąką.

– Skąd wiesz, że tam znajdę Barda? – spytała powoli Morag.

– Nie wiem, czy wciąż tam jest, ale przybył do Brightwood wraz z kilkorgiem... przyjaciół... w Letnie Przesilenie.

– Brightwood? Tak, ta nazwa pasuje do tego miejsca.

Ari poszła do studni i napełniła wiadra. Ponownie spojrzała na raną klacz, podniosła wiadra i podeszła do wychodka. Klacz ruszyła za nią, z trudem stawiając każdy krok.

Choć jej mięśnie protestowały, Morag podniosła się i podążyła w ich stronę.

Ari postawiła jedno z wiader na ziemi, by klacz mogła się napić. Przykucnęła, oparła prawą dłoń na drugim wiadrze i zamknęła oczy.

Morag stężała, czując przepływ mocy. Niemalże była w stanie dostrzec jej blask przez skórę Ari.

– Oczyszczająca moc ognia, by wypalić to, co nie jest mile widziane – szepnęła Ari. – Moc ziemi, by uzdrowić.

Wstała, podniosła wiadro i polała odrobiną wody każdą z ran klaczy.

Morag nie była pewna, czego powinna się spodziewać, ale poczuła ukłucie rozczarowania, gdy nic się nie wydarzyło. Ari przyjrzała się ranie, pokiwała głową i westchnęła.

– To może jej pomóc do chwili, kiedy Ahern ją opatrzy. Choć nie jestem pewna, czy nawet on zdoła cokolwiek zdziałać.

Morag nie odrywała oczu od klaczy. *Znasz Barda, ale nie rozpoznałaś Pana Koni? A jednak jego też znasz.*

– Mogę zostawić tu swoje konie na czas wizyty u Aherna?

Ari się zawahała.

– Jesteś zmęczona. Dlaczego nie odpoczniesz przez chwilę? Mogę sama pójść do Aherna i poprosić go, by przyszedł i obejrzał konie tutaj.

Morag już prawie się zgodziła. Chciała jednak porozmawiać z Panem Koni na jego ziemi, gdzie nie musiałyby się martwić, że zdradzi jego tożsamość. Potrząsnęła więc głową.

– Miło byłoby odpocząć, ale nie ma potrzeby, byś przerywała swoją pracę.

Kiwnęła na konie, które ze smakiem skubały trawę na łące. Kary koń spojrział na nią z wyczekiwaniem, czekając, aż zostanie uwolniony od siodła i ogłowia i będzie mógł dołączyć do pozostałych.

– Rozmowa z Ahernem może poczekać kilka godzin.

Ari podniosła wiadra i uśmiechnęła się smutno.

– Mam mnóstwo pracy, zwłaszcza odkąd zdecydowałam, co spakuję, a co musi tu zostać.

Jej słowa zaalarmowały Morag.

– Spakujesz? Opuszczasz Stare Miejsce?

Przyjazny wyraz twarzy Ari nagle stał się wrogi.

– Wychodzę za mąż. Neall i ja będziemy mieszkać na zachodzie.

– Ale...

*Idę w to miejsce, wyszeptała śmierć.*

Morag zadrżała i lekko przygryzła język, by nie wypowiedzieć słów

cisnących się na usta. Śmierć podążała do Brightwood. Nie dzisiaj. Może nawet nie jutro. Ale Śmierć się tu zjawi.

– W takim razie tym bardziej nie powinnam zabierać ci czasu.

*Niezależnie od tego, co to oznacza dla mieszkającego tu klanu, im szybciej odejdziesz, tym lepiej. Ale nawet zachodnia część Sylwalanu nie będzie bezpieczna, jeśli czegoś nie zrobimy, by powstrzymać Czarne Płaszcz.*

Wraz z Ari podeszła do studni. Dziewczyna ponownie napełniła wiadra wodą dla koni, po czym spytała:

– Chciałabyś wziąć kąpiel?

Morag jęknęła.

– Kąpiel. Zabiłabym, by móc się wykapać.

Widząc, że oczy Ari rozszerzyły się z niepokojem, uśmiechnęła się.

– Powinnam była ująć to inaczej, czyż nie?

– Zdecydowanie tak.

Morag parsknęła śmiechem.

– Kąpiel byłaby wspianiała. Ale pozwól mi najpierw zająć się końmi.

Po tym, jak kary koń został rozsiodłany, a wszystkie rzeczy ułożone w oborze, Ari poprowadziła Morag do chaty.

– Wejdz i rozgość się – powiedziała.

Morag nie była pewna, jak Ari udało się tak szybko podgrzać taką ilość wody, ale nie dbała o to. Wanna była na tyle duża, że mogła się w niej zanurzyć cała, o ile ugięła kolana. Kiedy woda zaczęła stygnąć, umyła się, a potem użyła dwóch dzbanów świeżej wody, które Ari zostawiła obok wanny, by umyć i opłukać włosy. Nie była tak czysta od chwili, gdy ona i Morphia pognały drogą przez Zasloneę. Wytarła się, owinęła ręcznikiem i niechętnie spojrzała na swoje ubrania. Nie paliła się do ponownego ich zakładania.

Wtedy usłyszała pukanie do drzwi. Ari ostrożnie wsunęła głowę do pomieszczenia. W wyciągniętych dłoniach trzymała czystą odzież.

– Może nie będą idealnie pasować, ale są czyste.

– Dziękuję.

– Napełnię na nowo wannę, żebyś mogła namoczyć swoje ubrania.

– Nie ma wśród nich nic, co chciałabym włożyć na umyte ciało – odparła Morag z uśmiechem.

Ari odwzajemniła uśmiech.

– Czuję to samo po całym dniu pracy w ogrodzie.

Morag ubrała się szybko, po czym podążyła do kuchni, wiedziona zapachem.

– Zjesz trochę zupy? A może wolisz chwilę się zdrzemnąć? – spytała Ari.  
Burczenie w brzuchu Morag wystarczyło za odpowiedź.

Ari naszykowała dwie miski zupy. Zanim zdążyła zanieść je do stołu w głównej izbie, Morag spytała:

– Możemy zjeść na zewnątrz? Chciałabym mieć oko na konie.

Ari złożyła na pół niewielkie ręczniki, dzięki którym mogły trzymać w rękach miski, nie parząc się. Przyniosła też trochę sera i posmarowanego masłem chleba; ustawiła talerz na ławce między nimi.

Jadły w milczeniu, przyglądając się koniom skubiącym trawę.

Morag poczuła ulgę. Konie były zrelaksowane, nawet kary koń i słoneczny rumak. To był dobry znak, świadczący o tym, że nic ich tu nie skrzywdzi. Oba wierzchowce zachowywały się niespokojnie od chwili pierwszego spotkania z nocnymi łupieżcami.

– Mogę cię poprosić o przysługę? – spytała nagle Ari.

– Możesz poprosić – odparła ostrożnie Morag.

– Widzisz duchy zmarłych. – Ari poczekała, aż Morag przytaknie. – Zastanawiałam się... Zanim opuszczę Brightwood, chciałabym wiedzieć, czy moja matka i babka udały się do Krainy Wiecznego Lata.

– To mogę zrobić. – Morag chciała odłożyć miskę, ale Ari delikatnie chwyciła ją za ramię.

– Mamy czas.

Kiedy skończyły posiłek, Ari poprowadziła gościa do sypialni sąsiadującej z główną izbą.

– Później przygotuję dla ciebie łóżko w jednym z pokoi na górze, ale chwilowo możesz się zdrzemnąć tutaj.

Zaniepokojona ogromnym poczuciem ulgi, jakie spłynęło na nią wraz ze słowami Ari, Morag pokiwała głową i usiadła na łóżku. Czekala, aż Ari zamknie drzwi, zanim wyciągnęła się na kołdrze. Mimo zmęczenia sen nie przychodził. Leżała przez pewien czas, nasłuchując cichych dźwięków życia. Akurat zaczynała odpływać, kiedy dobiegło ją nerwowe prychnięcie, a po nim skrzypienie otwieranego okna.

Uchyliła powieki na tyle, by cokolwiek widzieć, i z napięciem wpatrywała się w okno.

Kary koń wsunął łeb do pokoju, a potem rozległ się szept Ari:

– Widzisz? Nic jej nie jest. Nie zostawiła cię. Po prostu zasnęła. A teraz zabieraj swoje kopyta z mojej rabatki, niezdaro.

Kary koń się wycofał. Morag usłyszała jeszcze, jak Ari każe mu uważać, gdzie staje, jeśli zamierza jeszcze zaglądać przez okno.

Kary koń prychnął. Ari westchnęła.

Wyobrażając sobie całe zajście, Morag się uśmiechnęła. I z tym uśmiechem na ustach wreszcie zasnęła.



Słońce powoli zaczynało się chylić ku zachodowi, gdy się obudziła. Początkowo cisza wydała się jej uspokajająca, kojąca. Po chwili jednak usiadła i zaczęła nasłuchiwać.

Czy powinno być tak cicho? A jeśli stało się coś strasznego, a ona spała tak mocno, że nie była tego świadoma? Nie. Gdyby coś się stało, na pewno usłyszałyby karego konia. Na pewno.

*Hau hau hau.*

Szybko wstała z łóżka, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Co tu robi szczeniak ogara cienia?

Dopiero po chwili ujrzała podpalaną sierść na przednich łapach psa. A więc dlatego został porzucony w świetle ludzi. To nie było odpowiedzialne – ani bezpieczne. Ogary cienia hodowano, by biegały z Dzikim Gonem, a nawet te spośród nich, które nie były czystej krwi, wyrastały na dużych, agresywnych myśliwych.

Zastanawiając się, czy powinna porozmawiać z Ari na temat szczenięcia, dopiero po dobrej minucie uświadomiła sobie, że kary koń i słoneczny rumak bawią się, drażniąc szczeniaka. Słoneczny rumak brykał przed psiakiem, próbując zwrócić jego uwagę. Ujadając, szczeniak wykonywał własny, niezbyt wdzięczny taniec, rzucając wyzwanie rumakowi, by ten podszedł bliżej. Podczas gdy pies zaczepiał słonecznego rumaka, kary koń po cichu zakradł się za niego, z łbem blisko ziemi. Kiedy jego nozdrza znalazły się bardzo blisko psiego zadka, prychnął. Głośno. Szczeniak uciekł, popiskując.

– Przestańcie, obaj! – usłyszała stanowczy głos Ari. – Nie powinniście go drażnić. Jesteście o wiele więksi.

Śmiejąc się w duchu, Morag odwróciła się od okna. Postanowiła dołączyć do Ari. Kiedy wychodziła z pokoju, zauważyła szklane drzwi biblioteczki,



ale nie zatrzymała się, by sprawdzić jej zawartość.

Kiedy Morag pojawiła się w otwartych drzwiach kuchni, kary koń od razu do niej podszedł. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

– Jeśli szczeniak podrapie cię po nosie, wiedz, że sobie na to zasłużyłeś – powiedziała cicho. Ale uśmiechała się przy tym i głaskała wierzchowca, by złagodzić wydźwięk reprimendy. Wiedziała, że jakaś część jego istoty pragnie zabaw – miał to we krwi – ale rzadko trafiała mu się ku temu okazja.

Dostrzegłszy Morag, Ari podeszła do drzwi kuchennych ze szczeniakiem skrywającym się w jej ramionach.

– A więc to jest Merle? – spytała Morag, przypomniawszy sobie, że Ari była zatroskana koniecznością znalezienia opieki dla Merle, kiedy wydawało się jej, iż Morag przyszła ją zebrać.

– Tak, to jest Merle. – Ari spojrzała na karego konia i westchnęła. – Jak to jest, że konie o takim umaszczeniu uwielbiają drażnić szczeniaki?

Dłoń Morag zamarła przy pysku karego konia.

– Konie o jakim umaszczeniu?

– Czarnym, jak twój. Wałach Nealla zachowuje się tak samo. Wydaje mu się, że to zabawne. To znaczy wierzchowcowi. – Ari zmarszczyła brwi. – Neallowi pewnie też, ale on ma dość rozumu, by nie mówić tego głośno.

Morag przypatrzyła się Ari.

– Neall. Mężczyzna, którego zamierzasz poślubić. Jeździ na karym koniu?

– Cóż, jego wałach ma takie samo umaszczenie jak twój koń, więc tak, to kary koń. – Ari wyglądała na zmieszaną. – Kupił go od Aherna, a jak mówił mi Ahern, ojcem tego wierzchowca również był kary koń. Jeden z jego specjalnych koni.

Jeden ze specjalnych koni Aherna? Och, tak, były specjalne. Kim – i czym – był ten Neall, skoro Ahern sprzedał mu wałacha spłodzonego przez prawdziwego karego konia?

– Jeszcze przez pewien czas będzie widno – powiedziała Ari. – Czy chciałybyś pojechać do Aherna?

Morag nie chciała w tym momencie nigdzie jechać, nie chciała opuszczać tego miejsca. Przyjrzała się rannej klaczy i jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Wygląda lepiej.

– Tak – stwierdziła Ari po namyśle. – Wydaje mi się, że na swój sposób walczy z wyrządzoną jej szkodą, próbuje się uleczyć. – Wskazała na jakieś

miejsce na łące. – Obserwowałam ją. Stała blisko miejsca, w którym wykonałam taniec Letniego Przesilenia. Skubiąc tam trawę, poruszała się w przeciwną stronę do ruchu wskazówek zegara, by odwrócić to, co jej zrobiono.

– Nie można uleczyć ugryzień nocnych łupieżców, poruszając się w odpowiednim kierunku – zaprotestowała Morag. – Gdyby to było takie proste, klacz robiłaby to już wcześniej. – Już wypowiadając te słowa, wiedziała jednak, dlaczego klacz nie zrobiła tego wcześniej. – To nie jest tak, że ona o tym wie. Po prostu instynktownie podąża za czymś, co się tu kryje.

Ari wyglądała nieswojo. Potarła policzek o głowę Merle i ostatni raz go pogłaskała, po czym odstawiła psiaka na ziemię. Przysiadł przy jej stopach, patrząc na Morag.

– Tak, też mi się tak wydaje. Przez lata moja rodzina wykonała wiele tańców na tej łące. Nawet gdy jest tu cicho, magia silnie rezonuje.

– Jeśli pozwolisz, chciałabym, by konie spędziły tu noc.

– Oczywiście. – Ari chwilę się zawahała. – A czy ty chciałabyś coś zrobić? Gotuję gulasz. Wkrótce powinien być gotowy.

– Chciałabym odpowiedzieć na twoje pytanie dotyczące matki i babki. – Morag spojrzała na karego konia i spytała nieco płaczliwym tonem: – Musimy tam jechać konno?

Ari zachichotała.

– Nie. To będzie przyjemny spacer.

Kiedy dotarły na skraj łąki, Morag obejrzała się za siebie. Kary koń do niej podbiegł. Słoneczny rumak przyglądał się jej z oddali, niepewny, czy powinien zebrać klacze i także ruszyć za nią.

Morag westchnęła.

– Idziemy tylko na spacer – podniosła głos na tyle, by słoneczny rumak ją usłyszał. – Możecie zostać na łące. Ty też – już ciszej zwróciła się do karego konia.

Potrząsnął łbem. Wiedział, czemu Morag udaje się na ten spacer.

Merle szczeknął na karego konia, po czym wyprzedził swoją panią, by sprawdzić, czy jego nos wyniucha coś ciekawego.

Ari prowadziła towarzystwo w stronę stawu; nieopodal niego rósł okazały dąb.

– Moja matka siadywała pod tym drzewem i wpatrywała się w staw – powiedziała w pewnej chwili. – Jej ciało zostało przy nim pochowane.

Morag spojrzała na drzewo i otaczającą je ziemię. Potrząsnęła głową.

– Nie ma jej tutaj. Ja nie prowadziłam jej do Cienistej Zasłony, ale musiała to zrobić któraś z pozostałych Służek Śmierci.

Ari westchnęła z ulgą, co zaniepokoiło Morag.

– Jak zmarła twoja matka?

– Choroba płuc. – Ari wpatrywała się w staw. – Mamy małą spiżarnię chłodzoną lodem, by jedzenie pozostawało świeże. Tamtego dnia byłam przeziębiona. Matka kazała mi zostać w domu i siedzieć w ciepłej, a sama poszła nabrać trochę lodu. Wpadła do stawu i... – Przerwała. Zamknęła oczy. – Nie, nie wpadła. Woda była jej gałęzią Matki. Kiedy jej rozkazywała, woda była posłuszna. Matka potrafiła przejść na drugi brzeg po cieniutkiej warstewce lodu i nic jej nie było.

Morag poczuła, jak przenika ją coś niebezpiecznego, zwierzęcego.

– Wiesz, kto ją wepchnął? Bo to właśnie się stało, prawda? Ktoś chciał, by więdźmy się stąd wyniosły, i zaatakował ją, gdy była sama. Wrzucił ją do stawu, by utonąła.

Ari zadrżała.

– Każdy inny ciągnięty w dół ciężką zimową odzieżą utonąłby. Ale woda jej słuchała. Wydostała się ze stawu i wróciła do domu. Dopadła ją jednak choroba płuc. Nic nie mogłam dla niej zrobić...

– Powiedziała ci, kto ją popchnął?

Ari potrząsnęła głową.

– Wciąż mamrotała „Ridgeley”, ale to nazwa wioski. Miała gorączkę, więc nie dziwota, że nie mówiła z sensem.

– Co jeszcze powiedziała?

Ari wzruszyła ramionami.

– Mówiła o córkach, o tym, że babcia miała rację... że córki muszą odejść.

Teraz również Morag wpatrywała się w staw.

– Dlaczego nie walczyła? Przecież władała magią. Miała moc. Dlaczego nie walczyła? – Pokłady jej gniewu zaskoczyły ją samą. Nie miała prawa kierować go w stronę Ari, która okazywała jej wyłącznie uprzejmość. *Ale o pewne rzeczy nie prosisz umarłych, jeśli możesz poprosić o nie żywych.*

Ari spojrzała na nią nieufnie.

– Przestrzegamy zasady, by nikogo nie krzywdzić naszą magią. Poza tym – dodała nieco agresywnie – co mogła zrobić? Jej głównym darem była woda, a tym pomniejszym ziemia.

– Mogła skruszyć lód pod stopami tego, kto ją zaatakował, i utopić drania – powiedziała ostro Morag. Widząc, że oczy Ari się rozszerzyły, spróbowała jednak pohamować narastającą złość. Wzięła głęboki oddech, po czym powoli wypuściła powietrze, zanim odezwała się ponownie: – Ari, w większości sytuacji wasze credo jest godne pochwały. Ale istnieje ogromna różnica między niekrzywdzeniem kogoś a obroną własną. Prowadziłam do Cienistej Zasłony zbyt wiele młodych kobiet, które trzymały się tych zasad. Dla nich było już za późno. Ale dla ciebie...

– Ja... nie jestem pewna, czy byłabym w stanie to zrobić. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym użyć magii, by kogoś skrzywdzić, nawet jeśli...

– Kochasz Nealla? – przerwała jej Morag.

– T-tak.

– Czy gdyby ktoś próbował skrzywdzić jego, stałabyś bezczynnie i pozwoliła mu cierpieć, czy może zrobiłabyś coś?

Gdy Ari przez dłuższy czas nie odpowiadała, Morag westchnęła.

– Gdzie leży twoja babcia?

– Tędy – odparła potulnie Ari.

W drodze na wzgórze nie rozmawiały. Nawet zwierzęta były cicho, jakby poddały się nastrojowi.

W chwili, gdy Morag postawiła stopę u podnóża pagórka, już wiedziała. Ale wciąż milczała. Kiedy dotarła na szczyt, lekki wiatr zaczął igrać jej włosami i wzbudził do tańca dzikie kwiaty.

– Nawet w najspokojniejszy dzień na tym wzgórzu zawsze trochę wieje – powiedziała Ari. – To było ulubione miejsce babci.

– Jej darem było powietrze? – spytała Morag.

Ari przytaknęła, a potem spojrzała z niepokojem na towarzyszkę.

Duch starszej kobiety uśmiechnął się do nich, po czym przyłożył palec do ust.

– Nikogo tu nie ma – skłamała Morag.

– Dziękuję. – Ari odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się. – Powinnyśmy wracać do chaty. Zostawiłam gulasz na piecu, żeby powoli się dusił. Pewnie jest już gotowy.

Morag ruszyła za Ari. Zanim zeszyły ze wzgórza, obróciła się i wyszeptała:

– Wróć.

*Tak, odparł duch. Musimy porozmawiać.*

## ROZDZIAŁ 29

– Niczego więcej nie było w tych wiadomościach? – spytała niecierpliwie Dianna, spoglądając na Lyrre i Aiden. Celowo omijała wzrokiem Luciana. Od chwili, gdy dowiedział się o planowanym małżeństwie Ari, jego złowrogi nastrój tylko się wzmaczał.

– Bardowie z kilku klanów przysłali właściwie to samo. – Ton głosu Aiden wyrażnie wskazywał, że jest na granicy cierpliwości. – Co jest zrozumiałe, jako że źródłem wszystkich wiadomości jest Śpiąca Siostra. „Wiedźmy znają klucz do tego, by drogi prowadzące przez Zasłonę pozostały otwarte, więc trzeba je chronić”.

– Cóż, trochę trudno je chronić, kiedy niefrasobliwie postanawiają uciec z jakimś... człowiekiem.

– One nie są Fae – zauważyła ostrożnie Lyrra. – Nie możemy oczekiwać, że będą myśleć tak jak my. Albo troszczyć się o to samo co my.

Dianna obróciła się, by stanąć z nią twarzą.

– Przyznasz jednak, że nasze oczekiwania nie są zbyt wygórowane, gdy prosimy o trochę serca. Jeśli Ari wyjedzie, ta część Tir Alainn przypadnie – a wraz z nią cały klan. On jej nie potrzebuje. My tak. I w ten lub w inny sposób ona tu zostanie.

– To tłumaczy, co zagraża naszej części Tir Alainn – powiedział Aiden. – Ale nie wyjaśnia reszty problemu. Musimy się dowiedzieć, dlaczego wiedźmy opuszczają Stare Miejsca, a także w jaki sposób są połączone z Filarami Świata. Ponieważ jestem pewien, że w jakiś sposób są.

– Nie powiem wam nic o Filarach Świata – odezwał się nieznany głos. – Ale mogę wam zdradzić, dlaczego wiedźmy opuszczają Stare Miejsca.

Dianna odwróciła się w stronę intruza.

– To prywatna... – Przeszedł ją chłód, gdy ujrzała czarnowłosą postać stojącą w progu.

Kobieta wkroczyła do pokoju, ostrożnie zamknęła za sobą drzwi i podeszła do nich. Słyszając szelest jej czarnej szaty, Dianna poczuła ciarki. Nieznajoma

zatrzymała się, zanim znalazła się na tyle blisko, by móc dotknąć któregoś z nich. Jej ciemne oczy omiotły spojrzeniem zebranych.

– Kim jesteś? – spytała Dianna, choć znała już odpowiedź. Wciąż jednak miała nadzieję, że się myli.

– Jestem Morag – odparła obca. – Zbieraczka.

W pokoju na chwilę zapadła grobowa cisza.

– Co tu robisz? – zapytała Dianna. Nie uświadamiała sobie, że jej głos stał się piskliwy, póki Lyrra nie posłała jej ostrzegawczego spojrzenia.

W oczach Morag coś błysnęło, jednak tak przelotnie, że Dianna nie zdołała tego zidentyfikować.

– Przybyłam tu w poszukiwaniu Barda, Łowczyni i Świątłego. Przybyłam w poszukiwaniu odpowiedzi. – Wzrokiem przygwoździła Aideną do krzesła, a potem omiotła spojrzeniem Luciana i Dianę. – Przybyłam też, żeby was ostrzec. Fae muszą chronić Stare Miejsca i mieszkające tam osoby. Jeśli tego nie uczynią, wkrótce po Tir Alainn pozostanie tylko wspomnienie.

– W tym momencie wygląda na to, że ty masz znacznie więcej odpowiedzi od nas – powiedział Aiden. – Dlaczego więdźmy opuszczają Stare Miejsca?

– Ponieważ są wyrzynane – odpowiedziała cicho Morag.



Dianna siedziała z dłońmi zaciśniętymi na kolanach, nie mając pojęcia, jak powinna zareagować. Co można by powiedzieć po wysłuchaniu opowieści Morag?

– Kim są ci Inkwizytorzy? – spytała wreszcie Lyrra. – Skąd się wzięli?

– Chyba z Arktosu – powiedział Aiden po namyśle. Zmrużył oczy. – Albo z Wolframu. Wydaje mi się, że to tam drogi prowadzące przez Zaslone zaczęły się zamykać najwcześniej.

– A potem zaczęli się rozprzestrzeniać niczym zaraza niszcząca magię – dodała Lyrra, przeczesując włosy palcami. – Z pewnością to wyjaśnia pieśni i opowieści, które ostatnio do nas docierały. Dużo łatwiej stać z boku i przyglądać się, jak ktoś cierpi, jeśli powiedziano ci, że to zła osoba.

Dianna usiadła prosto, rozpierała ją ekscytacja.

– Ale jeśli niektórym więdźmom udało się uciec, zanim Inkwizytorzy zdołali je pojmać, musimy tylko je odszukać i sprowadzić z powrotem do Starego Miejsca. Wówczas droga przez Zaslone znów się otworzy. Może też

część Fae przeżyła. – Przeniosła spojrzenie na Morag. – Wspominałaś, że nie jesteś pewna, co się stało z klanem, kiedy mgła pokryła tę część Tir Alainn.

– Nie, nie mam pojęcia, co ich spotkało – odparła Morag spokojnie, zbyt spokojnie. – Ale nie podałaś żadnego powodu, dla którego którakolwiek pozostała przy życiu wiedźma z Arktosu czy Wolframmu – czy nawet z wschodniej części Sylvalanu – miałyby chcieć wrócić do Starego Miejsca i zdradzić innym, że wciąż nie jest martwa.

– Dlaczego nie miałyby chcieć wrócić, gdyby Fae wyrazili chęć ochraniać ich? – spytała Dianna.

– Muszę już iść – stwierdziła nagle Morag, wstając z ławki. – Zrobiłam już to, po co tu przybyłam.

Dianna i pozostali wymienili zaskoczone spojrzenia, gdy Morag wyszła z pokoju. Sposób, w jaki powiewała jej czarna szata, sprawił, że Dianna podskoczyła i ruszyła za nią.

– Morag! – Stłumiła drżenie, gdy Zbieraczka zwróciła twarz w jej stronę. *Jestem Łowczynią. Jestem żeńską przywódczynią Fae. Nie ma powodu, bym miała się jej bać. Ona też mi podlega. I nie ma nikogo lepszego do zajęcia się tą sprawą.* – Jest jedna rzecz, jaką możesz zrobić, by ocalić tę część Tir Alainn.



*Boi się lśniących dróg,* pomyślała ze smutkiem Morag, gdy już wrócili do świata ludzi. Czowała, jak napięcie opuszcza karego konia. *Boi się ich, odkąd ledwie udało się nam uciec z tej, która się przed nami zamykała. Nawet w takim miejscu jak Brightwood, gdzie magia jest tak silna, nie ma już zaufania do dróg i ich bezpieczeństwa. Z każdą kolejną wyprawą do Cienistej Zastony jest mu coraz trudniej. Przyjdzie dzień, kiedy strach wyrwie coś z jego serca, coś, czego nigdy nie da się odzyskać. Ale jeśli wybiorę innego karego konia, złamię mu serce. Musi być jakiś sposób, by pozwolić mu odejść, jednocześnie go nie raniąc.*

W miejscu, gdzie przecinały się dwa leśne szlaki, kary koń stanowczo skręcił w ścieżkę prowadzącą do chaty Ari.

– Nie. – Morag zawróciła go na drugą ze ścieżek. – Najpierw musimy się czymś zająć.

Nie spodobało mu się to, ale jako że nie wracali lśniącą drogą przez

Zasłonę, posłuchał jej.

*Znajdę sposób, by pozwolić mu odejść. Znajdę kogoś, kto zajmie moje miejsce. Jest zbyt młody, by oddać go Śmierci wyłącznie dlatego, że stanowi niedogodność. Zupełnie jak...* – Morag zacisnęła usta w ponurym uśmiechu. Kary koń był w tej chwili jej najmniejszym zmartwieniem.

Przynajmniej Światły i Łowczyni byli świadomi niebezpieczeństwa grożącego Tir Alainn. Przynajmniej nie kpili z niej, nie odmówili wysłuchania jej. Przynajmniej powiedzieli, że chcą chronić wiedźmy. Ale wyczuwała też inne emocje krążące w pokoju. Nie rozumiała ich... póki Dianna nie poprosiła jej o zebranie konkretnej duszy i zaprowadzenie jej do Cienistej Zasłony.

Neall. Młody mężczyzna, którego kochała Ari. Mężczyzna, którego Dianna chciała wyeliminować, by Ari została w Brightwood. Mężczyzna, który kupił karego konia od Aherna.

Już wkrótce będzie zmuszona podjąć decyzję dotyczącą Nealla. Ale najpierw musi złożyć pewną wizytę.

Kiedy dotarła do wzgórza, na którym zawsze wieje wiatr, zostawiła karego konia u stóp wzniesienia i zaczęła się wspinać na szczyt. Podeszła do ducha i usiadła obok niego.

Przez kilka minut siedziały w komfortowej ciszy. W końcu duch się odezwał:

– Wiatr z północy niesie ze sobą za dużo smutku.

– Tak – odparła cicho Morag.

– To ostrzegawcze szept. Sylvalan nawiedziła okrutna burza, burza, która raduje się cierpieniem córek. Muszą uciekać ze Starych Miejs i ukrywać się, zanim je dopadnie.

*Córki?*, zastanowiła się Morag. Ale zadała inne pytanie:

– Czy żadna ze Służek Śmierci nie przysła pokazać ci drogi do Cienistej Zasłony i położonej za nią Krainy Wiecznego Lata?

– Jedna z nich tu przybyła – powiedział duch. – Zabrała ze sobą moją córkę. Ja wolałam jeszcze chwilę tu zostać.

– Dlaczego?

– Przez wzgląd na Ari. Chciałam wiedzieć, że wyjedzie z Neallem, że ma w sobie siłę, by porzucić obowiązki i wybrać życie, które uzdrowi jej serce.

Morag drgnęła nerwowo.

– Chcesz, by z nim wyjechała? Akceptujesz Nealla?



– Och, tak. – Duch się uśmiechnął. – To porządny młody mężczyzna. Z nim moja wnuczka będzie wiodła bogatsze życie, niż kiedykolwiek mogłaby wieść tutaj.

– Jeśli stąd odejdzie – powiedziała ostrożnie Morag – droga prowadząca przez Zasłonę zniknie, a część Tir Alainn będzie stracona. Fae potrzebują jej tutaj.

Uśmiech ducha stał się gorzki.

– Fae dobrze wiedzą, czego chcą. Dobrze też idzie im obciążanie brzemieniem kogoś innego, tak by sami dostawali to, czego pragną. Może i chcą, żeby Ari została, ale nie potrzebują jej tutaj. Fae mogą sami utrzymywać lśniące drogi.

– To czemu tego nie robią?

– Ponieważ mają od tego nas. – Duch przerwał na dłuższą chwilę. – Tir Alainn miało być sanktuarium, miejscem odpoczynku i odnowy dla ciała i ducha. Ale Fae uznali, że życie w krainie, która nie wymaga od nich wiele wysiłku, podoba się im bardziej od tego w świecie, gdzie mamy zarówno róże, jak i kolce. Zaczęli żyć ponad światem niczym istoty, które żyły w gałęziach drzew i dotykały ziemi jedynie wtedy, gdy chciały się zabawić – albo gdy dostrzegły tam coś, czego pragnęły. Fae jednak zapomnieli, że drzewo nie przetrwa bez korzeni.

– I wy jesteście korzeniami?

Duch spojrział w dal.

– Fae są dziećmi Matki. Ale to my jesteśmy córkami. My jesteśmy Filarami Świata.

Morag potrząsnęła głową.

– Nie rozumiem.

– Nie? Odpowiedzi masz przed oczami, musisz tylko chcieć je odszukać.

*Dlatego nigdy nie rozmawiam z duchami starych kobiet, pomyślała zirytowana Morag. Nie muszą już wyrażać się jasno, więc posługują się zagadkami.*

– Co czyni Nealla tak wyjątkowym, że wolisz, by Ari opuściła ziemię, która jest w jej rodzinie od pokoleń?

– Może dać jej więcej niż świecidełka – odparł gniewnie duch. – Jeśli żyjący tu Fae przekonają Ari, żeby została i utrzymała ich część Tir Alainn, czy będą żyć tu wraz z nią, dzień po dniu, przez cały rok? Czy pogodzą się z rozczarowaniami, jak i z radościami związanymi z życiem w tym świecie?

Czy może przymilaliby się do niej jedynie do czasu, aż Neall wyjedzie – bez niej? Jak szybko po jego wyjeździe przestaliby ją odwiedzać i uznali za nieprzydatną?

Morag zaczęła czyścić buty z błota.

– Jesteś dość zgorzkniała w stosunku do nas, czyż nie?

– Przeczytałam historię mojej rodziny. Mam swoje powody, by czuć zgorzknienie. – Duch westchnął. – I wiem, że wina nie leży wyłącznie po stronie Fae. Kobiety w mojej rodzinie przyjmowały błyskotki będące wyrazem zauroczenia. Ale dla Ari pragnę bardziej wartościowych dowodów miłości.

Morag wstała.

– Gdy ona wyjedzie, wrócę tu i wskażę ci drogę do Cienistej Zasłony.

– Kiedy ona wyjedzie, i ja będę gotowa do drogi.

Morag podeszła do miejsca, w którym wzgórze zaczynało opadać. Odwróciła się.

– Jak masz na imię?

– Jestem Astra.

Morag kiwnęła głową, po czym zeszła ze wzgórza do czekającego na nią karego konia.



– Co o niej sądzisz? – spytał Ahern, opierając się o górną barierkę padoku.

Neall uśmiechnął się szeroko. Zatrzymał karą klacz i zeskoczył na ziemię.

– Ma lekki chód, szybko reaguje na komendy i jest dość mądra, by niweczyć błędy nawet najbardziej nieudolnego jeźdźca. To prawdziwa piękność, Ahernie. – Pogłaskał klacz po szyi. – Mam nadzieję, że nie będziesz musiał oddać jej komuś, kto tego nie doceni.

– Kare konie trafiają dokładnie tam, gdzie sobie życzę – odparł Ahern, po czym dodał: – Klacz jest dla Ari.

Dłoń Nealla zamarła przy szyi konia. Wbił wzrok w Aherna.

– Dla... Ari?

– Jak powiedziałaś, klacz może nieść nawet niedoświadczonego jeźdźca. Będziecie potrzebowali drugiego konia na podróż, a ja zamierzam dopilnować, by Ari dosiadła najodpowiedniejszego wierzchowca.

– Ale...

– Masz coś przeciwko temu?

Jedno spojrzenie na surową twarz Aherna sprawiło, że Neall ponownie poświęcił uwagę klaczy. *Musi się tak zachowywać, ponieważ mu na niej zależy. Całe życie obserwował ją z oddali, a gdy wyjedziemy, nie pozostanie mu nawet to. Każdego dnia będzie myślał o Ari i o klaczy, i będzie czerpał z tego jakąś pociechę.*

– Nie, sir – powiedział Neall. – To bardzo hojny i mile widziany dar.

– Czyli ustalone. – Ahern otworzył bramę na padok. – Oporządź ją, zanim ruszysz do...

Nagłe stuknięcie końskich kopyt sprawiło, że się obrócili.

Nealla przeszedł dreszcz, gdy ujrzał kobietę jadącą w ich stronę na karym koniu. Kobietę Fae – na rumaku Fae. Kary koń celowo powiadomił ich o swojej obecności.

Kobieta zsunęła się z siodła i dołączyła do nich na padoku. Neall nie chciał, by tu była. Coś w niej sprawiało, że się denerwował.

– Ty jesteś Ahern?

– Tak.

– Jestem Morag.

Spojrzała na Nealla z rosnącym zainteresowaniem.

– Niech cię dzień błogosławi, pani – powiedział Neall.

Uśmiechnęła się do niego ciepło. Cokolwiek wcześniej go zdenerwowało, rozmyło się w tym ciepłe.

– Ty musisz być Neall.

Kątem oka dostrzegł, jak Ahern sztywnieje. Przeszył go strach, choć nie miał pojęcia dlaczego. Kobieta nie zrobiła nic, by wywołać w nim lęk.

– Skąd wiesz?

– Zatrzymałam się u Ari. Wspomniała o tobie raz czy dwa.

Sposób, w jaki wypowiedziała te słowa, jednoznacznie sugerował, że chodziło o znacznie więcej niż „raz czy dwa”. Neall poczuł, że oblewa się przyjemnym rumieńcem. Nie był pewien, czy Ari cieszyła się ze swojej decyzji, ale skoro faktycznie o nim mówiła – o nich – to był dobry znak.

– Słyszałam też, że jesteś porządnym młodym mężczyzną dosiadającym karego konia – dodała Morag, spoglądając na klacz. – Więc nietrudno było mi cię rozpoznać.

Ahern otworzył szerzej bramę na padok i wymamrotał:

– Zajmij się klaczą.

To nagłe odprawienie zaskoczyło Nealla. Ahern potrafił być bezpośredni, czasem wręcz niegrzeczny, ale teraz, choć bezpośredniość odnosiła się do niego, niegrzeczny był wobec kobiety.

*Nie chce, żebym przebywał obok niej*, uświadomił sobie Neall, prowadząc klacz do stajni. *Nie. Nie chce, by to ona przebywała obok mnie. Tylko dlaczego?*

Zatrzymał się w stajni, gdzie nie był widoczny. Kiedy obrócił się, by spojrzeć na dwójkę Fae, usłyszał, jak Ahern pyta:

– Co sprowadza Zbieraczkę do Brightwood?

– Konie – odparła Morag. Zanim zdołała powiedzieć coś więcej, kara klacz z Neallem na grzbiecie wystrzeliła ze stajni, galopując w stronę Brightwood.

– Czy coś się stało?

– Na pewno pojechał sprawdzić, czy jego ukochana wciąż jest w Brightwood – odparł Ahern. – Jest?

– Ari? Raczej tak. Nie widziałam jej od rana, więc gdzie indziej... – Serce Morag załomotało. Przytrzymała się ogrodzenia padoku, by nie stracić równowagi. – Nie poszłaby sama do wioski, prawda? Nie poszłaby sama.

Ahern, zmieszany, zmarszczył brwi.

– Mogłaby. Robi tak, odkąd zmarła jej matka. Chociaż ostatnio...

– Nie wolno jej chodzić samej – przerwała mu Morag. – Nie wolno jej.

Powiedziała Ahernowi wszystko, co wiedziała o wiedźmach ginących z rąk Inkwizytorów. Opowiedziała mu o nocnych łupieżcach i swojej ucieczce lśniąca drogą tuż przed jej zamknięciem. Poczła przyjemną satysfakcję na widok ponurego grymasu, który pojawił się na twarzy Pana Koni.

– Sądzisz, że przybędą tutaj – powiedział. – Do Brightwood.

Morag zamknęła oczy.

– Nie jestem pewna, ale... Śmierć szepcze. Śmierć nadchodzi. Wkrótce się zjawi.

Ahern pokiwał głową.

– Ari chce tu zostać do czasu żniw, by mogli zabrać ze sobą plony. Ale musi minąć jeszcze kilka tygodni. To za długo, prawda?

– Jeśli przybędą tu Inkwizytorzy, nawet dodatkowy dzień może się okazać zwłoką – odparła znużona Morag. – Nie trzeba wiele czasu, by zadać komuś bolesną śmierć, Ahernie. Trudno mi było patrzeć na cierpienie pozostałych wiedźm, a nawet ich nie znałam. Z Ari rozmawiałam, z Ari jadłam,

zdążyłyśmy trochę się poznać. Nie chcę pokazywać jej drogi do Cienistej Zasłony. Nie teraz. Nie z ich powodu.

– Musimy więc przekonać ją, by wyjechała przed zniwami.

– Potrafisz ją przekonać?

– Razem z Neallem jakoś sobie poradzimy. A jeśli nie zdołamy, przywiążemy ją do konia, żeby ją stąd wywiózł.

Ahern otrząsnął się, jakby był w stanie pozbyć się w ten sposób ponurego nastroju.



*Wszystko będzie dobrze*, pomyślała Morag chwilę później, gdy wraz z Ahernem jechała do Brightwood, żeby obejrzyć słonecznego rumaka i klacze. Zaskoczyła ją determinacja Pana Koni, by – jak to ujął – „oddzielić Ari od Inkwizytorów całą połacią Sylvalanu”, ale taka reakcja była mile widziana. On także był Fae. Tak samo dobrze jak pozostali wiedział, co odejście Ari będzie oznaczało dla klanu, który korzystał ze lśniącej drogi zakotwiczonej w Brightwood. Mimo to chciał, by odeszła, chciał, by była bezpieczna. Myśl, iż zrobi wszystko, co w jego mocy, by upewnić się, że Ari i Neall wyruszą do nowego domu, była dla niej pokrzepiająca – i ułatwiała przygotowania do jutrzejszego dnia, gdy wróci do Tir Alainn, by powiedzieć Łowczyńni o decyzji, jaką podjęła względem Nealla.



Wychodząc z powozu, Adolfo zauważył, że na widok dwóch kolejnych Inkwizytorów i strażników jadących za powozem uśmiech zniknął z twarzy barona.

– Baron Felston? – spytał, robiąc krok do przodu. – Jestem Adolfo, Mistrz Inkwizycji, Młot na czarownice.

– Jestem uradowany i wdzięczny, że mogłeś odsunąć na bok inne obowiązki, by tak szybko zająć się moim małym problemem – odparł Felston.

*I wyrazisz swoją wdzięczność czymś więcej niż tylko słowami*, pomyślał Adolfo. *Z góry. Albo będziemy się targować o znacznie większą stawkę niż ta wiedźma, której chcesz się pozbyć.*

Felston spojrział z niepokojem na pozostałych Inkwizytorów, po czym nachylił się do Adolfo.

– Czy wszyscy ci ludzie naprawdę są tu potrzebni? – szepnął. – W tym Starym Miejsu mieszka tylko jedna wiedźma, i to niezbyt potężna.

Pod spojrzeniem Adolfo silny zazwyczaj baron poczuł się nagle słabym człowiekiem.

– Wielu baronów zapewniało mnie, że wiedźmy, które nękają ich lud, nie są potężne. Posyłałem więc świetnie wyszkolonych Inkwizytorów, by zajęli się tymi istotami. Przez te kilka tygodni, które spędziłem w Sylvalanie, wykorzystując moje umiejętności, by pomagać ludziom pozbywać się niegodziwych sług Złego, straciłem więcej Inkwizytorów niż przez lata w Arktosie i Wolframie. – Adolfo potrząsnął głową. – Nie mów mi, jak mam zarządzać moimi ludźmi, baronie Felstonie. Wiem znacznie lepiej od ciebie, jaka istota żyje poza wioską Ridgeley. Wiem też, czego trzeba, by sobie z nią poradzić. Poza tym – dodał, zanim Felston zdążył otworzyć usta – wiele wskazuje na to, że w pobliżu żyją także Fae. Oni też potrafią być niebezpieczni.

Jasne plamy czerwieni zalały policzki Felstona, przez co Adolfo zaczął się zastanawiać, czy mężczyzna miał już okazję spotkać się z Pięknym Ludem.

– Chodź ze mną, Mistrzu Adolfo – powiedział po chwili Felston, wskazując frontowe drzwi domu. – Ty i twoi ludzie możecie się rozpakować. Potem powinieneś porozmawiać z moją córką Odellą.

Adolfo spojrział na niego ponuro:

– Jeśli spotkało ją nieszczęście i była zmuszona zadawać się z wiedźmą, to tak będzie najrozsądniej.



– Ari? Ari! – Neall wyskoczył z siodła z bijącym sercem. Nigdzie jej nie widział. – Ari!

Słoneczny rumak galopował w jego stronę, odcinając go od drogi do chaty, zanim Neall zdołał postawić krok w stronę na wpół otwartych drzwi kuchennych.

Podszedł bliżej. Rumak położył uszy po sobie.

Kara klacz chwyciła go za rękaw i pociągnęła do tyłu.

Zastanawiając się, jak zaklęcia ochronne zareagują na próbę wejścia przez

okno – a także czy zdoła zrobić to na tyle szybko, by uniknąć kopnięcia przez konia – przyłożył dłonie do ust i wykrzyknął:

– Ari!

Okno na piętrze się otworzyło. Ari wychyliła się na zewnątrz. Rozkoszny uśmiech rozświetlił jej twarz.

– Neall! Poczekaj tam. Zaraz zejść.

– Nigdzie się nie wybieram – wymamrotał Neall, rzucając spojrzenie rumakowi. Poczł rozbawienie, gdy Ari wyłoniła się zza kuchennych drzwi i zaczęła zagłądać ponad złotym zadem.

– Przesuń się – powiedziała, dając słonecznemu rumakowi lekkiego klapsa.

W odpowiedzi wierzchowiec kopnął w dolną połowę drzwi.

Ari zniknęła, by kilka chwil później pojawić się znowu. Okrążyła chatę. Zanim rumak zdążył pognać w jej kierunku, wskazała go palcem i stanowczo powiedziała:

– Nie wiem, co sobie wyobrażasz, ale nie jestem jedną z twoich klaczy. Jestem jego klaczą. – Zmarszczyła brwi. – To nie zabrzmiało dobrze, ale wiesz, co miałam na myśli.

Neall wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ulga na widok Ari – całej i zdrowej – sprawiła, że poczuł się nieco głupio.

– Moim zdaniem bardzo ładnie to ujęłaś. I mogę ci obiecać, że cechuje mnie więcej finezji w pewnych aspektach niż jego.

Rumak prychnął. Nie zważając na to, Ari podeszła do Nealla.

– Przeglądałam szafę z pościelą na piętrze, by sprawdzić, co może nam się przydać, a co... – Jej twarz zastygła, gdy zauważyła karą klacz. – Co się stało Darcy'emu? Jest ranny?

Neall objął ją ramieniem.

– Nie, wszystko w porządku. Prawdopodobnie jest wściekły, że go nie zabrałem, ale chciałem...

Nie, to nie dlatego tu przybył. Przyjechał na klaczy, ponieważ ona była już osiodłana i pod ręką, ale musiał uważać na to, jak dobiera słowa, by Ari nie zaczęła go dręczyć.

– Chciałem cię zobaczyć.

Wyciągnęła dłoń grzbietem do góry. Klacz zbliżyła się do niej, chętna, by się przedstawić. Kiedy Ari i koń się poznawały, Neall nie spuszczał z oka rumaka – ten zaś wydawał się nie spuszczać oka z niego. Wiatr się zmienił,

a koń złapał jego zapach. Wtedy nagle się zrelaksował; po chwili odszedł, by dołączyć do swoich klaczy.

– To dziwne – powiedział cicho Neall.

– Może wyczuwa w tobie Fae, a więc zakłada, że jesteś w porządku. – Ari poklepała klacz po szyi i przeczesła palcami jej grzywę.

– A co to za różnica? – spytał Neall, choć znał już odpowiedź. Kopyta konia nie wydawały dźwięku. – To koń Fae.

Ari przytaknęła.

– Morag utknęła ze słonecznym rumakiem i klaczami, więc postanowiła zabrać je do Aherna. Nie może podróżować ze stadem koni.

– Chwilę temu przybyła do Aherna. – Neall postanowił podjąć temat. – Ari... Wiesz, kim ona jest, prawda?

Pogłaskawszy klacz po raz ostatni, Ari obróciła się w jego stronę.

– Tak, wiem. I póki jest gościem w moim domu, oczekuję, że będzie traktowana uprzejmie. – Odwróciła wzrok. – Wiem, jak to jest czuć się niemile widzianą.

Nie mógł powiedzieć nic, co nie rozzłościłoby jej jeszcze bardziej.

– W porządku. A skoro już tu jestem, czy mogę ci w czymś pomóc?

Zanim Ari zdołała odpowiedzieć, kara klacz zastrzygła uszami i zarżała na powitanie.

Neall stęzał i obrócił się, akurat gdy Ahern i Morag wyjechali z za chaty. Kiedy Zbieraczka spojrzała na Nealla, jej ciemne oczy pełne były zrozumienia.

*Ari ma rację. Ona z pewnością nigdzie nie czuje się mile widziana.*

– Niech cię dzień błogosławi, Ahernie – powiedziała Ari, po czym z uśmiechem zwróciła się do Morag: – Widzę, że go znalazłaś.

Morag odwzajemniła uśmiech.

– Tak, znalazłam.

Kiedy zsiadli z koni, Ahern przyjrzał się słonecznemu rumakowi. Koń nerwowo rył kopytem w ziemi, obserwując przybyłych.

– Porządny wierzchowiec – ocenił Ahern. – Tak jak i klacze. – Omiótł spojrzeniem ranną klacz, samotnie skubiącą trawę, i wzdrygnął się.

– Już z nią lepiej – powiedziała pospiesznie Ari. – Myślę, że niedługo całkiem wydobrzeje.

Ahern pokiwał głową, ale Neall nie sądził, by potwierdzał osąd Ari.

– Zabierzesz je ze sobą na farmę? – spytała Ari.



Słoneczny rumak, który przybliżał się do nich, nagle wycofał się i położył uszy po sobie.

Ahern prychnął; dźwięk ten był niezwykle podobny do tego wydawanego przez konie.

– Możesz je tam zaprowadzić o poranku – odparł sucho. – Wtedy się nimi zajmę. Sądzę też, że jeśli kłacz spędzi więcej czasu tutaj, pomoże jej to bardziej niż moja pomoc. – Obrócił się do Ari z ponurą miną.

Neall poczuł, jak Ari opiera się o niego, łaknąc wsparcia. Kiedy zerknął na Morag, zauważył, że ona również jest ponura.

– No dobrze, dziewczyno – westchnął Ahern, jakby nagle podjął decyzję. – W Sylvalanie dzieją się rzeczy, które sprawiają, że ty i Neall musicie stąd wyjechać, tak szybko, jak to możliwe. Najlepiej jutro.

– Jutro? – Ari szeroko otworzyła usta. – Nie możemy wyjechać jutro. Trzeba jeszcze spakować...

– Musicie się oddalić najszybciej, jak się da – przerwał jej Ahern. – Wasza dwójka najszybciej będzie się poruszać wierzchem, więc tak właśnie pojedziecie. Możesz zrobić listę rzeczy z twojej chaty, których potrzebujesz. Neall powie mi, gdzie was znaleźć. Dopilnuję, by wóz został spakowany, a kilku moich ludzi dostarczy go do waszego nowego domu.

– Ale... Ale zbiory...

– Niech Matka ześle plagę na plony – powiedziała zapalczywie Morag.

Neall poczuł, jak Ari się wzdraga. Z pewnością nie wierzyła, że ktoś mógłby powiedzieć coś tak... obscenicznego.

– Mężczyźni, którzy stworzyli istoty stojące za zranieniem kłaczy, wkrótce tu przybędą – dodała Morag. – Musisz stąd wyjechać, zanim się zjawią.

Ari popatrzyła na nią.

– Jeśli planują wyrządzić krzywdę Brightwood, to powinnam tu zostać, by chronić tę ziemię.

– Nie przybywają po ziemię. Przybywają, by cię zabić. Tak jak zabili wszystkie takie jak ty.

Ari pobladła, a Neall zaczął się zastanawiać, co takiego powiedziała jej Morag. To jednak nie miało znaczenia. Powiedziała dość, by przekonać go do wyruszenia natychmiast.

– Ari...

Ari potrząsnęła głową.

*Na łaskę Matki, pomyślał Neall. Nie czas na pokaz upor.*

– Twoja babka chce, żebyś wyjechała – dodała Morag.

Kolana ugięły się pod Ari tak nagle, że Neall musiał ją podtrzymać, by nie upadła.

– Ale... Powiedziałaś, że ona odeszła – wyszeptała Ari.

– Skłamałam. Nie chciała, byś wiedziała, że wciąż tam jest.

– A moja... matka?

– Udała się do Krainy Wiecznego Lata. – Głos Morag złagodniał. – Twoja babka chciała poczekać do momentu, aż ty i Neall wyjedziecie z Brightwood. Chciała, byś wyjechała, Ari. Wciąż tego pragnie. Poza tym... Inkwizytorzy nie są jedynym powodem, dla którego należy się spieszyć z wyjazdem z Brightwood. – Rzuciła spojrzenie Neallowi.

Ari na chwilę zeszywniała, jakby szykowała się do walki. Potem jednak znów się skuliła.

– A co z Merle? – zapytała z wahaniem.

– Szczeniak może zostać u mnie przez kilka tygodni – odparł niecierpliwie Ahern. – Później przyjedzie na wozie wraz z resztą waszych rzeczy – i z plonami.

– Ari... – Morag zrobiła krok w ich stronę. W jej oczach było tak wiele emocji, że Neall musiał odwrócić głowę. – Ari, proszę, jedź. Śmierć nadciąga. Chcę, by cię tu nie było, gdy przybędzie.

Ari zamknęła oczy. Kiedy znów je otworzyła, wypełniała je rezygnacja. Nealla bolało serce na ten widok. Nie w ten sposób chciała opuszczać Brightwood. On też wyobrażał to sobie inaczej.

– Ari...

Jej dłoń zacisnęła się na jego ramieniu.

– Potrzebuję jednego dnia, by zająć się wszystkim. Potem, jeśli Ahern nie ma nic przeciwko, przenocuję u niego. Wyjedziemy pojutrze z samego rana.

Spoglądając na Morag i Aherna, Neall wstrzymał oddech. Ahern wydawał się robić to samo, koncentrując uwagę na czarnowłosej kobiecie stojącej obok niego. Ta zaś sprawiała wrażenie, że nasłuchuje czegoś, co tylko ona może usłyszeć.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Pojutrze wystarczy.

## ROZDZIAŁ 30

Ari spojrzała niepewnie na stos ubrań na łóżku, a potem na juki, które wręczyła jej Morag.

– Nigdy wcześniej nie wyjeżdżałam. Pomijając jednorazowy wypad do Seahaven, ale wtedy nie było mnie raptem kilka dni. Skąd mam wiedzieć, co będzie mi potrzebne?

Morag wzięła z toaletki grzebień, szczotkę i lusterko i położyła je na łóżku. Owinęła lusterko halką, po czym włożyła do pustej torby.

– Spakuj ubrania, ponieważ one będą ci potrzebne od razu. Do tego przybory toaletowe i kobiece przybory.

Ari poszła do łazienki i otworzyła niewielką skrzynkę. Zawahała się.

– Będiesz mieszkać z mężczyzną – powiedziała do siebie stanowczym tonem. – A on i tak wie, do czego służą te pasy tkanin.

Mimo to czuła, jak płoną jej policzki, kiedy pakowała do torby kilka zrolowanych płócien. Cóż, będzie musiała do tego przywyknąć. Ale przypomniało jej to o czymś innym.

Ruszyła do kuchni i sięgnęła po słoik ziół, których używała podczas dni płodnych. Przypomniało jej to o książce, która zawierała instrukcje tworzenia różnych naparów i herbat warzonych przez wiedźmy w jej rodzinie. Oczywiście nie mogła mieć pewności, że w zachodniej części Sylwalanu znajdzie te same rośliny, ale nie mogłaby zostawić księgi. Przyda się też mały słoiczek maści leczniczej.

Kiedy wróciła do sypialni, Morag kończyła wypychać jedną pękatą torbę.

– Daj mi to. – Wzięła od Ari słoiki oraz księgę i owinęła je w jedną z tunik.

Ari upchnęła zrolowane ubrania na spodzie drugiej torby. Na nich ułożyła słoiki i książkę. Kiedy składała kolejną tunikę i parę spodni, Morag otwierała szuflady toaletki. W pewnym momencie wyjęła szkatułkę z biżuterią.

– Pewnie chciałabyś je zabrać.

Ari potrząsnęła głową.

– To tylko świecidełka.

Gdyby Lucianowi faktycznie na niej zależało, czy opuszczałaby dzisiaj Brightwood?

*Tak, opuszczałabym. Po prostu jego zachowanie sprawiło, że łatwiej było mi podjąć decyzję. Lucian jest jak potężna burza, intensywna i przytłaczająca, imponująca w chwili, gdy trwa. A Neall jest jak miękki deszcz, ten cichy deszcz, który wsiąka głęboko w ziemię. Burze mogą ekscytować przez moment, ale to miękki deszcz kocham i chcę go doświadczać przez całe życie.*

Morag otworzyła szkatułkę.

– Może dla ciebie to tylko świecidełka, ale są wiele warte. Zatrzymaj kilka z powodów sentymentalnych, a pozostałe sprzedaj. – Wzięła do ręki jedną z błyskotek. – Taka brosza kupi wam najlepszy pokój w gospodzie, dobry posiłek, miejsce w stajni i paszę dla koni, a nawet ciepłą kąpiel. Po kilku dniach w podróży na pewno docenisz te udogodnienia.

– Czemu powinnam czuć sentyment do którejkolwiek z tych rzeczy? – spytała Ari nieco krnąbrnie. Była zaskoczona, widząc grymas na twarzy Morag.

– Myślałam o twojej matce i babce. Jeśli miały ulubioną ozdobę czy dwie, mogłabyś chcieć je zatrzymać.

– Ach... Tak, to prawda, jest kilka takich rzeczy.

Położywszy szkatułkę na łóżku, Morag owinęła ją wełnianą kamizelką, a potem umieściła w torbie, wsuwając zawiniątko tak głęboko, jak była w stanie. Zapięła kłamy przy jukach i odsunęła się.

– Gotowe. – Odgarnęła włosy z twarzy. – Co teraz zrobisz?

Oczy Ari zaszkliły się od łez. Łatwiej byłoby jej opuszczać Brightwood, gdyby mogła tu zostać aż do żniw. Łatwiej byłoby, gdyby mogła sama się spakować, poświęcić czas na wybór przedzdy i klejnotów, które chciała ze sobą zabrać, wybór pościeli, garnków i patelni czy wykonanych przez siebie rysunków, na podstawie których tkala gobeliny. Czuła się tak, jakby ktoś odrywał ją od tego miejsca, a nie jakby dobrowolnie je zostawiała. Ale rozumiała, dlaczego chata musi być pusta, gdy Inkwizytorzy zjawią się w Ridgeley. O ile się zjawią.

*Odpuść. Nie oglądaj się za siebie. Ktoś inny odbierze znaki wysyłane przez tę ziemię i nazwie ją domem. Może przydadzą mu się rzeczy, które zostawiasz. Może osiedli się tutaj i inna rodzina będzie pisała o Brightwood w swoich*

*dziennikach.*

Nabrała powietrza. Dzienniki. Nie mogła ich zostawić w pustej chacie.

– Ari? – spytała ostro Morag. – Co się stało?

– Och... – Ari spróbowała się uśmiechnąć. – Właśnie o czymś sobie przypomniałam. Kiedy zabiorę słonecznego rumaka i kłacze do Aherna, muszę go spytać, czy nie wzięłby dzienników do swojego domu. Nie chcę, żeby tu zostały.

Morag zmarszczyła brwi.

– Dzienniki?

– To spisana historia mojej rodziny. A tak naprawdę historia Brightwood.

Morag pokiwała głową.

– Co teraz zamierzasz robić?

– Skończę sporządzać listę rzeczy, które powinny pojechać wozem, żeby i ją przekazać Ahernowi. – Ari się skrzywiła. – Na wypadek gdybym musiała mu wyjaśniać, czym są te rzeczy. Wątpię, by znał się na akcesoriach tkackich.

Morag się uśmiechnęła.

– Zgaduję, że nie zna się na niczym, o ile tego nie potrzebuje albo nie jest to związane z końmi. Możesz od razu dołączyć do listy szkice tych przedmiotów. Zaoszczędzi to frustracji wam obojgu.

Ari się roześmiała.

– Dobry pomysł. A ty? – spytała nieśmiało. – Co zamierzasz?

Pewna subtelna zmiana pojawiła się na twarzy Morag, wzbudzając u Ari dreszcze. To nie była Zbieraczka, która łagodnie uwolniłaby duszę od cierpienia umierającego ciała. To była twarz, jaką według wyobrażeń Ari ujrzą mężczyźni, na których Morag dokona zemsty.

– Muszę się udać do Tir Alainn.



Adolfo dokończył filiżankę herbaty i otarł usta serwetą z rodowym herbem Felstona wyhaftowanym w jednym z rogów. Spojrzał na imbryk, jakby się zastanawiał, czy powinien nalać sobie jeszcze jedną filiżankę. Rozkoszował się widokiem barona Felstona, którego aż skręcało ze zniecierpliwienia – pojmany gospodarz przykuty do własnego stołu przez pokaz dobrych manier.

Chciał też spędzić więcej czasu, rozważając słowa, które usłyszał wczoraj.

Córka Felstona, Odella, nie potrzebowała zachęty, by opowiedzieć o wiedźmie, która ukradła jej kochanka Fae, ojca jej dziecka. Ani przez moment nie wierzył w to, że lord Fae mógłby szukać przyjemności w łóżku tak odpychającej dziewczyny. Owszem, była dość urodziwa, ale w chwili, gdy otwierała usta, każdy rozsądny mężczyzna uświadamiał sobie, że ładna twarzyczka i dorodne ciało nie są warte użerania się z jej charakterem.

Historia ta jednak dobitnie uświadomiła mu, że Fae są widywani na tych terenach. Jeśli jeden z nich faktycznie cieszy się względami wiedźmy, mogło to wróżyć kłopoty.

Kątem oka Adolfo przyglądał się Royce'owi, synowi barona. Czyżby wzgardzony kochanek? Niezależnie od powodu stojącego za narastającym gniewem Royce'a łatwo będzie przekonać młodego mężczyznę do współpracy, podczas gdy wiedźmę zaciągnie się do posiadłości barona, gdzie się nią zajmą. Oczywiście nie przedstawi tego planu Royce'owi w ten sposób.

– Twierdzisz więc, że ten mężczyzna, Ahern, interesuje się życiem wiedźmy?

– Lubi wiedzieć, co się dzieje w Brightwood – odparł cierpko Felston.

Adolfo odsunął swoje krzesło i wstał.

– W takim wypadku dobrze będzie przyjrzeć się temu mężczyźnie i ustalić, jak duże kłopoty może nam sprawić.

– Jak planujesz to zrobić?

Adolfo lekko się uśmiechnął.

– Zamierzam kupić konia.



Dianna spojrzała na Morag z wyczekiwaniem.

– Załatwione?

– Nie – odparła cicho Morag. – I nie będzie załatwione. Neall jest młodym mężczyzną, przed nim całe życie. Nie zbiorę jego duszy, zanim nie przyjdzie czas.

Dianna poczuła narastającą złość. Zaczęła chodzić po pokoju.

– Ari musi zostać. On musi zostać wyeliminowany. Dla dobra Tir Alainn – i dla dobra Fae.

– Fae mogą utrzymywać lśniącą drogę przez Zasłonę.

– Nigdy tego nie próbowaliśmy. Nie wiesz tego na pewno. – Dianna obróciła się, by spojrzeć na Morag. – Nawet jeśli zdołamy, ilu naszych przez to stracimy? Ilu będzie musiało zostać w świecie... ludzi, poświęcić się?

– Nie chcesz poświęcić niczego, ale oczekujesz, że zniszczę życie dwójce młodych ludzi?

– Oni nie są Fae! Poza tym przecież nie poświęcamy Ari. Zaopiekujemy się nią.

Morag wbijała spojrzenie w Diannę tak długo, że ta niemal zaczęła się wic ze wstydu.

– Kim dla nas będzie? – spytała cicho. – Ulubionym zwierzakiem? Kimś, kogo życie jest przez nas kontrolowane, żeby pasowało do tego, czego my potrzebujemy? Do tego to się ma sprowadzać, Dianno? My jesteśmy Fae, a ludzie, wiemy, Mały Lud, cały świat istnieje wyłącznie dla naszej przyjemności i rozrywki?

– Jesteśmy Fae – nalegała Dianna. – Jesteśmy dziećmi Matki. – Nie była pewna, jak powinna zareagować, gdy Morag zadrzała i objęła się ramionami. – Po czyjej stronie leży twoja lojalność, Morag?

*Och, ta zmiana na jej twarzy, w tych oczach.*

– Nie powinnaś mnie o to pytać, Łowczyni – odparła Morag.

– On musi zostać wyeliminowany.

– Fae mogą utrzymać drogi.

– Jak wielu z nas? Wiesz?

– Nie, nie wiem. Dlatego dobrze będzie, jeśli spakujecie jedzenie i najcenniejszy dobytek, by zabrać go ze sobą do świata ludzi. Najlepiej jeśli sprowadzisz do Brightwood cały klan, na wypadek gdyby droga jednak się zamknęła. Wtedy, gdy klan będzie już bezpieczny, będziesz mieć mnóstwo czasu, by dowiedzieć się, ilu potrzeba.

– A jeśli się mylisz i to nie zadziała, stracimy tę część Tir Alainn.

– Ale nie klan. Nie twoją rodzinę.

– To nie twój klan jest wyrzucany ze swojego domu – powiedziała gorzko Dianna. – To nie twoja rodzina ryzykuje wszystkim.

– Nawet gdyby chodziło o mój klan, powiedziałabym dokładnie to samo.

– Łatwo ci mówić, kiedy sytuacja wygląda inaczej.

Dianna zacisnęła pięści; kipiała z frustracji. Żeby Morag ignorowała potrzeby Fae z uwagi na jednego, nic nieznaczącego człowieka...

– Nakazuję ci zebrać ducha tego... Nealla.

– Odmawiam.

Dianna uderzyła pięścią w stół.

– Zapominasz, kim jestem.

Oczy Morag rozbłysły.

– Nie. To ty zapominasz, kim ja jestem. Nie zbieram wyłącznie ludzkich dusz, Dianno.

Dianna nabrała powietrza.

– G-groziś mnie, Pani Księżycu, żeby oszczędzić człowieka?

Uśmiech Morag był podszyty kpina.

– Czy byłoby ci łatwiej się z tym pogodzić, gdybym chciała oszczędzić innego Fae?

– Nie rozmawiamy o innym Fae. To my jesteśmy dziećmi Matki. Nikt nie może się z nami równać.

Uśmiech Morag zbladł.

– W to postanowiliśmy wierzyć. Zastanawiam się jednak, czy to prawda – powiedziała i wyszła z pokoju.

Dianna dotoczyła się do ławki i usiadła ciężko.

Nie mogła ufać Morag, to było dla niej jasne. Co oznaczało, że jeśli zamierza ocalić ich fragment Tir Alainn, pozostawało jej do zrobienia tylko jedno.

Wstała, odczekała chwilę, by mieć pewność, że utrzyma się na chwiejnych nogach, po czym ruszyła na poszukiwanie Luciana.



– Morag! Siostrze, co za spotkanie.

Morag wysunęła stopy ze strzemion i obejrzała się w stronę, z której dochodził głos. Jechała ku niej Morphia. Wyglądała na niehumanie zmęczoną.

Morag wiedziała, że jej uśmiech nie odzwierciedla ciepła w jej sercu. Wciąż gotowała się z gniewu po spotkaniu z Dianną. Ale coś jeszcze – coś nienamacanego – sprawiało, że przechodziły ją dreszcze. Zrobiła więc jedyną rzecz, jaka przyszła jej do głowy: rozpostarła ramiona w powitalnym geście.

– Jesteś zmęczona – powiedziała, obejmując siostrę.

– Na ciele i w sercu – odparła Morphia, odwzajemniając uścisk. Po chwili się odsunęła.

– Bard usłyszał twoje ostrzeżenie – powiedziała Morag, chcąc zaoferować



trochę pociechy. – Upewni się, że pozostali dostarczą tę wiadomość wszystkim klanom.

Morphia spojrzała na nią smutno.

– Tak. Bardowie, których spotkałam, wysłuchali mnie i obiecali rozesłać ostrzeżenia. Kilka klanów, z którymi rozmawiałam, wścieka się na to, co się dzieje w świecie ludzi, i zamierza ujawnić się wiedźmom mieszkającym w Starych Miejskach, aby pilnować ich przed Inkwizytorami. Ale większość klanów obwinia wiedźmy o ucieczkę ze Starych Miejsk i dopuszczenie do zamknięcia się dróg. – Westchnęła. – Czy zawsze byliśmy takimi głupcami, Morag? Nie musisz odpowiadać. Już wiem. Przez ostatnie tygodnie musiałam się dowiedzieć tego, co ty wiesz od dawna z uwagi na to, kim jesteś. Czasami wysyłałam sen i miłe wizje osobom w świecie ludzi, które miały kłopoty albo cierpiały, by ulżyć im jakoś w bólu. Ale równie często odbierałam komuś sen, tylko dlatego że mogłam to zrobić. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak ta osoba będzie się czuła po nieprzespanej nocy albo jak wpłynie na jej kolejny dzień. Korzystałam z mojego daru, by dać upust kaprysom. Teraz wstydzę się tego. Jesteśmy dziećmi Matki. Dziećmi. Wydaje mi się, że to bardzo trafne określenie.

– Być może – zgodziła się Morag. – Ale teraz, gdy inaczej na to wszystko patrzysz, możesz zmienić swoje zachowanie. – Ścisnęła lekko ramię Morphii, by dodać jej otuchy. – Dopiero przyjechałaś? Powinnaś się spotkać z matronami klanu, a potem odpocząć.

– A ty co zamierzasz?

Morag dosiadła karego konia.

– Wracam do Brightwood, by trzymać straż. Zrobię co w mojej mocy, by ich ochronić.



– Neall – mruknął cicho Ahern. – Zaraz będziemy mieć towarzystwo. Ukryj się. I zabierz ze sobą klacz oraz wałacha.

Zerkając w stronę drogi prowadzącej na farmę Aherna, Neall zauważył jeźdźców. Większości z nich nie rozpoznał – tak jak i koni, na których jechali – ale jego wzrok wyłapał Royce’a i barona Felstona. Szybko się odwrócił, licząc na to, że Royce go nie przyuważył.

– No, jazda – wymamrotał do Darcy’ego, jednocześnie prowadząc karą

klacz do stajni.

Kiedy byli już w środku, klacz spokojnie weszła do swojego boksu. Darcy jednak gwałtownie się odwrócił i zaczął stawiać opór.

– Odsuń się – syknął Neall, przymykając drzwi, tak że została jedynie szpara, przez którą mógłby wyjrzeć. – I siedź cicho. Nie chcemy, by Ahern miał kłopoty z baronem. Zwłaszcza teraz.

Darcy prychnął, ale przestał napierać.

Neall obserwował, jak jeźdźcy się zbliżają. Niektórzy wyglądali na strażników. Ich postawa wskazywała na to, że są wyszkolonymi wojownikami. Dwóch młodszych przywdziało czarne płaszcze. Ale to widok starszego mężczyzny jadącego u boku Felstona sprawił, że Nealla ścisnęło w żołądku. Mężczyzna miał pociągłą twarz, zaczątek łysiny i silne ciało, a czarno-szary strój nadawał jego aparycji surowości. Jednakże to nie sam strój odpowiadał za ten surowy wygląd. To jego twarz – i sposób, w jaki się poruszał. Nealla przeszył dreszcz.

*Uważaj na siebie, Ahernie. Kimkolwiek jest ten mężczyzna, uważaj na siebie.*

Adolfo omiótł wzrokiem farmę, zanim zsiadł z konia. To miejsce cuchnęło magią tak silną, że niemal zablokowało jego zdolność do wyczuwania mężczyzn, którzy zebrali się, by powitać grupę przyjezdnych. Wszyscy pracujący tu mężczyźni byli Fae – albo przynajmniej płynęła w nich krew Fae lub wiedźm. Nie pierwszy raz wyczuwał takie osoby – był wyszkolony w ich tropieniu. Takich zdolności szukał też w kandydatach na Inkwizytorów. Magię trzeba zwalczać magią, a ci, którzy zostali porzuceni, chętnie wyrównywali wyrządzone im krzywdy.

Ale przebywanie w miejscu, w którym tak wiele osób wykazywało magiczny potencjał, oznaczało, że starszy mężczyzna, który już na nich czekał, doskonale wiedział, kim są ci ludzie – i pozwolił im tu zostać. Co oznaczało, że prawdopodobnie sam jest taki jak oni, mało tego: jest najsilniejszym z nich. A to z kolei oznaczało, że trzeba się z nim obchodzić ostrożnie – póki nie będzie w stanie zająć się nim ostatecznie.

– Dzień dobry – powiedział Adolfo przyjaznym tonem. – Czy rozmawiam z Mistrzem Ahernem?

– Czego chcesz?

– Rozumiem, że hodujesz jedne z najlepszych koni w tej części Sylwalanu. Potrzebuję dobrych wierzchowców dla siebie i moich mężczyzn.

– Nie mam nic, co mógłbym wam zaoferować.

– Musisz zrozumieć – zacharczał baron Felston. – Mistrz Adolfo jest ważną osobistością.

– Jeśli to twój kompan, to doskonale rozumiem, jak ważny musi być. Pozwolę więc sobie przeformułować moją wypowiedź: nie mam nic dla takich jak wy.

– Chyba jednak nie rozumiesz, kim jestem. – Głos Adolfo nabrał przerażającej barwy. Choć Mistrza Inkwizycji kusilo, by powiedzieć mężczyźnie coś, co wzbudziłoby jego strach, wiedział, że lepiej poczekać na właściwy moment. A ten nadejdzie już wkrótce.

Ahern się uśmiechnął, a jego twarz nabrała zwierzęcych cech. Adolfo poczuł, jak lodowaty prąd przeszywa mu kręgosłup.

– Doskonale rozumiem, kim jesteś – powiedział Ahern.

– Kim mianowicie?

– Twarzą złą.

Adolfo zbladł.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Ahern postąpił krok do przodu i nachylił się w stronę przybysza.

– Jesteś mordercą. Rzeźnikiem. Niszczycielem wszystkiego, co dobre na tym świecie. Tak, doskonale rozumiem, kim jesteś.

Wyczuwając poruszenie wśród mężczyzn, którzy przybyli tu z nim, Adolfo zeszywniał.

– Pożałujesz swoich słów.

Ahern uśmiechnął się ponuro.

– Odejdź stąd, póki możesz.

Adolfo dosiadł konia, po czym zaczął zbierać swoją moc. Musi wykrzywić tu jakąś część magii, by stworzyć nocnych łupieżców. Niech ten drań sam się przekona, czy potrafi sobie poradzić...

– Wynoś się!

Konie zawróciły i pogalopowały przed siebie, nie dając się spowolnić, póki nie znalazły się z powrotem na głównej drodze. Adolfo miał parszywy humor, podobnie jak pozostali mężczyźni. Gdy konie wreszcie zwolniły, zebrał wodze.

– Co się stało? – spytał Felston. Dyszał tak, jakby to on galopował.

Co się stało? Krzyk Aherna mógł spłoszyć konie, ale nie powinien był uczynić ich nieposłusznymi na tak długo. Magia nie działała na zwierzęta,

chyba że...

– No przecież.

– Co? – wypalił Felston. – Znalazłeś jakieś wyjaśnienie faktu, że dobrze wyszkolone zwierzęta nagle postradały zmysły?

– To Pan Koni – powiedział Adolfo.

– O czym ty mówisz? Ten bezczelny gnój mieszka na tej farmie od lat, a dotąd nie słyzałem choćby plotki, by pochodził ze szlacheckiego rodu.

– Bo nie wywodzi się ze szlachty. To Fae. Pan Koni. To jedyne wyjaśnienie faktu, że jest w stanie kontrolować zwierzęta. Przez te wszystkie lata lord Fae mieszkał pod twoim nosem, udając człowieka.

– Fae? – Felston pobladł. – Ahern jest jednym z Fae?

– Tak – odparł z przekonaniem Adolfo. – Jestem pewien, że twój hodowca koni jest Fae.

– I co teraz zrobimy?

– Najpierw pojedziemy do Ridgeley, żeby wypić coś na wzmocnienie i zjeść lekki posiłek. Potem zajmiemy się wiedźmą, zanim lord Fae postanowi się wtrącić.

– Czy w tej sytuacji nie powinniśmy od razu pojechać do Brightwood?

Adolfo potrząsnął głową.

– Mamy czas. On jest Fae. Niezależnie od tego, czego się domyśla, nie zdaje sobie sprawy, że pośpiech jest aż tak wskazany.



Neall wychynął ze stodoły i dołączył do Aherna.

– Kim byli ci mężczyźni?

Ahern wpatrywał się w drogę na długo po tym, jak przybysze zniknęli za horyzontem. Wreszcie odparł:

– Myślę, że to były Czarne Płaszczce, przed którymi ostrzegała mnie Morag. Inkwizytorzy. Zabójcy wiedźm.

– Ari. – Neall obrócił się i spojrział w kierunku Brightwood.

Ahern przytaknął z ponurą miną.

– Tak. Ari.

Wziął głęboki oddech, po czym wypuścił powietrze z głośnym westchnięciem.

– Wkrótce przybędzie tu razem z końmi. A wtedy, młodzieńcze, będziemy

musieli rozważyć zmianę planów.



Ari wyjęła biszkopty z pieca. Lepiej byłoby upiec chleb, ale na to zabrakło czasu. Poza tym biszkopty łatwiej transportować. Będzie musiała zapytać Morag, czy istnieje jakiś praktyczny sposób przewożenia zapasów na końskim grzbiecie. Musi też pamiętać o bukłakach. Teraz jednak trzeba zaprowadzić słonecznego rumaka i kłacze na farmę Aherna.

Przemieszawszy po raz ostatni gotującą się na wolnym ogniu zupę, podeszła do kuchennych drzwi i oparła dłonie o framugę. Poczowała łaskotanie czarów ochronnych.

– Ci, którzy wcześniej mogli wejść i rozgościć się, mogą uczynić to znowu. Jak mówię, tak niechaj będzie.

Czary się zmieniły, uformowały w nowy wzór. Gdyby Morag wróciła tu przed nią, zakłęcia pozwoliłyby kobiecie Fae wejść do domu. W końcu po co zostawiałaby na piecu gotującą się zupę, gdyby Morag nie miała się nią posilić?

– Chodź, Merle – zawołała, wychodząc na zewnątrz i zamykając kuchenne drzwi.

Kiedy psiak do niej doskoczył, podniosła go i przytuliła.

– Mam nadzieję, że nie jesteś tak młody, by zapomnieć o mnie przez kilka tygodni. Bo tylko tyle potrwa nasza rozłąka. Później oboje będziemy mieć nowy dom. I będziesz mógł się bawić także z Neallem.

Odstawiła szczeniaka na ziemię i podeszła do słonecznego rumaka. Ostrożnie pogłaskała jego szyję.

– Pora ruszać.

Wierzchowiec zarył kopytem w ziemię.

– Chodź, no już. Idziemy. Ahern się tobą zaopiekuje.

Koń potrząsnął głową. Kiedy Ari skierowała się w stronę farmy, poszedł za nią. Ruszyły też kłacze – poza jedną, ranną. Została na łące, nieopodal miejsca, w którym wiedzmy z Brightwood tańczyły rok po roku.

Ari pozwoliła jej zostać. Kłacz powoli wracała do zdrowia i szkoda byłoby odciągać ją od magii Brightwood, gdzie miała szansę całkiem się wyleczyć.

– Powiem Ahernowi, że tu została – mruknęła Ari pod nosem. – Będzie jej doglądał.

Kiedy dotarła na szczyt wzgórza, spojrzała przez ramię na konie idące jej śladem.

– Zastanawiam się, czy właśnie tak czuje się matka kacząt, gdy wszystkie pisklaki podążają za nią.

Wizja kaczkę, za którą idą konie, uważające ptaka za swoją matkę, sprawiła, że Ari się uśmiechnęła. Dziś najlepiej było rozmyślać o sprawach niepoważnych. A może najlepiej było w ogóle nie myśleć.



Lucian obserwował, jak baldachim liści nad jego głową igra ze światłem słonecznym i cieniem. To niewielkie miejsce w ogrodzie zawsze było pełne spokoju, ale dziś nie znajdował w nim ukojenia. Wciąż rozmyślał o zwrotkach *Lamentu kochanka*, które Ari zaśpiewała podczas Letniego Przesilenia. Ta piosenka była czymś więcej niż głupią rozrywką – była okrucieństwem. Tak, okrucieństwem, ponieważ wypełniła głowę młodej kobiety mrzonkami i nierealnymi oczekiwaniami. Świat tak nie działa. Mężczyźni tak nie działają.

*To okrucieństwo?*, spytał jakiś głos wewnątrz niego. *Czy te oczekiwania naprawdę są nierealne?*

Lucian poczuł dyskomfort.

Uprzejmość? Kurtuazja? Cóż, to nie są znów takie nierozsądne oczekiwania. Zresztą względem Ari wcale od nich nie stronił. Ale szacunek? Była ledwie dziewczyną. Gdyby mężczyzna okazywał jej za dużo poważania, nigdy nie byłaby dość zmotywowana, by nad sobą pracować i stawać się bardziej interesującą. Bądź co bądź ile szacunku może oczekiwać kobieta, która potrafi się wypowiadać jedynie na tematy związane z tkactwem i ogrodnictwem?

Lojalność? Jeśli to było dla niej takie ważne, mógłby obiecać jej pewnego rodzaju lojalność. Na pewno mógłby jej przysiąc, że nie będzie szukał towarzystwa innej ludzkiej kobiety. To, co robił, odwiedzając inne klany – i co wciąż robiłby jako Światły – nie było jej sprawą. A że nie miałyby pojęcia o tym, co się dzieje w Tir Alainn, nie martwiłoby jej to.

Miłość? Słowa barda, by upiększyć prawdziwe relacje kobiety i mężczyzny. Namietność płonęła gorącym, jasnym płomieniem, ale nigdy przez długi czas. Tego typu afekt był lepszą emocją niż ta cała... miłość.

Ari może i rozpaczałaby przez krótką chwilę, uświadomiwszy sobie, że musi porzucić dziecianną wizję miłości, ale gdyby przeszła nad tym do porządku dziennego, zaczęłaby doceniać towarzystwo – i przyjemność – które jej oferował.

Lucian ruszył w stronę wyjścia z niewielkiego ogrodu.

Wkrótce będzie po wszystkim. Ari zostanie w Brightwood – zostanie z nim. A Neall... Lucian uśmiechnął się na myśl o Zbieraczce. Nealla już wtedy nie będzie.



Gdy tylko Neall spostrzegł słonecznego rumaka, wybiegł Ari na spotkanie.

– Nic ci nie jest? – spytał z niepokojem, biorąc ją w ramiona i mocno obejmując.

– Nic mi nie jest. – Ari pogładziła go po plecach. – Naprawdę.

– Kiedy tak długo się nie zjawiałaś, myśleliśmy... – Nie był w stanie dokończyć. Nie potrafił ubrać w słowa tego, czego się obawiał, ponieważ w jakiś sposób mógłby urzeczywistnić swoje lęki.

– Wcale nie tak długo. Musiałam poczekać na biszkopty.

Neall zeszywniał. Odchylił się i wbił w Ari wzrok pełen niedowierzania.

– Biszkopty?

– Pomyślałam, że będą bardziej praktyczne niż chleb i dłużej pozostaną świeże, tak że będziemy mogli...

– Piekłaś biszkopty?

Usta Ari zaczęły się zaciskać w tę upartą linię, którą tak dobrze znał. Ignorując to, chwycił ją za rękę i pociągnął.

– Zobaczymy, co Ahern na to powie.

– Neall!

Słoneczny rumak prychnął i ostrzegawczo tupnął nogą.

– Odsuń się – warknął na niego Neall. – Gdyby ona była jedną z twoich klaczy, ugryzłbyś ją za to.

Ahern wyszedł z domu i ruszył ku nim przez podwórze. Swoją ponurą miną poskromiłby nawet najbardziej upartą wiedźmę.

– Piekła biszkopty! – powiedział Neall, gdy tylko znalazł się na tyle blisko, że nie musiał krzyczeć. Mimo to jednak krzyczał, i to na tyle głośno, że kilku pracujących nieopodal mężczyzn obróciło się, by sprawdzić, co się dzieje.

– Neall! – Ari szarpnęła się i zaparła piętami.

Kiedy Neall się obrócił, słoneczny rumak uderzył w niego łbem na tyle mocno, że puścił nadgarstek Ari. Oboje wylądowali na ziemi, wpatrując się w siebie między nogami rozwścieczonego konia.

Gdy rozległo się ostrzegawcze prychnięcie, słoneczny rumak się wycofał. Neall obejrzał się przez ramię. Nie prychnął koń, ale ktoś, komu wszystkie konie były posłuszne.

– Ten rumak musi mieć w sobie domieszkę krwi karego konia – powiedział Ahern. – Nie da się ich zastraszyć.

Podszedł do Ari i wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać.

– Biskopcy to dobry pomysł. Z odrobiną sera i tego dżemu, który robisz, nadadzą się na jutrzejszy posiłek w połowie dnia.

– Pomyślałam dokładnie o tym samym – mruknęła Ari, otrzepując się.

– Ale chłopak martwił się o ciebie. I ma swoje powody. Czarne Płaszczce przybyły do Ridgeley.

Ari pobladła.

Neall też stanął na nogi. Na widok strachu w oczach Ari czuł ból, ale nie mógł powiedzieć nic, co poprawiłoby jej samopoczucie, jednocześnie nie umniejszając zagrożenia.

– Teraz zostaniesz tutaj – powiedział Ahern. Był spokojny, ale nieustępliwy. – Neall pojedzie do Brightwood po twoje rzeczy. Kiedy wróci, wyjedziecie. Konie są pełne sił, a zostanie wam dość światła dnia, by zdobyć przewagę nad Czarnymi Płaszczkami.

– Nie mogę jeszcze wyjechać – zaprotestowała Ari. Jej oczy wypełniły się łzami. – Nie mogę. Nie jestem gotowa. Nie pożegnałam się...

– Ari, nie mamy na to czasu – wypalił Neall.

Spojrzała na niego, a potem na Aherna. Rozłożyła ręce.

– Pobiegnę tam. To nie potrwa długo. Muszę to zrobić.

Neall miał ochotę krzyczeć. Ona nie widziała tych mężczyzn. Nie poczuła ich obecności. Jak mógł sprawić, by zrozumiała?

– Na cycki Matki, Ari...

– Nie waż się mówić o Matce w ten sposób!

– Z kim niby miałabyś się zegnać? Z Morag? Jeżeli tam będzie, pożegnam ją od ciebie. Jeśli nie, jeśli się miniemy, pewnie przyjdzie tutaj i Ahern to zrobi.

Ari spojrzała na Nealla z powagą, która pasowałaby do o wiele starszej



osoby.

– Tak, chciałabym się pożegnać z Morag – powiedziała cicho. – Ale to nie dlatego chcę wrócić. – Sięgnęła po jego dłoń. Ich palce splotły się mocno. – Muszę pożegnać Brightwood, Neall. Muszę pożegnać swoją ziemię. Jeżeli tego nie zrobię, już zawsze będę mieć poczucie, że nie zakończyłam tego etapu.

Neall zgarbił się, pokonany. Gdyby Ari zawsze miała wspominać ten czas z żalem, jaka przyszłość by ich czekała? Spojrzał na Aherna, licząc, że starszy mężczyzna będzie miał coś przeciwko, ale on, wpatrując się w odległe wzgórze, mruknął niechętnie:

– W porządku. Wracaj. Pożegnaj się. Ale zrób to szybko. A potem schowaj się w chacie i czekaj tam, aż Neall po ciebie przyjdzie. Czary ochronne wokół chaty obronią cię, ale nie pomogą ci, jeżeli będziesz przebywać poza murami domu.

Ari miała ochotę zaprotestować, ale pohamowała się. Podniosła Merle i podała go Neallowi.

– Lepiej zamknij go gdzieś, żeby nie ruszył za mną do... – Na chwilę zacisnęła wargi. – Do Brightwood.

Ostatni raz pogłaskała szczeniaka, a potem odwróciła się i pobiegła przed siebie.

– Chodź – powiedział Ahern. – Zamkniemy go w boksie z wałachem. Będzie mu tam dobrze.

Neall przytulił piszczącego psiaka, ale wciąż patrzył na mężczyznę.

– Będę za tobą tęsknił.

Ahern potrząsnął głową.

– Nie oglądaj się za siebie, młodzieńcze. Ruszaj do przodu i nie oglądaj się za siebie.

– Filozofia Fae sprawia, że bardzo łatwo nie poczuwać się do odpowiedzialności za cokolwiek.

Ahern długo się nie odzywał. Wreszcie odparł:

– Czasami to wymówka aroganckiego głupca. Ale czasem to po prostu mądry wybór.

## ROZDZIAŁ 31

Adolfo opróżnił kieliszek wina. Tawerna nie oferowała trunków tej jakości co piwniczka Felstona, ale wino było wystarczająco dobre.

– Wzmocniliśmy się przed trudnym zadaniem. – *I to na koszt barona.* – Teraz pojedziemy do Brightwood, złapiemy mieszkającą tam niegodziwą kreaturę i sprowadzimy ją do posiadłości barona na przesłuchanie.

– Przesłuchanie? – Felston rozejrzył się po gospodzie i ściszył głos: – Nie ma potrzeby jej przesłuchiwać. Masz już wczorajsze zeznania mojej córki, a także tej staruchy Gwynn.

– Mam je, owszem – zgodził się Adolfo, patrząc, jak Felston blednie. Tak, baron będzie bardzo hojny, gdy przyjdzie do rozliczania się. – Ale wiedźma musi się przyznać do swoich zbrodni. Musi się przyznać do wina. Musi mieć czas, by żałować krzywd wyrządzonych innym. Dlatego zostanie zaprowadzona do pokoju w twojej posiadłości, który moi Inkwizytorzy przygotują na takie przesłuchanie, i tam się przyzna.

*A potem umrze.*



Morag zatrzymała się na skraju łąki. Obserwowała klacz skubiącą trawę. Ari musiała zaprowadzić pozostałe konie na farmę Aherna. Spojrzała na zachód, zastanawiając się, czy powinna ruszyć na wzgórze, gdzie zawsze wieje wiatr, i powiedzieć Astrze, że Ari wyjeżdża.

Astra.

Coś jej dokuczało, próbowało zwrócić jej uwagę. Ale spotkanie z Morphią, a potem próba przekonania karego konia, by zebrał się na odwagę i ruszył lśniąca drogą, sprawiły, że odpychała tę myśl. Ale teraz...

Astra. Co takiego było w Astrze?

„Fae są dziećmi Matki. Ale to my jesteśmy córkami. My jesteśmy Filarami Świata”.

Aiden wspomniał coś o Filarach Świata.

„Odpowiedzi masz przed oczami, musisz tylko chcieć je odszukać”.

„Muszę go spytać, czy nie wzięłby dzienników do swojego domu. Nie chcę, żeby tutaj zostały. To spisana historia mojej rodziny. A tak naprawdę historia Brightwood”.

– Szybko.

Morag przycisnęła nogi do boków karego konia. Pogalopował przez łąkę, prosto w stronę kuchennych drzwi. Morag zsunęła się z końskiego grzbietu i rzuciła do otwartych drzwi.

– Ari?

Kiedy nie dostała odpowiedzi, zamknęła za sobą drzwi i pospieszyła do przebieralni przy sypialni Ari. W dniu, kiedy kary koń dla zabawy drażnił szczeniaka, ujrzała szklane drzwiczki biblioteczki, ale od tamtej pory nie myślała o nich.

Teraz je otworzyła i wyciągnęła pierwszy dziennik od prawej.

„Jestem Astra, teraz starucha tej rodziny. Ze smutkiem przeczytałam dzienniki tych, które żyły przede mną. Nosiliśmy na swoich barkach brzemię, a potem o nas zapomniano – albo potraktowano jak nędzarki, które powinny zebrać o resztki uczuć. Zostałyśmy tu, ponieważ kochałyśmy tę ziemię, zostałyśmy też z poczucia obowiązku. Ale obowiązek nie jest serdecznym towarzyszem i nie powinien być wystarczającym powodem, by trzymać nas na tej ziemi”.

Morag przeczytała jeszcze kilka akapitów, ale nie znalazła w nich nic, czego Astra już by jej nie powiedziała. Odłożyła dziennik i zdjęła z półki inny.

„Jesteśmy Filarami Świata. Fae nie pamiętają już, co to oznacza. Albo po prostu o to nie dbają i oczekują od nas, byśmy dalej robiły to, czym się zajmujemy od pokoleń. Wiem, dlaczego o nas zapomnieli. Jestem już stara, ale dobrze pamiętam mojego kochanka Fae, ojca mojej córki. Pamiętam jego urok – i pamiętam jego arogancję. *Fae*, mawiał, *nie mają sobie równych*. Może to i prawda. To tłumaczy też, dlaczego nie chcą pamiętać o tych, które były od nich potężniejsze – i wciąż na swój sposób są. Nie chcą pamiętać, że to córki władały magią potrzebną do stworzenia Tir Alainn, uformowania krainy po drugiej stronie ze snów, gałęzi Matki – i swojej woli. Jak mówimy, tak niechaj będzie. I tak było. Kraina Czarów. Nie potrafiam tego znieść, nie potrafiam tego przyznać. Gdyby to zrobili, musieliby porzucić swoją arogancję,

przekonanie o swojej wyższości i braku istot im równych. Nie chcą dostrzec tego, że słabną, że nie są już tacy, jacy byli kiedyś”.

Wstrząśnięta Morag wzięła kolejny dziennik.

Wiedźmy stworzyły Tir Alainn? To tłumaczyłoby, dlaczego nieobecność wiedźm w Starych Miejskach powodowała znikanie fragmentów Tir Alainn.

„My jesteśmy wiccanfae, mądre Fae. Jesteśmy córkami Matki, żywymi naczyniami na jej moc. Jesteśmy źródłami. Cała magia świata przepływa przez nas, wypływa z nas. Bez nas zginie”.

Morag przekartkowała kilka kolejnych stron, a potem sfrustrowana zamknęła dziennik. Ari wkrótce wróci; nie spodobałoby się jej, że ktoś samowolnie zaglądał do dzienników. Ale tu były odpowiedzi. Gdyby tylko Morag miała dość czasu, by znaleźć tę właściwą.

– Dlaczego jesteście źródłami? Dlaczego jesteście córkami? Dlaczego?

Wyjęła kolejną księgę, tak starą, że okładka zatrzęszczała pod jej palcami. Próbując zerknąć na strony bez rozwierania ich zbyt szeroko, zakłęła z frustracji. Charakter pisma był kanciasty, a atrament wyblakł, tak że słowa stały się ledwie czytelne.

Podeszła do okna, gdzie było najwidniej, i ostrożnie otworzyła dziennik na pierwszej stronie.

„Jestem Jillian z domu Gaian”.

Zamknęła oczy, policzyła do dziesięciu, otworzyła oczy.

Słowa się nie zmieniły.

„Jestem Jillian z domu Gaian”.

Dom Gaian. Klan, który zniknął dawno temu. Ci, którzy byli Fae – i kimś więcej niż Fae. Nie dziećmi Matki. Córkami Matki. Jej gałęziami. Żywymi naczyniami na jej moc.

– Na łaskę Matki... – wyszeptała Morag. Łzy wypełniły jej oczy. Zamknęła dziennik, zanim któraś z nich skapnęła i rozmazała tusz.

Dom Gaian nie był stracony. Został zapomniany, ponieważ to on był Filarami Świata, a pozostali Fae nie chcieli pamiętać, że to nie oni stworzyli Tir Alainn. Ocierając twarz rękawem, Morag ostrożnie odłożyła dziennik na półkę, a potem wybiegła z chaty.

– Musimy wracać do Tir Alainn. Musimy... – Jej głos się załamał, gdy wskoczyła na karego konia. – Musimy powiedzieć Światłemu i Łowczyni o córkach...

Kary koń zaparł się kopytami w wyrazie buntu.

– Musimy tam wrócić jeszcze tylko raz – dla dobra Ari.

Zawahał się, ale w końcu wyskoczył do przodu. Pozwoliła mu obrać tempo, pozwoliła mu gnać przez łąkę i las, wpaść na lśniącą drogę wiodącą do Tir Alainn. Musiała tam dotrzeć, zanim Dianna i Lucian zdążą zrobić coś głupiego. Musiała sprawić, by zrozumieli.

Albo ich powstrzymać, jeśli nie będzie miała innego wyboru.



– Lucianie! – Dianna spieszyła na spotkanie z bratem, który właśnie wynurzył się ze swojej samotni w ogrodzie.

Podniósł głowę. Przypominał jej teraz ogara cienia, który wyczuł ofiarę.

– Masz jakieś wieści od Morag? – zapytał.

– Mam. – Łatwiej było czuć złość teraz, gdy nie było obok niej Zbieraczki, której się bała. – Nie chce nam pomóc!

Lucian popatrzył na nią.

– Nie może odmówić. Jest Fae. Nawet Zbieraczka podlega Łowczyni i Światłemu.

– Nie według niej – odparła gorzko Dianna. – Nie tylko odmówiła mi pomocy. Groziła mi!

– Pożałuje tego – odparł łagodnie.

– Tak, pożałuje.

Dianna poczuła, że powoli się rozluźnia. Nawet Zbieraczka nie może się postawić obojgu przywódcom Fae. Nawet Zbieraczka się nie ośmieli.

– Co robimy z tym... Neallem? – zapytała.

– To, co powinniśmy zrobić od samego początku. Sami zajmijmy się tym problemem. – Lucian ruszył powoli w stronę stajni. – Idź po ogary cienia. Ja przyprowadzę twojego konia. Spotkajmy się przy stajniach i... – Nagle urwał i pociągnął Dianę za żywopłot.

– Co się dzieje? – spytała niecierpliwie.

– Morag. Jedzie w stronę domu klanu.

– Jest ostatnią osobą, którą mam ochotę teraz widzieć.

– Zgoda. – Gdy Lucian na nią spojrział, jego oczy błysnęły dziwnym podekscytowaniem. – Więc musimy jej unikać.

Rozłączyli się – Lucian przekradł się przez ogrody, wybierając okreśną drogę do stajni, a Dianna pobiegła do psiarni, w której trzymano jej ogary

cienia.

*Tak, zajmiemy się tym Neallem, a wtedy Ari już nie będzie miała wymówki, by opuszczać Brightwood.*



Ari stała w miejscu, w którym zakończyła spiralny taniec – i rozpoczęła taniec zupełnie innego rodzaju. Uniosła ramiona, oddychała głęboko i zaczęła czerpać siły z Brightwood. Ziemia pod jej stopami zrolowała się, zakręciła, obróciła i popchnęła ją, jakby próbowała zatrzymać w sobie coś okropnego, co walczyło, by się uwolnić.

Zatoczyła się, więc opuściła ręce, by utrzymać równowagę. Ogłuszona, wpatrywała się w ziemię, która wyglądała tak samo jak wcześniej, ale wydawała się inna, dziwna.

*Ziemia mnie nie chce, nie chce mnie już znać. Czy magia przepływająca przez Brightwood potrafi w jakiś sposób wyczuć, że wyjeżdżam? Czy to dlatego nie mogę jej skumulować, nie mogę powstrzymać jej od rozpraszania się, uciekania? Łaskocze mnie pod stopami w taki sam sposób jak wtedy, gdy zbliża się potężna burza. Ale niebo jest czyste.*

Drżała, choć był ciepły dzień. Nagle poczuła się nieswojo, stojąc tak na łące, pobiegła więc do chaty. Gdy tylko weszła do kuchni i zamknęła za sobą dolną połowę drzwi, strach, który sprawił, że biegła jak jelen uciekający przed ogarami, zniknął.

Przyjrzała się łące. Wyglądała wciąż tak samo, ale coś się wydarzyło. Ranna klacz także to poczuła; stała spięta, w gotowości.

Może ziemia nie odrzuciła jej. Może, jak w przypadku Nealla i Aherna, pchnęła ją w stronę miejsca, gdzie była najlepiej chroniona.

Ari się uśmiechnęła.

*Wielka Matko, zostawiam to miejsce tym, które przyjdą po mnie. Niechaj ziemia, do której jadę, będzie równie hojna dla tych, którzy się nią opiekują – i pozostają pod jej opieką.*

Musi jak najlepiej wykorzystać pozostały jej czas. Neall wkrótce tu będzie, a ona wciąż miała do załatwienia kilka spraw.

Zamknęła górną połowę drzwi. Zdjęła zupę z pieca i umieściła ją na metalowym trójnogu na blacie. Następnie zgasiła ogień pod piecem. Jeśli Morag wróci niebawem, zupa wciąż będzie dość ciepła, by mogła ją zjeść.

Jeśli nie, to z łatwością rozpali ogień na nowo.

Spojrzała na biszkopty i zmarszczyła brwi. Potrzebowała jakiejś sakwy. Przypomniała sobie o niewielkim plecaku i zaczęła przetrząsać kredens, aż wreszcie go znalazła. Owinęła biszkopty w ręcznik, zostawiając dwa dla Morag, w kolejny ręcznik owinęła ser, a w jeszcze następny – słoik dżemu jagodowego. Napełniła wodą dwa bukłaki i przytroczyła je do plecaka.

– Juki – wymamrotała, spiesząc do sypialni.

Kiedy wróciła do kuchni, usłyszała krzyk klaczy. Odłożyła juki na stół i otworzyła górną część drzwi.



Klacz leżała na łące. Próbowwała wstać, ale coś było nie tak z jej nogami, nie mogła się podnieść. Krzyczała, walczyła, znów krzyczała.

Ari szybko odblokowała dolną połowę drzwi. Powietrze przed nią się zagęściło – tak reagowały zakłęcia ochronne, kiedy w pobliżu znajdował się ktoś, kto nie powinien wejść do środka. Wyglądając to na jedną, to na drugą stronę, próbowała zlokalizować zagrożenie.

Nic.

Ale klacz wciąż krzyczała i... Czy z jednej z jej przednich nóg wyciekała ropa?

Musiała coś zrobić. Musiała. Powinna pobiec do klaczy i sprawdzić, co jest nie tak. Nie mogła po prostu tu stać i patrzeć, jak zwierzę cierpi. To zajmie tylko minutę. Tylko tyle trzeba, by dobiec do klaczy.

Wzięła głęboki oddech – i pobiegła.

Zatrzymała się ze ślizgiem kilka stóp od klaczy. To nie była ropa. To kość przebiła skórę. Coś połamało jej nogi. I to tak szybko, że zwierzę nie miało czasu, by spróbować uciec.

– Na łaskę Matki... – wyszeptała Ari.

Zawróciła, by pobiec z powrotem do chaty – i wtedy dostrzegła mężczyzn wychodzących zza domu, a także kolejnych wyskakujących zza niskiego muru ogrodowego, za którym musieli się skryć. Ujrzała dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach. Ujrzała też wysokiego mężczyznę o pociągłej twarzy, który teraz stał między nią a otwartymi kuchennymi drzwiami.

Las! Mogła pobiec do lasu. Może udałoby się jej schronić przed nimi. Znała każdą ścieżkę w Brightwood. Gdyby tylko dobiegła do lasu...

*Neall.*

Jeśli ucieknie, a oni nie ruszą za nią, co się stanie, gdy przyjdzie tu Neall?

Wystarczyła ta chwila wahania, by ktoś uderzył ją od tyłu i przygwoździł do ziemi.

– Ostrzegałem cię, byś nie zadzierała spódnicy dla żadnego innego mężczyzny – syknął Royce. – Teraz za to zapłacisz.

Walczyła, wiła się, wykręcała, kopała, drapała. Wbiła paznokcie w jego policzek, połała się krew.

Uderzył ją na tyle mocno, by ją ogłuszyć, a potem bił dalej, póki ktoś go od niej nie odciągnął.

Nie mogła myśleć, nie mogła się skoncentrować, nie mogła zmusić nóg do posłuszeństwa i uciec. Lina oplótła jej nadgarstki. Do ust wciśnięto jej kawałek metalu, który unieruchomił jej język. Więcej metalu otoczyło jej głowę, dociskając miejsca, w które uderzył ją Royce, przez co czuła bolesne pulsowanie. Czyjeś ręce chwyciły ją za ramiona i postawiły na nogi. Otumaniona i przestraszona, została doprowadzona przed oblicze wysokiego mężczyzny, który już na nią czekał.

– Jestem Adolfo – powiedział łagodnym tonem. – Mistrz Inkwizycji, Młot na czarownice. Pójdiesz ze mną, a otrzymasz szansę, by wyzwolić swą udręczoną duszę i przyznać się do zbrodni, które wyrządziłaś dobrym mieszkańcom Ridgeley.

*Ale ja nic nie zrobiłam!*

Nie mogła jednak mówić, nie mogła uformować słów zablokowanym językiem. Gdyby tylko pozwolili jej się odezwać, wytłumaczyłaby im, że właśnie stąd wyjeżdża.

Wtedy spojrzała w oczy wysokiego mężczyzny i zobaczyła, że on wcale się nie troszczy o ludzi z Ridgeley. Dbał tylko o to, by być Młotem na czarownice.

I pozwoli jej opuścić Brightwood tylko w jeden sposób.



– Spakuj to do swoich juków. – Ahern wręczył Neallowi niewielką torbę. Kiedy jej zawartość zadrżała, Neall usłyszał brzęk monet.

– Ahernie...

– Nie kłóć się. – Twarz mężczyzny przecinały uparte linie, które skłoniły



Nealla do zastanawiania się, czy to po nim Ari odziedziczyła charakter. – Będziesz potrzebował środków do życia podczas podróży, a także czegoś na początek, gdy już dotrzesz do swojej ziemi. Ja nie będę głodował z braku kilku monet, jeśli to cię martwi.

Neall wcisnął mieszek do juków i zajął się zawiązywaniem klap.

– Dziękuję.

– Opiekuj się dobrze tą dziewczyną. To jedyne podziękowanie, jakiego potrzebuję.

Neall kiwnął głową. Wiedział, że starszy mężczyzna nie życzyłby sobie ckliwych pożegnań, więc tylko wyciągnął dłoń.

– Niech Matka pobłogosławi wszystkie twoje dni, Ahernie.

Ahern chwycił dłoń Nealla, ale szybko się odsunął.

– Jedź już. Szkoda tracić światło dnia.

Neall dosiadł Darcy'ego, a potem przyglądał się, jak Ahern sprawdza popręg przy siodle karej klaczy. Poczulby się lepiej, gdyby mógł sam chwycić jej wodze i prowadzić ją obok siebie, ale Ahern powiedział, że klacz za nimi pójdzie, a on nie miał wątpliwości, że tak będzie.

Uniósł dłoń na pożegnanie i docisnął nogi do boków Darcy'ego. Wałach nie potrzebował kolejnej zachęty, by ruszyć galopem w stronę Brightwood. Klacz biegła obok nich, odrzucając głowę w geście irytacji. Zastanawiał się, czy to dlatego że jedzie z nimi, czy też dlatego że wałach ma jeźdźca, a ona nie.

*Wkrótce zyskasz swojego jeźdźca*, pomyślał, kiedy minęli wzniesienie, zza którego wyłoniła się chata. Wyglądała na opuszczoną. Tak jakby Ari już nie było.

Kiedy objechał chatę, by dotrzeć do kuchennych drzwi, oba konie nagle się zatrzymały i położyły uszy po sobie.

Neall popatrzył na klacz leżącą nieruchomo na łące. Potem rzucił okiem na otwarte drzwi kuchenne, wyskoczył z siodła i wbiegł do środka.

– Ari! – Nie musiał jej szukać. Potrafił wyczuć, że jej tu nie ma.

– Zabrały ją Czarne Płaszczce – rozległ się burkliwy głos.

Neall obrócił się w stronę otwartych drzwi i ujrzał stojącego tuż za progiem małego mężczyznę. Nie był w stanie się odezwać. Tylko jedna myśl wypełniała jego głowę: *Zabrali Ari. Zabójcy wiedźm zabrali Ari.*

– Mały Lud nie mógł nic zrobić – powiedział mały mężczyzna. – Było ich zbyt wielu. A Czarne Płaszczce... – Jego twarz wykrzywiły strach i odraza. –

Władają jakimś rodzajem magii, ale nie jest ona czysta, nie pochodzi od Matki. Lepiej więc strzeż się, paniczu, kiedy pójdziesz po swoją wiedźmę, by uratować ją od tych... potworów.

– Pójdę po nią?

– Pojechali w stronę posiadłości barona.

Serce Nealla znów zaczęło bić. Wcześniej nie był świadomy tego, że przestało.

– Czy ona... Czy ona żyje?

Mały mężczyzna przytaknął ponuro.

– Idź po swoją wiedźmę, paniczu. Uratuj ją i zabierz daleko stąd, tam gdzie nie znajdą jej Czarne Płaszcz.

Kiedy Neall postąpił krok do przodu, mały mężczyzna się przesunął. W innym przypadku obserwowanie tego, jak przedstawiciel Małego Ludu próbuje zablokować przejście, mogłoby być nawet zabawne.

– Lepiej zabierz to, czego mogłaby potrzebować wiedźma. – Mały mężczyzna wskazał na pakunki na stole. – Raczej nie będziecie mieć czasu, by po nie wrócić.

Neall rozejrzył się zdesperowany. Nie chciał tracić czasu na cokolwiek. Ale zobaczył juki i długi płaszcz na stole w głównej izbie, a także niewielki plecak z przytroczonymi doń bukłakami na kuchennym blacie. Jeżeli... Nie, kiedy wyrwie Ari z rąk Inkwizytorów, będzie potrzebowała tych rzeczy. Zebrał je i rzucił się biegiem w kierunku koni.

Klacz się wierciła i prychała, ale stanęła spokojnie, gdy zaczął przytraczać do niej juki; zrolowany płaszcz umieścił z tyłu siodła, a potem przywiązał niewielki plecak do jednej z obręczy z przodu. Ahern musiał wybrać to konkretne siodło właśnie z myślą o dłuższej podróży.

Mały mężczyzna obserwował go z aprobatą.

– Klacz pochodzi od pana koni?

– Tak – odparł Neall, pospiesznie sprawdzając wszystko po raz ostatni. Nagle uświadomił sobie, co właśnie rzekł mały mężczyzna. – Wiedzieliście, kim on jest?

– Tak. Tak jak wiedzieliśmy, kim ty jesteś, paniczu. Tak jak wiedzieliśmy, kim są córki. Ale nie powinno się mówić o niektórych rzeczach.

Neall potrząsnął głową. Nie było czasu na dyskusje.

– Pięcioro z nas było w pobliżu, kiedy poczuliśmy, jak coś złego spływa na tę ziemię. – Mały mężczyzna wskazał na swoich czterech kompanów, którzy

wychynęli z obory. – Jeśli weźmiesz dwóch z nas, pozostałych trzech może ponieść klacz. Zrobimy co w naszej mocy, by pomóc.

– Przyjmę każdą pomoc.

Po usadzeniu trzech mężczyzn w siodle klaczy i czwartego w siodle Darcy'ego Neall sam wskoczył na wałacha, po czym podniósł ostatniego z nich i usadził za sobą.

Kiedy galopowali w stronę posiadłości barona, bał się każdej mijającej minuty. Ale wierzył, że nic złego nie mogło spotkać Ari w tak krótkim czasie.

Na pewno nie.

Kiedy Morag wpadła do pokoju, w którym ostatnio spotkała się z Dianną, Łowczyni w nim nie było. Ale byli Aiden, Lyrra i Morphia.

Pospieszyła w ich stronę, potykając się w pośpiechu. Aiden chwycił ją za ramiona, by ją podtrzymać, a Morphia i Lyrra podbiegły do jej boków.

– Co się stało? – spytała Morphia.

– Gdzie... Łowczyni? Światły?

Tama wewnątrz niej pękła podczas drogi powrotnej do Tir Alainn. Teraz zbyt wiele uczuć walczyło o jej uwagę. Pałaca potrzeba mówienia sprawiła, że przez kilka sekund nie była w stanie wykrztusić słowa.

– Co się stało, Morag? – spytał Aiden łagodnie. – Co się wydarzyło?

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich namiętność, której nie przytłumiło życie w Tir Alainn, ponieważ on również często przebywał w świecie ludzi. Tego wymagał od niego jego dar. Jeśli ktokolwiek mógł zrozumieć – i sprawić, by zrozumieli też inni – to był to właśnie on.

– Wiedzmy. Wiccanfae.

– Wiccanfae to stare określenie wiedźm – powiedział Aiden.

Morag potrząsnęła głową.

– One są wiccanfae. Mądrymi Fae. Córkami. Zapomnieliśmy o nich.

– Morag...

Zapalczywie wyrzucała z siebie kolejne słowa:

– One są córkami Matki. Nie są stracone. Nigdy nie były. To my postanowiliśmy o nich zapomnieć. My to zrobiliśmy.

– Morag.

– One są Filarami Świata. One stworzyły Tir Alainn. To dlatego części krainy znikają, kiedy one odchodzą ze Starych Miejsc. „Jak mówimy, tak niechaj będzie”.

– Jakim cudem wiedźmy mogły stworzyć Tir Alainn? – W łagodnym głosie Aiden pojawiła się gniewna nuta.

Morag spojrzała w jego błękitne oczy, które teraz wydawały się dziwnie ciemne na bladej twarzy. Bolesna świadomość zaczynała wypełniać to spojrzenie, gdy Aiden składał kolejne fragmenty wiedzy w całość. Dostrzeżenie bólu – tak podobnego do jej własnych odczuć – napełniło ją siłą. Już nie była sama. Przynajmniej w tej kwestii nie była sama.

– Wiedźmy... są domem Gaian.

Poczuła, jak jej słowa rezonują w nim, jak jego ciało tężeje od emocjonalnego ciosu. Lyrra wydała z siebie piskliwy dźwięk, po czym przycisnęła dłoń do ust i odwróciła się. Morphia przez chwilę opierała się o nią, po czym również się odwróciła.

Tylko Aiden patrzył na Morag, wciąż trzymając ją za ramiona.

– Domem Gaian? – wyszeptał.

– Tak. Zabójcy wiedźm wkrótce przybędą do Brightwood. Jeśli będziemy się tylko przyglądać, jeśli nic nie zrobimy, będziemy mogli wyłącznie siebie obwiniać za utratę Tir Alainn.

Odsunęła się. Coś zaczęło ją przepęłniać, przepływać przez nią. Nigdy nie wchodziła na pole bitwy, ale instynktownie wiedziała, że to właśnie czuły Zbieraczki, gdy jeździły wśród krzyczących, walczących mężczyzn, oszczędzając część z nich i zabierając innych. Kiedy Zbieraczka jechała w tym kierunku, nie zawsze była pełna łaski – i nie zawsze była miła.

– Wracam do Brightwood. Zabójcy wiedźm nie mogą zabrać Ari.

– Pojedziemy z tobą – zdecydowała Lyrra.

Morag potrząsnęła głową.

– Nie. Ty i Aiden musicie znaleźć Łowczynię i Światłego. Powiedzcie im wszystko, co wiecie. Zgromadźcie też wszystkich Fae, którzy mają odwagę stanąć do walki.

– Ja pójdę z tobą – powiedziała Morphia.

– Tam...

– Nie kłóć się, Morag. Nie wiem, czy zdołam pomóc, ale idę z tobą.

Lyrra spojrzała na siostry.

– Jeśli zabójcy wiedźm faktycznie przybędą do Brightwood, niewiele będziecie mogły zrobić, by ich powstrzymać.

Moc rozbrzmiała cicho w Morag, sprawiając, że kobieta się uśmiechnęła.

– Coś będziemy mogły. Dysponuję bronią, której nawet zabójcy wiedźm

nie mogą odeprzeć. Mam Śmierć.



Ari nie mogła powstrzymać drżenia. Było ono spowodowane nie tylko przebywaniem w małej, zimnej, ciemnej piwniczce barona Felstona – głównym źródłem targającego nią strachu był wysoki mężczyzna, który ją obserwował.

– Dlaczego wasz rodzaj jest taki wytrzymały? – zapytał ze smutkiem. – Dlaczego nie możesz się przyznać do swoich zbrodni? Wiem, nie popełniłaś żadnych zbrodni. Wszystkie tak mówicie. A jednak... – Podniósł arkusz papieru z długiego stołu, który zajmował większą część pomieszczenia. Przytrzymał go przed jej twarzą. – Jak na kogoś, kto twierdzi, że jest niewinny, to całkiem okazała lista oskarżeń.

Bolała ją głowa, a gdy spróbowała się skoncentrować na słowach oświetlonych słabym światłem pojedynczej lampki oliwnej, rozboleła ją też brzuch.

Pani Brigston twierdziła, że została otumaniona zaklęciem, by zapłacić kilka złotych monet za gobelin, który Ari jej dostarczyła, a potem magicznie odebrała.

Babcia Gwynn twierdziła, że Ari skaziła dobry napar, który Babcia sprzedała giermkowi Kentonowi, by uleczyć jego chorą żonę, przez co kobieta zaniemogła jeszcze bardziej.

Odella twierdziła, że Ari podstępem skłoniła ją do przyjęcia specjału, który później zmuszona była podarować mężczyźnie, by uniknąć złowrogich konsekwencji wynikających z odrzucenia magii miłosnej.

Kiepskie plony, brak zwierzyny, wyschnięta studnia. O wszystko, co kiedykolwiek trapiło Ridgeley, obwiniono ją.

*Nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy!*

Mistrz Inkwizycji westchnął, jak gdyby powiedziała to na głos, a potem odłożył dokument na stół. Schylił się i delikatnie przyłożył dłoń do policzka Ari.

– Nie masz wyjścia. Musisz się przyznać. Musisz wyznać krzywdy wyrządzone dobrym ludziom z Ridgeley. Nie zmuszaj mnie, bym cię skrzywdził. Nie zmuszaj mnie, bym zadał ci ból. Zranię cię, jeśli to jedyny sposób, ale mam nadzieję, że nie będzie to konieczne, byś postąpiła

właściwie.

Wyprostował się, podszedł do stojącej pod ścianą skrzyni i wyjął z niej coś. Położył przedmiot na stole, tuż obok dokumentu wymieniającego przewinienia Ari. Metalowe urządzenie przypominało ogłowie, które pasowałoby na ludzką głowę – z tym że w jego wnętrzu znajdowały się trzy szpikulce, które przebiłyby język i policzki, gdyby je komuś założyć.

Adolfo musnął palcami szpikulce.

– Dam ci trochę czasu. Zdecyduj, czy wolisz, bym załatwił to szybko i bezboleśnie, czy może chcesz mnie zmusić, bym stał się źródłem twoich cierpień.

Przykręcił płomień lampki, tak że w jej świetle ledwie można było dostrzec cokolwiek, i wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi.

Ari popatrzyła na wędzidło sekutnicy – i zadrżała.



Adolfo wchodził po schodach, zadowolony, że choć na chwilę porzuca wilgotną piwnicę. Wolałby mieć więcej czasu na zajęcie się nią. Przy odpowiedniej pomocy młodsze wiedźmy stają się bardzo uległe, a ich wyznania zawsze są dramatyczne i łzawe. Chciałby też mieć więcej czasu, by wypytać ją o Fae i ich wzmożone zainteresowanie tym Starym Miejscem.

Ale to właśnie Fae i ich zainteresowanie sprawiały, że konieczne było jak najszybsze zdobycie zeznań tej wiedźmy i pozbycie się jej. Ale jeśli dywersyjne działania Royce'a okażą się skuteczne, Fae nie będą mieli powodu, by szukać dziewczyny.

Wciąż jednak trzeba było pamiętać o lordzie Fae z końskiej farmy. On mógł wpaść na to, by szukać jej poza granicami Starego Miejsca.

Adolfo westchnął. Nie, nie mógł poświęcić dość czasu, by zmiękczyć dziewczynę i zmusić ją do pokory właściwej niewiaście. Ale zdąży nauczyć dwóch młodszych Inkwizytorów, jak powinni wykorzystywać swoje zdolności.

Dianna objechała martwą klacz szerokim łukiem. Ogary cienia powąchały truchło, po czym odsunęły się, mrużąc cicho.

Lucian – w swojej drugiej formie – położył uszy po sobie i pogalopował do chaty. Dianna ruszyła za nim. Gdy zobaczyła otwarte kuchenne drzwi, serce zaczęło łomotać jej w piersi.

Lucian dotarł do chaty, przybrał ludzką postać i wszedł do środka, nim Dianna wraz z ogarami przecięła łąkę. Kiedy ona wchodziła do kuchni, on już wychodził z sypialni.

– Nie ma jej. – Jego głos wypełniały furia i zgorzknienie. – Wymknęła się już z tym gamoniem.

Dianna spojrzała na gar zupy na blacie i stojące obok biszkopty. Ostrożnie dotknęła naczyń. Wciąż było ciepłe. A biszkopty świeże.

– Nie sądzę, by z nim uciekła – powiedziała miękko. Pamiętała, co Morag mówiła o Czarnych Płaszczach, i przeszedł ją dreszcz.

– O czym ty mówisz? – warknął Lucian. – W każdym pokoju widać ślady pakowania dobytku.

Dianna podeszła do drzwi kuchennych i znów spojrzała na martwą klaczkę. Potem obróciła się w stronę brata.

– Och, miała zamiar wyjechać wraz z nim, ale nie wydaje mi się, by to dlatego jej tu nie było.

Kiedy zaczął się spierać, jej temperament wziął górę.

– Gdyby wyjeżdżała na dobre, nie zostawiłaby tu jedzenia, by się zepsuło.

– Ktoś inny mógłby się tym zająć. – Lucian chodził po głównej izbie. Zatrzymał się nagle, w tym samym momencie, gdy Dianna spytała:

– Kto?

Spojrzeni po sobie.

Dianna oblizwała wargi, które nagle stały się boleśnie suche.

– Może wybrała się do Aherna, by spytać, co zrobić z klaczką.

– Może... – Lucian się zawahał. – Poczekamy tu chwilę. Jeśli wkrótce nie wróci, wybiorę się do Aherna i dowiem się, czy ją widział.

Dianna poczuła ulgę. Cokolwiek się stało tej klaczki, nie wyglądało to dobrze, ale nie miało nic wspólnego z Ari.

– Skoro i tak czekamy, równie dobrze możemy zjeść trochę tej zupy – zaproponowała. – Szkoda, żeby się zmarnowała.

Gdy rozlewała zupę do misek, nagle zaczęła się zastanawiać, czemu Morag wracała do Tir Alainn w takim pośpiechu.



– Czy klaczka była martwa, gdy wyjeżdżałaś? – spytała Morphia.

– Nie – odparła Morag. Skrywając się w cieniach lasu, przyglądała się

łące – i drżała. *Nadchodzi burza.*

Nie było jej tu niecałą godzinę. Nie było jej tu o wiele za długo.

*Nie powinnam była jej zostawiać. Gdybym pomyślała, nie zostawiłabym jej.*

– Oczywiście, że Łowczyni już tu jest. – Morphia wskazała podbródkiem ogary cienia, które zebrały się przy kuchennych drzwiach. – Być może Światły też z nią przybył. Przynajmniej mogą nam pomóc.

Serce Morag zamarło. Tylko tak mogła wyjaśnić to dziwne uczucie, kiedy jej umysł postrzegał wszystko z bolesną jasnością, ale ciało nic nie czuło.

– Nie – powiedziała. – Nie pomogą nam.

– To nie dlatego wróciłaś do Tir Alainn?

Morag z wolna pokręciła głową.

– Wróciłam, żeby powiedzieć im o wiedźmach, aby zrozumieli, że Ari nie jest kimś, kim Fae mogą manipulować dla przyjemności. Oraz żeby im powiedzieć, dlaczego ochranianie wiedźm jest takie ważne.

– Tym bardziej powinniście chcieć nam pomóc.

– Och, tak, pomogliby nam, by chronić Ari. Ale chcieliby przy tym wyeliminować Nealla, ponieważ ona planuje za niego wyjść i wyjechać z Brightwood. Poprosimy więc o pomoc kogoś, kto będzie chciał chronić ich oboje. Pojedziemy do Aherna.



Coś zadrżało w powietrzu. Adolfo odstawił na stół kieliszek z winem, podszedł do okna i odsunął zasłony. Wszystko wyglądało tak samo jak wcześniej, ale coś się zmieniło.

Może to nic takiego. Mimo że wiedźma jest zamknięta w piwnicy, całe to miejsce cuchnie magią. Wszystko wróci do normy dopiero po jej śmierci.

Cofnął się, by wrócić po swój kieliszek, ale nagle się zatrzymał.

Faktycznie wyczuwał magię, jednak było jej za dużo, by pochodziła wyłącznie od niej.

Otworzył drzwi do gabinetu. Stojący przy nich strażnik natychmiast się wyprostował.

– Każ osiodłać konie – powiedział Adolfo. – Potem czekaj na kolejne rozkazy.

Zamknął drzwi, sięgnął po kieliszek i wychylił do dna. Jego dłoń drżała.



Nie doświadczał tego od dawna, od bardzo dawna. Zawsze bał się wiedźm, nigdy nie czuł się spokojnie tak długo, jak długo one – i ich magia – nie zostały zduszone. Ten strach był spuścizną jego matki. Trzymanie wiedźm przy życiu, póki nie przyznają się do winy, to sprawdzian dla jego własnych sił.

Ta była ledwie dziewczyną – a mimo to jego dłonie drżały. To wszystko przez Fae. Wcześniej był w stanie ich unikać. Przychodzili i odchodzili, nie zwracali większej uwagi na nic w świecie ludzi, co wykraczało poza ich bieżące przyjemności, a on nigdy nie musiał się martwić o to, że staną się jego przeciwnikami. Ale tym razem musiał brać pod uwagę Zbieraczkę. Była już świadoma obecności Inkwizytorów, najwyraźniej interesowała się też wiedźmami żyjącymi na tych terenach. Jej nie mógł zignorować. Podobnie jak lorda Fae, który przez długie lata ukrywał swoją prawdziwą naturę przed mieszkańcami wioski.

Nie miał czasu, by wyczuć tę wiedźmę i wy badać, które gałęzie Matki są jej mocnymi stronami. Zresztą to bez różnicy. Zabiorą ją w jakiś daleki kąt posiadłości, tak aby nie przeszkadzać mieszkającym tu damom. A potem powieszą ją na drzewie i otworzą jej brzuch. Okrutna, ale skuteczna metoda.

– Nie pozwolę, by przeżyła choć jedna wiedźma – wyszeptał. Upewni się, że i tej nic ani nikt nie ocali.

Wyszedł z pokoju i wydał rozkazy.



Kary koń zatrzymał się ze ślizgiem, jego kopyta zaryły w ziemię kilka cali od butów Aherna.

– Gdzie jest Ari?! – krzyknęła Morag.

Mężczyzna splótł ramiona i uniósł podbródek.

– Wyjechała. Ona i Neall. Czarne Płaszczce przybyły dzisiaj. Kiedy zjawiała się tu nieco później, by przyprowadzić twoje konie, kazałem jej i chłopakowi uciekać.

– Neall udał się razem z nią?

Ahern potrząsnął głową i skrzywił się.

– Pobiegnęła do Brightwood, żeby się pożegnać. Chłopak ruszył za nią, jak tylko osiodłał konie. Wyjechał może kwadrans, góra pół godziny później.

Morag zamknęła oczy.

– Nie dotarł na czas. Czarne Płaszczce musiały ją pojmać. Jeśli Neall nie będzie na siebie uważał, pochwyca i jego.

– Jak możesz być tego pewna?

Morag otworzyła oczy.

– Śmierć szepcze. Śmierć nadchodzi.

Ahern opuścił ramiona i gniewnie zacisnął pięści.

– Zabrali ją do posiadłości barona Felstona. To jedyne miejsce, do którego mogły się udać Czarne Płaszczce, by zrobić... to, o czym opowiadałaś.

– Jak tam dojechać?

– Zaprowadzę cię. – Ahern obrócił się, by wezwać jednego z mężczyzn pracujących w pobliżu. – Glenn, pamiętasz, co ci dziś powiedziałem? Pamiętasz wszystko?

Począł, aż mężczyzna przytaknie.

– Niezależnie od tego, co się dziś wydarzy, masz zrobić to, co kazałem.

– Tak jest, sir.

Kilka chwil później Morag i Morphia galopowały za szarym ogierem przez pola – w stronę posiadłości barona Felstona.

Neall podjechał na tyle blisko posiadłości, by mieć w zasięgu wzroku dom i stajnie. Dlaczego aż tyle koni było osiodłanych?

– Najlepiej wysadź nas tutaj – powiedział mały mężczyzna. – Sami zakradniemy się do domu. – Przerwał na chwilę, a potem zapytał: – Wiesz, gdzie mogliby trzymać wiedźmę?

– W niewielkiej piwnicy – odparł Neall. – To zimne, ciemne pomieszczenie. – Dobrze je znał. Gdy był dzieckiem, spędził tam wiele czasu, zwykle w ramach kary za przewiny Royce'a.

Mały mężczyzna przytaknął.

– Daj nam kilka minut, a potem podjedź bliżej.

– Nie jestem tu mile widziany.

Mały mężczyzna wydał z siebie dziwny dźwięk, po czym wskazał na karą klacz.

– Przywiozłeś podarek, prawda? Nigdy nie widziałem człowieka, który odrzuciłby prezent. – Obrócił głowę i przyjrzał się pobliskim krzakom. Potem się uśmiechnął. – Niech Matka czuwa nad tobą, paniczu.

Po tym, jak Neall pomógł Małemu Ludowi zsiąść z koni, jeden z małych mężczyzn przyjrzał się mu i powiedział:

– Fae żyli poza tym światem zbyt długi czas i wiele zapomnieli. Masz

w sobie tyle samo mocy co oni. Jedyna różnica jest taka, że ty masz tylko jedną twarz, tę szczerą i prawdziwą. Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem będziesz się zadawał z Pięknym Ludem... młody Panie Lasów.

Mały mężczyzna obrócił się i ruszył w stronę domu; towarzysze poszli w jego ślady.

Dosiadając Darcy'ego, Neall ujrzał, jak wśród krzewów migocze coś rudego.

Lis przebiegł przez pole. Zatrzymał się, gdy dotarł do małych mężczyzn, a potem ruszył w kierunku bud, gdzie baron Felston trzymał swoje ogary.

– Cóż – Neall ściągnął wodze Darcy'ego – kiedy te ogary zwęszą lisa, powinny wywołać na tyle dużo hałasu, by kilku mężczyzn opuściło podwórze.

Przyjrzał się polu, nie dostrzegł jednak śladów obecności Małego Ludu. Policzył do tysiąca i zacisnął zęby, aż poczuł ból w szczęce. Potem dał Darcy'emu sygnał, by ruszył do przodu, pilnując, żeby koń podązał stępem, tak jakby nigdzie mu się nie spieszyło.



Ari wpatrywała się w ogłowie z kolcami. Drżała. Wędzidło, które teraz zaciskało się na jej głowie, wywoływało dostatecznie dotkliwy ból. Mogła sobie wyobrazić, jak to jest mieć na głowie coś takiego. Ale w wyobraźni nie widziała swojej twarzy podziurawionej kolcami. Widziała twarz Nealla.

Neall.

Będzie wiedział, dokąd ją zabrali. Przyjdzie tu po nią. A oni będą na niego czekać.

*Morag, gdybym tylko wiedziała, co zrobić, użyłabym wszelkich mocy otrzymanych od Matki, by mu pomóc. Ale jeśli go złapią, jeśli go skrzywdzą, proszę, Morag, proszę, bądź dla niego dobra, kiedy będziesz go prowadzić do Krainy Wiecznego Lata.*

Jej dłonie i stopy były takie zimne. Gdyby w tym pomieszczeniu była choć odrobina ognia, by ocieplić ten chłód.

Ogień ogrzewał. Ogień palił.

Spojrzała na linę krępującą jej dłonie. Jeśli zrobiłaby to ostrożnie...

Powoli sięgnęła do żyjącej w niej gałęzi ognia i poczuła, jak przepływa przez nią ciepło. Skumulowała je w nadgarstkach, pozwoliła, by wezbrało.

Skoncentrowała się na linie i zaczęła przyciągać ciepło do wybranego punktu, póki się nie rozpalili. Skręciła nieco nadgarstki. Znad liny uniosła się niewielka strużka dymu.

Mały płomień tlił się wewnątrz liny, zmierzając ku górze.

Więcej dymu. I ciepła. Płomień wezbrał na środku liny, wciąż jednak niewielki, wciąż kontrolowany. Musi nad nim panować. Obserwowała go, stale przekręcając nadgarstki, by ułatwić sobie wypalanie liny, choć czuła, że obciera skórę do krwi. Skrzywiła się, gdy ogień musnął jej dłoń. Jeszcze jedno pociągnięcie i lina pękła. Poruszając się nieporadnie – jednak najszybciej jak zdołała – uwolniła rękę i odrzuciła linę na brudną podłogę.

Wyciągnęła ramiona, by uwolnić się od wędzidła, ale po chwili się rozmyśliła. Ważniejsze było uwolnienie stóp.

Tym razem poszło jej łatwiej. Wiedziała, jak kierować ogień na linę, mogła też używać rąk, by szybciej rozplątać więzy. Kiedy jej stopy były już wolne, zaczęła majstrować przy zapięciach ogłowia. Gdy wreszcie się z niego wydostała, przyjrzała mu się przez chwilę. Była to nieco łagodniejsza wersja wędzidła z kolcami spoczywającego na stole, ale wciąż dość okrutna. Jedynie ktoś o skażonej duszy mógłby użyć tego na innej osobie.

Odłożyła wędzidło na podłogę i zaczęła trzeć nogi. Zacisnęła zęby, czując silne mrowienie. Kiedy nieco zelzało, oparła się o ścianę i wstała. Dokuśtykała do stołu i oparła się o niego. Nie chciała wiedzieć, skąd pochodzą świeże plamy na blacie, ale poczuła nagłą wdzięczność za słabe światło. Podniosła kartę z listą jej zbrodni. Ogień buchnął z jej palców. Papier stanął w płomieniach. Upuściła go i patrzyła, jak znika.

Była wolna i mogła się ruszać. Teraz pozostało jej tylko wydostać się z piwnicy i uciec tym okropnym ludziom.



Jeden z ogarów cienia prychnął ostrzegawczo.

– Ktoś nadchodzi – powiedziała Dianna.

Dziwne światło rozbłysło w oczach Luciana, kiedy otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz, by powitać przybysza.

Dianna wyszła kuchennymi drzwiami, zamierzając okrążyć chatę. Zatrzymała się tylko po to, by kazać stadu psów warować – a potem zakradła się do miejsca, z którego mogła wyglądać za róg.

Kilku młodych mężczyzn zsiadło z koni, podało wodze swoim towarzyszom, a potem ruszyło w kierunku chaty. Czterech z nich zatrzymało się na tyle długo, by zapalić pochodnie. Jeden, który wydawał się im przewodzić, wystąpił do przodu. Spojrzał na Luciana i prychnął.

– Czyżby kochaś naszej wiedźmy? Lepiej stąd zjeżdżaj. Mamy tu coś do zrobienia. Wiedźma już tu nie wróci, by móc ci się oddać.

– Gdzie ona jest? – ryknął Lucian.

– Powiem ci – odparł mężczyzna. – Mistrz Inkwizycji przesłuchuje ją na okoliczność straszliwych zbrodni, które popełniła wobec dobrych mieszkańców Ridgeley. – Zaśmiał się złowieszczco. – Nazywają go Młotem na czarownice. Kiedy skończy ją przekonywać, by się przyznała do winy, żaden mężczyzna nie będzie już chciał, by zadzierać dla niego spódnicę. Nawet taki paniczek jak ty.

*Na łaskę Matki, pomyślała Dianna. Ari wpadła w ręce zabójców wiedźm. Morag miała rację. Jacyś Fae powinni byli tu zostać i jej strzec. Ale... Morag tu była. I powinna była tu zostać. Teraz, z jej winy, ta część Tir Alainn była bardziej zagrożona niż kiedykolwiek.*

– Czego tu chcecie? – spytał Lucian.

Mężczyzna znów prychnął.

– Jest dzień. Jak sądzisz, do czego potrzebujemy pochodni? – Przerwał na moment. – Wiesz, jak działa ogień, prawda?

Dianna zadrżała. Cieszyła się, że nie widzi teraz twarzy Luciana.

– Wiem – odparł miękko Lucian. Spojrzał na chatę. – Ogień ogrzewa. – Skierował wzrok z powrotem na mężczyzn. – A także pali.

Nagle pochodnie przeistoczyły się w kule ognia, które pochłonęły trzymających je mężczyzn. Pozostali przez chwilę wpatrywali się w swoich kompanów, a potem odwrócili się i rzucili biegiem w kierunku koni. Krzycząc, płonący mężczyźni próbowali dobiec do przyjaciół, ale po kilku krokach upadli. Jeden zaczął się tarzać po ziemi, próbując ugasić płomienie.

*Nic ci to nie da, pomyślała z satysfakcją Dianna. Ogień będzie płonął, póki on nie rozkaże inaczej.*

Wodze koni zaczęły się palić, parzyły dłonie trzymających je mężczyzn. Przerazone zwierzęta stanęły dęba. Wodze wystrzeliły z rąk, a konie pognały do przodu, nim mężczyźni zdążyli je pochwycić.

Nagle w miejscu, gdzie wcześniej stał Lucian, pojawił się kary koń. Płomienie igrały w jego grzywie i ogonie, iskry dobywały się spod kopyt.

Pogalopował drogą – prosto na mężczyzn, którzy wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami. Rzucili się na ziemię i odtoczyli, by uniknąć końskich kopyt. Koń pogalopował dalej, kierując się w stronę wioski. Mężczyźni odprowadzili go spojrzeniem.

Dianna uśmiechnęła się złośliwie. *To nie koniec*. Pobiegnęła na tył chaty, dosiadła bladej klaczy i dała sygnał ogarom cienia, by okrążyły dom od drugiej strony. Wypadła na drogę, akurat gdy mężczyźni się podnosili.

– Chcieliście polowania? – prowokowała ich. – Zapolujmy więc.

Niektórzy obrócili się w stronę Brightwood, jakby zamierzali uciec do lasu. Ale ogary cienia wypadły właśnie zza chaty, więc mężczyźni rzucili się w przeciwnym kierunku.

Bardzo dobrze. Nie chciała, by obcowali z Brightwood. I nie zrobią tego. Już nigdy.

Okrążyła chatę, tak by jej klacz nie musiała przejeżdżać obok spalonych ciał. Z uśmiechem obserwowała uciekających mężczyzn. Strach sprawiał, że stopy niosły ich szybciej. Ale nie dość szybko.

– Łapcie ich.

Ogary cienia pognały za nimi.

Łowczynie zamykała gon.



– Przyprawdźcie wiedźmę – Adolfo zwrócił się do dwóch strażników. – Pora rozwiązać problem barona Felstona.



Kiedy Neall podjechał do kuchennych drzwi posiadłości, jeden z mężczyzn stojących przy stajniach wyszedł mu na spotkanie.

– Lepiej stąd uciekaj – ostrzegł. – Wiesz, że nie jesteś tu mile widziany.

Neall zsiadł z konia i spojrzał na mężczyznę. Jego słowa nie były miłe, ale wiedział, że skrywa się pod nimi troska. Uśmiechnął się.

– Wyjeżdżam na dobre, Winn. Chciałem tylko wręczyć prezent na zgodę. – Wskazał głową na klacz.

Oczy Winna się rozszerzyły.

– Jak udało ci się zdobyć jednego ze specjalnych wierzchowców Aherna?

– Powiedzmy, że umiem się targować.  
– Prawdziwa piękność. Zgaduję, że baron cię nie wypędzi, póki nie wprowadzi jej do swoich stajni.  
Gdy mężczyzna rzucił okiem na juki, Neall stęzał.  
– Baron ma gości – powiedział powoli Winn. – To nie jest ten rodzaj mężczyzn, których uwagę chciałoby się zwrócić, jeśli wiesz, co mam na myśli.  
– Wiem doskonale.  
– Kiedy opuścisz to miejsce, lepiej jedź jak najszybciej.  
– Taki mam zamiar.  
Mężczyzna zaczął mówić coś jeszcze, ale zagłuszyło go szaleńcze szczekanie dochodzące od strony psiarni.  
– Na cycki Matki! – zawołał. – Co z nimi?  
Gdy Winn odbiegł pospiesznie, Neall zwrócił się do koni:  
– Zostańcie tutaj.  
A potem otworzył kuchenne drzwi.



Ari opierała się o kamienny mur przy wyjściu. W jednej ręce trzymała wędzidło z kolcami. Przejrzała skrzynię Mistrza Inkwizycji i znalazła w niej inne przedmioty, których można by użyć w charakterze broni, nie potrafiła jednak zmusić się do wzięcia ich do rąk. Ledwie dawała radę utrzymać wędzidło. Metal był pełen bólu swoich ofiar.

Gdyby tylko miała odpowiednio duży kamień, którym mogłaby rzucić w tego, kto otworzy drzwi. Gdyby trafiła w głowę lub pierś, mogłaby pozbawić go przytomności i uciec. Czy mogła użyć magii, by sprawić, że wędzidło wyda się kamieniem? Zamknęła oczy i wyobraziła to sobie. Mężczyzna otwiera drzwi. Kamienie lecą w jego stronę. Ogłuszają go.

*Jak mówię, tak niechaj będzie.*

Ściana, o którą się oparła, przesunęła się lekko, wydając z siebie cichy dźwięk.

Ari gwałtownie otworzyła oczy. Zanim zdołała się zastanowić, czy faktycznie coś poczuła, usłyszała chrobot klucza w zamku.

Jej serce zabiło mocniej. Chwyciła wysadzane kolcami wędzidło, gotowa miotnąć nim w tego, kto przejdzie przez próg.

*Leczące kamienie. Leczące kamienie. Jak mówię...*

Drzwi zaczęły się otwierać.

Ściana obok niej eksplodowała na zewnątrz, kamienie poleciały w kierunku ciała.

Ari zdębiała. Przez dziurę w ścianie wpatrywała się w dwóch strażników. Leżeli na podłodze z głowami przysypanymi kamieniami.

Rzuciła wędzidło w głąb pokoju i ostrożnie przestąpiła nad mężczyzną leżącym bliżej wyjścia. A potem się zatrzymała. Nie była pierwszą osobą, która doświadczyła bólu i strachu w tym małym, ciemnym pomieszczeniu. Od chwili, gdy Czarne Płaszcz zaciągnęły ją do piwniczki, wyczuwała rozpacz, która przez lata wsiąkała w kamienie. Przycisnęła dłonie do ściany po drugiej stronie drzwi i wezwała do siebie siły ziemi, pozwoliła im przepłynąć przez kamienie do swego wnętrza.

– Pogrzeb to miejsce – wyszeptała. Skoncentrowała swoją wolę na pokoju, pobierając coraz więcej mocy ziemi i kanalizując ją w kamieniach. – Pogrzeb je głęboko, tak aby już nikt nigdy nie poczuł tu bólu i strachu. Jak mówię, tak niechaj będzie.

Kamienie zadrżały pod jej dotykiem.

Ari obróciła się i pobiegła w kierunku schodów.



Ogary cienia dorwały kolejnego mężczyznę. Pisnął jak królik, gdy jedna z suk zatopiła zęby w jego szyi i rozplątała mu gardło.

Dianna pognąła za kolejnym. Niektóre z ogarów wyprzedzały ją, pilnując, by ich ofiary zanadto się nie rozbiegły.

Przywódca – ten, który ośmielił się prychnąć na Światłego – wciąż biegł na przedzie. Pozwoliła mu na to. Nie był w stanie przegonić jej ogarów na dłuższą metę. Nie mogła jednak pozwolić, by dotarł do farmy widocznej na horyzoncie.

Nie dobiegnie. A złudne poczucie bezpieczeństwa w chwili, gdy go dopadnie, zaogni jego ból.



Kiedy Neall wszedł do kuchni, posiadłość zadrżała w posadach. Poczul,



jak podłoga zapada się pod jego stopami, a on sam zostaje wyrzucony w powietrze.

*Na łaskę Matki, czy całe to miejsce zaraz runie?*

– Ari... – wyszeptał. Jeśli dom z jakiegoś powodu się zawali, zostanie pogrzebana żywcem.

Przebiegł przez kuchnię, otworzył drzwi prowadzące do piwnicy – i złapał Ari tuż przed tym, nim upadła. Obejmując ją jedną ręką w pasie, pospieszył na zewnątrz. Zawahał się, a potem poprowadził ją do Darcy’ego i pomógł jej wdrapać się na jego grzbiet. Nie było czasu, by dopasować strzemiona, więc tylko zacisnął jej dłonie na siodle i powiedział:

– Trzymaj się mocno. On się zajmie resztą. Zaopiekuje się tobą.

– Neall...

– Zabierz ją daleko stąd – zwrócił się do konia.

Darcy obrócił się gwałtownie, niemal zrzucając Ari z siodła. Gdy tylko odzyskała równowagę, galopem opuścił teren posiadłości.

*Za wolno*, pomyślał Neall, dosiadając klaczy. *Za wolno*.

Kiedy popędzał klacz, by ruszyła za wałachem, usłyszał krzyki dochodzące ze stajni. Obrócił się i dostrzegł kilku strażników, którzy wcześniej towarzyszyli Mistrzowi Inkwizycji. Biegli w jego stronę.

A potem usłyszał trzask pękającego szkła.



Posiadłość ponownie zadrzała.

Adolfo wpadł na stół, jego serce zabiło szybciej.

Ta wiedźma. Powinien był zacząć nad nią pracować, gdy tylko ją tu przywieźli, zamiast czekać, aż strach ją zmiękczy. Cóż, mógł naprawić ten błąd właśnie teraz. Lepiej: mógł po prostu poderznąć jej gardło i skończyć z tym.

Okno za nim się roztrzaskało, odłamki szkła spadły deszczem na podłogę.

Kiedy wyszedł do hallu, podbiegł do niego Felston.

– Ten drań Neall ucieka z wiedźmą! – wykrzyknął. – Sprawiał kłopoty od dnia, kiedy pozwoleń mu tu zamieszkać!

Adolfo wypadł przez frontowe drzwi i pognął do stajni; Felston, dysząc, biegł obok niego.

Nagle się zatrzymał. Gdy ujrzał dwa kare konie galopujące przez łąkę,

ogarnęła go dzika furia.

– Sprowadź konie! – krzyknął i wskazał palcem na Felstona. – Jeśli jadą w tę stronę, to dokąd zmierzają?

– To droga na farmę Aherna.

Adolfo obrócił się i wycelował palec w jednego ze swoich Inkwizytorów.

– Zabierz połowę ludzi i jedź do Starego Miejsca. Pewnie wybiorą drogę przez las, w którym mogą się skryć, a nie ucieczkę przez otwarty teren. Wyprzedź ich. My ruszymy za nimi. Zamkniemy ich w potrzasku. Reszta mężczyzn niech rusza ze mną. – Posłał Felstonowi ostre spojrzenie. – Kiedy ich złapiemy, rozwiążę oba twoje problemy.

Wsiadł na konia i pogalopował za wiedźmą i jej kochankiem.

Za jego plecami posiadłość znów się zatrzęsała.



Mężczyzna, otoczony przez krąg ogarów, już nie prychał.

– Nie możesz mnie skrzywdzić. – Jego głos przypominał zawodzenie. – Jestem Royce, dziedzic barona Felstona.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś – powiedziała Dianna. – Gdzie jest Ari?

Nadał wargi, jego twarz przybrała paskudny wyraz.

– Młot na czarownice już się nią zajął. I zajmie się też tobą, jeśli mnie nie wypuścisz.

– Gdzie jest Ari?

– Jest martwa! Martwa, martwa, martwa. I ciebie też zabije. Zobaczysz!

– Ty za to nie zobaczysz.

Beznamiętnie obserwowwała, jak jej ogary rozdzierają go na strzępy. Kiedy wreszcie wezwała je do siebie, odwróciła wzrok od tego, co zostało z dziedzica barona Felstona – i ujrzała czarny dym bijący z silnego źródła ognia.

– Lucian... – wyszeptała.

Zatopiła pięty w bokach klaczy i z ogarami u boku pogalopowała w stronę dymu.

Dobrzy ludzie z Ridgeley poznali gniew Światłego. Teraz pora, by zaznajomili się z Łowczynią.



Neall zatrzymał karą klacz tak gwałtownie, że niemal przysiadła na zadzie. Wyskoczył z siodła i podbiegł do Darcy'ego.

– Neall, co ty robisz? – Ari obejrzała się za siebie z niepokojem. – Doganiają nas!

Dopasował lewe strzemiono, a potem umieścił w nim jej stopę.

– Wiem. – Zanurkował pod łbem wałacha, by dopasować prawe strzemiono. – Ale nie jesteś dobrym jeźdźcem. Potrzebujesz strzemion, by nie wypaść z siodła przy prędkości, jaką musimy osiągnąć.

– Neall... Może...

– Nie mów tego. – Posłał jej tak ostre spojrzenie, że aż się wzdrygnęła. – Razem sobie z tym poradzimy.

– Uda się nam dotrzeć do Aherna?

Dosiadł klaczy i potrząsnął głową.

– Za dużo otwartego terenu. Pojedziemy do Brightwood. Możemy ich zgubić w gęstym lesie. – *Już Mały Lud o to zadba*, dodał w myślach, chwytając wodze. – Po prostu się trzymaj, Ari. Uda się nam.

Obejrzał się przez ramię. Jeźdźcy nadjeżdżający od strony posiadłości Felstona zbyt szybko skracali dzielącą ich odległość.

– Ruszajmy.

Klacz i wałach pognały w stronę Brightwood.



Kiedy dotarły na niski pagórek, Morag dostrzegła dwa kare konie biegnące w stronę Brightwood. W niewielkiej odległości za nimi zauważyła też innych jeźdźców.

Szary rumak tupnął nogą i odrzucił głowę.

Kary koń zatańczył, zbyt niespokojny, by stać nieruchomo.

– Czy zdołamy do nich dotrzeć szybciej niż tamci? – Morphia skróciła wodze swojego wierzchowca.

– Dotrzemy do nich – odparła Morag. Pozwoliła karemu koniowi wyrwać się do przodu i pognać w dół wzgórza w kierunku Ari i Nealla.

Morphia galopowała obok niej.

Ale szary rumak gwałtownie zmienił kierunek i ruszył prosto w stronę pościgu.

*Niech Matka cię ochrania, Ahernie*, pomyślała Morag. Potem nie myślała

już o niczym poza dwójką młodych ludzi, których desperacko pragnęła zachować wśród żywych.

Adolfo zacisnął dłonie, ściągając wodze na tyle, by spowolnić konia. Strażnicy minęli go, jadąc prosto na szarego rumaka.

Dwie czarnowłose kobiety. Jedna dosiadała karego konia. Chciał ją ukarać za to, że go okradła, że zabiła jego ludzi. Wystarczył mu jej widok, choćby z oddali. Cuchnęła magią. Cuchnęła śmiercią.

Zbieraczka.

Mimo strachu, który wstrząsał nim za każdym razem, gdy o niej myślał, aż do tej chwili nie wierzył, że mogłaby zrobić mu to, co zrobiła jego bratankowi czy kurierowi. Był pewien, że jego potęga jest wystarczająca, by zmierzyć się z dowolnym Fae – i wygrać.

Ale nie z nią. Kto zdołałby stanąć przeciwko Kochance Śmierci?

Okrzyk jednego ze strażników skierował jego uwagę na problem znajdujący się na ich drodze.

Żaden koń nie pobiegłby w stronę straży, raczej zostałyby z kobietami i ich wierzchowcami. Co oznaczało, że szary rumak nie jest zwykłym koniem. Tylko jeden mężczyzna na farmie Aherna był pełnokrwistym Fae i mógł zmieniać postać. Był nim sam Ahern.

Adolfo zbeształ się za to, że pozwolił, by widok Zbieraczki rozproszył go i sprawił, że na chwilę zwątpił w swoje siły. Mimo posiadania mocy wciąż była tylko kobietą – zaledwie poślednią istotą, którą trzeba nauczyć posłuszeństwa wobec panów tego świata. Pozna jej słabość i wykorzysta ją, by ją zniszczyć. Ale najpierw musi dać nauczkę stojącemu przed nim Panu Koni.

Zanim zdążył wydać rozkazy, szary ogier stanął dęba, rzucając koniom wyzwanie. Albo – być może – wydając rozkazy. Pozostałe wierzchowce odwróciły łby, nic sobie nie robiąc z wędzideł i ostróg. Kiedy rumak ponownie stanął na tylnych nogach, zaczęły się wycofywać.

Dwaj strażnicy, którzy sięgali już po kusze, spadli z końskich grzbietów. Jeden stanął na nogi i podniósł z ziemi kuszę. Drugi się nie poruszył.

Kiedy przednie kopyta jego konia ponownie dotknęły ziemi, Adolfo wysunął nogi ze strzemion i na pół wypadł, na pół wysunął się z siodła. W ostatniej chwili ledwie zdążył się wycofać z zasięgu tylnych kopyt zwierzęcia.

Dwóm kolejnym strażnikom udało się pochwycić swoje kusze i wydostać

z siodeł.

– Zabić go! – krzyknął Adolfo.

Szary rumak stanął dęba.

Strażnicy wzięli go na cel.

Koń zaszarżował na nich, zwalając ich z nóg w tej samej chwili, w której bełt wyleciał z kuszy – i wbił się w bark rumaka zamiast w jego pierś. Ale dwóch innych strażników trafiło w odsłonięty brzuch konia; bełty zatopiły się w nim głęboko. Rżąc przeraźliwie, rumak obrócił się i pogalopował z powrotem na wzgórze.

Adolfo zakrzyknął triumfalnie. Fae czy nie – rany brzucha były śmiertelne. Obserwował, jak koń z trudem wspina się na szczyt wzgórza. *To nie ma znaczenia, czy dotrzesz na swoją farmę, starcze. I tak umrzesz.*

Przez moment nie było słychać żadnego dźwięku poza ciężkimi oddechami mężczyzn i zwierząt.

A potem konie wpadły w szal.

Buty błysnęły w promieniach słońca, gdy kopyta wystrzeliły w górę. Ciało głucho uderzały o ziemię. Konie pogalopowały w górę wzgórza za umierającym szarym rumakiem.

Adolfo spojrzał na ciała strażników i opadł na kolana. To nie powinno było się wydarzyć. On był Młotem na czarownicy. On był tym potężnym. To nie powinno było się wydarzyć...

– Mistrzu Adolfo? – Jeden ze strażników stanął na nogi, z jego rozciętej głowy płynęła krew. – Mistrzu Adolfo, jesteś ranny?

Adolfo zaczął się trząść. Nie mógł przestać. To nie powinno było się wydarzyć. Kim niby byli Fae, żeby popsuć szyki mężczyznom, kontrolując dosiadanę przez nich czworonożne bestie? Ale jeśli ludzcy mężczyźni nie są w stanie panować nad bestiami, jak mieliby wyrugować ze świata magię i stać się jego panami?

– Mistrzu Adolfo?

Zmusił się, by wstać. Nie może okazać słabości. Jeśli to zrobi, nigdy nie pozbędą się z tego świata wiedźm... ani Fae.

– Kiedy wiedźma zginie, magia przepadnie wraz z nią – powiedział z rozwągą. – Magia umrze, a wtedy niczego się nie zlekniemy. Będziemy panami.

– Tak jest, panie.

Adolfo spojrzał na krwawiącego strażnika – w jego brązowych oczach

jarzyło się dziwne światło.

– Straciliśmy tu dzisiaj dobrych ludzi, ale nie na próżno. Nie, nie na próżno. Zapędziliśmy wiedźmę i jej niecnego kochanka w kozi róg, a pozostali Inkwizytorzy dopilnują, by czarownica zapłaciła za cały ból, którego przez nią doznaliśmy.

Strażnik nie wydawał się słuchać, nawet na niego nie patrzył. Nie pozwoli, by inni mężczyźni się od niego odwrócili, porzucili go. Nigdy więcej. Już nigdy więcej. Żaden mężczyzna nie odwróci się od niego tak, jak niegdyś jego ojciec. A każdy, kto spróbuje, zapłaci za to – tak jak zapłacił jego ojciec.

Adolfo postąpił kilka kroków na bok i zgiął się, by podnieść jedną z kusz.

Wtedy jeden ze strażników zawołał:

– Spójrzcie! Dym! Coś się pali!

Adolfo westchnął – tak jak mężczyzna wzdycha po zaznaniu przyjemności z kobietą.

– To chata wiedźmy. Royce i jego kompani pojechali ją spalić, tak by tej ziemi nie skaził żaden ślad po niej.

Strażnik powoli potrząsnął głową.

– To za dużo dymu jak na jedną chatę, mistrzu. Poza tym wznosi się nad... – Spojrzał na Mistrza Inkwizycji. – Ridgeley. To wioska płonie.



Morag zebrała wodze, by zatrzymać karego konia.

– Na łaskę Matki, Neall – wymamrotała, lustrując wzrokiem las. – Jak ci się udało zniknąć tak szybko?

– Znajdziemy ich? – spytała Morphia.

– Znajdziemy – odparła ponuro Morag.

*Muszą znaleźć Nealla i Ari.*

Ponieważ Śmierć już nie szeptała. Śmierć wyła.



Neall trzymał się najszerszej ścieżki biegnącej przez las. Musieli się zagłębić w knieje Brightwood, z dala od szlaków, na których ktoś mógłby ich z łatwością wytropić. Ale martwił się o Ari. Znała te lasy lepiej niż ktokolwiek inny, jednak nie była dobrym jeźdźcem i mogła spaść z siodła

nawet po zahaczeniu o nisko rosnącą gałąź.

Dystans. Dystans. Musieli trzymać dystans od prześladowców, wyrwać do przodu na tyle, by móc złapać oddech i podjąć decyzję, gdzie najlepiej się przyczaić na pewien czas.

Zaklął w duchu, gdy wjechał do niewielkiej niecki i zauważył drzewo przewalone w poprzek drogi. Niewiele miejsca po drugiej stronie, by koń mógł wylądować, nim szlak znów zacznie się wznosić. Zdołałby to zrobić na grzbiecie Darcy'ego, ale klaczy nie znał na tyle dobrze, by jej zaufać. Zresztą Ari z pewnością nie potrafiłaby wykonać takiego skoku.

Kiedy ściągał wodze i zawracał klacz, usłyszał gniewne rżenie Darcy'ego – i uświadomił sobie, że Ari nie jedzie już tuż za nim. Klacz wjechała na pagórek w samą porę, by Neall dostrzegł mężczyzn w czarnych płaszczach wkraczających na szlak i odcinających drogę powrotną wałachowi.

Straż uniosła kusze. Wycelowane w Ari!

– Uważaj! – krzyknął Neall.

Darcy zatańczył na tylnych nogach, równocześnie wycofując się. Większość bełtów wystrzelonych z kusz trafiła go w pierś i szyję, ale dwa pociski dosięgnęły obranego celu. Ari i Darcy wydali z siebie przeszywający krzyk, kiedy wałach upadał, zrzucając dziewczynę z siodła. Krew rozlała się plamą na tunice i spodniach Ari. Kiedy spróbowała się poruszyć, jęknęła z bólu.

Neall błyskawicznie zsunął się z grzbietu klaczy i podbiegł do Ari.

– Zostawcie ją, dranie!

Wtedy dwaj strażnicy wycelowali w niego. Zanim jednak zdążyli wystrzelić, ich twarze wykrzywiło zdumienie. A potem upadli na ziemię. W ślad za nimi runęli pozostali strażnicy. Oraz ubrani w czarne płaszcze Inkwizytorzy.

Neall nie wiedział, czy powinien wierzyć w to, co zobaczył.

Potykając się, podbiegł do Ari i uklęknął przy niej. Gdy uniosła głowę, zobaczył ból w jej oczach.

– Neall...

Delikatnie przycisnął jej ramię, by się nie ruszała. Bełty przebiły ją na wylot, więc przynajmniej nie musi próbować usunąć ich tutaj ani zmuszać jej do jazdy z nimi do czasu znalezienia bezpiecznego miejsca.

Ciężki oddech Darcy'ego nagle ustał. W tej ciszy Neall usłyszał tętent

kopyt uderzających o ziemię. Spojrzał ponad poległymi mężczyznami i ujrzał dwie obserwujące go kobiety.

– Morag – westchnął.

Patrzył, jak zsiada z konia, i przemknęło mu przez myśl, by chwycić jedną z kusz, ale wiedział, że nie zdąży jej powstrzymać; martwi mężczyźni dookoła niego byli tego dowodem. Podniósł się więc na nogi i przeszedł na środek traktu.

– Morag... – Głos Ari brzmiał przeraźliwie słabo.

Neall stęzał, gdy Zbieraczka zbliżyła się do niego, ale nie odwrócił od niej wzroku.

– Odsuń się – powiedziała.

Potrząsnął głową i rzekł:

– Nie da się oszukać Śmierci, ale czasem można pójść z nią na układ. – Na jej twarzy ujrzał zaskoczenie, zanim zdołała je ukryć. – Pozostałe Służki Śmierci nie mają wyboru w kwestii tego, kogo prowadzą do Cienistej Zasłony, ale Zbieraczka ma wybór. Może przenieść siły witalne z jednej osoby na drugą. Przynajmniej tak wynika z opowieści.

– A co jeśli te opowieści są prawdziwe? – spytała cicho Morag.

– Wtedy zabierz mnie. Przekaż moje siły Ari, a mnie zabierz.

– Zrobiłbyś to?

– Nie, Neall... – błagała Ari. – Nie oddawaj swojego życia.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

– Ty jesteś moim życiem.

Kiedy zwrócił się z powrotem w stronę Morag, ona intensywnie wpatrywała się w Ari. Jego strach się wzmógł, a głos nabrał surowości, gdy ponownie się odezwał:

– Zgodzisz się na tę wymianę? Moje życie za jej.

Morag posłała mu kolejne dziwne spojrzenie, a potem wyciągnęła dłoń. Chwycił ją i zacisnął palce, by nie mogła przerwać uścisku. Pociągnęła go na jedną stronę ścieżki w tej samej chwili, gdy druga kobieta minęła go, spiesząc w stronę Ari. Wtedy spróbował się wyrwać, ale była silniejsza, niż mu się wydawało. Stał więc w miejscu i bezradnie obserwował, jak ta druga klęka przy Ari i delikatnie gładzi ją po włosach.

Oczy Ari się zamknęły. Jej głowa opadła na ziemię.

– Zgodziłaś się na wymianę! – wrzasnął Neall z mieszaniną rozpacz i furii.



– Na nic się nie zgodziłam – odparła cicho Morag. – I się nie zgodzę. Nie widzę cienia na jej twarzy. Pozwól działać mojej siostrze.

– Siostrze?

Czarnowłosa kobieta ostrożnie podniosła tunikę Ari.

– Morphia jest Śpiącą Siostrą, Panią Snów – wyjaśniła Morag.

*Zbieraczka i Śpiąca Siostra są siostrami. Co za ironia losu!*

Morag wypuściła jego dłoń i podeszła do Ari.

– Jest ranna, obolała, ale Śmierć tu na nią nie czeka.

– Gdyby jednak czekała, czy zgodziłabyś się na wymianę? – spytał Neall, podchodząc do niej.

Morag przez chwilę milczała.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Jak dotąd nikt mnie o to nie poprosił.

– Więc co się z nią dzieje?

Morphia spojrzała na niego.

– Obdarzyłam ją snem, by nie czuła bólu.

Neall opadł na kolana i zmusił się, by spojrzeć na rany Ari.

– Krwawi, ale bełty rozorały wyłącznie mięso.

Morag trzymała dłoń nad ciałem rannej.

– Nie wyczuwam obrażeń wewnętrznych. Zabrałeś jej juki, zanim wasza dwójka zaczęła uciekać?

– Tak.

– To przynieś je tutaj. I trochę wody.

Kiedy Neall wstawał, jego wzrok zatrzymał się na martwych mężczyznach. Stwierdził, że w tej chwili lepiej nie myśleć za dużo o tym, kim jest Morag.

*Dokonałby wymiany, pomyślała Morag, czekając, aż Neall przyniesie rzeczy Ari. Choć nie wiedział, czy to w ogóle konieczne, był gotów oddać swoje życie w zamian za jej. Czy którykolwiek mężczyzna Fae wykazałby dość troski, aby zaproponować taki układ? Jeżeli byłoby to konieczne, walczyłyby o swój kraj i swoich pobratymców – może nawet oddałyby życie w tej potyczce, jednakże nie ruszyłyby do boju, spodziewając się śmierci. Spodziewałyby się raczej, że będzie żył i skorzysta na tym, iż wykazał się odwagą w walce. Ale żeby mężczyzna miał oddać swoje życie, wiedząc, że nie będzie częścią tego, co nastąpi później?*

*Właśnie się zgodziłeś na wymianę, Neall, nawet jeśli nie jesteś tego świadomy. I mam nadzieję, że nigdy nie będziesz.*

Kiedy Neall znów do nich dołączył, Morphia obmywała wodą ranę w boku Ari i otarcie na jej udzie. Morag przetrząsała zawartość juków, aż znalazła zwinięte pasy tkanin i niewielki słoik maści leczniczej.

– Ale to są... – Neall zaczął protestować.

– Są czyste i mają pochłaniać krew – przerwała mu Morag.

Wraz z Morphią rozsmarowały maść na ranach i zaczęły sporządzać prowizoryczne opatrunki. Neall ponownie zaprotestował, gdy podały nocną koszulę Ari na długie pasy, mające pełnić rolę bandaży. A one ponownie go zignorowały.

– Teraz – Morag zaczęła pakować pozostałe rzeczy z powrotem do juków – podnieś ją ostrożnie i zabierz z drogi. Spróbujemy przesunąć ciało wałacha na tyle, by wydobyć spod niego twoje juki.

– Nie. Nie potrzebuję... – Neall zamilkł pod wpływem jednego spojrzenia Morag.

– Jeśli nie potrzebowalbyś tych rzeczy, nie zabierałbyś ich ze sobą.

Kosztowało to nieco wysiłku, ale we dwie zdołały wyciągnąć juki spod ciała Darcy'ego. Później Morag oparła jedną dłoń na boku wierzchowca w geście milczącego pożegnania. Miał odwagę właściwą jego rodzajowi; dobrze wiedziała, że będzie opłakiwany. To przypomniało jej o kolejnym problemie: Neall i Ari nie mogli przejechać czekającej ich drogi na grzbiecie jednej klaczy. Potrzebowali drugiego konia.

Podążyła juki Morphii i podeszła do miejsca, w którym czekał na nią kary koń. Przycisnęła dłoń do jego policzka i spojrzała w ciemne, ufne oczy.

– Chcę, żebyś pojechał z Neallem i Ari. Wiem, że ją lubisz, a i on powinien przypaść ci do gustu. – Kiedy koń zaczął robić krok w tył, potrząsnęła głową. – Potrzebują cię. Potrzebują twoich sił, twojej prędkości i odwagi. Potrzebują, byś czuwał nad nimi, byś się nimi opiekował. Będą tego potrzebować przez długi czas. Więc teraz się pożegnamy, mój przyjacielu. Będziesz wiódł z nimi dobre życie. Wiem to.

Pogłaskała go po raz ostatni, a potem poprowadziła do Nealla, który trzymał w ramionach Ari.

– Pójdzie z tobą – powiedziała cicho. – Będziecie musieli jechać razem na jednym koniu, póki Ari nie nabierze dość sił, by podróżować sama. Klacz nie dałaby temu rady. On da.

Popatrzył na nią.

– Ja... Nie mogę wziąć twojego konia.

– Ależ możesz. Dla dobra Ari.

*I dla dobra tego świetnego konia, który boi się tego, o co ja mogłabym go poprosić.*

– Obudzę ją na tyle, by dała radę z twoją pomocą dosiąść konia – powiedziała Morphia. – Potem nie sprowadzę na nią głębokiego snu, gdyż wtedy trudno byłoby wam jechać, ale otumanię ją, żeby osłabić ból.

Wziąwszy juki od siostry, Morag przytroczyła je do siodła karego konia. Podczas gdy Neall i Morphia pomagali Ari wsiąść, ona przywiązywała juki i bukłak z wodą do siodła klaczy. Gdy byli gotowi do drogi, Morag posłała Ari ostatnie badawcze spojrzenie – i poczuła ulgę. Wciąż nie widziała cieni na twarzy dziewczyny. Ari wydobrzeje – i będzie wiodła życie, jakiego życzyli jej Astra i Ahern.

– Niech Matka błogosławi wam przez resztę waszych dni – powiedział Neall.

– Niech ci dzień błogosławi – odparła Morag.

Uśmiechnął się dziwnie.

– Z radością się poznaliśmy, z radością rozstaliśmy, z radością spotkamy się ponownie. To kolejne z pozdrowień wiem.

Wymamrotał coś do karego konia. Ten nadstawił uszu, objął wzrokiem szlak przed nimi, a potem zwrócił się w stronę drzew, by znaleźć inną ścieżkę.

Morag uśmiechnęła się, widząc, jak oczy Nealla rozszerzają się w zdumieniu, że ktoś podejmuje decyzję za niego. Ale wiedziała, że mężczyzna jest przyzwyczajony do obchodzenia się ze zwierzętami mającymi własne zdanie, które czasem różni się od jego. On i kary koń dobrze się ze sobą dogadają – jak tylko się poznają.

„Z radością się poznaliśmy, z radością rozstaliśmy, z radością spotkamy się ponownie”.

Fala ciepła zalała Morag. Czy w tym powiedzeniu kryła się nadzieja, że odwiedzi ich w nowym domu?

Nagle ciepło zniknęło; zaczęła drzeć. A może to powiedzenie miało więcej niż jedno znaczenie, zwłaszcza kiedy adresatką była Zbieraczka? Czy Neall próbował powiedzieć, że ma nadzieję na ich ponowne spotkanie w tym świecie – czy może miał nadzieję, że zobaczą się, gdy wszyscy trafią do Krainy Wiecznego Lata, a ich dusze opuszczą ciała i pozostawią je pieczy Matki? Głupotą byłoby oczekiwać akceptacji od kogokolwiek żyjącego

w świecie ludzi, liczyć na ciepłe powitanie, na przyjaźń, podczas gdy nawet jej krajanie odwracali się od niej. Była Kochanką Śmierci. To był jej dar – i jej brzemię. Co tak naprawdę wiedziała o życiu?

Zdławiła te uczucia, zanim zdążyły poranić jej serce. Odwróciła się i spostrzegła, że Morphia się jej przygląda.

– Co z nimi zrobimy?

Morag spojrzała na duchy; wszystkie patrzyły na nią – szczególnie Inkwizytorzy. Trzeba będzie się nimi zająć, zabrać ich z Brightwood. Nie zdecydowała jeszcze, czy poprowadzi ich wszystkich do Cienistej Zasłony.

– Zostaw ich – odparła. – Mały Lud może zrobić z ciałami, co uzna za stosowne.

Morphia spojrzała na duchy Inkwizytorów i zadrżała.

– Wynośmy się stąd.

Obie dosiadły konia Morphii – Morag usiadła za siostrą – i ruszyły w kierunku chaty. Kiedy przecinały łąkę, zauważyły czarny dym i poczuły swąd spalenizny.

– Zdaje się, że Światły wydał wyrok na miejscową ludność – powiedziała Morphia.

– Tak – odparła słabo Morag. – Nie powinni zapominać o tym, kto jest Panem Ognia.

Morphia się zawahała.

– Jesteś zmęczona, Morag. Czy nie możesz odpocząć przez chwilę, zanim zbierzesz tutejszych mieszkańców?

*Odpoczną dłuższą chwilę, nim pojedę do wioski, pomyślała Morag.*

– Niech inne Służki Śmierci poprowadzą ich do Cienistej Zasłony. Rzeczywiście jestem zmęczona i...

Śmierć wzywa.

Nasłuchiwała uważnie, patrząc w kierunku, z którego dobiegało wołanie.

– Muszę się pojawić w innym miejscu – dokończyła głosem pełnym żalu.



Opuściwszy rannego strażnika, Adolfo pognął w stronę grupy ludzi zebranych przy stajni. Dobiegł do nich i popatrzył na zasypaną gruzami ziemię w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu stała posiadłość barona Felstona.

– Co tu się stało?

Jeden ze stajennych posłał mu wrogie spojrzenie.

– Ziemia pochłonęła dom, a potem wypluła dość, by to przykryć. Zgaduję, że w ten sposób Matka pragnie przekazać Inkwizytorom, by zostawili wiedźmy w spokoju.

Na wszystkich twarzach Adolfo dostrzegł te same ponure grymasy i groźne spojrzenia.

– Ale to jej robota. Ta wiedźma to zrobiła!

– Nigdy nas nie skrzywdziła, póki wy się nie zjawiliście! – krzyknęła jedna ze służących.

Stajenny przytaknął:

– Kobiety z Brightwood zawsze okazywały zwykłym ludziom więcej uprzejmości niż szlachta. Nawet mieszkańcy wioski patrzyli z góry na tych, którzy pracowali w polu.

Mistrz Inkwizycji spojrział w stronę, z której w niebo unosił się czarny dym.

– Zgaduję, że przez długi czas nie będą już na nikogo patrzeć z góry. Wiedźma...

Stajenny potrząsnął głową, a potem wskazał na innego mężczyznę.

– Russell powiedział, że widział karego konia galopującego w stronę Ridgeley. Karego konia z grzywą i ogonem, w których igrały płomienie. Każdy mijany przez niego wytwór ludzkich rąk stawał w ogniu. Zgaduję, że Pan Ognia chciał, byśmy wszyscy wiedzieli, co sądzi o tym, jak postrzegacie wiedźmę.

A więc wszyscy byli przeciwko niemu. To także było winą wiedźmy. Powinna zaakceptować swój los, powinna się poddać konieczności oczyszczenia jej ducha ze zła. To ona była winna pogardzie, jaką służący zaczęli żywić wobec władzy, mimo że jeszcze dzień wcześniej byli potulni.

– Gdzie jest baron Felston? Muszę omówić z nim pewne kwestie.

Stajenny skłonił głowę w stronę kopca ziemi.

– Najpierw musiałbyś go wykopać. Nigdy nie wyszedł. Miał mnóstwo czasu od momentu, gdy dom zatrzęsł się po raz pierwszy, ale nigdy nie wyszedł. Nie wyszły też baronowa i Odella.

Adolfo poczuł, że uginają się pod nim nogi. Zmusił się do utrzymania w pionie, aby nie okazać słabości. Ci ludzie byli jak stado wściekłych psów. Jeśli okaże słabość, rozszarpią go.

– Jeśli chcesz odpowiedzi – podjął stajenny – zawsze możesz spróbować zapytać Mały Lud. Widziałem kilku z nich, jak opuszczali tereny okalające posiadłość tuż przed tym, nim wszystko runęło. Zgaduję, że potrafiliby powiedzieć, co się stało z baronem i pozostałymi.

Mały Lud. Fae. Wiedźma. Zbyt dużo mocy – mocy, do której należało podchodzić z ostrożnością, a nie z pośpiechem. Popełnił błąd. Felston zwabił go tutaj, twierdząc, że mają do czynienia wyłącznie z jedną młodą wiedźmą. Powinien był jednak zachować ostrożność, miast słuchać zapewnień barona. Otwarta też pozostawała niezwykle ważna kwestia jego wynagrodzenia.

– A gdzie jest Royce?

Stajenny wzruszył ramionami.

– Wyjechał wcześniej rano wraz z kilkorgiem przyjaciół. Nie widziałem go od tamtej pory.

Nie obchodziło go, co się dzieje z Royce'em, ale istniała możliwość, że młody mężczyzna wciąż żyje. Tak, to było możliwe.

– Osiodłaj dla mnie konia – rozkazał. – Znajdę Royce'a. Trzeba go powiadomić, że teraz on jest baronem.

Nikt się nie poruszył.

I wtedy nagle nad ich głowami pojawił się cień. Stajenny podniósł wzrok. Przez moment przyglądał się jastrzębiowi, a potem zwrócił się do innego mężczyzny:

– Winn, osiodłaj dla niego konia. Im szybciej stąd wyjedzie, tym lepiej. Nie chcemy, by Fae czy Mały Lud zezłościł się na nas przez to, że on tu jest.

Adolfo obserwował jastrzębia – kołował powoli, jakby oceniał skalę zniszczeń.

– To tylko jastrząb – powiedział, tłumiąc drżenie.

Stajenny wydał z siebie ostry dźwięk.

– A kary koń, który spalił Ridgeley, był tylko koniem. Odsuń się od nas, Mistrzu Inkwizycji. Sprowadziłeś na nas wyłącznie kłopoty.

Po chwili Winn wyszedł ze stajni, prowadząc ze sobą osiodłanego konia. Adolfo stwierdził, że nie jest to najlepszy koń, jakiego miał Felston. Niezły wierzchowiec, ale nic szczególnego. Dosiadł go jednak bez komentarza i odjechał.

Kiedy zniknął z zasięgu ich wzroku, opuścił główny szlak i pojechał na przełaj przez pola, żeby dotrzeć do drogi biegnącej z drugiej strony Ridgeley. Nie chciał jechać przez wioskę. Nie chciał być kozłem ofiarnym, którego

ludzie obwinialiby o swój ból i cierpienie. Późnym wieczorem byłby w stanie dotrzeć do kolejnej wioski, nawet na grzbiecie tego pośledniego wierzchowca. Tam wezwałby innych Inkwizytorów, którzy wraz z nim przyjechali do Sylvalanu. A potem tu wróci i rozprawi się z Fae.



Morag stała przy łóżku Aherna, obserwując pogłębiające się cienie na twarzy mężczyzny. Jego gospodyni i jeden z pracowników także przy nim czuwali.

– Ahernie – szepnęła. Tylko Matka wiedziała, jak udało mu się wrócić na farmę z tymi ranami. Chciała go uwolnić od cierpień, ale nie zamierzała go zebrać bez jego zgody.

– Wyjdź na zewnątrz, Morag. – Szorstki głos Aherna był słaby, mężczyzna walczył o każdy oddech. – Wyjdź na chwilę na zewnątrz.

Zrobiła to, o co prosił. A kiedy szła w stronę stajni, uświadomiła sobie, jak opustoszałe jest to miejsce – nie pozostał ślad ani po ludziach, ani po koniach.

– Gdzie są wszyscy? – spytała, gdy jeden z pracowników Aherna wyszedł jej na spotkanie.

– Odchodzą... albo już odeszli – odparł. – Ahern powiedział nam, że powróci do swojego klanu. – Łzy wypełniły jego oczy. Mrugnął kilka razy. – Powiedział, że chce zapamiętać Brightwood takim, jakim było. Wypłacił nam należne pieniądze i obdzielił nas końmi. Poza tymi specjalnymi wierzchowcami. Powiedział, że one znajdą miejsce tam, gdzie powinny... – Zawahał się. – Zgaduję, że Ahern jednak tu zostanie.

– Jego ciało spocznie tutaj, w Matce, ale jego dusza powędruje do Krainy Wiecznego Lata – powiedziała Morag łagodnie. – To mogę ci obiecać.

Mężczyzna kiwnął głową i otarł oczy wierzchem dłoni.

– Powiedział, że będziesz potrzebowała konia z rzędem. Jedno i drugie wybrał dla ciebie tego ranka, zanim...

Morag popatrzyła na niego zdziwiona. Skąd Ahern miałby wiedzieć, że będzie jej potrzebny kolejny kary koń? Nie mógł przewidzieć wypadków dzisiejszego dnia. Ale jako Pan Koni mógł wyczuć strach karego konia przed wkroczeniem na lśniącą drogę wiodącą przez Zasłonę – i mógł zgadnąć, że ona będzie szukała sposobu, by pozwolić zwierzęciu odejść, miast zmuszać

je do znoszenia tych lęków.

– Gdybyś potrzebowała pomocy w osiodłaniu go, będę w pobliżu. – Mężczyzna przyłożył palce do runda czapki i odszedł.

Gdy Morag znów ruszyła w stronę stajni, jak na umówiony sygnał, kary koń wychynął z cieni i zastrzygł uszami.

– Piękny z ciebie młodzian – powiedziała miękko, wyciągając dłoń.

Przysunął się, by się z nią zapoznać. *Tak, jest pięknym wierzchowcem*, zdecydowała, głaszcząc go. *Dobry i silny, z właściwą jego rasie odwagą*. Jako że Ahern wybrał go dla niej – i ją dla niego – nie miała wątpliwości, że będą zgranym duetem.

– Zobaczmy, jak pasuje na ciebie siodło.

Kiedy weszła do stajni, usłyszała zawodzenie. Podążając za głosem, otworzyła drzwi do boksu.

– Och, Merle – powiedziała łagodnie.

Szczeniak spojrzał na nią oczami pełnymi smutku. Morag wyciągnęła dłoń, by mógł ją powąchać. Przyczołgał się do niej, a gdy tylko zwęszył jej zapach, zaczął merdać koniuszkiem ogona.

*Czuje Ari*, pomyślała ze smutkiem, głaszcząc psa. Podniosła go i przytuliła, niepewna, dla którego z nich to większa pociecha.

– Nie wiem, dokąd ona pojechała, Merle. Nie wiem, gdzie ją znaleźć. I na razie tak będzie lepiej.

Postawiła psiaka na ziemi, a potem wysunęła się z boksu i zamknęła za sobą drzwi. Szczeniak natychmiast znów zaczął zawodzić. Spojrzała na niego ponad drzwiami.

– Cicho, mały. Muszę odbyć pewną podróż, a ty nie możesz pojechać ze mną. Ale wrócę po ciebie. Nie porzucę cię. Nie będziesz sam. Obiecuję.

Osiodłała karego konia, a potem poszła sprawdzić, czy Merle dostał jedzenie i wodę. Wróci po niego rano. Lepiej nie zabierać go ze sobą do chaty, od której później znów musiałaby go odciągać.

Gdy wróciła do sypialni, Ahern był już gotowy. Zebrała go delikatnie. Jego ciało wydało ostatnie tchnienie i duch oderwał się od niego. Gospodyni siedząca przy łóżku zakryła twarz dłońmi i zapłakała. Mężczyzna stojący z drugiej strony łóżka schylił głowę, by ukryć łzy.

Duch Aherna zmarszczył brwi.

*Troszczyli się o ciebie, Ahernie*, pomyślała Morag. *Pozwól im przeżyć żalobę*.



Wyprowadziła go z domu.

– Podoba ci się? – zapytał, kiedy szli w stronę karego konia.

– Podoba – odparła cicho.

Kiedy dosiadła wierzchowca, Ahern wzniósł się, by usiąść za nią.

Nie zaczęła od razu szukać drogi przez Cienistą Zasłonę. Zamiast tego wróciła do Brightwood, na wzgórze, gdzie zawsze wieje wiatr. Chciała, by Astra odbyła tę podróż z Ahernem. Zostawiła ich przed Cienistą Zasłoną. Kiedy się obejrzała, zobaczyła, jak Ahern wyciąga dłoń... a Astra ją przyjmuje. Razem przeszli przez Cienistą Zasłonę do Krainy Wiecznego Lata.

„Z radością się poznaliśmy, z radością rozstaliśmy, z radością spotkamy się ponownie”.

Nie była pewna co do rozstań, ale miała nadzieję, że kiedy ich duchy odpoczną i odrodzą się w tym świecie, Astra i Ahern znów się odnajdą. I być może za drugim razem będą w stanie zbudować wspólne życie.

Kiedy dotarła do chaty Ari, gdzie czekała już na nią Morphia, zaczynało zmierzchać.

## ROZDZIAŁ 32

W świetle wschodzącego słońca blada klacz Dianny stąpała znużona u boku Luciana w stronę Brightwood. Nie było sensu, by w tym momencie próbować z nim rozmawiać. Nie przybrał ludzkiej formy ani na chwilę, odkąd wczoraj zjawili się mężczyźni, którzy zamierzali spalić chatę Ari.

Może to i lepiej, że nie mogła z nim porozmawiać. Nie była pewna, czy chciałaby usłyszeć, co ma do powiedzenia – nie po tym, co zrobił z wioską Ridgeley. Światły był mściwym Panem Ognia, niczego nie oszczędził. Jeśli ludzie coś stworzyli, on to spalił – tak jak każdego, kto nie miał dość rozsądku, by się rzucić do ucieczki.

Oczywiście fakt, że nie chciał z nią teraz rozmawiać, oznaczał, że nie musiała mu mówić, ilu z tych, którym pozwolił uciec, i tak zmarło w konfrontacji z Łowczynią i jej ogarami cienia. Nie musiała też pytać, czy na pewno wie, że Ari nie była uwięziona w wiosce, nim zaczął ją palić.

Zachęciła więc klacz do utrzymywania tempa nadawanego przez jej brata z nadzieją, że to, co zastaną w Brightwood, uzasadni jego postęпки.

Nagle Lucian prychnął, zastrzygł uszami i wydłużył krok. Dianna pozwoliła, by jej klacz została w tyle – aż ujrzała dwa konie skubiące trawę na łące.

– Jeszcze kawałek – powiedziała. – Potem odpoczniesz.

Klacz próbowała utrzymać tempo, ale jej krok osłabł. Dianna zsiadła i przebiegła resztę drogi do chaty. Ari wróciła. Ari była bezpieczna. Podobnie jak ich klan i dom w Tir Alainn.

Lucian w końcu zmienił postać. On też szedł w stronę chaty. Spojrzał na wpół otwarte drzwi kuchenne i zatrzymał się, czekając na siostrę.

*Och Lucianie, spróbuj się zachowywać jak uradowany kochanek, a nie wściekły mężczyzna. Wygraliśmy i...*

Morag otworzyła drugą połowę kuchennych drzwi i wyszła z chaty. Dianna poczuła się tak, jakby spadała ze stromego klifu i czekała na bolesne zderzenie z ziemią.

– Gdzie jest Ari? – zapytał ostro Lucian, próbując zerknąć ponad ramieniem Morag do wnętrza kuchni.

– Ona odeszła, Lucianie – odparła cicho Morag.

– Odeszła? – powtórzyła Dianna niczym echo. – Jak mogła odejść, skoro została pojmana przez... – Poczwała, jak krew odpływa jej z mózgu i zaczyna się jej kręcić w głowie.

– Czarne Płaszczki – dokończyła za nią Morag. – Tak. A potem odeszła.

– Sprowadź ją tutaj. – Głos Luciana brzmiał spokojnie, ale zabójczo. – Zbieraczka może przyzwać duszę z Krainy Wiecznego Lata, o ile ta dusza nie przebywała tam zbyt długo. – Nagle jego spokój zalała furia. – Jak mogłaś ją zebrać bez konsultacji z nami?!

– A czemu miałabym się z wami konsultować? To nie była wasza decyzja.

– Sprowadź ją z powrotem. Jej miejsce jest w Brightwood. Z nami.

– Nawet gdybym mogła to zrobić, gdzie podziałyby się jej dusza? Wiesz, gdzie teraz leży jej ciało? Bo ja nie wiem.

– Jej duch może się stać częścią Brightwood – powiedziała Dianna.

– I czuć każde uderzenie topora, gdy tylko potrzebne będzie drewno? Czuć każde wbicie szpadla, gdy ziemia będzie przekopywana? A może mam sprowadzić jej ducha i zostawić go na łące? Jeśli jej dusza nie zamieszka w ciele, jak miałyby robić to, czego od niej chcecie?

– W takim razie znajdziemy dla niej inne ciało, w którym będzie mogła zamieszkać.

– Czyje? – spytała Morag łagodnie. – Duchy nie opuszczają zdrowych ciał.

– Mogłabyś zebrać duszę innej osoby, a ciało oddać Ari – nalegała Dianna.

– Czyje ciało? – Morag ponowiła pytanie, spoglądając na Dianę tak ostro, że ta zaczęła się pocić.

– To ty ją zebrałaś bez naszej zgody. Teraz ty powinnaś to naprawić.

Morag nic nie powiedziała, ale chłód, który pojawił się w jej ciemnych oczach, sprawił, że Dianę przeszedł dreszcz.

– Sprowadź ją tutaj – zażądał Lucian.

– Dlaczego?

– Bo jest tu potrzebna. A poza tym zależy mi na niej.

Morag posłała mu dziwne spojrzenie.

– Nie można oszukać śmierci. Ale czasami można pójść na układ. Czy jesteś gotów zawrzeć ze mną umowę, Lucianie?

– Nie jestem w nastroju na gierki, Zbieraczko.

– Nie gram w gierki, Światły. Ale chcę iść z tobą na układ. Tu i teraz. – Morag wyciągnęła do niego dłoń. – Twoje życie za życie Ari. Jeśli udasz się do Krainy Wiecznego Lata, znajdę sposób, by sprowadzić ją z powrotem do Brightwood.

– Dobrze – warknął. – Sprowadź ją, to rozważę tę opcję.

Morag opuściła dłoń i potrząsnęła głową.

– Nie tak się umawiamy.

Dianna dopiero teraz odzyskała głos – a wraz z nim gniew.

– To Światły! – krzyknęła. – Jak śmiesz żądać od niego czegoś takiego!

– Taki jest układ. – Morag była nieprzejednana. – Życie Luciana w zamian za życie Ari. Możecie się na to zgodzić albo musicie się pogodzić z tym, że ona odeszła, i zacząć przygotowywać klan do przeniesienia się do Brightwood.

– Żaden człowiek nie zgodziłby się na taki układ – powiedziała gorzko Dianna.

– To zależy od tego, jak bardzo mu na niej zależy.

To podsunęło Diannie pewien pomysł.

– Czemu więc nie zabierzesz tego całego Nealla w zamian za Ari? Wystarczyłoby jego poświęcenie.

– On już odszedł.

Dianna miała ochotę krzyczeć z frustracji. Dlaczego ten mężczyzna nie mógł pożyć chwilę dłużej, tak by jego śmierć przynajmniej na coś się przydała?

Morag spojrzała na Luciana i ponownie wyciągnęła dłoń.

– Byłeś gotów dla niej zabijać. Czy jesteś gotów oddać też siebie?

Na jego twarzy było widać walkę. Dianna czuła się tak, jakby to ona była zmuszona dokonać tego wyboru. Kiedy zaczął unosić dłoń, miała ochotę krzyczeć, powiedzieć mu, żeby tego nie robił. Ale ugryzła się w język.

Ręka Luciana powoli zaczęła się zbliżać do dłoni Morag. Dygotała. Zanim ich palce się zetknęły, jego dłoń zastygła w bezruchu, a potem opadła. Odwrócił wzrok.

– Ari odeszła, Lucianie – powiedziała łagodnie Morag. – Pogódź się z tym.

Gorycz zaczęła wypełniać Dianę, aż nie zostało w niej już nic innego.

– W takim wypadku nie mamy innego wyjścia, jak tylko tu zamieszkać, Brightwood należy teraz do klanu. A ty nie jesteś już mile widziana na naszych ziemiach. I nigdy nie będziesz. A kiedy opowiem pozostałym

klanom o tym, jak zdradziłaś Fae, żaden nie będzie chciał cię przyjąć – nawet twój własny. Tir Alaiinn pozostanie dla ciebie zamknięte, tak jak teraz dla nas.

Morag nie odpowiedziała. Po prostu odwróciła się i weszła do chaty.

Dianna wpatrywała się w otwarte kuchenne drzwi. Kilka minut później z domu wyszła Morphia. Zaczęła siodłać konie, a gdy skończyła, chatę opuściła Morag. Przytroczyła swoje juki do karego konia, po czym obie odjechały.

Z piersi Dianny wyrwał się szloch. Odwróciła wzrok od chaty, która wkrótce miała się stać jej domem. Zobaczyła, jak Lucian znika w lesie, kierując się do miejsca, w którym lśniaca droga była zakotwiczona w siłach Brightwood. Na moment zamarła. Jak mógł tak po prostu zostawić ją samą? Potem jednak potrząsnęła głową. Ktoś musi powiedzieć klanowi, co się wydarzyło, i nakazać im rozpocząć przygotowania do opuszczenia Tir Alaiinn. Miała tylko nadzieję, że będą mieć dość czasu, nim droga przez Zasłonę zacznie się zamykać.



Morag wypełniła ziarnem kolejną torbę. Przynajmniej konie będą miały co jeść poza trawą. Poza tym szkoda, żeby zgniło.

Dom i stajnie stały już puste, gdy ona wraz z Morphią wróciła na farmę Aherna. Mała chata gospodyni także stała opuszczona. Nikt nie będzie miał jej za złe, że zabrała to, czego potrzebowała, ponieważ robiła po prostu to, co należało.

Wygnana z Tir Alaiinn? Czy odrzucił ją nawet jej własny klan? Łowczyni była na tyle wpływowa wśród Fae, by do tego doprowadzić. Spodziewała się czegoś takiego po Diannie – a jej pomysł na odzyskanie Ari, choć nieoczekiwany, też nie był niespodzianką. Krążyły opowieści o takich umowach, a ona dysponowała mocą na tyle potężną, by dokonać wymiany dusz między dwoma ciałami – tak jak miała moc, by zebrać czyjeś siły witalne i przekazać je innej osobie. To, że Dianna oczekiwała od niej, że zrzeknie się własnego ciała, by mogła w nim zamieszkać dusza Ari, także nie było zaskakujące. Astra miała rację: Fae byli bardzo dobrzy w oczekiwaniu, że ktoś inny weźmie na swoje barki ich brzemię.

Naprawdę zaskoczyło ją jednak to, jak niewiele dzieliło Luciana od

przyjęcia zaproponowanego przez nią układu. Być może zależało mu bardziej, niż podejrzewała. Ale wciąż nie dość, dzięki niech będą Matce. Gdyby przyjął jej propozycję, spełniłaby swoją część. Pojechałaby za Ari i przywiozła dziewczynę z powrotem do Brightwood niezależnie od tego, co pomyślałaby lub powiedziała Neall. Teraz oboje byli bezpieczni. I oby żadne wieści o nich nigdy nie dotarły do Luciana ani Dianny.

– Niech cię dzień błogosławi – usłyszała miękki głos.

Obróciła się, niepewna, kiedy Aiden wkroczył do stajni.

– Niech cię dzień błogosławi.

– Dianna jest bardzo niezadowolona. – Aiden podszedł do niej powoli. – Podobnie jak Lucian. Co w sumie rozumiacie. – Zawahał się. – Naprawdę nie mogłaś temu zaradzić, Morag? Musieliśmy stracić kolejną córkę z domu Gaian?

Przyjrzała się mu. Sprawnie władał słowami, więc musiała zachować ostrożność.

– Powiedziałaś Diannie i Lucianowi o Filarach Świata?

– Tak.

– Czy sądzisz, że gdyby wcześniej wiedzieli, kim były – kim są – czarownice, wciąż oczekivaliby od Ari posłuszeństwa, prowadzenia ascetycznego życia podporządkowanego ich wygodzie i przyjemnościom?

Przez długi czas nie odpowiadał.

– Spodziewaliby się, że to, co mogliby jej zaoferować, wystarczy niezależnie od tego, czy to prawda – rzekł w końcu. – Pogardzaliby nią w tym samym stopniu, w jakim potrzebowałiby jej do utrzymywania Tir Alainn, aż dorosłaby na tyle, by przestać się poddawać ich woli.

Morag skończyła napełniać torbę ziarnem i uważnie ją zawiązała.

– W takim razie dobrze, że sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły.

– Nie dla Ari.

Usłyszała smutek w jego głosie – i uświadomiła sobie, że nie jest to rozpacz po utracie fragmentu Tir Alainn. Ale wciąż świetnie władał słowami.

– Ona odeszła, Aidenie.

– Tak powiedziałaś Diannie. Młody mężczyzna, który ją kochał, również odszedł.

– Tak.

Aiden potarł kark.

– Sama zabrałaś ich do Cienistej Zasłony?

– Wczoraj zaprowadziłam mężczyznę i kobietę do Cienistej Zasłony. Patrzyłam, jak przez nią przechodzą i podążają do Krainy Wiecznego Lata. Razem.

Zaczął potakiwać, ale zmarszczył brwi.

– Co się stało z duszą Aherna? Nie zostawiłaś jej tutaj, prawda?

Nie spytała, skąd wie o losie Aherna. Bard czasem słyszał aż nadto.

– Zaprowadziłam jego i Astrę do Cienistej Zasłony.

– Astrę? Kim jest... – Przerwał. – Zaprowadziłaś Aherna i Astrę do Cienistej Zasłony.

– Tak.

– A Ari...

– Odeszła.

Widziała, że przesiewa jej słowa. I wiedziała, w której chwili zrozumiał to, co próbowała mu powiedzieć.

– Układ, który zaproponowałaś Lucianowi, nie był uczciwy, Morag. – Sprawiał wrażenie niezbyt zadowolonego. – Nikt nie zgodziłby się na takie poświęcenie, stojąc przed tobą.

– Jeden mężczyzna się zgodził. – Zrobiła pauzę, po czym kontynuowała: – Nie musiałam przyjmować tego, co zostało mi zaoferowane, ale nie zmienia to faktu, że zostało zaoferowane, Aidenie. Nawet nie musiałam o to prosić.

Jego oczy się rozszerzyły. Kolejne słowa wyrzekł bardziej do siebie niż do niej:

– Czyli wybrała mężczyznę, który podarował jej klejnoty miłości.

Morag spojrzała na niego ponuro. Aiden uśmiechnął się i potrząsnął głową. Kiedy się obrócił, by odejść, odezwała się:

– Powiesz o tym Lucianowi i Diannie?

– Co mógłbym im powiedzieć, nie powtarzając tego, co wiedzą już od ciebie? Ari odeszła. – Podniósł dłoń w geście pożegnania. – Niech twoja podróż będzie usłana solidnymi drogami i miękkimi łózkami. I niech dom Gaian rośnie w siłę – dodał cicho – gdziekolwiek wybierze.

Kiedy Morag wyszła ze stajni z torbą ziarna, Aiden już nie było. Morphia czekała na zewnątrz, próbując znaleźć najlepszy sposób na przytroczenie worów z jedzeniem do siodła. Spojrzała na Morag i wzruszyła ramionami.

– Są nieporęczne, ale szybko zaczną pustoszeć. – Pogmerała przy siodle. – Jeśli nie masz nic przeciwko, potowarzyszę ci przez pewien czas.

– A co z Panem Lasów? Nie czeka na twój powrót?

Długa chwila ciszy. Wreszcie Morphia powtórzyła:

– Potowarzyszę ci przez pewien czas.

Morag nie zadawała kolejnych pytań. Wróciła do stajni i otworzyła drzwi do jednego z boksów. Czule podniosła Merle.

– Chodź, malutki. Pora ruszać.

Dosiadła karego konia i umościła przed sobą szczeniaka, by móc go wygodnie trzymać. Kiedy wraz z Morphią opuszczała farmę Aherna – i Brightwood – nie obejrzała się za siebie.



## ROZDZIAŁ 33

*Przepadli*, pomyślał Adolfo, w odrętwieniu pakując swój mizerny dobytek do płóciennej torby. Podczas powolnej podróży do Rivercross będzie sobie powtarzał, że jego wiadomości nie dotarły do celu, że to stało za brakiem odzewu – przecież jego ludzie na pewno przybyliby na wezwanie. Ale nie spotkali się z nim w wyznaczonym miejscu. *Przepadli*. Wszyscy dobrzy mężczyźni, wszyscy Inkwizytorzy, których sprowadził tu kilka miesięcy temu, by oczyścić te ziemie z cuchnącej magii, *przepadli*. Nie udało mu się ustalić, co się z nimi stało. Za każdym razem, gdy pytał o swoich ludzi, dostawał tę samą odpowiedź: pytany pluł na ziemię i wykonywał znak mający ustrzec go od złego.

Chętnie spotkałby autora piosenki o Inkwizytorach, który nazywał ich Czarnymi Płaszczami, czarownikami władającymi czarną magią, sługami Złego – a do tego oskarżał o stworzenie nocnych łupieżców plądrujących wioski goszczące Inkwizytorów.

Inkwizytorzy walczyli przeciwko złu, byli wrogami Złego. A wszyscy mieli wierzyć w to, że to więdźmy odpowiadają za stworzenie nocnych łupieżców mających skrzywdzić poczciwych wieśniaków. Istoty te były bronią konieczną w walce o świat wolny od odoru złej magii.

Ale piosenka wciąż ich gnębiła, rozprzestrzeniała się niczym ogień od wioski do wioski wzdłuż granicy Sylvalanu.

Tak, chciałby poznać jej autora. Chciałby oczyścić duszę tego człowieka od wpływów Złego. Ale musi zacząć od powrotu do domu i odpoczynku. Zbierze siły i zwoła pozostałych Inkwizytorów. A potem, podczas miesięcy zimy, zdecyduje, jaki będzie ich następny krok.

Adolfo wygładził płaszcz, podniósł torbę podróżną i opuścił gospodę. Prom, który przewiezie ludzi i towary na drugi brzeg rzeki oddzielającej Sylvalan od Wolfram, wkrótce odbije od brzegu, a on nie chciał go przegapić.

Kiedy szedł na stację promu, odetchnął głęboko i zmarszczył nos. Okolica

cuchnęła brudną wodą, ale pod pierwszymi nutami zapachowymi dało się wyczuć nadchodzącą jesień. Z radością opuści tę nienawistną krainę i powróci do ojczyzny, gdzie panuje porządek, a mężczyźni są panami. Z radością powróci do miejsca, gdzie Inkwizytorów traktuje się z należnym im szacunkiem i poważaniem.

Kiedy skręcił w krótką brukowaną uliczkę prowadzącą na stację promu, ujrzał czarnowłosą kobietę na karym koniu zastawiającą drogę do doku.

Zadrżał, ale zmusił się, by do niej podejść.

– Zejdź mi z drogi – rozkazał słabym głosem.

– Mam dla ciebie wiadomość – powiedziała.

– To dostarcz mi ją i znikaj.

Patrzyła na niego przez dłuższy czas.

– Fae wracają do Starych Miejsc. Odzyskujemy ziemie, które zawsze były nasze. Jeśli nikt nie będzie nas niepokoił, ludzie nie mają się czego obawiać. Ale w przeciwnym razie...

Groźba zawisła w powietrzu między nimi.

– To byłaś ty, prawda? – Adolfo oddychał ciężko, charcząco. – Ty zabiłaś moich ludzi.

– To był jedyny sposób, by powstrzymać ich przed wyrządzeniem kolejnych krzywd – odparła cicho.

– Krzywd? Krzywd! Przybyliśmy tu, by uwolnić mężczyzn z oków magii, która czyniła ich sługami, uniemożliwiając należne im panowanie nad światem. Nikogo nie skrzywdziliśmy.

– Wyrzynaliście wiedźmy, które są naszymi rodaczkami. My uznajemy to za krzywdę.

– Wiedźmy! – Adolfo wygiął usta w grymasie. Zawsze chodziło o wiedźmy. Kobiety obdarzone magią, które mężczyźni musieli spacyfikować, aby przetrwać. Jak każde parszywe istoty stojące im na drodze. Tyle że on nie był jakimś biadolącym, bezsilnym mężczyzną. Był Mistrzem Inkwizycji, Młotem na czarownice. Oczyszczył świat z setek wiedźm. A tu gapi się na niego jakaś kreatura, jakby był czymś, co może bez trudu zgnieść i puścić w zapomnienie.

Jeden cios w głowę. Tylko tyle trzeba, aby ją ogłuszyć i uniemożliwić użycie mocy przeciwko niemu. Tylko tyle trzeba, aby zmienić niebezpieczną istotę w całkowicie bezradną, zdaną na jego łaskę. Jeden cios. Tylko tyle. A kolejne, które spadłyby na nią, zmiękczyłyby ją przed oczyszczeniem.

Ściągnąłby ją z końskiego grzbietu i rzucił na bruk. Roztrzaskałby jej głowę o kamienie, zmiażdżyłby jej twarz – jeden cios za każdego mężczyznę, którego mu odebrała. A potem znalazłby cichy pokój, ciemny pokój, w którym mógłby nad nią pracować. Połamałby jej palce, połamałby jej stopy. Skonstruowałby nowe wędzidło sekutnicy z kolcami przekłuwającymi nie tylko język i policzki, lecz także oczy i uszy. A kiedy by z nią skończył, kiedy byłaby całkowicie poniżona i posłuszna jego rozkazom, zostawiłby ją na jakiejś nieuczęszczanej drodze, ślepą, głuchą, niemą i okulawioną. Niech wtedy pokaże, jaka jest potężna.

Krzycząc z wściekłości, rzucił się na nią.

Kary koń się obrócił.

Adolfo potknął się, straciwszy równowagę. Jego lewa dłoń musnęła nogę kobiety. Próbował ją chwycić, próbował się jej złapać, ale jego lewa ręka nagle zdrętwiała od koniuszków palców po bark. Nie był w stanie odzyskać równowagi i runął na ziemię.

Leżał tak, z trudem łapiąc oddech, gdy ona rzekła cicho:

– Pamiętaj o tym, co powiedziałam.

Przetoczył się na bok i obserwował, jak odjeżdża. Nie było słycać tętentu kopyt karego konia na bruku.

Dzwon przy doku zaczął bić, informując pasażerów, że prom odpływa za kilka minut. Ludzie mijali go w pośpiechu. Kilku z nich zawahało się, przechodząc obok, ale kiedy na nich spojrział, szybko odchodzili, nie oferując mu pomocy.

Powoli i z bólem Adolfo wstał. Jego lewa ręka bezwładnie zwisała wzdłuż ciała. Porzucił torbę podróżną na ulicy i dokuśtykał do doku, wyciągając w sprawnej dłoni monety, by zapłacić za przeprawę. Kiedy już dostał się na pokład, przeszedł na dziób i utkwiał wzrok w linii brzegowej Wolframu.

Przez całą podróż wpatrywał się w przybliżającą się ojczyznę – i ani razu nie obejrzał się za siebie.

## ROZDZIAŁ 34

Wytracona z równowagi i ogarnięta furią Dianna pogalopowała w dół lśniącej drogi wiodącej przez Zaslone do Brightwood. Załatwi to z Lyrrą raz na zawsze. Niech skona, jeśli nie. Co za irytująca kobieta! Gdyby jedno z Fae mieszkające w Brightwood nie przebyło drogi, by powiedzieć jej o zdradzie Lyrry, kiedy by się dowiedziała? Wtedy, gdy droga zaczęłaby się zamykać?

Wypadła spomiędzy drzew graniczących z łąką. Przed sobą ujrzała niski kamienny mur, którego nigdy wcześniej nie widziała. Przeskoczyła nad nim, ignorując okrzyki pracujących w pobliżu Fae, kiedy blada klacz staranowała sadzonki ledwie wzbijające się ponad świeżymi grządkami. Przeskoczyła kolejny mur, ten bliżej chaty, po czym przywiązała klacz do odrapanego słupka tuż przy kuchennych drzwiach.

Przepchnęła się przez tłumek Fae w kuchni, weszła do głównej izby i otworzyła drzwi do sypialni.

Lyrra wpatrywała się w nią przez chwilę. Potem wróciła do pakowania juków.

– Czyli to prawda – powiedziała Dianna. – Naprawdę to robisz.

– Tak – odparła Lyrra spokojnie. – Odchodzę.

Dianna z impetem zatrzęsła za sobą drzwi.

– Jak możesz być tak samolubna? – krzyknęła. – Nie rozumiesz, co to oznacza?

Lyrra wcisnęła do sakwy tunikę i obróciła się w stronę Dianny.

– To oznacza, że będziesz musiała dotrzymać swojej obietnicy. To oznacza, że będziesz musiała zostać w Brightwood, by stać się kotwicą, która pomoże innym mieszkającym tu Fae utrzymać lśniąca drogę.

– Ty jesteś kotwicą. Ty masz w sobie nieco krwi domu Gaian, której potrzebujemy, by utrzymać drogę.

– A ty dysponujesz magią księżycy, która również pozwala na utrzymanie drogi. Sprawdzaliśmy to, pamiętasz?

Dianna zacisnęła pięści. Oczywiście, że pamięta, ale to nie ma nic do

rzeczy.

– Obiecałaś, że zostaniesz!

– Obiecałam, że zostanę kilka dni, podczas gdy ty pojedziesz do Tir Alainn, by spakować rzeczy potrzebne ci w Brightwood. To ty obiecałaś, że powrócisz za kilka dni, Dianno. To było jesienią. Teraz mamy wiosnę. A ja odchodzę.

– Jesteś tu potrzebna!

Lyrra wskazała na okno wychodzące na drogę.

– Jestem potrzebna tam. Tam jest potrzebna moja praca. Większość klanów wciąż nie wierzy, że muszą robić cokolwiek, by zapewnić Tir Alainn bezpieczeństwo. Muszę im powiedzieć. Muszę ich przekonać. Aiden robi co w jego mocy, ale sam sobie nie poradzi.

– Twoja praca – prychnęła Dianna. – Twoja praca. Nie musisz wędrować po świecie ludzi, by wykonywać swoją pracę. Nie chodzi wcale o pracę, chodzi o Aiden. Po prostu nie możesz znieść tego, że spędza ten czas między udami innych kobiet, a myśl o tobie nawet nie przemknie mu przez głowę.

Oczy Lyrry stały się puste i zimne.

– To, co robi Aiden, to jego sprawa. Ale on jest Bardem, a ja jestem Muzą. Musimy sprawić, by Fae wreszcie zrozumieli, że nie mogą dłużej siedzieć z założonymi rękami i oczekiwać, że dom Gaian utrzyma istnienie Tir Alainn na swoich barkach.

– To tylko więdźmy! – wykrzyczała Dianna.

Oczy Lyrry stały się jeszcze zimniejsze.

– Tak – odparła cicho. – Jestem pewna, że tak to sobie tłumaczyliśmy przez te wszystkie pokolenia. Były Fae, ale tak naprawdę nie były Fae. Nie były takie jak reszta z nas. I to akurat prawda. Są przecież córkami, źródłami, przez które płynie moc Matki, Filarami Świata. – Odwróciła się i zamknęła oczy. – Nic nie są nam winne. Ale my jesteśmy coś winni im. Pora, byśmy spłacili ten dług inaczej niż tylko wręczaniem świecidełek i płodzeniem kolejnych pokoleń. – Wzięła głęboki oddech, otworzyła oczy i wróciła do pakowania. – Przeczytałam dzienniki.

– Nie miałaś prawa do nich zaglądać – warknęła Dianna. – To prywatne dzienniki należące do rodziny Ari.

– Ari i jej rodzina odeszli. Nikt więcej ich nie przeczyta. Poza nami. – Zapięła juki, a potem odwróciła się, by znów spojrzeć na Dianę. – Kilku

dzienników chyba brakuje. W historii rodziny są luki.

*Dlaczego miałyby mnie obchodzić te dzienniki?*, zastanawiała się Dianna. *Teraz nie są istotne. Jeśli Lyrra odejdzie...*

– Skoro jesteś tak zdeterminowana, by odejść, poczekaj jeszcze dzień czy dwa, żebym...

– Żebyś mogła złożyć kolejną obietnicę, której nie zamierzasz dotrzymać? – Lyrra potrząsnęła głową. – Sama musisz zdecydować, czy zostaniesz czy odejdiesz. – Podniosła juki. – Aiden pewnie już skończył siodłać konie. Czekaj na mnie.

– Ach tak – odparła gorzko Dianna. – Kiedy Aiden pstryka palcami, ty zaczynasz tańczyć do rytmu.

Lyrra wpatrywała się w nią przez moment. A potem minęła ją i wyszła z pokoju.

Dianna poczekała, aż usłyszy trzask drzwi frontowych. Wtedy wyszła z sypialni.

Główną izbę wypełniali Fae. Przyjaciele. Rodzina. Wszyscy spoglądali na nią oczami, które wyrażały milczące błaganie.

Wróciła do sypialni i zatrzasnęła drzwi. Stała w miejscu przez kilka minut. Potem weszła do ubieralni i wyjrzała przez okno.

Jastrząb przeleciał nad łąką, trzymając w szponach królika. Falco niosący mięso na wieczorny posiłek.

Łzy wypełniły oczy Dianny. Przycisnęła dłoń do ust, by powstrzymać szloch. Gdyby teraz odeszła, a lśniąca droga się zamknęła, jej klan nie zapamiętałby, że tak naprawdę była to wina Lyrry. Obwiniano by ją. Była uwięziona. Będzie musiała zamieszkać w chacie, trzymać się granic Starego Miejsca, jednocześnie obserwując, jak rodziny z jej klanu przychodzą i odchodzą do miejsca, którego nigdy więcej nie zobaczy.

Przełknęła gorycz, która w niej wezbrała. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy tak właśnie czuły się wiedźmy, kiedy Fae odeszli do Tir Alainn, zostawiając je, by utrzymywały przy życiu świat, który same stworzyły – i którego nigdy więcej nie zobaczą.

## ROZDZIAŁ 35

Początek lata.

Morag spojrzała na hojną porcję gulaszu i grube pajdy chleba obficie posmarowane miodowym masłem. Mogłaby zapłakać z wdzięczności. Ostatnie miesiące były dla niej trudne. Łowczyni i Światły nie rzucali słów na wiatr. Została odtrącona przez wszystkie klany, w tym jej własny, za „zdradę” wobec Fae. Nikt nie zabraniał jej podróżować lśniącymi drogami czy wchodzić do domów klanów, ale wszyscy zachowywali się tak, jakby nie istniała. Znosiła to podczas zimowych miesięcy, podróżując od klanu do klanu, ponieważ tego roku zima okazała się sroższa niż w latach ubiegłych, a znalezienie w świecie ludzi odpowiedniego schronienia dla siebie i swoich towarzyszy okazało się zbyt trudne. Jednak gdy tylko mogła, wróciła do tego świata i zaczęła podróżować na zachód, cały czas na zachód.

– Czemu nie jesz? – spytała Ashk, siadając naprzeciwko niej przy stole.

Zawahała się. Kiedy wcześniej tego dnia przybyła do Starego Miejsca i spotkała Ashk spacerującą wśród drzew, kobieta zaprosiła ją do domu klanu na posiłek. Ashk przedstawiła się jako byle Pani Lasów, ale gdy to mówiła, w jej oczach błysnęło rozbawienie. A widząc, jak szybko pozostali Fae zareagowali na jej wytyczne, by podjąć gościa, Morag zaczęła podejrzewać, że Ashk jest znacznie ważniejsza.

– Wiesz, kim jestem? – spytała Morag.

Ashk spojrzała jej w oczy i wygięła usta w łagodnym, acz zwierzęcym uśmiechu.

– Jesteś Zbieraczką. Przybyłaś tu z tego powodu?

Morag potrząsnęła głową.

– Po prostu podróżuję. Ale powinnaś wiedzieć... Wszystkie klany się mnie wyrzekły.

Ashk zakręciła palcami w lekceważącym geście.

– Klany w zachodnim Sylvalanie zawsze były uważane za poślednie, ponieważ zdecydowaliśmy się na utrzymywanie naszych więzi z Matką i nie

chcieliśmy mieszkać na stałe w Tir Alainn. Naszych mężczyzn postrzega się jako nieodpowiednich ojców dla dzieci z innych klanów, z kolei mężczyźni z innych klanów nie chcą, lub nie mogą, być odpowiednimi partnerami dla naszych kobiet. – Jej uśmiech sprawiał teraz niebezpieczne wrażenie. – Ich strata. Nie mają pojęcia, jaka krew płynie w naszych żyłach.

Morag poczuła dreszcze, choć nie była pewna, co jest ich przyczyną. Być może to wyjątkowe pokłady magii w tym miejscu, zwiększona moc, której nie czuła na terenie żadnego innego klanu.

– Jeśli Świątły lub Łowczyni dowiedzą się, że zaoferowaliście mi gościnę, nie będą zadowoleni – powiedziała.

– Nie ma powodu, by się dowiedzieli. A nawet gdyby do tego doszło, nie ma to dla nas znaczenia. Świątły i Łowczyni są dziećmi, którym po raz pierwszy ktoś dał prztyczka w nos, więc skarżą się każdemu, kto chce ich słuchać, na niesprawiedliwe traktowanie. My nie zamierzamy znosić dziecięcych grymasów.

Morag była zdumiona tak uszczypliwą uwagą, choć musiała przyznać, że to trafna ocena.

– Cóż – podjęła Ashk – skoro już wiesz, jak ten klan podchodzi do życia, posil się, póki jedzenie wciąż jest ciepłe.

*Ten klan? Zastanawiała się Morag, posłusznie kierując uwagę na posiłek. Czy Ashk? Czy może to jedno i to samo?*

– Poza tym – Ashk sięgnęła po kromkę chleba – mamy mnóstwo jedzenia, by się podzielić. Matka wyraża swoją radość poprzez szczodre dary.

– Cieszę się, że ktoś ma powody, by świętować.

Ashk przytaknęła. Jej oczy zalśniły.

– Młody Pan Lasów z końcem poprzedniego lata wreszcie powrócił do domu. Przywiózł ze sobą wspaniałe wierzchowce, w tym dwa ogiery. Ale, co najlepsze, przywiózł też żonę.

Morag ostrożnie odłożyła łyżkę.

– Żonę?

– Młodą kobietę, zdrową i silną jak jego matka, niegdyś moja dobra przyjaciółka... a zarazem daleka kuzynka. Och, to dlatego Matka świętuje. – Ashk rozłożyła ręce i spojrzała na korony drzew. – Córka domu Gaian znów chodzi po tej ziemi.

– Co takiego? – spytała Morag słabym głosem. Nie ośmieliła się mieć nadziei, ale też nie była w stanie powstrzymać się od marzenia o tym.



Ashk uśmiechnęła się do niej.

– Wiedźma. Żona młodego lorda jest wiedźmą.

Samica kruka obserwowała mężczyznę z gałęzi pobliskiego drzewa. Jej towarzysz na ziemi wydał z siebie ciche zawroźdzenie, ale pozostał w ukryciu.

Mężczyzna zdjął koszulę i przewiesił ją przez niski mur, który ogradzal przykuchenny ogród. Sięgnął po niewielką motykę, by zacząć pielnić kolejną warzywną grządkę. Wyglądał na zdrowego, sprawnego... i zadowolonego.

Podobnie jak kary ogier skubiący trawę na pobliskiej łące u boku karej klaczy. Wśród wielu koni pasących się na pastwisku ciągnącym się za domem mignęła złota sierść. Wcześniej zastanawiała się, czy słonecznemu rumakowi udało się znaleźć drogę do tego miejsca. Być może ktoś mu pomógł, uznała, kiedy kolejny mężczyzna wyszedł z solidnej stajni – stajenny, który czekał na nią w dniu, w którym zaprowadziła Aherna do Cienistej Zasłony.

Pokrzepiła ją myśl, że zarówno mężczyźni, jak i konie znów wiodą dobre życie. Jej pióra zaszeleściły jednak z niepokojem, gdyż wciąż czekała na jeszcze jedną osobę.

Jej cierpliwość została nagrodzona chwilę później. Z chaty wyszła kobieta i ruszyła w stronę ogródka.

– Neall! – zawołała. – Masz swoje obowiązki. Ja mogę się zająć pielieniem chwastów.

Neall otarł twarz koszulą i posłał jej surowe spojrzenie.

– Miałaś odpoczywać, Ari.

– Już odpoczęłam. Teraz pora pokopać w ziemi. Jeśli poczuje zmęczenie, przerwę.

– Zawsze tak mówisz. A potem nigdy tego nie robisz.

Samica kruka obserwowała, jak ich krótkie przekomarżanie się o motykę kończy się pocałunkiem. Jej zdaniem powinien on prowadzić do bardziej interesującego finału niż rozstrzygnięcie, kto będzie pracował w ogrodzie.

Jej towarzysz znów pisnął.

Zleciała na ziemię i wylądowała w miejscu, gdzie ukryta za drzewami mogła zmienić formę na ludzką.

– Zostań tutaj – powiedziała cicho Morag.

Zawahała się, nie chcąc zakłócić ich spokoju ani przyjemnych chwil.

„Z radością się poznaliśmy, z radością rozstaliśmy, z radością spotkamy się ponownie”. Taką miała nadzieję.

Wyszła zza drzew i ruszyła w ich stronę.

Oczy Ari rozszerzyły się ze zdumienia. Neall obrócił się, gotów do obrony. Po chwili jednak przeskoczył murek i ruszył jej na spotkanie, podobnie jak niegdyś.

– Morag – powitał ją z rezerwą.

– Neall – odparła cicho. Wiedziała, na co liczyła. A wyraz jego twarzy powiedział jej, że była w błędzie.

Po chwili Ari podeszła do nich. W jej oczach błyszczał niepokój, ale uśmiech był szczery.

– Niech cię dzień błogosławi, Morag.

Morag odwzajemniła uśmiech, choć jej był raczej słodko-gorzki.

– Co cię tu sprowadza? – spytał Neall, wciąż ostrożny, wciąż zdystansowany.

Ari zerknęła na Nealla, a potem rzuciła Morag zmartwione spojrzenie.

– Morag... Widzisz coś? – Jej dłonie z troską zasłoniły zaokrąglony brzuch.

Ten ruch przykuł wzrok Morag. Po chwili znów popatrzyła na nich, tym razem pełna radości.

– Dziecko? – Teraz wreszcie zrozumiała pytanie Ari. – Mogę?

Kiedy Ari przytaknęła, położyła dłonie na jej dłoniach. Tym razem w jej uśmiechu było wyłącznie ciepło.

– Życie. Silne, zdrowe życie – powiedziała, po czym dodała miękko: – Nie widzę tu żadnych cieni.

Oboje się rozluźnili.

Morag spojrzała w brązowozielone oczy Ari i ujrzała w nich wiele zrozumienia, ale też wiedzę, której nie było tam rok wcześniej.

*Teraz już wie, kim jest. Wie, że jest córką z domu Gaian. Nie jest już dziewczyną, którą Lucian i Dianna próbowali manipulować z własnych pobudek.*

– Miałam nadzieję, że znów się spotkamy – powiedziała. – Przyprowadziłam kogoś, kto też na to czekał.

Dostrzegła lęk na twarzy Ari – i napięcie na twarzy Nealla, zanim obróciła się w stronę lasu, by dać sygnał.

Neall wydał z siebie zduszony okrzyk, gdy ogar cienia wypadł spomiędzy drzew i ruszył prosto na Ari. Za to Ari rozpostarła ramiona i zawołała:

– Merle!

– Nie skacz! – wrzasnął Neall w tej samej chwili.

Pies zatrzymał się ze ślizgiem, podwinął ogon między łapy i skulił się przy Morag, spoglądając na mężczyznę oczami pełnymi smutku.

Neall przyklęknął na jednym kolanie i wyciągnął dłoń, by Merle mógł ją powąchać.

– Nie bądź dla niego taki surowy – powiedziała Ari. – To wciąż szczeniak.

– Żaden z niego szczeniak. – Neall głaskał Merle, póki psiak się nie rozluźnił i nie zaczął merdać ogonem. – Wyrosłeś na dużego, silnego chłopca, co? I nie jesteś już szczeniakiem. Jesteś młodym ogarem. – Ogon poruszał się coraz szybciej. – I dlatego nie możesz już wskakiwać na Ari.

Merle spojrzał na Ari i zaskowyczał. Ari uklęknęła i objęła go.

– Dziękujemy. – Neall podniósł wzrok na Morag. – Zastanawialiśmy się, co się z nim stało po tym, jak Ahern... – Odchrząknął. – Glenn pamiętał o nim i wrócił po niego na farmę, ale psa już nie było.

Kiedy Merle uspokoił się na tyle, by Ari mogła wstać, Morag powiedziała:

– Przywiozłam też trzy dzienniki, które należały do twojej rodziny. Może nie powinnam była ich zabierać, ale pomyślałam, że chciałabyś mieć dziennik swojej babki i kilka innych, opisujących część historii twojego rodu.

– Dziękuję, Morag. Oczywiście, że chcę je mieć.

– Gdzie się zatrzymałaś? – spytał Neall. Jakaś zmiana w jego oczach kazała Morag zastanowić się nad tym, co może widzieć młody Pan Lasów.

– Och... zatrzymałam się u Ashk na kilka dni.

– Mogłabyś zostać u nas – powiedziała Ari.

– Ale będziesz musiała wypielić część ogrodu.

– Neall! Nie możesz kazać gościowi zapracować na kolację.

– Nie jest gościem – odparł Neall. – Należy do klanu.

Morag poczuła wstrząs, jakby coś bolesnego wewnątrz niej złamało się i musiało przez chwilę poboleć, nim zostanie uleczone.

*Zrezygnujesz z tego, Morag? Klany cię odrzuciły, narobiłaś sobie wrogów pośród swojego ludu. I zrobiłaś to dla tych, których widzisz. Aby mogli tu być, aby mogli mieć przed sobą bogate życie. A teraz oni chcą, byś dzieliła to życie z nimi. Chcą być twoją rodziną w sposób, w jaki twoja rodzina nią nie była, począwszy od chwili, gdy zostałąs Zbieraczką. Zrezygnujesz z tego?*

– Nie umiem pielnić.

Neall wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– O to się nie martw. Nauczę cię.

Ari szturchnęła go w żebra.

– Zachowuj się.

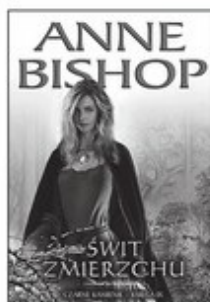
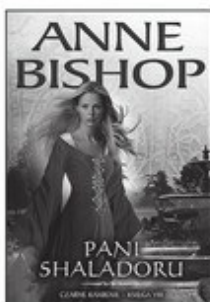
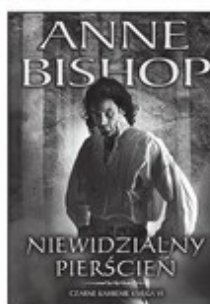
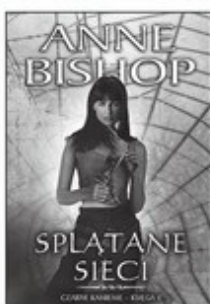
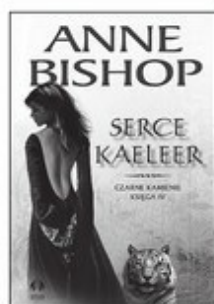
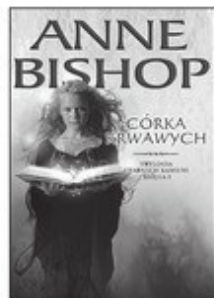
A potem wyciągnęła do niej rękę.

Morag zawahała się przez moment, po czym wsunęła dłoń w dłoń Ari.

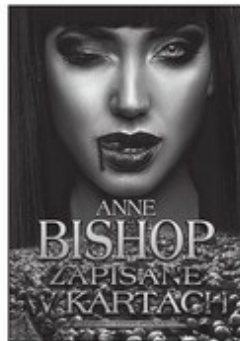
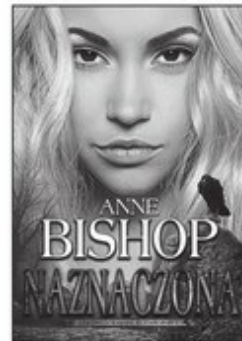
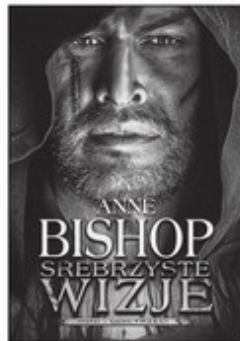
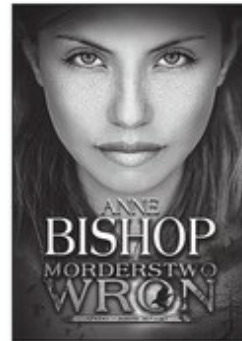
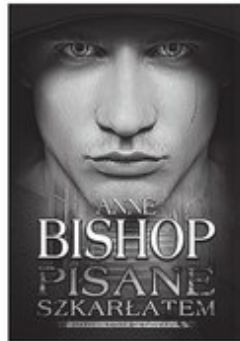
Ari się uśmiechnęła.

– Wejdz i rozgość się, Morag.

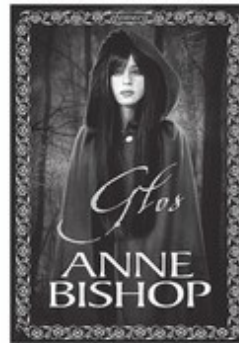
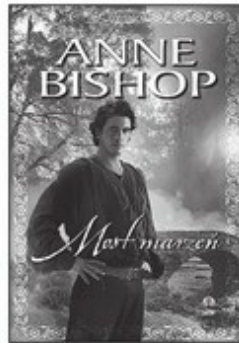
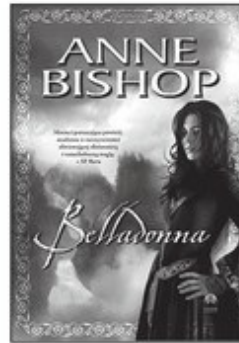
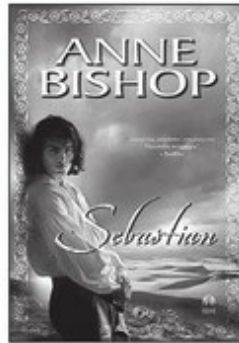
INNE KSIĄŻKI  
ANNE BISHOP  
CZARNE KAMIENIE



INNI



EFEMERA





WYDANIE I  
ISBN 978-83-62577-85-9

Wydawnictwo INITIUM  
[www.initium.pl](http://www.initium.pl)  
e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)  
[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)